

# JEFFERY DEEVER



**ŚPIĄCA LALECZKA**

Prószyński i S-ka

**Jeffery Deaver**

**Śpiąca Laleczka**

*(The Sleeping Doll)*

Przełożył Łukasz Praski

Dla G Mana

*Mimo wielu zmian wciąż jesteśmy prawie tacy sami.*

*Mimo zmian wciąż jesteśmy prawie tacy sami.*

Paul Simon, „The Boxer”

**13 września 1999 roku**

„Syn Mansona” winny

morderstwa rodziny Croytonów

Salinas, Kalifornia. Ława przysięgłych okręgu Monterey po zaledwie pięciogodzinnej naradzie uznała trzydziestopięcioletniego Daniela Raymonda Pella za winnego czterokrotnego morderstwa pierwszego stopnia oraz jednego zabójstwa.

– Sprawiedliwości stało się zadość – oświadczył prasie prokurator James J.

Reynolds po ogłoszeniu werdyktu. – To wyjątkowo niebezpieczny człowiek, który dopuścił się potwornych zbrodni.

Pell jest nazywany „Synem Mansona”, ponieważ w jego losach można dopatrzeć się podobieństwa do życia Charlesa Mansona odpowiedzialnego za rytualny mord aktorki Sharon Taty i kilku innych osób, jakiego dokonano w 1969

roku w południowej Kalifornii. Po aresztowaniu Pella policja znalazła w jego domu wiele książek i artykułów na temat Mansona.

Wyrok skazujący ma związek ze śmiercią Williama Croytona, jego żony oraz dwojga z ich trojga dzieci, zamordowanych 7 maja w Carmel, 190 kilometrów na południe od San Francisco. Zarzut zabójstwa dotyczy śmierci dwudziestoczteroletniego Jamesa Newberga, który mieszkał z Pellem i towarzyszył

mu, gdy w domu Croytonów doszło do tragedii. Prokurator twierdził, że Newberg początkowo zamierzał pomóc w zbrodni, ale kiedy zmienił zdanie, Pell miał go zabić.

Pięćdziesięciosześcioletni Croyton był zamożnym inżynierem elektrykiem i autorem innowacyjnych rozwiązań informatycznych. Należąca do niego firma w Cupertino produkuje nowoczesne programy znajdujące zastosowanie w najpopularniejszym na świecie oprogramowaniu komputerów osobistych.

Ze względu na zainteresowanie Pella osobą Mansona przypuszczano, że morderstwa mogły mieć podtekst ideologiczny, podobnie jak w wypadku zbrodni popełnionych przez Mansona, ale zdaniem prokuratora Reynoldsa najbardziej prawdopodobnym motywem wtargnięcia do domu Croytonów był rabunek. Pell ma na koncie dziesiątki wyroków skazujących za kradzieże w sklepach, włamania i napady rabunkowe, którymi zaczął się parać, gdy miał kilkanaście lat.

Napaść przeżyło jedno dziecko – dziewięcioletnia Theresa. Pell nie zauważył

śpiącej dziewczynki ukrytej między leżącymi w łóżku zabawkami, nazwanej przez to później „Śpiącą Laleczką”.

Podobnie jak podziwiany przez niego Charles Manson, Pell był obdarzony mroczną charyzmą, dzięki której zgromadził wokół siebie grupę fanatycznie oddanych mu wyznawców. Nazwał ich „Rodziną” – co także zapożyczył od klanu Mansona – i sprawował nad nimi władzę absolutną. Gdy

zamordowano rodzinę Croytonów, grupa złożona z Newberga oraz trzech kobiet mieszkała w nędznym domu w Seaside, na północ od Monterey. W skład Rodziny wchodziły dwudziestosześcioletnia Rebecca Sheffield, dwudziestoletnia Linda Whitfield oraz dziewiętnastoletnia Samantha McCoy. Whitfield jest córką Lymana Whitfielda, prezesa i dyrektora Santa Clara Bank and Trust z siedzibą w Cupertino, czwartej pod względem wielkości sieci banków w Kalifornii.

Żadnej z kobiet nie oskarżono o udział w morderstwie Croytonów i Newberga, ale zostały uznane za winne licznych zarzutów kradzieży, wtargnięcia na teren prywatny, oszustw i paserstwa. Whitfield usłyszała także wyrok skazujący za utrudnianie śledztwa, krzywoprzysięstwo i zniszczenie dowodów. W wyniku ugody Sheffield i McCoy skazano na trzy lata więzienia, a Whitfield na cztery i pół roku.

Podczas procesu Pell naśladował zachowanie Mansona. Siedział nieruchomo na ławie oskarżonych, wpatrując się w przysięgłych i świadków i wyraźnie starając się ich zastraszyć. Podobno wierzył, że posiada zdolności parapsychiczne. Kiedy jeden ze świadków załamał się pod jego spojrzeniem, oskarżonego usunięto z sali rozpraw.

Jutro ława przysięgłych rozpoczyna naradę nad wyrokiem. Pellowi grozi kara śmierci.

## **Poniedziałek**

### **Rozdział 1**

Przesłuchanie zaczęło się tak jak wszystkie. Kathryn Dance weszła do pokoju przesłuchań i zobaczyła siedzącego przy metalowym stole czterdziestotrzyletniego mężczyznę skutego kajdankami, który uważnie się jej przyglądał. Oczywiście przesłuchiwanii zawsze mierzyli ją badawczym spojrzeniem, ale żaden z nich nie miał tak niezwykłych oczu. Ich błękit nie przypominał ani barwy nieba, ani oceanu, ani szlachetnych kamieni.

– Dzień dobry – powiedziała, siadając naprzeciw niego.

– Wzajemnie – odparł Daniel Pell, człowiek, który przed ośmiu laty zadźgał nożem czteroosobową rodzinę z powodów, których nigdy nikomu nie zdradził.

Miał cichy głos.

Drobny, muskularny mężczyzna z lekkim uśmiechem na okolonej brodą twarzy rozparł się swobodnie na krześle, przechylając na bok głowę o długich, ciemnych, przetykanych siwizną włosach. Przesłuchaniom w podobnych okolicznościach na ogół towarzyszył akompaniament pobrząkujących łańcuchów, gdy aresztowani usiłowali dowodzić swojej niewinności, wykonując szerokie, przewidywalne gesty.

Daniel Pell siedział zupełnie bez ruchu.

Dance, specjalistka w dziedzinie przesłuchań i kinezyki – mowy ciała –

odczytała jego zachowanie i postawę jako oznakę ostrożności, ale także pewności siebie oraz, o dziwo, rozbawienia. Pell miał na sobie pomarańczowy kombinezon z napisem „Zakład karny Capitola” na piersi i zupełnie niepotrzebną informacją

„Więzień” na plecach.

W tej chwili Pell i Dance nie przebywali jednak w Capitoli, lecz w zabezpieczonym pokoju przesłuchań sądu okręgowego w Salinas, sześćdziesiąt kilometrów od więzienia.

Pell kontynuował oględziny. Najpierw przyjrzał się oczom Dance których zieleń stanowiła przeciwagę jego błękitnych oczu – przysłoniętym okularami w prostokątnych, czarnych oprawkach. Następnie zlustrował włosy ciemnoblonde zaplecione w ciasny warkocz, czarną marynarkę i białą,

nieprzezroczyście bluzkę.

Zwrócił także uwagę na pustą kaburę na jej biodrze. Taksował ją wzrokiem szczegółowo i bez pośpiechu; ciekawość przesłuchujących i przesłuchiwanego jest wzajemna. (Dance mówiła studentom na seminariach: „Przyglądają się nam równie uważnie jak my im zwykle nawet uważniej, ponieważ mają więcej do stracenia”). Dance sięgnęła do niebieskiej torebki Coach w poszukiwaniu legitymacji, nie reagując na widok zabawkowego nietoperza z zesłorocznego Halloween, którego zapewne dla psoty podrzucił jej rano dwunastoletni Wes albo jego młodsza siostra Maggie, a może była to sprawka obojga. Pomyślała: oto życie pełne kontrastów.

Godzinę temu jadła z dziećmi śniadanie w kuchni przytulnego wiktoriańskiego domu w idyllicznym Pacific Grove, mając u stóp rozradowane psy żebrzące o kawałek bekonu, a teraz znalazła się przy zupełnie innym stole, naprzeciw odsiadującego wyrok mordercy.

Znalazła legitymację i pokazała. Pell pochylił się, po czym patrzył przez chwilę w dokument.

– Dance. Interesujące nazwisko. Ciekawe, skąd pochodzi. Biuro... jakie?

Biuro Śledcze Kalifornii. Odpowiednik FBI w stanie. Panie Pell, zdaje pan sobie sprawę, że nasza rozmowa jest nagrywana? Zerknął w lustro, za którym szumiała kamera wideo.

– Waszym zdaniem naprawdę wierzymy, że wieszacie je po to, żebyśmy mogli sobie poprawiać włosy?

Luster nie umieszczano w pokojach przesłuchań w celu ukrycia kamer i świadków – współczesna technika umożliwia lepsze sztuczki – ale dlatego, że gdy ludzie widzą swoje odbicie, są mniej skłonni kłamać.

Dance uśmiechnęła się nieznacznie. Zdaje pan też sobie sprawę, że w każdej chwili może pan odmówić udziału w tym przesłuchaniu i wezwać adwokata?

Wiem więcej na temat procedury karnej niż cały rok absolwentów prawa z Hastings College razem wzięty. Co nawiasem mówiąc, brzmi dość zabawnie, jeśli to sobie wyobrazić.

Był bardziej elokwentny, niż Dance się spodziewała. I inteligentniejszy.

Przed tygodniem Daniel Raymond Pell, odsiadujący w Capitolu wyrok dożywotniego więzienia za zamordowanie w 1999 roku Williama Croytona, jego żony i dwojga dzieci, próbował przekupić więźnia wychodzącego niebawem na wolność, żeby załatwił dla niego pewną sprawę. Pell powiedział mu, że przed laty wrzucił do studni w Salinas dowody i niepokoi się, że te przedmioty mogą go wplątać w niewyjaśnione morderstwo bogatego właściciela farmy. Czytając niedawno o modernizacji wodociągów w Salinas, przypomniał sobie studnię i zaczął się obawiać, że dowody zostaną odkryte. Chciał, aby kompan zza krat odnalazł je i się ich pozbył.

Okazało się jednak, że Pell zwerbował niewłaściwego człowieka. Zwalniany więzień wyśpiewał wszystko naczelniczce, która zadzwoniła do biura szeryfa okręgu Monterey. Policjanci zastanawiali się, czy Pell mówił o niewyjaśnionym morderstwie farmera Roberta Herrona, pobitego na śmierć przed dziesięciu laty.

Narzędzia zbrodni, prawdopodobnie młotka ciesielskiego, nigdy nie znaleziono.

Biuro szeryfa wysłało ludzi, aby przeszukali wszystkie studnie w tej części miasta.

Jak się można było spodziewać, funkcjonariusze znaleźli podartą koszulkę, młotek ciesielski i pusty portfel z wytłoczonymi inicjałami R. H. Dwa z odcisków palców na młotku należały do Pella.

Prokurator okręgowy w Monterey postanowił przedstawić sprawę wielkiej ławie przysięgłych w Salinas i poprosić agentkę Kathryn Dance, aby przesłuchała Pella w nadziei, że ten przyzna się do winy.

Dance rozpoczęła przesłuchanie, pytając:

– Jak długo mieszkał pan w okolicy Monterey?

Wyglądał na zaskoczonego, że nie zaatakowała od razu i nie zaczęła wymuszać na nim zeznań.

– Kilka lat.

– Gdzie?

– W Seaside. – Było to trzydziestotysięczne miasto na północ od Monterey, przy autostradzie numer 1, zamieszkane przede wszystkim przez młode rodziny robotnicze i emerytów. – Można tam więcej kupić za ciężko zarobione pieniądze –

wyjaśnił. – Znacznie więcej niż w pani luksusowym Carmel. – Utkwił wzrok w jej twarzy.

Wysławia się poprawnie, zauważyła, ignorując jego próbę wysondowania, gdzie mieszka.

Dance wypytywała dalej o jego życie w Seaside i w więzieniu, przez cały czas uważnie go obserwując: jak się zachowuje podczas zadawania pytań i jak się zachowuje podczas odpowiadania. Nie zamierzała w ten sposób uzyskać informacji

– odrobiła zadanie domowe i z góry znała każdą odpowiedź – ale chciała ustalić wzorzec typowego zachowania.

Podczas wykrywania kłamstw przesłuchujący biorą pod uwagę trzy czynniki: zachowania niewerbalne (mowę ciała, czyli kinezykę), zachowania werbalne (wysokość głosu, pauzy przed udzieleniem odpowiedzi) oraz treść wypowiedzi (co podejrzany mówi). Dwie pierwsze kategorie zachowań stanowią znacznie wiarygodniejsze oznaki fałszu, ponieważ o wiele łatwiej panować nad tym, co się mówi, niż nad tym, jak się mówi i jak nasze ciało reaguje na wypowiedziane przez nas słowa.

Typowe zachowanie to katalog stałych reakcji obserwowanych u przesłuchiwanego, który mówi prawdę. Przesłuchujący porównuje ów wzorzec z zachowaniem swojego rozmówcy w chwili, gdy ten ma powód, by skłamać. Każde odchylenie od normy wskazuje na fałsz.

Wreszcie Dance, znając już profil reakcji prawdomównego Daniela Pella, przystąpiła do sedna misji, jaką miała wypełnić tego mglistego czerwcowego poranka w nowoczesnym i sterylnym gmachu sądu.

– Chciałabym zadać panu kilka pytań na temat Roberta Herrona.

Spojrzenie Pella prześliznęło się po niej, dokonując subtelniejszych oględzin: na chwilę zatrzymał wzrok na naszyjniku z masy perłowej dzieła jej matki, potem zerknął na szyję. Następnie na krótkie, polakierowane na różowo paznokcie. Na pierścionek z szarą perłą, który nosiła na serdecznym palcu, popatrzył dwa razy.

– Jak pan poznał Herrona?

– Przypuszcza pani, że go znałem. Otóż nie, nigdy w życiu go nie spotkałem.

Przysięgam.

Ostatnie słowo było wyraźnym sygnałem kłamstwa, lecz z mowy jego ciała nie można było wyczytać żadnych oznak świadczących, że Pell mówi nieprawdę.

– Powiedział pan jednak więźniowi w Capitoli, żeby poszedł do studni i poszukał tam młotka i portfela.

– Nie. To on powiedział tak naczelnicze. – Pell posłał jej kolejny rozbawiony uśmiech. – Z nim pani może o tym porozmawiać. Ma pani bystre oko, agentko Dance. Widziałem, jak mi się pani przyglądała, że by sprawdzić, czy mówię szczerze. W jednej chwili zorientowałaby się pani, że facet kłamie, idę o zakład.

Nie reagując na tę uwagę, pomyślała, że podejrzani bardzo rzadko zdają sobie sprawę z faktu, iż są poddawani analizie kinezycznej.

– Wobec tego skąd wiedział o dowodach w studni?

– Och, łatwo się domyślić. Ktoś ukradł mój młotek, zabił nim Herrona i podrzucił go, żeby mnie wplątać w tę robotę. Zrobił to w rękawiczkach. Takich gumowych, jak noszą wszyscy w „Kryminalnych za gadkach Las Vegas”.

Ciągle opanowany. Żaden szczegół mowy ciała nie odbiegał od jego typowego zachowania. Pell posługiwał się jedynie emblematami – gestami powszechnie zastępującymi słowa, takimi jak wzruszanie ramionami i wskazywanie palcem. Nie dostrzegła adaptatorów, które sygnalizują stres, ani wskaźników emocji –

zachowań ujawniających stany uczuciowe.

– Ale gdyby morderca chciał to zrobić – zauważyła Dance – chyba od razu zadzwoniłby na policję i powiedział, gdzie jest młotek, prawda? Po co miałby czekać ponad dziesięć lat?

– Przypuszczam, że chciał być cwany. Lepiej było czekać na odpowiedni moment. A potem zastawić na mnie pułapkę.

– Dlaczego jednak prawdziwy morderca zawiadomił więźnia w Capitoli?

Czemu nie zwrócił się bezpośrednio do policji?

Chwila wahania. I śmiech. W jego błękitnych oczach błysnęło podniecenie, które wydawało się autentyczne.

– Bo też jest w to zamieszana. Policja. Na pewno... Gliny wiedzą, że sprawa Herrona nie została rozwiązana i chcą zrzucić na kogoś winę. Dlaczego nie na mnie? Przecież już jestem w pudle. Idę o zakład, że to sami gliniarze podrzucili młotek.

– Zatrzymajmy się na tym. Mówi pan dwie różne rzeczy. Najpierw, że ktoś ukradł pana młotek, zanim Herron został zamordowany, zabił go i dopiero teraz, po tylu latach, postanowił pana wsypać. A druga wersja brzmi tak, że to policja zdobyła pański młotek już po morderstwie Herrona i podrzuciła go w studni, żeby zrzucić winę na pana. Jedno przeczy drugiemu. Którą wersję pan wybiera?

– Hm. – Pell zastanawiał się przez kilka sekund. – No dobrze, drugą. Z policją.

To zasadzka. Jestem pewien, że chcą mnie wrobić.

Spojrzała mu prosto w oczy – zieleń przeniknęła błękit. Życzliwie skinęła głową.

– Zastanówmy się nad tym. Po pierwsze, skąd policja miałaby wziąć ten młotek?

Pomyślał przez chwilę.

– Kiedy aresztowali mnie za tę sprawę w Carmel.

– Morderstwo Croytonów w dziewięćdziesiątym dziewiątym?

– Zgadza się. Wszystkie dowody zabrali z mojego domu w Seaside.

Dance zmarszczyła brwi.

– Wątpię. Dowodów za dobrze się pilnuje. Nie, wybrałabym bardziej wiarygodny scenariusz: sądzę, że młotek skradziono niedawno. Gdzie jeszcze ktoś mógłby znaleźć pański młotek? Ma pan w stanie jakąś nie ruchomość?

– Nie.

– A krewnych czy przyjaciół, którzy mogliby mieć pańskie narzędzia?

– Właściwie nie.

Nie była to jednoznaczna odpowiedź na proste pytanie; bardziej wykrętna niż

„nie przypominam sobie”. Dance zauważyła, że przy słowie „krewnych” Pell położył na stole dłonie o długich i czystych paznokciach. Gest odbiegał od jego typowego zachowania. Niekoniecznie sygnalizował kłamstwo, lecz wyraźnie świadczył, że Pell przeżywa stres. Pytania wzbudziły w nim niepokój.

– Danielu, czy ma pan rodzinę w Kalifornii?

Po krótkim wahaniu, słusznie dochodząc do wniosku, że ma do czynienia z osobą, która przeświecili na wylot każdą uwagę, powiedział:

– Została tylko ciotka. Mieszka w Bakersfield.

– Nosi nazwisko Pell?

Kolejna pauza.

– Tak... Chyba ma pani rację, agentko Dance. Założę się, że policja szeryfa, kiedy nie udała jej się sprawa Herrona, wykradła młotek z jej domu i podrzuciła go do studni. To oni za tym stoją. Może z nimi pani porozmawia?

– No dobrze. Zastanówmy się nad portfelem. Skąd mógł się wziąć?... Mam myśl. A jeżeli to w ogóle nie jest portfel Roberta Herrona? Jeżeli ten zły gliniarz, o którym mówimy, po prostu kupił portfel, kazał wytłoczyć w skórze inicjały R. H., a potem razem z młotkiem ukrył go w studni? To się mogło zdarzyć w zeszłym miesiącu. Albo na wet w zeszłym tygodniu. Co pan o tym sądzi, Danielu?

Pell opuścił głowę – nie widziała jego oczu – i nie odpowiedział.

Wszystko toczyło się zgodnie z jej planem.

Dance zmusiła go, by wybrał bardziej wiarygodną wersję wydarzeń na dowód swojej niewinności, a następnie wykazała, że w ogóle nie jest wiarygodna. Żadna rozsądna ława przysięgłych nie uwierzyłaby w to, że policja sfabrykowała dowody i wykradła narzędzia z domu setki kilometrów od miejsca zbrodni. Pell zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. Właśnie wpadał w potrzask.

Szach i mat...

Serce zabiło jej mocniej. Spodziewała się, że za chwilę usłyszy z jego ust propozycję ugody.

Ale się myliła.

Pell otworzył oczy i utkwiał w niej nienawistne spojrzenie. Całym ciałem rzucił się w jej stronę i gdyby nie łańcuchy przykuwające go do metalowego krzesła, które było przyśrubowane do podłogi, zatopiłby zęby w jej szyi.

Odsunęła się raptownie, tłumiąc okrzyk zaskoczenia.

– Przeklęta dziwko! Och, już rozumiem. Ty też jesteś z nimi w zмовie! Jasne, jasne, trzeba wszystko zwalić na Daniela. Zawsze moja wina! Łatwy ze mnie cel.

Przychodzisz porozmawiać ze mną jak z dobrym znajomym, zadajesz parę pytań.

Chryste, jesteś taka sama jak cała reszta!

Poczuła, jak serce wali jej ze strachu. Szybko się jednak przekonała, że kajdanki są dobrze umocowane i Pell nie może jej dosięgnąć. Odwróciła się do lustra, za którym funkcjonariusz obsługujący kamerę z pewnością zerwał się na równe nogi, gotów przybiec na pomoc. Lekko pokręciła głową. Musiała zobaczyć, jak to się skończy.

Nieoczekiwanie atak wściekłości minął i Pell w mgnieniu oka odzyskał spokój.

Odchylił się na krzesło, odetchnął i znów przyjrzał się Dance.

– Ma pani trzydzieści kilka lat. Jest pani nawet trochę ładna. Wygląda mi pani na normalną, więc mogę dać głowę, że w pani życiu jest mężczyzna. Albo był. –

Trzeci raz zerknął na pierścionek z perłą.

– Jeśli nie podoba się panu moja teoria, rozważmy inną. Zastanów my się, co się naprawdę stało z Robertem Herronem.

Jak gdyby w ogóle jej nie słysząc, ciągnął:

– I ma pani dzieci, prawda? Na pewno. Nie da się ukryć. Proszę mi coś o nich powiedzieć. Proszę mi opowiedzieć o swoich pociechach. Nie wielka różnica wieku, założę się, że nie są zbyt duże.

Jego słowa wytrąciły ją z równowagi i natychmiast pomyślała o Maggie i Wesie. Ale ze wszystkich sił starała się nie reagować. Przecież nie wie, że mam dzieci. Niemożliwe. A zachowuje się, jakby był tego pewien. Czyżby zauważył coś w moim zachowaniu? Coś, co mu powiedziało, że jestem matką?

Przyglądają się nam równie uważnie jak my im...

– Niech pan posłucha, Danielu – odrzekła, panując nad głosem. – Gniew w niczym nie pomoże.

– Za murami mam przyjaciół. Są mi co nieco winni. Chętnie złożą pani wizytę.

Albo pochodzą za pani mężem i dziećmi. Tak, ciężko jest być gliną. Pociechy dużo czasu spędzają same, prawda? Na pewno bardzo by się ucieszyły, gdyby ktoś chciał się z nimi pobawić.

Dance bez drgnienia powieki wytrzymała jego spojrzenie.

– Mógłby mi pan opowiedzieć o swoich związkach z tym więźniem w Capitolu?

– Owszem, mógłbym. Ale nie opowiem. – W jego beznamytnym głosie zabrzmiała nutka kpiny, jak gdyby dawał jej do zrozumienia, że jak na profesjonalistkę niezbyt starannie sformułowała pytanie. Cicho dodał: – Chyba powinienem już wrócić do celi.

## **Rozdział 2**

Alonzo „Sandy” Sandoval, prokurator okręgu Monterey, był przystojnym, zażywnym mężczyzną o bujnych czarnych włosach i sumiastym wąsie. Siedział w swoim gabinecie piętro nad aresztem, przy zasłanym dokumentami biurku.

– Cześć, Kathryn. I jak tam nasz gagatek... walnął się w pierś, krzyząc *mea culpa!*

– Niezupełnie. – Dance usiadła, zaglądając do kubka z kawą, który zostawiła na biurku. Powierzchnię pokrył kozuch śmietanki w proszku. – Oceniam to... chyba jako jedno z najmniej udanych przesłuchań wszech czasów.

– Wyglądasz na nieźle rozdygotaną, szefowo – odezwał się niewysoki, lecz mocno zbudowany młody człowiek o piegowatej twarzy i kręconych rudych włosach, ubrany w dżinsy, T-shirt i kraciastą kurtkę sportową. Strój TJ-a można było uznać za niekonwencjonalny jak na agenta CBI – Biuro Śledcze Kalifornii uchodziło za najbardziej konserwatywną instytucję organów ścigania w stanie – ale prawie wszystko w nim było niekonwencjonalne. TJ Scanlon miał około trzydziestki, mieszkał sam na wzgórzach Carmel Valley, a jego rozpadający się dom przypominał dioramę z muzeum kontrykultury przedstawiającą życie w Kalifornii w latach sześćdziesiątych. TJ wolał pracować samotnie, prowadząc w pojedynkę obserwacje i operacje pod przykryciem, mimo że według standardów biura większość zadań wykonywały pary agentów. Ale stały partner Dance wyjechał właśnie do Meksyku w sprawie ekstradycji, więc TJ skwapliwie skorzystał z okazji, by zobaczyć Syna Mansona.

– Nie jestem rozdygotana. Raczej zaciekawiona. – Opowiedziała, że do pewnego momentu przesłuchanie przebiegało dobrze, gdy nagle Pell ją zaatakował.

Zauważywszy sceptyczne spojrzenie TJ-a, przyznała: Zgoda, może jestem odrobinę rozdygotana.



Już nieraz słyszałam groźby.

Ale on groził mi w najgorszy sposób.

Najgorszy? zainteresował się młody Juan Millar, wysoki i śniady detektyw z MCSO – Biura Szeryfa Okręgu Monterey – którego siedziba znajdowała się niedaleko sądu.

– Groził mi spokojnie – wyjaśniła Dance.

– Groził ci wesoło – uzupełnił TJ. – Kiedy przestają wrzeszczeć i zaczynają mówić szeptem, wiadomo, że szykują się kłopoty.

*Pociechy dużo czasu spędzają same...*

– Co się stało? – zapytał Sandoval, najwyraźniej bardziej przejmując się postępami prowadzonej przez siebie sprawy niż groźbami pod adresem Dance.

– Kiedy zaprzeczył, że zna Herrona, nie zauważyłam żadnych objawów stresu.

Dopiero gdy go zmusiłam, żeby opowiedział o policyjnym spisku, zaczął okazywać niechęć i sprzeciw. I wykonywać ruchy rękami, niezgodne z wzorcem.

Kathryn Dance często nazywano żywym wykrywaczem kłamstw, lecz nie było to precyzyjne określenie; w rzeczywistości, podobnie jak wszyscy wybitni eksperci w dziedzinie analizy mowy ciała i przesłuchiwania, potrafiła wykryć pojawienie się stresu. To był klucz do kłamstwa; gdy dostrzegła oznaki stresu, zaczynała drążyć temat, który wywołał reakcję u przesłuchiwanego, dopóki nie udało się jej go złamać.

Analitycy języka ciała wyróżniają kilka typów reakcji na stres. Główną przyczyną wielu reakcji stresowych jest zatajanie prawdy. Dance nazywała to

„stresiem fałszu”. Ale ludzie doświadczają także innego rodzaju stresu, pojawiającego się w chwilach zdenerwowania lub niepokoju, który nie ma nic wspólnego z kłamstwem. Wszyscy odczuwamy taki stan, gdy na przykład spóźniamy się do pracy, musimy powiedzieć coś publicznie albo boimy się fizycznego bólu. Dance odkryła kiedyś, że różne reakcje kinezyczne sygnalizują dwa różne rodzaje stresu.

Wyjaśnwszy to, dodała:

– Miałam wrażenie, jak gdyby stracił kontrolę nad rozmową i nie po trafił jej odzyskać. Dlatego się wkurzył.

– Mimo że to, co mówiłaś, przemawiało na jego korzyść? – Chudy Juan Millar w roztargnieniu podrapał się po rękę. Na skórze między kciukiem a palcem wskazującym widniała blizna, pozostałość po usuniętym tatuażu gangu.

– Właśnie.

Nagle wykonała jeden ze swoich tajemniczych przeskoków myślowych. Od punktu A i B do X. Nie potrafiła wyjaśnić, jak to się działo, ale nigdy ich nie lekceważyła.

Gdzie zamordowano Roberta Herrona? – Podeszła do mapy okręgu Monterey wiszącej w gabinecie Sandovala.

– Tutaj. – Prokurator pokazał rejon zakreślony żółtym trapezem.

– A studnia, gdzie znaleźli młotek i portfel?

– Mniej więcej tutaj.

Pół kilometra od miejsca zbrodni, w dzielnicy mieszkaniowej. Dance wpatrywała się w mapę. Poczła na sobie wzrok TJ-a.

– Co jest, szefowo?

– Mamy fotografię studni? – zapytała.

Sandoval poszperał w teczce.

– Ludzie Juana z kryminalistyki zrobili masę zdjęć.

– Technicy z osłej ławki lubią swoje zabawki – rzekł Millar. W ustach takiego harcerza wierszyk zabrzmiał nieco dziwnie. – Gdzieś to usłyszałem – wyjaśnił z nieśmiałym uśmiechem.

Prokurator wyciągnął plik kolorowych zdjęć, przejrzał je i znalazł te, których szukał.

Oglądając je, Dance zwróciła się do TJ-a:

– Pamiętasz, prowadziliśmy tam sprawę jakieś sześć, osiem miesięcy temu.

– Jasne, podpalenie. Na tym nowym osiedlu.

Stukając w punkt na mapie, gdzie znajdowała się studnia, Dance ciągnęła:

– Budowa osiedla jeszcze się nie skończyła. A to... – wskazała na fotografię –

...jest studnia wiercona w litej skale.

Wszyscy w okolicy wiedzieli, że w tym rejonie Kalifornii woda jest dobrem deficytowym, więc studnie wiercone w skałach, jako niezbyt pewne i nisko wydajne źródło, nigdy nie były wykorzystywane do nawadniania upraw – tylko przez prywatnych użytkowników.

– Cholera. – Sandoval przymknął oczy. – Dziesięć lat temu, kiedy za mordowano Herrona, tam były tylko pola. Tej studni nie mogło wtedy być.

– Nie było jej nawet rok temu – mruknęła Dance. – Dlatego Pell tak się zdenerwował. Prawie trafiłam w dziesiątkę – rzeczywiście ktoś wziął młotek z domu jego ciotki w Bakersfield, wytłoczył inicjały w portfelu, a potem podrzucił

obydwa dowody w studni. Tyle że wcale nie chciał go zrobić.

– Och, nie – szepnął TJ.

– Co? – spytał Millar, patrząc na dwójkę agentów.

– To Pell wszystko zainscenizował – powiedziała Dance.

– Po co? – zapytał Sandoval.

– Bo nie mógł uciec z Capitoli. – Więzienie, podobnie jak Pelican Bay na północy stanu, było supernowoczesnym zakładem karnym przeznaczonym dla najbardziej niebezpiecznych przestępców. – Ale stąd mógł.

Kathryn Dance rzuciła się w kierunku telefonu.

### **Rozdział 3**

Siedząc w specjalnej części aresztu – oddzielony od pozostałych więźniów –

Daniel Pell przyglądał się swojej celi i korytarzowi za kratą, który prowadził do gmachu sądu. Był na pozór zupełnie spokojny, ale wszystko w nim wrzało.

Przesłuchująca go policjantka napędziła mu porządnego stracha; te nieruchome zielone oczy za okularami w czarnych oprawkach, ten opanowany głos. Nie spodziewał się, że komuś może się udać go przejrzeć tak dogłębnie i tak szybko.

Jak gdyby czytała mu w myślach.

Kathryn Dance...

Pell odwrócił się do Baxtera, strażnika stojącego za kratami. Przyzwoity klawisz, w przeciwieństwie do draba eskortującego go z Capitoli, czarnego i nieczułego jak heban, który w milczeniu siedział teraz przy drzwiach w głębi korytarza, czujnie wszystko obserwując.

– No więc, jak mówiłem – podjął rozmowę z Baxterem Pell – po mógł mi Jezus. Doszedłem do trzech paczek dziennie. A On znalazł dla mnie czas i mi pomógł. Rzuciłem prawie z dnia na dzień.

– Przydałaby mi się taka pomoc – wyznał klawisz.

– Mówię ci, trudniej było rzucić fajki niż wodę – zwierzył się Pell.

– Próbowałem plastrów, takich na rękę. Niewiele mi to dało. Może jutro pomodłę się o pomoc.

Razem z żoną modlimy się codziennie rano.

Pell nie był zaskoczony. Widział znaczek wpięty w klapę jego munduru. W kształcie ryby.

– Świetnie.

– W zeszłym tygodniu zapodziały mi się kluczyki do samochodu i modliliśmy się przez godzinę.

Jezus powiedział mi, gdzie są. Wiesz co, Daniel, mam myśl: będziesz tu w czasie procesu. Jak chcesz, moglibyśmy się modlić razem.

Chętnie. Zadzwoił telefon Baxtera.

Chwilę potem rozległ się raniący uszy jazgot alarmu.

– Co jest, do cholery?

Strażnik z Capitoli zerwał się na równe nogi.

W tym samym momencie na parkingu buchnęła ogromna kula ognia. Przez okratowane, lecz otwarte okno w głębi celi do wnętrza bluznęły płomienie.

Pomieszczenie wypełnił ciężki czarny dym. Pell padł na podłogę i zwinął się w kłębek.

– Wielki Boże.

Baxter stał jak wryty, wpatrując się w pożar ogarniający cały parking za budynkiem sądu. Chwycił telefon, ale widocznie nie było sygnału. Zerwał z pasa walkie-talkie i zgłosił wybuch pożaru.

Daniel Pell pochylił głowę i półgłosem zaczął odmawiać „Ojcze nasz”.

– Ej, Pell!

Więzień otworzył oczy.

Zwalisty strażnik z Capitoli stał obok, trzymając paralizator Taser. Rzucił

Pellowi kajdanki na nogi.

– Załóż je. Pójdziemy przez korytarz do drzwi, a potem prosto do furgonetki.

Masz... – Do celi znów wdarły się płomienie. Trzej mężczyźni skulili się na ten widok. Na zewnątrz eksplodował kolejny bak samo chodu. – Masz się trzymać blisko mnie, rozumiano?

– Tak, pewnie. Chodźmy! Proszę! – Pospiesznie zatrzaskał kajdanki na kostkach.

Spocony Baxter zapytał załamującym się głosem:

– Co to może być? Terrorysty?

Strażnik z Capitoli nie zwracał uwagi na przerażonego klawisza, nie spuszczał Pełła z oczu.

– Jeżeli nie zrobisz grzecznie tego, co mówię, dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy woltów w dupę. – Wycelował w więźnia paralizator. – A jak będziesz za ciężki, żeby cię nieść, zostawię cię tu i spalisz się żywcem. Zrozumiano?

– Tak, tak. Chodźmy już, błagam. Nie chcę, żeby przeze mnie coś się stało panu albo panu Baxterowi. Zrobię, co pan zechce.

– Otwieraj – burknął strażnik do Baxtera, który wcisnął przycisk. Rozległ się brzęczyk zwalniający zamek drzwi celi. Wszyscy trzej pode szli do drugiej elektrycznie otwieranej furty, a potem ruszyli ciemnym, coraz bardziej zadymionym korytarzem. Wciąż wył alarm.

Zaraz, zaraz, pomyślał Pell. To przecież drugi alarm – pierwszy włączył się jeszcze przed wybuchami. Czyżby ktoś się domyślił, co zamierza zrobić?

Kathryn Dance...

Gdy mijali drzwi pożarowe, Pell zerknął przez ramię. Korytarz wypełniał się gryzącym dymem.

– Już za późno! – krzyknął do Baxtera. – Spali się cały budynek! Musimy się stąd wydostać!

– Ma rację. – Baxter sięgnął do sztaby blokującej wyjście awaryjne.

Niewzruszony strażnik z Capitoli rzekł stanowczo:

– Nie. Do głównego wyjścia i prosto do furgonetki.

– Oszalał pan! – warknął Pell. – Na miłość boską, wszyscy zginiemy. – Pchnął drzwi pożarowe.

Uderzył ich podmuch żaru, dymu i iskier. Ujrzeni ścianę ognia trawiącą samochody, krzewy i kubły na śmieci. Pell osunął się na kolana, zasłaniając rękami twarz.

– Moje oczy! Boże, jak boli!

– Pell, niech cię szlag... – Strażnik zrobił krok w jego stronę, unosząc paralizator.

– Odłóż to. Przecież nigdzie nie ucieknie – powiedział ze złością Baxter. – Jest ranny.

– Nic nie widzę – jęczał Pell. – Niech mi ktoś pomoże!

Baxter pochylił się nad nim.

– Nie! – wrzasnął eskortujący więźnia strażnik.

Nagle klawisz z aresztu okręgowego zatoczył się do tyłu, a na jego twarzy odbiło się bezbrzeżne zdumienie, gdy Pell zaatakował nożem do ryb jego brzuch i pierś. Krwawiąc obficie, Baxter opadł na kolana, usiłując sięgnąć po miotacz gazu pieprzowego. Pell złapał go za ramiona i obrócił dokładnie w chwili, gdy rosły strażnik strzelił z paralizatora. Elektrody chybiły celu.

Pell odepchnął Baxtera na bok i przyskoczył do strażnika. Mężczyzna zamarł, wpatrując się w nóż i ściskając w opuszczonej ręce bezużyteczny paralizator.

Niebieskie oczy Pella uważnie śledziły jego czarną twarz pokrytą kropelkami potu.

– Daniel, nie rób tego.

Pell ruszył naprzód.

Strażnik zwinął wielkie dłonie w pięści.

– No dobra, sam chciałeś.

Nie było sensu nic mówić. Ten, kto ma władzę, nie musi poniżać, grozić ani kpić. Pell rzucił się na strażnika, uchylając się od uderzeń, i zadał mu kilkanaście ciosów, trzymając w zaciśniętej pięści nóż skierowany ostrzem w dół. To był

najskuteczniejszy sposób w walce z silnym przeciwnikiem, który był gotów się bronić.

Strażnik padł na bok z twarzą wykrzywioną bólem, wstrząsany drgawkami.

Trzymał się za pierś i szyję. Po chwili przestał się poruszać. Pell chwycił kluczyki i wyswobodził się z kajdanek.

Baxter próbował się odczołgać, usiłując wyciągnąć ociekającymi krwią palcami gaz łzawiący z uchwytu na pasie. Kiedy Pell podszedł do niego, szeroko otworzył oczy.

– Proszę, nic mi nie rób. Obaj jesteśmy dobrymi chrześcijanami! Przecież dobrze cię traktowałem, mówiłem...

Pell złapał go za włosy. Miał ochotę krzyknąć: Marnowałeś czas Pana Boga, modląc się o kluczyki do samochodu?

Ale nie należy poniżać, grozić ani kpić. Pell pochylił się i jednym precyzyjnym ruchem poderznął mu gardło.

Kiedy Baxter już nie żył, Pell ponownie zbliżył się do drzwi. Przysłaniając oczy, wyciągnął rękę

do ukrytej za nimi metalizowanej ognioodpornej torby, gdzie miał schowany nóż.

Znów sięgał do środka, gdy nagle poczuł na szyi lufę pistoletu.

– Nie ruszaj się.

Pell znieruchomiał.

– Rzuć nóż.

Chwila wahania. Broń ani drgnęła; Pell wyczuł, że człowiek za jego plecami nie zawaha się pociągnąć za spust. Westchnął przez zęby. Nóż wylądował ze stukiem na podłodze. Pell spojrzał na funkcjonariusza – młodego Latynosa, który nie odrywając od niego wzroku, uniósł do ust radio.

– Tu Juan Millar. Kathryn, jesteś tam?

– Mów – zatrzeszczał w głośniku kobiecy głos.

*Kathryn...*

– Jedenaście dziewięć dziewięć, potrzebna natychmiastowa pomoc przy wyjściu awaryjnym na parterze, zaraz za aresztem. Mam dwóch rannych strażników. Stan poważny. Powtarzam, jedenaście...

W tym momencie eksplodował bak samochodu zaparkowanego najbliżej wyjścia. Zza drzwi strzeliły pomarańczowe płomienie.

Funkcjonariusz odruchowo zrobił unik.

Pell nie. Mimo że zapaliła mu się broda i ogień liznął go w policzek, nie cofnął się ani o krok.

*Trzymać się...*

#### **Rozdział 4**

Kathryn Dance wołała do mikrofonu motoroli: – Juan, gdzie jest Pell?... Juan, odezwij się. Co się tam dzieje?

Żadnej odpowiedzi.

Wezwanie „jedenaście dziewięć dziewięć” pochodziło z kodu używanego przez policję drogową, lecz znali je wszyscy stróże prawa w Kalifornii. Oznaczało, że nadający komunikat funkcjonariusz potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Jednak po sygnale alarmowym Millar już się nie odezwał.

Do gabinetu zajrzał szef ochrony sądu, siwy, ostrzyżony najeża były policjant.

– Kto prowadzi poszukiwania? Kto dowodzi?

Sandoval zerknął na Dance.

– Masz wyższy stopień.

Dance nigdy nie miała do czynienia z podobną sytuacją – ani z eksplozją bomby zapalającej, ani z ucieczką mordercy takiego jak Daniel Pell – ale nie знаła na półwyspie nikogo, kto miałby takie doświadczenia. Mogła koordynować przebieg akcji, dopóki dowodzenia nie przejmie ktoś z biura szeryfa albo policji stanowej. Najważniejsze, by działać szybko i zdecydowanie.

– W porządku – powiedziała i poleciła szefowi ochrony natychmiast wysłać pozostałych strażników na dół i do drzwi, którymi wychodzili ludzie.

Z zewnątrz dobiegały krzyki. Tupot nóg w korytarzu. Gorączkowo nadawano komunikaty radiowe.

– Popatrz – rzekł TJ, ruchem głowy wskazując okno, za którym czarny dym przesłaniał już wszystko. – O rany...

Mimo pożaru, który mógł już szaleć wewnątrz budynku, Kathryn Dance postanowiła zostać w gabinecie Alonza Sandovala. Nie zamierzała tracić czasu na przenosiny w inne miejsce czy

ewakuację. Jeżeli ogień ogarnął już gmach sądu, będą mogli wyskoczyć przez okna na dachy samochodów stojących na parkingu od frontu, trzy metry niżej. Jeszcze raz spróbowała połączyć się z Juanem Millarem –

nie odbierał telefonu i nie odpowiadał na wezwanie radiowe – a potem zwróciła się do szefa ochrony:

– Musimy przeszukać cały budynek pokój za pokojem.

– Tak jest. – Mężczyzna biegiem opuścił gabinet.

– Na wypadek, gdyby udało mu się uciec, trzeba zablokować drogi –

powiedziała do TJ-a. Zdjęła marynarkę i rzuciła ją na krzesło. Pod pachami wykwitły już plamy potu. – Tu, tui tu... – Głośno stuknęła krótki mi paznokciami w zalaminowaną mapę Salinas. Patrząc na wskazywane przez nią miejsca, TJ zaczął

dzwonić do Highway Patrol – kalifornijskiej policji stanowej – oraz do biura szeryfa.

Prokurator Sandoval z ponurą miną wpatrywał się nieruchomo w zasnuty dymem parking. W szybie odbiły się migające światła ostrzegawcze. Sandoval milczał. Słyszeli nowe komunikaty. Nikt w budynku nie natrafił na ślad Pella.

Ani na ślad Juana Millara.

Kilka minut później wrócił szef ochrony sądu. Miał osmoloną twarz i gwałtownie kaszłał.

– Pożar opanowany. Pali się właściwie tylko na zewnątrz. Ale, Sandy... – dodał

drżącym głosem – muszę ci powiedzieć. Jim Baxter nie żyje. Tak samo strażnik z Capitoli. Obaj zakłuci. Wygląda na to, że Pell wytrzasnął skądś nóż.

– Nie – wyszeptał Sandoval. – Och, nie.

– A Millar? – odezwała się Dance.

– Nie wiadomo. Może jest zakładnikiem. Znaleźliśmy radio. Przy puszczam, że to jego. Ale nie mamy pojęcia, dokąd poszedł Pell. Ktoś otworzył wyjście awaryjne z tyłu, ale jeszcze parę minut temu wszędzie tam szalał ogień. Nie mógł tamtędy wyjść. Mógł tylko próbować uciekać przez budynek, a w więziennym kombinezonie zaraz ktoś by go zauważył.

– Chyba że przebrał się w garnitur Millara – powiedziała Dance.

TJ spojrział na nią z niepokojem; oboje domyślili się, jakie mogą być konsekwencje takiego scenariusza.

– Proszę poinformować wszystkich, że może być ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę. –

Millar był znacznie wyższy od Pella. – I za pewne ma podwinięte nogawki dodała.

Szef ochrony wcisnął guzik nadajnika i przesłał komunikat.

Unosząc wzrok znad telefonu, TJ zawołał:

– Samochody Monterey dojeżdżają na stanowiska. – Wskazał na mapę. –

Stanowa wysłała sześć radiowozów i motocykli. Za piętnaście minut powinni zamknąć główne autostrady.

Na szczęście dla nich Salinas było niewielkim miastem – zamieszkanym przez około stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców – i znanym ośrodkiem rolniczym (nazywano je „Salaterką Kraju”). Miasto otaczały rozległe pola sałaty, brukselki, szpinaku, karczochów i krzewów owocowych, co oznaczało, że liczba dróg i autostrad była ograniczona. A gdyby Pell postanowił uciekać pieszo, wśród niskich upraw byłby widoczny jak na dłoni.

Dance poleciła TJ-owi przesłać zdjęcia Pella do funkcjonariuszy biura szeryfa i policji stanowej na blokadach.

Co jeszcze mogła zrobić? Zaciśnęła palce na warkoczach zawiązanych czerwonym elastycznym opaską, którą dziś rano opłótła jej włosy energiczna ręka córki. Była to już tradycja: co dzień rano Maggie musiała wybrać dla matki kolor gumki, frotki czy wstążki. Agentka przypomniawszy sobie roziskrzony brązowy wzrok córki za okularami w drucianych oprawkach, kiedy mała opowiadała jej o tym, co się będzie działo tego dnia na obozie muzycznym i co powinni podać na jutrzejszym przyjęciu urodzinowym ojca Dance. (Zdała sobie sprawę, że zapewne wtedy Wes ukradkiem wsunął jej do torebki pluszowego nietoperza).

Przypomniała też sobie, jak tego ranka niecierpliwie czekała na przesłuchanie legendarnego przestępcy.

Syna Mansona...

Zatrzeszczało radio szefa ochrony. Odezwał się czyjś rozgorączkowany głos:

– Mamy rannego. Poważnie rannego. To ten detektyw z biura szeryfa. Zdaje się, że Pell popchnął go prosto w ogień. Ratownicy wezwali helikopter. Jest już w drodze.

Nie, nie... Dance i TJ wymienili spojrzenia. W jego zawsze figlarnych oczach odmalowało się przerażenie. Dance przypuszczała, że Millar musi okropnie cierpieć, ale musiała się dowiedzieć, czy może ich naprowadzić na trop Pella.

Głową wskazała radio. Szef ochrony podał jej aparat.

– Tu agentka Dance. Czy detektyw Millar jest przytomny?

– Nie. Jest z nim... bardzo źle. – Głos umilkł.

– Czy jest ubrany?

– Czy... Proszę powtórzyć.

– Czy Pell zabrał ubranie Millara?

– Ach, nie, nie zabrał. Odbiór.

– Co z jego bronią?

– Nie ma broni.

Cholera.

– Proszę przekazać wszystkim, że Pell jest uzbrojony.

– Przyjąłem.

Przyszło jej do głowy coś jeszcze.

– Kiedy tylko wylądje helikopter ratowniczy, trzeba postawić przy nim funkcjonariusza. Pell może próbować załapać się na gapę.

– Przyjąłem.

Dance oddała radio szefowi ochrony. Wyciągnęła telefon i wcisnęła czwórkę.

– Kardiologia – powiedział cichy i łagodny głos Edie Dance.

– To ja, mamó.

– Co się stało, Katie? Coś z dziećmi? – Dance wyobraziła sobie wyraz niepokoju na wiecznie młodej twarzy swojej matki, krępej kobiety o krótkich siwych włosach, noszącej duże okrągłe okulary w szarych oprawkach. Edie na pewno natychmiast pochyliła się do przodu – tak wyglądała jej automatyczna reakcja w chwilach napięcia.

– Nie, u nas wszystko w porządku. Ale jeden z detektywów Michaela został poparzony. Bardzo poważnie. W sądzie doszło do podpalenia i ucieczki.

Szczegółów dowiesz się z wiadomości. Straciliśmy dwóch strażników.

– Och, tak mi przykro – odrzekła cicho Edie.

– Ten detektyw nazywa się Juan Millar. Spotkałaś go kilka razy.

– Nie pamiętam. Jest w drodze do nas?

– Niedługo będzie. Wiozą go helikopterem.

– Aż tak źle?

– Macie oddział oparzeniowy?

– Nieduży, część OIOM-u. Pewnie od razu przewieziemy go do Alta Bates, UC-Davis albo Santa Clara. Może do Centrum Grossmana.

– Możesz do niego zaglądać od czasu do czasu? I mówić mi, co z nim?

– Oczywiście, Katie.

Jeżeli to będzie możliwe, chciałabym z nim porozmawiać. Mógł widzieć coś, co może nam pomóc.

Jasne.

Nawet gdybyśmy szybko złapali zbiega, będę zajęta przez resztę dnia.

Mogłabyś odebrać dzieci albo poprosić tatę? Stuart Dance, emerytowany biolog morski, pracował dorywczo w sławnym oceanarium Monterey, ale jeśli było trzeba, zawsze był gotów przywieźć czy odwieźć dzieci.

– Już dzwonię.

– Dzięki, mamó.

Dance rozłączyła się i spojrzała na prokuratora Alonza Sandovala wpatrującego się tępo w mapę.

– Kto mu pomagał? – mruknął. – I gdzie jest Pell, do ciężkiej cholery?

Warianty tych dwóch pytań nurtowały też Kathryn Dance. Dręczyła ją jeszcze jedna myśl: Co mogłam zrobić, żeby lepiej wyczytać jego zamiar? Co mogłam zrobić, żeby zapobiec tej tragedii?

## **Rozdział 5**

Zahuczały łopaty śmigła, dym zawirował, tworząc fantazyjne wzory, i helikopter wystartował z parking, zabierając do szpitala Juana Millara.

*Vaya eon Dios...*

Zadzwoiła komórka. Dance zerknęła na ekran wyświetlacza. Zdziwiła się, że tak długo musiała czekać na ten telefon.

– Charles? – powiedziała do swojego szefa, agenta kierującego środkowozachodnim biurem terenowym CBI.

– Właśnie jadę do sądu, Kathryn. Jak wygląda sytuacja?

Zrelacjonowała mu przebieg wydarzeń, informując o ofiarach śmiertelnych i złym stanie Millara.

– Przykro mi to słyszeć... Są jakieś tropy, cokolwiek, co można im przekazać?

– Przekazać komu?

– Prasie.

– Nie wiem, Charles. Mamy niewiele informacji. Może być wszędzie.

Poleciłam zablokować drogi, przeczესujemy cały budynek.

– Nic konkretnego? Nie wiecie nawet, w którą stronę uciekł?

– Nie.

Overby westchnął.

– No dobrze. A propos, dowodzisz całą operacją.

– Co?

– Chcę, żebyś kierowała obławą.



– Ja? – zdumiała się. Oczywiście sprawa podlegała kompetencjom CBI; biuro miało najwyższą pozycję spośród wszystkich organów ścigania w stanie, a Kathryn Dance była starszym agentem; miała wszelkie kwalifikacje do nadzorowania sprawy. Mimo to CBI jako jednostka śledcza dysponowała dość szczupłym personelem. Ludzi do prowadzenia poszukiwań musiały zapewnić kalifornijska policja stanowa i biuro szeryfa.

– Dlaczego nie ktoś ze stanowej albo MCSO?

– Wydaje mi się, że powinniśmy centralnie koordynować akcję. To absolutnie logiczne. Poza tym klamka zapadła. Ze wszystkimi to uzgodniłem.

Już? Zastanawiała się, czy to był powód, dla którego tak długo zwlekał z telefonem – prowadził zabiegi, by CBI przejęło sprawę, o której na pewno będzie głośno w mediach.

Cóż, Dance nie zamierzała się przeciwstawiać jego decyzji. Miała osobiste powody, by złapać Pella.

Wciąż widziała jego obnażone zęby, słyszała jego złowróżbne słowa.

*Tak, ciężko jest być gliną. Pocięchy dużo czasu spędzają same, prawda? Na pewno bardzo by się ucieszyły, gdyby ktoś chciał się z nimi pobawić...*

– W porządku, Charles. Niech będzie. Ale chcę mieć w zespole Michaela.

Michael O’Neil był detektywem z biura szeryfa, z którym Dance współpracowała najczęściej. Od lat tworzyli tandem przy wielu wspólnych operacjach; O’Neil, człowiek o łagodnym głosie, od urodzenia mieszkający w Monterey, był jej przewodnikiem i nauczycielem, kiedy wstąpiła do Biura Śledczego Kalifornii.

– Zgoda.

To dobrze, pomyślała Dance. Bo już do niego zadzwoniła.

– Niedługo będę na miejscu. Przed konferencją prasową będę potrzebował dodatkowych szczegółów – rzekł Overby i się rozłączył.

Idąc w stronę budynku sądowego, Dance dostrzegła błyski. Rozpoznała należące do CBI forda taurusa z pulsującymi czerwonymi i niebieskimi światłkami na osłonie chłodnicy.

Rey Carraneo, najnowszy nabytek Biura, zaparkował samochód niedaleko i dołączył do niej. Szczupły mężczyzna o czarnych, głęboko osadzonych oczach, pracował w CBI od zaledwie dwóch miesięcy. Nie był jednak tak naiwny i niewyrobiony, na jakiego mógłby wyglądać, ponieważ zanim przeprowadził się z żoną na półwysep, by zająć się chorą matką, przez trzy lata służył w policji w Reno

– bardzo niebezpiecznym miejscu. Musiał się jeszcze wielu rzeczy nauczyć i nabrać doświadczenia, lecz był niestrudzonym i solidnym funkcjonariuszem. A to miało ogromne znaczenie.

Carraneo był młodszy od Dance tylko o sześć czy siedem lat, ale w życiu gliniarza były to ważne lata i nie mógł się przemóc, by zwracać się do niej

„Kathryn”, jak często proponowała. Zazwyczaj witał się z nią skinieniem głowy.

Teraz także z szacunkiem się uklonił.

– Chodź ze mną. – Przypomniawszy sobie o dowodach w sprawie Herrona i bombie benzynowej, Dance dodała: – Prawdopodobnie ma współnika, poza tym wiemy, że jest uzbrojony. Miej oczy otwarte.

Szli dalej w stronę tyłów gmachu sądu, gdzie zgłiszczą oglądali już śledczy i spece od zabezpieczania śladów z wydziału dochodzeniowego biura szeryfa.

Parking wyglądał jak po krwawej bitwie. Po czterech samochodach zostały tylko szkielety, dwa

inne były na wpół spalone. Mur budynku pokrywała sadza, kubły na śmieci stopiły się w ogniu. Nad placem unosił się obłok niebieskoszarego dymu.

Powietrze przesycił smród palonej gumy – i znacznie bardziej odrażająca woń.

Dance przyglądała się parkingowi. Potem jej wzrok padł na otwarte tylne wyjście.

– Nie ma mowy, żeby tędy uciekł – rzekł Carraneo, wypowiadając jej myśl. Z

widoku zniszczonych samochodów i śladów spalenizny na jezdni można było odgadnąć, że ogień otaczał drzwi ze wszystkich stron; po żar wzniecono dla odwrócenia uwagi. Ale gdzie się podział Pełł?

– Zidentyfikowano samochody? – spytała jednego ze strażaków.

– Tak. Wszystkie należą do pracowników.

– Hej, Kathryn, mamy już bombę – odezwał się umundurowany mężczyzna.

Był komendantem straży pożarnej w okręgu.

Skinęła mu głową.

– Co to było?

– Duża torba na kółkach wyładowana plastikowymi butelkami po mleku, pełnymi benzyny.

Sprawca podłożył ją pod tamtego saaba. Wolnopalny lont.

– Zawodowiec?

– Najprawdopodobniej nie. Znaleźliśmy resztki lontu. Można go zrobić ze sznura na bieliznę i paru chemikaliów. Moim zdaniem znalazł instrukcję w Internecie. Takie ładunki majstrują małolaty, żeby wysadzać różne rzeczy. Przy okazji często sami wylatują w powietrze.

– Można ustalić, skąd to pochodziło?

– – Być może. Wyślemy to do laboratorium szeryfa i zobaczymy.

– Wiesz, kiedy zostawił bombę?

Komendant wskazał samochód, pod który podłożono ładunek.

– Kierowca zaparkował mniej więcej kwadrans po dziewiątej, czyli dopiero po tej godzinie.

Jest jakaś szansa, że znajdą odciski palców?

Wątpię. Dance stała z rękami na biodrach, rozglądając się po pobojowisku. Coś tu było nie tak.

Ciemny korytarz widoczny przez otwarte drzwi, krew na betonie.

Otwarte drzwi.

Odwracając się powoli i lustrując teren, Dance zauważyła coś za budynkiem, w pobliskim gaju sosnowo-cyprynowym: drzewo przewiązane pomarańczową tasiemką – jaką oznacza się krzewy i drzewa przeznaczone do wycinki.

Podchodząc bliżej, dostrzegła, że kopczyk sosnowych igieł u podstawy pnia jest większy niż pod innymi drzewami. Uklękła tam i zaczęła kopać. Po chwili odgrzebała dużą nadpaloną torbę uszytą z metalizowanej tkaniny.

– Rey, daj mi jakieś rękawiczki. – Od dymu zaczęła kaszleć.

Młody agent wziął parę rękawiczek od zastępcy szeryfa zabezpieczającego ślady i przyniósł jej. W torbie był pomarańczowy strój więzienny Pella i jakiś szary kombinezon z kapturem, który jak się domyśliła, był ognioodporny. Metka na ubraniu głosiła, że zostało wykonane z kevlaru i włókien PBI oraz ma atest SFI 3,2A/5. Dance nie miała pojęcia, co to oznacza, wiedziała jedynie, że materiał był na tyle odporny, by Daniel Pell mógł w nim bezpiecznie przejść przez szalejące za sądem płomienie.

Bezradnie opuściła ramiona. Ubranie ognioodporne? Co tu jest grane?

– Nie rozumiem – rzekł Rey Carraneo.

Wyjaśniła mu, że wspólnik Pella prawdopodobnie podłożył bombę i zostawił ognioodporną torbę za drzwiami; były w niej strój ochronny oraz nóż. Być może także uniwersalny kluczyk do kajdanek. Kiedy Pell rozbroił Juana Millara, włożył kombinezon i pobiegł przez ogień do drzewa zaznaczonego pomarańczową taśmą, gdzie wspólnik ukrył cywilne ubranie. Przebrał się i czmychnął.

Wzięła motorolę, by przekazać wiadomość o swoim znalezisku, po czym przywołała gestem jednego z funkcjonariuszy z wydziału kryminalistycznego MCSO i podała mu dowody.

Carraneo zawołał ją, by pokazać coś na ziemi tuż przy parkingu.

– Ślady stóp.

Było to kilka odcisków w odległości około metra – pozostawionych przez biegnącego człowieka. Na pewno należały do Pella; zostawił wyraźne ślady za wyjściem przeciwpożarowym z budynku. Oboje agenci pobiegli w stronę, w którą prowadziły.

Ślad Pella urywał się przy ulicy, San Benito Way, przy której znajdowało się kilka pustych działek, sklep monopolowy, meksykańska knajpka, punkt usług pocztowych i kserograficznych, lombard i bar.

– A więc stąd zabrał go wspólnik – powiedział Carraneo, rozglądając się po San Benito.

– Ale po drugiej stronie sądu jest druga ulica. Sześćdziesiąt metrów bliżej.

Dlaczego stąd?

– Większy ruch?

– Możliwe. – Przyglądając się okolicy spod zmrużonych powiek, Dance znów się rozkaszała. Wreszcie złapała oddech i utkwiała wzrok po drugiej stronie ulicy. –

Idziemy, szybko!

Mężczyzna pod trzydziestkę, w szortach i służbowej koszuli Worldwide Express, jechał zieloną furgonetką ulicami centrum Salinas. Wyraźnie czując na ramieniu dotyk lufy, szlochał:

– Proszę pana, naprawdę nie wiem, o co chodzi, ale nie przewozimy gotówki.

Mam przy sobie pięćdziesiąt jeden dolców, to moje pieniądze, i może pan wszystkie...

– Podaj mi swój portfel. – Porywacz był ubrany w szorty, wiatrówkę i czapkę Oakland A. Miał nadpaloną brodę i czarne smugi sadzy na twarzy. Mimo średniego wieku był szczupły i silny. Jego oczy miały nie spotykane jasnoniebieski kolor.

– Cokolwiek pan zechce. Proszę mi tylko nie robić nic złego. Mam rodzinę.

– Portfel?

Krępemu Billy'emu dopiero po chwili udało się wysupłać portfel z kieszeni ciasnych szortów.

– Proszę.

Mężczyzna zajrzał do środka.

– A zatem, Williamie Gillmore, zamieszkały w Marina w stanie Kalifornia przy Rio Grande Avenue trzysta czterdzieści trzy, ojciec dwójki uroczych dzieci, jeśli to aktualne zdjęcia.

Billy'ego zdjął lodowaty strach.

– I mężu ślicznej kobiety. Co za loczki. Założę się o każde pieniądze, że są naturalne. Hej, patrz na drogę. Trochę nas zarzuciło. I jedź tam, gdzie kazałem. –

Po chwili porywacz rozkazał: – Daj mi swoją komórkę.

Miał spokojny głos. To dobrze. Spokój oznaczał, że nie zrobi niczego gwałtownego ani głupiego.

Billy usłyszał, jak napastnik wstukuje numer.

– Halo, to ja. Zapisz sobie. – Powtórzył adres Billy’ego. – Ma żonę i dwoje dzieci. Naprawdę ładną żonę. Jej włosy na pewno ci się spodobają.

– Do kogo pan dzwoni? – szepnął Billy. – Błagam pana... Niech pan weźmie wóz, niech pan weźmie wszystko. Dam panu tyle czasu na ucieczkę, ile pan będzie chciał. Godzinę. Dwie godziny. Tylko niech...

– Cii. – Mężczyzna dalej rozmawiał przez telefon. – Jeżeli się nie zjawię, to znaczy, że nie udało mi się przedrzeć przez blokady, bo William okazał się za mało przekonujący. Pójdiesz odwiedzić jego rodzinę. Zrobisz z nimi, co zechcesz.

– Nie! – Billy odwrócił się raptownie, usiłując dosięgnąć telefonu.

Lufa pistoletu dotknęła jego twarzy.

– Trzymaj kierownicę, synu. Lepiej nie zjeżdżać teraz z drogi. – Porywacz zatrzasnął telefon i wsunął do kieszeni.

– William... mówią do ciebie Bill?

– Zwykle Billy, proszę pana.

– A więc Billy, sprawa wygląda tak: uciekłem z aresztu.

– Ach, tak. Rozumiem, oczywiście.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Dziękuję za wyrozumiałość. Słyszałeś, co powiedziałem przez telefon. Wiesz, co masz zrobić. Jeżeli przewieziesz mnie przez blokady, puszcze cię, a twojej rodzinie nic się nie stanie.

Czując, jak płonie mu twarz, a żołądek ściska się ze strachu, Billy otarł pyzate policzki.

– Nie jesteś dla mnie żadnym zagrożeniem. Wszyscy wiedzą, jak się nazywam i jak wyglądam. Jestem Daniel Pell i moje zdjęcie będzie we wszystkich wiadomościach południowych. Dlatego nie mam powodu, żeby ci robić krzywdę, o ile będziesz posłuszny. Opanuj się. Musisz się skupić. Jeżeli zatrzyma cię policja, chcę zobaczyć wesołego i zaciekawionego kuriera, który dopytuje się zdziwiony, co się stało w mieście. Co to za dym, ojej, skąd takie zamieszanie. Rozumiesz, o co chodzi?

– Błagam, zrobię wszystko...

– Billy, wiem, że mnie słuchałeś. Nie chcę, żebyś robił „wszystko”. Masz tylko zrobić to, co ci każę. Nic więcej. Cóż może być prostsze?

## **Rozdział 6**

Kathryn Dance i Carraneo byli w punkcie usługowym You Mail It na San Benito Way, gdzie się właśnie dowiedzieli, że po ucieczce Pella zatrzymał się tu samochód firmy kurierskiej Woridwide Express z codzienną porcją przesyłek do odbioru.

Od punktu A i B do X...

Dance uświadomiła sobie, że Pell mógł zarekwirować furgonetkę, aby przedostać się przez blokady, zadzwoniła więc do dyrektora operacyjnego Woridwide Express w Salinas, który potwierdził, że kurier na tej trasie nie dostarczył już potem ani jednej przesyłki. Dance poprosiła o numer rejestracyjny samochodu i przekazała go ludziom z biura szeryfa.

Wrócili do gabinetu Sandy’ego Sandovala, koordynując telefonicznie akcję poszukiwania pojazdu. Niestety, w okolicy było dwadzieścia pięć furgonetek Woridwide Express, więc Dance poprosiła dyrektora, aby polecił pozostałym kierowcom natychmiast zjechać na najbliższą stację benzynową. W furgonetce, która się nie zatrzyma, będzie Daniel Pell.

To jednak wymagało czasu. Dyrektor musiał wydać kierowcom dyspozycje przez ich telefony

komórkowe, ponieważ komunikat radiowy ostrzegłby Pella, że policja już odkryła, w jaki sposób uciekł.

Do gabinetu wolnym krokiem wszedł jakiś człowiek. Dance odwróciła się i ujrzała w drzwiach Michaela O'Neila, komendanta biura szeryfa, do którego wcześniej dzwoniła. Z uśmiechem skinęła mu głową, pokrzepiona na duchu jego obecnością. Dance nie знаła lepszego policjanta na świecie, z którym mogłaby dzielić brzemień tego trudnego zadania.

O'Neil od lat pracował w MCSO. Zaczynał jako zwykły posterunkowy i dzięki ciężkiej pracy piął się po szczeblach hierarchii, by zostać sumiennym, metodycznym oficerem śledczym z imponującą liczbą aresztowań na koncie – a także, co ważniejsze, równie wysoką liczbą wyroków skazujących. Dziś był

zastępcą szefa policji okręgowej i detektywem biura operacyjnego w wydziale dochodzeniowym MCSO.

Odrzucał propozycje przejścia do prywatnych firm ochrony i większych jednostek organów ścigania w rodzaju CBI czy FBI. Nie chciał przyjmować ofert pracy, która wiązałaby się z przeprowadzką czy licznymi podróżami. O'Neil mieszkał na półwyspie Monterey i nie miał ochoty przenosić się nigdzie indziej.

Miał tu rodziców, którzy wciąż zajmowali dom z widokiem na ocean, gdzie wychował się on i jego rodzeństwo. (Ojciec cierpiał na demencję, a matka zastanawiała się nad sprzedażą nieruchomości i umieszczeniem męża w zakładzie opieki; O'Neil pragnął kupić dom, aby własność pozostała w rodzinie).

Uwielbiający zatokę, wędkowanie i swoją łódź Michael O'Neil mógłby być jednym ze zdecydowanych i skromnych bohaterów powieści Johna Steinbecka w rodzaju Doktora z „Ulicy Nadbrzeżnej”. W istocie detektyw, zapalony kolekcjoner książek, miał wszystkie pierwsze wydania całej twórczości Steinbecka. (Jego ulubioną powieścią były „Podróże z Charleyem”, oparta na faktach opowieść o włóczędze pisarza po Ameryce w towarzystwie jego pudła. O'Neil zamierzał kiedyś odtworzyć tę wyprawę).

W zeszły piątek Dance i O'Neil wspólnie ujęli trzydziestoletniego Ese, szefa wyjątkowo nieprzyjemnego gangu z Chicago działającego w Salinas. Uczcili to wydarzenie, wypijając butelkę musującego wina Piper Sonoma na tarasie pełnej turystów restauracji na Fisherman's Wharf.

Wydawało się, jak gdyby od tamtego radosnego wieczoru upłynęły dziesiątki lat. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek się odbył.

Funkcjonariusze MCSO zwykle nosili typowe dla policji szeryfa uniformy khaki, lecz O'Neil często ubierał się mniej ortodoksyjnie, a dziś miał na sobie granatowy garnitur oraz grafitową koszulę bez krawata – w takim samym odcieniu jak polowa jego szpakowatych włosów. Brązowe oczy pod ciężkimi powiekami poruszały się wolno, oglądając mapę okolicy. Detektyw miał posagową sylwetkę i potężne ramiona – dzięki genom, a także zmaganiom z krzepkimi mieszkańcami zatoki Monterey, kiedy czas i pogoda pozwalały mu wypływać na połów.

O'Neil przywitał skinieniem głowy TJ-a i Sandovala.

– Są jakieś wiadomości o Juanie? – zapytała Dance.

– Dzielnie się trzyma. – Westchnienie. O'Neil i Millar często ze sobą pracowali i mniej więcej raz na miesiąc wyruszali razem na ryby. Dance wiedziała, że w drodze do sądu detektyw był w stałym kontakcie z lekarzami i rodziną Millara.

Biuro Śledcze Kalifornii nie miało własnej centrali, by komunikować się z radiowozami,

karetkami i łodziami, więc O’Neil polecił, by dyżurny dyspozytor Biura Szeryfa przekazywał informacje o zaginionej furgonetce Worldwide Express wszystkim funkcjonariuszom policji okręgowej i stanowej. Dodał, że za kilka minut samochód z uciekinierem będzie jedynym wozem firmy, który nie zatrzymał

się na stacji benzynowej.

O’Neil odebrał telefon i kiwając głową, podszedł do mapy. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, wziął plik samoprzylepnych karteczek z wizerunkiem motyla i zaczął je przyklejać.

Blokady dróg, zrozumiała Dance.

Detektyw odłożył telefon.

– Są na sześćdziesiątej ósmej, sto osiemdziesiątej trzeciej, sto pierwszej...

Obstawiliśmy boczne drogi do Hollister, do Soledad i Greenfield. Ale jeżeli dostanie się na Pastwiska Niebieskie, trudno będzie zlokalizować furgonetkę, nawet z helikoptera – a teraz jeszcze przeszkadza mgła.

„Pastwiskami Niebieskimi” w książce pod tym samym tytułem John Steinbeck nazwał żyzną, pełną sadów dolinę niedaleko autostrady numer 68. Salinas otaczały przede wszystkim nizinne i płaskie tereny uprawne, ale miasto leżało niedaleko lasów. Blisko było też do surowych zboczy Castle Rock, gdzie wśród skał, urwisk i drzew udało się bez trudu znaleźć świetną kryjówkę.

– Jeżeli współnik nie wywiózł stąd Pella, to gdzie teraz jest? – zapytał Sandoval.

– W jakimś umówionym miejscu? – podsunął TJ.

– Albo w ogóle stąd nie uciekł – dodała Dance.

– Co? – zdumiał się prokurator. – Po co miałyby to robić?

– Żeby sprawdzić, jak prowadzimy akcję, co wiemy. I czego nie wiemy.

– Taki plan wydaje się nieco... skomplikowany, nie sądzisz?

TJ zaśmiał się, wskazując dymiące samochody.

– Bardzo dobre słowo na cały ten bajzel.

– A może chce nam trochę poprzeskadzać – rzekł O’Neil.

– To też brzmi sensownie – przytaknęła Dance. – Pell i jego współnik nie wiedzą, że wpadliśmy na trop furgonetki. Pewnie przypuszczają, że jeszcze nie wierzymy w jego ucieczkę. Wspólnik może próbować nas przekonać, że Pell ciągle jest w pobliżu. Może strzeli do kogoś na ulicy albo nawet odpali jeszcze jeden ładunek.

– Cholera. Znowu bomba? – skrzywił się Sandoval.

Dance zadzwoniła do szefa ochrony, informując go, że współnik zbiega wciąż może być w okolicy i stanowić zagrożenie.

Ale jak się okazało, nie mieli czasu snuć domysłów na temat losów współnika Pella. Plan zatrzymania furgonetek Worldwide Express przyniósł oczekiwany skutek. O’Neil dostał meldunek radiowy od dyspozytora z biura szeryfa z wiadomością, że dwaj funkcjonariusze miejscowej policji odnaleźli Daniela Pella i właśnie prowadzą pościg.

Ciemnozielona furgonetka wzbijała pióropusz kurzu na wąskiej drodze.

Umundurowany policjant w radiowozie policji Salinas, weteran wojenny służący w piechocie morskiej, kurczowo ścisnął kierownicę, jak gdyby dzierżył ster trzymetrowej łodzi miotanej czterometrowymi falami.

Jego partner – muskularny Latynos – jedną ręką trzymał się deski rozdzielczej, a drugą unosił do

ust mikrofon.

– Jednostka siedem policji Salinas. Ciągłe jesteśmy za nim. Skręcił z Natividad w gruntową drogę, około kilometra na południe od Old Stage.

– Przyjąłem... Centrala do siedem, przypominam, że ścigany jest prawdopodobnie uzbrojony i niebezpieczny.

– Jeżeli jest uzbrojony, to jasne, że niebezpieczny – odparł kierowca i w tym momencie spadły mu z twarzy ciemne okulary, ponieważ radio wóz na ułamek sekundy zawisł w powietrzu po najechaniu na wysoki garb. Policjanci prawie nie widzieli przed sobą drogi; za furgonetką Worldwide Express wirował tuman kurzu jak podczas burzy piaskowej.

– Centrala do siedem, wszystkie dostępne jednostki są w drodze.

– Przyjąłem.

Pomysł sprowadzenia wsparcia nie był zły. Krążyły plotki, że Daniel Pell, stuknięty przywódca sekty, Charles Manson naszych czasów, zastrzelił w sądzie kilkanaście osób, podpalił autobus szkolny pełen dzieci, nożem utorował sobie drogę przez tłum kandydatów na przysięgłych, zabijając czworo z nich. Albo dwoje. Albo ośmioro. Bez względu na to, jak było naprawdę, patrol nie zamierzał

odtrącać niczyjej pomocy.

– Dokąd on jedzie? – mruknął weteran. – Przecież tam nic nie ma.

Drogą jeździł sprzęt rolniczy i autobusy transportujące na pola sezonowych robotników. Szlak nie prowadził do żadnej ulicy ani autostrady. Dziś nikt nie pracował w polu, ale kiepski stan drogi oraz widok beczkowsów z pitną wodą i polowych toalet na kółkach stojących na poboczu wyraźnie świadczyły, że służy tylko farmerom i prowadzi donikąd.

Ale Daniel Pell mógł nie wiedzieć, że jest ślepa i kończy się nagle pośrodku pola karczochów. Przypuszczał, że to zwykła droga, taka jak wszystkie. Jadący około trzydzieści metrów przed wozem policyjnym Pell gwałtownie zahamował i furgonetka wpadła w poślizg. Nie zdążyła się jednak zatrzymać. Przednie koła wpadły do płytkiego rowu melioracyjnego, a tył samochodu uniósł się nad ziemię, po czym z hukiem wylądował z powrotem.

Radiowóz zatrzymał się w pobliżu.

– Tu siedem – zameldował Latynos. – Pell zjechał z drogi.

– Przyjąłem. Czy...

Funkcjonariusze wyskoczyli z samochodu, wyciągając pistolety z kabur.

– Chce dać nogę, chce dać nogę!

Ale z furgonetki nikt nie wysiadał.

Zbliżyli się do pojazdu. Tylne klapy otworzyły się podczas wypadku i ujrzeli mnóstwo rozsypanych na podłodze paczek i kopert.

– Zobacz, jest.

Ogłuszony Pell leżał twarzą w dół na podłodze furgonetki.

– Może jest ranny.

– A kogo to obchodzi? – Policjanci podbiegli do niego, skuli kajdan kami i wyciągnęli z miejsca, w którym się zaklinował.

Cisnęli go na wznak na ziemię.

– No, koleś, starałeś się, ale...

– Kurwa, to nie on.

– Co? – zdumiał się jego partner.

– Przepraszam, czy twoim zdaniem gość wygląda na czterdziesto trzyletniego białego?

Weteran wojenny pochylił się nad zamroczonym nastolatkiem, którego policzek zdobił tatuaż w kształcie łyzy.

– Kim jesteś? – warknął po hiszpańsku, w języku, który znali wszyscy policjanci w Salinas i okolicy.

Unikając jego wzroku, chłopak mruknął po angielsku:

– Nie powiem. Idźcie się walić.

– O rany. – Latynos zajrzał do szoferki, gdzie w stacyjce wciąż tkwiły kluczyki.

Zrozumiał: Pell zostawił furgonetkę na ulicy z włączonym silnikiem, wiedząc, że w ciągu minuty ktoś na pewno ukradnie wóz, a policja pojedzie za nim, dając Pellowi czas, by mógł uciec w zupełnie innym kierunku.

Po chwili przysłała mu do głowy jeszcze jedna myśl. Niezbyt przyjemna.

Odwrócił się do weterana.

– Słuchaj, kiedy zgłosiliśmy, że mamy Pella, a oni wysłali wszystkie jednostki do nas... myślisz, że zdjęli też ludzi z blokad?

– Nie, na pewno by tego nie zrobili. To by było cholernie głupie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Chryste. – Latynos ruszył sprintem do radiowozu i złapał mikrofon.

## **Rozdział 7**

Honda civic – oznajmił TJ, odkładając słuchawkę po rozmowie z wydziałem komunikacji. – Pięcioletnia. Czerwona. Mam numery. Wiedzieli, że Pell porusza się teraz prywatnym samochodem kierowcy furgonetki Worldwide Express, ponieważ auto zniknęło z parkingu firmy w Salinas.

– Przekażę to ludziom na blokadach – dodał TJ.

– Kiedy wrócą na stanowiska – mruknęła Dance.

Wiadomość, że jakiś miejscowy dyspozytor polecił funkcjonariuszom porzucić pobliskie blokady dróg i dołączyć do pościgu za furgonetką Worldwide Express, wzbudziła poważny niepokój agentów i O’Neila. Z wyrazem wzburzenia na łagodnej twarzy – co u O’Neila objawiało się zaciśnięciem ust – detektyw natychmiast odesłał radiowozy z powrotem na stanowiska.

Wszyscy zgromadzili się w sali konferencyjnej, znajdującej się na tym samym korytarzu co gabinet Sandovala. Ponieważ nie było wątpliwości, że Pella nie ma już w pobliżu sądu, Dance chciała wrócić do siedziby CBI, lecz Charles Overby kazał im czekać w gmachu na jego przyjazd.

– Chyba nie chce, żeby konferencje prasowe też mu uciekły – zauważył TJ, co Dance i O’Neil skwitowali drwiącym śmiechem. – O wilku mowa – dodał szeptem TJ. – Nadchodzi... Padnij!

Do sali pewnym krokiem wszedł Charles Overby. Pięćdziesięcioletni, doświadczony agent przywitał się ze swoimi podwładnymi i O’Neilem, po czym zapytał Dance:

– Nie było go w furgonetce?

– Nie. Jechał nią jakiś gówniarz z ulicznego gangu. Pell porzucił samochód z włączonym silnikiem. Wiedział, że ktoś go zaraz buchnie, a my całą uwagę skupimy na pościgu. Zabrał prywatny wóz kierowcy furgonetki.

– Co z kierowcą?

– Kamień w wodę.

– Aj.



Ciemnowłosy, mocno opalony Charles Overby – grywający w golfa i tenisa – miał sylwetkę w kształcie gruszki. Od niedawna dowodził środkowozachodnim biurem terenowym CBI. Agent zajmujący to stanowisko przed nim, Stan Fishburne, odszedł na wcześniejszą emeryturę z powodów zdrowotnych, co personel CBI przyjął z niepokojem (martwiąc się o Fishburne’a, który przeszedł

ciężki zawał serca, i martwiąc się o siebie z powodu osoby jego następcy).

O’Neil odebrał telefon, a Dance przekazała Overby’emu najnowsze informacje, dodając szczegóły na temat nowego samochodu Pella i dzieląc się z nim obawami, że współnik zbiega wciąż może być w pobliżu.

– Myślisz, że naprawdę podłożył jeszcze jedną bombę?

– Mało prawdopodobne. Ale niewykluczone, że został.

O’Neil odłożył słuchawkę.

– Drogi znów są zablokowane.

– Kto zdjął blokady? – zdziwił się Overby.

– Nie wiemy.

– Ale przecież nie my ani wy, prawda, Michael? – spytał niepewnie Overby.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Po chwili O’Neil odparł:

– Prawda, Charles.

– Kto to był?

– Nie jesteśmy pewni.

– Trzeba to ustalić.

Dance i O’Neil nadal milczeli. Wzajemne oskarżenia były stratą czasu. W

końcu O’Neil oświadczył, że się tym zajmie. Dance wiedziała, że niczego nie zrobi, ale jego zapewnienie położyło kres szukaniu winnych.

– Nikt nie zauważył hondy civic – ciągnął detektyw. – Ale to akurat był zły moment. Mógł się przedostać przez sześćdziesiątą ósmą albo sto pierwszą. Chociaż nie sądzę, żeby wybrał sześćdziesiątą ósmą.

– Racja – przytaknął Overby.

Mniejsza autostrada numer 68 prowadziła do gęsto zaludnionego Monterey, natomiast szeroką międzystanową drogą numer 101 Pell mógł dojechać do wszystkich głównych autostrad w stanie.

– Ustawiają nowe blokady w Gilroy. I mniej więcej pięćdziesiąt kilo metrów na południe. – W odpowiednich miejscach na mapie O’Neil przyklejał karteczki ozdobione obrazkami z monarchą wędrownym.

– Zabezpieczyliście lotnisko i pętle autobusowe? – zapytał Overby.

Owszem odrzekła Dance.

– Policja w San Jose i Oakland jest poinformowana?

– Tak. I w Santa Cruz, San Benito, Merced, Santa Clara, Stanislaus i San Mateo. – Były to najbliższe okręgi.

Overby skreślił parę notatek.

– Dobrze. – Uniósł wzrok i oznajmił: – Ach, właśnie rozmawiałem z Amy.

– Grabe?

– Zgadza się.

Amy Grabe była agentką specjalną kierującą biurem terenowym **FBI** w San Francisco. Dance

dobrze znała tę inteligentną i dociekliwą kobietę. Region środkowozachodni **CBI** rozciągał się na północ aż do rejonu Zatoki San Francisco, miała więc wiele okazji do współpracy z Grabe. Podobnie jak nieżyjący mąż Dance, również agent FBI.

– Jeżeli nie uda nam się szybko złapać Pella – ciągnął Overby – będę chciał wziąć do zespołu ich specjalistę.

– Kogo?

– Człowieka z biura, który potrafi radzić sobie w takich sytuacjach.

Doszło do ucieczki z aresztu, pomyślała Dance. O jakiego specjalistę mu chodzi? Przyszedł jej do głowy Tommy Lee Jones w „Ściganym”. O’Neil także był zaciekawiony.

– Negocjatora?

Lecz Overby odparł:

– Nie, eksperta od sekt. Często ma do czynienia z takimi ludźmi jak Pell.

Dance wzruszyła ramionami. Był to ilustrator – gest podkreślający treść wypowiedzi, a w jej wypadku, wyrażający wątpliwości.

– Nie jestem pewna, czy dużo na tym skorzystamy.

Uczestniczyła już w wielu wspólnych operacjach. Nie miała nic przeciwko dzieleniu się odpowiedzialnością z federalnymi ani kimkolwiek innym, lecz udział

innych jednostek w akcji nieuchronnie opóźniał działania. Poza tym nie rozumiała, czym różni się ucieczka przywódcy sekty od ucieczki mordercy czy złodzieja, który obrabował bank.

Overby podjął już jednak ostateczną decyzję; odgadła to z tonu jego głosu i mowy jego ciała.

– To wybitny fachowiec od portretów psychologicznych. Mentalność sekciarska bardzo się różni od umysłowości typowego sprawcy.

Doprawdy?

Szef podał Dance karteczkę z nazwiskiem i numerem telefonu.

– Jest w Chicago, gdzie kończy jakąś sprawę, ale zjawi się u nas dzisiaj wieczorem albo jutro rano.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł, Charles?

– W wypadku Pella przyda się nam każda pomoc. Absolutnie każ da. A co nam może dać gruba ryba z Waszyngtonu? Większe zaplecze specjalistyczne, więcej ludzi.

I więcej okazji, by zrzucić winę na kogoś innego, pomyślała cynicznie Dance, zdając sobie sprawę, co się naprawdę stało. Grabe zapytała, czy **FBI** mogłoby pomóc w poszukiwaniu Pella, a Overby skwapliwie skorzystał z propozycji, wychodząc z założenia, że jeśli ucierpi więcej niewinnych ludzi albo zbieg pozostanie na wolności, na konferencji prasowej nie będzie musiał stawać na podium sam, ale w towarzystwie. Mimo to Dance nadal uśmiechała się jak gdyby nigdy nic.

– W porządku. Mam nadzieję, że zanim zaczniemy zawracać głowę innym, zdążymy go dopaść.

– Aha, Kathryn? Chciałbym, żebyś o tym wiedziała. Amy zastana wiała się, jak doszło do ucieczki i zapewnilem ją, że twoje przesłuchanie nie miało z tym nic wspólnego.

– Moje... słucham?

– Nie musisz się tym przejmować. Powiedziałem jej, że nie zrobiłaś niczego, co mogłoby pomóc Pellowi w ucieczce.

Poczuła falę gorąca oblewającą jej twarz, na której z pewnością zaczęły występować rumieńce.

Tak działają emocje: w ciągu lat wykryła wiele kłamstw dzięki temu, że poczucie winy i wstydu wzmagają krążenie krwi.

Podobnie jak gniew.

Amy Grabe prawdopodobnie w ogóle nie wiedziała o przesłuchaniu Pella, nie mówiąc o tym, że mogłaby podejrzewać Dance o jakąś nieostrożność, która ułatwiłaby mu ucieczkę. Ale teraz agentka – i biuro FBI w San Francisco – byli już bogatsi o tę wiedzę. Być może wiadomość dotarła także do centrali **CBI** w Sacramento.

– Uciekł z aresztu, nie z pokoju przesłuchań – powiedziała cierpkim tonem.

– Chodziło mi o to, że Pell mógłby zdobyć od ciebie jakąś informację, którą potem wykorzystał.

Dance wyczuła napięcie O’Neila. Detektyw miał odruchy opiekuńcze wobec ludzi będących w służbie krócej od niego. Ale wiedział, że Kathryn Dance potrafi sama walczyć o swoje. Nie odzywał się.

Była wściekła na Overby’ego, że w ogóle rozmawiał z Grabe. Zrozumiała: to dlatego chciał, aby sprawę prowadziło **CBI** – gdyby przejęła ją inna jednostka, byłoby to równoznaczne z przyznaniem się, że biuro jest w jakimś stopniu odpowiedzialne za ucieczkę.

A Overby jeszcze nie skończył.

– Jeszcze kwestia środków bezpieczeństwa... Na pewno były za ostrzone. Pell musiał być wyjątkowo dobrze strzeżony. Powiedziałem Amy, że tego dopilnujecie.

Ponieważ nie zadał pytania, Dance mierzyła go chłodnym spojrzeniem, nie mając zamiaru uspokajać go ani słowem.

Widocznie zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko, więc unikając jej wzroku, dodał:

– Jestem pewien, że niczego nie zaniedbano.

Znów odpowiedziała mu cisza.

– Dobra, mam teraz tę konferencję prasową. Muszę iść nadstawić łeb. –

Skrzywił się. – Jeżeli się czegoś dowiecie, dajcie mi znać. Za dziesięć minut powinienem skończyć.

Overby wyszedł.

Spoglądając przeciągle na Dance, TJ rzekł z południowym akcentem:

– Do diabła, a więc to ty zapomniałaś zamknąć oborę, kiedy prze słuchałaś krowy. Dlatego dał nogę. Tak sobie właśnie myślałem.

O’Neil powstrzymał się od uśmiechu.

– Nie denerwuj mnie – mruknęła.

Podeszła do okna i popatrzyła na stłoczonych przed wejściem ludzi, którzy ewakuowali się z sądu, a teraz chcieli lub musieli wrócić.

– Niepokoi mnie ten współnik. Gdzie teraz jest, co chce zrobić?

– Kto mógłby wyrwać z pudła kogoś takiego jak Daniel Pell? – zapytał TJ.

Dance przypomniała sobie kinezyczną reakcję Pella, gdy w trakcie przesłuchania pojawił się temat ciotki w Bakersfield.

– Wydaje mi się, że osoba, która mu pomaga, zabrała młotek z domu je go ciotki. Ciotka nosi nazwisko Pell. Znajdź ją. – Przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. – Masz kumpla w agencji regionalnej FBI w Chico, prawda?

– No?

– Jest dyskretny?

– Łazimy po barach i obcinamy łaski. Czy to znaczy, że jest dyskretny?

– Mógłby sprawdzić tego faceta? – Dance pokazała kartkę z nazwiskiem eksperta od sekt.

– Pewnie będzie chętny. Mówi, że intrygi u federalnych są lepsze od intryg w operach mydlanych.

– TJ zanotował nazwisko.

O'Neil odebrał telefon i po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę.

– Naczelniczka z Capitoli – wyjaśnił. – Pomyślałem sobie, że powinniśmy pogadać z oddziałowym z bloku Pella i sprawdzić, czy będzie nam mógł coś powiedzieć. Strażnik przywiezie ze sobą rzeczy z jego celi.

– To dobrze.

– Jeden z więźniów twierdzi, że ma jakieś informacje o Pellu. Naczelniczka wezwie go do siebie i oddzwoni.

Odezwała się komórka Dance, wydając żabi rechot. O'Neil uniósł brew.

– Wes albo Maggie nie próżnowali.

Był to rodzinny żart, tak jak podrzucanie pluszowych zwierzaków do torebki.

Kiedy Dance nie widziała, dzieci zmieniały dźwięk dzwonka telefonu (dozwolone były wszystkie dzwonki, ale obowiązywały dwie zasady: nigdy nie wyłączać dźwięku i nie ustawiać melodii piosenek boysbandów).

Wcisnęła przycisk.

– Halo?

– To ja, agentko Dance.

Hałas w tle uniemożliwił jednoznaczne zidentyfikowanie tajemniczego „ja”, ale ze sposobu, w jaki rozmówca się do niej zwrócił, domyśliła się, że to Rey Carraneo.

– Co jest?

– Nie ma śladu współnika ani drugiej bomby. Ochrona chce wiedzieć, czy może wpuścić ludzi do budynku. Komendant straży dał zgodę.

Dance odbyła krótką naradę z O'Neilem. Postanowili jeszcze trochę poczekać.

– TJ, wyjdź na zewnątrz i pomóż im szukać. Nie podoba mi się, że ciągle nie wiadomo, co się dzieje z jego współnikiem.

Przypomniała sobie, co powiedział jej ojciec, kiedy niedaleko północnego wybrzeża Australii omal nie wpadł na żarłacza białego: „Od rekina, którego masz przed oczami zawsze groźniejszy jest rekin, którego nie widzisz”.

## **Rozdział 8**

Niedaleko gmachu sądu stał krępy, brodaty i łysiejący mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat, który oglądał panujący przed budynkiem chaos, zatrzymując badawcze spojrzenie na wszystkich – policjantach, strażnikach i cywilach.

– Halo, proszę pana, mógłby mi pan poświęcić minutkę? Chcę tylko zadać kilka pytań... Mogę nagrać krótką wypowiedź?... Och, oczywiście, rozumiem. W takim razie porozmawiamy później. Naturalnie. Po wodzenia.

Morton Walker przyglądał się, jak nad parkingiem zawisł helikopter i wylądował, by zabrać poparzonego policjanta.

Przyglądał się prowadzącym poszukiwania funkcjonariuszom, odgadując ze strategii ich działań – oraz min – że nigdy dotąd nie mieli do czynienia z ucieczką.

Przyglądał się zbitym w tłum załęcznionym ludziom, którzy z początku przypuszczali, że to

przypadkowy pożar, potem, że to atak terrorystów, wreszcie, kiedy już poznali prawdę, wyglądali na bardziej przestraszonych, niż gdyby za wybuchem stała Al-Kaida.

I słusznie, pomyślał Walker.

– Przepraszam bardzo, ma pan chwilę na rozmowę ze mną?... Ach, oczywiście.

Nie ma sprawy. Przepraszam, że zawracam głowę.

Walker krążył wśród ludzi. Przyglądając rzadkie włosy i podciągając workowate, beżowe spodnie, uważnie lustrował okolicę, wozy strażackie, radiowozy, pulsujące światła ostrzegawcze, otoczone szerokimi aureolami w oparach dymu. Uniósł aparat cyfrowy i pstryknął jeszcze kilka zdjęć.

Jakaś kobieta w średnim wieku obrzuciła niechętnym spojrzeniem jego wytartą kamizelkę rybacką z ponad dwudziestoma kieszeniami oraz sfatygowaną torbę z aparatem.

– Wy dziennikarze jesteście jak sępy – warknęła. – Moglibyście nie przeszkadzać policji robić, co do niej należy?

Zachichotał.

– Nie wiedziałem, że przeszkadzam.

Wszyscy jesteście tacy sami. – Wzburzona kobieta odwróciła się w stronę zasnutego dymem gachu sądu.

Podszedł do niego strażnik i zapytał, czy widział coś podejrzanego.

Dziwne pytanie, pomyślał Walker. Brzmi jak kwestia ze starego serialu.

*Tylko fakty, proszę pani...*

– Nie – odrzekł.

Nic podejrzanego dla mnie, dodał w myśli. Ale może nie mnie powinniście pytać.

Czując dobiegający jego nozdrzy okropny zapach – spalonego ciała i włosów – znów zareagował niestosownym śmiechem.

Zastanawiając się nad tym – a myśl tę podsunął mu Daniel Pell – uświadomił sobie, że często chichocze, w sytuacjach, w których większość ludzi uznaje takie zachowanie za niewłaściwe, a czasem wręcz niesmaczne. Tak jak teraz, kiedy patrzył na masakrę. Jednak on już nieraz widział brutalnie uśmierconego człowieka, widział obrazy, które dla wielu osób byłyby odrażające.

Obrazy, które często u Mortona Walkera wywoływały śmiech.

Prawdopodobnie był to mechanizm obronny. Sposób na to, by przemoc – z którą był doskonale obeznany – nie wżarła się w jego duszę, choć Walker zaczynał się zastanawiać, czy aby chichot nie jest oznaką, że już do tego doszło.

Po chwili jeden z funkcjonariuszy ogłosił, że niedługo ludzie będą mogli wrócić do sądu.

Walker podciągnął spodnie, poprawił na ramieniu torbę z aparatem i rozejrzał się w tłumie. Dostrzegł wysokiego, młodego Latynosa w garniturze, wyglądającego na gliniarza w cywilu. Mężczyzna rozmawiał ze starszą kobietą, która nosiła identyfikator członka ławy przysięgłych. Stali trochę z boku, z dala od innych osób.

Świetnie.

Walker otaksował detektywa. Właśnie takiego szukał – młodego, naiwnego i ufego. Wolnym krokiem ruszył w jego stronę.

Był coraz bliżej.

Policjant ruszył szukać następnych świadków, nie zauważywszy Walkera.

Gdy Walker był już trzy metry od niego, zarzucił pasek aparatu na szyję, otworzył torbę i sięgnął

do środka.

Półtora metra.

Podszedł jeszcze trochę.

I nagle czyjaś silna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Walker poczuł, jak serce staje mu w gardle.

– Proszę trzymać ręce tak, żebym je widział, co pan na to? – Mężczyzna był niewysoki i ruchliwy. Z legitymacji zawieszanej na jego szyi Walker zorientował się, że to funkcjonariusz Biura Śledczego Kalifornii.

– Zaraz, o co...

– Cii – syknął funkcjonariusz o rudych, kędzierzawych włosach. – Ręce?

Pamięta pan, gdzie mają być? Chcę je dobrze widzieć... Hej, Rey!

Podszedł do nich Latynos. On także miał legitymację CBI. Zmierzył Walkera wzrokiem od stóp do głów. Obaj agenci zaprowadzili go w kierunku bocznej ściany sądu, przyciągając liczne spojrzenia.

– Niech pan posłucha, nie wiem...

– Cii – odpowiedział znów krępy agent.

Latynos dokładnie go zrewidował, po czym skinął głową. Zdjął przepustkę prasową z piersi Walkera, pokazując ją drugiemu funkcjonariuszowi.

– Hm – rzekł. – Trochę nieaktualna, nie sądzi pan?

– Formalnie rzecz biorąc tak, ale...

– Nieaktualna od czterech lat – zauważył Latynos.

– Ładnie mi formalnie – powiedział jego partner.

– Pewnie wziąłem nie tę co trzeba. Jestem dziennikarzem od...

– Czyli jeżeli zadzwonimy do tej gazety, potwierdzą nam, że jest pan jej pracownikiem?

Jeżeli to zrobią, dodzwonią się pod niedziałający numer.

– Panowie, mogę wszystko wytłumaczyć.

Niższy agent zmarszczył brwi.

– Wie pan co, rzeczywiście powinien nam pan coś wytłumaczyć. Właśnie rozmawiałem z jednym z dozorców, który mi powiedział, że dzisiaj o ósmej trzydzieści był tu jakiś człowiek o rysopisie odpowiadającym cym pańskiemu. O tej godzinie nie kręcili się tu żadni dziennikarze. A dlaczego? Bo jeszcze nie doszło do ucieczki... Zjawia się pan na miejscu jeszcze przed zdarzeniem. Ma pan... jak oni to nazywają, Rey?

– Newsa?

– Tak, ma pan newsa z pierwszej ręki. Dlatego zanim zacznie się pan tłumaczyć, proszę się grzecznie odwrócić i założyć ręce do tyłu.

W sali konferencyjnej na pierwszym piętrze TJ wręczył Dance rzeczy znalezione u Mortona Walkera.

Nie było broni, żadnego lontu, żadnych map budynku sądowego ani planów dróg ucieczki.

Tylko pieniądze, portfel, aparat fotograficzny, magnetofon i gruby notes. Oraz trzy książki – reportaże kryminalne z nazwiskiem Walkera na okładce oraz jego zdjęciem na ostatniej stronie (na którym miał znacznie mniej lat i znacznie więcej włosów).

– To „Paperback Writer”\* – zaśpiewał TJ, nie oddając zbyt wiernie melodii Beatlesów.

W nocy biograficznej przedstawiono Walkera jako byłego korespondenta wojennego i autora

kronik kryminalnych, który obecnie pisze o zbrodni. „Mieszka w Scottsdale w stanie Arizona, jest autorem trzynastu książek dokumentalnych.

Twierdzi, że poza pisaniem zajmuje się także włóczęgą, wędrowaniem i gawędziarstwem”.

– To pana nie ratuje – oznajmiła ostro Dance. – Co pan tu robi? I po co był pan w sądzie przed wybuchem pożaru?

– Nie zamierzałem pisać o ucieczce. Chciałem przeprowadzić kilka wywiadów.

– Z Pellem? – odezwał się O’Neil. – Żadnych nie udziela.

– Nie, nie z Pellem. Z rodziną Roberta Herrona. Słyszałem, że mieli przyjechać na zeznania przed wielką ławą przysięgłych.

– A ta podrobiona przepustka prasowa?

– Fakt, od czterech lat nie jestem etatowym pracownikiem żadnej gazety ani czasopisma. Zająłem się wyłącznie pisaniem książek. Ale bez legitymacji prasowej nigdzie nie można się dostać. Nikt nie patrzy na datę.

– Prawie nikt – poprawił go z uśmiechem TJ.

Dance przekartkowała jedną z książek. Był to reportaż o popełnionym przed kilku laty w Kalifornii morderstwie Laci Peterson. Chyba całkiem dobrze napisany.

TJ uniósł głowę znad laptopa.

– Ma czyste konto, szefowo. W każdym razie nie ma śladu, żeby miał coś za uszami. Zdjęcie z wydziału komunikacji też się zgadza.

– Piszę książkę. Wszystko jest absolutnie legalne. Można sprawdzić.

Podał im nazwisko wydawcy na Manhattanie. Kiedy Dance zadzwoniła, telefon odebrała kobieta, która natychmiast przyjęła postawę: „O nie, w co się znowu ten Morton wpakował?”. Ale potwierdziła, że podpisał kontrakt na książkę o Pellu.

– Rozkuj go – poleciła TJ-owi Dance.

O’Neil spojrział na pisarza i zapytał:

\* „Paperback Writer” (autor tanich książek) tytuł i refren piosenki Beatlesów (przyp. tłum.).

– O czym jest ta książka?

– Ma być inna niż typowe reportaże. Nie chcę pisać o morderstwach. To już zrobili inni. Zamierzam opowiedzieć o ofiarach Daniela Pella. O tym, jak wyglądało ich życie przed morderstwami, a kim dzisiaj są ci, którzy przeżyli.

Większość dokumentów o zbrodniach w książkach czy w telewizji skupia się na samym przestępstwie i osobie mordercy – na epatowaniu rozlewem krwi, makabrycznymi szczegółami. To tandeta. Nie cierpię tego. Moja książka jest o Theresie Croyton – tej dziewczynce, która ocalała – o krewnych i przyjaciółach rodziny. Chcę ją zatytułować „Śpiąca laleczka”. Tak nazwano Theresę. Mam też zamiar napisać o kobietach, które należały do tak zwanej Rodziny i które Pell poddał praniu mózgu. I o wszystkich pozostałych ofiarach Pella. Bo tak na prawdę są ich setki. Według mnie okrutna zbrodnia przypomina kamień wrzucony do stawu. Jej skutki mogą trwać wiecznie, tak samo jak fale bez końca rozchodzą się po powierzchni.

Miał w głosie autentyczną pasję; mówił jak kaznodzieja.

– Na świecie jest mnóstwo przemocy. Zalewa nas co dzień, dlatego się uodporniamy. Mój Boże, wystarczy pomyśleć o wojnie w Iraku. A w Gazie? W

Afganistanie? Ile trzeba zobaczyć wysadzonych samo chodów, ile lamentujących matek, żeby zupełnie zubożeć?

Uodporniłem się, kiedy byłem korespondentem wojennym na Bliskim Wschodzie, w Afryce i w Bośni. Ale wcale nie trzeba widzieć wszystkiego na żywo. Człowiek tak samo reaguje we własnym salonie, gdy ogląda wiadomości albo makabryczny film – bo nie widzi prawdziwych skutków przemocy. Jeżeli chcemy pokoju, jeżeli chcemy powstrzymać przemoc i wojnę, tego właśnie musimy doświadczyć – skutków. Nie chodzi mi o gapienie się na zakrwawione zwłoki; trzeba się przyjrzeć życiu zmienionemu na zawsze przez zło.

Początkowo miałem napisać tylko o sprawie morderstwa Croytonów. Potem jednak dowiedziałem się, że Pell zabił jeszcze kogoś – Roberta Herrona. Chcę opowiedzieć o wszystkich, których dotknęła jego śmierć: o przyjaciółkach i rodzinie. A teraz, jak słyszę, zginęło dwóch strażników. – Wciąż się uśmiechał, lecz był to smutny uśmiech, a Kathryn Dance pomyślała, że jako matka i agentka śledcza szczegółowo znająca liczne sprawy gwałtów, napaści i zabójstw, może się w pełni utożsamiać z jego przekonaniem.

– Jeszcze jedna zmarszczka na powierzchni. – Zatoczył ręką szerokie koło. – W wypadku zimnej sprawy o wiele trudniej znaleźć ofiary i członków rodzin. Herron został zamordowany mniej więcej dziesięć lat temu. Zastanawiałem się... Urwał, marszcząc brwi, choć nie wiadomo dlaczego w jego oczach pojawił się błysk. –

Zaraz, zaraz... O Boże, Pell nie miał nic wspólnego ze śmiercią Herrona, prawda? Przyznał się, żeby się wydostać z Capitolu i uciec z aresztu.

– Tego nie wiemy – odrzekła ostrożnie Dance. – Dochodzenie trwa. Walker nie uwierzył.

– Sfałszował dowody? Albo namówił kogoś do kłamstwa. Założę się, że tak. Michael O’Neil powiedział cicho i spokojnie:

– Nie chcielibyśmy, żeby w śledztwie przeszkadzały nam jakieś plotki.

Ilekcóż szef biura szeryfa zwracał się do kogoś tak sugestywnym tonem, zawsze brano jego rady pod uwagę.

– Zgoda. Nic nie powiem.

– Będziemy wdzięczni – zapewniła go Dance, po czym spytała: – Pa nie Walker, czy ma pan jakieś informacje, które mogłyby nam pomóc? Dokąd mógł uciec Daniel Pell, jakie ma plany? Kto mu pomaga?

Wydatny brzuszek, rzadkie, rozwichrzone włosy i sympatyczny śmiech sprawiały, że Morton Walker wyglądał jak psotny chochlik w średnim wieku.

Pisarz podciągnął spodnie.

– Nie mam pojęcia. Przykro mi. Właściwie zacząłem pracę nad książką dopiero miesiąc temu. Ciągłe zbieram materiały.

– Wspomniał pan, że zamierza pisać też o kobietach z Rodziny Pella.

Kontaktował się pan z nimi?

– Z dwiema. Pytałem, czy zgodzą się udzielić wywiadu.

– Są na wolności? – zapytał O’Neil.

– Och, tak. Nie były zamieszane w morderstwo Croytonów. Dostały niskie wyroki, głównie za kradzieże.

O’Neil dokończył myśl Dance:

– Czy któraś z nich mogła być jego współniczką? A może obie?

Walker zamyślił się.



– Nie wydaje mi się. Ich zdaniem spotkanie z Pellem było najgorszą rzeczą, jaka je w życiu spotkała.

– Kto to jest? – indagował dalej O’Neil.

– Rebecca Sheffield. Mieszka w San Diego. I Linda Whitfield z Portland.

– Później nie wpadły już w żadne kłopoty?

Chyba nie. O ile wiem, nie były potem notowane. Linda mieszka ze swoim bratem i bratową. Pracuje w jakimś kościele. Rebecca prowadzi firmę konsultingową dla małego biznesu. Mam wrażenie, że zerwały z przeszłością.

Ma pan ich numery telefonów?

Pisarz przerzucił kartki w opasłym notesie. Ponieważ miał niechlujne i szerokie pismo, notatki były bardzo obszerne.

– W Rodzinie była jeszcze trzecia kobieta – zauważyła Dance, przypominając sobie informacje zebrane przed przesłuchaniem.

– Samantha McCoy. Zniknęła wiele lat temu. Rebecca powiedziała mi, że zmieniła nazwisko i gdzieś się wyprowadziła. Widocznie miała dość i nie chciała już dłużej być jedną z „dziewczyn Pella”. Próbowałem szukać, ale jeszcze jej nie znalazłem.

– Jakież tropy?

– Rebecca wie tylko, że mieszka gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu.

– Znajdź ją – poleciła TJ-owi Dance. – Samantha McCoy.

Kędzierzawy agent jednym susem znalazł się w rogu sali konferencyjnej. On też wygląda jak chochlik, pomyślała agentka.

Walker znalazł numery kobiet i Dance je zanotowała. Zadzwoiła do Rebecki Sheffield w San Diego.

– Inicjatywa Kobiet – powiedziała recepcjonistka z lekkim latynoskim akcentem. – Czym mogę służyć?

Po chwili Dance została połączona z dyrektorką firmy, rzeczową kobietą o niskim, ochrypłym głosie. Poinformowała ją o ucieczce Pella. Rebecca Sheffield była wstrząśnięta.

A także wzburzona.

– Myślałam, że wsadzili go do jakiegoś superwięzienia.

– Nie uciekł stamtąd, ale z aresztu w sądzie okręgowym.

Dance zapytała ją, czy się domyśla, dokąd Pell mógł pojechać, kto może być jego współnikiem, z którym ze swoich przyjaciół mógłby się kontaktować.

Rebecca nie potrafiła jej jednak pomóc. Oświadczyła, że dołączyła do Rodziny zaledwie kilka miesięcy przed morderstwem Croytonów, lecz dodała, że mniej więcej miesiąc temu ktoś do niej dzwonił, podobno jakiś pisarz.

– Przypuszczałam, że jest w porządku, ale mógł być zamieszany w ucieczkę.

Miał na imię Murray czy Morton. Chyba mam jeszcze jego numer.

– Ta sprawa jest już wyjaśniona. Jest tu z nami. Sprawdziliśmy go.

Rebecca nie potrafiła podać żadnych szczegółów na temat miejsca pobytu Samantha McCoy ani jej nowej tożsamości. Potem, z niepokojem w głosie, rzekła:

– Wtedy, osiem lat temu, nie wydałam go, ale współpracowałam z policją. Sądzi pani, że coś mi może grozić?

Trudno powiedzieć. Ale dopóki go nie zatrzymamy, powinna pani pozostawać w kontakcie z

policją San Diego. – Dance podała jej swój numer w CBI oraz numer komórki, a Rebecca obiecała jej, że się zastanowi, kto mógłby pomagać Pellowi lub wiedzieć coś więcej o miejscu jego kryjówki.

Agentka wcisnęła widełki telefonu i zaraz je puściła. Kiedy wystukała drugi numer podany przez Walkera, zgłosił się Kościół Braci Świętych w Portland.

Została połączona z Lindą Whitfield, która także nic nie słyszała o ucieczce.

Kobieta zareagowała na wiadomość zupełnie inaczej: w słuchawce zapadła cisza przerywana ledwie słyszalnym mamrotaniem. Dance zdołała wychwycić tylko słowa „dobry Jezu”.

Nie brzmiało to jednak jak wyraz zaskoczenia, ale modlitwa. Głos ucichł, a może przerwało się połączenie.

– Halo? – powiedziała Dance.

– Tak, jestem – odrzekła Linda.

Dance zadała jej te same pytania co Rebecce Sheffield.

Linda od lat nie miała żadnych wiadomości od Pella – mimo że przez półtora roku po morderstwie Croytonów korespondowali ze sobą. W końcu przestała pisać i więcej już się do niej nie odezwał. Nie miała też żadnych informacji na temat miejsca pobytu Samantha McCoy, choć do niej także w zeszłym miesiącu dzwonił

Morton Walker. Agentka uspokoiła ją, że wiedzą o pisarzu i są przekonani, iż nie współpracuje z Pellem.

Linda nie potrafiła udzielić jej żadnych wskazówek na temat ewentualnego miejsca pobytu Pella. Nie miała pojęcia, kto mógłby być jego współnikiem.

– Nie znamy jego zamiarów – oznajmiła jej Dance. – Nie mamy powodów przypuszczać, aby była pani w niebezpieczeństwie, ale...

– Och, Daniel na pewno by mnie nie skrzywdził – odrzekła szybko.

– Mimo to byłoby lepiej, gdyby zawiadomiła pani miejscową policję.

– Zastanowię się nad tym. – Po chwili Linda spytała: – Czy jest jakaś gorąca linia, pod którą można dzwonić i pytać, co się dzieje?

– Nie mamy żadnego specjalnego numeru. Ale prasa trzyma rękę na pulsie.

Jeżeli poznamy nowe szczegóły, od razu dowie się pani o nich z wiadomości telewizyjnych.

– Och, mój brat nie ma telewizora.

Nie ma telewizora?

– Wobec tego dam pani znać, gdyby zdarzyło się coś ważnego. Jeżeli przypomni się pani coś jeszcze, proszę zadzwonić. – Dance podała jej swoje numery i odłożyła słuchawkę.

Kilka minut później do sali wkroczył szef CBI Charles Overby.

– Myślę, że konferencja prasowa poszła nieźle. Zadali mi parę drażliwych pytań. Jak zawsze. Ale muszę przyznać, że dobrze sobie z nimi poradziłem. Trzeba być o krok przed nimi. Widziałaś? – Wskazał stojący w kącie telewizor, którego nikomu nie chciało się nastawić głośniej, by posłuchać jego występu.

– Przegapiłam, Charles. Rozmawiałam przez telefon.

– Kto to? – zapytał Overby. Przyglądał się Walkerowi z taką miną, jak gdyby pisarz powinien go znać.

Gdy Dance mu go przedstawiła, agent natychmiast przestał się nim interesować.

– Coś się ruszyło? – Rzucił okiem na mapy.

– Nie ma żadnych meldunków – odparła Dance. Następnie poinformowała go, że skontaktowała

się z dwiema kobietami, które należały do Rodziny Pella. – Jedna jest z San Diego, druga z Portland, a trzeciej właśnie szukamy. Przynajmniej udało się ustalić, że dwie pierwsze nie były współniczkami.

– Dlatego, że im uwierzyłaś? – spytał Overby. – Odgadłaś to z barwy ich głosu?

Nikt z obecnych w sali funkcjonariuszy się nie odezwał, dlatego Dance sama postanowiła wskazać przełożonemu szczegół, na który nie zwrócił uwagi.

– Nie sądzę, żeby zdążyły podłożyć bomby i wrócić do domu.

Nastąpiła chwila ciszy. Overby rzekł:

– Ach, więc dzwoniłaś do nich do domu. Nie mówiłaś.

Kathryn Dance, była dziennikarka i konsultantka przy selekcji przysięgłych, zdążyła już dobrze poznać prawa rządzące światem. Unikając wzroku TJ-a, powiedziała:

– Masz rację, Charles. Nie mówiłam. Przepraszam.

Szef CBI zwrócił się do O'Neila:

– Mamy ciężką sprawę, Michael. Mnóstwo aspektów. Cieszę się, że możesz nam pomóc.

– Cieszę się, że mogę się przydać.

To był Charles Overby w najlepszym wydaniu. Mówiąc „możesz nam pomóc”, niedwuznacznie dawał do zrozumienia, kto tu dyryguje, a jednocześnie nie pozostawiał wątpliwości, że biuro szeryfa także się naraża.

Więcej okazji, by zrzucić winę...

Overby oznajmił, że wraca do biura CBI, po czym opuścił salę konferencyjną.

Dance zwróciła się do Mortona Walkera:

– Ma pan jakieś materiały o Pellu, na które mogłabym rzucić okiem?

– Myślę, że tak. Dlaczego chce je pani zobaczyć?

– Jakaś informacja mogłaby nam podpowiedzieć, dokąd się wybrał – rzekł O'Neil.

– Mam kopie – odparł pisarz. – Nie oryginały.

– Wystarczą – zapewniła go Dance. – Ktoś od nas zjawi się po nie u pana.

Gdzie pan pracuje?

Walker urządził biuro w wynajętym domu w Monterey. Podał Dance adres i numer telefonu, a potem zaczął pakować swoje rzeczy do torby. Dance zerknęła na nią.

– Proszę poczekać.

Walker zauważył przedmiot jej zainteresowania. Uśmiechnął się.

– Z największą przyjemnością.

– Słucham?

Wziął egzemplarz jednej ze swoich książek, „Ślepą wiarę”, i złożył na niej zamaszysty autograf.

– Dziękuję. – Odłożyła książkę, wskazując rzecz, o którą jej chodziło. – Mam na myśli aparat.

Robił pan rano jakieś zdjęcia? Przed pożarem?

– Ach. – Skwitował nieporozumienie gorzkim uśmiechem. – Owszem.

– To cyfrowy aparat?

– Zgadza się.

– Możemy je obejrzyć?

Walker wziął canona i zaczął manipulować przyciskami. Dance i O'Neil pochyłili się nad maleńkim ekranem z tyłu aparatu. Agentka poczuła zapach nowego płynu po goleniu. Bliskość

detektywa dodawała jej otuchy.

Pisarz przeglądał zdjęcia. Większość ukazywała ludzi wchodzących do sądu.

Było też kilka artystycznych ujęć frontu gmachu we mgle.

Nagle agentka i detektyw chórem powiedzieli:

– Chwileczkę.

Fotografia, na jaką patrzyli, przedstawiała podjazd prowadzący do miejsca, gdzie wybuchł pożar. Widać było na niej czyjąś sylwetkę za samochodem, tylko głowę i ramiona, w niebieskiej kurtce, czapce bejsbolowej i ciemnych okularach.

– Jest na tym godzina?

Walker spojrział na odczyt.

Dziewięta dwadzieścia dwie.

– Akurat by się zgadzało – powiedziała Dance, mając na myśli przypuszczalny czas podłożenia bomby określony przez komendanta straży.

Może pan powiększyć to zdjęcie? zapytała.

– Nie w aparacie.

TJ oświadczył, że nie ma sprawy, zaraz to zrobi w swoim komputerze. Walker podał mu kartę pamięci, a Dance wysłała TJ-a do centrali CBI, przypominając mu jednocześnie:

– Samantha McCoy. Znajdź ją. I ciotkę. W Bakersfield.

– Jasne, szefowo.

Rey Carraneo wciąż krążył przed budynkiem, szukając świadków. Dance była jednak przekonana, że współnik także uciekł; skoro Pell prawdopodobnie prześliznął się przez blokady, nie było żadnego powodu, by zostawać w pobliżu sądu. Poleciała agentowi także wracać do biura.

– Pójdę przygotować kopie – powiedział Walker. – Ach, proszę nie zapomnieć.

– Wręczył jej swój reportaż opatrzone podpisem. – Na pewno się pani spodoba.

Gdy wyszedł, Dance uniosła książkę.

– Wykorzystam każdą wolną chwilę. – I przekazała ją O’Neilowi do jego kolekcji.

## **Rozdział 9**

W porze lunchu na patio przed sklepem spożywczym Whole Foods w Centrum Del Monte w Monterey siedziała dwudziestokilkuletnia kobieta.

Zza opadającej zasłony mgły wolno wyłaniała się biała tarcza słońca.

Kobieta usłyszała dobiegające z oddali dźwięki: wycie syreny, gruchanie gołębia, płacz dziecka, a potem dziecięcy śmiech. Anielskie pieśni, anielskie pieśni, pomyślała Jennie Marston.

Pachniały sosny. Chłodnego powietrza nie poruszał najłżejszy wietrzyk. Było szarawo. Typowy dzień na wybrzeżu Kalifornii, lecz dziś wszystko odczuwało się intensywniej.

Tak się właśnie dzieje, kiedy jest się zakochanym i zaraz ma nadejść twój chłopak.

Ten wyczekiwany...

To ze starej piosenki, pomyślała Jennie. Jej matka podśpiewywała ją od czasu do czasu swoim zdartym głosem nałogowej palaczki, fałszując i często bełkocząc.

Jasnowłosa Jennie (naturalna kalifornijska blondynka) popijała małymi łykami kawę. Dobrą, choć drogą. Rzadko chodziła do takich sklepów (dwudziestoczeroletnia dziewczyna pracująca w firmie cateringowej bywała przede wszystkim w Albertsonsie i Safewayu), ale było to dobre miejsce na spotkanie.

Miała na sobie obcisłe džinsy, jasnoróżową bluzkę, a pod spodem czerwony biustonosz i

majteczki Victoria's Secret. Podobnie jak kawa, bielizna stanowiła luksus, na jaki Jennie nie mogła sobie pozwolić. Na niektóre rzeczy trzeba się jednak wykosztować. (Poza tym, powtarzała sobie w duchu, strój w pewnym sensie był prezentem: dla jej chłopca).

Zaraz przyszyły jej na myśl inne przyjemności. Potarła garb na nosie, raz i drugi.

Przestań, rozkazała sobie.

Ale nie posłuchała. Znowu dwa skrobnięcia.

Anielskie pieśni...

Dlaczego nie mogła go poznać rok później? Przeszłaby już operację plastyczną i byłaby piękna. Z nosem i piersiami przynajmniej da się coś zrobić. Żałowała tylko, że nie można zmienić cienkich jak zapałki ramion i chłopięcych bioder, lecz temu zadaniu nie potrafił sprostać nawet wyjątkowo utalentowany doktor Ginsberg.

*Chudzina, chudzina, chudzina... A ile jesz! Dwa razy tyle co ja, a popatrz, jak wyglądam. Pan Bóg wystawił mnie na ciężką próbę, dając mi taką córkę jak ty.*

Przyglądając się pochmurnym kobietom pchającym wózki z zakupami do swoich minivanów, Jennie zastanawiała się: czy one kochają swoich mężów?

Niemożliwe, żeby czuły do nich to, co ona do swojego chłopaka. Było jej ich żal.

Dokończyła kawę i wróciła do sklepu, by popatrzeć na ogromne ananasy, skrzynie z ziarnem, główki sałaty w zabawnych kształtach i ułożone w równiutkie szeregi steki i kotlety. Najdłużej oglądała ciasta i desery, oceniając je jak malarz studiujący płótna kolegów. Dobrze. A to niezbyt udane. Nie czuła głodu i nie chciała niczego kupować – było drogo. Po prostu nie potrafiła usiedzieć na miejscu.

*Tak właśnie powinnam ci dać na imię. Nie Wierć Się Jennie. Do ciężkiej cholery, usiądź, dziewczyno!*

Patrzyła na warzywa i owoce, patrzyła na ułożone w rzędach kawałki mięsa.

Patrzyła na kobiety, które miały nudnych mężów.

Ciekawe, czy intensywność jej uczuć bierze się po prostu stąd, że są tak świeże.

Czy po jakimś czasie zgasną? Na ich korzyść przemawiał jednak ich wiek; nie przeżywali szczenięcej namiętności dwojga nastolatków. Byli dojrzałymi ludźmi.

A najbardziej liczyło się ich pokrewieństwo dusz, które zdarza się tak rzadko.

Każde z nich doskonale wiedziało, co czuje drugie.

– Twój ulubiony kolor to zielony – powiedział do niej, gdy rozmawiali pierwszy raz. – Założę się, że śpisz pod zieloną kołdrą. To cię uspokaja.

Och, Boże drogi, miał rację. Wprawdzie to był koc nie kołdra. Ale zieloniutki jak trawa. Kim może być mężczyzna z taką intuicją?

Nagle przystanęła, słysząc strzępy prowadzonej w pobliżu rozmowy. Dwie znudzone gospodynie akurat zrobiły sobie przerwę w nudzie.

– Ktoś zginął. W Salinas. Dopiero co.

Salinas?, pomyślała Jennie.

– Aha, w czasie tej ucieczki z więzienia? Tak, właśnie się dowie działam.

– David Pell, nie, Daniel. Tak się nazywa.

Mówią, że to podobno syn Charlesa Mansona, nie?

– Nie wiem. Ale słyszałam, że zginęło parę osób.

– To nie jest dzieciak Mansona. Nie, sam się tak po prostu nazwał.

Kto to jest Charles Manson?

– Kpisz sobie ze mnie? Pamiętasz Sharon Tatę?

– Kogo?

– Słuchaj, kiedyś ty się urodziła?

Jennie podeszła do kobiet.

– Przepraszam, o czym panie rozmawiają? O jakiejś ucieczce?

– Tak, z aresztu w Salinas. Nie słyszała pani? – spytała jedna z krótkowłosych gospodyń, zerkając na nos Jennie.

Nie zwracała na to uwagi.

– Mówiła pani, że ktoś zginął?

– Jacyś strażnicy, a potem ktoś został porwany i pewnie zabity.

Wyglądało na to, że kobiety nic więcej nie wiedzą.

Czując, jak wilgotnieją jej dłonie i serce zaczyna niespokojnie bić, Jennie odwróciła się i odeszła. Spojrzała na telefon. Jej chłopak dzwonił jakiś czas temu, ale potem już się nie odezwał. Nie było żadnej wiadomości. Zadzwoiła do niego.

Nie odebrał.

Jennie wróciła do turkusowego forda thunderbirda. Nastawiła wiadomości w radiu, po czym odwróciła do siebie lusterko wsteczne. Wyciągnęła z torebki puderniczkę i pędzelek.

*Zginęło parę osób...*

Nie martw się, powiedziała sobie. W skupieniu zajęła się swoją twarzą, tak jak ją uczyła matka. Była to jedna z miłych rzeczy, jakie robiła dla Jennie. „Tu trochę rozjaśnij, tu trochę ciemniej... musimy coś zrobić z tym twoim nosem. Jakoś go zmniejszyć, żeby się tak nie rzucał w oczy. Dobrze”.

Choć matka w jednej chwili potrafiła zrujnować każdą miłą chwilę.

*Wyglądało całkiem nieźle, ale wszystko spieprzyłaś. Naprawdę nie wiem, co się z tobą dzieje? Zrób to jeszcze raz. Wyglądasz jak dziwka.*

Daniel Pell szedł wolnym krokiem, oddalając się od niewielkiego krytego garażu, przylegającego do biurowca w Monterey.

Musiał porzucić hondę civic Billy’ego trochę wcześniej, niż zamierzał. Usłyszał w wiadomościach, że policja znalazła furgonetkę Worldwide Express, czyli prawdopodobnie już się domyśliła, że miał hondę. Widocznie w ostatniej chwili udało mu się ominąć blokady.

Co ty na to, Kathryn?

Kroczył chodnikiem z pochyloną głową. Nie obawiał się pokazywać publicznie

– jeszcze nie. Nikt się go tu nie spodziewał. Zresztą inaczej już wyglądał. Poza tym, że przebrał się w cywilne ubranie, był gładko ogolony. Gdy pozbył się samochodu Billy’ego, zakradł się na tyły parkingu przed motelem i zaczął grzebać w śmieciach. Znalazł wyrzuconą maszynkę do golenia i motelową buteleczkę balsamu do ciała. Kryjąc się za kubłem, zgolił brodę.

Jego twarz musnęła powiew wiatru niosącego wyraźny zapach oceanu i wodorostów. Od lat nie czuł tej woni. Uwielbiał ją. W Capitoli można było wąchać tylko tłoczone do cel przez klimatyzatory i instalację ogrzewania powietrze, które nie pachniało niczym.

Minął go radiowóz.

Trzymać się...

Pell starał się maszerować w równym tempie, nie rozglądał się i nie zbaczał z drogi. Nagłe zmiany zachowania przyciągają uwagę. A to działa na twoją niekorzyść, wysyła ludziom sygnał

ostrzegawczy. Mogą się domyślić, dlaczego zachowujesz się inaczej, a potem wykorzystają to przeciw tobie.

Tak się właśnie stało dzisiaj w gmachu sądu.

Kathryn...

Pell starannie zaplanował przesłuchanie; gdyby udało mu się nie wzbudzić podejrzeń przesłuchującej go osoby, zamierzał wyciągnąć od niej jakieś informacje: dowiedzieć się na przykład, ilu strażników jest w sądzie i gdzie się znajdują.

Lecz ku jego zaskoczeniu Kathryn omal nie odkryła jego zamysłów.

*Zastanówmy się nad portfelem. Skąd mógł się wziąć?...*

Dlatego został zmuszony do zmiany planów. I to szybko. Zrobił, co mógł, ale ryk alarmu powiedział mu, że Dance przewidziała jego ruch. Gdyby zrobiła to pięć minut wcześniej, Pell siedziałby w furgonetce więziennej zmierzającej z powrotem do Capitoli. Plan ucieczki ległby w gruzach.

Kathryn Dance...

Ulicą przemknął kolejny radiowóz.

Wciąż nikt nie spoglądał w jego stronę i Pell spokojnie szedł dalej. Wiedział

jednak, że czas zniknąć z Monterey. Znalazł się w zatłoczonym centrum handlowym pod gołym niebem. Ujrzał sklepy: Macy's, Mervyns, a także mniejsze, sprzedające słodczy Mrs. See, książki (Pell uwielbiał i masowo pochłaniał książki – im więcej wiesz, tym większą masz kontrolę), gry wideo, sprzęt sportowy, tanie ciuchy i jeszcze tańszą biżuterię. W centrum kłębiły się tłumy klientów. Był czerwiec; w wielu szkołach właśnie skończył się semestr.

Z któregoś sklepu wyszła dziewczyna wyglądająca na studentkę college'^ Na ramieniu miała torbę, a pod żakietem czerwoną, obcisłą bluzeczkę bez rękawów.

Wystarczył rzut oka, by poczuł, jak pęcznieje w nim wielki balon. Nabrzmiewa i zaczyna go wypełniać. (Od dnia, gdy przekupił strażnika w Capitoli i zastraszył

jednego z więźniów, by go zastąpić podczas widzenia małżeńskiego z żoną, minął rok. Bardzo długi rok...).

Wpatrywał się w dziewczynę, idąc dwa metry za nią, ciesząc oczy widokiem jej włosów i obcisłych dżinsów, próbując pochwycić jej zapach, próbując zbliżyć się na tyle, by lekko się o nią otrzeć, dopuszczając się równie lubieżnego czynu, jak gdyby zaciągnął kobietę do alejki i grożąc jej nożem rozkazał, aby się rozebrała.

Daniel Pell wiedział, że gwałtu w istocie dokonuje się wzrokiem.

Ach, ale nagle dziewczyna skręciła do drugiego sklepu, znikając z jego życia.

Moja strata, skarbie, pomyślał.

Ale nie twoja, rzecz jasna.

Na parkingu Pell zobaczył forda thunderbirda w kolorze jaj drozda. W samochodzie dojrzał kobietę, która czesała długie, jasne włosy.

Ach...

Podszedł bliżej. Miała garbaty nos, była chuda jak patyk, a biustem na pewno nie mogła się pochwalić. Mimo to bańka w jego ciele rosła nadal, powiększając się dziesięć, sto razy. Jeszcze chwila, a pęknie.

Daniel Pell rozejrzył się dookoła. W pobliżu nie było nikogo.

Ruszył w stronę forda, mijając rzędy aut i z każdym krokiem zmniejszając odległość.

Jennie Marston skończyła się czesać. Ze wszystkich elementów swojego ciała najbardziej lubiła włosy. Były lśniące i gęste, a gdy potrzasała głową, spływały na twarz jak falujące w zwolnionym tempie włosy modelki z telewizyjnej reklamy szamponu. Ustawiła z powrotem lusterko wsteczne. Wyłączyła radio. Dotknęła garbu na nosie.

Przestań!

Sięgając do klamki, zamarła zaskoczona. Drzwi otwierały się same.

Jennie nie mogła wykrztusić ani słowa, patrząc na pochylonego nad nią muskularnego mężczyznę.

Przez trzy czy cztery sekundy żadne z nich ani drgnęło. Wreszcie mężczyzna pociągnął drzwi, otwierając je na całą szerokość.

– Wyglądasz cudownie, Jennie Marston – powiedział. – Jesteś ładniejsza, niż sobie wyobrażałem.

– Och, Daniel. – Obezwładniona emocjami – lękiem, ulgą, poczuciem winy, żarem parzących uczuć – Jennie Marston nie potrafiła wykrztusić ani jednego słowa więcej. Bez tchu wyskoczyła z samochodu i rzuciła się w ramiona swojego chłopaka, drżąc i tuląc się do jego wąskiej piersi z taką siłą, że z jego ust wydobył się przeciągły syk.

## **Rozdział 10**

Gdy wsiedli do forda, Jennie oparła głowę na jego ramieniu, a Daniel uważnie rozglądał się po parkingu i najbliższej ulicy.

Jennie rozmyślała o trudach minionego miesiąca, który spędziła na pracowitym tworzeniu związku za pomocą e-maili, rzadkich rozmów telefonicznych i marzeń, nie mając ani jednej okazji do osobistego spotkania z ukochanym. Mimo to wiedziała, że o wiele lepiej budować uczucie właśnie w ten sposób – na odległość.

Była w podobnej sytuacji jak kobiety w kraju podczas wojny, a znała te czasy z opowieści matki o ojcu, który walczył w Wietnamie. Oczywiście potem się dowiedziała, że to wszystko było kłamstwem, lecz ten fakt nie zmieniał

najważniejszej prawdy: miłość rodzi się ze związku dusz, a seks pojawia się dopiero później.



Nigdy dotąd nie doświadczyła tego, co czuła do Daniela Pella.

Uczucie napawało ją radością.

Ale i lękiem.

Jej oczy wypełniły się łzami. Nie, nie, przestań. Nie płacz. Nie spodoba mu się, że ryczysz. Mężczyźni zawsze się o to wściekają.

Lecz on spytał łagodnym tonem:

– Co się stało, najdroższa?

– Nic, jestem taka szczęśliwa.

– No, powiedz.

Nie wydawał się wcale wściekły. Po krótkim wahaniu powiedziała:

– Tak sobie pomyślałam... W sklepie spożywczym spotkałam dwie kobiety, a potem włączyłam wiadomości. I słyszałam... że ktoś został poważnie poparzony.

Policjant. I że zginęło dwóch ludzi. Zakłuci nożem.

Daniel mówił jej wcześniej, że noża będzie potrzebował tylko po to, żeby postraszyć strażników. Nie zamierzał robić im krzywdy. Co? warknął. W

niebieskich oczach zamigotała złość.

Nie, nie, co ty wyprawiasz?, wpadła w popłoch Jennie. Rozgniewałaś go! Po co go o to zapytałaś? Wszystko spieprzyłaś! Jej serce zatrzepotało ze strachu i miała ochotę się rozpłakać.

– Znowu to zrobili. Zawsze to samo! Kiedy wychodziłem, nikt nie był ranny.

Przecież uważałem! Uciekłem przez wyjście ewakuacyjne, tak jak planowaliśmy, i zatrzasnąłem drzwi. – Pokiwał głową. – Już wiem... no jasne. W celi obok mnie siedzieli inni więźniowie. Chcieli, żebym ich wypuścił, ale tego nie zrobiłem.

Pewnie zaczęli się awanturować, a kiedy strażnicy przyszli ich uspokoić, wtedy zginęli ci dwaj. Tamci pewnie mieli kosy. Wiesz, co to jest?

– Nóż, prawda?

– Domowej roboty. Tak to wyglądało. A jeżeli ktoś został poparzony, to po prostu nie uważał. Byłem bardzo ostrożny – kiedy uciekałem przez ogień, nikogo tam nie było. Jak mógłbym sam jeden zabić trzech ludzi? To śmieszne. Ale policja i dziennikarze jak zawsze całą winę zrzucają na mnie. – Jego szczupła twarz poczerwieniała. – Łatwy ze mnie cel.

– Tak samo jak z tamtą rodziną osiem lat temu – powiedziała nie pewnie, starając się go uspokoić. Daniel opowiadał jej, jak poszedł z przyjacielem do domu Croytonów, żeby podsunąć komputerowemu geniuszowi pewien pomysł na świetny interes. Kiedy jednak dotarli na miejsce, okazało się, że przyjaciel ma zupełnie inny pomysł – chciał okraść dom. Ogłuszył Daniela i zaczął zabijać po kolei całą rodzinę. Gdy Daniel się ocknął, próbował go powstrzymać i musiał zabić przyjaciela w obronie własnej.

– Uznali, że to ja jestem winien – sama wiesz, jak nie cierpimy sytuacji, kiedy ginie morderca. Gdy na przykład ktoś wpada do szkoły, strzela do uczniów, a potem do siebie. Chcemy złapać bandytę żywego. Musimy mieć winnego. Taka jest ludzka natura.

Ma rację, pomyślała Jennie. Poczwała ulgę, choć wciąż nie mogła sobie darować, że tak go zdenerwowała.

– Przepraszam, kochanie. W ogóle nie powinnam o tym wspominać.

Spodziewała się, że każe się jej zamknąć, a może nawet wyrzuci ją z samochodu. Lecz ku jej zaskoczeniu, pogładził ją po włosach.

– Możesz mnie pytać o wszystko.

Znów się w niego wtuliła. Czując łzy na policzkach, otarła je dłonią. Makijaż zbił się w grudki. Odsunęła się od Daniela, spoglądając na palce. Och, nie. Tylko nie to! Chciała być dla niego piękna.

Powrócił lęk, przesywając ją na wskroś.

*Och, Jennie, chcesz chodzić z taką fryzurą? Na pewno?... Nie wolisz grzywki?*

*Zastłoniłabyś to swoje wysokie czoło.*

A jeżeli nie spełni jego oczekiwań? Daniel Pell ujął jej twarz w silne dłonie.

– Najdroższa, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaka chodzi po ziemi. Niepotrzebny ci żaden makijaż.

Jak gdyby czytał w jej myślach. Znowu zaczęła płakać.

– Bałam się, że ci się nie spodobam.

– Nie spodobasz? Skarbie, kocham cię. Nie pamiętasz, co pisałem w e-mailach?

Jennie знаła na pamięć każde słowo z jego listów. Spojrzała mu w oczy, ściskając mocno jego dłonie.

– Och, jesteś taki cudowny.

Przycisnęła usta do jego ust. Mimo że w wyobraźni kochała się z nim przynajmniej raz dziennie, to był ich pierwszy pocałunek. Poczwała na wargach jego zęby, jego język. Trwali w namiętym uścisku chyba całą wieczność, choć w rzeczywistości mogło to trwać zaledwie sekundę. Jennie straciła poczucie czasu.

Pragnęła mieć go w sobie, czuć na skórze jego pulsującą pierś.

Miłość rodzi się między dwiema duszami, ale bardzo szybko trzeba zaangażować ciała. Przesunęła dłonią po jego obnażonym, muskularnym udzie.

Daniel zaśmiał się cicho.

– Wiesz co, najdroższa, może już jedźmy.

– Oczywiście, jak dobie życzysz.

– Masz ten telefon, przez który rozmawialiśmy? – zapytał. Daniel polecił jej kupić za gotówkę trzy telefony komórkowe na kartę. Podała mu aparat, pod który dzwonił zaraz po ucieczce. Otworzył telefon, wyciągnął baterię oraz kartę SIM i wyrzucił je do kosza na śmieci, po czym z powrotem wsiadł do samochodu.

– A tamte?

Wyciągnęła pozostałe telefony. Oddał jej jeden, a drugi wsunął do kieszeni.

– Powinniśmy...

Niedaleko rozległ się dźwięk syreny. Oboje zamarli. Anielskie pieśni, pomyślała Jennie, a potem dwanaście razy powtórzyła swoją szczęśliwą mantrę.

Wycie syren ucichło w oddali.

– Jedźmy, najdroższa.

Skinęła głową.

– Mogą tu wrócić – powiedziała, wskazując w kierunku syren.

Daniel uśmiechnął się.

– O to się nie martwię. Chcę, żebyśmy zostali sami.

Wstrząsnął nią dreszcz szczęścia przesywający niemal do bólu.

Centrala środkowozachodniego regionu Biura Śledczego Kalifornii, gdzie pełniło służbę kilkudziesięciu agentów, zajmowała nowoczesny piętrowy budynek niedaleko autostrady numer 68, nieróżniący się niczym od otaczających go budowli: funkcjonalnych klocków z kamienia i szkła, w

których mieściły się gabinety lekarzy, kancelarie adwokackie, przedsiębiorstwa budowlane, komputerowe i tak dalej. Pieczołowicie zaprojektowany krajobraz był nudny, parkingi zawsze w połowie puste. W okolicy wznosiły się łagodne wzgórza, które dzięki niedawnym deszczom przybrały jasnozieloną barwę. Ziemia często była brązowa jak w Kolorado podczas suszy.

Odrzutowiec United Express nagle położył się na skrzydło, lecz zaraz wyrównał lot, znikając za drzewami i podchodząc do lądowania na pobliskim lotnisku – Monterey Peninsula.

Kathryn Dance i Michael O’Neil byli w sali konferencyjnej CBI na parterze, tuż pod gabinetem Kathryn. Stali obok siebie, patrząc na dużą mapę ścienną, gdzie zaznaczono zablokowane drogi – tym razem za pomocą pinezek, nie samoprzylepnych karteczek z motywem entomologicznym. Nadal nikt nie widział

hondy należącej do kuriera Worldwide Express, a sieć blokad przesunięto na odległość pięćdziesięciu kilometrów od miasta.

Kathryn Dance zerknęła na kanciastą twarz O’Neila, wyczytując w niej mieszaninę zdecydowania i niepokoju. Dobrze znała detektywa. Poznali się przed wielu laty, kiedy pracowała jako konsultantka, badając zachowanie i reakcje ewentualnych członków ławy przysięgłych podczas selekcji i doradzając prawnikom, których kandydatów powinni wybrać, a których wyeliminować.

Pomagała prokuratorom federalnym selekcjonować przysięgłych w procesie gangsterów, w którym O’Neil był głównym świadkiem. (Co ciekawe, swojego nieżyjącego męża poznała w podobnych okolicznościach, gdy jako dziennikarka obserwowała proces w Salinas, a on był świadkiem oskarżenia).

Dance i O’Neil zostali bliskimi przyjaciółmi. Odkąd Kathryn postanowiła wstąpić do służby i została przyjęta do regionalnego biura CBI, często współpracowała z detektywem. Stan Fishburne, ówczesny szef biura, był jej głównym mentorem, a O’Neil drugim. W ciągu sześciu miesięcy nauczyła się od niego więcej o sztuce prowadzenia śledztw niż w ciągu całego szkolenia.

Wspaniale się uzupełniali. Milczący i spokojny detektyw był zwolennikiem tradycyjnych technik policyjnych, takich jak kryminalistyka, operacje pod przykryciem, obserwacja i korzystanie z tajnych informatorów, podczas gdy Dance specjalizowała się w rozmowach z ludźmi i przesłuchiwanie świadków oraz ofiar.

Wiedziała, że nie byłaby taką agentką jak dziś bez pomocy O’Neila. Bez jego poczucia humoru i cierpliwości (a także innych istotnych talentów: na przykład zanim weszła na pokład jego łodzi, zawsze się upewniał, czy zażyła dramamine).

Mimo że różnili się w podejściu do pracy i umiejętnościach, kierowały nimi podobne emocje i nadawali na tych samych falach. Z rozbawieniem zauważyła, że choć Michael cały czas patrzył na mapę, równocześnie odbierał wysyłane przez nią sygnały.

– O co chodzi? – spytał.

– To znaczy?

– Coś cię gnębi. Poza tym, że postawili cię u steru całej akcji.

– Tak. – Zastanowiła się przez chwilę. O’Neil miał tę właściwość, że często ją zmuszał, aby poukładała w głowie rozproszone myśli, zanim się odezwała. – Mam złe przecucia co do Pella – wyjaśniła. – Wydaje mi się, że śmierć strażników nic dla niego nie znaczyła. Juan też. I ten kurier Worldwide Express. Pewnie nie żyje.

– Pewnie tak.. Myślisz, że Pell chce zabijać?

– Nie, nie to, że chce. Ani że nie chce. Ale jest gotów zrobić wszystko, co przyniesie mu jakąś

korzyść, choćby najmniejszą. Przez to wydaje się groźniejszy i tym trudniej przewidzieć jego następny ruch. Ale miejmy nadzieję, że się mylę.

– Nigdy się nie mylisz, szefowo. – W sali zjawił się TJ, niosąc laptopa. Postawił

komputer na zniszczonym stole konferencyjnym pod tablicą „Najbardziej poszukiwani w Kalifornii”. Pod napisem wisiały zdjęcia dziesięciu zwycięzców tego konkursu, reprezentujących strukturę demo graficzną stanu: Latynosi, biali, Azjaci i Afroamerykanie, w takiej właśnie kolejności.

– Znalazłeś tę McCoy albo ciotkę Pella?

– Jeszcze nie. Moi ludzie nad tym pracują. Ale popatrzcie na to. – Odwrócił do nich ekran laptopa.

Pochylili się nad nim, oglądając zdjęcie z aparatu Mortona Walkera w dużej rozdzielczości. Na powiększonej i wyraźniejszej fotografii widać było sylwetkę w dżinsowej kurtce na podjeździe prowadzącym na tyły budynku, gdzie wybuchł

pożar. Cień przedzierzgnął się w dużą czarną walizkę.

Kobieta? – zapytał O’Neil.

Potrafili ocenić wzrost tajemniczej postaci, porównując ją z zaparkowanym obok samochodem. Osoba była mniej więcej wzrostu Dance – metr sześćdziesiąt pięć – ale trochę szczuplejsza. Czapka i okulary zasłaniały twarz i głowę, choć przez okno auta można było dostrzec biodra, nieco szersze niż mógłby mieć mężczyzna tego samego wzrostu.

– A tu coś błyszczący. Widzicie? – TJ postukał w ekran. – Kolczyk.

Dance zerknęła na jego przekłute ucho, które od czasu do czasu zdobił maleńki brylancik lub metalowy ćwieczek.

– Statystycznie rzecz biorąc – bronił swojego spostrzeżenia TJ.

– W porządku. Zgadza się.

– Blondynka, wzrost około metr sześćdziesiąt pięć – podsumował O’Neil.

– Waga mniej więcej pięćdziesiąt kilogramów – dodała Dance. Coś jej przyszło na myśl.

Zadzwoń do Reya Carraneo, który znajdował się piętro wyżej i poprosiła, by do nich przyszedł.

Zjawił się błyskawicznie.

– Słucham, agentko Dance.

– Pojedziesz z powrotem do Salinas. Porozmawiasz z kierownikiem punktu You Mail It. –

Najprawdopodobniej współpracująca Pella niedawno sprawdzała rozkład kursów Worldwide Express.

– Zapytaj, czy ktoś z pracowników pamięta kobietę o podobnym rysopisie. Jeżeli tak, zrób portret w EFIT.

Program komputerowy EFIT to elektroniczna wersja dawnego zestawu do ręcznej rekonstrukcji rysów twarzy podejrzanego na podstawie szczegółów zapamiętanych przez świadków.

– Oczywiście, agentko Dance.

TJ wcisnął kilka klawiszy, wysyłając obraz JPEG do kolorowej drukarki w swoim biurze, aby Carraneo mógł wziąć wydruk zdjęcia. Zadzwoił telefon TJ-a.

– Taa. – Podczas krótkiej rozmowy zrobił kilka notatek, mówiąc na koniec: –

Kocham cię, złotko. – Rozłączył się, wyjaśniając: – Dziewczyna z urzędu stanu cywilnego w Sacramento, B-R-I-T-N-E-E. Cudowne imię. Ona też jest rozkoszna.

Za bardzo jak dla mnie. Zresztą i tak nic by z tego nie było.

Dance uniosła brew, co w kodzie kinezycznym oznaczało: „Przejdź do rzeczy”.

– Prosiłem ją, żeby zbadała sprawę zaginionej członkini Rodziny, przez duże R.

Pięć lat temu Samantha McCoy zmieniła imię i nazwisko na Sarah Monroe. Pewnie z oszczędności, żeby nie wyrzucać bielizny z monogramem. A trzy lata temu osoba o tym nazwisku wyszła za mąż za Ronalda Starkeya. Numer z monogramem przestał działać. W każdym razie mieszkają w San Jose.

– Na pewno chodzi o tę samą McCoy?

– Masz na myśli prawdziwą McCoy. Czekałem na to pytanie. Tak jest.

Potwierdził to pocziwy numer ubezpieczenia. I rada zwolnień warunkowych.

Dance zadzwoniła do biura numerów, gdzie uzyskała numer telefonu i adres Ronalda i Sarah Starkeyów.

– San Jose – rzekł O’Neil. – Niedaleko. – W przeciwieństwie do dwóch pozostałych kobiet z Rodziny, z którym Dance już rozmawiała, Samantha mogła dziś rano podłożyć bombę i wrócić do domu w ciągu półtorej godziny.

– Czy ona gdzieś pracuje? – spytała Dance.

– Nie wiem. Sprawdzę, jeżeli chcesz.

– Chcemy – odparł O’Neil. Nie był przełożonym TJ-a, a w tradycyjnej hierarchii organów ścigania CBI zajmowało wyższą pozycję niż MCSO. Mimo to prośba komendanta biura szeryfa Michaela O’Neila miała tę samą wagę co prośba agentki Dance. Jeśli nie większą.

Po kilku minutach TJ wrócił, informując ich, że według danych urzędu skarbowego Sarah Starkey jest zatrudniona przez niewielkie wydawnictwo oświatowe w San Jose.

Dance wzięła od niego numer telefonu.

– Zobaczmy, czy dzisiaj rano była w pracy.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał O’Neil. – Przecież nie może się do wiedzieć, że coś podejrzewamy.

– Och, trochę nakłamię – odparła pogodnym tonem Dance. Za dzwoniła do wydawnictwa z linii wyposażonej w blokadę identyfikacji numeru. Gdy w słuchawce odezwał się kobiecy głos, Dance powiedziała: – Dzień dobry, dzwonię z butik El Camino. Dostaliśmy zamówienie od Sarah Starkey, ale nasz kierowca mówi, że rano nie było jej w pracy. Może mi pani powiedzieć, kiedy wróci?

– Sarah? Obawiam się, że to jakieś nieporozumienie. Jest w pracy od wpół do dziewiątej.

– Naprawdę? W takim razie jeszcze raz porozmawiam z kierowcą. Może lepiej będzie dostarczyć jej towar do domu. Będę wdzięczna, jeżeli li nie powie jej pani o tej rozmowie. Chodzi o niespodziankę. – Dance odłożyła słuchawkę. Była w pracy od rana.

TJ zaczął bić brawo.

– Oskara za najlepszą rolę agentki okłamującej społeczeństwo otrzymuje...

O’Neil zmarszczył brwi.

– Nie pochwalasz moich podstępnych technik?

Typowym dla siebie drwiącym tonem O’Neil rzeki:

– Nie, ale teraz po prostu będziesz musiała jej coś wysiać. Sekretarka na pewno cię wsypie. Powie jej, że ma cichego wielbiciela.

– Już wiem, szefowo. Można jej wysłać pęk baloników z napisem „Gratulacje z okazji wykluczenia z kręgu podejrzanych”.

Stukając obcasami, do sali weszła Maryellen Kresbach, asystentka Dance, niewysoka, konkretna kobieta, niosąc kawę dla wszystkich (Dance nigdy jej o to nie prosiła; Maryellen zawsze podawała kawę). Sekretarka miała trójkę dzieci oraz słabość do szpilek, wyszukanych fryzur i fantazyjnie

malowanych paznokci.

Zespół zgromadzony w sali konferencyjnej podziękował. Dance popijała wyśmienitą kawę, żałując, że Maryellen nie przyniosła ciasteczek stojących na jej biurku. Zazdrościła sekretarce zdolności łączenia ról zapobiegliwej gospodyni i najlepszej asystentki administracyjnej, jaką kiedykolwiek miała.

Agentka zauważyła, że Maryellen ociąga się z wyjściem.

– Nie wiedziałam, czy można ci zawracać głowę, ale dzwonił Brian.

– Tak?

– Nie był pewien, czy w piątek dostałaś od niego wiadomość.

– Przecież mi ją przekazałaś.

– Wiem. Nie powiedziałam mu, że przekazałam. Ani że nie przekazałam. W każdym razie dzwonił.

Czując na sobie wzrok O'Neila, Dance odrzekła:

– Aha, dziękuję.

– Chcesz jego numer?

– Mam.

– Aha. – Sekretarka wciąż niewzruszenie stała przed swoją szefową, wolno kiwając głową.

Zapadło nieco kłopotliwe milczenie.

Dance nie miała ochoty rozmawiać o Brianie Gundersonie.

Z opresji wybawił ją terkot telefonu.

Słuchała przez chwilę, po czym poleciła:

– Niech ktoś go zaraz do mnie przyprowadzi.

## **Rozdział 11**

Potężny mężczyzna w mundurze Departamentu Więziennictwa i Resocjalizacji usiadł przed jej biurkiem – zwyczajnym służbowym meblem, na którym obok lampy i oprawionych listów pochwalnych poniewierały się przeróżne długopisy.

Na blacie stały także zdjęcia: dzieci, Dance z przystojnym, siwowłosym mężczyzną, jej rodziców i dwóch psów w towarzystwie jej córki i syna. Na tanim laminacie leżało kilkanaście teczek z aktami. Zakrytych.

– To straszne – powiedział Tony Waters, starszy strażnik z zakładu karnego Capitola. – Naprawdę.

Dance dosłyszała ślad akcentu południowo-wschodniego. Na półwysep Monterey ściągali ludzie z całego świata. Dance i Waters byli teraz sami. Michael O'Neil poszedł sprawdzić, czy są wyniki analizy dowodów zebranych na miejscu zdarzenia.

– Kierował pan blokiem, w którym był uwięziony Pell? – zapytała Dance.

– Zgadza się. – Masywny i lekko przygarbiony Waters wyprostował się na krześle. Wyglądał na około pięćdziesiąt pięć lat.

– Czy Pell kiedykolwiek mówił panu, dokąd chce się wybrać po wyjściu?

– Nie. Od jego ucieczki ciągle łamię sobie nad tym głowę. Kiedy tylko się dowiedziałem, usiadłem i zacząłem sobie przypominać wszystko, co mówił w zeszłym tygodniu i wcześniej. Ale nie, nic takiego nie powie dział. Musi pani wiedzieć, że w ogóle mało mówił. Przynajmniej do nas, klawiszy.

– Bywał w bibliotece?

– Często tam przesiadywał. Ciągłe coś czytał.

– Mogę się dowiedzieć co?

– Nie prowadzimy rejestru, a więźniom wolno wypożyczać wszystko.

Ktoś go odwiedzał?

– W zeszłym roku nikt.

– A telefony? Rozmowy są rejestrowane?

– Tak. Ale nie nagrywane. – Zastanowi! się. – Nie rozmawiał za często, chyba że z dziennikarzami, którzy chcieli z nim przeprowadzić wywiad. Sam nigdy nie oddzwaniał. Raz czy dwa rozmawiał z ciotką. Innych telefonów nie pamiętam.

– A komputery, e-maile?

– Nie są dla więźniów. Oczywiście mamy komputery, ale tylko do swojej dyspozycji. Są w specjalnej części więzienia – w strefie kontrolnej. Ściśle tego przestrzegamy. Myślałem o tym i jeżeli kontaktował się z kimś za murami...

– Bo na pewno się kontaktował – zauważyła Dance.

– No tak. W każdym razie musiał to zrobić przez kogoś, kto został zwolniony.

Można to sprawdzić.

– Też o tym pomyślałam. Rozmawiałam z pańską naczelniczką. Mówiła, że w ciągu zeszłego miesiąca zwolniono tylko dwie osoby, ale kuratorzy wykluczyli ich udział w dzisiejszym zdarzeniu. Zwolnieni mogli jednak przekazać komuś wiadomość. Funkcjonariusze sprawdzają tę możliwość.

Zauważyła, że Waters zjawił się u niej z pustymi rękami.

– Czy przekazano panu naszą prośbę o przywiezienie rzeczy z jego celi?

Strażnik spochmurniał. Pokręcił głową, spuszczać oczy.

– Tak, ale cela była pusta. Nie znalazłem w niej zupełnie nic. Prawdę mówiąc, stała pusta przez dwa dni. – Uniósł głowę, zaciskając usta, jak gdyby coś rozważał.

Potem odwrócił wzrok, mówiąc: – Nie zdążyłem.

– Z czym pan nie zdążył?

– Chodzi o to, że pracowałem w San Quentin, w Soledad i Lompoc. I paru innych pułdach. Nauczyliśmy się zwracać uwagę na pewne rzeczy. Widzi pani, jeżeli szykuje się coś poważnego, cele od razu się zmieniają. Znikają z nich różne rzeczy – czasem dowody planowanej ucieczki albo dowody na to, że więzień narobił sobie jakiegoś gnoju za kratami i nie chce, żebyśmy się o tym dowiedzieli.

Albo ślady czegoś, co dopiero chce zrobić. Bo wie, że potem będziemy oglądać jego celę pod mikroskopem.

– Ale nie przypuszczał pan, że Pell może się czegokolwiek pozbywać.

– Nigdy nie mieliśmy ucieczki z Capitoli. To się po prostu nie może zdarzyć.

Nigdy nie spuszczaamy więźniów z oka, więc żaden nie ma szans stuknąć drugiego

– to znaczy zabić. – Strażnik zaczerwienił się. – Powinienem się czegoś domyślić.

Gdyby to było w Lompoc, od razu bym wiedział, że coś się kroi. – Przetarł oczy.

Schrzaniłem sprawę.

– Trudno przewidzieć tak gwałtowny przeskok – uspokoiła go Dance. – Od zwykłej codzienności do decyzji o ucieczce.

Wzruszył ramionami i zaczął oglądać swoje paznokcie. Nie nosił żadnej biżuterii, lecz Dance zauważyła na palcu wgłębienie po obrączce. Przyszło jej na myśl, że w jego wypadku nie jest to

oznaka niewierności, ale ustępstwo na rzecz pracy. Krążąc wśród niebezpiecznych kryminalistów, prawdopodobnie lepiej było nie nosić niczego, co mogliby ukraść.

– Wygląda na to, że już długo pracuje pan w zawodzie.

– Szmata czasu. Wstąpiłem do służby więziennej zaraz po wojsku. I do dzisiaj w niej jestem. – Przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach, uśmiechając się szeroko. – Czasami wydaje mi się, że całe wie ki. A czasem, jakby minął jeden dzień. Do emerytury mam dwa lata. Śmieszne, ale chyba będzie mi tego brakowało. – Kiedy się zorientował, że nie czeka go chłosta za brak czujności, zaczął się zachowywać swobodniej.

Dance spytała go, gdzie mieszka i czy ma rodzinę. Powiedział, że jest żonaty i ze śmiechem uniósł lewą dłoń: jej podejrzenia co do obrączki okazały się słuszne.

Ma dwoje dzieci i oboje, jak dodał z dumą, wybierają się do college'u.

Podczas pogawędki ze strażnikiem w głowie Dance paliła się już jednak lampka ostrzegawcza. Działo się coś niedobrego.

Tony Waters kłamał.

Często fałsz pozostaje niewykryty po prostu dlatego, że oszukiwana osoba nie spodziewa się kłamstwa. Dance poprosiła Watersa o informacje na temat Daniela Pella, nie zamierzając przeprowadzać przesłuchania. Gdyby Waters był

podejrzany lub wrogo nastawionym świadkiem, szukałaby u niego oznak stresu podczas gdy odpowiadał na pewne pytania, a następnie drażyłaby newralgiczne tematy, dopóki nie przyznałby się do kłamstwa i w końcu powiedziałby prawdę.

Taki proces jest jednak możliwy tylko wówczas, gdy ustali się wzorzec typowego zachowania przesłuchiwanego jeszcze przed rozpoczęciem zadawania drażliwych pytań, a Dance oczywiście nie miała powodu tego robić, ponieważ założyła, że strażnik będzie z nią rozmawiał szczerze.

Ale mimo braku wzorca porównawczego spostrzegawczy przesłuchujący potrafi czasem zauważyć fałsz. Dość wiarygodną wskazówkę kłamstwa stanowią dwie reakcje: lekko podwyższony ton głosu spowodowany napięciem strun głosowych pod wpływem emocji, jakie u większości ludzi wywołuje kłamstwo, oraz pauzy przed i podczas udzielania odpowiedzi, gdyż wprowadzenie kogoś w błąd wymaga wysiłku intelektualnego. Każdy, kto kłamie, musi się stale zastanawiać, co na ten temat powiedział wcześniej i co mówili inni, a potem wymyślić odpowiedź zgodną z poprzednimi wypowiedziami i wiedzą przesłuchiwanego.

W rozmowie ze strażnikiem Dance zwróciła uwagę, że kilka razy bez widocznej przyczyny w głosie Watersa zabrzmiała wyższa nuta i nastąpiły krótkie przerwy. Kiedy to zauważyła, zaczęła pilnie obserwować jego zachowanie i przekonała się, że może ono sugerować fałsz: podawał więcej informacji, niż to było konieczne, robił dygresje, wykonywał gesty negacji – dotykał głowy, nosa i oczu – oraz gesty odrzucenia, odwracając się od niej.

Gdy tylko pojawiają się dowody kłamstwa, rozmowa przechodzi w fazę przesłuchania i zmienia się postawa funkcjonariusza. W tym momencie Dance przestała pytać o Pella i zaczęła poruszać tematy, na które nie miał powodu kłamać

– mówił o swoim życiu osobistym, o półwyspie i tak dalej. Zamierzała w ten sposób ustalić wzorzec stałego zachowania.

Jednocześnie Dance przeprowadzała standardową, czteroczęściową analizę przesłuchiwanego, aby wiedzieć, jak taktycznie zaplanować przesłuchanie.

Najpierw zadała sobie pytanie, na czym polegała jego rola w incydencie.



Doszła do wniosku, że Tony w najlepszym razie był niechętnym do współpracy świadkiem; w najgorszym, współnikiem Pella.

Po drugie, czy miał motyw, by kłamać? Oczywiście. Waters nie chciał zostać aresztowany ani stracić pracy dlatego, że umyślnie lub przez własne zaniedbanie ułatwił Pellowi ucieczkę. Mógł mieć także osobisty albo finansowy interes, aby pomagać mordercy.

Po trzecie, jaki typ osobowości reprezentuje Waters? Taka informacja jest potrzebna przesłuchującym, żeby mogli właściwie postępować z przesłuchiwanym

– czy powinni być agresywni, czy raczej pojednawczy? Niektórzy funkcjonariusze zadowolają się wiedzą, czy przesłuchiwany jest introwertykiem czy ekstrawertykiem, co na ogół wystarcza do ustalenia stopnia asertywności. Dance wołała się jednak posługiwać szerszą klasyfikacją, używając typologii Myers-Briggs, uwzględniającej, poza rozróżnieniem postawy ekstrawertycznej i introwertycznej, trzy inne opozycje cech osobowościowych: typ myślący i czujący, percepcyjny i intuicyjny oraz uporządkowany i spontaniczny.

Dance doszła do wniosku, że Waters jest myślącym, percepcyjnym, uporządkowanym ekstrawertykiem, co oznaczało, że mogła się z nim obchodzić mniej łagodnie niż z bardziej emocjonalną i skrytą osobą oraz wykorzystywać do obalenia kłamstw różne techniki karania i nagradzania.

Na koniec zadała sobie pytanie, z jakim rodzajem „osobowości kłamcy” ma do czynienia. Jest kilka typów, na przykład manipulatorzy, czyli „makiaweliści” (stosujący metody bezwzględnie włoskiego księcia), beczelnie kłamią, nie widząc w tym nic złego, wykorzystując oszustwo jako narzędzie do osiągnięcia własnych celów w miłości, biznesie, polityce – albo zbrodni. Inne typy to kłamca towarzyski, który kłamie, by zabawić innych, oraz adaptatorzy – niepewni siebie ludzie, kłamiący w celu wywarcia pozytywnego wrażenia.

Zważywszy na fakt, że przez całe życie był strażnikiem więziennym, a także na łatwość, z jaką próbował przejąć inicjatywę w rozmowie i uniemożliwić jej dotarcie do prawdy, Dance uznała, że Waters należy do innej kategorii. Był

„aktorem”, dla którego istotne jest sprawowanie kontroli. Ten typ uciekał się do kłamstwa tylko wówczas, gdy było to konieczne, był mniej zręczny od makiawelisty, lecz potrafił skutecznie oszukiwać.

Dance zdjęła okulary – w modnych ciemnoczerwonych oprawkach – i udając, że musi je wyczyścić, nałożyła węższe szkła oprawione w czarny metal, „okulary drapieźnika”, w których przesłuchiwała Pella. Wstała, wyszła zza biurka i usiadła na krześle obok Watersa.

Przesłuchujący nazywają przestrzeń wokół człowieka „strefą proksemiczną”, której średnica może się wahać od półmetrowej strefy „intymnej” do strefy

„publicznej” szerokości ponad trzech metrów. Dance zwykle zajmowała miejsce w granicach strefy „osobistej”, siadając w odległości niecałego metra od przesłuchiwanego.

Waters przyglądał się temu z zaciekawieniem, lecz ani słowem nie skomentował jej ruchu. Dance także nie.

– Tony, chciałabym wrócić do kilku rzeczy, o których mówiliśmy wcześniej.

– Proszę bardzo. – Założył nogę na nogę, opierając kostkę o kolano – gest wydawał się swobodny, w istocie był jednak manewrem obronnym.

Ponownie poruszyła temat, który, jak zauważyła, wywołał u niego widoczne oznaki stresu.

– Niech mi pan jeszcze raz opowie o komputerach w Capitoli.

– O komputerach?

Odpowiadanie pytaniem na pytanie stanowiło klasyczny sygnał fałszu; przesłuchiwany stara się grać na zwłokę, próbując odgadnąć zamiary przesłuchującego i układając w myślach stosowną odpowiedź.

– Tak, jakie to komputery?

– Och, nie bardzo się znam na technice. Nie wiem. – Zaczął postukiwać butem o podłogę. – Chyba Della.

Laptopy czy stacjonarne?

– I takie, i takie. Większość stacjonarnych. To znaczy, nie mamy setek komputerów, o nie. – Posiał jej konspiracyjny uśmiech. – Budżet stał nowy i tak dalej. – Zaczął mówić o niedawnych cięciach w Departamencie Więziennictwa, a Dance uznała tę opowieść za interesującą tylko dlatego, że była to bezceremonialna próba odwrócenia jej uwagi.

Skierowała rozmowę na właściwe tory.

– Pomówmy o dostępie do komputerów. Proszę mi jeszcze raz o tym opowiedzieć.

– Jak mówiłem, więźniom nie wolno z nich korzystać.

Formalnie rzecz biorąc, zdanie było zgodne z prawdą. Nie powiedział jednak wprost, że więźniowie z nich nie korzystają. Fałsz to nie tylko wierutne kłamstwa, ale także wymijające odpowiedzi.

– A czy mogą mieć do nich dostęp?

– Niezupełnie.

Tak jak prawie w ciąży i trochę martwy.

– Co to znaczy, Tony?

– Chciałem powiedzieć, nie, nie mają.

– Wspominał pan jednak, że pracownicy biura i strażnicy mają dostęp.

– Zgadza się.

– A dlaczego więzień nie mógłby skorzystać z komputera?

Waters mówił na początku, że to niemożliwe, ponieważ komputery są w „strefie kontrolnej”. Przypomniała sobie gest odrzucenia i podwyższony ton głosu, gdy wymawiał tę nazwę.

Zamilkł na sekundę, próbując – jak przypuszczała – przypomnieć sobie, co powiedział.

– Są w części więzienia z ograniczonym dostępem. Wolno tam wchodzić tylko skazanym za drobniejsze przestępstwa. Niektórzy pomagają w biurach, oczywiście pod nadzorem. Mają obowiązki administracyjne. Ale nie mogą korzystać z komputerów.

– A Pell nie mógł tam wchodzić?

– Ma kategorię jeden A.

Dance zwróciła uwagę na niejednoznaczność odpowiedzi. I towarzyszący jej gest blokujący – drapanie się w powiekę.

– Czyli nie miał wstępu do... jak się nazywają te części więzienia?

– Strefy OD. Ograniczonego dostępu. – Przypomniał sobie wcześniejsze określenie. – Albo strefy kontrolne.

– Kontrolowane czy kontrolne?

Chwila milczenia.

– Kontrolne.

– „Kontrolowane” – to by brzmiało sensowniej. Na pewno się tak nie nazywają?

Zaczynał się denerwować.

– Nie wiem. Co to za różnica? Używamy obu nazw.

– Czy to określenie odnosi się do innych części więzienia? Na przykład gabinetu naczelnika, szatni strażników – to też są strefy kontrolne?

– No pewnie... to znaczy, niektórzy używają tego wyrażenia częściej niż inni.

Przyniosłem je z zakładu, w którym pracowałem wcześniej.

– Którego?

Znów umilkł.

– Och, nie pamiętam. Wydaje się pani, że to jakaś oficjalna nazwa. Ale tak się po prostu u nas mówi. Za murami wszyscy używają swojego języka. Wszędzie, w każdym więzieniu. Strażnicy to „klawisze”, więźniowie to „frajerzy”. Nie ma w tym nic oficjalnego. Na pewno macie podobne wyrażenia w CBI, prawda?

Wszyscy mają.

Chronił się za podwójną gardą: kłamcy często usiłują się odwoływać do poczucia solidarności z przesłuchującymi („robicie to samo”) i uciekają się do abstrakcyjnych uogólnień („wszyscy”, „wszędzie”).

Dance spytała cichym i opanowanym głosem:

– Wszystko jedno, jak się nazywała ta strefa. Czy Daniel Pell kiedykolwiek znalazł się w Capitoli w pomieszczeniu, gdzie był komputer, za zgodą strażników albo bez?

– Nigdy nie widziałem go przy komputerze, przysięgam. Naprawdę.

Stres, jaki przeżywają ludzie podczas kłamstwa, wywołuje u nich jeden z czterech stanów emocjonalnych: wpadają w gniew, są w depresji, zaprzeczają rzeczywistości lub chcą wytargować sobie wyjście z opresji. Słowa, których właśnie użył Waters – „przysięgam” i „naprawdę” – wraz z gwałtownymi gestami odbiegającymi od jego typowego zachowania, powiedziały Dance, że strażnik jest w fazie zaprzeczenia. Nie potrafił zaakceptować prawdy o tym, co zrobił w więzieniu, i starał się uniknąć odpowiedzialności.

Przesłuchujący musi ustalić, w którym stanie reakcji na stres znajduje się przesłuchiwany, aby wybrać taktykę dalszego zadawania pytań. Gdy przesłuchiwany reaguje gniewem, należy go zachęcać, by dał upust złości i w ten sposób się zmęczył.

W wypadku zaprzeczenia trzeba zaatakować fakty.

I do tego zadania przystąpiła Dance.

– Ma pan wstęp do biura, gdzie trzymacie komputery, prawda?

– Mam i co z tego? Wszyscy klawisze mogą tam wchodzić... Zaraz, o co chodzi? Przecież gramy w jednej drużynie.

Typowy unik dla stanu zaprzeczenia, który Dance zignorowała.

– Powiedział pan, że niektórzy więźniowie także mogą tam przebywać. Czy Pell kiedykolwiek był w biurze?

– Tylko skazanym za lżejsze przestępstwa...

– Czy Pell kiedykolwiek tam był?

– Przysięgam na Boga, że nigdy go tam nie widziałem.

Dance zauważyła adaptatory – gesty mające złagodzić napięcie: zaciskanie palców, przytupywanie, jego bark zwrócony w jej stronę (w pozycji futbolisty grającego w obronie) i częste

spojrzenia w kierunku drzwi (kłamcy zwykle szukają drogi ucieczki od stresu towarzyszącego przesłuchaniu).

– Tony, po raz czwarty nie odpowiedział pan na moje pytanie. Proszę powiedzieć, czy Pell był w jakimkolwiek pomieszczeniu w Capitoli wyposażonym w komputer?

Strażnik skrzywił się.

– Przykro mi. Nie chciałem... sprawiać pani trudności. Po prostu trochę się zdenerwowałem. Poczuję się, rozumie pani, jakby mnie pani o coś oskarżała. No więc naprawdę nigdy nie widziałem go przy komputerze. Nie kłamałem. Tylko wkurzyła mnie ta cała historia. Chyba się pani nie dziwi. – Opuścił ramiona, lekko pochylając głowę.

– Oczywiście, że się nie dziwię.

– Możliwe, że Daniel faktycznie znalazł się kiedyś blisko komputera.

Pod wpływem jej ataku Waters zdał sobie sprawę, że przyznanie się do kłamstwa będzie mniej bolesne od nieustannego bombardowania pytaniami, które coraz trudniej znosił. Jak za skinieniem różdżki strażnik nagle przeszedł w fazę negocjacji. Oznaczało to, że jest bliski rezygnacji z oszustwa, lecz nadal nie jest gotów wyjawić całej prawdy, usiłując uniknąć kary. Dance wiedziała, że musi przerwać frontalny atak i dać mu szansę wyjścia z twarzą.

Podczas przesłuchania wrogiem nie jest kłamca, ale kłamstwo.

– Ach tak – powiedziała życzliwym tonem, prostując się i wycofując z jego strefy osobistej. – A więc Pell mógł znaleźć okazję, by skorzystać z komputera?

– Niewykluczone. Ale nie wiem na sto procent. – Jego głowa opadła jeszcze niżej. Mówił cicho.

– Po prostu... mamy ciężką robotę. Ludzie nie wiedzą, jak to jest być klawiszem.

– Rzeczywiście nie wiedzą – przytaknęła.

– Musimy być nauczycielami, glinami, wszystkim. Poza tym – konspiracyjnie zniżył głos administracja ciągle zagląda nam przez ramię, każe robić to i tamto, mamy pilnować porządku i informować ich, gdy by coś się działo.

– Pewnie czujecie się trochę jak rodzice. Ciągłe musicie mieć dzieci na oku.

– Otóż to, tak samo jak z dziećmi. – Miał szeroko otwarte oczy – wskaźnik emocji.

Dance energicznie pokiwała głową.

– Naturalnie zależy panu na skazanych, Tony. I na tym, żeby dobrze wykonywać swoją pracę.

Ludziom znajdującym się w fazie negocjacji należy wybaczać i dodawać otuchy.

– To naprawdę nie było nic ważnego. Mam na myśli to, co się stało.

– Proszę mówić dalej.

– Musiałem podjąć pewną decyzję.

– Ma pan trudną pracę. Co dzień musi pan podejmować niełatwe decyzje.

– Ba, nawet co godzinę.

– O czym musiał pan zdecydować?

– Widzi pani, Daniel był inny.

Dance zwróciła uwagę, że strażnik używa jego imienia. Pell wmówił

Watersowi, że są kumplami i wykorzystał jego naiwność.

– To znaczy?

– Ma... nie wiem, jakąś władzę nad ludźmi. Nad każdym, czy to czarny gangster, biały czy Latynos... Chodzi gdzie chce i nikt nie tknie go palcem. Nigdy nie widziałem w pudle nikogo takiego. Ludzie robią dla niego wszystko, czego tylko zechce. I mówią mu o wszystkim.

– Czyli przekazał panu jakieś informacje, tak?

Bardzo dobre informacje. Takie, których nie można było zdobyć w żaden inny sposób. Podobno jakiś strażnik handlował speedem. Jeden z więźniów przedawkował. Nie mogliśmy ustalić źródła prochów. Ale Pell mi dał cynk.

– Na pewno ocalił życie wielu osobom.

– Och, tak. A gdyby, powiedzmy, więzień chciał stuknąć drugiego, na przykład wypatroszyć kosą domowej roboty – Daniel na pewno by mi powiedział.

Dance wzruszyła ramionami.

A więc dał mu pan trochę luzu. I wpuścił do biura.

Tak. W biurze jest telewizor z kablówką, a on chciał czasem obejrzeć mecz, który nikogo innego nie interesował. To wszystko. Nie było żadnego ryzyka. Biuro jest w najlepiej strzeżonej części zakładu. Nie mógł się stamtąd wydostać.

Wychodziłem na obchód, a on oglądał sobie mecz.

Jak często?

– Trzy, cztery razy.

– Czyli mógł wchodzić do Internetu?

– Możliwe.

– Kiedy ostatnio był w biurze?

– Wczoraj.

– Dobrze, Tony. Wróćmy do telefonów. – Dance pamiętała jego reakcję stresową, gdy Waters mówił, że Pell dzwonił tylko do ciotki; dotykał ust, wykonując gest blokujący. Jeżeli przesłuchiwany przyzna się do jednego czynu, często łatwiej go skłonić do przyznania się do innego przestępstwa.

– Powiem pani coś jeszcze o Pellu – rzekł Waters. – Każdy potwierdzi, że interesował się seksem i to bardzo. Chciał uprawiać seks przez telefon, a ja mu pozwalałem.

Ale Dance natychmiast zauważyła zachowanie odbiegające od wzorca, doszła więc do wniosku, że choć przyznaje się do winy, wyjawia prawdę o drobnym przestępstwie, ukrywając coś poważniejszego.

– Doprawdy? – spytała ostro, znów pochylając się bliżej. – A jak za nie płacił?

Kartą kredytową? Za połączenia z numerem dziewięćset\*?

Chwila milczenia. Waters nie przemyślał za dobrze kłamstwa; zapomniał, że za sekstelefon trzeba płacić.

– Nie mam na myśli tych numerów z ostatnich stron gazet. Pewnie źle się wyraziłem. Daniel dzwonił do jakiejś kobiety, którą znał. Chyba do niego pisała.

Dostawał mnóstwo poczty. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Od fanów. Niech pani sobie wyobrazi. Taki ktoś jak on.

Dance przysunęła się nieco bliżej.

– Ale kiedy pan ich słuchał, nie chodziło o żaden seks, prawda?

– Nie, tylko... – Zdał sobie sprawę, że nic nie wspominał o podsłuchiwanym rozmów. Było już jednak za późno. – Nie. Po prostu normalnie rozmawiali.

– Słyszał pan ich oboje?

– Tak. Byłem na trzeciej linii.

– Kiedy to było?

– Jakiś miesiąc temu, pierwszy raz. Potem rozmawiali jeszcze parę razy.

Wczoraj też. Kiedy był w biurze.

– Czy numery są rejestrowane?

– Nie, rozmowy miejscowe nie.

– Ale numer zamiejscowy zostałby zarejestrowany.

Waters wbił wzrok w podłogę. Wyglądał żałośnie.

\* Odpowiednik naszego numeru 0-700 (przyp. tłum.).

– Co takiego, Tony?

– Dałem mu kartę telefoniczną. Dzwoni się pod numer osiemset, wstukuje się kod, a potem właściwy numer.

Dance wiedziała, jak działają takie karty. Ustalenie numeru było niemożliwe.

– Naprawdę, musi mi pani uwierzyć. Nie zrobiłbym tego, gdyby nie informacje, jakie od niego dostałem... były ważne. Uratowały...

– O czym rozmawiali? – spytała życzliwym tonem. Nigdy nie można zachowywać się szorstko wobec przesłuchiwanego, który wyznał prawdę; należy go traktować jak nowego najlepszego przyjaciela.

– O zwykłych sprawach. Pamiętam, że mówili coś o pieniądzach.

– Co mówili?

– Pell pytał, ile udało się jej zebrać i odpowiedziała, że dziewięć tysięcy dwieście dolców. A on na to: „To wszystko?”.

Dość kosztowny seks przez telefon, pomyślała drwiąco Dance.

– Potem kobieta spytała o godziny widzeń, ale powiedział, że to nie dobry pomysł.

A więc nie życzył sobie jej odwiedzin. Nie chciał, by ktokolwiek widział ich razem.

– Nie domyśla się pan, skąd była ta kobieta?

– Wspominał Bakersfield. Wyraźnie powiedział: „Do Bakersfield”.

Kazał jej jechać do domu ciotki, zabrać młotek i podrzucić do studni.

– Jeszcze coś sobie przypominam. Opowiadała mu o kardynałach.

– Katolickich?

Odpowiedział jej śmiech, w którym brzmiała nuta rozpacz.

– Nie, o ptakach. O kardynałach i kolibrach na podwórku. A potem o meksykańskim jedzeniu. „Meksykańskie jedzenie poprawia mi na strój”. Tak powiedziała.

– Słyszał pan w jej głosie jakiś charakterystyczny akcent?

– Nie zauważyłem.

– Miała wysoki czy niski głos?

– Chyba niski. Taki seksowny.

– Wydawała się inteligentna czy głupia?

– Jezu, nie mam pojęcia. – Sprawiał wrażenie zupełnie wyczerpanego.

– Tony, może mi pan powiedzieć coś jeszcze? Naprawdę nam zależy, żeby go złapać.

– Nic więcej nie przychodzi mi już do głowy. Przykro mi.

Przyjrząwszy mu się, uwierzyła, że naprawdę niczego więcej nie wie.

– Dobrze. Na razie chyba wystarczy.

Ruszył do wyjścia. Zatrzymał się przy drzwiach i obejrzał.

– Przepraszam, że tak się pogubiłem. Miałem ciężki dzień.

– Rzeczywiście dzień nie był dobry – zgodziła się. Strażnik przez chwilę stał

bez ruchu przy drzwiach, wyglądając jak zbity pies. Nie doczekawszy się słów pocieszenia, ciężkim krokiem opuścił pokój.

Dance zadzwoniła do Carranea, który jechał do You Mail It, i przekazała mu informacje wydobyte od Watersa: że współpracownik nie mówi z żadnym wyraźnym akcentem i ma niski głos. Te szczegóły mogły pomóc kierownikowi punktu usługowego przypomnieć sobie kobietę.

Następnie zadzwoniła do naczelniczki Capitoli, aby ją zawiadomić, co się stało.

Kobieta milczała przez chwilę, a potem zdołała wykrztusić:

– Och.

Dance spytała, czy więzienie ma swojego informatyka. Kiedy okazało się, że tak, naczelniczka obiecała jej, że poleci mu przeszukać komputery w biurze administracyjnym i sprawdzić wszystkie wczorajsze połączenia z siecią oraz e-maile. Zadanie nie powinno być trudne, ponieważ personel nie pracował w niedzielę i Pell był przypuszczalnie jedyną osobą korzystającą z sieci – jeżeli istotnie wchodził do Internetu.

– Przykro mi – powiedziała Dance.

– Mhm, dziękuję.

Agentka nie miała na myśli samej ucieczki Pella, ale jeszcze jedną konsekwencję tego zdarzenia. Dance nie знаła naczelniczki, lecz przypuszczała, że osoba nadzorująca superwięzienie musi być wyjątkowo zdolna i oddana swojej pracy. Było jej żal, że kariera tej kobiety w więziennictwie, podobnie jak kariera Tony’ego Watersa, wkrótce dobiegnie końca.

## **Rozdział 12**

Jego najdroższa sprawiła się świetnie. Wypełniła jego instrukcje co do joty.

Wydostała młotek z garażu ciotki w Bakersfield (jak u diabła Kathryn Dance na to wpadła?). Wytłoczyła na portfelu inicjały Roberta Herrona. Potem podrzuciła obydwie przedmioty do studni w Salinas. Zrobiła lont do bomby benzynowej (powiedziała, że instrukcja była równie prosta jak przepis na ciasto). Przygotowała torbę z nożem i kombinezonem ochronnym. Ukryła ubranie pod sosną.

Pell nie był jednak pewien, czy dziewczyna potrafi kłamać ludziom w oczy.

Dlatego nie chciał, żeby po niego przyjeżdżała. Postarał się, by w chwili jego ucieczki znalazła się jak najdalej od gmachu sądu. Obawiał się, że gdyby zatrzymano ją na blokadzie drogi, zaczęłyby się jąkać i czerwienić i wszystko wyszłoby na jaw.

Prowadząc samochód bez butów (co uznał za dość dziwaczny zwyczaj), Jennie Marston uśmiechała się radośnie, bez przerwy mówiąc coś zmysłowym głosem.

Pell zastanawiał się, czy uwierzyła w jego bajeczkę, że nie jest winien śmierci osób, które zginęły w sądzie. Ale odkąd zaczął nakłaniać ludzi do spełniania swojej woli, nie mógł się nadziwić, jak często porzucają umiejętność logicznego myślenia i instynkt samozachowawczy, ślepo wierząc we wszystko, w co chcieli – a raczej w to, w co on kazał im wierzyć.

Co wcale jednak nie oznaczało, że Jennie kupi każde jego słowo, a zważywszy na plany, jakie miał na kilka najbliższych dni, musiał ją uważnie obserwować i przekonać się, kiedy będzie skłonna go wspierać, a kiedy się zawaha.

Jechali krętą siecią bocznych dróg, unikając autostrad, gdzie mogły na nich czyhać blokady.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała niepewnie, kładąc dłoń na jego kolanie nieśmiałym, a jednocześnie pełnym desperacji gestem. Wiedział, co czuje: była rozdarta między chęcią gwałtownego ujawnienia uczuć wobec niego a obawą, by go nie spłoszyć. Na pewno nastąpi wybuch.

U takich kobiet zawsze dochodzi do wybuchu. Och, Daniel Pell znał na wylot wszystkie Jennie Marston tego świata, wszystkie kobiety ochoczo ulegające czarowi złych chłopców. Jako notoryczny przestępca poznał je już przed wielu laty. Kiedy jesteś w barze i rzucasz mimochodem, że masz na koncie odsiadkę, większość kobiet wlepi w ciebie zdumione spojrzenie, potem wyjdzie do toalety i już nie wróci. Ale niektórym robi się mokro, gdy szepniesz im na ucho o zbrodni i pobycie w pudle. Uśmiechną się w szczególny sposób, nachylą bliżej i poproszą, żebyś opowiedział coś więcej o swojej mrocznej stronie.

Nawet gdyby chodziło o morderstwo – wszystko zależało od tego, jakich użyjesz słów.

A Daniel Pell potrafił ich używać.

Tak, Jennie była klasyczną wielbicielką złych chłopców. Trudno byłoby się tego domyślić z jej wyglądu – chudzina o prostych blond włosach i ładnej twarzy oszpeconej garbatym nosem, ubrana jak mamuśka z przedmieścia na koncercie Mary Chapin Carpenter.

Taki ktoś raczej nie pisałby do skazańców odsiadujących dożywocie w Capitolu.

*Szanowny panie Danielu Pell,*

*Nie zna mnie Pan, ale widziałam reportaż o Panu na A&E i nie sądzę, żeby pokazano w nim całą prawdę. Kupiłam też i przeczytałam wszystkie książki o Panu, jakie udało mi się znaleźć, i uważam, że jest Pan fascynującym człowiekiem. Nawet jeżeli naprawdę zrobił Pan to, co mówią, na pewno wszystko wydarzyło się w wyjątkowych okolicznościach. Widziałam to w Pana oczach. Patrzył Pan w kamerę, ale czułam się, jakby patrzył Pan na mnie. Mam za sobą podobną historię jak Pan, to znaczy miałam takie same dzieciństwo (a raczej nie miałam), dlatego dobrze Pana rozumiem. Przeżywam zupełnie to samo. Gdyby Pan chciał, proszę do mnie napisać.*

*Z poważaniem Jennie Marston*

Oczywiście nie była jedyna. Daniel Pell dostawał sporo poczty. Niektórzy chwalili go w listach, że zabił kapitalistę, inni potępiali za zamordowanie rodziny, niektórzy dawali mu rady, inni ich szukali. Dostawał też mnóstwo niedwuznacznych propozycji. Większość kobiet – i mężczyzn po kilku tygodniach rezygnowała z miłosnych podchodów, gdy do głosu dochodził rozsądek. Ale Jennie była uparta, a jej listy tchnęły coraz większą namiętnością.

*Najukochańszy Danielu,*

*Dzisiaj jeździłam po pustyni. Niedaleko Obserwatorium Palomar, tam gdzie mają ten duży teleskop. Niebo było ogromne, zapadał zmierzch i zaczęły się pokazywać gwiazdy. Nie mogłam przestać o Tobie myśleć. O tym, jak mówiłeś, że nikt Cię nie rozumie i obwiniają Cię o rzeczy, których nie zrobiłeś, jak trudno Ci z tym żyć. Nikt nie potrafi spojrzeć głębiej i zobaczyć prawdy. Ja widzę. Sam nigdy byś tego nie powiedział, bo jesteś skromny, ale nikt nie widzi, jak doskonałym jesteś człowiekiem.*

*Zatrzymałam samochód, nie mogłam się powstrzymać, i zaczęłam się dotykać, robić wiesz co (na pewno wiesz, świntuchu!). Kochaliśmy się tam, Ty i ja, patrząc w gwiazdy. Piszę „Ty i ja”, bo duchem byłeś tam ze mną. Danielu, zrobiłabym dla Ciebie wszystko...*

Właśnie przez takie listy – zdradzające jej zupełny brak samokontroli i wyjątkową łatwowierność – Pell wybrał ją na współniczkę w zorganizowaniu ucieczki.

– Byłaś bardzo ostrożna, prawda? – zapytał. – Nikt nie namierzy forda?

– Nie. Ukradłam go spod restauracji. Pracował tam facet, z którym chodziłam dwa lata temu. Nie spaliśmy ze sobą, nic z tych rzeczy. – Do dała to za szybko, uznał więc, że spędzili mnóstwo czasu, bzykając się jak dwa króliczki. Niewiele go to obchodziło. – Kiedy tam byłam – ciągnęła –



widziałam, że nikt nie zwraca uwagi na kasetkę parkingowych z kluczykami do samochodów. No i w piątek pojechałam tam autobusem i czekałam po drugiej stronie ulicy. Gdy parkingowi byli zajęci, wzięłam kluczyki. Wybrałam thunderbirda, bo ci, co nim przyjechali, właśnie weszli do środka i wiedziałam, że zostaną jakiś czas. Jechałam sto pierwszą jakieś dziesięć minut.

– Od razu przyjechałaś na miejsce?

– Nie, przenocowałam w San Luis Obispo – ale zapłaciłam gotówką, tak jak mówiłeś.

– I spaliłaś wszystkie wydruki e-maili? Zanim wyjechałaś?

– Mhm.

– To dobrze. Masz mapy?

– Mam. – Poklepała torebkę.

Obrzucił spojrzeniem jej ciało. Drobne piersi, chude nogi i tyłek. Długie blond włosy. Kobiety od razu dają ci znać, na ile możesz sobie z nimi pozwolić, i Pell nie miał wątpliwości, że wolno mu dotykać Jennie gdziekolwiek i kiedykolwiek zechce. Położył dłoń na jej karku. Był bardzo cienki i kruchy. Dziewczyna wydała dźwięk, który brzmiał ni mniej, ni więcej, tylko jak mruczenie.

Znów poczuł, jak rośnie w nim wielki balon.

Mruczenie też zaczęło się wzmacniać.

Dłużej nie mógł już czekać.

Nie miał siły walczyć z rozdętą bańką.

– Zatrzymaj się tu, skarbie. – Wskazał drogę pod dębowym zagajnikiem.

Wyglądała na podjazd opuszczonego domu stojącego pośrodku zarośniętej farmy.

Wcisnęła hamulec i skręciła w boczną drogę. Pell rozejrzał się wokół. Nie zauważył żywej duszy.

– Tutaj?

– To dobre miejsce.

Jego dłoń zsunęła się z jej szyi, muskając przód różowej bluzeczki. Chyba nowej. Domyślił się, że kupiła ją specjalnie dla niego.

Pell uniósł jej twarz i lekko przycisnął wargi do jej warg, nie otwierając ust.

Pocałował ją, po czym się cofnął, by sama mogła się do niego przysunąć. Im bardziej ją prowokował, tym większe zdradzała zniecierpliwienie.

– Chcę cię poczuć w sobie – szepnęła, sięgając do tyłu. Usłyszał trzask zamka torebki. W jej ręce pojawiła się prezerwatywa.

– Mamy mało czasu, skarbie. Szukają nas.

Zrozumiała.

Mimo nawet najbardziej niewinnego wyglądu dziewczyny uwielbiające złych chłopców doskonale wiedzą, co robić (a Jennie Marston wcale nie wyglądała tak niewinnie). Rozpięła bluzkę, nachylając się nad fotelem i ocierając jego krocze miękkimi miseczkami biustonosza.

– Połóż się, kochanie. Zamknij oczy.

– Nie.

Zawahała się.

– Chcę cię widzieć – szepnął. Nigdy nie wolno dawać im więcej władzy niż to konieczne.

Zamruczała.

Rozpięła zamek jego szortów i pochyliła się.

Skończył już po kilku minutach. Tak jak przypuszczał, Jennie okazała się zdolna – los poskąpił jej

talentów, korzystała więc z tych, które miała – i było miło, choć zamierzał znacznie podnieść stawkę, gdy znajdą się w zaciszu pokoju motelowego. Na razie jednak musiał się zadowolić tym. A ona... Pell wiedział, że jego szybki finał sprawił jej wystarczającą satysfakcję. Spojrzał jej w oczy.

– Jesteś cudowna, najdroższa. To było nadzwyczajne.

Odurzenie emocjami sprawiało, że nawet najbanalniejszy dialog z filmu porno brzmiałby w jej uszach jak miłosne wyznanie ze staroświeckiej powieści.

Och, Danielu. Usiadł, poprawiając ubranie.

Jennie zapięła bluzkę. Pell zerknął na różowy materiał, na haft, na metalowe wykończenie kołnierzyka. Zauważyła to.

– Podoba ci się?

– Ładna. – Popatrzył przez okno i rozejrzał się po polach. Nie przejmował się policją, bardziej skupiając się na Jennie. Zobaczył, że przygląda się bluzce.

– Strasznie różowa – powiedziała niepewnie. – Może za bardzo. Zobaczyłam ją w sklepie i pomyślałam, że sobie kupię.

– Nie, jest w porządku. Ciekawa.

Dopinając guziki, zerknęła na naszywane perełki, potem na haft i mankiety.

Musiała chyba pracować przez cały tydzień, żeby na nią zarobić.

– Jak chcesz, później się przebiorę.

– Nie trzeba, jeżeli tak ci się podoba – odrzekł, ostrożnie dobierając ton głosu jak śpiewak, gdy zamierza wziąć trudną nutę. Jeszcze raz rzucił okiem na bluzkę, a potem nachylił się i pocałował Jennie w czoło – nie w usta oczywiście. Znów popatrzył na pole. – Powinniśmy już jechać dalej.

– Jasne. – Chciała, żeby powiedział jej coś jeszcze o bluzce. Co z nią jest nie tak? Czyżby nie lubił różowego? Może któraś z jego byłych miała taką samą? A może jej biust wydaje się w niej za mały?

Ale rzecz jasna nic nie powiedział.

Jennie uśmiechnęła się, kiedy dotknął jej nogi, po czym wrzuciła bieg.

Wyjechała z powrotem na drogę, ostatni raz zerkając na bluzkę, a Pell już wiedział, że nigdy więcej jej nie włoży. Zamierzał dać jej do zrozumienia, że powinna ją wyrzucić; był niemal pewien, że to zrobi.

Paradoksalne było jednak to, że naprawdę dobrze w niej wyglądała, a bluzka nawet mu się podobała.

Ale subtelnie wyrażając swoją dezaprobatę i obserwując jej reakcję, mógł sprawdzić jej lojalność i przekonać się, w jakim stopniu będzie mu posłuszna.

Dobry nauczyciel zawsze pilnie śledzi postępy ucznia.

Michael O'Neil siedział w gabinecie Dance, kołysząc się na tylnych nogach krzesła i opierając buty o sfatygowany stolik. Była to jego ulubiona pozycja. (Z

punktu widzenia kinezyki Dance przypisywała ten zwyczaj nerwowej energii i kilku innym czynnikom, których – ze względu na ich przyjaźń – wolała nie poddawać dogłębnej analizie).

Detektyw, TJ Scanlon i Dance wpatrywali się w telefon, z którego głośnika mówił do nich informatyk z więzienia Capitola.

– Pell rzeczywiście wchodził wczoraj do sieci, ale wygląda na to, że nie wysyłał

żadnych e-maili – przynajmniej nie tym razem. Nie umiem powiedzieć, jak było wcześniej. Wczoraj tylko przeglądał strony WWW. Usunął adresy stron w przeglądarce, ale zapomniał o

skasowaniu wyszukiwanych haseł. Wiem, czego szukał.

– Proszę mówić.

– Wpisał w Google „Alison” i „Nimue”. Szukał stron z obydwoma wyrazami, żeby mieć lepszy wynik.

Dance zapytała o pisownię słów.

– Potem wpisał jeszcze jedno hasło. „Helter Skelter”.

O’Neil i Dance wymienili zaniepokojone spojrzenia. Słowa były tytułem piosenki Beatlesów i obsesją Charlesa Mansona. Używał ich na określenie nadciągającej wojny rasowej w Ameryce. Tak samo zatytułowano też nagradzaną książkę o słynnym przywódcy sekty autorstwa prokuratora prowadzącego jego sprawę.

– Potem wszedł na stronę Visual-Earth. To coś takiego jak Google Earth.

Można tam oglądać zdjęcia satelitarne prawie każdego miejsca na ziemi.

Świetnie, pomyślała Dance. Choć okazało się, że niekoniecznie. Nie było sposobu, by dokładniej ustalić, czego szukał.

– Równie dobrze mogły to być autostrady w Kalifornii jak Paryż, Key West albo Moskwa.

– A co to jest „Nimue”?

– Nie mam pojęcia.

– Czy to słowo coś oznacza w Capitoli?

– Nie.

– Pracuje tam jakaś Alison?

Bezcielesny głos informatyka odparł:

– Nie, ale być może uda mi się dowiedzieć, na jakie strony wchodził. Zależy, czyje tylko usunął, czy zupełnie wymazał. Jeżeli wymazał, to nic z tego. Ale jeżeli je tylko usunął, może da się je znaleźć gdzieś na wolnym miejscu twardego dysku.

– Będziemy wdzięczni za wszystko, co zdoła pan zrobić – powiedziała Dance.

Podziękowała mu i zakończyła rozmowę.

– TJ, sprawdź „Nimue”.

Palce agenta zastukały w klawiaturę. Gdy na ekranie wyświetliła się lista wyników, zaczął ją przewijać i po kilku minutach oznajmił:

– Setki tysięcy trafień. Zdaje się, że mnóstwo ludzi używa takiego nicka.

– Może to ktoś, kogo poznał przez Internet – odezwał się O’Neil. – Pseudonim.

Albo prawdziwe nazwisko.

Patrząc w ekran, TJ ciągnął:

– Poza tym to nazwa handlowa. Co tu mamy: kosmetyki, sprzęt elektroniczny, hm, akcesoria erotyczne... Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– TJ! – rzuciła ostrym tonem Dance.

– Przepraszam. – Wrócił do listy wyników. – Ciekawe. Większość linków ma związek z królem Arturem.

– Tym od Okrągłego Stołu?

– Chyba tak. – Czytał dalej. – Nimue to imię Pani z Jeziora. Zakochał się w niej Merlin, ten czarodziej – miał sto ileś lat, a ona szesnaście. Nie zły temat do talk-show doktora Phila McGrawa, co? – Kontynuował lek turę. – Merlin nauczył ją czarów. Ach, i dała Arturowi magiczny miecz.

– Ekskalibur – powiedział O’Neil.

– Co? – zdziwił się TJ.

– Miecz. Ekskalibur. Nigdy o nim nie słyszałeś? – spytał detektyw.

– Nie, nie miałem w college’u przedmiotu „zmyślone nudziarstwa”.

– Uważam, że prawdopodobnie chodzi o osobę, którą próbował znaleźć.

Sprawdź jeszcze raz „Nimue” razem z hasłami „Pell, Alison, Kalifornia, Carmel, Croyton”. Coś jeszcze?

– Może nazwiska tych kobiet – zasugerował O’Neil. – Rebecca Sheffield, Samantha McCoy i Linda Whitfield.

– Dobrze.

Po kilku minutach bębnienia w klawisze agent uniósł wzrok na Dance.

– Przykro mi, szefowo. Zero wyników.

– Sprawdź te hasła w VICAP-ie, NCIC i innych większych bazach danych.

– Zrobi się.

Dance patrzyła na zapisane przez siebie słowa. Co oznaczały? Dlaczego Pell ryzykował wejście do sieci, żeby ich poszukać?

Helter Skelter, Nimue, Alison...

I co oglądał na Visual-Earth? Miejsce, w którym zamierzał się ukryć, dom, który chciał okraść?

– Co z analizą śladów z sądu? – spytała O’Neila.

Detektyw zajrzał do notatek.

– Żadnych konkretów. Prawie wszystko spłonęło albo się stopiło. Benzyna była w plastikowych butelkach po mleku zapakowanych do ta niej torby na kółkach.

Można takie kupić w kilkunastu miejscach – w Wal-Mart, Target i podobnych sklepach. Ognioodporna torba i strój ochronny wyprodukowane przez Protection Equipment Inc. z New Jersey. Towar dostępny na całym świecie, ale najwięcej sprzedaje się w południowej Kalifornii.

– Do pożarów lasów?

– Do filmów. Dla kaskaderów. Jest kilkanaście sklepów. Tyko że nie wiele da się zrobić. Nie ma numerów seryjnych. Ani z torby, ani z kombinezonu nie udało się zdjąć żadnych odcisków palców. Dodatki w benzynie wskazują, że pochodziła z BP, ale nie można ustalić, z której stacji dokładnie. Lont domowej roboty. Sznurek nasączony wolnopalnymi chemikaliami. Nie da się określić źródła pochodzenia żadnej substancji.

– TJ, co z ciotką?

– Na razie zero wieści. Lada moment spodziewam się sygnału.

Zadzwoił telefon. Znow zgłosiła się Capitola. Naczelniczka sprowadziła więźnia, który, jak twierdził, miał jakieś informacje na temat Daniela Pella. Czy Dance chce z nim porozmawiać?

– Oczywiście. – Przełączyła aparat na głośnik. – Mówi agentka Dance. Jest ze mną detektyw O’Neil.

– Halo, tu Eddie Chang.

– Eddie – dodała naczelniczka – odsiaduje osiem lat za napad na bank. Trafił do Capitoli, bo bywa trochę... nieobliczalny.

– Dobrze znałeś Daniela Pella, Eddie? – zapytała Dance.

– Nie bardzo. Zresztą nikt go dobrze nie znał. Ale ja nie byłem dla niego... no, wie pani, żadnym zagrożeniem, no i jakby się przede mną bardziej otworzył.

– I masz o nim pewne informacje?

– Tak, proszę pani.

– Dlaczego nam pomagasz? odezwał się O’Neil.

– Za pół roku mogę mieć warunek. Jak wam pomogę, lepiej na tym wyjdę. To znaczy, jeżeli go znajdziecie. Bo jak nie, to chyba zaczekam w pudle, aż go złapiecie. Przecież chcę go sypać, nie?

– Czy Pell mówił o dziewczynach albo innych osobach za murami? – zapytał

O’Neil. – Zwłaszcza o jakiejś kobiecie?

– Chwalił się, ile to miał kobiet. A umiał gość opowiadać. Jakbyśmy oglądali porno. Rany, uwielbialiśmy te historie.

– Pamiętasz jakieś imiona? Może mówił o Alison?

– O nikim nigdy nie wspominał.

Po tym, co powiedział Tony Waters, Dance podejrzewała, że Pell zmyśla opowieści o swoich podbojach łóżkowych – aby dzięki nim narzucać więźniom swoją wolę. Zapytała:

– A więc co chcesz nam powiedzieć?

– Chyba wiem, dokąd mógł uciec. – Dance i O’Neil wymienili spojrzenia. –

Pod Acapulco. W górach jest takie miasteczko, Santa Rosario.

– Dlaczego tam?

– No więc było tak: jakiś tydzień temu siedzieliśmy i gadaliśmy o różnych bzdetach z nowym gościem, Felipem Riverą. Dostał podwójne dożywocie, bo jak buchnął komuś brykę, trochę zaświerbiła go ręka i za szybko złapał za splotę.

Pell dowiedział się, że facet jest z Meksyku, no i zapytał o Santa Rosario. Rivera nic nie słyszał o tym miasteczku, ale Pellowi zależało, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Zaczął mówić o Santa Rosario, żeby odświeżyć tamtemu pamięć – że mają tam gorące źródło, że miasto jest daleko od dużych autostrad, a obok jest jakaś stroma góra... Ale Rivera nic sobie nie przypomniał. Pell dał spokój i zmienił

temat. Dlatego pomyślałem sobie, że mógł tam prysnąć.

– Wcześniej wspominał o Meksyku? – spytała Dance.

– Może. Nie bardzo pamiętam.

– Zastanów się, Eddie. Powiedzmy pół roku, rok temu. Czy Pell kiedykolwiek mówił, dokąd jeszcze chciałby pojechać?

Chwila milczenia.

– Nie. Nigdy tak nie było, żeby Pell powiedział: wiesz, jest takie su per miejsce i muszę tam jechać, choćby nie wiem co.

– Może interesował się jakimś konkretnym miastem? Ciekawiło go jakieś miejsce?

Zaraz, faktycznie parę razy wspominał o tym mormońskim... Salt Lake City?

– Nie, o stanie. Utah. Podobało mu się, że można tam mieć dużo żon.

Rodzina...

– Powiedział, że w Utah policja do niczego się nie przypieprza, bo stanem rządzą mormoni i nie lubią, jak FBI albo stanowi wtykają gdzieś nos. W Utah można robić, co się komu podoba.

– Kiedy o tym mówił?

– Nie wiem. Jakiś czas temu. W zeszłym roku. A potem może miesiąc temu.

Dance zerknęła na O’Neila, który skinął głową.

– Zaraz oddzwonimy. Możesz chwilę poczekać?

Chang zaśmiał się w odpowiedzi.

– A gdzie niby miałbym iść?

Rozłączyła się, następnie zadzwoniła do Lindy Whitfield, a zaraz potem do Rebecki Sheffield. Żadna z kobiet nic nie wiedziała o zainteresowaniu Pella Meksykiem ani Utah. Gdy Dance spytała, co sądził o atrakcyjności poligamii u mormonów, Linda odparta, że nigdy o niej nie wspominał, a Rebecca parsknęła śmiechem.

– Pell lubił sypiać z kilkoma kobietami. To zupełnie co innego, niż gdyby miał się z nimi żenić. Naprawdę.

Dance i O’Neil poszli na górę do gabinetu Charlesa Overby’ego i poinformowali go o przypuszczalnych celach ucieczki Pella, a także o trzech wyszukiwanych przez niego hasłach i o wynikach analizy kryminalistycznej dowodów z miejsca pożaru.

– Acapulco?

– Nie. Jestem pewna, że to zmyłka. Pytał o miasteczko dopiero w zeszłym tygodniu i w obecności innych więźniów. To za proste. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się Utah. Ale zanim wyrobię sobie zdanie, muszę się więcej dowiedzieć.

– Postaw to na pierwszym miejscu, Kathryn – rzekł Overby. – Właśnie dzwonił z „New York Timesa”. – Odezwał się telefon. – Sacramento na dwójce, Charles – powiedziała jego asystentka. Overby westchnął i podniósł słuchawkę.

Dance i O’Neil wyszli, a gdy tylko znaleźli się korytarzu, zadzwonił telefon detektywa.

W drodze powrotnej kilka razy na niego zerknęła. Wskaźniki emocji u Michaela O’Neila były niemal niedostrzegalne, lecz Dance odczytywała je bezbłędnie.

Wywnioskowała, że telefonują w sprawie Juana Millara. Wyraźnie widziała, jak bardzo martwi się obrażeniami odniesionymi przez jednego ze swoich funkcjonariuszy. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wyglądał na tak zatroskanego.

O’Neil rozłączył się i przekazał jej najnowsze wieści o Millarze: stan nie uległ poprawie, choć raz czy dwa detektyw odzyskał przytomność.

– Jedź do niego – poradziła.

– Jesteś pewna?

– Zajmę się wszystkim.

Dance wróciła do gabinetu, zatrzymując się na chwilę w sekretariacie, by nalać sobie kawy z ekspresu. Maryellen Kresbach ani słowem nie wspomniała o zostawionych dla niej wiadomościach, choć Dance wyczuła, że asystentka ma ochotę coś jej powiedzieć.

Dzwonił Brian...

Tym razem poczęstowała się ciastkiem z czekoladą, na które przedtem miała ochotę. Siadając za biurkiem, zadzwoniła do naczelniczki i Changa.

– Eddie, kontynuujmy. Chcę, żebyś opowiedział mi coś więcej o Pellu.

Cokolwiek pamiętasz. Co mówił, co robił. Z czego się śmiał, co go denerwowało.

Chwila ciszy.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. – Wydawał się zakłopotany.

– Mam myśl. Udawajmy, że ktoś zamierza umówić mnie na randkę z Pellem.

Co byś mi o nim powiedział przed naszym spotkaniem?

– Randka z Danielem Pellem? Cholera, aż strach pomyśleć.

– Postaraj się, Amorze.

**Rozdział 13**

Dance usłyszała rechot żaby i odebrała telefon komórkowy. Dzwonił Ray Carraneo, meldując, że kierownik punktu You Mail It na San Benito Way w Salinas rzeczywiście przypomniał sobie wizytę pewnej kobiety mniej więcej tydzień temu.

– Tylko że niczego nie wysyłała, agentko Dance. Pytała o godziny przyjazdów samochodów różnych firm kurierskich. Powiedział jej, że najbardziej regularnie zatrzymuje się u niego Worldwide Express. Jak w zegarku. Nie zwróciłby na nią większej uwagi, gdyby kilka dni później nie zobaczył jej na ławce po drugiej stronie ulicy. Przypuszczam, że chciała sama sprawdzić godziny przyjazdów.

Niestety Carraneo nie mógł sporządzić elektronicznego portretu pamięciowego, ponieważ odwiedzając punkt, kobieta miała czapkę bejsbolową i ciemne okulary.

Kierownik nie widział też jej samochodu.

Kiedy się rozłączyli, Dance znów zadała sobie w myślach pytanie, kiedy odnajdzie się ciało kuriera Worldwide Express.

Znowu przemoc, znowu śmierć, kolejna osierocona rodzina.

*Skutki zbrodni mogą trwać wiecznie, tak samo jak fale bez końca rozchodzą się po powierzchni...*

W chwili, gdy przypomniała sobie słowa Mortona Walkera, zadzwonił Michael O’Neil. Tak się złożyło, że miał dla niej wiadomość o losie kierowcy furgonetki.

Dance siedziała za kierownicą swojego forda taurusa.

Słuchała płynącej z odtwarzacza CD pieśni gospel w wykonaniu Fairfield Four w oryginalnym składzie, starając się nie myśleć o porannej masakrze w sądzie.

*Im standing in the safety zone...*

Muzyka była wybawieniem Kathryn Dance. Dla niej policyjna robota nie polegała na ślęczeniu w laboratorium i przed monitorami komputerów. Dance pracowała z ludźmi. Musiała zespolić umysł i serce z myślami i emocjami innych, być jak najbliżej nich, aby wydobyć z nich prawdę, której nie chcieli przed nią odkryć. W trakcie przesłuchań, zazwyczaj trudnych i bolesnych, nieraz słyszała opowieści o straszliwych zbrodniach, pozostawiające trwałe ślady w jej pamięci.

Kiedy jej uszy wypełniały dźwięki harfy celtyckiej Alana Stivella lub żywiołowe melodie grupy Ska Cubano założonej przez Natty Bo i Beny Billy’ego czy surowe, brzęczące riffy Lightnin’ Hopkinsa, łatwiej było odciąć się od szokujących historii gwałcicieli, morderców i terrorystów, które uporczywie odtwarzała w myślach.

Dance zatraciła się w trzeszczących dźwiękach muzyki sprzed półwiecza.

*Roli, Jordan, roli...*

Pięć minut później zatrzymała się w kompleksie biurowców na północy Monterey, tuż przy Munras Avenue, i wysiadła z samochodu. Weszła do parterowego garażu w jednym z budynków, gdzie stała honda civic należąca do kuriera Worldwide Express – wóz miał otwarty bagażnik, a kłapa była wymazana krwią. Obok stał O’Neil i policjant z miejskiej.

Towarzyszył im ktoś jeszcze.

Był to Billy Gilmore, kierowca furgonetki, którego Dance uznała już za kolejną ofiarę Pella. Ku jej zdumieniu, odnalazł się cały i zdrowy.

Krępy mężczyzna miał parę sińców i duży opatrunek na czole – zasłaniający rozcięcie, z którego prawdopodobnie pochodziła krew na samochodzie – okazało się jednak, że obrażenia nie są dziełem Pella; Gilmore sam się skaleczył, usiłując przyjąć wygodną pozycję w bagażniku.

– Nie próbowałem się wydostać. Za bardzo się bałem. Ale ktoś chyba mnie usłyszał i wezwał

policję. Pell powiedział, że mam tam siedzieć trzy godziny.

Gdybym wyszedł wcześniej, groził, że zabije moją żonę i dzieci.

– Nic im się nie stało – zapewnił Dance O’Neil. – Daliśmy im ochronę. –

Zrelacjonował opowieść Billy’ego o porwaniu furgonetki i kradzieży hondy.

Kierowca potwierdził, że Pell był uzbrojony.

W co był ubrany?

– Chyba w szorty, wiatrówkę i bejsbolówkę. Nie wiem. Naprawdę miałem pietra.

O’Neil przekazał nowe szczegóły rysopisu funkcjonariuszom na blokadach i zespołom poszukiwawczym.

W rozmowie z Billym Pell nie wspomniał ani słowem, dokąd się wybiera, lecz bardzo precyzyjnie wskazał mu drogę do garażu.

– Dobrze wiedział, gdzie to jest i że w garażu nikogo nie będzie.

Sprawdziła to zapewne współpracowniczka. Umówiła się tu z Pellem i prawdopodobnie razem wyruszyli w drogę do Utah.

– Pamięta pan coś jeszcze? – spytała.

Billy odrzekł, że gdy Pell zatrzaskał kłapę bagażnika, znów usłyszał jego głos.

– Ktoś z nim był?

– Nie, był sam. Chyba dzwonił. Miał mój telefon.

– Pański telefon? – zdziwiła się Dance, zerkając na O’Neila, który natychmiast zadzwonił do biura szeryfa i polecił technikom skontaktować się z operatorem sieci komórkowej kuriera, aby namierzyli aparat.

Dance pytała Billy’ego, czy zrozumiał, co mówił Pell.

– Nie. Słyszałem tylko, jak coś mamrotał.

Zadzwoniła komórka O’Neila. Detektyw słuchał przez chwilę, po czym poinformował Dance:

– Nic z tego. Albo zniszczył telefon, albo wyjął baterię. Nie mogą znaleźć sygnału.

Dance rozejrzała się po garażu.

– Musiał go gdzieś wyrzucić. Miejmy nadzieję, że niedaleko. Ktoś powinien przeszukać kubły na śmieci – i studzienki ściekowe na ulicy.

– I krzaki – dodał O’Neil, wydając polecenia dwóm zastępcom szeryfa.

Dołączył do nich TJ.

– A więc naprawdę tu był. Szefowo, może jestem głupi, ale gdybym się wybierał do Utah, na pewno nie jechałbym tędy.

Bez względu na to, czy Pell rzeczywiście zamierzał schronić się w Utah, przystanek w centrum Monterey stanowił prawdziwą zagadkę. Miasto było nieduże, musiał się więc liczyć z niebezpieczeństwem, że ktoś go rozpozna, poza tym stąd miał znacznie mniej dróg ucieczki, niż gdyby pojechał na wschód, północ czy południe. Wybór miejsca spotkania ze współpracowniczką był ryzykownym, ale znakomitym ruchem. Monterey było ostatnim miejscem, gdzie się go spodziewano.

Nurtowała ją jeszcze jedna kwestia.

– Billy, muszę pana o coś spytać. Jak to się stało, że pan żyje?

– Bo... prosiłem go, żeby nie robił mi krzywdy. Błagałem prawie na kolanach.

To było żenujące.

Kłamał. Dance nie potrzebowała nawet wzorca jego typowego zachowania, by zobaczyć cały katalog oznak stresu. Gilmore odwrócił wzrok, czerwieniąc się.



- Muszę znać prawdę. Może się okazać bardzo ważna – naciskała go.
- Naprawdę, płakałem jak dziecko. Chyba zrobiło mu się mnie żal.
- Pellowi nigdy w życiu nie było żal żadnego człowieka – rzekł O’Neil.
- Proszę mówić dalej – powiedziała cicho Dance.
- No dobrze... – Kurier przełknął ślinę, a jego twarz oblała się purpurą. –

Zawarliśmy układ. Chciał mnie zabić. Na pewno chciał. Powie działałem, że jeżeli daruje mi życie... – Jego oczy wypełniły się łzami. Trudno było patrzeć na jego nieszczęsną minę, ale Dance musiała zrozumieć, czym się kierował Pell i dlaczego ten człowiek żył, mimo że dwaj inni w podobnych okolicznościach zginęli.

– Proszę mówić – powtórzyła.

– No więc powiedziałem, że zrobię wszystko, jeżeli daruje mi życie. Myślałem, że każe mi oddać pieniądze czy coś takiego. Ale chciał, że bym. .. zobaczył zdjęcie mojej żony, spodobała mu się i kazał... kazał mi opowiedzieć, co ze sobą robimy.

Rozumie pani, chodziło mu o sprawy intymne. – Wbił wzrok w betonową posadzkę garażu. – Chciał znać szczegóły, dokładnie wszystko.

– Coś jeszcze? – Dance nie dawała za wygraną.

– Nie, nic więcej. Okropnie było mi wstyd.

– Billy, proszę mi powiedzieć.

Stał ze spuszczoną głową, bliski płaczu. Zaczęła mu drzeć broda.

– Co?

Głęboki wdech.

– Wziął mój numer telefonu. I powiedział, że niedługo zadzwoni do mnie wieczorem. Za miesiąc albo za pół roku. Nie wiadomo kiedy. A kiedy zadzwoni, miałem iść z żoną do sypialni. I, rozumie pani... – Słowa uwięzły mu w gardle. –

Miałem zostawić odłożoną słuchawkę, że by mógł nas słuchać. Powiedział mi, co Pam miała do mnie mówić.

Dance zerknęła na O’Neila, który wolno wypuścił powietrze.

– Złapiemy go, zanim do tego dojdzie.

Kurier otarł twarz.

– O mało co nie powiedziałem mu: „Nie, skurwielu. Już lepiej mnie zabij”. Ale nie potrafiłem.

– Niech pan wraca do rodziny. I proszę na jakiś czas wyjechać z miasta.

– Prawie mu to powiedziałem. Naprawdę.

Sanitariusz odprowadził go do karetki.

– Co tu jest grane? – szepnął O’Neil.

Powiedział głośno to, co pomyślała Dance.

– Detektywie, mam telefon zawołał jeden z zastępców szeryfa, podchodząc do nich. – Był w kubie na śmieci kawałek dalej. Bateria była w innym, po drugiej stronie ulicy.

– Dobra robota – pochwalił O’Neil.

Dance wzięła od TJ-a parę lateksowych rękawiczek, naciągnęła je i włożyła baterię do aparatu. Włączyła telefon, po czym wyświetliła listę ostatnich rozmów.

Nie było żadnych połączeń przychodzących, lecz od ucieczki z sądu dzwoniło z niego pięć razy. Podała numery O’Neilowi, który ponownie skontaktował się ze swoimi technikami. Zaczęli je po kolei sprawdzać

Pierwszy był fikcyjny; nie miał nawet prawdziwego prefiksu – co oznaczało, że Pell nie rozmawiał z żadnym współnikiem w sprawie rodziny Billy’ego. Chciał go po prostu zastraszyć i zmusić do posłuszeństwa.

Drugi i trzeci raz dzwoniło pod inny numer – jak się okazało, był to telefon komórkowy na kartę. W tym momencie aparat nie działał, prawdopodobnie został zniszczony; operator nie potrafił zlokalizować sygnału.

Z dwoma ostatnimi połączeniami mieli więcej szczęścia. Najpierw Pell dzwonił do informacji, pod 555-1212. Numer kierunkowy wskazywał na Utah. Ostatni numer na liście – który przypuszczalnie podano mu w biurze – należał do kempingu samochodowego pod Salt Lake City.

– Bingo – rzekł TJ.

Dance zadzwoniła tam, przedstawiła się i zapytała, czy czterdzieści minut temu ktoś do nich telefonował. Kobieta odparła, że tak, dzwonił jakiś człowiek z Missouri, który jechał na zachód i chciał się dowiedzieć, ile kosztuje tygodniowe parkowanie małego winnebago.

– Czy o tej porze dzwonił ktoś jeszcze?

– Moja matka i dwoje naszych gości z jakąś skargą. To wszystko.

– Ten człowiek z Missouri powiedział, kiedy przyjedzie?

– Nie.

Dance podziękowała kierownicze kempingu i poprosiła ją, aby natychmiast zadzwoniła, gdyby mężczyzna skontaktował się z nią ponownie. Następnie przekazała O’Neilowi i TJ-owi uzyskane od niej informacje i zadzwoniła do policji stanowej Utah – przyjaźniła się z kapitanem z Salt Lake City, któremu wyjaśniła sytuację. Policja z Utah miała natychmiast wysłać na kemping zespół obserwacyjny.

Oczy Dance spoczęły na nieszczęśliwym kurierze, który znów patrzył w podłogę. Było jej go żal; wiedziała, że do końca życia będą go prześladować wspomnienia dzisiejszych okropności – nie samego porwania, ale upokorzenia, jakiego doznał od Pella.

Pomyślała o Mortonie Walkerze; wprawdzie Billy uszedł z życiem, mimo to był kolejną ofiarą Daniela Pella.

– Mam powiedzieć Overby’emu o Utah? – zapytał TJ. – Będzie chciał puścić wiadomość w obieg.

Przeszkodził im dzwonek telefonu.

– Zaczekaj – poleciła agentowi Dance i odebrała. Dzwonił informatyk z więzienia Capitola. Młody człowiek z przejęciem oznajmił jej, że udało mu się znaleźć jedną ze stron internetowych odwiedzonych przez Pella. Miała związek z wyszukiwaniem hasła „Helter Skelter”.

– Sprytnie to zrobił – rzekł informatyk. – Nie sądzę, żeby w ogóle interesowało go to hasło. Chciał znaleźć stronę forum, gdzie użytkownicy umieszczają wiadomości na temat zbrodni i morderstw. Nazywa się „Zabójstwo” i jest podzielone na różne wątki, w zależności od rodzaju zbrodni. Jeden na przykład ma tytuł „Efekt Bundy’ego”, od Teda Bundy’ego, i dotyczy seryjnych morderców.

„Helter Skelter” jest poświęcony mordom rytualnym. Znalazłem wiadomość napisaną w sobotę i wydaje mi się, że była przeznaczona dla Pella.

– Na wszelki wypadek nie wpisał adresu strony bezpośrednio do przeglądarki – zauważyła Dance. – Żeby utrudnić nam zna lezienie.

- Zgadza się. Wolał skorzystać z wyszukiwarki.
- Pomysłowo. Może pan się dowiedzieć, kto napisał wiadomość?
- Była anonimowa. Nie da się namierzyć autora.
- Co w niej było napisane?

Odczytał jej krótką notkę, długości zaledwie paru linijek. Nie było wątpliwości, że adresatem miał być Pell; podano w niej ostatnie szczegóły planu ucieczki. Autor dodał coś jeszcze, ale słuchając ostatniego zdania, Dance zdziwiona pokręciła głową. Końcówka nie miała żadnego sensu.

– Przepraszam, może pan powtórzyć?

Spełnił prośbę.

– W porządku – powiedziała Dance. – Jestem panu bardzo wdzięczna. Proszę mi przesłać kopię.

– Podała mu swój adres e-mailowy.

– Gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc, proszę dać mi znać.

Dance rozłączyła się i milczała przez chwilę, starając się pojąć znaczenie wiadomości. O’Neil zauważył jej minę i nie niepokoił jej pytaniami.

Po namyśle podjęła decyzję. Zadzwoiła do Charlesa Overby’ego i powiedziała mu o kempingu w Utah. Szef ucieszył się z nowiny; wreszcie miał coś konkretnego dla dziennikarzy.

Potem, wracając myślą do rozmowy z Eddiem Changiem o wymyślanej randce z Pellem, zadzwoniła do Reya Carranea, by przydzielić mu następne zadanie. Zastanawiając się nad sensem jej prośby, młody agent rzekł niepewnie:

– Oczywiście, agentko Dance. Chyba.

Nie miała mu tego za złe; zadanie było, najogólniej mówiąc, dosyć niekonwencjonalne.

– Na jednej nodze – dodała.

– Mhm.

Domyśliła się, że nie zrozumiał.

– Pospiesz się.

## **Rozdział 14**

Zamówimy cytary. – Dobrze – zgodziła się Jennie. – A co to jest?

– Takie małe rybki. Podobne do anchois, ale mniej słone. Zamówi my kanapki.

Mam ochotę na dwie. Chcesz dwie?

– Tylko jedną, kochanie.

– Trzeba je skropić octem. Stoi na stolikach.

Jennie i Pell byli w Moss Landing, na północ od Monterey. Od strony lądu na niebie rysowały się masywne sylwetki bliźniaczych kominów elektrowni Duke Power. Po drugiej stronie autostrady znajdował się skrawek lądu, właściwie wyspa, na którą można się było dostać tylko mostem. Na piaszczystym pasie ziemi rozlokowały się serwisy łodzi, port oraz obszerna, masywna budowla, w której właśnie siedzieli Pell i Jennie: „Jack’s Seafood”. Firma działała od siedemdziesięciu pięciu lat. Przy odrapanych i poplamionych stolikach zasiadali John Steinbeck, Joseph Campbell i Henry Miller – a także najświetniejsza dama z Monterey, Flora Woods – spierając się, śmiejąc i pijąc aż do zamknięcia lokalu, a czasem znacznie dłużej.

Dziś pod nazwą „Jack’s Seafood” kryła się ogromna restauracja oraz firma prowadząca połów i sprzedaż ryb. Dawna cyganeria odeszła i zapanowała tu spokojniejsza atmosfera niż w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, lecz za to lokal pokazywano w Food Channel.

Pell pamiętał go z czasów, gdy mieszkali niedaleko stąd, w Seaside. Rodzina rzadko jadała poza

domem, ale lubił wysyłać Jimmy'ego albo Lindę po kanapki z cytarami, frytki i sałatkę cole-slave. Uwielbiał ich kuchnię i naprawdę się cieszył, że restauracji nie zamknięto.

Miał parę spraw do załatwienia w okolicy, liczył się jednak z niewielkim opóźnieniem – musiał się dobrze przygotować, znaleźć pewne informacje. Poza tym umierał z głodu, a po namyśle doszedł do wniosku, że może zaryzykować i pojawić się w publicznym miejscu. Policja na pewno nie będzie szukać dwojga niewinnych turystów – zwłaszcza tutaj, skoro już uwierzyła, że Pell jest w połowie drogi do Utah. Dowiedział się tego z komunikatu w radiu, przekazanego przez jakiegoś nadętego dupka Charlesa Overby'ego.

W restauracji można było usiąść na tarasie, skąd roztaczał się widok na zatokę i łodzie rybackie, lecz Pell wolał zostać w środku i mieć na oku drzwi. Ostrożnie usiadł przy stoliku, powstrzymując chęć, by poprawić uwierający go pistolet tkwiący za paskiem z tyłu. Jennie zajęła miejsce obok, przyciskając nogę do jego kolana.

Pell pociągnął łyk mrożonej herbaty. Zerknął na Jennie i zauważył, że dziewczyna przygląda się obrotowej tacy pełnej wielkich ciastek.

– Masz ochotę na deser po lunchu?

– Nie, kochanie. Nie wyglądają na smaczne.

– Nie? – Jemu na pewno nie wydawały się smaczne; Pell nie przepadał za słodyczami. Ale to były naprawdę olbrzymie kawały ciasta. W Capitolu za jeden taki dało się wytargować cały karton papierosów.

– To sam cukier, biała mąka i przyprawy. Syrop kukurydziany i tania czekolada. Ładnie wyglądają i są słodkie, ale poza tym nijakie.

– Nie pieczesz takich w swojej firmie?

– Nie, nie, nigdy. – Mówiła z ożywieniem, wskazując głową piramidę ciast. –

Ludzie jedzą dużo tego paskudztwa, bo nie potrafią się zadowolić i chcą więcej. A ja robię ciasto czekoladowe w ogóle bez mąki. Z czekolady, cukru, mielonych orzechów, wanilii i żółtek. Wierzch polewam odrobiną galaretki malinowej.

Wystarczy kilka kęsów i człowiek jest szczęśliwy.

– Brzmi całkiem nieźle. – Pomyślał, że ciasto musi smakować ohydnie. Ale Jennie opowiadała mu o sobie, a ludzi zawsze należy do tego zachęcać. Niech gadają, niech się upajają własnymi słowami. Wiedza jest groźniejszą bronią od noża. – Tym się przede wszystkim zajmujesz? Pieczeniem?

– Pieczenie lubię najbardziej, bo mam wtedy największą kontrolę. Wszystko robię sama. Przy innych potrawach część dania przygotowują inni.

Lubi kontrolę, pomyślał. Ciekawe. Odnotował ten fakt w pamięci.

– Czasami podaję do stołu. Wtedy dostaję napiwki.

– Założę się, że duże.

– To zależy, nieraz się trafia.

– Lubisz tę pracę?... Z czego się śmiejesz?

– Po prostu... nie wiem, kiedy ostatni raz ktoś – to znaczy chłopak – Pytał mnie, czy lubię swoją pracę... Jasne, fajnie jest podawać. Czasami udaję, że wcale nie jestem w pracy, tylko sama wydaję przyjęcie i obsługuję swoich przyjaciół i rodzinę.

Za oknem zobaczył krążącą głodną mewę, która po chwili niezgrabnie przysiadła na palu, szukając resztek jedzenia. Pell zapomniał już, jakie to wielkie ptaki.

Jennie ciągnęła:

– Na przykład kiedy piekę tort weselny. Czasami wydaje mi się, że w życiu liczą się właśnie takie małe radości. Człowiek się cieszy, że zrobił świetny tort, który wszystkim smakuje. Och, to nie trwa wiecznie, ale w końcu jakie szczęście trwa wiecznie?

Słuszna uwaga.

– Nigdy nie wezmę do ust ciasta, które upiekł ktoś inny.

Zaśmiała się.

– Weźmiesz, weźmiesz, ukochany. Ale cieszę się, że to powiedziałaś. Dziękuję.

Ostatnie słowa zabrzmiały dojrzałe. Jak gdyby wypowiedziała je osoba mająca kontrolę nad przebiegiem rozmowy. Pell poczuł, że został zepchnięty do defensywy. Taka sytuacja bardzo mu się nie podobała, więc zmienił temat.

– Mam nadzieję, że polubisz cytary. Ja je uwielbiam. Chcesz jeszcze mrożonej herbaty?

– Nie, dziękuję. Wystarczy mi, że siedzisz obok mnie. Niczego więcej nie chcę.

– Popatrzmy na mapy.

Otworzyła torebkę. Rozłożyła jedną z map, a Pell zaczął ją oglądać, zauważając zmiany, jakie zaszły na półwyspie w ciągu minionych ośmiu lat. Na chwilę przerwał studiowanie, skupiając się na jakimś dziwnym odczuciu. Nie potrafił go nazwać. Wiedział tylko, że jest naprawdę przyjemne.

Wreszcie uświadomił sobie, co to jest: cieszył się z wolności.

Skończyło się osiem lat odosobnienia, życia pod kontrolą innych, i Pell mógł rozpocząć nowy rozdział. Po wykonaniu zadań, jakie go tu czekały, będzie mógł wyjechać na zawsze i założyć nową Rodzinę. Rozejrzał się po restauracji, patrząc na pozostałych klientów i koncentrując uwagę na kilku osobach: na nastolatce siedzącej dwa stoliki dalej w towarzystwie rodziców, pochylonych w milczeniu nad talerzami, jak gdyby rozmowa była dla nich męczarnią. Przypuszczał, że potrafiłby bez trudu omamić pulchną dziewczynkę, gdyby spotkał ją samą w salonie gier albo Starbucksie. W ciągu najwyżej dwóch dni udałoby mu się ją przekonać, że może bezpiecznie wsiąść z nim do samochodu.

Przy barze siedział młody mężczyzna wyglądający na około dwadzieścia lat (odmówiono mu piwa, gdy oświadczył, że „zapomniał” dowodu tożsamości). Miał

tatuaze – głupie rysunki, których dziś prawdopodobnie żałował – a nędzne ubranie i lunch złożony tylko z zupy świadczyły o kłopotach finansowych. Przebiegał

spojrzeniem po sali, zatrzymując wzrok na każdej kobiecie i dziewczynie powyżej szesnastu lat. Pell doskonale wiedział, co wystarczyłoby zrobić, by w ciągu paru godzin zwerbować chłopaka.

Zauważył też młodą matkę – samotną, jeżeli brak obrączki dowodził prawdy.

Siedziała zgarbiona i przygnębiona – oczywiście kłopoty z mężczyzną. Prawie nie zwracała uwagi na dziecko w wózku obok. Ani razu na nie nie spojrzała i nie dał Bóg, żeby zaczęło płakać; kobieta szybko straciłaby cierpliwość. Za rozgoryczoną miną i rezygnacją malującą się w oczach kryła się jakaś smutna historia, ale Pella zupełnie nie obchodziły jej przeżycia. Interesujący był tylko fakt, że z dzieckiem łączy ją bardzo krucha więź. Pell wiedział, że gdyby nakłonił kobietę, aby się do nich przyłączyła, mógłby wkrótce rozdzielić matkę i dziecko, i sam zostać ojcem.

Przypomniał sobie baśń, którą czytała mu ciotka Barbara, gdy mieszkał u niej w Bakersfield: historię o grającym na piszczalce Szczurołapie z Hameln, który uwolnił średniowieczne miasto w Niemczech od plagi szczurów, a kiedy mieszkańcy odmówili mu zapłaty, wywabił z domów dzieci, które tańcząc, podążyły za nim za mury miasta. Legenda wywarła na Pellu duże wrażenie i zapadła

mu w pamięć. Już jako dorosły dowiedział się więcej o tym wydarzeniu.

Fakty przedstawiały się inaczej niż w popularnej wersji braci Grimm.

Prawdopodobnie nie było żadnych szczurów ani niezapłaconego rachunku; dzieci po prostu zniknęły z Hameln i nigdy ich nie odnaleziono. Zniknięcie – a także obojętna podobno reakcja rodziców – pozostało tajemnicą.

Według jednej z hipotez dzieci zapadły na chorobę wywołującą spazmy przypominające taniec i wyprowadzono je z miasta, ponieważ dorośli bali się zarażenia. Według innej Szczurołap stanął na czele pielgrzymki, podczas której dzieci zginęły na skutek jakiejś klęski żywiołowej albo konfliktu zbrojnego.

Była jednak jeszcze jedna teoria, którą Pell wolał od innych. Mówiła, że dzieci opuściły rodziców z własnej woli, wyruszając ze Szczurołapem do Europy Wschodniej, którą wówczas kolonizowano, i tam się osiedliły, a on został ich przywódcą sprawującym władzę absolutną. Pellowi bardzo podobała się myśl, że ktoś potrafił odebrać rodzinom kilkadziesiąt – według niektórych ponad setkę

– dzieci i został ich przybranym ojcem. Cóż to za wrodzony talent musiał mieć Szczurołap albo jak udało mu się osiągnąć tak wspaniałe umiejętności?

Z rozmyślań wyrwała go kelnerka, która przyniosła im lunch. Wzrok Pella prześliznął się po jej biuście, lecz zaraz zatrzymał się na jedzeniu.

– Wygląda pysznie, ukochany – oświadczyła Jennie, spoglądając na talerz.

Pell podał jej buteleczkę.

– Musisz je skropić octem słodowym. Wystarczy odrobina.

– Dobrze.

Jeszcze raz obrzucił restaurację krótkim spojrzeniem: popatrzył na naburmuszoną dziewczynkę, podenerwowanego chłopaka, samotną matkę o nieobecny wyrazie twarzy... Oczywiście nie zamierzał ich teraz uwodzić. Po prostu zachwycała go świadomość, że otwiera się przed nim tyle możliwości.

Kiedy tylko wszystko się uspokoi, za jakiś miesiąc, znów ruszy na łowy – w salonach gier, Starbucksach i McDonaldach, w parkach, w kampusach i na szkolnych boiskach.

Szczurołap z Kalifornii...

Daniel Pell skupił uwagę na kanapkach i zabrał się do jedzenia.

Samochody pędziły na północ autostradą numer jeden.

Michael O'Neil siedział za kierownicą nieoznakowanego forda biura szeryfa, mając obok siebie Kathryn Dance. TJ jechał taurusem należącym do CBI, a za nimi podążały dwa radiowozy policji Monterey. Stanowa także miała im przysłać kilka samochodów, a z najbliższego miasta, Watsonville, na południe ruszył już patrol.

O'Neil jechał prawie sto dwadzieścia na godzinę. Poruszałiby się szybciej, lecz ruch był zbyt duży, a na niektórych odcinkach droga zwężała się do dwóch pasów.

Poza tym nie włączyli syren, używali tylko świateł ostrzegawczych.

Dance miała wątpliwości, czy Pell rzeczywiście zamierza uciec do Utah.

Intuicja podpowiadała jej, że – podobnie jak Meksyk – jest to fałszywy trop, zwłaszcza kiedy Rebecca i Linda oznajmiły, że Pell nigdy nie wspominał o Utah, oraz gdy znaleźli telefon komórkowy wyrzucony bardzo niedaleko samochodu kuriera Worldwide Express. Co najważniejsze, przeżył kurier, który opowiedział

policji o zabranym telefonie i przeprowadzonej przez Pella rozmowie. Pretekstem do darowania życia Billy'emu mogła być chęć wciągnięcia go w perwersyjną grę, lecz Dance uznała, że żaden uciekinier z więzienia, nawet o najdziwniejszych upodobaniach erotycznych, nie marnowałby czasu na takie zabawy.

Potem jednak skontaktował się z nią informatyk z Capitoli i przeczytał jej wiadomość umieszczoną przez współpracowniczkę na internetowym forum „Zabójstwo” w wątku „Helter Skelter”.

*Paczka będzie na miejscu około 9.20. Samochód WWE przyjeżdża na San Benito o 9.30. Pomarańczowa wstążka na sośnie. Spotkamy się przed umówionym sklepem.*

Tak brzmiała pierwsza część wiadomości, potwierdzająca plan ucieczki. Dance zdziwiło jednak ostatnie zdanie.

*Pokój przygotowany, sprawdzam miejsca w okolicy Monterey, o które prosiłeś.*

*Twoja najdroższa.*

Co świadczyło, ku zdumieniu wszystkich, że Pell mógł się zatrzymać niedaleko.

Dance i O'Neil nie potrafili odgadnąć powodu takiej decyzji. Wydawała się szaleństwem. Ale jeśli rzeczywiście został, Dance postanowiła sprawić, by nabrał

pewności siebie i uznał, że nie musi się kryć. Dlatego zrobiła coś, czego nie uczyniłaby w innych okolicznościach. Wykorzystała Charlesa Overby'ego.

Wiedziała, że gdy powie mu o Utah, szef natychmiast pobiegnie z tym do dziennikarzy i ogłosi, że poszukiwania koncentrują się teraz na drogach prowadzących na wschód. Miała nadzieję, że usłyszawszy komunikat, Pell poczuje się bezpiecznie i postanowi się pokazać.

Tylko gdzie?

Liczyła, że odpowiedź na to pytanie kryje się w informacjach uzyskanych od Eddiego Changa, któremu Daniel Pell czasem napomyka! o swoich zainteresowaniach i pragnieniach. Chang twierdził, że znaczące miejsce zajmuje w nich seks, co mogło oznaczać, że Pell skieruje kroki do salonów masażu albo agencji towarzyskich, lecz na półwyspie działało niewiele przybytków tego rodzaju. Poza tym Dance podejrzewała, że jego potrzeby w tej dziedzinie zaspokaja współpracowniczka.

– Co jeszcze? – pytała Changa.

– Aha, coś sobie przypomniałem. Jedzenie.

Daniel Pell był podobno amatorem owoców morza, a zwłaszcza małych rybek zwanych cytarami. Kilka razy wspominał, że na środkowym wybrzeżu jest tylko kilka restauracji, gdzie potrafią je przyrządzić, jak należy, a miał jasno określone wymagania i nie uznawał innych sposobów przygotowania ryby. Dance zapisała nazwy restauracji zapamiętane przez Changa. Podczas pobytu Pella w więzieniu trzy z nich już zamknięto, ale działała jeszcze jedna na Fisherman's Wharf w Monterey i jedna w Moss Landing.

Na tym właśnie polegało niekonwencjonalne zadanie, jakie Dance Przydzieliła agentowi Carraneo: miał zadzwonić do obu restauracji – oraz innych na środkowym wybrzeżu specjalizujących się w podobnym menu – i zawiadomić je o zbiegłym więźniu, który mógł się zjawić w lokalu w towarzystwie szczupłej blondynki.

Szanse były znikome i Dance nie spodziewała się, by plan przyniósł

jakikolwiek skutek. Ale Carraneo właśnie dostał sygnał od kierownika „Jack's Seafood”, znanej restauracji na wybrzeżu Moss Landing. Na sali siedziało dwoje gości, którzy jego zdaniem zachowywali się podejrzanie – podczas gdy większość klientów przebywała na tarasie, para zajęła stolik wewnątrz, a mężczyzna cały czas obserwował drzwi wejściowe. Był gładko ogolony i miał

czapkę oraz okulary przeciwsłoneczne, nie można więc było stwierdzić, czy to naprawdę Pell. Kobieta, też w czapce i ciemnych szklach, miała najprawdopodobniej jasne włosy. Wiek obojga zgadzał się z rysopisem poszukiwanych.

Dance zadzwoniła do kierownika restauracji, pytając, czy ktoś mógłby się dowiedzieć, jakim samochodem przyjechała tajemnicza para. Kierownik nie miał

pojęcia. Ale parking nie był zbyt zatłoczony, więc jeden z pomocników kelnera wyszedł z sali i po hiszpańsku podał Dance numery rejestracyjne wszystkich stojących tam samochodów.

Po szybkim sprawdzeniu danych w ewidencji wydziału komunikacji okazało się, że turkusowy ford thunderbird został w zeszły piątek skradziony – choć, co ciekawe, nie w okręgu Monterey, ale w Los Angeles.

Może to był fałszywy alarm. Dance postanowiła tam jednak pojechać; w najgorszym razie zatrzymają złodzieja samochodu. Zawiadomiła O'Neila, po czym powiedziała do kierownika:

– Przyjedziemy tam jak najszybciej. Proszę niczego nie robić. Po prostu niech każdy zachowuje się normalnie i nie zwraca na nich uwagi.

– Normalnie – powtórzył drżącym głosem szef restauracji. – Tak, oczywiście.

Kathryn Dance zakładała, że po aresztowaniu Pella przeprowadzi drugie przesłuchanie. Na początku zamierzała mu zadać pytanie, na które bardzo pragnęła poznać odpowiedź: dlaczego został w okolicy?

Kiedy mijali Sand City, pasaż handlowy przy autostradzie numer jeden, sznur samochodów trochę się przeredził i O'Neil mocniej wcisnął pedał gazu. Od restauracji dzieliło ich dziesięć minut drogi.

## **Rozdział 15**

Jadłaś kiedyś coś smaczniejszego? – Och, kochanie, bardzo dobre są te cyntary.

– Cytary – poprawił Pell. Zastanawiał się, czy nie zamówić trzeciej kanapki.

– No więc tak to wyglądało z moim byłym – ciągnęła Jennie. – Odtąd nigdy go nie widziałam i nie miałam od niego żadnej wiadomości. Dzięki Bogu.

Właśnie skończyła mu opowiadać o swoim byłym mężu – księgowym i biznesmenie, a także, choć trudno w to uwierzyć, żalosnym mięczaku – przez którego dwa razy trafiła do szpitala z obrażeniami wewnętrznymi, a raz ze złamaną ręką. Krzyczał na nią, gdy zapomniała wyprasować pościel, krzyczał, gdy po zaledwie miesiącu prób nie udało się jej zająć w ciąży, krzyczał, kiedy Lakersi przegrali mecz. Powtarzał jej, że ma cycki jak chłopak i dlatego nie może mu stanąć. Swoim przyjaciołom mówił, że Jennie będzie „wyglądać całkiem, całkiem”, kiedy zoperuje sobie nos.

Małostkowy tchórz, który nie potrafił zapanować nawet nad sobą, pomyślał Pell.

Potem poznał dalsze odcinki serialu: historie o chłopakach, których Jannie miała po rozwodzie. Wszyscy byli podobni do niego, choć uznał, że każdy zasługiwał najwyżej na określenie „Pell w wersji light”. Jeden był złodziejaszkiem mieszkającym w Laguna, między Los Angeles a San Diego. Zajmował się drobnymi przekrętami. Inny handlował prochami. Trzeci należał do gangu motocyklowego. A czwarty był zwykłym gnojkiem.

Pell dostał w życiu swoją porcję psychoterapii. Na ogół okazywała się bezsensowna, lecz czasem słyszał od terapeuty jakieś celne spostrzeżenie, które odnotowywał w pamięci (oczywiście nie z myślą o własnym zdrowiu psychicznym, ale jako użyteczną broń przeciw innym).

Dlaczego więc Jennie miała słabość do złych chłopców? Dla Pella było to oczywiste. Przypominali jej matkę; podświadomie rzucała im się w ramiona, w nadziei, że się zmienią i zamiast



ją ignorować czy wykorzystywać, w końcu ją pokochają.

Wiedza o tym wdawała się przydatna, ale Pell mógłby jej powiedzieć: najdroższa, daj sobie spokój. Nigdy się nie zmieniamy. Przenigdy. Zapisz to sobie i noś blisko serca.

Choć naturalnie zachował tę mądrość dla siebie.

Przestała jeść.

– Kochanie?

– Mhm?

– Mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście, najdroższa.

– Nigdy nie mówisz o tych, wiesz... dziewczynach, z którymi mieszkałeś.

Kiedy cię aresztowali. O Rodzinie.

– Chyba nie.

– Masz z nimi jakiś kontakt? Jak się nazywały?

– Samantha, Rebecca i Linda – wyrecytował. – Był jeszcze Jimmy – ten, który próbował mnie zabić.

Spojrzała na niego przelotnie.

– Wolałbyś, żebym o nich nie pytała?

– Nie, możesz mnie pytać o wszystko.

Nigdy nie zabraniaj nikomu poruszać żadnego tematu. Uśmiechaj się i wyciągaj tyle informacji, ile się da.

– Czy te kobiety wydały cię policji?

– Niezupełnie. Nie wiedziały nawet, że idę z Jimmym do domu Croytonów. Ale żadna mi nie pomogła, kiedy mnie aresztowali. Linda spaliła parę dowodów i skłamała policji. Ale nawet ona w końcu się poddała i zaczęła współpracować. –

Zaśmiał się z goryczą. – I za co? Przecież dałem im dom. Rodzice mieli ich wszystkich gdzieś. A ja dałem im rodzinę.

– Zdenerwowałeś się? Nie chciałam cię zdenerwować.

– Nie. – Pell uśmiechnął się do niej. – Wszystko w porządku, najdroższa.

– Często o nich myślisz?

Ach, więc o to chodzi. Pell całe życie uczył się odczytywać podteksty w wygłaszanych przez ludzi uwagach. Uświadomił sobie, że Jennie jest zazdrosna.

Małe i nieważne uczucie, które łatwo można było stłumić, ale które jednocześnie stanowiło istotną siłę we wszechświecie.

– Nie. Od lat nie miałem od nich żadnej wiadomości. Przez jakiś czas pisałem do nich. Odpowiadała tylko Linda. Ale potem dowiedziała się od swojego adwokata, że to może źle wpłynąć na decyzję o jej zwolnieniu warunkowym, i przestała. Muszę przyznać, że podle się czułem.

– Przykro mi, kochanie.

– Nie wiem nawet, czy żyją, czy umarli, czy szczęśliwie wyszły za mąż – Z początku byłem na nie wściekły, ale potem zrozumiałem, że po pełniłem błąd. Źle wybrałem. Z tobą jest inaczej. Ty jesteś dla mnie dobra; one nie były.

Uniosła do ust jego dłoń i pocałowała każdy palec po kolei.

Pell wrócił do studiowania mapy. Uwielbiał mapy. Kiedy człowiek się gubi, jest bezradny, traci kontrolę. Przypomniawszy sobie, jak ważną rolę odegrały mapy – a raczej ich brak – w historii tej części

Kalifornii, rejonu zatoki Monterey. Przed laty, kiedy istniała Rodzina, po kolacji wszyscy siadali w kole i słuchali czytającej na głos Lindy. Pell często wybierał dzieła miejscowych autorów i książki opowiadające o okolicy. Przypomniawszy sobie jedną, o historii Monterey. Zatokę odkryli Hiszpanie na początku siedemnastego wieku i nazwali ją Bahía de Monte Rey – na cześć bogatego protektora wyprawy. Uznano ją za niezwykle smakowity kąsek – żyzna ziemia, doskonały port, strategiczna lokalizacja – a gubernator chciał

tu zbudować dużą kolonię. Niestety, gdy odkrywcy odpłynęli, nie umieli tu z powrotem trafić.

Wiele ekspedycji bez powodzenia próbowało odnaleźć zatokę, która z każdym rokiem nabierała coraz bardziej mitycznych rozmiarów. Jeden z największych kontyngentów kolonizatorów wyruszył łodem z San Diego i skierował się na północ, postanawiając za wszelką cenę odszukać Bahía. Narazając się na ataki żywołów i niedźwiedzi grizzly, konkwistadorzy centymetr po centymetrze przemierzali całą drogę do San Francisco – i mimo to nie natrafili na ślad wielkiej zatoki.

Po prostu dlatego, że nie mieli dokładnej mapy.

Kiedy w Capitoli Pellowi udało się wejść do Internetu, zobaczył wspaniałą stronę Visual-Earth, gdzie wystarczyło kliknąć na mapę, by na ekranie pojawiło się zdjęcie satelitarne każdego miejsca na ziemi. Był zachwycony. Miał kilka ważnych rzeczy do sprawdzenia, nie było więc czasu na długie oglądanie. Czekał na chwilę, gdy życie się uspokoi i będzie mógł spędzać godziny na studiowaniu tej strony.

Jennie wskazywała różne punkty na leżącej przed nimi mapie, a Pell zapamiętywał informacje. Ale jak zawsze uważnie słuchał wszystkiego dookoła.

– To dobry piesek. Trzeba go tylko lepiej wytresować.

– Przed nami długa droga, ale jeżeli się nie pospieszymy, będzie ochrzan, nie?

– Zamawiałem już dziesięć minut temu. Może pan sprawdzić, dla czego to tak długo trwa?

Słyszając ostatnią uwagę, Pell spojrzął w stronę baru.

– Przepraszam – rzekł do klienta mężczyzna w średnim wieku stojący przy kasie. – Mam dzisiaj mało personelu. – Mężczyzna, właściciel czy kierownik, wyglądał na zdenerwowanego i wyraźnie unikał wzrokiem Pella i Jennie.

*Inteligentni ludzie mogą się domyślić, dlaczego zachowujesz się inaczej, a potem wykorzystają to przeciw tobie.*

Kiedy Pell składał zamówienie, między kuchnią a stolikami kursowały trzy czy cztery kelnerki. Teraz na sali widać było tylko człowieka przy kasie. Jak gdyby kazał się ukryć wszystkim pracownikom.

Pell skoczył na równe nogi, przewracając stół. Jennie upuściła widelec i też zerwała się z miejsca.

Kierownik spojrzął na nich w popłochu.

– Sukinsynu – wycedził Pell, wyciągając zza paska pistolet.

Jennie wrzasnęła.

– Nie, nie... – Kierownik po sekundzie wahania uciekł do kuchni, zostawiając na łasce uzbrojonego człowieka klientów, którzy z krzykiem rzucili się na podłogę.

– Co się stało, kochanie? – Głos Jennie drżał z przerażenia.

– Idziemy. Do samochodu. – Chwycił mapę.

Gdy wypadli na zewnątrz, dostrzegł zbliżające się z południa maleńkie błyskające światła.

Jennie zamarła, szepcząc w panice:

– Anielskie pieśni, anielskie pieśni...

– Chodź!

Wskoczyli do forda. Pell wrzucił wsteczny, potem zmienił bieg i wdusił gaz, ruszając na wąski most prowadzący na autostradę numer 1. Kiedy koła uderzyły w nierówną nawierzchnię po drugiej stronie mostu, Jennie omal nie zsunęła się z fotela. Na autostradzie Pell skręcił na północ i po niecałych stu metrach gwałtownie zahamował. Z przeciwnej strony nadjeżdżał jeszcze jeden radiowóz.

Pell zerknął w prawo i wcisnął gaz do dechy, kierując samochód prosto w stronę bramy elektrowni, brzydkiej i masywnej budowli, która zamiast do malowniczego brzegu oceanu bardziej pasowała do krajobrazu rafinerii w Gary w stanie Indiana.

Dance i O'Neil byli pięć minut drogi od Moss Landing.

Jej palce nerwowo bębniły w rękojeść glocka spoczywającego na prawym biodrze. Jeszcze nigdy nie użyła broni w akcji, a posługiwanie się nią nie było jej mocną stroną nie przejawiała talentu strzeleckiego.

Mając w domu dzieci, czuła się niespokojna, nosząc przy sobie broń (trzymała ją obok łóżka w sejfie zamykanym na zamek cyfrowy i tylko ona знаła kod).

Natomiast Michael O'Neil i TJ byli znakomitymi strzelcami. Cieszyła się, że jej towarzyszą.

Ale czy dojdzie do wymiany ognia? Oczywiście Dance nie znała odpowiedzi.

Wiedziała jednak, że zrobi wszystko co konieczne, żeby zatrzymać mordercę.

Ford z piskiem skręcił za róg i pomknął w górę wzniesienia.

Gdy znaleźli się na szczycie, O'Neil mruknął:

– Cholera...

Wcisnął hamulec.

– Trzymaj się!

Samochód wpadł w poślizg, a Dance stłumiła okrzyk, chwytając się deski rozdzielczej. Zatrzymali się przednimi kołami na poboczu, półtora metra od ciężarówki z przyczepą stojącej na środku drogi. Autostrada była zakorkowana do samego Moss Landing. Samochody jadące w przeciwnym kierunku poruszały się bardzo wolno. W odległości kilku kilometrów Dance zobaczyła migające światła i zdała sobie sprawę, że funkcjonariusze zamknęli ruch.

Blokada?

Detektyw połączył się z biurem szeryfa okręgu Monterey.

– Tu O'Neil – powiedział do motoroli.

– Proszę mówić, detektywie. Odbiór.

– Jesteśmy na jedyńce, na północnej nitce, tuż przed Moss Landing.

Zatrzymano ruch? Co się tam dzieje?

– Zgadza się. Ewakuują Duke Power. Podobno jakiś pożar. Sytuacja jest poważna. Wielu rannych. Dwie ofiary śmiertelne.

Och, nie, pomyślała Dance, wzdychając ciężko. Tylko nie nowe ofiary.

– Pożar? – spytał O'Neil.

– To samo, co Pell zrobił w sądzie. – Dance zmrużyła oczy. Zauważyła słup czarnego dymu. Autorzy planów awaryjnych bardzo poważnie traktowali ryzyko rozprzestrzenienia się ognia. Kilka lat temu spalił się tu pozostawiony bez dozoru zbiornik na ropę. Dziś elektrownia używała gazu – nie ropy – więc prawdopodobieństwo wybuchu groźnego pożaru było znacznie mniejsze. Mimo to służby

ratownicze zatrzymały cały ruch na autostradzie numer 1 w obu kierunkach i przystąpiły do ewakuacji ludzi z najbliższej okolicy.

O'Neil warknął:

– Przekażcie stanowej, straży Monterey czy kto tam dowodzi akcją, żeby umożliwili nam przejazd. Musimy się tam dostać. Prowadzimy pościg za tym zbiegiem z więzienia. Odbiór.

– Zrozumiałem, detektywie... Chwileczkę... – Na minutę zapadła ci sza.

Wreszcie głos w radiu powiedział: – Właśnie dostałem wiadomość od straży pożarnej Watsonville. Nie wiem... Tak, nie ma pożaru w elektrowni. Pali się tylko samochód przed główną bramą. Nie wiem, kto zgłosił jedenaście czterdzieści jeden. Nie ma informacji o żadnych ofiarach. To był fałszywy alarm... Mieliśmy też zgłoszenie z „Jack’s Seafood”. Podejrzany wyciągnął broń i uciekł.

– Cholera, wyczuł nas – mruknął O'Neil.

Dance wzięła mikrofon.

– Zrozumiałam. Czy na miejscu jest jakaś policja?

– Proszę czekać... Tak, jest jeden funkcjonariusz z Watsonville. Reszta to strażacy i służby ratownicze.

– Jeden funkcjonariusz – powtórzyła Dance, marszcząc brwi i z nie dowierzaniem kręcąc głową.

– Proszę mu przekazać, że Daniel Pell jest w pobliżu.

I jest uzbrojony. Może strzelać do niewinnych osób i funkcjonariuszy.

– Zrozumiałem. Przekażę.

Dance zastanawiała się, jak policjant poradzi sobie w pojedynkę; najgroźniejszym przestępstwami w Moss Landing były kradzieże samochodów i łodzi oraz jazda po pijanemu.

– Słyszałeś wszystko, TJ?

– Kurwa! – padła odpowiedź z głośnika. TJ nie przejmował się zasadami komunikacji radiowej.

O'Neil ze złością wcisnął mikrofon do uchwytu.

Ich prośba o otwarcie ruchu nie przyniosła żadnego skutku.

– Spróbujmy się tam jakoś precyzyjnie – powiedziała Dance. – Najwyżej trzeba będzie wykolepować samochód.

O'Neil skinął głową. Włączył syrenę, ruszając piaszczystym i kamienistym poboczem, które w niektórych miejscach było niemal nieprzejezdne.

Ale kawalkada policyjnych aut zaczęła się wolno posuwać naprzód.

## **Rozdział 16**

Kiedy dotarli do Moss Landing, po Pellu i jego dziewczynie nie było śladu.

Dance i O'Neil zaparkowali, a chwilę potem zjawił się TJ, zatrzymując samochód obok spalonego forda thunderbirda, który wciąż się tlił.

– Samochód Pella – zauważyła Dance. – Skradziony w piątek w Los Angeles. –

Poleciła TJ-owi znaleźć kierownika restauracji „Jack’s Seafood”.

Policjant z Watsonville, O'Neil i pozostali funkcjonariusze rozeszli się w poszukiwaniu świadków. Wiele osób uciekło, prawdopodobnie przestraszywszy się ognia i przeraźliwego ryku syreny w elektrowni – być może sądząc, że doszło do awarii reaktora jądrowego.

Dance przesłuchiwała kilku ludzi w pobliżu elektrowni. Z ich zeznań wynikało, że turkusowy ford thunderbird ruszył spod „Jack’s Seafood”, przejechał przez most i nagle zatrzymał się przed elektrownią. Wyskoczyli z niego muskularny mężczyzna i blondynka, a zaraz potem samochód

buchnął ogniem.

Według jednego ze świadków para uciekinierów przebiegła przez drogę w kierunku wybrzeża, ale nikt nie widział, co się potem z nimi stało. Przypuszczalnie to Pell zadzwonił pod 911, żeby zgłosić pożar w elektrowni i poinformować o dwóch ofiarach śmiertelnych oraz wielu rannych.

Dance rozejrzała się wokół. Pell i dziewczyna potrzebowali drugiego samochodu; nie mogli stąd uciec pieszo. Jej wzrok zatrzymał się na zatoce. Ze względu na zakorkowaną drogę logiczniej byłoby ukraść łódź. Zebrała kilku miejscowych funkcjonariuszy, pobiegła z nimi na drugą stronę autostrady i przez piętnaście minut gorączkowo wypytywała ludzi na brzegu, usiłując się dowiedzieć, czy Pell nie ewakuował się drogą wodną.

Strata czasu.

Wracając na autostradę, Dance zauważyła sklepik naprzeciwko elektrowni – budkę z pamiątkami i słodyczami. Na drzwiach wisiała tabliczka ZAMKNIĘTE, ale wydawało się jej, że przez szybę dostrzegła twarz kobiety.

Czyżby w środku był z nią Pell?

Dance przywołała gestem jednego z zastępców szeryfa, podzieliła się z nim swoimi przypuszczeniami i razem podeszli do drzwi. Dance zastukała. Nikt nie odpowiedział.

Gdy zapukała ponownie, drzwi powoli się uchyliły. Tęga kobieta o krótkich, kręconych włosach, obrzucając zaniepokojonym spojrzeniem ich ręce spoczywające na broni, spytała w popłochu:

– Słucham?

Patrząc w głąb ciemnego wnętrza, Dance poprosiła:

– Mogłaby pani wyjść ze sklepu?

– Mm, tak, oczywiście.

– Czy w środku jest ktoś jeszcze?

– Nie. Dlaczego...

Zastępca szeryfa wpadł do budki i włączył światło. Dance ruszyła za nim. Po krótkim przeszukaniu okazało się, że sklepik jest pusty. Dance odwróciła się do kobiety.

– Przepraszam, że panią niepokoiliśmy.

– Nic nie szkodzi. Dokąd uciekli?

– Ciągłe prowadzimy poszukiwania. Widziała pani, co się stało?

– Nie, byłam w sklepie. Kiedy wyjrzałam, palił się samochód. Przy pomniałam sobie, jak kilka lat temu palił się zbiornik z ropą. To było straszne. Była tu pani wtedy?

– Owszem. Widziałam pożar z Carmel.

– Wiedzieliśmy, że zbiornik jest pusty. Albo prawie pusty. Ale wszyscy okropnie się bali. I te kable. Prąd może być naprawdę straszny.

– Sklep jest nieczynny?

– Tak. I tak chciałam dzisiaj wyjść wcześniej. Nie wiedziałam, jak długo autostrada będzie zamknięta. Niewielu turystów ma ochotę kupować słodycze, kiedy po drugiej stronie drogi pali się elektrownia.

– Pewnie tak. Ciekawa jestem, dlaczego pytała pani, dokąd uciekli.

– Och, przecież to niebezpieczny człowiek! Mam nadzieję, że szybko zostanie aresztowany.

– Ale powiedziała pani „uciekli”. Skąd pani wie, że to byli „oni”?

Chwila ciszy.

– No...

Dance uśmiechała się, lecz patrzyła jej prosto w oczy.

– Twierdziła pani, że niczego nie widziała. Wyjrzała pani ze sklepu dopiero, gdy włączyła się syrena.

– Chyba z kimś rozmawiałam. Przed sklepem.

*Chyba...*

Wyraźny sygnał zaprzeczenia. Kobieta podświadomie uważała, że nie podaje informacji sprzecznej z prawdą, ale wyraża własne zdanie.

– Kto pani powiedział? – indagowała Dance.

– Nie znam tej osoby.

– Mężczyzna czy kobieta?

Znów chwila wahania.

– Jakaś dziewczyna, kobieta. Z innego stanu. – Odwracała głowę i lekko pocierała nos – gesty odrzucenia i negacji.

– Gdzie jest pani samochód? – spytała Dance.

– Mój...

Oczy odgrywają niejednoznaczny rolę w analizie mowy ciała. Niektórzy funkcjonariusze sądzą, że jeśli podejrzany spogląda w lewo, to znaczy, że mówi nieprawdę. Dance uważała, że to stary policyjny mit; unikanie spojrzenia przesłuchującego – w przeciwieństwie do odwracania głowy lub ciała – nie ma żadnego związku z kłamstwem; wzrok jest za bardzo posłuszny ludzkiej woli.

Mimo to z oczu można niejedno wyczytać.

W trakcie rozmowy Dance zauważyła, że kobieta spogląda w jedno miejsce parkingu. Ilekroć to robiła, zdradzała oznaki stresu: przestępowała z nogi na nogę, zaciskała palce. Dance zrozumiała: Pell ukradł jej samochód i zagroził, że jeżeli piśnie o tym słowo, on lub jego wspólnik zabiją jej rodzinę. Użył tej samej sztuczki co z kurierem Worldwide Express.

Dance westchnęła zdenerwowana. Gdyby kobieta od razu się do nich zgłosiła, kiedy przyjechali, mogli już mieć Pella w garści.

Albo gdybym ślepo nie uwierzyła w tabliczkę ZAMKNIĘTE i zapukała do drzwi wcześniej, dodała gorzko w duchu.

– Bo... – Kobieta zaczęła płakać.

– Rozumiem. Dopilnujemy, żeby nic się pani nie stało. Jaki to samo chód?

– Granatowy ford focus. Trzyletni. Na zderzaku ma naklejkę o globalnym ociepleniu. I wgnieciony...

– Dokąd pojechali?

– Na północ.

Dance zapisała numer rejestracyjny i zadzwoniła do O'Neila, który przekazał wiadomość centrali biura szeryfa, a stąd komunikat o poszukiwanym aucie trafił do wszystkich jednostek.

Gdy sprzedawczyni umawiała się telefonicznie z przyjaciółką, że zamieszka u niej, dopóki Pell nie zostanie złapany, Dance patrzyła na chmurę dymu nad spalonym thunderbirdem. Ogarnęła ją złość. Wyłuskała najistotniejsze fakty z informacji uzyskanych od Eddiego Changa i na ich podstawie ułożyli konkretny plan zatrzymania Pella. Ale okazało się, że wszystko na nic.

Zjawił się TJ, prowadząc kierownika restauracji „Jack's Seafood”. Mężczyzna zrelacjonował jej przebieg wydarzeń, wyraźnie pomijając kilka faktów.

Prawdopodobnie chciał przed nią ukryć, że przez własną nieuwagę zdradził się przed Pellem, a Dance nie mogła mu tego mieć za złe. Pamiętała Pella z przesłuchania – i jego dzisiejszego zachowania.

Kierownik podał rysopis jego towarzyszy, chudej i „na swój mysi sposób” ładnej, która prawie cały czas wpatrywała się z uwielbieniem w Pella. Z początku wziął ich za parę nowożeńców w podróży poślubnej. Kobieta nie mogła się powstrzymać od dotykania mężczyzny. Jej wiek określił na dwadzieścia kilka lat.

Kierownik dodał, że podczas posiłku oglądali mapę.

– Jaką?

– Okolicy, okręgu Monterey.

Podszedł do nich Michael O’Neil, zatrzasnął kłapkę telefonu.

– Żadnych wiadomości o focusie – powiedział. – Pewnie zgubił się w tłoku podczas ewakuacji.

Cholera, mogli skręcić na południe i przejechać nam koło nosa.

Dance przywołała Carranea. Młody człowiek wyglądał na zmęczonego. Miał ciężki dzień, który jeszcze się nie skończył.

– Dowiedz się wszystkiego o tym thunderbirdzie. I zacznij dzwonić do moteli i pensjonatów od Watsonville do Big Sur. Pytaj, czy zameldowała się u nich jakaś blondynka i czy wpisała w formularzu forda thunderbirda. Albo czy ktokolwiek widział tego forda. Jeżeli samochód skradziono w piątek, mogła się zameldować w piątek, sobotę albo niedzielę.

– Oczywiście, agentko Dance.

Oboje z O’Neilem spojrzeli na zachód, ponad gładką tafłę wody. Nad Pacyfikiem wisiała wielka, dogasająca tarcza słońca, rozświetlając jego powierzchnię słabnącymi promieniami; mgła jeszcze nie nadciągnęła, lecz przedwieczorne niebo blaknęło i matowieło. Zatoka Monterey przypominała płaską błękitną pustynię.

– Pell dużo ryzykuje, zostając tutaj – odezwał się detektyw. – Musi mu chodzić o jakąś ważną sprawę.

W tym momencie do Dance zadzwonił ktoś, kto, jak sobie uświadomiła, może się domyślać, o co chodzi mordercy.

## **Rozdział 17**

W Kalifornii można znaleźć prawdopodobnie dziesięć tysięcy ulic o nazwie Mission, a na jednej z ładniejszych mieszkań James Reynolds, emerytowany prokurator, który przed ośmiu laty doprowadził do skazania Daniela Pella.

W adresie widniał kod pocztowy Carmel, choć ulica nie przebiegała przez najpiękniejszą część miasta – tę bajkową dzielnicę, zalewaną w każdy weekend przez fale turystów (których miejscowi kochali i nienawidzili równocześnie).

Reynolds miał dom w innej części Carmel, choć nie była to wcale gorsza dzielnica.

Jego luksusowa, zaciszna posiadłość obejmująca trzy czwarte akra znajdowała się niedaleko Barnyard, malowniczo zaprojektowanego, wielopiętrowego centrum handlowego, gdzie można było kupić biżuterię, dzieła sztuki, skomplikowane gadzety kuchenne oraz prezenty i upominki.

Zatrzymując samochód na długim podjeździe, Dance pomyślała, że właściciele tak drogich nieruchomości albo należą do elity nowych bogaczy – neurochirurgów czy komputerowców, którzy przetrwali kryzys w Dolinie Krzemowej – albo mieszkają tu od dawna. Reynolds, zarabiający na życie jako prokurator, musiał się zaliczać do tej drugiej kategorii.

W drzwiach stanął sześćdziesięciokilkuletni, opalony i łysiejący mężczyzna, który powitał ją i zaprosił do środka.

– Żona jest w pracy. Ściśle mówiąc, pracuje jako wolontariuszka. A ja gotuję kolację. Chodźmy do kuchni.

Idąc za nim jasno oświetlonym korytarzem, Dance oglądała historię życia gospodarza, którą ilustrowała bogata galeria zdjęć na ścianach. Uczelnie na wschodnim wybrzeżu, Uniwersytet Stanforda, ślub, wychowanie dwóch synów i córki, uroczystość wręczenia dyplomów dzieciom.

Najnowsze fotografie czekały jeszcze na oprawienie. Dance wskazała na gruby plik, na którego szczycie widać było zdjęcie przedstawiające młodą, piękną jasnowłosą kobietę w misternie zdobionej białej sukni, otoczoną druhami.

– Pańska córka? Gratuluję.

– Ostatnia wyfrunęła z gniazda. – Z szerokim uśmiechem pokazał jej uniesiony kciuk. – A jak to wygląda u pani?

– Och, na wesela jeszcze trochę zaczekam. W najbliższych planach jest szkoła średnia.

Zauważyła także kilka oprawionych w ramki stron z gazet: teksty opisujące głośne procesy wygrane przez Reynoldsa. Rozbawiło ją, że powiesił też artykuły o przegranych sprawach. Prokurator dostrzegł to i zachichotał.

– Wygrane są dla podbudowania ego. Porażki dla zachowania pokory.

Uderzając w ton moralizatorski, powiem, że wyroki uniewinniające czegoś mnie nauczyły. Ale prawda jest taka, że przysięgli czasem po prostu spieszą się na lunch.

Dance dobrze o tym wiedziała z czasów, gdy pracowała jako konsultantka przy selekcji członków ławy.

– Tak jak w sprawie Pella. Przysięgli powinni się opowiedzieć za karą śmierci.

Ale tego nie zrobili.

– Dlaczego? Okoliczności łagodzące?

– Owszem, jeżeli można tak określić strach. Bali się, że Rodzina będzie się na nich mścić.

– Ale nic im nie przeszkadzało uznać go za winnego.

– Och, nie. Oskarżenie miało niezbite dowody. Poza tym uważnie prowadziłem sprawę. Wykorzystałem wątek „Syna Mansona” – nawiasem mówiąc, to ja pierwszy go tak nazwałem. Zwróciłem uwagę na wszystkie podobieństwa: Manson twierdził, że potrafi panować nad ludźmi. Miał na koncie drobne przestępstwa i stał na czele grupy złożonej ze ślepo posłusznych mu kobiet. Był odpowiedzialny za śmierć zażenowanej rodziny. A w domu Pella ekipa kryminalistyczna znalazła



kilkadziesiąt ksiązek o Mansonie, pełnych podkreśleń i notatek.

Szczerze mówiąc, Pell sam pomógł wydać na siebie wyrok – dodał z uśmiechem Reynolds. – Dobrze odegrał swoją rolę. Na sali sądowej cały czas patrzył na przysięgłych i usiłował ich zastraszyć. Ze mną też próbował tej sztuczki.

Zaśmiałem mu się w twarz i powiedziałem, że według moich doświadczeń prawnicy są odporni na działanie sił parapsychicznych. Przysięgli też się zaczęli śmiać. I czar prysł. – Pokręcił głową. – Wprawdzie nie na tyle, żeby skazali go na zastrzyk, ale wystarczył mi wyrok kilkukrotnego dożywocia.

Oskarżał pan też trzy kobiety z Rodziny?

– Sprawy zakończyły się ugodą. Chodziło o drobne rzeczy. Żadna z nich nie miała nic wspólnego z morderstwem Croytonów. Jestem tego pewien. Zanim spotkały Pella, miały na sumieniu najwyżej picie w miejscu publicznym czy posiadanie trawki. Pell zrobił im pranie mózgu... Jimmy Newberg był inny. Miał

poważniej obciążone konto – czynna na paść i zarzuty za przestępstwa narkotykowe.

W przestronnej kuchni utrzymanej w żółto-beżowej tonacji Reynolds włożył fartuch, który widocznie zdjął tylko na chwilę, by otworzyć drzwi.

– Po przejściu na emeryturę zająłem się kucharzeniem. Naprawdę ciekawa odmiana. Prokuratorów nikt nie lubi. A teraz... – Wskazał głęboką pomarańczową patelnię, w której bulgotały owoce morza. – Oto moja zupa cioppino. Wszyscy ją uwielbiają.

– Ach – powiedziała Dance, rozglądając się z teatralnie zdumioną miną. – A więc tak wygląda kuchnia.

– Czyżby amatorka dań na wynos? Zupełnie jak ja w kawalerskich czasach.

– Dzieci są ze mną biedne. Jedyne plus jest taki, że w odruchu samo obrony uczą się gotować. Na ostatni Dzień Matki usmażyły mi naleśniki z truskawkami.

– A pani zostało tylko zmywanie. Proszę się poczęstować.

Nie mogła się oprzeć.

– Zgoda, tylko odrobinę.

Nalał jej porcję.

– Najlepiej smakuje z czerwonym winem.

– Za wino dziękuję. – Spróbowała gęstej zupy. – Wspaniała!

Reynolds kontaktował się z Sandovaliem oraz biurem szeryfa Monterey, znał

więc najnowsze szczegóły pościgu za zbiegiem, łącznie z informacją, że Pell nie opuścił okolicy. (Dance zwróciła uwagę na fakt, że zwracając się do CBI, zadzwonił do niej, a nie do Charlesa Overby'ego).

– Zrobię wszystko, żeby wam pomóc złapać tego gnojka. – Były prokurator pedantycznie kroił pomidora. – Proszę tylko powiedzieć co. Dzwoniłem już do okręgowego archiwum. Przywiozą mi wszystkie moje notatki ze sprawy. Pewnie dziewięćdziesiąt dziewięć procent do niczego się nie przyda, ale może znajdzie się jakiś cenny drobiazg. Do diabła, jeżeli będzie trzeba, przeczytam wszystko, strona po stronie.

Dance spojrzała w jego ciemne oczy, pełne determinacji, zupełnie nieprzypominającej na przykład wesołego błysku w oczach Mortona Walkera.

Nigdy dotąd nie pracowała z Reynoldsem, wiedziała jednak, że musiał być twardym i bezkompromisowym prokuratorem.

– Bardzo by nam pan pomógł, James. Będę wdzięczna. – Dance skończyła jeść i odstawiła miseczkę do zlewu. – Nawet nie wiedziałam, że nadal pan tu mieszka.

Podobno miał się pan przeprowadzić do Santa Barbara.

– Mamy tam mały domek. Ale większą część roku spędzamy tutaj.

– Kiedy pan zadzwonił, skontaktowałam się z Michael'em O'Neilem.

Chciałabym postawić tu przed domem funkcjonariusza.

Reynolds zbył ten pomysł machnięciem ręki.

– Mam niezły system alarmowy. Poza tym jestem prawie niewykrywalny.

Kiedy zostałem samodzielnym prokuratorem, zacząłem dostawać pogróżki – w czasach spraw tych gangów z Salinas. Mam zastrzeżony numer telefonu, a prawo własności domu przekazałem w zarząd powierniczy. Pell nie będzie umiał mnie odnaleźć. No i mam pozwolenie na swojego sześciopistołowca.

Dance nie zamierzała przyjąć do wiadomości odmowy.

– Tylko dziś zdążył już zabić kilka osób.

Wzruszenie ramion.

– No dobrze, wszystko jedno, zgodzę się na niańkę. W końcu korona mi z głowy nie spadnie. Przyjeżdża do nas młodszy syn. Po co kusić los?

Dance przysiadła na taborecie, opierając o szczeble kasztanowe buty Aldo na koturnie. Ich paseczki były ozdobione maleńkimi stokrotkami. Nawet dziesięcioletnia Maggie miała bardziej konserwatywny gust od niej w kwestii obuwia, które było jedną z pasji Dance.

– Czy tymczasem mógłby mi pan coś powiedzieć o tych morderstwach sprzed ośmiu lat? Może dzięki temu wpadnę na jakiś trop.

Reynolds usiadł na taborecie obok, sącząc wino. Przedstawił jej fakty: opowiedział, jak Pell i Jimmy Newberg włamali się do domu Williama Croytona w Carmel, zabili biznesmena, jego żonę i dwoje z ich trojga dzieci. Wszyscy zginęli od ciosów noża. Newberg także.

– Przyjąłem hipoteczę, że Newberg wzdragał się przed zabiciem dzieci i wdał się w bójkę z Pellem, a ten go zadźgał.

– Coś łączyło Pella z Croytonem?

– Nie udało się nam ustalić. Ale Dolina Krzemowa przeżywała wtedy największy rozkwit, a Croyton był jedną z najgrubszych ryb. Ciągłe pojawiał się w prasie – nie tylko sam tworzył większość programów, ale kierował sprzedażą.

Prawdziwy król życia. Potężny, opalony, hałaśliwy... Ciężko harował i walczył w najcięższej wadze. Raczej trudno go nazwać ofiarą budzącą największe współczucie. Był dość bezwzględny w biznesie, krążyły plotki o jego romansach, pracownicy często się na niego skarżyli. Gdyby jednak mordowano tylko świętych, my prokuratorzy byłibyśmy bez pracy.

Przed morderstwem jego firma kilka razy została okradzona. Złodzieje wynieśli komputery i oprogramowanie, ale okręg Santa Clara nie znalazł żadnych podejrzanych. Nic nie wskazywało, żeby Pell miał z tym coś wspólnego. Ale zawsze się zastanawiałem, czy to nie jego sprawa.

– Co się stało z firmą po śmierci Croytona?

– Przejął ją ktoś inny, Microsoft, Apple czy inny z wielkich graczy, nie wiem.

– A majątek?

– Większą część przekazano w zarząd powierniczy na rzecz jego córki, a część chyba trafiła do siostry jego żony – ciotki, która zaopiekowała się dziewczynką.

Croyton zajmował się komputerami od dzieciństwa. Zostawił uniwersytetowi CSUMB stary sprzęt i programy wartości dziesięciu czy dwudziestu milionów dolarów. Uniwersyteckie muzeum komputerowe naprawdę robi wrażenie.

Przyjeżdżają tam informatycy z całej go świata, żeby prowadzić badania w archiwach.

– Do dzisiaj?

– Podobno. Widocznie Croyton wyprzedzał swoją epokę o parę długości.

– I był bogaty.

– Bogactwem też bił wszystkich na głowę.

– Taki był prawdziwy motyw morderstwa?

– Tego właśnie nie byliśmy pewni. Sądząc po faktach, to było zwykłe, klasyczne włamanie.

Wydaje mi się, że Pell czytał o Croytonie i po myślał, że łatwo może zgarnąć grubą forszę.

– Podobno łup był mizerny.

– Kilka tysięcy. Byłaby z tego drobna sprawa. Oczywiście gdyby nie pięć trupów. Prawie sześć.

Dobrze, że najmłodsza córka była na górze.

– Co się z nią stało?

– Biedna mała. Wie pani, jak ją nazywają?

– Śpiąca Laleczka.

– Zgadza się. Nie zeznawała. Nawet jeżeli coś widziała, nie powołał bym ją na świadka, żeby wchodziła na salę rozpraw, gdzie siedział ten drań. Zresztą i tak miałem dosyć dowodów.

– Niczego nie pamiętała?

– Niczego istotnego. Tamtego wieczoru wcześniej się położyła.

– Gdzie teraz jest?

– Nie mam pojęcia. Została adoptowana przez ciotkę i wuja, którzy się potem wyprowadzili.

– Jak Pell się bronił?

– Twierdził, że poszedł tam w z jakimś pomysłem na interes. Newberg stracił

nad sobą panowanie i wszystkich pozabijał. Pell próbował go powstrzymać, zaczęli się szarpać i

Pell, cytuję, „musiał” go zabić. Nie było jednak żadnego dowodu na to, że Croyton miał w planach jakieś spotkanie – kiedy przyszli, rodzina była w trakcie kolacji. Poza tym materiał kryminalistyczny nie pozostawiał wątpliwości: czas śmierci, odciski palców, mikroślady, krew, wszystko.

– W więzieniu Pellowi udało się skorzystać z komputera. Bez nadzoru.

– Niedobrze.

Przytaknęła.

– Dowiedzieliśmy się, czego szukał. Wie pan, co mogą oznaczać te hasła?

Jednym była „Alison”.

– Na pewno żadna z dziewczyn z Rodziny. Nie znam nikogo o tym imieniu, kto miałby z nim jakiś związek.

– Drugie hasło to „Nimue”. Postać z mitologii. Z legendy o królu Arturze. Ale moim zdaniem to imię albo pseudonim kogoś, z kim Pell chciał się skontaktować.

– Przykro mi, z niczym mi się to nie kojarzy.

– Nie domyśla się pan, o co mu mogło chodzić?

Reynolds pokręcił głową.

– Przykro mi. To był ważny proces – dla mnie. I dla okręgu. Ale prawdę mówiąc, nie było w nim nic niezwykłego. Pella przyłapano na gorącym uczynku, dowody ewidentnie go obciążały, no i był

recydywistą z bogatą kartoteką, sięgającą wczesnej młodości. Facet i jego Rodzina byli na cenzurowanym we wszystkich miejscowościach na wybrzeżu od Big Sur do Marina. Musiałbym naprawdę schrzanić sprawę, żeby przegrać.

– No dobrze, James, chyba już pójdę – powiedziała. – Dziękuję za pomoc.

Jeżeli znajdzie pan coś w aktach, proszę dać mi znać.

Poważnie skinął głową, nie przypominając już bawiącego się w kucharza emeryta ani dobrodusznego ojca panny młodej. W oczach Reynoldsa ujrzała zawziętą determinację, z jaką niewątpliwie walczył w sądzie.

Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby pomóc wam wsadzić tego sukinsyna tam gdzie jego miejsce.

Rozdzielili się i w odległości kilkuset metrów od siebie zmierzali pieszo do motelu w uroczym Pacific Grove, w samym sercu półwyspu.

Pell szedł bez pośpiechu, rozglądając się szeroko otwartymi oczami z miną osłupiałego turysty, który takie fale widział jedynie w „Słonecznym patrolu”.

Przebrali się w rzeczy kupione w sklepie z używaną odzieżą w biedniejszej części Seaside (gdzie z przyjemnością przyglądał się, jak Jennie po krótkim wahaniu wyrzuca ulubioną różową bluzkę). Pell miał teraz na sobie jasnoszarą wiatrówkę, sztruksy i tandetne sportowe buty oraz czapkę bejsbolówkę założoną daszkiem do tyłu. Niósł także jednorazowy aparat fotograficzny. Od czasu do czasu przystawał, robiąc zdjęcie zachodu słońca, wychodził bowiem z założenia, że utrwalanie panoramicznych widoków morskich, choćby najpiękniejszych, nie należy do typowego zachowania zbiegłego z więzienia mordercy.

Razem z Jennie pojechali z Moss Landing na wschód skradzionym fordem focusem, trzymając się z dala od głównych dróg i raz przecinając nawet pole brukselki, nad którym unosił się nieprzyjemny zapaszek przypominający woń ludzkich wyziewów. W końcu zawrócili i ruszyli w kierunku Pacific Grove. Kiedy jednak wjechali w bardziej zaludniony obszar, Pell wiedział, że czas pozbyć się wozu. Policja wkrótce się dowie o focusie. Ukrył samochód w wysokiej trawie pośrodku dużego pola przy autostradzie 68, na którym stała tablica „NA SPRZEDAŻ – NA DZIAŁALNOŚĆ KOMERCYJNĄ”.

Uznał, że w drodze do motelu powinni się rozdzielić. Jennie nie spodobał się ten pomysł, ale dzięki telefonom na kartę mogli być w stałym kontakcie. Jennie dzwoniła do niego co pięć minut, dopóki jej nie poradził, by lepiej tego nie robiła, ponieważ mogła ich podsłuchiwać policja.

Oczywiście nie mogła ich podsłuchiwać, ale zmęczyło go jej słodkie gruchanie i chciał spokojnie pomyśleć.

Daniel Pell poważnie się niepokoił.

Jak policja znalazła ich w „Jack’s Seafood”?

Zaczął analizować możliwości. Może czapka, ciemne okulary i ogolona twarz nie zdołały zmylić kierownika restauracji, choć z drugiej strony, kto mógłby przypuszczać, że niebezpieczny zbieg jak turysta z San Francisco siedziałby przy porcji smacznych rybek dwadzieścia kilometrów od aresztu, który właśnie spustoszył ogniem i mieczem?

Być może dowiedzieli się, że ford thunderbird był kradziony. Po co jednak ktoś miałby sprawdzać numer rejestracyjny samochodu skradzionego kilkaset kilometrów dalej? A nawet jeżeli okazało się, że wóz jest trefny, po co z tego powodu zaraz wzywać dywizję komandosów? Chyba żeby wiedzieli, że z kradzieżą ma związek Pell.

Przecież gliniarze mieli uwierzyć, że pojechał na kemping samochodowy pod Salt Lake City,

gdzie wcześniej dzwonił.

Kathryn?

Miał przeczucie, że nie kupiła historyjki o Utah, nawet mimo sztuczki z telefonem Billy'ego, któremu celowo darował życie. Pell zastanawiał się, czy Kathryn nie przekazała dziennikarzom komunikatu o Utah umyślnie, aby wywabić go z ukrycia.

Co rzeczywiście się jej udało, pomyślał z wściekłością.

Dokądkolwiek się skierował, odnosił wrażenie, że to ona kieruje obławą.

Ciekawe, gdzie mieszka. Przypomniawszy sobie, jak podczas przesłuchania usiłował ją wy badać, pytając o dzieci i męża i pilnie obserwując, kiedy zdradza subtelne oznaki reakcji na jego słowa, a kiedy nie.

Dzieci? Tak. Męża prawdopodobnie nie miała. Rozwód raczej nie wchodził w grę. Sprawiała wrażenie lojalnej i rozsądnej osoby.

Pell przystanął i zrobił zdjęcie słońca znikającego za Oceanem Spokojnym.

Naprawdę wspaniały widok.

Kathryn wdową. Ciekawa myśl. Znów poczuł pęczniejący w nim balon.

Zdołał nad nim jakoś zapanować.

Przynajmniej na razie.

Kupił parę rzeczy w małym meksykańskim sklepiu spożywczym, który wybrał celowo, mając nadzieję, że nie zobaczy tam wiadomości pokazujących co pięć minut jego zdjęcie: rzeczywiście, sprzedawca oglądał w małym telewizorku jakiś latynoski serial.

Pell spotkał się z Jennie w Asilomar, pięknym parku położonym nad zatoką, z wąskim łukiem plaży dla zatwardziały ch surferów, zmieniającym się w stronę Monterey w coraz bardziej nierówny i skalisty brzeg, o który z hukiem rozbijały się fale.

– Wszystko w porządku? – spytała niepewnie.

– Świetnie, najdroższa. Wszystko świetnie się układa.

Poprowadziła go przez ciche uliczki Pacific Grove, dawnego schronienia metodystów, którego zabudowa składała się z kolorowych bungalów w stylu wiktoriańskim i Tudorów. Po pięciu minutach oznajmiła:

– Jesteśmy na miejscu. – Wskazała motel Sea View. Był to brązowy, kryty gontem budynek z małymi oknami i tabliczkami z wizerunkiem motyli zawieszonymi nad drzwiami. Miasteczko, poza tym, że było najmniej suchym miejscem w Kalifornii, słynęło z monarchów wędrownych – od jesieni do wiosny gromadziły się tu dziesiątki tysięcy tych owadów.

– Ślicznie, prawda?

Pell przytaknął w duchu. Wprawdzie nie obchodziło go, czy tu jest „ślicznie”, ale ważne, że pokój nie wychodził na ulicę, a do parkingu za budynkiem prowadziły podjazdy, które zapewniały drogę ucieczki. Znalazła dokładnie taką kryjówkę, o jaką mu chodziło.

– Doskonałe miejsce, najdroższa. Tak jak ty.

Na jej gładkiej twarzy znów pojawił się uśmiech, choć tym razem nieco wymuszony; lennie wciąż była wstrząśnięta po zdarzeniu w restauracji. Pella nic to nie obchodziło. Znowu zaczęła w nim rosnać ogromna bańka. Nie był pewien, czy przyczyną jest Kathryn czy Jennie.

– Który pokój jest nasz?

Pokazała.

– Chodźmy, kochanie. Mam dla ciebie niespodziankę.

Hm. Pell nie przepadał za niespodziankami.

Otworzyła drzwi.

Lekko skinął głową.

– Ty pierwsza, najdroższa. – Sięgnął za pasek, zaciskając dłoń na pistolecie.

Sprężył się, gotów wepchnąć ją do środka jako żywą tarczę i zacząć strzelać, gdyby usłyszał głos policjanta.

Ale nie czekała na niego żadna zasadzka. Pokój był pusty. Rozejrzał się. Uznał, że jest ładniej, niż się tego spodziewał, oglądając budynek z zewnątrz. Elegancko.

Luksusowe meble, zasłony, ręczniki, nawet szlafroki. I całkiem ładne obrazy.

Pejzaże morskie, samotna sosna i znów te przeklęte motyle.

I świece. Mnóstwo. Wszędzie, gdzie można było postawić świeczkę, stała świeczka.

Och, a więc to była niespodzianka. Dzięki Bogu, żadna ze świec się nie paliła.

Tego tylko brakowało, żeby po ucieczce okazało się, że kryjówka poszła z dymem.

– Masz klucze?

Podąła mu.

Klucze. Pell je uwielbiał. Wszystko jedno, czy do samochodu, pokoju motelowego czy skrytki bankowej – kto ma klucz, ten ma kontrolę.

– Co tam jest? – zapytała, zerkając na torbę. Wiedział, że zaciekała się już wcześniej, gdy spotkali się na plaży.

– Parę potrzebnych rzeczy. I jedzenie.

Jennie spojrzała na niego zaskoczona.

– Kupiłeś jedzenie?

Cóż to, pierwszy raz mężczyzna zrobił jej zakupy?

– Sama mogłam to zrobić – powiedziała szybko. Po czym, wskazując kuchenkę, dodała zdawkowo: – No to pójdę zrobić ci coś do jedzenia.

Dziwnie to zabrzmiało. Ktoś ją nauczył myśleć w ten sposób. Były mąż albo jeden z wykorzystujących ją chłopaków. Na przykład motocyklista Tim.

Zamknij się i idź zrobić mi coś do jedzenia.

– Nie trzeba, najdroższa. Ja to zrobię.

– Ty?

– Oczywiście. – Pell znał mężczyzn, którzy upierali się, aby to „żona” ich karmiła. Uważali, że są w domu królami, którym należy usługiwać. Dzięki temu zyskiwali poczucie władzy. Nie rozumieli jednak, że kiedy pod jakimś względem zaczynasz być od kogoś zależny, stajesz się słabszy. (Zresztą jak można być takim głupcem? Wiadomo przecież, jak łatwo wsypać trutkę na szczury do zupy). Pell nie był wybitnym kucharzem, lecz przed laty, gdy gotowaniem dla Rodziny zajmowała się Linda, lubił kręcić się po kuchni, pomagać jej i mieć wszystko na oku.

– Och, kupiłeś meksykańskie jedzenie! – Ze śmiechem wyciągała z torby mieloną wołowinę, tortille, pomidory, paprykę w puszkach i sosy.

– Mówiłaś, że lubisz. Że poprawia ci nastrój... Wiesz co, najdroższa? –

Pocałował ją w czubek głowy. – W restauracji byłaś naprawdę dzielna.

Odwracając się od zakupów, spuściła oczy.

– Trochę spanikowałam. Bałam się. Nie chciałam krzyczeć.

– Nie, nie, trzymałaś się mocno. Wiesz, co to znaczy?

– Niezupełnie.

– To dawne powiedzenie żeglarzy. Tatuowali je sobie nawet na palcach i kiedy zaciskali ręce w pięści, można było przeczytać napis\*. „Trzymać się mocno” to znaczy nie uciekać, nie poddawać się.

Roześmiała się.

– Od ciebie na pewno bym nie uciekła.

Musnął ustami jej włosy, czując woń potu i tanich perfum. Jennie potarła nos.

– Jesteśmy jednym zespołem, najdroższa. – Na te słowa zostawiła nos w spokoju. Pell zauważył to.

Poszedł do łazienki, gdzie długo oddawał mocz, a potem umył ręce. Kiedy wrócił, czekała go jeszcze jedna niespodzianka.

Jennie już się rozebrała. W samym staniku i majteczkach, z zapalniczką w ręku, krążyła po pokoju i po kolei zapalała świece.

Uniosła głowę.

– Mówiłeś, że lubisz czerwony.

Pell uśmiechnął się i podszedł do niej. Przesunął dłonią po wystającym kręgosłupie.

– Może wolałbyś coś zjeść?

\* W oryginale „HOLD TIGHT” każda litera była wytatuowana na jednym palcu. Według tradycji napis miał przypominać marynarzom, aby „trzymali się mocno” i nie puszczali lin podczas sztormu, by fala nie zmyła ich z pokładu (przyp.

tłum.).

Pocałował ją.

– Zjemy później.

– Och, kochanie, tak cię pragnę – szepnęła. Na pewno w przeszłości często używała tego zwrotu. Co nie oznaczało, że teraz nie mówiła szczerze.

Wyjął jej z dłoni zapalniczkę.

– Potem będziemy tworzyć nastrój. – Pocałował ją i przyciągnął do siebie.

Uśmiechnęła się – tym razem swobodnie – i mocno przycisnęła biodra do jego bioder.

– Ty chyba też mnie pragniesz. – Zaczęła mruczeć.

– Pragnę cię, najdroższa.

– Lubię, kiedy tak do mnie mówisz.

– Masz pończochy? – zapytał.

Skinęła głową.

– Czarne. Pójdę je włożyć.

– Nie. Nie po to ich potrzebuję – szepnął.

## **Rozdział 18**

Przed zakończeniem długiego dnia miała do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

Kathryn Dance zatrzymała samochód przed domem na ziemi niczyjej między Carmel a Monterey.

Kiedy jedynym ośrodkiem „przemysłowym” w okolicy była wielka baza wojskowa Ford Ord, mieszkali tu, a także często osiedlali się po zakończeniu służby, oficerowie niższej rangi. Wcześniej, w czasach rozkwitu przetwórstwa rybnego, mieszkali tu brygadziści i kierownicy. Dance zaparkowała przed skromnym bungalowem, minęła sztachetową furtkę i pokonawszy wyłożoną kamieniami ścieżkę, stanęła przed drzwiami. Po chwili otworzyła jej kobieta pod czterdziestkę, o piegowatej, pogodnej twarzy. Dance przedstawiła się.

– Chciałam rozmawiać z Mortonem.

– Proszę wejść – powiedziała z uśmiechem Joan Walker. Jej mina nie zdradzała zaskoczenia ani niepokoju, z czego Dance wywnioskowała, że mąż poinformował

ją o swoim udziale w dzisiejszych wydarzeniach, choć może nie wyjawiał jej wszystkich szczegółów.

Agentka weszła do małego salonu. Widok nierozpakowanych do końca pudeł z ubraniami i książkami – głównie z książkami – powiedział jej, że gospodarze dopiero się wprowadzili. Na ścianach wisały tanie reprodukcje typowe dla domów wynajmowanych w sezonie. Znów poczuła zapachy kuchenne – tym razem nie była to jednak woń włoskich ziół, lecz hamburgerów i cebuli.

Zobaczyła ładną, pulchną dziewczynkę z warkoczykami, w okularach w drucianych oprawkach, trzymającą blok rysunkowy, która uniosła głowę i uśmiechnęła się na powitanie. Dance pomachała do niej. Dziewczynka była mniej więcej w wieku Wesa. Na kanapie siedział kilkunastoletni chłopiec pochłonięty zamętami bitewnym w grze wideo i wciskał guziki z takim przejęciem, jak gdyby zależały od niego losy cywilizacji.

W drzwiach zjawił się Morton Walker, podciągając pasek spodni.

– Witam, witam, agentko Dance.

– Proszę mi mówić Kathryn.

– A więc Kathryn. Poznałaś już moją żonę, Joan. – Uśmiechnął się. – I... ej, Erie, odłóż... Erie! – krzyknął ze śmiechem. – Odłóż to!

Chłopiec zapisał grę – Dance świetnie wiedziała, jakie to ważne – odłożył na bok konsolę i zerwał się z kanapy.

– To jest Erie. Przywitaj się z agentką Dance.

– Agentką? Z FBI?

– Z czegoś bardzo podobnego.

– Super!

Dance uścisnęła dłoń nastolatka, który spojrzał na jej biodro, szukając pistoletu.

Nieśmiało podeszła do niej dziewczynka, wciąż ściskając szkicownik.

– No, przedstaw się – ponagliła ją matka.

– Dzień dobry.

– Jak masz na imię? – spytała Dance.

– Sonja.

Domyśliła się, że Sonja wstydzi się swojej nadwagi. Jej rodzice szybko powinni się tym zająć, choć patrząc na ich sylwetki, Dance wątpiła, czy zrozumieją problem, z jakim zaczęła się borykać ich córka. Znajomość kinezyki dawała jej wgląd w emocjonalne i psychiczne kłopoty ludzi, ale nie mogła zapominać, że nie jest terapeutką tylko agentką biura śledczego.

– Oglądałem wiadomości – rzekł Walker. – Już go prawie mieliście, tak?

– Minutę temu – odparła, krzywiąc twarz.

– Podać coś pani? – zapytała żona Walkera.

– Nie, dziękuję. Wpadłam tylko na chwilę.

– Zapraszam do siebie – powiedział Walker.

Poszli do małego pokoju zalatującego kocim moczem. Jedyne umeblowanie stanowiło biurko i dwa krzesła. Obok posklejanej taśmą lampy stał laptop ze startymi literami na klawiszach A, H i N. Wszędzie piętrzyły się papiery, a na regałach, w kartonach, na kaloryferze i w wysokich stertach na



podłodze upchnięto prawdopodobnie dwieście czy trzysta książek.

– Lubię mieć pod ręką książki. – Walker ruchem głowy wskazał salon. – Oni też. Nawet nasz geniusz gier. Wybieramy książkę i co wieczór czytamy na głos.

– To miło. – Dance i jej dzieci podobnie spędzali ze sobą czas, choć zazwyczaj zamiast literatury wybierali muzykę. Wes i Maggie pochłaniali książki, ale woleli czytać sami.

– Oczywiście znajdujemy czas na kulturę wysoką... na „Ryzykantów” i „24 godziny”. – W jego oczach ciągle tańczyły filuterne iskierki. Zachichotał, zauważywszy, jakim wzrokiem obrzuciła olbrzymi plik materiałów, jakie dla niej miał. – Nie martw się. Dla ciebie jest mniejszy zestaw. – Pokazał pudło pełne kaset wideo i kserokopii.

– Na pewno niczego pani nie chce? – spytała przez drzwi Joan.

– Niczego, dziękuję.

– Może pani zostać na kolacji.

– Przykro mi, ale nie skorzystam z zaproszenia.

Uśmiechnęła się i wyszła. Walker spojrzął w ślad za żoną.

– Jest fizykiem – wyjaśnił krótko.

Dance przekazała mu ostatnie informacje związane ze sprawą, dzieląc się z nim swoim przypuszczeniem, że Pell nie opuścił okolic Monterey.

– To szaleństwo. Przecież szuka go cały półwysep.

– Może i szaleństwo. – Powiedziała mu o hasłach, jakich Pell szukał w Internecie, ale Walker nie potrafił dodać niczego nowego na temat Alison ani Nimue. Nie miał też pojęcia, po co morderca odwiedził stronę ze zdjęciami satelitarnymi ziemi.

Zerknęła na pudło, które dla niej przygotował.

– Jest tam jego życiorys? W miarę zwięzły?

– Zwięzły? Raczej nie. Ale jeżeli sobie życzysz, zrobię krótkie streszczenie. Nie ma sprawy. Trzy, cztery strony?

– Byłoby wspaniale. Sama chyba nigdy nie dałabym rady niczego wygrzebać z tej góry materiałów.

– Góry? – Znów zachichotał. – To jeszcze nic. Kiedy jestem gotowy do napisania książki, mam pięćdziesiąt razy więcej notatek i źródeł. Ale jasne, coś wykroję.

– Hej – odezwał się młody głos.

Dance uśmiechnęła się na widok stojącej w progu Sonji. Dziewczynka obrzuciła zazdrosnym spojrzeniem jej figurę i włosy.

– Widziałam, że patrzyła pani na moje rysunki. Jak pani weszła.

– Kochanie, przeszkadzasz.

– Ależ skąd.

– Chce pani obejrzeć?

Dance przyklękła przy niej, by zajrzeć do bloku. Były w nim rysunki motyli, zaskakująco dobre.

– Sonja, są przepiękne. Powinny wisieć w galerii na Ocean Avenue w Carmel.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Odwróciła stronę szkicownika.

– To mój ulubiony. Paź królowej.

Rysunek przedstawiał granatowego motyla o opalizujących skrzydłach.

– Siedzi na kwiatku titionii. Zbierają z nich nektar. Kiedy jestem w domu, jeździmy na pustynię i rysuję jaszczurki i kaktusy.

Dance przypomniała sobie, że pisarz na stałe mieszka w Scottsdale.

– A tutaj – ciągnęła Sonja – chodzę z mamą do lasu i robimy zdjęcia. A potem je rysuję.

– Sonja jest Jamesem Audubonem motyli – oświadczył jej ojciec.

W drzwiach ukazała się Joan i zabrała dziecko.

– Myślisz, że się przyda? – spytał Walker, wskazując pudło.

– Nie wiem. Ale mam nadzieję, że tak. Bardzo potrzebna nam po moc.

Dance pożegnała się, dziękując za kolejne zaproszenie na kolację, i wróciła do samochodu.

Postawiła karton na siedzeniu obok. Korciło ją, by włączyć lampkę i przejrzeć kserokopie. Materiały musiały jednak poczekać. Kathryn Dance była dobrą śledczą, tak jak dawniej była dobrą dziennikarką i konsultantką sądową. Ale była także matką i wdową. Ze względu na tak niezwykle połączenie ról musiała się nauczyć, w którym momencie należy je rozdzielić. Nadszedł czas powrotu do domu.

## Rozdział 19

To był ich Taras. Obszerna połać szarego, ciśnieniowo impregnowanego drewna, sześć na dziewięć metrów, przylegająca od kuchni i sięgająca w głąb ogrodu, zastawiona przeróżnymi krzeselkami, leżakami i stolikami. Wyposażenie stanowiły zlew i duża lodówka, a główny element dekoracji – elektryczne światełka bożonarodzeniowe i bursztynowe lampy oraz kilka anemicznych kwiatów w donicach z terrakoty. Wąskie schodki prowadziły do ogrodu, niezbyt pieczołowicie urządzonego, choć pełnego naturalnej roślinności: rosły tu skarłowaciałe dęby i klony, kropliki, astry, łubin, psianki, koniczyzna i wszędobyłska trawa.

Od sąsiadów oddzielało dom palisadowe ogrodzenie. Na gałęzi przy schodach wisiał karmnik i dwa baseniki dla kolibrów. Na ziemi leżały dwa dzwoneczki wietrzne, w tym samym miejscu, gdzie ubrana w pizamę Dance rzuciła je o trzeciej nad ranem podczas wyjątkowo gwałtownej burzy przed miesiącem.

Klasyczny dom wiktoriański – ciemnozielony, z szarymi, zniszczonymi przez słońce i deszcz balustradami, okiennicami i stolarką – znajdował się w północno-zachodniej części Pacific Grove; gdyby ktoś zaryzykował i wychylił się daleko z okna, mógłby dostrzec oddalony o niecały kilometr ocean.

Dance spędzała na Tarasie mnóstwo czasu. Poranki często były zbyt zimne lub mgliste, by jadać tu śniadania, lecz w leniwe weekendy, gdy słońce przedarło się przez mgłę, po spacerze z psami na plaży siadali tu w trójkę przy obwarzankach z twarożkiem, kawie i gorącej czekoladzie. Na nierównych deskach odbyły się setki przyjęć, dużych i małych.

Na Tarasie jej mąż Bill zdecydowanym tonem oznajmił swoim rodzicom, że żeni się z Kathryn Dance, odtrącając tym samym uczucia dziewczyny z dobrego domu z Napa, którą przez kilka lat gorąco popierała jego matka – co wymagało od niego większej odwagi niż udział w niejednej akcji.

Na Tarasie odbyła się ceremonia żałobna, gdy Bill zginął.

Było to także miejsce spotkań zaprzyjaźnionych stróżów prawa z całego półwyspu oraz znajomych spoza służby. Kathryn Dance lubiła ich towarzystwo, lecz od śmierci Billa najczęściej spędzała wolny czas z dziećmi, nie chcąc zabierać ich do barów i restauracji z innymi dorosłymi – Dlatego wprowadziła przyjaciół do ich świata.

W lodówce poza piwem i napojami zwykle czekała butelka czy dwie chardonnaya, pinot grigio

czy caberneta z winnic środkowego wybrzeża. Pod ręką był też nieco zardzewiały, ale sprawny grill, a prosto z ogrodu można było zejść do łazienki na dole. Wracając do domu, Dance nierzadko spotykała na Tarasie matkę, ojca albo kogoś znajomego z CBI czy biura szeryfa, przy kawie lub piwie. Każdy był tu mile widziany, bez względu na to, czy gospodyni była w domu, czy nie, czy gość zapowiedział wizytę, czy wpadał niespodziewanie; nawet kiedy Dance była w domu, czasem w ogóle nie wychodziła do przybyłych. Według niepisanej zasady Taras stał dla wszystkich otworem o każdej porze dnia i nocy, natomiast dom stanowił strefę zamkniętą, z wyjątkiem organizowanych przyjęć; miejsce na prywatność, sen i pracę było święte.

Dance weszła na Taras po stromych schodkach od strony ogrodu, niosąc karton z taśmami i kserokopiami, na którym chwiało się pudełko z kurczakiem kupionym w Albertsonsie. Powitały ją psy, czarny gładkowłosy retriever i czarny podpalany owczarek niemiecki. Potarmosiła je za uszy, rzuciła im kilka wyliniałych pluszowych zabawek, po czym zbliżyła się do dwóch mężczyzn siedzących na plastikowych krzeselkach.

– Cześć, kochanie. – Stuart Dance nie wyglądał na swoich siedemdziesiąt lat.

Był wysoki i barczysty, i miał bujną czuprynę niesfornych siwych włosów. Czas spędzony na morzu i wybrzeżu odcisnął swoje piętno na jego skórze; wyraźnie było widać parę blizn po skalpeli i laserze dermatologa. Formalnie rzecz biorąc, ojciec był na emeryturze, lecz kilka razy w tygodniu pracował w oceanarium i nic na świecie nie mogło go powstrzymać od wypraw na skaliste mielizny.

Przytulił policzek do twarzy córki.

– Hm – mruknął Albert Stemple, agent z wydziału kryminalnego CBI. Zwalisty, ogolony na zero mężczyzna, był ubrany w czarną koszulkę, dżinsy i wysokie sznurowane buty. Podobnie jak jej ojciec, miał blizny na twarzy, a także – o czym aluzyjnie napomykał – w innych miejscach, które rzadko wystawiał na światło dzienne, choć w jego wypadku blizny nie były dziełem dermatologa. Agent pił piwo, siedząc ze swobodnie wyciągniętymi przed siebie nogami. Funkcjonariusze CBI nie słynęli z kowbojskiego stylu bycia, lecz Albert Stemple był typem Wild Billa Hickoka postępującego według własnych zasad. Miał na koncie najwięcej aresztowań ze wszystkich agentów, a także najwięcej wniesionych przeciw niemu skarg (z drugiego rekordu był bardziej dumny).

– Dzięki, że miałeś wszystko na oku, A). Przepraszam, jestem później niż zamierzałam. – Pamiętając, jak Pell groził jej podczas przesłuchania – i że krąży gdzieś w okolicy – Dance poprosiła Stemple'a, aby przypilnował dzieci do jej powrotu. (O'Neil polecił miejscowym funkcjonariuszom mieć dom na oku, dopóki zbieg przebywał na wolności).

– Nie ma sprawy – burknął Stemple. – Overby postawi mi kolację.

– Charles sam ci to obiecał?

– Nie. Ale postawi. U nas cisza i spokój. Zrobiłem parę rundek wokół domu.

Nic się nie dzieje.

– Chcesz coś do picia na drogę?

– Pewnie. – Wyciągnął z lodówki dwie butelki piwa Anchor Steam. – Nie martw się. Zanim siądę za kółko, będą puste. Na razie, Stu. – Ciężkie kroki zadudniły po Tarasie, który jęknął pod jego ciężarem.

Zniknął, a piętnaście sekund później Dance usłyszała warkot silnika forda crown victoria i pisk opon. Nie miała wątpliwości, że obydwie piwa spoczywają między masywnymi udami agenta.

Dance zajrzała do salonu przez pokryte zaciekami okna. Jej wzrok zatrzymał się na książce leżącej na stoliku. Ten widok o czymś jej przypominał.

- Dzwonił może Brian?
- Ach, twój przyjaciel? Ten, który był na kolacji?
- Tak.
- Jak się nazywa?
- Gunderson.
- Ten z banku inwestycyjnego.
- Ten. Dzwonił?
- Nic o tym nie wiem. Chcesz spytać dzieci?
- Nie, nie trzeba. Jeszcze raz dziękuję, tato.

– Nie ma sprawy. – Zwrot pochodził z jego pobytu na Nowej Zelandii. Ojciec odwrócił się i zastukał w okno. – Pa!

– Zaczekaj, dziadku! – Z domu wybiegła Maggie, a jej kasztanowy warkocz podskakiwał przy każdym kroku. Dziewczynka trzymała książkę. – Cześć, mamó –

powitała ją z entuzjazmem. – Kiedy wróciłaś?

– Przed chwilą.

– I nic nie powiedziałaś! – wykrzyknęła dziesięciolatka, poprawiając zsuwające się okulary.

– Gdzie twój brat?

– Nie wiem. U siebie. Kiedy kolacja?

– Za pięć minut.

– Co będziemy jeść?

– Zobaczysz.

Maggie otworzyła książkę i pokazała dziadkowi małą, szarofioletową muszlę kształtem przypominającą łodzika.

– Popatrz. Miałaś rację. – Nie próbowała wymówić nazwy.

– Amphissa columbiana – rzekł Stuart Dance, wyciągając długopis i notes, z którymi nigdy się nie rozstawał. Zapisał. Był trzydzieści lat starszy od córki i nie potrzebował okularów. Dance dowiedziała się kiedyś, że większość swoich przypadłości genetycznych odziedziczyła po matce.

– Przyniósł ją przyływ – wyjaśnił. – U nas taka muszla jest rzadkością. Ale Maggie udało się ją znaleźć.

– Po prostu sobie leżała – powiedziała dziewczynka.

– No dobrze, odmeldowuję się. Mój sierżant sztabowy szykuje kolację, muszę się więc stawić w wyznaczonym czasie. Dobranoc wszystkim.

– Pa, dziadku.

Gdy ojciec zszedł po schodkach, Dance kolejny raz podziękowała w duchu losowi, Bogu czy komukolwiek innemu za obecność tej dobrej, niezawodnej postaci w życiu wdowy z dziećmi.

Idąc do kuchni, usłyszała dzwonek telefonu. Rey Carraneo poinformował ją, że ford thunderbird znaleziony w Moss Landing został skradziony w zeszły piątek ze strzeżonego parkingu eleganckiej restauracji na Sunset Boulevard w Los Angeles.

Podejrzanych nie było. Czekali na raport z policji Los Angeles, ale jak w większości wypadków kradzieży samochodów, nie było żadnych dowodów kryminalistycznych. Agentowi nie dopisało szczęście i nie znalazł hotelu, motelu ani pensjonatu, w którym zameldowałyby się współniczka.

– Jest ich mnóstwo – wyznał.

Witajcie na półwyspie Monterey.

– Musimy gdzieś upchać turystów, Rey. Szukaj dalej. I pozdrów żonę.

Dance zaczęła wypakowywać kolację.

Na przylegającą do kuchni oszkloną werandę wyszedł szczupły chłopiec o rudoblond włosach. Rozmawiał przez telefon. Mimo że Wes miał dopiero dwanaście lat, wzrostem niemal już dorównywał matce. Dance pokiwała na niego palcem, a gdy się zbliżył, pocałowała go w czoło. Nie wzdygnął się, co było równoznaczne z wyznaniem „Bardzo cię Kocham, najdroższa mamó”.

– Odłóż telefon – powiedziała. – Siadamy do kolacji.

– Muszę kończyć, co nie?

– Nie mów „co nie”.

– Co na kolację? – zapytał, odkładając słuchawkę.

– Kurczak – powiedziała Maggie z powątpiewaniem.

– Przecież lubicie Albertsonsa.

– A ptasia grypa?

Wes zaśmiał się szyderczo.

– Co ty tam wiesz. Ptasia grypa można się zarazić od żywych kurczaków.

– Ten kiedyś żył – odparowała dziewczynka.

Zapędzony przez siostrę w kozi róg, Wes zauważył:

– No, ale to nie jest kurczak z Azji.

– Taak? Przecież one wędrują. A umrzeć można od zarzygania się na śmierć.

– Mags, nie przy kolacji! – upomniała ją Dance.

– Ale tak jest.

– Że niby kurczaki wędrują? Jasne, jasne. Ale tutaj nie ma ptasiej grypy. Na pewno byśmy o tym wiedzieli.

Przekomarzanki rodzeństwa. Dance sądziła jednak, że kryje się za tym coś jeszcze. Jej syn bardzo głęboko przeżył wypadek ojca. Stał się przez to bardziej wrażliwy na rozmowy o śmierci niż większość chłopców w jego wieku. Dance starała się nie poruszać przy nim tego tematu – co było trudnym zadaniem dla kobiety zawodowo ścigającej przestępców. Oznajmiła dzieciom:

– Jeżeli kurczak jest ugotowany, nic się nam nie stanie. – Mimo to nie była pewna, czy ma rację i czy Maggie nie zacznie tego kwestionować.

Ale córka pogрузyła się w lekturze książki o muszlach.

– O, są ziemniaki puree – powiedział chłopiec. – Mamó, jesteś odlotowa.

Maggie i Wes nakryli do stołu, podczas gdy Dance poszła umyć ręce. Kiedy wróciła z łazienki, Wes spytał:

– Mamó, nie przebierzesz się? – Patrzył na jej czarny kostium.

– Umieram z głodu. Nie mogę czekać ani chwili dłużej. – Nie chciała im zdradzać, że została w stroju z pracy, aby mieć przy sobie broń. Zwykle zaraz po powrocie do domu wkładała koszulkę i dżinsy, a pistolet chowała w sejfie przy łóżku.

*Tak, ciężko jest być gliną. Pocięchy dużo czasu spędzają same, prawda? Na pewno bardzo by się ucieszyły, gdyby ktoś chciał się z nimi pobawić...*

Wes jeszcze raz zerknął na jej kostium, jak gdyby odgadł, o czym pomyślała.

Zaraz jednak usiedli do stołu, jedząc i rozmawiając o tym, jak im minął dzień –

przynajmniej dzieciom. Dance oczywiście ani słowem nie mówiła o swoim dniu.

Wes był na obozie sportowym w Monterey. Maggie na obozie muzycznym w Carmel. Obojgu

wyraźnie podobała się taka forma spędzania czasu. Dzięki Bogu żadne z nich nie pytało o Daniela Pella.

Po kolacji w trójkę sprzątnęli ze stołu i pozmywali naczynia – dzieci zawsze dzieliły z nią obowiązki domowe. Kiedy skończyli, Wes i Maggie poszli do salonu poczytać albo grać w gry wideo.

Dance włączyła komputer i sprawdziła pocztę. Nie było żadnych wiadomości o sprawie, ale dostała kilka e-maili związanych z jej drugą „pracą”. Razem z przyjaciółką Martine Christensen prowadziły stronę internetową „American Tunes” nazwaną tak na cześć znanej piosenki Paula Simona z lat siedemdziesiątych.

Kathryn Dance była utalentowana muzycznie, ale próby rozpoczęcia zawodowej kariery w roli piosenkarki i gitarzystki nie sprawiły jej satysfakcji (obawiała się, że publiczność odnosiła podobne wrażenie po jej występach).

Uznała, że ma większy talent do słuchania muzyki i zachęcania do tego innych.

Podczas rzadkich urlopów albo długich weekendów wyruszała na poszukiwanie muzyki tworzonej domowym sposobem, często zabierając ze sobą dzieci i psy.

Ludzi uprawiających to hobby nazywano „folklorystami” lub bardziej popularnie „poławiaczami piosenek”. Prawdopodobnie najśłynniejszym był Alan Lomax, który w połowie dwudziestego wieku zbierał muzykę od Luizjany do Appalachów, gromadząc nagrania dla Biblioteki Kongresu. Interesował się przede wszystkim czarnym bluesem i muzyką z gór, natomiast Dance penetrowała odleglejsze tereny, zapuszczając się w miejsca odzwierciedlające zmieniającą się strukturę społeczną Ameryki Północnej: docierała do muzyki wywodzącej się z Nowej Szkocji, z kultury latynoskiej, karaibskiej, kanadyjskiej, afroamerykańskiej i indiańskiej.

Wraz z najlepszą przyjaciółką Martine pomagała muzykom uzyskać prawa autorskie, umieszczała ich nagrania na stronie internetowej i przekazywała im pieniądze wpłacane przez słuchaczy za utwory ściągane z sieci.

Gdyby kiedyś nadszedł dzień, w którym Dance nie miałaby już ochoty czy siły szukać przestępców, wiedziała, że muzyka zapewni jej zajęcie na emeryturze.

Zadzwoił telefon. Dance spojrzała na numer na wyświetlaczu.

– Cześć.

– Serwus – rzekł Michael O’Neil. – Jak poszło z Reynoldsem?

– Nie usłyszałam od niego nic konkretnego. Ale poszuka w starych aktach sprawy Croytonów. – Dodała, że wzięła też materiały od Mortona Walkera, choć nie miała jeszcze czasu ich przejrzeć.

O’Neil powiedział jej, że nie zlokalizowano forda focusa skradzionego w Moss Landing, a w restauracji „Jack’s Seafood” nie znaleziono żadnych istotnych śladów. Technicy zdjęli odciski palców z thunderbirda i sztuków; w obu miejscach ujawniono odciski Pella i innej osoby, prawdopodobnie jego współpracownicy. Ze stanowych i federalnych baz danych daktyloskopijnych wynikało, że kobieta nie była notowana.

– Znaleźliśmy za to coś, co nas trochę niepokoi. Peter Bennington...

– Twój spec z laboratorium.

– Zgadza się. Na podłodze thunderbirda po stronie kierowcy, tej, która się nie spaliła, była odrobina kwasu. Świeża. Peter twierdzi, że to żrący kwas – bardzo rozcieńczony, ale strażacy złali samochód wodą, więc możliwe, że był stężony, kiedy Pell zostawił ślad.

– Wiesz, jakie mam pojęcie o dowodach, Michael.

– Dobra, no więc sęk w tym, że kwas był zmieszany z substancją wy stępującą w jabłkach, winogronach i słodyczach.

– Myślisz, że Pell... że chciał coś zatruć?

Produkcja jedzenia była racją bytu środkowej Kalifornii. Przejeżdżając tędy samochodem, w ciągu pół godziny mijało się tysiące hektarów pól i sadów, kilkanaście dużych wytwórni win i innych zakładów przetwórczych.

– Możliwe. Albo ukrywa się w jakimś sadzie lub winnicy. Spłoszyliśmy go w Moss Landing, więc pewnie zrezygnował z motelu czy pensjonatu. Pomyśl o Pastwiskach... Powinniśmy wysłać ludzi na poszukiwania.

– Masz kogoś pod ręką? – zapytała.

Mogę przesunąć parę jednostek. I powiem stanowej, żeby zrobili to samo. Nie chcę ściągać ich z miasta i z jedyńki, ale chyba nie mamy innego wyjścia.

Dance przyznała mu rację. Przekazała mu informację Carranea o thunderbirdzie.

– Sprawa nie nabiera prędkości światła, co?

– Raczej nie – zgodziła się.

– Co masz teraz w planach?

– Zadanie domowe.

– Myślałem, że dzieciaki są na wakacjach.

– Mówię o swoim zadaniu. Przygotowuję się do obławy.

– Właśnie do ciebie jadę. Może ci pomóc zatemperować ołówki i ze trzecią tablicę?

– Zostaniesz dyżurnym pod warunkiem, że będziesz grzeczny dla pani.

## **Rozdział 20**

Cześć, Michael – powiedział Wes, przybijając detektywowi piątkę. – Serwus.

Przez chwilę rozmawiali o obozie tenisowym – O’Neil też grał – i o wymianie naciągu w rakietach. Jej szczupły, muskularny syn wykazywał talent do każdej dyscypliny sportowej, jaką zaczynał uprawiać, a teraz skupił się na tenisie i piłce nożnej. Chciał też spróbować sił w karate lub aikido, lecz matka odwiodła go od tego pomysłu. Chłopiec często wpadał w gniew – którego źródłem była śmierć ojca

– dlatego Dance nie uważała sztuk walki za najodpowiedniejszy sport dla syna.

O’Neil podjął się misji zainteresowania Wesa zdrowym sportem i innymi rozrywkami. Zaraził go dwiema pasjami, krańcowo różnymi od siebie: kolekcjonowaniem książek i wyprawami do ulubionego miejsca O’Neila na ziemi –

na zatokę Monterey. (Dance czasem dochodziła do wniosku, że detektyw urodził

się w niewłaściwej epoce i bez trudu wyobrażała go sobie jako kapitana starodawnego żaglowca albo łodzi rybackiej z lat trzydziestych ubiegłego wieku).

Kiedy Dance i Maggie urządzały sobie babską wycieczkę, Wes spędzał popołudnie na łodzi O’Neila, wędkując albo oglądając wieloryby. Dance, jeśli nie zażyła dramamine, natychmiast dostawała choroby morskiej, lecz Wes był urodzonym marynarzem.

Rozmawiali o wyprawie na ryby za kilka tygodni, po czym Wes powiedział dobranoc i poszedł do swojego pokoju.

Dance naląła wino. O’Neil lubił czerwone i był amatorem caberneta. Dance wybrała pinot grigio. Weszli do salonu i usiedli na kanapie. O’Neil przypadkiem zajął miejsce tuż pod jej ślubnym zdjęciem. Bill Swenson przyjaźnił się z detektywem, z którym wiele razy współpracował. Przed jego

śmiercią był krótki okres, gdy Dance, jej mąż i O'Neil jednocześnie pełnili czynną służbę; zdarzyło im się nawet pracować razem przy jednej sprawie. Bill z ramienia biura federalnego, Dance ze stanowego, O'Neil z policji okręgowej.

Detektyw z głośnym trzaskiem otworzył plastikowe pudełeczko z sushi, które ze sobą przyniósł. Dźwięk zadziałał jak współczesny dzwoneczek Pawłowa i do pokoju wpadły psy: Dylan, owczarek niemiecki, nazwany tak oczywiście na cześć słynnego pieśniarza, i retriever gładkowłosa, Patsy, która dostała imię po pani Cline, ulubionej piosenkarce country właścicielki.

– Mogę im dać...? – Uniósł trzymany w pałeczkach kawałek tuńczyka.

– Chyba że umyjesz im potem zęby.

– Przykro mi, kochani – oznajmił psom O'Neil.

Dance podziękowała za sushi i detektyw zaczął jeść, nie otwierając opakowania z wasabi i sosem sojowym. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Być może rozerwanie torebek z przyprawami było dla niego zbyt dużym wysiłkiem.

– Chciałam cię o coś zapytać – powiedziała Dance. – Biuro szeryfa nie ma nic przeciwko temu, że obławę prowadzi CBI?

O'Neil odłożył pałeczki i przecesał palcami szpakowate włosy.

– Posłuchaj. Kiedy mój ojciec był w Wietnamie, zdarzało się, że jego pluton musiał wchodzić do tuneli zajętych przez Wietkong. Czasem trafiali na pułapki minowe. A czasem na uzbrojonych Wietnamców. To było najniebezpieczniejsze zadanie na wojnie. Tato nabawił się lęku, który go dręczył przez całe życie.

– Klaustrofobii?

– Nie. Ochotnikofobii. Kiedy wyczyścił jeden tunel, już nigdy więcej pierwszy nie podniósł ręki. Nikt nie może pojąć, po co się właściwie zgłosiłaś?

Roześmiała się.

– Przypuszczasz, że sama się zgłosiłam? – Opowiedziała mu o gam bicie Overby'ego, by przejąć dowodzenie obławą, uprzedzając policję stanową i biuro O'Neila.

– Dlatego się dziwiłem. Mówiąc między nami, tęsknimy za Fishem tak samo jak wy.

Miał na myśli Stana Fishburne'a, byłego szefa CBI.

– Na pewno nie tak jak my – oświadczyła zdecydowanym tonem.

– Zgoda, pewnie nie. Ale odpowiadając na twoje pytanie, wszyscy są absolutnie zachwyceni, że to ty stoisz na czele akcji. Powodzenia i niech cię Bóg prowadzi.

Dance odsunęła na bok plik książek i czasopism, i rozłożyła na blacie materiały od Mortona Walkera. Mimo że stanowiły tylko niewielką część zgromadzonych przez Walkera książek, wycinków i notatek, ich ilość była przytłaczająca.

Dance znalazła spis dowodów i innych przedmiotów zabezpieczonych w domu Pella w Seaside po morderstwie Croytonów. Było wśród nich kilkanaście książek na temat Charlesa Mansona, kilka grubych teczek i notatka funkcjonariusza z wydziału kryminalistycznego:

*Przedmiot nr 23. Znaleziony w pudle z książkami o Mansonie: „Trilby”, powieść Georgea du Mauriera. Książka nosi ślady wielokrotnego czytania. Dużo notatek na marginesach. Bez związku ze sprawą.*

– Słyszałeś kiedyś o tej powieści? – zapytała.

O'Neil bardzo dużo czytał, a w jego ogromnej kolekcji zajmującej cały pokój można było znaleźć dzieła reprezentujące chyba wszystkie istniejące gatunki literackie. Ale o tej książce detektyw nic nie



wiedział.

Dance włączyła laptopa, weszła do Internetu i sprawdziła tytuł.

– Ciekawa rzecz. George du Maurier był dziadkiem Daphne du Maurier. –

Przeczytała kilka streszczeń i recenzji powieści. – Zdaje się, że „Trilby” to był wielki bestseller. Taki „Kod Leonarda da Vinci” swojej epoki. Słyszałeś o Svengalim?

– Nazwisko znam – to hipnotyzer. Ale nic więcej.

– Ciekawe. To historia muzyka, któremu nie bardzo się wiedzie – Svengaliego.

Poznaje piękną młodą śpiewaczkę – dziewczyna ma na imię Trilby. Ale nie jest szczególnie utalentowana. Muzyk się w niej zakochuje, jednak ona nie chce mieć z nim nic wspólnego, więc Svengali ją hipnotyzuje. Trilby zaczyna odnosić sukcesy, ale jej umysł zostaje zniewolony. W końcu Svengali umiera, a krótko po nim Trilby, bo du Maurier uważa, że robot nie potrafi już funkcjonować bez swojego pana.

– Przypuszczam, że dalszego ciągu nie było. – O’Neil przerzucił no tatki. –

Walker nie ma żadnych podejrzeń co do jego planów?

– Raczej nie. Przygotuje nam jego życiorys. Może tam coś będzie.

Przez następną godzinę szperali w stosie kserokopii, szukając wzmianek o osobach i miejscach w okolicy, którymi Pell mógłby się interesować –

jakiegokolwiek powodu, dla którego musiałby zostać na półwyspie. Nie znaleźli ani słowa o Alison i Nimue, których morderca szukał za pomocą Google’a.

Nic.

Większość kaset wideo zawierała nagrania reportaży telewizyjnych o Pellu, morderstwie Croytonów lub samym Croytonie, potężnym królu biznesu Doliny Krzemowej.

– Sensacyjny chłam – zawyrokował O’Neil.

– Płytki sensacyjny chłam. – Właśnie przeciw takiemu traktowaniu zbrodni i wojny protestował Morton Walker.

Potem jednak obejrzelili dwie taśmy z zapisem policyjnych przesłuchań, które w opinii Dance rzucały więcej światła na sprawę. Pierwsze przesłuchanie dotyczyło włamania sprzed trzynastu lat.

– *Kto jest twoim najbliższym krewnym. Danielu?*

– *Nie mam krewnych. Nie mam żadnej rodziny.*

– *A rodzice?*

– *Nie żyją. Od dawna. Można powiedzieć, że jestem sierotą.*

– *Kiedy zmarli?*

– *Gdy miałem siedemnaście lat. Ale wcześniej mój ojciec od nas odszedł.*

– *Byłeś w dobrych stosunkach z ojcem?*

– *Z ojcem? To przykra historia.*

Pell opowiedział funkcjonariuszowi o znęcającym się nad nim ojcu, który zmuszał go do płacenia czynszu, odkąd chłopiec skończył trzynaście lat. Gdy mały Daniel nie miał pieniędzy, ojciec go bił – i bił matkę, jeżeli usiłowała bronić syna.

Pell tłumaczył, że właśnie dlatego zaczął kraść. Wreszcie ojciec ich zostawił. Traf chciał, że rodzice zmarli tego samego roku – matka na raka, a ojciec zginął w wypadku, jadąc po pijanemu. Siedemnastoletni Pell został sam.

– *Rodzeństwa nie masz, hm?*

– *Me... Zawsze myślałem, że gdybym miał z kim dzielić ten ciężar, moje życie ułożyłoby się*

*zupelnie inaczej... Dzieci tez nie mam. Musze przyznac, ze zaluje...*

*Ale jestem mlody Mam jeszcze czas, prawda?*

*– Och, Danielu, jezeli wezmiesz sie w garsc, nie ma zadnego powodu, zebyś nie mogl zalozyć własnej rodziny.*

*– Dziękuję, że pan to powiedział, detektywie. Naprawdę dziękuję. A pan ma rodzinę? Widzę, że nosi pan obrączkę.*

Drugie nagranie pochodziło z małego miasteczka w Dolinie Kalifornijskiej, gdzie dwanaście lat wcześniej Pell został aresztowany za drobną kradzież.

*– Słuchaj no, Daniel. Zadam ci parę pytań. Tylko nie próbuj nic bajerować, jasne? Bo to się może źle skończyć.*

*– Nie będę, szeryfie. Powiem prawdę. Jak Boga kocham.*

*– Nie będziesz kłamać, to nic ci nie zrobię. A teraz powiedz no, jak to się stało, że na tylnym siedzeniu wozu miałeś telewizor i magnetowid Jake’a Peabodyego?*

*Kupiłem, szeryfie. Przysięgam. Na ulicy. Od jednego Meksykańca. Zaczęliśmy gadać i powiedział mi, że ma chorego dzieciaka i nie mają z żoną skąd wziąć pieniędzy.*

Widzisz, co robi? spytała detektywa Dance.

O’Neil pokręcił głową.

– Pierwszy przesłuchujący jest inteligentny. Starannie dobiera słowa, nie robi błędów. Pell odpowiada mu w dokładnie taki sam sposób. A drugi? Nie jest tak wykształcony jak pierwszy, mówi potocznym językiem i z błędami – „tylnie siedzenie”. Pell podchwytuje to i zaczyna go naśladować. „Meksykaniec”. Albo

„wziąć”. Typowa sztuczka makiawelistów. – Wskazała głową telewizor. – Pell ma pełną kontrolę nad jednym i drugim przesłuchaniem.

– Nie wiem, za te łzawe opowiadki dałbym mu cztery z minusem – ocenił

O’Neil. – We mnie nie wzbudził ani odrobiny współczucia.

– Zobaczmy. – Dance znalazła kopie orzeczeń sądowych, które Wal ker dołączył do kaset. – Przykro mi, profesorze: Od nich dostał piątki. W pierwszym wypadku zarzut włamania zmieniono na paserstwo, wy rok w zawieszeniu. W

drugim uszło mu płazem.

– Przyznaję się, mój błąd.

Przeglądali materiały jeszcze przez pół godziny. Nie było w nich nic istotnego.

O’Neil zerknął na zegarek.

– Muszę iść.

Podniósł się ciężko, a Dance odprowadziła go przed dom. Detektyw podrapał psy po łbach.

– Mam nadzieję, że będziesz mógł wpaść jutro na urodziny taty.

– Miejmy nadzieję, że wtedy będzie już po wszystkim. – Wsiadł do volvo i ruszył w głąb zasnutej mgłą ulicy.

Odezwał się żabi dzwonek komórki.

– Halo?

– Cześć, szefowo.

Prawie w ogóle go nie słyszała; w tle dudniła głośna muzyka.

– Możesz to ściszyć?

– Musiałbym pogadać z kapelą. Jest coś nowego o Juanie?

– Bez zmian.

– Zjrę jutro do niego... Posłuchaj...

– Właśnie się staram.

– Ha. Po pierwsze, ciotka Pella. Nazywa się Barbara Pell. Ale ma coś nie tak z głową. Gliniarze z Bakersfield mówią, że to alzheimer czy coś. Nie odróżnia dnia od nocy, ale za jej domem jest szopa czy garaż z narzędziami i jakimiś rzeczami Pella. Każdy mógł tam sobie wejść i zabrać młotek. Sąsiedzi niczego nie widzieli.

A to niespodzianka!

– Kto to, Andy Griffith?

– Z tego samego serialu. Gomer Pyle.

– W Bakersfield będą mieli na oku jej dom?

– Tak jest.... A teraz, szefowo, cynk o Winstonie.

– O kim?

– Winstonie Kelloggu, tym gościu z FBI, którego sprowadza Overby, żeby cię niańczył.

Niańczył...

– Mógłbyś użyć innego słowa?

– Żeby cię nadzorował. Dopilnował. Ujarzmił.

– TJ!

– Dobra, do rzeczy. Ma czterdzieści cztery lata. Mieszka w Waszyngtonie, ale pochodzi z Los Angeles. Były wojskowy.

Zupełnie jak mój zmarły mąż, pomyślała. Ten sam wiek, to samo dawne zajęcie.

– Najpierw był detektywem w policji w Seattle, potem wstąpił do biura. Pracuje w wydziale zwalczającym sekty i związane z nimi przestępstwa. Namierzają przywódców, prowadzą negocjacje z porywaczami zakładników i zapewniają członkom sekty terapię. Jednostkę założono po Waco.

Było to obłężenie siedziby sekty Davida Koresha w Teksasie przez agentów federalnych. Szturm, który miał na celu uratowanie członków sekty, zakończył się tragedią. Ranczo spłonęło, a większość ludzi w środku – w tym liczna grupa dzieci

– zginęła.

– Ma w biurze niezłą reputację. Trochę sztywny, ale nie boi się po brudzić rąk.

To dosłowny cytat z mojego kumpla i naprawdę nie mam pojęcia, co to znaczy.

Aha, szefowo, jeszcze jedno. Chodzi o hasło „Nimue”. Nie ma nic w VICAP-ie ani innych naszych bazach. Zdążyłem sprawdzić kilkaset nicków sieciowych. Połowa z nich jest nieaktywna, a za resztą kryją się szesnastoletni komputerowcy. Ludzie o nazwiskach „Nimue” mieszkają przede wszystkim w Europie i nie znalazłem nikogo, kto mógłby mieć związek ze sprawą. Mam za to ciekawy wariant.

– Naprawdę? Jaki?

– Jest taka gra RPG. Wiesz, co to jest?

– Na komputer, prawda? Taką skrzynkę z kłębówiskiem kabli w środku?

– Poddaję się, szefowo. Akcja toczy się w średniowieczu, a gracze za bijają trolle i smoki i ratują dziewice. Swoją drogą my zarabiamy na życie podobnie. W

każdym razie wcześniej nie znaleźliśmy nic o tej grze, bo jej nazwę inaczej się pisze. N-i-X-m-u-e, a logo ma duże czerwone X w środku. Ostatnio jedna z bardziej popularnych. Dochody ze

sprzedaży idą w setki milionów. Ach, gdzież się podział mój ulubiony Pac Man?

- Nie sądzę, żeby Pell był typem gracza komputerowego.
- Ale na pewno jest typem, który zabił autora programów komputerowych.
- Słusznie. Przyjrzyj się temu. Ja jednak ciągle uważam, że to czyjeś imię albo pseudonim.
- Nie martw się, szefowo. Mogę sprawdzić jedno i drugie, bo dzięki tobie mam masę wolnego czasu.

- Podoba ci się muzyka?
- Poddaję się po raz drugi.

Dance wypuściła Dylana i Patsy, by załatwiły swoje wieczorne potrzeby, po czym zrobiła szybki obchód dookoła domu. Nie zauważyła żadnych podejrzanych samochodów zaparkowanych w pobliżu. Zagoniła psy z powrotem. Zwykle spały w kuchni, ale dziś oddała im do dyspozycji cały dom; gdyby zbliżył się tu ktoś obcy, narobiłyby wielkiego hałasu.

Dance weszła do pokoju Maggie i przez chwilę słuchała, jak dziewczynka gra na syntezatorze utwór Mozarta. Pocałowała ją na dobranoc i zgasiła światła.

Przez kilka minut siedziała z Wesem, opowiadającym jej o nowym chłopcu na obozie, który przeprowadził się tu kilka miesięcy temu. Rozegrali dzisiaj kilka meczów.

- Chcesz go zaprosić na jutro z rodzicami? Na urodziny dziadka?
- Nie. Chyba nie.

Po śmierci ojca Wes stał się bardziej nieufny i mniej towarzyski.

- Na pewno?
- Może trochę później. Nie wiem... Mamo?
- Słucham, najdroższy synu. Westchnął z rozdrażnieniem. – Tak?
- Czemu ciągle masz przy sobie broń?

Dzieci... nic nie umknie ich uwagi.

- Całkiem o niej zapomniałam. Zaraz trafi do sejfu.
- Mogę jeszcze trochę poczytać?
- Jasne. Dziesięć minut. Co to za książka?
- „Władca pierścieni”. – Spojrzał na nią, lecz nie otwierał. – Mamo?
- Tak?

Nie doczekała się jednak niczego więcej. Pomyślała, że wie, o co mu chodzi.

Była gotowa mu powiedzieć, gdyby chciał. Ale miała nadzieję, że nie zapyta; to był naprawdę długi dzień.

- Nic – powiedział w końcu Wes tonem oznaczającym „tak naprawdę chcę o czymś porozmawiać, ale jeszcze nie teraz”. Wróci! do Śródziemia.
- Gdzie są hobbity? – spytała, wskazując książkę.
- W Shire. Szukają ich Czarni Jeźdźcy.
- Piętnaście minut.
- Dobranoc, mamo.

Dance wsunęła glocka do schowka. Ustawiła zamek na prosty trzycyfrowy kod, by mogła otworzyć sejf w ciemnościach. Spróbowała z zamkniętymi oczami.

Operacja trwała nie dłużej niż dwie sekundy.

Wzięła prysznic, włożyła piżamę i wśliznęła się pod ciepłą kołdrę, czując, jak zmartwienia minionego dnia spowijają ją jak zapach lawendy ze stojącego przy łóżku potpourri.

Gdzie jesteś?, pytała bezgłośnie Daniela Pella. Kim jest twoja współpracowniczka?

Co teraz robisz? Spisz? Jeździsz po osiedlach, szukając kogoś albo czegoś?

Znów zamierzasz kogoś zabić?

Jak mam się dowiedzieć, dlaczego tu zostałeś?

Powoli zapadając w sen, usłyszała w myślach słowa z nagrania, które niedawno obejrzała z Michaeliem O’Neilem.

– *Dzieci też nie mam. Muszę przyznać, że żałuję... Ale jestem młody. Mam jeszcze czas, prawda?*

– *Och, Danielu, jeżeli weźmiesz się w garść, nie ma żadnego powodu, żebyś nie mógł założyć własnej rodziny.*

Otworzyła oczy. Przez kilka minut leżała w łóżku, wpatrując się w konfiguracje cieni na suficie. Po chwili wsunęła kapturę i ruszyła do salonu.

– Idźcie spać – rozkazała psom, które mimo to obserwowały ją uważnie przez następną godzinę, gdy jeszcze raz przetrząsała zawartość pudła przygotowanego przez Mortona Walkera.

**Wtorek**

**Rozdział 21**

Wczesnym rankiem Kathryn Dance z TJ-em siedzieli w narożnym gabinecie Charlesa Overby’ego, słysząc bębnienie deszczu o szyby. Turyści sądzili, że w klimacie zatoki Monterey przeważa duże zachmurzenie i częste opady. W

rzeczywistości półwysep zwykle usychał z tęsknoty za deszczem, a przyczyną szarości nieba była typowa dla Zachodniego Wybrzeża mgła. Dziś jednak naprawdę lało.

– Chcę cię o coś prosić, Charles.

– O co?

– O zgodę na pewne wydatki.

Charles Overby na wszystko zwracał baczną uwagę.

– Na co?

– W ogóle nie posuwamy się naprzód. Nie ma żadnych tropów z Capitoli, kryminalistyka nie dała nam ani jednej odpowiedzi, nikt go nie widział. A co najważniejsze, nie wiem, po co został na półwyspie.

– Jakie wydatki masz na myśli?

– Chcę mieć te trzy kobiety, które były w Rodzinie.

– Mamy je aresztować? Podobno były niewinne.

– Nie, chcę je przesłuchać. Mieszkały z nim; musiały go dobrze po znać.

*Och, Danielu, jeżeli weźmiesz się w garść, nie ma żadnego powodu, żebyś nie mógł założyć własnej rodziny...*

Właśnie ten fragment z nagranego przesłuchania podsunął jej pomysł sprowadzenia kobiet.

Od punktu A i B do X...

– Chcemy zorganizować zjazd rodzinny – oznajmił wesoło TJ. Dance wiedziała, że rudy agent do późna imprezował, ale jego okrągła twarz wyglądała tak świeżo, jak gdyby właśnie wyszedł z salonu odnowy biologicznej.

Overby zignorował jego uwagę.

– Ale dlaczego miałyby nam pomagać? Chyba raczej będą mu przychylnie, nie sądzisz?

– Nie. Z dwiema z nich już rozmawiałam i żadna nie wyrażała się o Pellu przychylnie. Trzecia zupełnie zerwała z przeszłością, zmieniła na wet tożsamość.

To też nie świadczy o przychylności.

– Po co mamy je tu przywozić? Czemu nie można ich przesłuchać tam, gdzie mieszkają?

– Chcę porozmawiać ze wszystkimi naraz. To metoda przesłuchania oparta na gestalteryzmie. Będą nawzajem odświeżać sobie pamięć. Czytałam o tych kobietach do drugiej w nocy. Rebecca była w Rodzinie najkrócej – tylko parę miesięcy – ale Linda mieszkała z Pellem ponad rok, a Samantha dwa lata.

– Rozmawiałas już z nimi? – Zadał pytanie niepewnym głosem, jak gdyby podejrzewał Dance o podstęp.

– Nie – odparła. – Najpierw chciałam cię spytać.

Na wieść, że nie został wyprowadzony w pole, wyraźnie odetchnął. Mimo to przecząco pokręcił głową.

– Bilety na samolot, ochrona, transport... Biurokracja. Wątpię, czy uda mi się to przepchnąć w Sacramento. Poza tym to zbyt nietypowy pomysł. – Dostrzegłszy nitkę wystającą z mankietu, wyciągnął ją. – Obawiam się, że nie mogę wydać zgody. Utah. Jestem pewien, że tam pojechał. Po tym, jak spłoszyliśmy go w Moss Landing. Byłby idiotą, gdyby tu został. Zespół obserwacyjny w Utah już działa?

– Aha – przytaknął TJ.

– Stawiałbym na Utah.

Dance zrozumiała: jeżeli zatrzyma go tamtejsza policja, chwała spłynie na CBI, a w Kalifornii nikt więcej nie zginie. Jeżeli Utah zawali sprawę, będzie to tylko i wyłącznie ich wina.

– Charles, jestem pewna, że Utah to fałszywy trop. Nie możemy dać się tam zaprowadzić i...

– Chyba – przerwał jej z triumfalnym uśmiechem szef – że to podwójna zmyłka. Zastanów się.

– Zastanawiałam się i wiem, że to nie pasuje do profilu Pella. Na prawdę wolę, żebyśmy zrealizowali mój pomysł.

Nie jestem pewien...

– Mogę spytać, co to za pomysł? – odezwał się czyjś głos za jej plecami.

Odwróciwszy się, Dance zobaczyła mężczyznę w ciemnym garniturze, jasnoniebieskiej koszuli i krawacie w niebiesko-czarne prążki. Nie był klasycznie przystojny – miał widoczny brzusek, nieco odstające uszy, a gdyby pochylił

głowę, wyraźnie zarysowałby się podwójny podbródek. W jego brązowych oczach malowało się zdecydowanie, choć można w nich było też dostrzec iskielki rozbawienia, a na czoło opadała grzywka tego samego koloru co oczy. Jego wygląd i postawa sugerowały spokojny sposób bycia. Na wąskich ustach igrał lekki uśmiech.

– Czym mogę służyć? – zapytał go Overby.

Podchodząc bliżej, mężczyzna pokazał legitymację FBI. Agent specjalny Winston Kellogg.

– Niania w budynku – rzekł półgłosem TJ, przysłaniając usta ręką. Dance zignorowała komentarz.

– Charles Overby. Dziękuję, że mógł pan przyjechać, agencie Kellogg.

– Proszę mówić mi Win. Jestem z wydziału PZWP.

– Czyli...

– Wydziału zwalczania przestępstw zbiorowego wymuszania posłuszeństwa.

– Tak się teraz nazywają sekty? – zdziwiła się Dance.

– Rzeczywiście, nazywaliśmy go oddziałem sekt. Ale to nie było PP.

TJ zmarszczył brwi.

– Przepiękne polityczne?

– Mam na myśli wyrażenie poprawne politycznie.

Roześmiała się, słysząc wyjaśnienie.

– Jestem Kathryn Dance.

– TJ Scanlon.

– Thomas Jefferson?

TJ uśmiechnął się tajemniczo. Nawet Dance nie znała jego pełnego imienia.

Równie dobrze mógł być po prostu TJ-em.

Zwracając się do wszystkich agentów CBI, Kellogg rzekł:

– Chcę coś od razu zaznaczyć. Owszem, jestem federalny, ale nie zamierzam nikogo rozstawiać po kątach. Przyjechałem tu jako konsultant – pomóc wam w miarę swoich możliwości zrozumieć, jak Pell się zachowuje i jak myśli... Chętnie zejść na drugi plan.

Nawet jeżeli nie był w stu procentach szczery, za to zapewnienie zyskał sobie uznanie u Dance. Zważywszy na przerost ambicji niektórych stróżów prawa, rzadko zdarzało się słyszeć takie słowa od człowieka z Waszyngtonu.

– Doceniam to oświadczył Overby.

Kellogg spojrzał na szefa CBI.

– Muszę przyznać, że wczorajsza akcja była niezła. Nigdy bym nie Wpadł na to, żeby sprawdzać restauracje.

Po krótkim wahaniu Overby powiedział:

– Chyba mówiłem Amy Grabe, że to Kathryn wpadła na ten pomysł.

TJ chrząknął cicho, a Dance nie odważyła się na niego zerknąć.

– W każdym razie to był dobry pomysł. – Odwrócił się do Dance. – A teraz co proponowałaś?

Dance powtórzyła, co zamierza zrobić. Agent skinął głową.

– Zebrać z powrotem Rodzinę. Dobrze. Bardzo dobrze. Proces terapii powinien się już zakończyć. Ale nawet jeżeli nie chodziły do specjalistów, upływ czasu na pewno usunął resztki syndromu sztokholmskiego. Wątpię, żeby jeszcze były wobec niego lojalne. Chyba powinniśmy spróbować.

Przez chwilę panowała cisza. Dance nie zamierzała wybawiać z kłopotu Overby'ego, który w końcu rzekł:

– To rzeczywiście niezły pomysł. Absolutnie tak. Jedyne problem to budżet.

Ostatnio...

– Zapłacimy – przerwał mu Kellogg. I zamilkł, patrząc na Overby'ego.

Dance miała ochotę się roześmiać. – Wy?

– Jeżeli będzie trzeba, wyślę po nie odrzutowiec biura. Może być?

Pozbawiony ostatniego, wymyślonego na poczekaniu argumentu, szef CBI odparł:

– Jak możemy odmówić prezentu gwiazdkowego od Wuja Sama? Dzięki, amigo.

Dance, Kellogg i TJ byli w jej gabinecie, kiedy wszedł Michael O'Neil.

Mężczyźni przedstawili się sobie i wymienili uścisk dłoni.

– Kryminalistka nie ma już nic więcej z Moss Landing – powiedział detektyw

– ale mamy nadzieję, że uda się coś znaleźć na Pastwiskach Niebieskich i w winnicach. Ludzie z wydziału zdrowia pobierają też próbki żywności. Na wypadek, gdyby nafaszerował je kwasem. – Opowiedział Kelloggowi o substancji znalezionej w thunderbirdzie po ucieczce Pella.

– Po co miałyby to robić?

– Dla odwrócenia uwagi. A może po prostu chce krzywdzić ludzi.

– Dowody fizyczne nie są moją mocną stroną, ale wydaje się, że to dobry trop.

– Dance zauważyła, że gdy O’Neil podawał mu informacje, agent patrzył w bok, w skupieniu starając się zapamiętać wszystkie szczegóły.

– Spróbuję wam wyjaśnić mentalność sekty – rzekł po chwili Kellogg – – W

wydziale opracowaliśmy ogólny profil, który moim zdaniem na pewno w części albo w całości pasuje do Pella. Mam nadzieję, że to pomoże wam opracować strategię działania.

– Dobrze – odparł O’Neil. – Wydaje mi się, że nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z kimś takim jak on.

Ponieważ plany Pella wciąż stanowiły dla nich tajemnicę, Dance pozbyła się sceptycyzmu, z jakim początkowo odnosiła się do pomysłu sprowadzenia eksperta od sekt. Nie była już pewna, czy morderca rzeczywiście postępuje podobnie jak inni przestępcy.

Kellogg pochylił się nad jej biurkiem.

– Po pierwsze, zgodnie z nazwą naszego wydziału, uważamy członków sekty za ofiary, bo z pewnością nimi są. Musimy jednak pamiętać, że mogą być równie niebezpieczni jak przywódca. Charlesa Mansona w ogóle nie było podczas morderstw Tatę i małżeństwa LaBianca. Zbrodnie popełnili członkowie jego grupy.

Mówiąc o przywódcy, używam rodzaju męskiego, ale kobiety potrafią być równie skuteczne i bezwzględne jak mężczyźni. Często bywają bardziej przebiegłe.

Podstawowy profil wygląda tak. Przywódca sekty nie odpowiada przed żadną władzą z wyjątkiem samego siebie. Zawsze sprawuje rządy niepodzielnie. Dyktuje swoim poddanym, jak mają spędzać każdą minutę. Wyznacza im zadania i każe je wykonywać, nawet gdyby to miało być jakieś bezproduktywne zajęcie. Nikt nie może mieć ani chwili wolnego czasu na samodzielne myślenie.

Przywódca sekty ustala własne normy moralne według jednego klucza: właściwe ma być tylko to, co jest dobre dla niego albo co służy utrwaleniu struktury sekty. Zewnętrzne prawa i reguły moralne są nieistotne. Wmawia członkom grupy, że zgodne z moralnością jest postępowanie według jego rozkazów

– albo jego sugestii. Przywódcy sekt są mistrzami w subtelnym przekazywaniu wiadomości, żeby nawet w wypadku podsłuchu żadne słowo nie mogło ich obciążyć. Ale jego poddani świetnie rozumieją każdy skrót.

Wszystkie sprawy sprowadza do czarno-białego kontrastu i przedstawia świat według prostej zasady, my kontra oni. Rację ma sekta, a każdy spoza niej jest w błędzie i dąży do jej zniszczenia.

Nie dopuszcza żadnych odmiennych opinii. Wygłasza skrajne, szokujące poglądy i czeka, aż członek sekty zacznie je kwestionować w ten sposób poddaje próbie jego lojalność. Kto wchodzi do grupy, musi im oddać wszystko – swój czas i pieniądze.

Dance powiedziała mu o kwocie dziewięciu tysięcy dwustu dolarów.

– Zdaje się, że ta kobieta finansuje ucieczkę Pella.

Kellogg przytaknął.

– Członkowie sekty mają mu także oddać do dyspozycji własne ciała. A czasem przekazać



własne dzieci. Sprawuje nad nimi absolutną władzę. Wszyscy muszą zerwać z przeszłością. Przywódca nadaje każdej osobie nowe imię, często dziwaczne albo kojarzące się z jej wizerunkiem w jego oczach. Wybiera ludzi bezbronnych i wykorzystuje ich poczucie niepewności. Szuka samotników i każe im porzucić przyjaciół i rodzinę. Zaczynają go postrzegać jako wychowawcę i jedyną ostoję. Grozi im, że się od nich odwróci – to chyba jego najpotężniejsza broń.

Mógłbym o tym mówić jeszcze godzinami, ale tak z grubsza wygląda proces myślowy Daniela Pella. – Kellogg uniósł ręce. Wyglądał jak profesor. – Co to oznacza dla nas? Po pierwsze, możemy poznać jego słabe punkty. Rola przywódcy sekty jest męcząca. Trzeba stale monitorować jej członków, szukać oznak niezgody i jak najszybciej je likwidować. Kiedy więc istnieją zagrożenia zewnętrzne – jak na przykład na ulicy, w miejscach publicznych – musi być szczególnie czujny.

Natomiast w swoim otoczeniu jest spokojniejszy. Dlatego staje się bardziej nieostrożny i bezbronny.

Przypomnijcie sobie, co się stało w restauracji. Stale kontrolował, co się dzieje wokół, ponieważ był w miejscu publicznym. Gdyby był we własnym domu, zapewne moglibyście go dopaść.

Inny wniosek brzmi tak: współpracowniczka wierzy, że Pell działa moralnie i jeżeli zabija, robi to w słusznej sprawie. To oznacza dwie rzeczy: nie możemy liczyć na żadną pomoc z jej strony i przyjmujemy, że jest równie niebezpieczna jak on.

Owszem, jest jego ofiarą, ale to nie znaczy, że nie zabije, jeżeli nadarzy się okazja... To tyle ogólnych uwag.

Dance zerknęła na O'Neila. Wiedziała, że podobnie jak ona jest pod wrażeniem fachowej wiedzy Kellogga. Być może raz Charlesowi Overby'emu udało się podjąć dobrą decyzję, nawet jeśli zamierzał wyłącznie chronić własny tyłek.

Myśląc o tym, co Kellogg powiedział im o Pellu, zaczęła się obawiać czekającego ich zadania. Miała sposobność osobiście przekonać się o inteligencji mordercy, lecz jeśli przedstawiony przez Kellogga profil był choćby w części trafny, ten człowiek stanowił wyjątkowo poważne zagrożenie.

Dance podziękowała Kelloggowi i na tym spotkanie się zakończyło. O'Neil pojechał do szpitala dowiedzieć się o stan Juana Millara, a TJ ruszył poszukać tymczasowego biura dla agenta FBI.

Dance wyciągnęła komórkę i na liście ostatnich rozmów odnalazła numer Lindy Whitfield. Wcisnęła przycisk ponownego wybierania.

– Och, agentko Dance, dowiedziała się pani czegoś?

– Obawiam się, że nie.

– Słuchamy radia... podobno wczoraj prawie udało się wam go złapać.

– To prawda.

Linda zaczęła mamrotać. Dance przypuszczała, że kobieta znów się modli.

– Pani Whitfield?

– Jestem.

– Zamierzam o coś panią poprosić, ale przed odpowiedzią proszę się dobrze zastanowić.

– Słucham.

– Chcielibyśmy, żeby tu pani przyjechała i nam pomogła.

– Co?! – szepnęła.

– Daniel Pell jest dla nas zagadką. Jesteśmy prawie pewni, że został na półwyspie, ale nie możemy zrozumieć dlaczego. Nikt nie zna go lepiej niż pani, Samantha i Rebecca. Mamy nadzieję, że pomoże nam pani go zrozumieć.

– One też mają przyjechać?

– Najpierw zadzwoniłam do pani.

Chwila milczenia.

– Ale co właściwie miałabym robić?

– Chcę z panią o nim porozmawiać. Może przypomni pani sobie coś, co pozwoli nam odkryć jego plany i dowiedzieć się, dokąd zamierza uciec.

– Ależ nie miałam od niego żadnych wiadomości od siedmiu czy ośmiu lat.

– Być może znajdziemy wskazówkę w tym, co kiedyś mówił albo robił. Dużo ryzykuje, zostając tutaj. Musi mieć jakiś powód.

– No...

Dance dobrze znała proces obronny, jaki toczył się w myślach kobiety.

Wyobrażała sobie, jak Linda gorączkowo szuka wiarygodnej przyczyny, dla której mogłaby odmówić spełnienia prośby agentki. Nie zdziwiła się, gdy usłyszała:

– Kłopot w tym, że pomagam bratu i bratowej opiekować się ich Przybranymi dziećmi. Nie mogę tak wszystkiego zostawić i wyjechać.

Dance przypomniała sobie, że Linda mieszka u brata. Spytała, czy rodzice sami mogliby się zająć dziećmi przez dzień czy dwa.

– To nie potrwa dłużej.

Chyba nie będą mogli... nie.

Słowo „chyba” ma ogromne znaczenie dla przesłuchujących. To sygnał zaprzeczenia – podobnie jak „nie pamiętam” albo „prawdopodobnie nie”.

Wszystkie oznaczają: kluczę i kręcę, ale nie mówię stanowczo nie. Dance zrozumiała, że brat z żoną świetnie poradzą sobie z dziećmi sami.

– Wiem, że nie proszę o mało. Ale potrzebujemy pani pomocy.

Po chwili kobieta przedstawiła usprawiedliwienie numer dwa.

– Nawet gdybym mogła wyjechać, i tak nie mam pieniędzy na po dróż.

– Przywieziemy panią prywatnym samolotem.

– Prywatnym?

– Odrzutowcem FBI.

– Ojej.

Z wymówką numer trzy Dance rozprawiała się, zanim kobieta zdążyła o niej pomyśleć.

– Poza tym zapewnimy pani ścisłą ochronę. Nikt się nie dowie, gdzie pani jest, i będzie pani strzeżona dwadzieścia cztery godziny na dobę. Możemy liczyć na pani pomoc?

Znów długie milczenie.

– Muszę zapytać.

– Brata, szefa w pracy? Zadzwonię do nich i...

– Nie, nie ich. Mówię o Jezusie.

Ach...

– Zgoda. – Po chwili spytała: – Czy może pani zadać to pytanie możliwie szybko?

– Oddzwonię, agentko Dance.

Rozłączyły się. Dance zadzwoniła do Winstona Kellogga, informując go, że w sprawie Whitfield czekają na interwencję boską. Był rozbawiony.

– Czyli wszystko zależy od bardzo zamiejskowej rozmowy.

Dance uznała, że na pewno nie zawiadomi Charlesa Overby'ego, czyje pozwolenie jest wymagane. Czy rzeczywiście to był taki znakomity pomysł?

Zadzwoiła do Inicjatywy Kobiet w San Diego. Gdy w słuchawce odezwała się Rebecca Sheffield, powiedziała:

– Dzień dobry, tu jeszcze raz Kathryn Dance z Monterey. Dzwoniłam...

Rebecca przerwała jej w pół słowa.

– Od dwudziestu czterech godzin oglądam wiadomości. Co się stało? Już go mieliście i uciekł?

– Niestety.

Rebecca westchnęła ochryple.

– No więc załapaliście już?

– Załapaliśmy?

– Pożar w budynku sądu. Pożar w elektrowni. Dwa razy podpalenie. Widzi pani schemat? Znalazł skuteczny sposób. I zrobił to jeszcze raz.

Dance myślała dokładnie tak samo. Nie broniąc się jednak, odrzekła tylko:

– W niczym nie przypomina żadnego ze zbiegów, jakich dotąd znaliśmy.

– No tak.

– Pani Sheffield, chciałabym o coś...

– Chwileczkę. Chcę najpierw coś powiedzieć.

– Słucham – odparła niepewnie Dance.

– Wybacz pani, ale zupełnie nie wiecie, z czym macie do czynienia. Musicie zrobić to, co radzę ludziom na swoich seminariach. Na temat upodmiotowienia w biznesie. Mnóstwo kobiet sądzi, że wystarczy pójść z przyjaciółkami na drinka, obgadać swoich szefów, byłych mężów czy agresywnych chłopaków i trzask prask

– są wyleczone. Ale to wcale tak nie działa. Nie można krążyć wokół tematu i improwizować.

– Doceniam pani...

– Po pierwsze, należy zidentyfikować problem. Przykład. Nie czuje się pani swobodnie na randkach. Po drugie, zidentyfikować fakty, które są źródłem problemu. Kiedyś została pani zgwałcona na randce. Po trze cie, opracować rozwiązanie. Nie biega pani na randki, ignorując swoje lęki. Nie zwija się pani w kłębek i zapomina o mężczyznach. Układa pa ni plan: na początek powoli, umawia się pani z mężczyznami na lunch, widuje się z nimi w publicznych miejscach, wybiera pani mężczyzn, którzy nie dominują nad panią fizycznie, nie naruszają przestrzeni osobistej, nie piją i tak dalej. Rozumie pani, o co chodzi. Potem, krok po kro ku, poszerza pani krąg osób, z którymi się spotyka. Po trzech czy sześciu miesiącach problem jest rozwiązany. Trzeba opracować plan i konsekwentnie go realizować. Jasno się wyrażam?

– Tak.

Słuchając jej, Dance doszła do dwóch wniosków: po pierwsze, że na seminariach prowadzonych przez Rebeckę Sheffield są komplety uczestników. Po drugie, że nie chciałyby się spotykać z tą kobietą w celach towarzyskich.

Zastanawiała się, czy Rebecca już skończyła.

Nie skończyła.

– Dzisiaj mam jeszcze seminarium, którego nie mogę odwołać. Ale jeżeli nie złapiecie go do jutra rana, chcę tam przyjechać. Może przypomnę sobie coś sprzed ośmiu lat, co się wam przyda. Chyba że to wbrew jakimś zasadom?

– Nie, nie, to dobry pomysł.

– Dobrze. Muszę kończyć. O co chciała mnie pani zapytać?

– O nic ważnego. Miejmy nadzieję, że wszystko się uda, ale jeżeli nie, zadzwonię i ustalimy szczegóły pani przyjazdu.

– No to jesteśmy umówione – rzuciła krótko kobieta i odłożyła słuchawkę.

## **Rozdział 22**

W motelu Sea View Daniel Pell przerwał przeglądanie stron internetowych i unosząc wzrok nad komputera Jennie zobaczył, jak dziewczyna z uwodzicielską miną sunie w jego stronę.

Zamruczała, szepcząc:

– Wracaj do łóżka, kochanie. Pieprz mnie.

Pell przełączył okna, żeby nie widziała, czego szukał, i otoczył ramieniem jej wąską talię.

Mężczyźni i kobiety co dzień wywierają na siebie wpływ. Mężczyznę z początku czeka trudniejsze zadanie. Musi skruszyć linię obrony kobiety, zbudować sieć subtelnych powiązań, poznać jej sympatie i antypatie, które ona stara się przed nim ukrywać. Zanim weźmie ją w karby, może upłynąć wiele tygodni lub miesięcy.

Kiedy jednak zdoła owinąć ją sobie wokół palca, może rządzić, jak długo zechce.

*Och, jesteś po prostu pokrewnymi duszami...*

Natomiast kobieta ma cycki i tyłek, i wystarczy, żeby podsunęła je mężczyźnie

– choć czasem nie jest to nawet konieczne – a może mu rozkazać niemal wszystko.

Kłopoty kobiety zaczynają się dopiero później. Gdy kończy się seks, przychodzi kres jej władzy.

Nie było wątpliwości, że od ucieczki Jennie Marston kilka razy przejmowała władzę: na przednim siedzeniu forda thunderbirda, potem w łóżku związana pończochami i jeszcze raz – spokojniej i znacznie lepiej – na podłodze, wśród akcesoriów, do których Daniel Pell miał szczególną słabość. (Jennie oczywiście nie przepadała za tą szczególną odmianą seksu, lecz jej niechętnie przyzwolenie podziało o wiele bardziej podniecająco, niż gdyby wykazała autentyczny entuzjazm).

Urok, jaki udało się jej roztoczyć, stracił już jednak moc. Ale nauczycielowi nie wolno okazywać uczniowi braku zainteresowania. Pell uśmiechnął się i spojrzał na nią, jak gdyby widok jej ciała obudził w nim gwałtowne pożądanie.

– Chętnie, najdroższa, ale bardzo mnie zmęczyłaś. Zresztą chciał bym, żebyś coś dla mnie załatwiła.

– Ja?

– Tak. Wiedzą już, że tu jestem, dlatego musisz to zrobić sama. – W wiadomościach ostrzegano, że Pell prawdopodobnie jest w pobliżu, musiał więc uważać.

– No dobrze. Ale wolałabym się z tobą pieprzyć. – Lekko się nadała.

Zapewne należała do kobiet, które uważają, że taki język działa na mężczyzn.

Myliła się i w swoim czasie zamierzał ją tego nauczyć. W tej chwili trzeba było dać pierwszeństwo ważniejszym lekcjom.

– Najpierw idź obciąć włosy – powiedział.

– Włosy?

– Tak. I ufarbuj. Widzieli cię ludzie w restauracji. Kupiłem brązową farbę. W sklepie meksykańskim. – Wyciągnął z torby pudełko.

– Och, myślałam, że to dla ciebie.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, okręcając w palcach pasmo włosów.

Danielowi Pellowi chodziło tylko o to, aby trudniej ją było rozpoznać.

Zrozumiał jednak, że w grę wchodzi coś więcej. Włosy miały dla Jennie podobne znaczenie jak ulubiona różowa bluzka i jej reakcja natychmiast zaintrygowała Pella. Przypomniał sobie, z jaką dumą je czesała, gdy ją zobaczył w samochodzie na parkingu przed sklepem Whole Foods.

Ach, zdradzamy tyle informacji...

Nie chciała obciąć włosów. Co więcej, wyraźnie się przed tym wzbraniała.

Długie włosy były dla niej ważne. Pell przypuszczał, że postanowiła je kiedyś zapuścić, by zasłonić nimi znienawidzony wizerunek samej siebie. Miały być znakiem żalosnego triumfu nad płaskim biustem i garbatym nosem.

Jennie nie ruszała się z łóżka. Wreszcie powiedziała:

– Oczywiście, kochany, obetnę. Wszystko co zechcesz. – Znów zamilkła. – Ale tak sobie pomyślałam, może lepiej by było, gdybyśmy wyjechali? Po tym, co się stało w restauracji? Gdyby coś ci się stało, nie przeżyłabym tego... Weźmy inny samochód i jedźmy do Anaheim! Czeka nas cudowne życie. Obiecuję ci, kochanie!

Będiesz ze mną szczęśliwy. Mogę nas utrzymywać. A ty zostaniesz w domu, dopóki o nas nie zapomną.

– To brzmi wspaniale, najdroższa, ale nie możemy jeszcze wyjechać.

– Och.

Czekała na wyjaśnienia. Pell rzekł tylko:

– Idź je obciąć. – Szeptem dodał: – Krótko. Bardzo krótko.

Podał jej nożyczki. Kiedy je brała, drżały jej ręce.

– Dobrze. – Jennie poszła do małej łazienki i włączyła wszystkie lampy

Z nawyku, jaki wyniosła z salonu Hair Cuttery, gdzie kiedyś pracowała, a może po prostu grając na zwłokę, najpierw długo upinała pasma włosów. Wpatrywała się w lustro, niepewnie obracając w palcach nożyczki. Przymknęła drzwi.

Pell usiadł na łóżku, by obserwować ją przez szparę w drzwiach. Mimo wcześniejszych protestów, poczuł, jak twarz oblewa mu rumieniec i zaczyna w nim rosnać wielka bańka.

Dalej, najdroższa, tnij!

Nie zważając na łyzy płynące po policzkach, ujęła kosmyk włosów i zaczęła go obcinać. Głęboki oddech i cięcie. Ocierając twarz, cięła dalej.

Pell wpatrywał się w nią, wychylony do przodu.

Raptownym ruchem zdarł z siebie spodnie i bieliznę. Chwycił się mocno. Za każdym razem, gdy na podłogę spadała garść jasnych włosów, jego dłoń wykonywała jeden ruch.

Jennie sprawnie manipulowała nożyczkami. Starła się być dokładna. Od czasu do czasu musiała przerywać, aby zaczerpnąć tchu i otrzeć łyzy.

Pell skupił na niej całą uwagę.

Oddychał coraz szybciej. Tnij, najdroższa. Tnij!

Raz czy dwa czuł, że jest bliski finału, ale zwolnił tempo i udało mu się zdążyć.

Był przecież mistrzem kontroli.

Malowniczy Szpital Monterey Bay jest położony przy krętym odcinku drogi numer 68 – trasy o zróżnicowanym charakterze, wkomponowanej w sieć autostrad, głównych dróg, a nawet wiejskich ulic, która biegła z Pacific Grove przez Monterey do Salinas. Sześćdziesiąta ósma jest aortą krainy

Johna Steinbecka.

Kathryn Dance dobrze знаła szpital. Urodziła tu swojego syna i córkę.

Trzymała za rękę ojca, kiedy leżał tu po zabiegu wszczepienia bypassów na oddziale kardiologicznym i czuwała przy agencie CBI, który walczył o życie po otrzymaniu trzech ran postrzałowych w pierś.

W kostnicy identyfikowała ciało męża.

Szpital był położony na sosnowych wzgórzach, sięgających aż do Pacific Grove. Niskie, rozproszone wśród ogrodów budynki otaczał las; pacjenci budzący się po operacjach często widzieli za oknami trzepoczące skrzydłami kolibry albo przyglądającego się im czujnie jelenia.

Z części oddziału intensywnej opieki medycznej, w której zajmowano się Juanem Millarem, nie roztaczał się jednak żaden widok. W wystroju sali brakowało elementów mających uprzyjemnić pacjentom pobyt w szpitalu – nie było tu nic poza niezbędnym sprzętem medycznym oraz plakatami rzeczowo informującymi o niezrozumiałych dla laików procedurach i ważnych numerach telefonów. Millar leżał w małym pomieszczeniu z przeszkloną ścianą, odizolowanym od reszty oddziału, by zminimalizować ryzyko infekcji.

Dance stanęła przed salą obok Michaela O’Neila. Jej ramię musnęło jego bark.

Miała ochotę wziąć go pod rękę. Nie zrobiła tego.

Patrzyła na poparzonego detektywa, przypominając sobie, jak nieśmiało uśmiechał się w gabinecie Sandy’ego Sandovala.

*Technicy z oślej ławki lubią swoje zabawki...*

– Mówił coś, odkąd tu jesteś? – zapytała.

– Nie. Cały czas jest nieprzytomny.

Widząc jego rany i bandaże, Dance uznała, że to lepiej dla niego. Znacznie lepiej.

Wrócili do poczekalni oddziału, gdzie siedziała rodzina Millara – rodzice, ciotka oraz dwóch wujów, o ile dobrze zapamiętała z prezentacji. Dance zapewniła przygnębionych krewnych o swoim szczerym współczuciu.

– Katie.

Odwróciwszy się, zobaczyła postawną kobietę o siwych, krótko obciętych włosach, w dużych okularach. Miała na sobie obszerną kolorową bluzkę z przypiętymi dwoma identyfikatorami: jeden z napisem „E. Dance, pielęgniarka dyplomowana”, a drugi z informacją, że jego właścicielka pracuje na oddziale kardiologicznym.

– Cześć, mammo.

O’Neil i Edie Dance uśmiechnęli się do siebie.

– Nic się nie zmieniło? – spytała ją Dance.

– Raczej nie.

– Mówił coś?

– Nic zrozumiałego. Rozmawiałaś z naszym specjalistą od oparzeń, doktorem Olsonem?

– Nie – odparła jej córka. – Dopiero przyjechałam. Jak to wygląda?

– Kilka razy się ocknął. Udało mu się nawet poruszyć, co mnie zdziwiło. Ale cały czas jest na morfinie i w ogóle nie kontaktował, kiedy pielęgniarka go o coś pytała. – Jej wzrok zatrzymał się na pacjencie w oszklonej sali. – Nie widziałam oficjalnego rokowania, ale nie będzie dobrze. Pod tymi bandażami nie ma prawie żadnej skóry. Nigdy nie widziałam takich poparzeń.

– Aż tak źle?

– Niestety. Co słyhać w sprawie Pella?

– Mamy mało tropów. Został w okolicy. Nie wiemy tylko po co.

– Nie chcesz odwołać dzisiejszego przyjęcia Stu? – zapytała Edie.

– Oczywiście, że nie. Dzieciaki nie mogą się doczekać. Być może wpadnę tylko na chwilę. Ale mimo wszystko nie chcę odwoływać przyjęcia.

– Przyjdiesz, Michael?

– Mam zamiar. To zależy.

– Rozumiem. Ale mam nadzieję, że wszystko się powiedzie.

Odezwał się jej pager i Edie Dance zerknęła na wyświetlacz.

– Muszę wracać na oddział. Jeżeli spotkam doktora Olsona, poproszę go, żeby tu wpadł i poinformował was o szczegółach.

Matka wyszła. Dance zerknęła na O'Neila, który skinął głową. Pokazał odznakę pielęgniarce OIOM-u. Pomogła im włożyć fartuchy i maski, po czym oboje weszli do salki. O'Neil stał, natomiast Dance przysunęła do łóżka krzesło.

– Juan, to ja, Kathryn. Słyszysz mnie? Jest tu też Michael.

– Cześć, partnerze.

– Juan?

Chociaż jego prawe oko, nieosłonięte opatrunkiem, nie otworzyło się, Dance odniosła wrażenie, że powieka lekko drgnęła.

– Słyszysz mnie?

Znów leciutkie drgnienie.

O'Neil powiedział cichym, uspokajającym tonem:

– Juan, wiem, że bardzo cię boli. Zrobimy wszystko, żebyś miał najlepszą opiekę w kraju.

– Chcemy dopaść tego drania – dodała Dance. – Został na półwyspie. Ciągłe tu jest.

Głowa Millara poruszyła się.

– Musimy wiedzieć, czy widziałeś albo słyszałeś coś, co może nam pomóc. Nie wiemy, co zamierza zrobić.

Znowu nieznaczny ruch głowy. Ledwie dostrzegalny, lecz Dance wyraźnie zauważyła, jak spowinięty w bandażu podbródek młodego człowieka lekko się poruszył.

– Widziałeś coś? Kiwnij głową, jeżeli coś widziałeś albo słyszałeś.

Tym razem nie zareagował.

– Juan – ciągnęła jeżeli wi...

– Hej! krzyknął od drzwi męski głos. – Co pani wyrabia, do cholery?

W pierwszej chwili pomyślała, że to lekarz i że matka będzie miała przez nią kłopoty, pozwalając jej tu wejść bez nadzoru personelu. Ale okazało się, że na progu stoi młody, barczysty Latynos w garniturze.

– Julio rzekł O'Neil.

Do sali wpadła pielęgniarza.

– Nie, nie, proszę zamknąć drzwi! Nie można tu wchodzić bez maski...

Uciszył ją ruchem ręki i ciągnął, zwracając się do Dance:

– Jest w takim stanie, a pani go przesłuchuje?!

– Jestem Kathryn Dance z CBI. Pański brat może wiedzieć coś ważnego o człowieku, przez którego się tu znalazł.

– Akurat dowiedzie się czegoś ważnego, jak przez was wykituje.

– Jeżeli w tej chwili nie zamknie pan drzwi, wezwę ochronę – warknęła pielęgniarka.

Julio nie dawał za wygraną. Dance i O’Neil wyszli na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Zdjęli fartuchy i maski. Brat od razu przystąpił do frontalnego ataku.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie potraficie nawet uszanować...

– Julio – odezwał się ojciec Millara, podchodząc do syna. Obok nie go stanęła żona, krępa kobieta o kruczoczarnych, potarganych włosach.

Julio nie zwracał uwagi na nikogo z wyjątkiem Dance.

– Tylko to panią obchodzi, tak? Żeby powiedział, co pani chce, a potem może umierać?

Zachowywała spokój, widząc, że młody człowiek nie panuje nad sobą. Nie wzięła sobie do serca jego gniewu.

– Bardzo nam zależy na złapaniu człowieka, który mu to zrobił.

– Synu, proszę cię! Przynosisz nam wstyd. – Matka położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wstyd – powtórzył kpiąco. Znów spojrzał na Dance. – Popytałem tu i tam.

Pogadałem z paroma osobami. Dobrze wiem, co się stało. To pani posłała go w ogień.

– Słucham?

– W sądzie wysłała go pani na dół, prosto w ogień.

Wyczuła, jak O’Neil sztywnieje, ale detektyw powstrzymał się od reakcji.

Wiedział, że Dance zawsze sama walczy o swoje. Nachyliła się w stronę Julia.

– Jest pan zdenerwowany, wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Może spróbujemy...

– Wybrała pani akurat Juana. Nie Mikeya. I żadnego ze swoich agentów. Pod ręką był Meksykaniec – no to go pani wysłała.

– Julio – powiedział surowym tonem ojciec. Nie mów tak.

– Chce się pani czegoś dowiedzieć o moim bracie? Hm? Wie pani, że chciał wstąpić do CBI? Ale go nie przyjęli. Dlatego, że jest, kim jest.

Nonsens. We wszystkich organach ścigania Kalifornii, włącznie z CBI, służyło wielu Latynosów. Jej przyjaciółka, Connie Ramirez z wydziału kryminalnego, miała więcej odznaczeń niż jakikolwiek agent w historii biura środkowozachodniego.

Ale przyczyną ataku złości Julia nie była oczywiście struktura etniczna agencji rządowych. Bał się o życie brata. Dance miała bogate doświadczenia z gniewem; podobnie jak zaprzeczenie i depresja, była to jedna z reakcji stresowych u przesłuchiwanym ukrywającym prawdę. Kiedy ktoś wpada we wściekłość, najlepiej spokojnie pozwolić mu się wyładować. Stan wzmożonej złości jest zwykle krótkotrwały.

– Nie nadawał się do pracy u was, ale nadawał się, żeby go posłać na śmierć w ogniu.

– Julio, proszę – błagała matka.

– Nie uciszaj mnie, mamó! Zawsze, kiedy tak mówisz, pozwalasz im dalej robić świństwa.

Po policzkach kobiety potoczyły się łzy, znacząc głębokie ślady w grubej warstwie pudru.

Młody człowiek odwrócił się do Dance.

– Posłała pani latynoskiego chłopaka, posłała pani brudasę.

– Dość – warknął ojciec, łapiąc syna za ramię.

Julio wyrwał się z uścisku.

– Zadzwoń do gazet. Zadzwoń do KHSP. Przyślą tu reportera i wszyscy się dowiedzą, co pani zrobiła. Powiem o tym we wszystkich wiadomościach.



– Julio... – zaczął O’Neil.

– Nie, lepiej się nie odzywaj, judaszu. Pracowałeś z nim. I pozwoliłeś jej poświęcić mojego brata. – Wyciągnął telefon. – Dzwonię. Macie przesrane.

– Mogę z panem porozmawiać? – spytała Dance. – W cztery oczy.

– Strach panią obleciał, co?

Agentka odeszła na bok.

Julio, gotów do walki, trzymając telefon jak nóż, podszedł bliżej, wkraczając w jej strefę osobistą.

Nie bała się go. Nie cofnęła się ani o centymetr, spoglądając mu prosto w oczy.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiego brata i wiem, jak bardzo to panem wstrząsnęło. Ale nie dam się zastraszyć.

Zaśmiał się gorzko.

– Jest pani...

– Proszę mnie posłuchać powiedziała spokojnie. – Nie wiemy dokładnie, jak to się stało, ale wiemy, że więzień rozbroił pańskiego brata. Juan miał go na muszce, a potem stracił kontrolę nad bronią i nad sytuacją.

– Chce pani powiedzieć, że to była jego wina? – Julio patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

– Tak. Właśnie to chcę powiedzieć. Nie moja ani Michaela. To wina pana brata.

Nie dlatego, że jest złym policjantem. Ale popełnił błąd. Je żeli chce pan zrobić szum wokół tej sprawy, prasa też się o tym dowie.

– Grozi mi pani?

– Mówię tylko, że nie pozwolę nikomu utrudniać śledztwa.

– Och, pani chyba sama nie wie, co robi. – Odwrócił się i popędził jak burza w głąb korytarza.

Dance patrzyła za nim, starając się uspokoić. Głęboko odetchnęła. Po chwili wróciła do pozostałych.

– Przepraszam panią – powiedział Millar, otaczając ramieniem żonę.

– Jest bardzo zdenerwowany – odrzekła Dance.

– Proszę nie zwracać uwagi na to, co mówi. Powie coś, a potem żałuje.

Dance nie sądziła, by młody człowiek pożałował choć jednego z wypowiedzianych słów. Ale wiedziała też, że nieprędko zacznie dzwonić do dziennikarzy.

Matka zwróciła się do O’Neila:

– Juan zawsze tak dobrze o panu mówi. Nie obwinia ani pana, ani nikogo innego. Wiem, że nie.

– Julio kocha brata. Bardzo się o niego martwi – zapewnił ich O’Neil.

Zjawił się doktor Olson. Drobny, opanowany mężczyzna nie miał żadnych nowych wiadomości dla rodziny Millara i dwojga funkcjonariuszy. Wciąż próbowali ustabilizować stan pacjenta. Gdy tylko uda się zażegnać niebezpieczeństwo wstrząsu i sepsy, zamierzali wysłać go do centrum leczenia oparzeń i rehabilitacji. Lekarz przyznał, że sytuacja jest poważna. Nie potrafił

jednoznacznie odpowiedzieć, czy Millar przeżyje, lecz zapewnił, że robią wszystko co w ich mocy.

– Mówił coś o ataku w sędzie? – spytał O’Neil.

Lekarz utkwiał nieruchomy wzrok w monitorze.

– Powiedział kilka słów, ale nic sensownego.

Rodzice nadal gorąco przepraszali za zachowanie młodszego syna. Dance przez kilka minut

dodawala im otuchy, po czym razem z O'Neilem pozegnali sie i ruszyli do wyjścia.

Detektyw podzwaniat kluczykami samochodowymi.

Ekspert w dziedzinie kinezyki wie, ze nikt nie potrafi ukryc silnych uczuc.

Karol Darwin napisal: „Tlumione emocje prawie zawsze uzewnetrzniaja sie w formie ruchu ciala”. Ich oznaka sa zwykle gesty dloni, palcow czy stop potrafiemy panowac nad slowami, spojrzzeniami i mimika, ale nad zachowaniem konczyn nasza swiadomosc ma znacznie mniejsza wladze.

Michael O'Neil bawil sie kluczykami, zupełnie nie zdajac sobie z tego sprawy.

– Opiekujaja sie nim najlepsi lekarze, jakich mozna znalezc w okolicy –

powiedziala. – Moja mama tez bedzie miala go na oku. Znasz ja. Jezeli uzna, ze potrzeba mu nadzwyczajnej pomocy, sila sprowadzi do niego szefa oddzialu.

Odpowiedzial jej stoicki usmiech. Michael O'Neil byl w tym mistrzem.

– Dzisiaj medycyna potrafi dzialac cuda – ciagnela. Nie miala pojecia, czego medycyna moze dokonac dla Millara. W ciagu kilku ostatnich lat Dance i O'Neil nieraz mieli powody, by sie wzajemnie pocieszac, glownie w sytuacjach zawodowych, a czasem osobistych, jak na przyklad smierc jej meza czy pogarszajacy sie stan umyslowy ojca O'Neila. Zadne z nich nie umialo zbyt dobrze wyrazac wspolczucia; wyglaszajac banały, mogliby nadwerzycz laczacą ich wiez.

Zwykle wystarczala po prostu wzajemna obecność.

– Miejmy nadzieje.

Gdy dochodzili do drzwi, zadzwonil do niej agent FBI Winston Kellogg ze swojej tymczasowej kwatery w CBI. Dance przystanela, a O'Neil poszedl na parking.

Poinformowala Kellogga o stanie Millara, natomiast od niego dowiedziala sie, ze agentom FBI nie udalo sie znalezc w Bakersfield zadnych swiadkow, ktorzy widzieliby kogos wlamujacego sie do szopy nalezajacej do ciotki Pella, by skraśc stamtad młotek. Federalni eksperci kryminalistyczni nie potrafili takze ustalic, kto kupil portfel z wytloczonymi inicjalami R. H., który znaleziono w studni.

– Aha, Kathryn, jezeli Linda Whitfield dostanie zgode z niebios, w Oakland czeka na nia zatankowany samolot. Jeszcze jedno. Co z trzecia kobieta?

– Samanthą McCoy?

– Tak. Dzwonilas do niej?

W tym momencie Dance przypadkiem spojrzala na parking. Zobaczyła, jak Michael O'Neil zatrzymuje sie i podchodzi do niego atrakcyjna blondynka. Kobieta usmiechnela sie do niego, objela go i pocałowala. O'Neil odwzajemnil pocałunek.

– Kathryn – odezwal sie w sluchawce Kellogg. – Jesteś tam?

– Slucham?

– Pytalem o Samanthę McCoy.

– Przepraszam. – Dance oderwala wzrok od O'Neila i blondynki.

Nie. Jade teraz do San Jose. Jezeli zadala sobie tyle trudu, zeby zmienic tozsamosc, chce sie z nia spotkac osobiście. Wydaje mi sie, ze sam telefon nie przekona jej do przyjazdu.

Rozlaczyła sie, podchodzjac do O'Neila i kobiety, która trzymal w objeciach.

– Kathryn.

– Anne, miło cie widziec – powiedziala Dance do zony detektywa. Wymienily usmiechy i informacje o dzieciach, po czym Anne ruchem glowy wskazala budynek szpitalny.

– Przyszlam zobaczyc Juana. Mike mowi, ze z nim niedobrze.

– To prawda. Bardzo źle. Jest nieprzytomny. Ale są tam jego rodzice. Na pewno się ucieszą z towarzystwa.

Annę miała przewieszony przez ramię niewielki aparat Leica. Dzięki fotografowi pejzażyście Anselowi Adamsowi i stworzonej przez niego Grupie f/64, północna i środkowa Kalifornia stała się jedną z największych mekk fotografików.

Annę prowadziła w Carmel galerię sprzedającą zdjęcia kolekcjonerskie;

„kolekcjonerskie”, czyli autorstwa nieżyjących już fotografów: Adamsa, Alfreda Stieglitza, Edwarda Westona, Imogen Cunningham, Henri Cartiera-Bressona. Annę współpracowała także z kilkoma gazetami, między innymi z dużymi dziennikami z San Jose i San Francisco.

– Michael mówił ci o dzisiejszym przyjęciu? – spytała Dance. – Mój ojciec świętuje urodziny.

– Mówił. Chyba uda się nam przyjść.

Annę jeszcze raz pocałowała męża i skierowała się do szpitala.

– Na razie, kochanie.

– Pa, skarbie.

Dance pożegnała oboje skinieniem głowy i wsiadła do samochodu, rzucając torebkę Coach na fotel pasażera. Zatrzymała się na stacji Shell, żeby zatankować i posilić się pączkiem z kawą, a następnie ruszyła autostradą numer jeden na północ, widząc przed sobą piękną panoramę zatoki Monterey. Minęła kampus uniwersytetu CSUMB znajdujący się w miejscu dawnego Fortu Ord (była to prawdopodobnie jedyna uczelnia w kraju, z której okien widać teren wojskowy naszpikowany niewypałami). Zauważyła duży banner zapowiadający jakąś ważną konferencję informatyczną, która miała się odbyć w weekend. Przypomniała sobie, że uniwersytet otrzymał w spadku po Williamie Croytonie większość należącego do niego sprzętu i oprogramowania. Jeśli informatycy wciąż prowadzili badania na podstawie jego prac sprzed ośmiu lat, Croyton musiał być prawdziwym geniuszem.

Programy, z których korzystali Wes i Maggie, traciły aktualność po roku, najwyżej dwóch latach. Ciekawe, ilu komputerowych wynalazków pozbawił świata Daniel Pell, mordując Williama Croytona.

Dance przerzuciła strony notesu, znalazła numer pracodawcy Samantha McCoy, zadzwoniła i poprosiła o połączenie z jej firmą, gotowa odłożyć słuchawkę, gdyby telefon odebrała Samantha. Usłyszała jednak od sekretarki, że pani Sarah Starkey pracuje dziś w domu. Dance rozłączyła się, po czym poleciała TJ-owi, aby przesłał jej SMS z serwisu Map-Quest z opisem trasy do domu Samantha.

Po kilku minutach, akurat w chwili, gdy włączyła odtwarzacz CD, odezwała się jej komórka. Dance zerknęła na wyświetlacz. Traf chciał, że gdy Fairfield Four zaczęli śpiewać przerwana wcześniej pieśń gospel, w słuchawce odezwał się głos Lindy Whitfield telefonującej z kościoła.

*Amazing grace, how sweet the sound...*

– Agentko Dance...

– Proszę mi mówić Kathryn.

*...that saved a wretch like me...*

– Chciałam tylko powiedzieć, że jeżeli jeszcze pani chce, przyjadę jutro rano, żeby pani pomóc.

– Tak, będę wdzięczna za pomoc. Zadzwoni do pani ktoś ode mnie i ustali szczegóły. Bardzo, bardzo pani dziękuję.

*.. I once was lost, but now I am found...*

Po chwili wahania Linda odrzekła oficjalnym tonem:

– Proszę bardzo.

To już dwie, pomyślała Dance. Ciekawe, czy zjazd rodzinny w końcu dojdzie do skutku.

## **Rozdział 23**

Siedząc przed otwartym oknem w motelu Sea View, Daniel Pell niewprawnie stukał w klawiaturę notebooka. Udało mu się skorzystać z komputerów w San Quentin i w Capitoli, ale nie miał czasu posiedzieć przy nich dłużej i poznać ich działania. Dziś cały rano spędził przed laptopem Jennie. Ogłoszenia, wiadomości, porno... zdumiewające.

Atrakcyjniejsza od seksu była jednak możliwość uzyskania informacji o ludziach. Ignorując sprostności, Pell zabrał się do pracy. Najpierw zapoznał się ze wszystkim, co dotyczyło Jennie – przeczytał przepisy kulinarne (tony przepisów), e-maile, zakładki stron internetowych, upewniając się, czy naprawdę jest osobą, za jaką się podawała (okazało się, że tak). Następnie zaczął szukać w sieci ludzi z przeszłości – zależało mu, by ich znaleźć – ale nie miał zbyt wiele szczęścia.

Spróbował wygrzebać coś z dokumentacji podatkowej, rejestrów aktów własności i urzędu stanu cywilnego, lecz przekonał się, że wszędzie trzeba mieć kartę kredytową. A karty kredytowe, podobnie jak telefony komórkowe, pozostawiają wyraźne ślady.

Nagle doznał olśnienia i przeszukał archiwa miejscowych gazet i stacji telewizyjnych. Okazały się znacznie przydatniejsze. Zanotował informacje, których było mnóstwo.

Na liście figurowało nazwisko Kathryn Dance.

Z satysfakcją obrysował je fantazyjną obwódką.

Nie dotarł do wszystkich potrzebnych faktów, ale to był dopiero początek.

Zawsze zwracając uwagę na otoczenie, zauważył czarną toyotę camry, która wjechała na parking i zatrzymała się przed oknem. Zaciśnął dłoń na pistolecie. Po chwili uśmiechnął się, widząc, jak samochód parkuje dokładnie siedem stanowisk dalej.

Wysiadła.

Grzeczna dziewczynka.

Trzymała się... Weszła do pokoju.

– Udało ci się, najdroższa. – Pell rzucił okiem na toyotę. – Ładny wóz.

Jennie szybko go pocałowała. Drżały jej ręce. I nie mogła opanować podniecenia.

– Poszło cudownie! Naprawdę, ukochany. Z początku trochę panikowałam i myślałam, że nic z tego nie będzie. Nie spodobał mu się nu mer z tablicami rejestracyjnymi, ale zrobiłam wszystko tak, jak kazałeś i w końcu się zgodził.

– Brawo, najdroższa.

Za swoje pieniądze – Jennie podjęła z banku dziewięć tysięcy dwieście dolarów, żeby sfinansować ucieczkę i zapewnić im utrzymanie – kupiła samochód od człowieka mieszkającego w Marina. Zarejestrowanie wozu na jej prawdziwe nazwisko wiązałoby się z dużym ryzykiem, więc przekonała właściciela, żeby zostawił na aucie swoje numery. Poczęstowała go bajeczką, że jej samochód zepsuł

się w Modesto i za dzień czy dwa odzyska swoje tablice, a wtedy zamieni je i odeśle mu jego tablice pocztą. Było to nielegalne i naprawdę głupie. Sprzedawca na pewno nie zrobiłby tego dla żadnego mężczyzny, nawet gdyby ten płacił

gotówką. Ale Pell powierzył to zadanie Jennie – dziewczynie w opiętych dżinsach i niedopiętej bluzce, z za której wyzierał czerwony biustonosz. (Gdyby samochód sprzedawała kobieta, Pell kazałby Jennie ubrać się byle jak, zmyć makijaż, przypiąć różową wstążeczkę symbolizującą walkę z

rakiem piersi i opowiedzieć o czwórce dzieci oraz mężu, który zginął na froncie. Zdążył się już przekonać, że nigdy nie należy przesadzać).

– Ładny. Mogę dostać kluczyki? – Podała mu.

– A tu masz to, co chciałeś. – Postawiła na łóżku dwie torby z zakupami. Pell zajrzał do nich i z aprobatą pokiwał głową.

Jennie wyjęła z lodówki gazowany napój.

– Kochanie, mogę cię o coś spytać?

Znów odezwała się w nim naturalna niechęć do udzielania odpowiedzi – przynajmniej szczerych. Mimo to uśmiechnął się do niej.

– Pytaj o wszystko.

– W nocy mówiłeś coś przez sen. O Bogu.

– O Bogu. Co powiedziałem?

– Nie zrozumiałam. Ale na pewno usłyszałam „Boże”.

Pell wolno odwrócił głowę w jej stronę. Zauważył, że serce zaczęło mu bić szybciej. I że lekko przytupuje. Opanował ten odruch.

– Naprawdę napędziłeś mi stracha. Chciałam cię obudzić, ale tak nie można.

Gdzieś o tym czytałam. W „Reader’s Digest” albo w „Health”, nie wiem. Kiedy ktoś ma zły sen, nie wolno go budzić. I powiedziałaś jeszcze „kurwa”.

– Tak powiedziałem?

Jennie przytaknęła.

– Dziwne. Bo nigdy nie przeklinasz.

Rzeczywiście. Ludzie używający wulgarnego języka mają znacznie mniej władzy od ludzi unikających przekleństw.

– Co ci się śniło? – zapytała.

– Nie pamiętam.

– Ciekawe, czemu śnił ci się Bóg.

Przez chwilę miał ochotę opowiedzieć jej o ojcu. Zaraz się jednak opamiętał: cholera, co ci przychodzi do głowy?

– Nie mam pojęcia.

– Ja tak jakby interesuję się religią – powiedziała niepewnie. – Trochę. Bardziej duchowością niż Jezusem, wiesz?

– Jeżeli chodzi o Jezusa, nie wierzę, żeby był Synem Bożym i tak da lej, ale powiem ci, że Go szanuję. Każdego umiał nakłonić, żeby robił to, czego od niego chciał. Nawet teraz, wystarczy wspomnieć Jego imię, a ludzie od razu są wniebowzięci. To się nazywa władza. Ale każda religia, ta zorganizowana, każe ci rezygnować ze zbyt wielu rzeczy. Nie możesz myśleć jak chcesz. Religia ma nad tobą kontrolę.

Pell spojrzał na jej bluzkę i stanik. Balon znów zaczął pęcznieć, rozsadzając od środka jego brzuch.

Próbując nie zwracać na to uwagi, wrócił do notatek z internetowych poszukiwań i studiowania mapy. Jennie wyraźnie chciała zapytać, co robi, ale się nie odważyła. Miała nadzieję, że szuka tras wyjazdowych z miasta, dróg, które wreszcie zaprowadzą ich do okręgu Orange.

– Mam kilka spraw do załatwienia, skarbie. Będziesz musiała mnie podwieźć.

– Jasne, powiedz tylko kiedy.

Uważnie oglądał mapę, a gdy uniósł głowę, Jennie nie było.

Wróciła po chwili, niosąc kilka rzeczy wyciągniętych ze stojącej w szafie torby.

Rozłożyła je przed nim na łóżku i uklękła na podłodze. Wyglądała jak piesek, który przyniósł panu piłeczkę, gotów do zabawy.

Pell zawahał się. Ale uznał, że od czasu do czasu można na moment zrezygnować z kontroli, zależnie od okoliczności.

Wyciągnął rękę, lecz Jennie sama położyła się na brzuchu.

Z Monterey do San Jose prowadzą dwie drogi. Można pojechać biegnącą wzdłuż wybrzeża autostradą numer 1, przez Santa Cruz, potem skręcić na wywołującą zawroty głowy siedemnastkę, minąć pretensjonalne Los Gatos, gdzie sprzedaje się rękodzieła, kryształy, kadzidelka i tęczoowo farbowane sukienki w stylu Janis Joplin (zgoda, buty Roberta Cavalliego i Dolce & Gabbana też).

Można też po prostu pojechać na skróty autostradą 156 do sto pierwszej i jeżeli ma się wóz na służbowych tablicach, wcisnąć gaz do dechy i dotrzeć do San Jose w ciągu godziny.

Kathryn Dance wybrała drugą możliwość.

Skończyły się pieśni gospel i słuchała teraz muzyki latynoskiej – meksykańskiej piosenkarki Juliety Venegas. Z głośników płynęła jej pełna smutku interpretacja „Verdad”.

Z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę taurus przemknął przez Gilroy, światową stolicę czosnku. Stąd niedaleko było do Castroville (stolicy karczochów) oraz rozległych pól krzewów owocowych i upraw grzybów w Watsonville. Dance lubiła te miasta i nie znosiła krytyków wyśmiewających się z koronowania królowej karczochów czy ludzi stojących w kolejkach do otwartych zbiorników na dorocznym festiwalu kalmarów w Monterey. W końcu te same przemądrzałe mieszczychy wydawały nieprzyzwoicie duże sumy na importowaną oliwę z oliwek i ocet balsamiczny, żeby upitrasić te same karczochy i krążki kalmarów.

Miasteczka miały urok swojskiej prostoty i bogatą historię. Stanowiły także jej rewir jako część środkowozachodniego regionu CBI.

Zobaczyła tablicę zachęcającą turystów do odwiedzenia winnicy w Morgan Hill i coś przyszło jej na myśl.

Zadzwoiła do Michaela O’Neila.

– Cześć – powitał ją.

– Zastanawiałam się nad tym kwasem znalezionym w thunderbirdzie w Moss Landing. Wiesz już coś?

– Technicy Petera pracują nad tym, ale nie mają jeszcze nic konkretnego.

– Ilu ludzi przeszukuje sady i winnice?

– Około piętnastu ze stanowej, pięciu od nas, parę osób z Salinas. Niczego nie znaleźli.

– Mam pomysł. Co to dokładnie za kwas?

– Zaczekaj.

Spoglądając to na drogę, to na leżący na kolanach notatnik, zapisała niezrozumiałe nazwy, które jej podyktował.

– Czyżby kinezyka już ci nie wystarczała? Chcesz też opanować kryminalistykę?

– Mądra kobieta zna swoje słabe strony. Niedługo się odezwę.

Dance wcisnęła przycisk szybkiego wybierania numeru i usłyszała sygnał

telefonu dzwoniącego w odległości trzech tysięcy kilometrów. Po chwili rozległ się trzask.

– Amelia Sachs.

Cześć, tu Kathryn.

– Co u ciebie?

– Bywało lepiej.

– Wyobrażam sobie. Jesteśmy na bieżąco z twoją sprawą. Jak się czuje ten funkcjonariusz? Ten poparzony?

Dance zdziwiła się, że Lincoln Rhyme, znany kryminalistyk z Nowego Jorku, i Amelia Sachs, jego partnerka i detektyw nowojorskiego departamentu policji, śledzą przebieg pościgu za Pellem.

– Niestety, niedobrze.

– Rozmawialiśmy o Pellu. Lincoln pamięta jego sprawę. Z dziewięć dziesiątego dziewiątego. Kiedy wymordował tę rodzinę. Robicie jakieś postępy?

– Marne. Jest inteligentny. Zbyt inteligentny.

– Zorientowaliśmy się z wiadomości. Jak dzieci?

– Dobrze. Ciągłe czekamy na wasze odwiedziny. Moi rodzice też. Chcą poznać was oboje.

Sachs parsknęła śmiechem.

– Postaram się go przywieźć. A to niełatwe zadanie.

Lincoln Rhyme nie lubił podróżować. Nie z powodu kłopotów związanych z niepełnosprawnością (był tetraplegikiem). Po prostu nie lubił nigdzie jeździć.

Dance poznała Rhyme'a i Sachs przed rokiem, gdy prowadziła kurs w Nowym Jorku i na ich prośbę pomogła im w śledztwie. Odtąd byli w kontakcie. Szczególnie mocna więź połączyła ją z Sachs. Kobiety pełniące trudną służbę w policji często stawały się sobie bliskie.

– Masz jakieś informacje o naszym drugim znajomym? – zapytała Sachs.

Miała na myśli przestępcę, którego ścigali razem w Nowym Jorku. Zdołał im się wymknąć i zniknął, prawdopodobnie uciekając do Kalifornii. Dance otworzyła sprawę w CBI, ale trop się urwał i możliwe, że przestępcy nie było już w kraju.

– Niestety nie. Nasze biuro w Los Angeles ciągle próbuje coś zna leźć. Ale dzwonię w innej sprawie. Lincoln jest wolny?

– Zaczekaj chwileczkę. Jest tu obok.

Usłyszała trzask, a potem w słuchawce odezwał się głos Rhyme'a. Kathryn.

Rhyme nie był człowiekiem skłonny do pogaduszek, ale rozmawiał z nią przez kilka minut – oczywiście nie o dzieciach ani o jej życiu osobistym.

Interesowały go sprawy, nad którymi pracowała. Rhyme był naukowcem i nie miał cierpliwości do, jak to określał, „ludzkiej” strony policyjnej roboty. Mimo to podczas ich współpracy zaczął rozumieć i doceniać wartość kinezyki (choć zaraz zaznaczał, że opiera się ona na metodologii naukowej, a nie na, pożałujcie Boże, przecuciach).

– Szkoda, że cię tu nie ma – rzekł. – Mam świadka w sprawie wielokrotnego morderstwa i marzę, żebyś go wzięła w obroty. Mogłabyś na wet użyć gumowego węża.

Wyobraziła go sobie siedzącego na czerwonym wózku z elektrycznym napędem, wpatzonego w płaski ekran podłączony do mikroskopu albo komputera.

Uwielbiał dowody rzeczowe, tak jak ona uwielbiała przesłuchania.

– Też żałuję. Ale mam pełne ręce roboty.

– Podobno. Kogo tam macie w laboratorium?

– Petera Benningtona.

– Ach, jasne, znam go. Zaczynał w Los Angeles. Był na moim seminarium.

Dobry fachowiec.

– Mam pytanie dotyczące Pella.

– Nie ma sprawy. Słucham.

– Jest dowód, który może nas doprowadzić do jego kryjówki albo powiedzieć coś o jego planach – być może Pell chce zatruć jedzenie. Ale sprawdzenie jednego i drugiego wymaga wysłania sporych sił. Muszę wiedzieć, czy jest sens angażować tylu ludzi. Powinniśmy wykorzystać ich gdzie indziej.

– Co to za dowód?

– Postaram się wyraźnie przeczytać. – Przenosząc wzrok z drogi na notatki, wyrecytowała: – Kwas karboksylowy, etanol, kwas jabłkowy, aminokwas i glukoza.

– Daj mi chwilę.

Usłyszała, jak rozmawia z Amelią Sachs, która zapewne zaczęła szukać odpowiedzi w jednej z prywatnych baz danych Rhyme'a. Wszystko świetnie słyszała; w przeciwieństwie do innych



rozmówców, kryminalistyk nie mógł ręką przesłaniać słuchawki, mówiąc do kogoś innego.

– Zaczekaj, właśnie przeglądam listę...

– Możesz do mnie oddzwonić – powiedziała Dance. Nie spodziewała się uzyskać natychmiastowej odpowiedzi.

– Nie... jeszcze momencik.. Gdzie znaleziono tę substancję?

– Na podłodze samochodu Pella.

– Hm, w samochodzie. – Na chwilę zapadła cisza. Potem Rhyme zaczął mrużyć coś pod nosem. Wreszcie spytał: – Czy Pell przypadkiem nie był przedtem w rybnej restauracji? Albo w brytyjskim pubie?

Zaśmiała się głośno.

– Zgadza się, w rybnej. Jak na to wpadłeś?

– Ten kwas to ocet – ściśle mówiąc, ocet słodowy, bo aminokwas i glukoza wskazują na obecność karmelowego barwnika. Według moich danych jest powszechnie używany w kuchni brytyjskiej, w daniach podawanych w pubach i potrawach z owoców morza. Pamiętasz Thoma? To on mi pomógł w szczegółach.

– Oczywiście, że pamiętam. Pozdrów go ode mnie. – Opiekun Rhyme’a był wyśmienitym kucharzem. W grudniu zeszłego roku poczęstował ją najlepszą wołowiną *bourguignon*, jaką w życiu jadła.

– Przykro mi, że ślad nie zaprowadzi cię do jego drzwi – dodał kryminalistyk.

– Nie, to świetnie, Lincoln. Będę mogła zdjąć ludzi z terenów, które właśnie przeszukują. I wysłać ich tam, gdzie są bardziej potrzebni.

– Dzwoni, kiedy tylko zechcesz. Chciałbym przyłożyć rękę do złapania tego gagatka.

Pożegnali się.

Następnie Dance zadzwoniła do O’Neila, aby mu powiedzieć, że kwas przypuszczalnie pochodził z restauracji „Jack’s Seafood” i nie doprowadzi ich do Pella ani nie pomoże odkryć jego planów. Funkcjonariuszy prawdopodobnie lepiej wysłać na poszukiwanie zbiega.

Rozłączyła się i dalej jechała na północ znajomą autostradą, którą dotarłaby do San Francisco, gdzie osmiopasmowa droga 101 wtapiała się w ulicę miasta, Van Ness. Lecz będąc sto dwadzieścia kilometrów od Monterey, Dance skręciła na zachód i wkrótce znalazła się na przedmieściach rozległego San Jose, miasta, które w starej piosence Burta Bacharacha i Hala Davida „Do You Know the Way to San Jose?” stanowiło zupełne przeciwieństwo narcystycznego Los Angeles. A dziś, oczywiście dzięki Dolinie Krzemowej, San Jose zdążyło nabrać przekonania o własnej wielkości.

Kierując się wskazówkami z MapQuest, pokonała labirynt dzielnic mieszkaniowych i dotarła do osiedla prawie identycznych domów; jeżeli symetrycznie rozmieszczone drzewa znalazły się tu jako sadzonki, Dance oceniła wiek osiedla na około dwadzieścia pięć lat. Domy były skromne, nijakie, małe –

mimo to każdy był wart grubo ponad milion dolarów.

Odnalazła poszukiwany budynek i minęła go, parkując po drugiej stronie ulicy, przecnicę dalej. Pieszko wróciła pod dom, gdzie na podjeździe stały czerwony jeep i granatowa acura, a na trawniku plastikowy trójkołowy rowerek. Zobaczyła, że w środku palą się światła. Podeszła do drzwi ocienionych werandą. Wcisnęła guzik dzwonka. Przygotowała sobie zmyślony powód wizyty na wypadek, gdyby otworzył jej mąż lub dzieci Samantha McCoy. Wydało się mało prawdopodobne, żeby kobieta nie wyjawiała mężowi prawdy o swojej przeszłości, ale lepiej przyjąć założenie, że nic

nie wiedział. Dance potrzebowała jej pomocy i nie chciała jej do siebie zrażać.

Otworzyły się drzwi, za którymi zobaczyła szczupłą kobietę o wąskiej, ładnej twarzy, przypominającą aktorkę Cate Blanchett. Nosiła modne okulary w niebieskich oprawkach i miała ciemne kręcone włosy. Wychyliła się przez szparę w drzwiach, kościstą ręką trzymając się framugi.

– Tak?

– Pani Starkey?

– Zgadza się. – W jej twarzy trudno było rozpoznać rysy Samantha McCoy sprzed ośmiu lat; kobieta przeszła poważną operację plastyczną. Ale jej oczy nie pozostawiały wątpliwości, kim jest. Nie zdradził tego ich wygląd, lecz błysk szoku i przerażenia.

Agentka powiedziała cicho:

– Jestem Kathryn Dance, Biuro Śledcze Kalifornii. – Kobieta zerknęła na dyskretnie pokazaną legitymację, ale tak szybko, że na pewno nie zdołała odczytać ani słowa.

Z głębi domu zawołał męski głos:

– Kto to, kochanie?

Patrząc jej prosto w oczy, Samantha McCoy odpowiedziała:

– Ta kobieta z naszej ulicy, którą poznałam w Safewayu. Opowiadałam ci.

W ten sposób Dance uzyskała odpowiedź na pytanie, czy jej przeszłość jest dla innych tajemnicą. Niezłe, pomyślała. Wprawni kłamcy zawsze mają gotowe odpowiedzi i znają osobę, którą okłamują. Reakcja Samantha powiedziała jej, że mąż nie pamięta przypadkowych rozmów oraz że Samantha dokładnie zaplanowała i przećwiczyła każdą sytuację, w jakiej będzie zmuszona kłamać.

Kobieta wyszła z domu, zamykając za sobą drzwi, po czym obie ruszyły w kierunku ulicy. Widząc ją nieosłoniętą siatkowymi drzwiami, Dance zobaczyła, jak mizernie wygląda Samantha McCoy. Zaczerwienione, podkrążone oczy, sucha skóra na twarzy, spękane usta. Miała złamany paznokieć. Wyglądała, jakby spędziła bezsenność. Dance zrozumiała, dlaczego dziś „pracowała w domu”.

Kobieta zerknęła na dom, po czym odwróciła się do Dance i patrząc na nią błagalnie, szepnęła:

– Nie miałam z tym nic wspólnego, przysięgam. Słyszałam, że ktoś mu pomaga, jakaś kobieta. Widziałam w wiadomościach, ale...

– Nie, nie, nie po to przyjechałam. Sprawdziłam panią. Pracuje pani w wydawnictwie na Figueroa. Wczoraj spędziła tam pani cały dzień.

Popłoch.

– Czy...

– Nikt nie wie. Zadzwoiłam w sprawie dostarczenia zamówionego towaru.

– Ach... Toni mówiła, że ktoś próbował mi coś doręczyć i o mnie pytał. A więc to pani. – Potarła twarz i skrzyżowała ramiona. Gesty negacji. Była kłębkim nerwów.

– To pani mąż? – spytała Dance.

Przytaknęła.

– Nie wie?

– Nawet nie podejrzewa.

Nie do wiary, pomyślała Dance.

– Czy ktokolwiek wie?

– Kilku urzędników w sądzie, gdzie zmieniałam nazwisko. Mój kurator.

– A przyjaciele i rodzina?

– Moja matka nie żyje. Ojca zupełnie nie obchodzę. Zanim poznałam Pella, nie mogliśmy znaleźć

wspólnego języka. Po morderstwie Croytonów przestali do mnie oddzwaniać. A dawni przyjaciele? Niektórzy przez jakiś czas utrzymywali ze mną kontakt, ale zadawać się z kimś takim jak Daniel Pell? Powiedzmy, że znaleźli sobie wymówki, żeby jak najszybciej zniknąć z mojego życia. Wszystkich swoich obecnych znajomych poznałam jako Sarah. – Znów odwróciła się w stronę domu, a potem z niepokojem spojrzała na Dance. – Czego pani ode mnie chce? – Pytanie zadała szeptem.

– Na pewno ogląda pani wiadomości. Nie znaleźliśmy jeszcze Pella. Ale nie opuścił okolic Monterey. I nie wiemy dlaczego. Rebecca i Linda przyjadą nam pomóc.

– Przyjadą? – Wyglądała na zdumioną.

– Chciałabym, żeby pani też przyjechała.

– Ja? – Zadrżały jej usta. – Nie, nie, nie mogę. Proszę... – Głos zaczął się jej załamywać.

Dance zauważyła początki hysterii. Zapewniła ją pospiesznie:

– Proszę się nie bać. Nie zamierzam rujnować pani życia. Nie zamierzam nikomu o pani mówić.

Proszę tylko o pomoc. Nie potrafimy zrozumieć, o co mu chodzi. Być może wie pani coś...

– Niczego nie wiem. Naprawdę. Daniel Pell nie jest żadnym mężem, bratem ani przyjacielem. To potwór. Wykorzystał nas. To wszystko. Mieszkałam z nim przez dwa lata i nie umiem powiedzieć nic o tym, co się działo w jego głowie. Musi mi pani uwierzyć. Przysięgam.

Klasyczne sygnały zaprzeczenia świadczące nie o fałszu, ale stresie z przeszłości, z którym nie mogła sobie poradzić.

– Będzie pani doskonale chroniona, jeżeli o to...

– Nie. Przykro mi. Chciałabym pomóc. Musi pani zrozumieć. Zbudowałam sobie nowe życie. Ale kosztowało mnie to mnóstwo pracy i jest takie kruche.

Wystarczyło spojrzeć na jej twarz, przerażone oczy i drżące wargi, by wiedzieć, że kobieta nigdy się nie zgodzi.

– Rozumiem.

– Przykro mi. Po prostu nie mogę.

Samantha odwróciła się i podeszła do domu. W drzwiach obejrzała się i nagle rozpromieniła w uśmiechu.

Czyżby zmieniła zdanie? W Dance wstąpiła nowa nadzieja. Kobieta pomachała do niej.

– Do zobaczenia! – zawołała. – Miło było znów panią widzieć.

Samantha McCoy i jej kłamstwo zniknęły za drzwiami domu.

## **Rozdział 24**

Słyszałeś o tym? – zapytała Susan Pemberton Cesara Gutierrez siedzącego naprzeciw niej w hotelowym barze. Słodząc kawę latte, wskazała na telewizor, gdzie pod sylwetką spikera czytającego wiadomości wyświetlano miejscowy numer telefonu. *Gorąca linia w sprawie zbiega.*

– Nie powinno być „linia specjalna”? – spytał z powątpiewaniem Gutierrez.

Susan spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie mam pojęcia.

Biznesmen ciągnął:

– Nie chcę tego broń Boże lekceważyć. To straszne. Podobno za bił dwie osoby. – Przystojny Latynos wsypał do cappuccino odrobinę cynamonu, brudząc sobie przyprawą spodnie. – No nie, popatrz tylko. Ależ ze mnie niezdara. –

Roześmiał się. – Nie można mnie nigdzie zabrać.

Potał plamę, co tylko pogorszyło sprawę.

– Trudno.

Było to spotkanie w interesach – Susan jako przedstawicielka firmy zajmującej się organizacją imprez miała urządzić przyjęcie z okazji rocznicy ślubu jego rodziców – ale ponieważ trzydziestodziewięcioletnia kobieta była obecnie samotna, mimowolnie otaksowała Gutierrezza z osobistego punktu widzenia, zauważając, że jest tylko kilka lat starszy od niej i nie nosi obrączki.

Najpierw omówili szczegóły przyjęcia – drinki na koszt własny, menu złożone z kurczaka i ryby, otwarcie wina, piętnaście minut na odnowienie przysięgi małżeńskiej, a potem tańce przy muzyce serwowanej przez DJ-a.

Teraz gawędzili przy kawie przed jej powrotem do biura, gdzie miała przygotować kosztorys imprezy.

– Może już go złapali. – Gutierrez wyjrzał na zewnątrz, marszcząc brwi.

– Coś nie tak? – spytała Susan.

– Wiem, że to zabawne. Ale kiedy tu wchodziłem, widziałem, jak przed hotelem zatrzymał się jakiś samochód. I wysiadł z niego ktoś trochę podobny do Pella. – Pokazał na telewizor.

– Do kogo? Do mordercy?

Skinął głową.

– A za kierownicą siedziała kobieta.

Spiker właśnie powtórzył, że zbiegowi pomaga młoda kobieta.

– Dokąd poszedł?

– Nie zwróciłem uwagi. Chyba w stronę podziemnego parkingu, obok banku.

Spojrzała w tę stronę. Biznesmen nagle się uśmiechnął.

– Ale to przecież szaleństwo. Niemożliwe, żeby tu był. – Ruchem głowy wskazał jakieś miejsce za bankiem. – Co to za banner? Widziałem go już wcześniej.

– Ach, koncert w piątek. W ramach festiwalu Johna Steinbecka. Czytałeś jego książki?

– Oczywiście – odparł biznesmen. – „Na wschód od Edenu”. „Długa dolina”.

Byłaś kiedyś w King City? Cudowne miejsce. Dziadek Steinbecka miał tam ranczo.

Nabożnym gestem położyła dłoń na piersi.

– „Grona gniewu”... najlepsza powieść wszech czasów.

– I w piątek jest koncert? Jaki?

– Jazzowy. Wiesz, w związku z Monterey Jazz Festival. Moim ulubionym.

– Ja też uwielbiam jazz – orzekł Gutierrez. – Kiedy tylko mogę, przyjeżdżam na festiwal.

– Naprawdę? – Susan powstrzymała chęć, by dotknąć jego ramienia.

– Może spotkamy się na następnym.

– Czasem się martwię... Chciałabym, żeby więcej ludzi słuchało takiej muzyki.

Prawdziwej. Dzieciaki chyba w ogóle się nią nie interesują.

– Wypijmy za to. – Gutierrez stuknął swoim cappuccino w jej filiżankę. – Moja była żona... pozwala naszemu synowi słuchać rapu. Słyszałaś kiedyś te ich teksty?

Obrzydlistwo. A chłopak ma dopiero dwa naście lat.

– To w ogóle nie jest muzyka – orzekła Susan, myśląc: a więc ma być żoną.

Świetnie. Przyrzekła sobie nie spotykać się nigdy więcej z kimś, kto przekroczył czterdziestkę, a nie był wcześniej żonaty.

Po chwili wahania Gutierrez spytał:

– Nie zamierzasz tam przypadkiem iść? Na koncert w piątek?

– Tak, zamierzam.

– Właściwie nie wiem, jaką masz sytuację, ale gdybyś szła, może się podłączyć?

– Och, Cesar, byłoby przyjemnie.

Podłączę...

Dziś było to równoznaczne z oficjalnym zaproszeniem.

Gutierrez przeciągnął się i oświadczył, że chce ruszać w drogę. Dodał, że miło mu było ją poznać i bez wahania podał jej świętą trójcę telefonów: numer do pracy, do domu i numer komórki. Wziął aktówkę i razem ruszyli do wyjścia. Zauważyła jednak, że Gutierrez przystaje i zza okularów w ciemnych oprawkach podejrzliwie rozgląda się po holu. Znow zmarszczył brwi.

– Coś nie tak?

– To chyba on – szepnął. – Ten, którego widziałem wcześniej. Tam, widzisz?

Był tu, w hotelu. Patrzy w naszą stronę.

W holu stało mnóstwo tropikalnych roślin. Susan mignęła jakąś postacią, która odwróciła się i szybko wyszła z budynku.

– Daniel Pell?

– Niemożliwe. To głupie... Jakaś siła sugestii czy coś takiego.

Podeszli do drzwi i zatrzymali się. Gutierrez wyjrzał na zewnątrz.

– Zniknął.

– Myślisz, że powinniśmy powiedzieć w recepcji?

– Raczej zadzwonię na policję. Pewnie się mylę, ale co mi szkodzi? –

Wyciągnął komórkę i wstukał numer 911. Po krótkiej rozmowie rozłączył się. –

Powiedzieli, że przyślą kogoś, żeby to sprawdzić. Nie słyszałem entuzjazmu.

Oczywiście mają setkę takich telefonów na godzinę. Jeżeli chcesz, odprowadzę cię do biura.

– Nie mam nic przeciwko temu. – Nie obawiała się spotkania ze zbiegłym więźniem, po prostu miała ochotę trochę dłużej pobyc z Gutierrezem.

Szli główną ulicą centrum, Alvarado. Dziś, opanowana przez restauracje, sklepy dla turystów i kafejki, wyglądała zupełnie inaczej niż przed stu laty, gdy w czasach Dzikiego Zachodu żołnierze i robotnicy z Cannery Row pili tu, włóczyli się po burdelach i od czasu do czasu strzelali.

W drodze do samochodu Gutierrez i Susan rozmawiali przyciszonymi głosami, rozglądając się wokół siebie. Susan zauważyła, że ulice są dziwnie puste. Czyżby przez komunikaty o zbiegu? Zaczynała się niepokoić.

Jej biuro znajdowało się obok placu budowy, przecnicę od Alvarado. Piętrzyły się tu sterty materiałów budowlanych; Susan pomyślała, że gdyby Pell tędy przechodził, mógł się za nimi ukryć. Zwolniła.

– To twój samochód? – spytał Gutierrez.

Skinęła głową.

– Coś nie tak?

Susan skrzywiła się, pokrywając zmieszanie śmiechem. Wyznała mu, że boi się Pella, który może się czaić na budowie. Uśmiechnął się.

– Nawet gdyby tam był, nie zaatakuje dwóch osób. Chodź.

– Zaczekaj, Cesar – powiedziała, sięgając do torebki. Podała mu nie wielki czerwony cylinder. – Proszę.

– Co to jest?

– Gaz pieprzowy. Na wszelki wypadek.

– Nic nam nie grozi. Jak to działa? – Zaśmiał się. – Nie chcę sobie prysnąć w twarz.

– Trzeba po prostu wycelować i nacisnąć tutaj. Działa od razu.

Zanim dotarli do samochodu, Susan czuła się coraz bardziej głupio.

Przecież za stertą cegieł nie czyha na nią żaden oszalały morderca. Obawiała się, czy przez swoją strachliwość nie straciła kilku punktów w rozgrywce wstępnej przed randką. Sądziła, że nie. Gutierrezowi spodobała się rola szarmanckiego dżentelmena. Otworzyła drzwi.

– Chyba już mogę ci to zwrócić – rzekł, podając jej gaz.

Wyciągnęła rękę.

Nagle Gutierrez rzucił się na nią, chwycił ją za włosy i brutalnie szarpnął jej głowę do tyłu. Wepchnął dyszę pojemnika do jej ust, rozchylnych w stłumionym krzyku.

I nacisnął pompkę.

Chyba najszybszym sposobem zdobycia nad kimś kontroli jest zadanie mu cierpienia, pomyślał Daniel Pell.

Wciąż w przebraniu latynoskiego biznesmena, które świetnie spełniło zadanie, jechał samochodem Susan Pemberton w stronę odludzia niedaleko oceanu, na południe od Carmel.

Cierpienie... Trzeba zadać dotkliwy ból, dać trochę czasu na ochłonięcie, a potem zagrozić jeszcze większym bólem. Eksperci twierdzą, że tortury są nieskuteczne. Mylą się. Tortury nie są eleganckie. I nie są estetyczne. Ale naprawdę działają.

Rozpyłał gaz w usta i nos Susan Pemberton zaledwie przez sekundę, ale po jej zduszonym jęku i spazmatycznych ruchach kończyn poznał, że ból musi być nie do zniesienia. Pozwolił jej ochłonać. Potrząsnął miotaczem przed jej przerażonymi, załamionymi oczami. I natychmiast otrzymał od niej dokładnie to, czego chciał.

Oczywiście nie zaplanował manewru ze sprayem; miał w aktówce taśmę izolacyjną i nóż. Lecz postanowił zmienić plany, gdy kobieta, ku jego rozbawieniu, sama podała mu pojemnik z gazem – ściśle rzecz biorąc, jego alter ego, Cesarowi Gutierrezowi.

Daniel Pell miał do załatwienia kilka spraw w publicznych miejscach, a ponieważ w telewizji co pół godziny pokazywano jego zdjęcie, musiał się przedzierać w kogoś innego. Gdy Jennie Marston przyprowadziła toyotę od naiwniaka, któremu podobały się damskie dekolty, po drodze kupiła barwnik do tkanin i krem samoopalający. Pell sporządził z tego miksturę i dodał do kąpieli, aby przyciemnić sobie skórę. Ufarbował włosy i brwi na czarno, a za pomocą ścinków włosów i kleju Skin-Bond spreparował sobie całkiem realistyczne wąsy. Nie mógł

nic zrobić z oczami. Nie wiedział, gdzie może znaleźć szkła kontaktowe zmieniające błękit w brąz, jeśli w ogóle takie były. Ale uznał, że tanie okulary do czytania z przydymionymi szklami powinny odwrócić uwagę od błękitu jego źrenic.

Wcześniej Pell zadzwonił do Brock Company i rozmawiał z Susan Pemberton, która zgodziła się spotkać z nim w sprawie organizacji przyjęcia rocznicowego.

Ubrał się w tani garnitur kupiony przez Jennie w Mervyns i ruszył na spotkanie w

„Doubletree”, gdzie przystąpił do pracy, w której Daniel Pell był mistrzem.

Och, jakież to było przyjemne! Bawiąc się Susan jak marionetką, wpadł w euforię, większą od upojenia, jakiego doznawał, obserwując Jennie obcinającą włosy, wyrzucającą bluzkę, czy krzywiącą się z bólu, gdy wieszakiem na ubrania smagał jej chudy tyłek.

Odtwarzał w pamięci wszystkie zastosowane przez siebie techniki: znalazł

wspólny lęk (zbiegły z więzienia morderca) i wspólne pasje (Johna Steinbecka i jazz, o których wiedział niewiele, lecz niezłe potrafił blefować); wdał się we flirt (jej spojrzenie na jego palec serdeczny i stoicki uśmiech, gdy wspomniał o dzieciach, powiedziały mu wszystko o życiu uczuciowym Susan Pemberton); zrobił jakieś głupstwo i sam się z tego roześmiał (rozsypany cynamon); wzbudził

jej współczucie (wredna była żona rujnowała życie synowi); zagrał przyzwoitego człowieka (przyjęcie dla ukochanych rodziców, rycerskie odprowadzenie Susan do samochodu); uwolnił się od jakichkolwiek podejrzeń (fałszywy telefon pod 911).

Krok po kroku zdobywał jej zaufanie – i w konsekwencji zdobywał kontrolę.

Nie było lepszej jazdy niż świadomość, że znów może uprawiać swoją sztukę w rzeczywistości.

Pell znalazł skręt. Droga prowadziła przez gęsty las w stronę oceanu. W sobotę przed ucieczką Jennie przeprowadziła dla niego rekonesans i odnalazła to odludne miejsce. Jadąc zapiaszczoną drogą, minął tablicę informującą o wjeździe na teren prywatny. Zatrzymał samochód Susan w piasku na końcu drogi, w miejscu zupełnie niewidocznym z autostrady. Gdy wysiadł, usłyszał szum fal rozbijających się o stare moło niedaleko. Słońce chyliło się coraz niżej. Widok był piękny.

Nie musiał czekać długo. Jennie zjawiała się przed umówioną godziną. Ucieszył

się; jeśli ludzie przychodzą za wcześnie, to znak, że masz nad nimi kontrolę.

Spóźnialskich zawsze lepiej mieć na oku.

Zaparkowała, wysiadła i podeszła do niego.

– Kochanie, mam nadzieję że nie musiałeś długo czekać. – Wpiła się łapczywie w jego usta, mocno przyciągając do siebie jego twarz. Desperacko.

Pell zaczerpnął tchu. Roześmiała się.

– Trudno się przyzwyczaić do takiego ciebie. To znaczy wiedziałam, że to ty, tylko wiesz, nie od razu można poznać. Ale z tobą będzie tak samo jak ze mną – mnie odrosną włosy, a ty znowu będziesz biały.

– Chodź tu. – Wziął ją za rękę i posadził blisko siebie na niskiej wydmie.

– Nie odjeżdżamy? – zdziwiła się.

– Niezupełnie.

Wskazała lexusa.

– Czyj to samochód? Myślałam, że podrzuci cię twoja przyjaciółka.

Pell milczał. Patrzyli na zachód, na Ocean Spokojny. Błada tarcza słońca dotykała już linii horyzontu, nabierając z każdą chwilą coraz intensywniejszej barwy ognia.

Pewnie teraz ona się zastanawia: chce ze mną rozmawiać czy chce się ze mną pieprzyć? Co jest grane?

Niepewność... Pell pozwolił jej narastać. Jennie zaraz zauważy jego poważną minę.

Ogarnęła ją fala niepokoju. Dotykając dłoni i ramienia dziewczyny, Pell wyczuł jej napięcie. Wreszcie zapytał:

– Bardzo mnie kochasz?

Nie wahała się ani chwili, choć Pell wychwycił w jej głosie nutkę ostrożności.

– Moja miłość jest wielka jak słońce.

– Stąd wydaje się małe.

– Wielka jak prawdziwe słońce. Nie, wielka jak cały wszechświat dodała pospiesznie jak uczennica przyłapaną na błędzie.

Pell milczał.

– O co chodzi. Danielu?

– Mam kłopot. I nie wiem, co z nim począć.

Zastygła w oczekiwaniu.

– Kłopot, kochany?

A więc „ukochany”, kiedy jest szczęśliwa, „kochany”, kiedy się czymś niepokoi. Dobrze wiedzieć. Odnotował to w pamięci.

– Chodzi o moje spotkanie. – Powiedział jej tylko, że idzie zobaczyć się z kimś „w interesach”.

– Mhm.

– Coś poszło nie tak. Wszystko sobie zaplanowałem. Ta kobieta miała mi oddać duże pieniądze, które jej kiedyś pożyczyłem. Ale mnie okłamała.

– Co się stało?

Pell patrzył Jennie prosto w oczy. Przemknęło mu przez myśl, że jedyną osobą, jakiej udało się przyłapać go na kłamstwie, była Kathryn Dance. Nie chcąc się jednak rozpraszać, odsunął od siebie wspomnienie agentki.

– Okazało się, że miała swoje plany. Chciała mnie wykorzystać. Ciebie też.

– Mnie? Zna mnie?

– Nie wie, jak się nazywasz. Ale z wiadomości wie, że jesteśmy razem. Chciała, żebym cię zostawił.

– Dlaczego?

– Żebym mógł z nią być. Chciała ze mną wyjechać.

– Czy to ktoś, kogo kiedyś znałeś?

– Zgadza się.

– Och. – Jennie zamilkła.

Zazdrość...

– Oczywiście powiedziałem nie. Nigdy bym nawet o tym nie pomyślał.

Spróbowała zamruczeć. Nie wyszło.

Kochany... Wtedy Susan się wściekła. Powiedziała, że pójdzie na policję. I wyda nas oboje. Twarz Pella wykrzywił grymas bólu. Staralem się ją przekonać, żeby tego nie robiła, ale w ogóle nie chciała słuchać.

– Co się stało?

Spojrzał na samochód.

– Przywiozłem ją tutaj. Nie miałem wyjścia. Próbowala zadzwonić na policję.

Jennie czujnie spojrzała na samochód, ale w środku nie zauważyła nikogo.

– Jest w bagażniku.

– O Boże. Czy...

– Nie – odrzekł wolno Pell. – Cała i zdrowa. Jest związana. To właśnie mój kłopot. Nie wiem, co teraz zrobić.

– Ciągłe chce cię wydać policji?

– Możesz w to uwierzyć? – wykrztusił. – Błagałem ją. Ale ma nie po kolei w głowie. Tak jak twój mąż, pamiętasz? Krzywdził cię, chociaż dobrze wiedział, że zostanie za to aresztowany. Susan jest taka sama. Nie potrafi nad sobą panować. –



Westchnął zniecierpliwiony. – Byłem wobec niej uczciwy, a ona mnie oszukała.

Wydała wszystko co do grosza. Chciałem ci zwrócić wydatki. Oddać pieniądze za samochód. Za wszystko.

– Nie musisz się przejmować pieniędzmi, kochany. – Nigdy, przenigdy nie wolno nikomu zdradzić, że zależy ci tylko na jego pieniądzach. I nigdy, przenigdy nie wolno być niczym dłużnikiem. Pocałował ją, udając z troską.

– Ale co teraz zrobimy?

Unikając jego wzroku, Jennie spojrzała w słońce.

– Nie... nie wiem, kochany. Nie umiem... – Zabrakło jej słów i głos uwiązł jej w gardle.

Lekko ścisnął jej nogę.

– Nie pozwolę, żeby cokolwiek nam zagroziło. Tak bardzo cię ko cham.

– Też cię kocham, Danielu – powiedziała słabo.

Wyciągnął z kieszeni nóż i spojrzał na niego.

– Nie chcę tego robić. Naprawdę nie chcę. Już wczoraj ucierpieli przez nas ludzie. „Przez nas”. Nie „przeze mnie”.

Dostrzegła tę różnicę. Poznał to po nagłym usztywnieniu jej ramion.

– Nie zrobiłem tego umyślnie – ciągnął. – To był wypadek. Ale to... nie wiem.

– Obracał nóż w dłoni.

Jennie wtuliła się w niego, wpatrzona w ostrze błyszczące w blasku zachodzącego słońca.

– Pomożesz mi, najdroższa? Sam nie potrafię tego zrobić.

Rozpłakała się.

– Nie wiem, kochany, ja chyba też nie potrafię. – Nie odrywała wzroku od tyłu samochodu.

Pell pocałował ją w czubek głowy.

– Nie pozwolimy, żeby ktoś nas rozdzielił. Nie mógłbym bez ciebie żyć.

– Ja też. – Zaczerpnęła haust powietrza. Jej wargi i palce lekko drżały.

– Proszę, pomóż mi – szepnął. Podniósł się, pomógł jej wstać i oboje podeszli do lexusa. Podał jej nóż, zamykając jej dłoń w swojej ręce. – Sam jestem zbyt słaby

– wyznał. – Ale razem... razem możemy to zrobić. – Spojrzał na nią rozjaśnionymi nagle oczami.

– To będzie pakt. Za wrzemy pakt kochanków. Nie ma silniejszej więzi między dwojgiem ludzi. Będziemy jak bracia krwi. Zostaniemy kochankami krwi.

Sięgnął do wnętrza samochodu i wcisnął przycisk odblokowujący zamek bagażnika. Słyszając trzask, Jennie wydała słaby okrzyk.

– Pomóż mi, najdroższa. Proszę. – Zaprowadził ją do bagażnika.

Nagle Jennie przystanęła.

Ze szlochom oddała mu nóż.

– Przepraszam... przepraszam cię, kochany. Nie złość się na mnie. Nie mogę.

Po prostu nie mogę.

Pell nie odpowiedział, kiwając tylko głową. Żałosny wyraz jej oczu, łyzy lśniące czerwienią gasnącego słońca... To był upojny widok.

– Nie złość się na mnie, Danielu. Nie zniosłabym tego, gdybyś był na mnie zły.

Pell odczekał trzy uderzenia serca, akurat tyle, ile trzeba, by wzbudzić w niej niepewność.

– Wszystko w porządku. Nie jestem na ciebie zły.

– Ciągle jestem twoją najdroższą?

Znów krótka pauza.

– Oczywiście. – Kazał jej zaczekać w samochodzie.

– Ale...

– Idź i zaczekaj tam na mnie. Nic się nie stało. – Mówił do niej jesz cze przez chwilę, a potem

Jennie wróciła do toyoty. Pell zbliżył się do bagażnika lexusa i spojrział do środka.

Na martwe ciało Susan Pemberton.

Zabił ją godzinę wcześniej na parkingu przed budynkiem jej biura. Udusił ją taśmą izolacyjną.

Pell w ogóle nie zamierzał korzystać z pomocy Jennie przy morderstwie.

Wiedział, że dziewczyna będzie się wzdragać. Cała gra była po prostu kolejną lekcją w edukacji jego uczeniacy.

Posunęła się o krok w pożądanym przez niego kierunku. Przeszli już do tematu przemocy i śmierci. Przez co najmniej pięć czy dziesięć sekund myślała o wbiciu noża w ludzkie ciało, przygotowując się na widok krwi i agonii człowieka. W

zeszłym tygodniu nic takiego w ogóle nie przyszłoby jej do głowy; w przyszłym tygodniu pomyśli o tym trochę dłużej.

Kiedyś w końcu zgodzi się pomóc mu kogoś zabić. A potem? Być może zrobi takie postępy, że sama będzie gotowa popełnić morderstwo. Dziewczyny w Rodzinie słuchały go i robiły rzeczy, na które nie miały ochoty – ale to były drobne przestępstwa. Żadnej przemocy. Daniel Pell wierzył jednak, że jego talent pozwoli mu zmienić Marston w robota gotowego spełnić jego każdy rozkaz, nawet gdyby miała zabić.

Zatrzasnął klapę bagażnika. Następnie odłamał gałąź sosny i usunął nią ślady stóp z piasku. Poszedł do samochodu, zamiatając za sobą. Kazał Jennie wjechać na żwir u wylotu drogi, po czym zatarł ślady kół. Wrócił do Jennie.

– Ja poprowadzę – oznajmił.

– Przepraszam cię, Danielu – powiedziała, ocierając twarz. – Wynagrodzę ci to.

Błagała o słowa otuchy.

Ale plan lekcji nie przewidywał żadnej reakcji nauczyciela.

## **Rozdział 25**

Osobliwy człowiek, uznała Kathryn Dance. Morton Walker podciągnął

opadające spodnie, usiadł przy stoliku w jej gabinecie i otworzył sfatygowaną aktówkę.

Tęgi pisarz wyglądał nieco niechlujnie – jego przerzedzone włosy były nieuczesane, bródka nierówno przycięta, a mankiety spodni wystrzępione. Okiem analityka niewerbalnych zachowań Dance oceniła jednak, że chyba dobrze się czuje w swoim ciele. Żaden z jego nawyków, sprawiających wrażenie precyzyjnych i przemyślanych, nie był oznaką stresu. Jego oczy, w których tańczyły szelmowskie błyski, dokonywały szybkich oględzin otoczenia, błyskawicznie rozstrzygając, co jest ważne, a co nie. Gdy wszedł do jej gabinetu, nie zwrócił najmniejszej uwagi na wystrój pomieszczenia, zatrzymał wzrok na twarzy Dance (na której zapewne malowało się zmęczenie), obrzucił młodego Reya Carranea przyjaznym, lecz nic nieznaczącym spojrzeniem i natychmiast skupił się na Winstonie Kelloggu.

Dowiedziawszy się, kto jest pracodawcą Kellogga, pisarz podejrzliwie zmrużył

oczy, zastanawiając się, co robi tu agent FBI.

Kellogg nie był już ubrany według federalnych standardów – miał na sobie sportową marynarkę w beżową kratkę, ciemne spodnie i niebieską koszulę bez krawata. Mimo to zachowywał się z

typową dla agentów biura powściągliwością.

W oględnych słowach poinformował Walkera, że jest tylko obserwatorem i „pomaga” w śledztwie.

Pisarz po swoim zachichotał, co mogło oznaczać: „Już ja cię zmuszę do gadania”.

– Rebecca i Linda zgodziły się nam pomóc powiedziała Dance.

Uniósł brew.

Naprawdę? A ta trzecia, Samantha?

– Nie, ona nie.

Walker wyciągnął z teczki trzy kartki i położył je na stole.

– Moje mini opus magnum, jeśli to nie jest oksymoron. Skrócona biografia Daniela Pella.

Kellogg przysunął sobie krzesło obok Dance. Nie wyczuła zapachu płynu po goleniu jak u O’Neila.

Pisarz powtórzył to, co poprzedniego dnia opowiedział Dance: nie pisał książki o Pellu, lecz o jego ofiarach.

– Zbieram informacje o każdym, kogo dotknęła śmierć Croytonów. Nawet o jego pracownikach. Firmę Croytona przejął ostatecznie jakiś komputerowy gigant i zwolniono setki ludzi. Gdyby nie zginął, może w ogóle by do tego nie doszło. A jego branża? Też jest ofiarą. Croyton **był** autorem najbardziej nowatorskich projektów komputerowych w Dolinie Krzemowej. Miał prawa autorskie do kilkudziesięciu programów i urządzeń wyprzedzających epokę o parę długości.

Niektóre były tak nowoczesne, że w tamtych czasach nie mogły znaleźć żadnego zastosowania. A teraz nic z tego nie zostało. Może nauka, medycyna albo komunikacja straciły jakieś rewolucyjne programy.

Dance przypomniała sobie, że doszła do takich samych wniosków, mijając kampus uniwersytetu, który otrzymał większą część spadku po Croytonie.

Wskazując na zapisane przez siebie kartki, Walker ciągnął:

– Ciekawe – Pell zmienia swoją autobiografię w zależności od rozmówcy.

Kiedy na przykład szuka porozumienia z kimś, kto stracił rodziców w młodym wieku, mówi mu, że został sierotą, gdy miał dziesięć lat. A jeżeli chce wykorzystać kogoś, kto miał ojca w wojsku, przedstawia się jako syn żołnierza, który zginął na froncie. Gdyby opierać się na jego słowach, można przypuszczać, że istnieje około dwudziestu różnych Pellów. A prawda jest taka:

Urodził się w Bakersfield w październiku w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Siódmego. Ale wszystkim wmawia, że dwudziestego drugiego listopada.

Tego dnia Lee Harvey Oswald zastrzelił Kennedy’ego.

– Podziwiał zabójcę prezydenta? – zapytał Kellogg.

– Nie, raczej uważał Oswalda za nieudacznika. Sądził, że był zbyt uległy i ograniczony. Ale był pełen uznania, że jeden człowiek jednym czynem mógł tak wiele dokonać. Że tylu ludzi przez niego płakało i że wpłynął na losy kraju – ba, całego świata.

Daniel wcale nie miał złego dzieciństwa. Joseph Pell, jego ojciec, zajmował się handlem, matka była recepcjonistką, jeżeli udało się jej utrzymać pracę. Rodzina z klasy średniej. Matka – Elizabeth – sporo piła i zakładam, że nie potrafiła okazywać ciepła, ale nigdy nie trafiła za kratki za znęcanie się nad dzieckiem.

Zmarła na marskość wątroby, gdy Daniel miał kilkanaście lat. Po śmierci żony ojciec starał się jak najlepiej wychować chłopca, ale Daniel nie znosił, kiedy ktoś nim kierował. Nie radził sobie z

autorytetami – z nauczycielami, szefami, a zwłaszcza ze swoim starym.

Dance wspomniała o nagraniu z przesłuchania, które obejrzała z Michaeliem O’Neilem, gdzie Pell mówił o brutalności ojca, wymuszaniu pieniędzy na czynsz, porzuceniu rodziny i śmierci rodziców.

– Same kłamstwa – odparł Walker. – Ale nie ulega wątpliwości, że ojciec był człowiekiem niełatwym we współżyciu. Był religijny – bardzo religijny, bardzo surowy. Został wyświęcony na pastora – jakiegoś konserwatywnego odłamu prezbiterian w Bakersfield – ale nigdy nie miał własnego kościoła. Pełnił funkcję młodszego pastora, dopóki nie zwolniono go z obowiązków. Parafianie skarżyli się, że jest nietolerancyjny i niesłusznie ich krytykuje. Próbował założyć własny kościół, ale prezbiteriański synod w ogóle nie chciał z nim rozmawiać, więc w końcu zajął się sprzedażą książek religijnych i ikon. Możemy jednak założyć, że uprzykrzał życie synowi. Przypuszczam, że nałóg matki Pella też mógł mieć coś wspólnego z jej mężem.

Religia nie odgrywała istotnej roli w życiu Dance. Razem z Wesem i Maggie obchodziła Wielkanoc i Boże Narodzenie, choć głównymi symbolami wiary były zajęczek i wesoły brodac z czerwonym ubraniu. Wpajała dzieciom własną etykę opartą na trwałych, niepodważalnych zasadach, wspólnych dla większości głównych wyznań. Jednakże wystarczająco długo pracowała w biurze śledczym, by wiedzieć, że religia bywa częstym motywem przestępstw. Nie tylko popełnianych z premedytacją aktów terroryzmu, lecz bardziej prozaicznych zdarzeń. Dance i Michael O’Neil spędzili kiedyś prawie dziesięć godzin w pobliskim miasteczku Marina, prowadząc negocjacje z ortodoksyjnym pastorem, który postanowił w imię Jezusa zabić żonę i córkę, ponieważ nastolatka zaszła w ciążę. (Ocalili rodzinę, ale Dance wyciągnęła z tej sprawy niepokojący wniosek, że duchowa prawda może być bardzo niebezpieczna).

Walker ciągnął:

– Ojciec Pella przeszedł na emeryturę, wyprowadził się do Phoenix i ponownie się ożenił. Jego druga żona zmarła dwa lata temu, a Joseph w zeszłym roku, na atak serca. Pell najprawdopodobniej nie utrzymywał z nim kontaktów. Nie ma wujów ani stryjów, a jego jedyna ciotka mieszka w Bakersfield.

– To ta kobieta z chorobą Alzheimera?

– Tak. Ale Pell ma brata.

A więc nie był jedynakiem, jak twierdził.

– Jest starszy od niego. Wiele lat temu wyprowadził się do Londynu. Kieruje działem sprzedaży amerykańskiej firmy importowo-eksportowej. Nie udziela wywiadów. Wiem tylko, jak się nazywa. Richard Pell.

– Każe komuś go znaleźć – powiedziała do Kellogga Dance.

– Kuzyni? – zapytał agent FBI.

– Ciotka nigdy nie wyszła za męża. – Chichocząc, postukał palcem w jakiś fragment tekstu. – Jako starszy nastolatek Pell zaczął być częstym gościem poprawczaków – głównie za drobne kradzieże w sklepach i kradzieże samochodów. Ale nie ma na koncie poważnych aktów przemocy. Początki miał zaskakująco spokojne. Brak informacji o ulicznych burdach, napaściach, żadnej wzmianki, żeby kiedykolwiek stracił nad sobą panowanie. Pewien funkcjonariusz zasugerował mi, że Pell krzywdził ludzi tylko wtedy, gdy miał z tego taktyczny pożytek. Przemoc nie sprawiała mu przyjemności ani nie wzbudzała w nim odrazy.

Traktował ją jak narzędzie.

Dance pomyślała o swojej ocenie Pella – uznała go za człowieka, który beznamiętnie zabija, jeśli

tylko na tym skorzysta.

– Nie dotarłem też do żadnych informacji o narkotykach. Pell prawdo podobnie nigdy nie brał. I nie pije – a w każdym razie nie pił – alkoholu.

– Co wiemy o jego wykształceniu?

– Ciekawa rzecz. Wybitnie zdolny. W szkole średniej miał celujące wyniki. Na zajęciach indywidualnych zbierał najwyższe oceny, ale nigdy się nie zjawiał, kiedy obecność była obowiązkowa. W więzieniu uczył się prawa i sam złożył wniosek o apelację w sprawie Croytonów.

Przypomniała sobie wygłoszoną przez niego podczas przesłuchania uwagę na temat absolwentów prawa z Hastings.

– Udało mu się doprowadzić sprawę do Sądu Najwyższego Kalifornii – dopiero w zeszłym roku wydano niekorzystny dla niego wyrok. Przypuszczam, że to był poważny cios. Uważał, że wygra.

– Być może jest inteligentny, ale nie na tyle, żeby uniknąć pudła. – Kellogg wskazał akapit biografii opisujący około siedemdziesiąt pięć aresztowań. – To się nazywa kartoteka.

– A to tylko czubek góry lodowej; Pell zwykle nakłaniał innych do popełniania przestępstw. Pewnie stoi za setkami czynów, za które po szedł siedzieć ktoś inny.

Rabunki, włamania, kradzieże kieszonkowe. Z tego żył. Zmuszając innych ludzi do odwalania brudnej roboty.

– Oliver – powiedział Kellogg.

– Co takiego?

– Karol Dickens. „Oliver Twist”... czytaliście?

– Widziałam film odrzekła Dance.

– Dobre porównanie. Pell to Fagin, herszt bandy złodziejasków.

– Proszę pana, ja proszę więcej – powiedział Kellogg z kiepskim londyńskim akcentem. Dance parsknęła śmiechem, a on wzruszył ramionami.

– Pell wyjechał z Bakersfield do San Francisco. Zadawał się tam z jakimiś ludźmi, kilka razy był zatrzymany, nic poważnego. Przez jakiś czas nie było o nim słyhać – dopóki nie zgarnęli go w Karolinie Północnej w sprawie o zabójstwo.

– Zabójstwo?

– Aha. Morderstwo Charlesa Pickeringa w Redding. Pickering był pracownikiem jakiejś instytucji okręgowej. Został zadźgany nożem na wzgórzach za miastem, godzinę po tym, jak widziano go rozmawiającego z kimś podobnym do Pella. To był okrutny mord. Kilkadziesiąt ran kłutych. Jatkan. Ale Pell miał alibi

– zeznanie dziewczyny, z którą był. Nie znaleziono żadnych dowodów fizycznych.

Miejscowa policja przy mknęła go na tydzień za włóczęgostwo, ale w końcu go puścili. Sprawcy nie znaleziono.

Potem założył swoją Rodzinę w Seaside. Znowu kilka lat kradzieży. Parę napaści. Jakieś podpalenie. Pell był podejrzany o pobicie członka gangu motocyklowego, który mieszkał niedaleko, ale ofiara nie wniosła skargi. Mniej więcej miesiąc później doszło do morderstwa Croytonów. Odtąd – to znaczy do wczoraj – siedział w więzieniu.

– Co może nam powiedzieć ta dziewczyna?

– Dziewczyna?

– Śpiąca Laleczka. Theresa Croyton.

– A co mogłaby wam powiedzieć? Kiedy odbył się mord, spała. Tak ustalono.

– Doprawdy? – spytał Kellogg. – Kto to ustalił?

– Przypuszczam, że prowadzący śledztwo. – W jego głosie zabrzmiała nuta niepewności.

Widocznie nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Teraz ma... – Dance szybko policzyła – ..siedemnaście lat. Chciałabym z nią porozmawiać.

Być może wie coś ważnego. Mieszka ze swoją ciotką i wujem, zgadza się?

– Tak, adoptowali ją.

– Mogę dostać ich numer?

Walker zawahał się. Przebiegł wzrokiem blat stołu; jego oczy straciły filuterny błysk.

– Jakiś problem?

– Obiecałem ciotce, że nikomu nic nie powiem o dziewczynie. Bardzo chroni siostrzenicę. Nawet ja nie miałem jeszcze okazji jej poznać. Z początku ciotka stanowczo odmówiła, kiedy poprosiłem o rozmowę.

Myślę, że w końcu się zgodzi, ale jeżeli dam wam jej numer, bardzo wątpię, czy będzie chciała z wami rozmawiać i podejrzewam, że już nigdy nie dostanę od niej żadnej wiadomości.

– Powiedz nam tylko, gdzie mieszka. Znajdziemy nazwisko w biurze numerów.

W ogóle o tobie nie będę wspominać.

Pokręcił głową.

– Zmienił nazwisko i wyprowadził się w inne okolice. Bali się, że ktoś z Rodziny będzie ich prześladować.

– Podał pan Kathryn nazwiska tych kobiet – zauważył Kellogg.

– Są w książce telefonicznej i publicznie dostępnych ewidencjach. Sami mogliście je znaleźć.

Theresa i jej wujostwo są publicznie niedostępni.

– Ale ty ich znalazłeś – powiedziała Dance.

– Przez poufne źródła. Zaręczam, że po ucieczce Pella staną się jeszcze bardziej poufne. Ale wiem, że to ważne... Powiem wam, co zrobię. Pojadę spotkać się z ciotką osobiście. Przekażę jej, że chcecie porozmawiać z Theresą o Pellu. Nie będę próbował ich do niczego przekonywać. Jeżeli się nie zgodzą, to się nie zgodzą.

Kellogg pokiwał głową.

– O nic więcej nie prosimy. Dzięki.

Patrząc w życiorys Pella, Dance powiedziała:

– Im więcej się o nim dowiaduję, tym mniej wiem.

Pisarz zaśmiał się, a w jego oczach znów błysnęły isierki.

– Och, chcesz poznać motywy Daniela Pella? – Poszperał w aktówce, wyciągnął plik papierów i znalazł żółtą zakładkę. – Mam tu cytat z rozmowy z więziennym psychologiem. Przynajmniej raz był szczerzy. – Walker zaczął czytać: *Pełł: Chce mnie pan poddać psychoanalizie? Chce pan wiedzieć, co mną kieruje? Na to na pewno zna pan odpowiedź, doktorze. To samo co wszystkimi: oczywiście rodzina. Tatuś mnie lał, tatuś nie zwracał na mnie uwagi, mamusia nie karmiła mnie piersią, wujek Joe robił Bóg wie co. Geny czy wychowanie, jedno i drugie może pan przypisać rodzinie. Ale jeżeli za bardzo będzie pan zaprzętał sobie nią głowę, zaraz w pokoju pojawią się wszyscy pańscy krewni i przodkowie i wkrótce poczuje się pan zupełnie sparalizowany Nie, nie, jedyny sposób, żeby przeżyć, to zupełnie o nich zapomnieć i pamiętać tylko, że jesteś tym, kim jesteś i to się nigdy nie zmieni.*

*Psycholog: A ty kim jesteś, Danielu?*

*Pell (śmiejąc się): Ja? Ja pociągam za sznurki dusz i zmuszam ludzi do robienia różnych rzeczy. Ludzie zaś nie wiedzą, że są zdolni do tych czynów, zanim ich nie popełnią. Gram na flecie i prowadzę ich tam, gdzie boją się pójść. Nie ma pan pojęcia doktorze, ilu ludzi potrzebuje swoich lalkarzy i swoich Szczurołapów.*

– Muszę jechać do domu – powiedziała Dance po wyjściu Walkera. Jej matka i dzieci niecierpliwiły się, czekając na nią z rozpoczęciem przyjęcia urodzinowego ojca.

Kellogg odrzucił z czoła kosmyk włosów. Opadł z powrotem. Spróbował jeszcze raz. Spojrzała na niego i dostrzegła coś, czego przedtem nie zauważyła – wystający zza kołnierzyka koszuli bandaż.

– Jesteś ranny?

Wzruszył ramionami.

– Mały postrzał. Parę dni temu w akcji w Chicago.

Mowa jego ciała świadczyła, że nie chce o tym mówić, a Dance nie naciskała.

Powiedział jednak:

– Ale sprawca nie przeżył. – Towarzyszył temu pewien ton i pewne spojrzenie.

W podobny sposób Dance informowała ludzi, że jest wdową.

– Przykro mi. Dobrze sobie z tym radzisz?

– Nieźle... Zgoda, może wcale nie tak nieźle – dodał po chwili. – Ale jakoś sobie radzę. Czasami nic więcej nie da się zrobić.

Pod wpływem impulsu spytała:

– Słuchaj, masz jakieś plany na wieczór?

– Krótki meldunek dla szefa, kąpiel w hotelu, szkocka, hamburger i spać. No dobrze, dwie szkockie.

– Mam pytanie.

Uniósł brew.

– Lubisz tort urodzinowy?

Po sekundzie milczenia odparł:

– To jedna z moich ulubionych potraw.

## **Rozdział 26**

Patrz, mamó. Zatarasowaliśmy cały Taras. Zatarasowaliśmy!

Dance pocałowała córkę.

– Świetne, Mags.

Wiedziała, że dziewczynka nie mogła się doczekać, aby podzielić się z nią kalamburem.

Taras wyglądał pięknie. Dzieci uwijały się przez całe popołudnie, przygotowując go na przyjęcie. Rzeczywiście zatarasowały wszystkie miejsca dekoracjami: urodzinowymi transparentami, lampionami, świecami. (Nauczyły się tego od matki; goście Kathryn Dance nawet jeśli nie byli podejmowani najwykwintniejszymi potrawami, zawsze mogli liczyć na wspaniałą atmosferę).

– Kiedy dziadek otworzy prezenty? – Wes i Maggie za zaoszczędzone kieszonkowe kupili Stuartowi Dance'owi sprzęt rekreacyjny – wadery i sieć. Dance wiedziała, że ojciec ucieszy się ze wszystkiego, co dostanie od wnuków, ale nieprzemakalny strój rybacki na pewno mu się przyda.

– Prezenty po torcie – oznajmiła Edie Dance. – A tort po kolacji.

– Cześć, mamó. – Dance nie zawsze obejmowała matkę, ale dziś Edie uściskała ją czule, by móc

szeptając jej do ucha, że chce z nią porozmawiać o Juanie Millarze.

Weszły do salonu. Dance natychmiast zwróciła uwagę na zatroskaną minę matki.

– O co chodzi?

– Jeszcze się trzyma. Kilka razy się ocknął. – Rozejrzała się, prawdo podobnie sprawdzając, czy w pobliżu nie ma dzieci. – Tylko na parę sekund. Nie ma mowy, żeby złożył wam zeznania. Ale...

– Co, mam?

Jeszcze bardziej ściszyła głos.

– Stałam przez jakiś czas przy nim. Obok nie było nikogo. Zobaczyłam, że otworzył oczy. To znaczy jedno, to niezabandażowane. Poruszył ustami.

Pochyliłam się. Powiedział... – Edie znów obejrzała się przez ramię. – Powiedział:

„Zabijcie mnie”. I powtórzył. Potem zamknął oczy.

– Tak bardzo go boli?

– Nie, jest tak nafaszerowany lekami, że niczego nie czuje. Ale pa trzy na bandażu. Widzi sprzęt. Nie jest głupi.

– Jest przy nim rodzina?

– Prawie cały czas. Jego brat siedzi tam na okrągło. Bez przerwy pa trzy nam na ręce. Jest przekonany, że Juan nie ma właściwej opieki, bo jest Latynosem. I wygłosił jeszcze kilka uwag na twój temat.

Dance skrzywiła się.

– Przepraszam, ale myślę, że powinnaś wiedzieć.

– Dobrze, że mi powiedziałaś.

Martwiła się – nie Juliem Millarem rzecz jasna. Z nim mogła sobie poradzić.

Przygłębił ją brak nadziei młodego detektywa. *Zabijcie mnie...*

– Dzwoniła Betsey? – spytała Dance.

– Ach, twoja siostra nie może przyjechać – odparła Edie nienaturalnie pogodnym tonem, w którego podtekście kryła się irytacja na młodszą córkę za to, że nie raczy poświęcić czterech godzin na podróż z San ta Barbara, by zjawić się na urodzinach ojca. Oczywiście w odwrotnej sytuacji, gdyby to Dance miała tam pojechać, prawdopodobnie nie mogłaby tego zrobić ze względu na prowadzoną obławę. Jednak zgodnie z panującą w rodzinie zasadą, hipotetyczne wykroczenia się nie liczyły, tak więc tym razem walkowerem wygrała Dance, a Betsey zarobiła duży minus.

Gdy wróciły na Taras, Maggie spytała:

– Mam, możemy wypuścić Dylana i Patsy?

– Zobaczymy. – Na przyjęciach psy bywały niesforne. I dostawało im się stanowczo za dużo ludzkiego jedzenia.

– Gdzie twój brat?

– W swoim pokoju.

– Co robi?

– Coś.

Dance na czas przyjęcia zamknęła broń – przed domem pełnił straż zastępca szeryfa. Wzięła szybki prysznic i się przebrała. W korytarzu zobaczyła Wesa.

– T-shirt wykluczony. To urodziny twojego dziadka.

Mamo, przecież jest czysty.

– Polo. Albo tę biało-niebieską zapinaną koszulę. Znała zawartość szafy swojego syna lepiej od



niego.

– Oj, dobrze.

Przyjrzała się uważnie spuszczonej oczom. Jego zachowanie nie miało nic wspólnego ze zmianą stroju.

– O co chodzi?

– O nic.

– No już, wal.

– Wal?

– To wyrażenie z mojej epoki. Mów, co cię gryzie.

– Nic.

– Idź się przebrać.

Dziesięć minut później ustawiała na stole smakowite przekąski, zmawiając w duchu modlitwę dziękczynną do sieci sklepów Trader Joe's.

Ubrany w elegancką koszulę starannie włożoną do spodni, z zapiętymi mankietami, Wes śmignął obok stołu, porywając garść orzeszków. Wionął za nim zapach płynu po goleniu. Chłopiec dobrze się prezentował. Rodzicielstwo to trudne zadanie, ale często ma się powody do dumy.

– Mamo? – Podrzucił orzeszek nerkowca i złapał w usta.

– Nie rób tak. Jeszcze się udławisz.

– Mamo?

– Słucham?

– Kto dzisiaj przyjdzie?

Jego oczy umknęły w bok, a ramię zwróciło się w jej stronę. Znak, że za pytaniem kryje się coś więcej. Wiedziała, co go gnębi – to samo, co wczorajszego wieczoru. Tym razem była odpowiednia pora na rozmowę.

– Tylko kilka osób. – W niedzielę w Klubie Morskim niedaleko oceanarium miała się odbyć większa uroczystość z udziałem wielu przyjaciół Stuarta. Dziś ojciec miał urodziny i Dance zaprosiła na kolację nie więcej niż osiem osób. –

Michael z żoną, Steve i Martine, Barberowie... to chyba tyle. Ach, jeszcze ktoś, kto pracuje z nami nad sprawą. Z Waszyngtonu.

Skinął głową.

– To już wszyscy? Nikt więcej?

– Wszyscy. – Rzuciła mu paczkę precli, którą złapał jedną ręką. – Postaw to na stole. I postaraj się, żeby coś zostało dla gości.

Wes z wyraźną ulgą ruszył napełnić miseczki.

Chłopiec obawiał się, że Dance zaprosiła Briana Gundersona. Tego Briana, do którego należała książka leżąca w widocznym miejscu salonu, tego Briana, o którego telefonie do centrali CBI tak sumiennie zawiadomiła ją Maryellen Kresbach.

*Dzwonił Brian...*

Z czterdziestoletnim bankierem inwestycyjnym umówiła ją na randkę w ciemno Maryellen, która zajmowała się swataniem z równym uporem i talentem, z jakim piekła ciasteczka, parzyła kawę i czuwała nad zawodowymi sprawami agentów CBI.

Brian był inteligentny, spokojny, otwarty i zabawny; na pierwszej randce, wysłuchawszy jej opowieści o kinezyce, natychmiast schował rękę. „Żebyś nie mogła się domyślić moich zamiarów”.

Długa kolacja okazała się miła. Brian był

rozwiedziony i nie miał dzieci (choć chciał). Praca w banku była niezwykle absorbująca, a ponieważ oboje z Dance mieli napięty plan zajęć, ich związek z konieczności rozwijał się powoli. Nie miała nic przeciwko temu. Długo była mężatką, owdowiała niedawno, więc się nie spieszyła.

Po miesiącu wspólnych kolacji, wyjść na kawę i do kina, urządzili sobie długą wycieczkę i zawędrowali na plażę w Asilomar. Złoty zachód słońca, stadko baraszkujących przy brzegu wydr morskich... Jak można się oprzeć pokusie pocałunku? Pamiętała, że było przyjemnie. Potem czuła wyrzuty sumienia. Ale przyjemność była większa od wyrzutów sumienia.

Bez tej sfery życia można się obyć przez jakiś czas, lecz nie na zawsze.

Dance nie wiązała z Brianem żadnych konkretnych planów i spokojnie czekała, co z tego wyniknie.

W końcu zainterweniował Wes. Nigdy nie zachowywał się niegrzecznie ani krępująco, ale na wiele różnych sposobów dał jej do zrozumienia, że ani trochę nie lubi Briana. Dance skończyła kurs terapii w okresie osierocenia, mimo to od czasu do czasu chodziła do psychologa. Terapeutka doradziła jej, w jaki sposób poinformować dzieci o swoim zaangażowaniu uczuciowym, i postąpiła ściśle według wskazówek. Ale Wes ją przechytrzył. Dąsał się i reagował bierną agresją, ilekroć była mowa o Brianie albo gdy Dance wracała ze spotkania z nim.

Tego właśnie chciał się dowiedzieć poprzedniego wieczoru, gdy czytał „Władcę pierścieni”.

Dziś, zadając niewinne pytanie o gości, w istocie chłopiec pytał: czy przyjdzie Brian?

I w konsekwencji: czy naprawdę zerwaliście ze sobą?

Tak, zerwaliśmy.

Choć Dance zastanawiała się, czy Brian nie ma na ten temat innego zdania. W końcu od ich rozstania kilka razy dzwonił.

Terapeutka twierdziła, że zachowanie Wesa jest normalne i wszystko się ułoży, jeśli Kathryn będzie cierpliwa i zdecydowana. Co ważniejsze, nie może pozwolić mu przejąć nad sobą kontroli. Dance uznała jednak, że brakuje jej cierpliwości i zdecydowania. I tak przed dwoma tygodniami zerwała z Brianem. Delikatnie, wyjaśniając, że chyba za mało czasu upłynęło od śmierci męża; jeszcze nie jest gotowa. Brian był przybity, ale przyjął to do wiadomości. Pożegnali się bez gniewu. I nie podejmując żadnych ostatecznych decyzji.

Dajmy sobie trochę czasu...

Prawdę mówiąc, rozstanie przyniosło jej ulgę; rodzice muszą czasem ustąpić pola, a Dance uznała, że w tej chwili nie warto kruszyć kopii o romans. Mimo to ucieszyła się z wiadomości o telefonie Briana i odkryła, że za nim tęskni.

Wynosząc wino na Taras, zobaczyła ojca z Maggie. Pokazywał jej w książce zdjęcie jakiejś świecącej ryby głębinowej.

– Hej, Mags, smacznie wygląda – powiedziała Dance.

– Fuj, mammo.

– Wszystkiego najlepszego, tato. – Uściskała go.

– Dziękuję, kochanie.

Dance ustawiła półmiski, włożyła do lodówki piwo, a potem weszła do kuchni, wyciągając telefon. Sprawdziła, co słyhać u TJ-a i Carranea. Nie mieli szczęścia w poszukiwaniach Pella, nie natrafili też na żaden ślad skradzionego forda focusa ani nikogo noszącego imię lub pseudonim Alison i Nimue, nie ustalili, w którym hotelu, motelu lub pensjonacie mogli się zatrzymać Pell ze

wspólniczką.

Przez chwilę miała ochotę zadzwonić do Winstona Kellogga, podejrzewając, że się spłoszył, lecz zrezygnowała z tego zamiaru. Znał adres; przyjdzie albo nie.

Pomogła matce w przygotowaniu pozostałych potraw i wracając na Taras, przywitała sąsiadów, Toma i Sarah Barberów, którzy przynieśli wino i prezent oraz przyprowadzili swojego patykowatego psa mieszańca, Fawlty'ego.

– Mamo, proszę! – zawołała Maggie tonem niebudzącym wątpliwości, o co jej chodzi.

– No już dobrze, możesz je uwolnić.

Maggie wypuściła Dylana i Patsy z sypialni i trzy psy pogalopowały w głąb ogrodu, przewracając się nawzajem i badając nowe zapachy.

Kilka minut później na Tarasie pojawiła się następna para.

Czterdziestokilkuletni Cahill w sztruksowych spodniach i ze szpakowatymi włosami związanymi w koński ogon, mógł z powodzeniem występować jako model firmy Birkenstock. Wygląd jego żony, Martine Christensen, przeczył jej skandynawskiemu nazwisku; była zgrabną i ponętą ciemnoskórą pięknoscią.

Można było odnieść wrażenie, że w jej żyłach płynie hiszpańska albo meksykańska krew, lecz jej przodkowie zamieszkiwali Kalifornię jeszcze przed pojawieniem się pierwszych osadników. Pochodziła z plemienia Ohlone – grupy szczepów prowadzących łowiecko-zbieraczy tryb życia na terenie od Big Sur po zatokę San Francisco. Przez setki, może tysiące lat Indianie Ohlone byli jedynymi gospodarzami tej części stanu.

Dance poznała Martine przed paroma laty na koncercie w college<sup>^</sup> w Monterey, będącego spadkobiercą słynnego Monterey Folk Festival, gdzie w sześćdziesiątym piątym zadebiutował na Zachodnim Wybrzeżu Bob Dylan. Kilka lat później impreza przeobraziła się w jeszcze sławniejszy Monterey Pop Festival, który zwrócił uwagę świata na Janis Joplin i Jimiego Hendrixa.

Koncert, na którym poznały się Dance i Martine, nie miał tak przełomowego znaczenia dla kultury jak poprzednie, lecz był o wiele istotniejszy w ich życiu prywatnym. Kobiety natychmiast przypadły sobie do gustu i jeszcze długo po zakończeniu występu rozmawiały o muzyce. Wkrótce zostały przyjaciółkami. Po śmierci Billa to właśnie Martine kilka razy omal nie wyważyła drzwi domu Dance.

prowadząc wytrwałą kampanię na rzecz uchronienia przyjaciółki od zatonięcia w samotności wdowiego życia. Podczas gdy niektórzy ludzie zaczęli unikać Kathryn.

a inni (między innymi matka) zasypywali ją słowami wsparcia i współczucia, Martine rozpoczęła akcję pod nazwą „ignorowanie smutku”. Namawiała, żartowała, perswadowała i spiskowała. Mimo początkowej niechęci do jej zabiegów, Dance uświadomiła sobie, że taktyka zaczęła odnosić skutki. Martine chyba najbardziej z bliskich ludzi pomogła jej w odzyskaniu równowagi psychicznej.

Za Steve'em i Martine weszły po schodach ich dzieci, bliźniaki młodsze o rok od Maggie: jeden taszczył futerał z gitarą matki, drugi prezent dla Stuarta. Po powitaniach Maggie zaprowadziła chłopców do ogrodu, gdzie Wes pozwolił im się pobawić swoim gameboyem.

Dorośli skierowali się do chybotliwego, zastawionego świecami stolika.

Dance od dawna nie widziała tak radosnego Wesa. Chłopiec miał wrodzone talenty przywódcze i właśnie organizował dzieciom zabawę.

Znów pomyślała o Brianie, lecz zaraz porzuciła wspomnienia.

– Słyszeliśmy o tej ucieczce. Czy to ty...? Melodyjny głos umilkł, gdy Martine się zorientowała,

że Dance domyśliła się, o co pyta.

– Aha, to ja prowadzę obławę.

Czyli jesteś w oku cyklonu – zauważyła przyjaciółka.

– W samej źrenicy. Jeżeli będę musiała uciekać przed tortem, to właśnie z tego powodu.

– Zabawne – odezwał się Tom Barber, dziennikarz współpracujący z miejscową prasą. – Cały czas myślimy tylko o terrorystach. To oni ma ją być nowym wewnętrznym zagrożeniem. A tu nagle gdzieś z tyłu zakrada się taki ktoś jak Pell.

Zbyt łatwo zapominamy, że to właśnie tacy ludzie mogą być najbardziej niebezpieczni.

– Ludzie siedzą w domach – dorzuciła żona Barbera. – Na całym półwyspie.

Boją się.

– Odważyłem się przyjść tylko dlatego, że będą tu ludzie z gnatami pod pachą – rzekł Steve Cahill.

Dance parsknęła śmiechem.

Nadeszli Michael i Annę O’Neil z dwójką swoich dzieci, dziewięcioletnią Amandą i dziesięcioletnim Tylerem. Maggie znów wspięła się na Taras.

Zaprowadziła nowych małych gości do ogrodu, zabierając zapasy napojów i chipsów.

Dance poprosiła wszystkich, by częstowali się piwem i winem, po czym skierowała się do kuchni pomóc matce, ale Edie powiedziała:

– Masz jeszcze jednego gościa. – Pokazała drzwi domu, przed który mi stał Winston Kellogg.

– Przyszedłem z pustymi rękami – wyznał.

– Jedzenia mamy więcej niż dość. Jeżeli chcesz, zapakuję ci coś na później.

Albo weźmiesz dla pieska. A propos, nie jesteś uczulony?

– Owszem, na pyłki. Na psy nie.

Kellogg znów się przebrał. Marynarka była ta sama, ale poza nią miał na sobie koszulkę polo, dżinsy, żółte skarpetki i buty na gumowej podeszwie.

Dostrzegł jej spojrzenie.

– Wiem, wiem. Jak na agenta federalnego za bardzo przypominam tatuśka z przedmieścia.

Dance zaprowadziła go do kuchni i przedstawiła matce. Potem wyszli na Taras, gdzie nastąpiły dalsze prezentacje. Nie wdawała się w szczegóły, a Kellogg powiedział tylko, że przyjechał z Waszyngtonu i „pracuje z Kathryn przy kilku sprawach”.

Następnie Dance zabrała go na schody prowadzące do ogrodu i przedstawiła dzieciom. Zauważyła badawcze spojrzenia Wesa i Tylera, szukających zapewne broni i szepczących między sobą.

Do agentów podszedł O’Neil.

Wes pomachał do niego z entuzjazmem i rzucając ostatnie spojrzenie na Kellogga, wrócił do zabawy, którą najwidoczniej wymyślał na gorąco.

Właśnie tłumaczył jej zasady. Była w nich mowa o przestrzeni kosmicznej i niewidzialnych smokach. Psy grały rolę kosmitów. Bliźniaki – członków jakiegoś królewskiego rodu, a sosnowa szyszka miała być albo magicznym jabłkiem królewskim, albo granatem ręcznym, albo jednym i drugim.

– Mówiłaś Michaelowi o Walkerze? – zapytał Kellogg.

W kilku słowach streściła detektywowi poznane fakty z życia Pella, dodając, że pisarz ma się

dowiedzieć, czy Theresa Croyton będzie mogła z nimi porozmawiać.

– I co, sądzisz, że Pell tu jest z powodu tamtych morderstw? – zapytał O’Neil.

– Nie wiem – odrzekła. – Ale muszę zebrać tyle informacji, ile się da.

Detektyw uśmiechnął się, wyjaśniając Kelloggowi:

– Poruszy niebo i ziemię. Tak określam jej metody pracy.

– Których zresztą nauczyłam się od ciebie – odparła ze śmiechem Dance.

– Zastanawiałem się nad czymś – dodał O’Neil. – Pamiętacie, jak Pell jeszcze z Capitoli mówił przez telefon o pieniądzach?

– Dziewięciu tysiącach dwustu dolarach – rzekł Kellogg. Jego pa mięć zrobiła wrażenie na Dance.

– No więc pomyślałem sobie tak: wiemy, że thunderbirda skradziono w Los Angeles. Można więc przyjąć, że stamtąd pochodzi dziewczyna Pella. Co powiecie na to, żeby skontaktować się z bankami w okręgu Los Angeles i sprawdzić, czy jakieś klientki podejmowały taką kwotę w ciągu, powiedzmy, dwóch zeszłych miesięcy?

Dance spodobał się pomysł, choć jego realizacja wymagała mnóstwa pracy.

– Powinien się z tym zwrócić ktoś od was – zwrócił się do Kellogga O’Neil. –

Może z urzędu skarbowego, departamentu skarbu albo bezpieczeństwa wewnętrznego.

– Niezły pomysł. Chociaż tak głośno myśląc, powiedziałbym, że możemy mieć problem z ludźmi.

– Potwierdzał obawy Dance. – W grę wchodzi miliony klientów. Biuro w Los Angeles na pewno sobie z tym nie poradzi, a departament bezpieczeństwa tylko nas wyśmiej. Mogła być sprytna i wypłacać drobniejsze kwoty w dłuższym okresie. Albo zrealizować czek kogoś innego i schować pieniądze.

Och, oczywiście, Możliwe. Ale świetnie byłoby zidentyfikować jego dziewczynę. Wiesz, „drugi podejrzany...

...logarytmicznie zwiększa prawdopodobieństwo wykrycia i zatrzymania” dokończył Kellogg zdanie ze starego policyjnego podręcznika. Dance i O’Neil często je cytowali.

Kellogg z uśmiechem patrzył detektywowi w oczy.

– Federalni wcale nie mają takich możliwości, jak się podejrzewa. Jestem pewien, że zabrakłoby nam ludzi do obsługi telefonów. To gigantyczna robota.

– Czy ja wiem. Chyba łatwo byłoby sprawdzić bazy danych, przy najmniej w większych sieciach banków. – Michael O’Neil bywał nie ustępliwy.

– Potrzebowalibyśmy nakazu? – zapytała Dance.

– Żeby ujawnili nazwisko, prawdopodobnie tak – odrzekł detektyw. – Ale gdyby bank chciał współpracować, mogliby sprawdzić kwoty i po wiedzieć nam, czy jest trafienie. Wtedy w ciągu pół godziny mielibyśmy nakaz na nazwisko i adres.

Kellogg pociągnął łyk wina.

– Prawdę mówiąc, jest jeszcze jeden problem. Obawiam się, że gdy byśmy zwrócili się do agenta specjalnego albo departamentu bezpieczeństwa z takim słabym materiałem, moglibyśmy stracić wsparcie, które będzie nam potrzebne przy czymś bardziej konkretnym.

– Fałszywy alarm, hm? – O’Neil pokiwał głową. – Pewnie na takim szczeblu trzeba więcej polityki niż u nas na dole.

– Ale pomyślę o tym. Zadzwoń do paru osób.

O’Neil spojrzął ponad ramieniem Dance.

– Hej, wszystkiego najlepszego, młody człowieku.

Stuart Dance, z przypiętą na piersi plakieta „SOLENIZANT” wykonaną własnoręcznie przez Maggie i Wesa, uściskała dłoń detektywa, napełnił kieliszki O’Neila i Dance i zwrócił się do Kellogga:

– Rozmawiacie o pracy. To zabronione. Zostawmy te dzieci i chodźmy pobawić się z dorosłymi.

Kellogg zaśmiał się zmieszany i ruszył za nim do stołu rozjaśnionego blaskiem świec, gdzie Martine wyciągnęła z futerału sfatygowanego gibsona, organizując wspólne śpiewanie. Agentka i detektyw zostali sami. Dance zauważyła, że Wes patrzy w ich stronę. Zapewne przyglądał się dorosłym. Odwrócił się, wracając do improwizacji „Gwiezdných wojen”.

– Wydaje się w porządku rzekł O’Neil, przechylając głowę w kierunku Kellogga.

– Winston? Tak.

O’Neil jak zwykle nie miał żalu za odrzucenie swoich propozycji. Nie było w nim ani krzty małostkowości.

– Chyba niedawno dostał? – O’Neil pokazał na swój kark.

– Skąd wiesz? – Na przyjęciu nie było widać bandaża.

– Dotykał tak, jak się dotyka rany.

Roześmiała się.

– Niezła analiza kinezyjna. Masz rację, niedawno został postrzelony. W Chicago. Sprawca chyba strzelił pierwszy i Win musiał go zlikwidować. Nie mów mi o szczegółach.

Zamilkli, patrząc na ogród, na dzieci, psy i na światła, coraz bardziej widoczne w zapadającym zmierzchu.

– Dopadniemy go.

– Tak? – spytała.

– Aha. Popełni błąd. Zawsze popełniają błędy.

– Nie wiem. Ten wydaje się trochę inny. Nie masz takiego wrażenia?

– Nie. Wcale nie jest inny. Jest po prostu gorszy.

Michael O’Neil – najbardziej czytana osoba, jaką znała – miał zaskakująco prostą filozofię życia. Nie wierzył w zło ani dobro, a tym bardziej w Boga czy szatana. To były abstrakcyjne pojęcia odwracające uwagę od zadania, które polegało na łapaniu ludzi winnych złamania reguł stworzonych przez ludzi dla ich własnego dobra i bezpieczeństwa.

Nie istniało dobro ani zło. Tylko destrukcyjne siły, które należało powstrzymać.

Dla Michaela O’Neila Daniel Pell był jak tsunami, trzęsienie ziemi, tornado.

Przyglądając się zabawie dzieci, detektyw rzekł:

– Rozumiem, że z tym facetem, z którym się spotykałaś... to już koniec?

*Dzwonił Brian...*

– Słyszałaś, hm? Wsypała mnie moja własna sekretarka.

– Przykro mi. Naprawdę.

– Wiesz, jak to jest – powiedziała Dance, zauważając, że wygłosiła jedno ze zdań, które były nic nieznaczącymi wypełniaczami rozmowy.

– Pewnie.

Odwróciwszy się, Dance zobaczyła matkę idącą na Taras z kolacją. I patrzącą na nich żonę O’Neila. Anne uśmiechnęła się do niej. Dance odpowiedziała uśmiechem.

– Chodź, pójdziemy pośpiewać.

– Muszę śpiewać?

Absolutnie nie – odrzekła szybko. Detektyw mówił pięknym niskim głosem z naturalnym wibrato. Nie potrafił jednak utrzymać tonacji nawet pod groźbą tortur.

Po półgodzinie muzyki, plotkowania i śmiechu Edie Dance, jej córka i wnuczka podały stek wołowy marynowany w sosie Worcestershire, sałatkę, szparagi i ziemniaki *au gratin*. Dance usiadła obok Winstona Kellogga, który dzielnie radził

sobie wśród nieznajomych. Opowiedział nawet kilka dowcipów ze śmiertelną powagą, przywodzącą jej na myśl zmarłego męża, którego łączyła z Kelloggiem nie tylko służba w tej samej instytucji, lecz także swobodny sposób bycia –

przynajmniej gdy legitymacja federalna była głęboko ukryta.

Rozmowa krążyła wokół różnych tematów, od muzyki, przez krytykę sztuki San Francisco wygłoszoną przez Annę O’Neil po politykę na Bliskim Wschodzie, w Waszyngtonie i Sacramento oraz znacznie ważniejszą historię małej wydry morskiej, która dwa dni temu urodziła się w niewoli w oceanarium.

Spotkanie było przyjemne: przyjaciele, śmiech, jedzenie, wino, muzyka.

Ale dla Kathryn Dance pełnia szczęścia pozostawała nieosiągalna. Cały wieczór, skądinąd bardzo miły, przenikała jedna myśl, pulsująca jak linia basu starej gitary Martine – Daniel Pell wciąż był na wolności.

**Środa**

**Rozdział 27**

Kathryn Dance siedziała w jednym z domków Point Lobos Inn – drogiego hotelu, w którym była pierwszy raz w życiu. Zespół luksusowych domków przy cichej drodze niedaleko autostrady numer 1 na południe od Carmel przylegał do pełnego surowego piękna parku stanowego, od którego wzięł nazwę. Utrzymany w stylu Tudorów hotel leżał na uboczu – od ruchliwej drogi oddzielał go długi podjazd – a siedzący w radiowozie zaparkowanym przed główną bramą zastępca szeryfa miał doskonały widok na wszystkie drogi prowadzące do Point Lobos Inn.

Właśnie z tego powodu wybrała to miejsce.

Dance skontaktowała się z O’Neilem. Detektyw pojechał zbadać zgłoszenie zaginięcia w Monterey. Zadzwoiła także do TJ-a i Carranea. TJ nie miał jej nic do powiedzenia, a Latynos poinformował ją, że jeszcze nie udało mu się znaleźć taniego motelu albo pensjonatu, w którym mógł się ukrywać Pell.

– Sprawdziłem wszystkie aż do Gilroy i...

– Powiedziałaś „taniego”?

Chwila ciszy.

– Zgadza się, agentko Dance. Drogimi w ogóle nie zwracałem sobie głowy.

Sądziłem, że zbieg ma za mało pieniędzy, żeby go było na nie stać.

Dance przypomniała sobie potajemną rozmowę Pella z Capitoli, wzmiankę o dziewięciu tysiącach dwustu dolarów.

– Pell prawdopodobnie przypuszcza, że tak właśnie sądzisz. Co oznacza... –

Zawiesiła głos, by Carraneo dokończył jej myśl.

– Że rozsądniej będzie ukryć się w drogim. Hm. Dobrze. Zajmę się tym.

Chwileczkę. Gdzie pani teraz jest? Myśli pani, że...

– Sprawdziłam tu już wszystkich – zapewniła go i odłożyła słuchawkę. Znów spojrzała na zegarek, zastanawiając się, czy ten nedorzeczny plan w ogóle coś da.

Pięć minut później rozległo się pukanie do drzwi. Dance otworzyła i ujrzała agenta CBI, Alberta Stemple'a, w towarzystwie kobiety pod trzydziestkę, która wydawała się drobna przy jego zwalistej sylwetce. Krępa Linda Whitfield miała ładną twarz bez śladu makijażu i krótkie rude włosy. Była ubrana w nieco sfatygowane rzeczy: czarne, wytarte na kolanach elastyczne spodnie i czerwony sweter, z którego zwisały nitki; trójkątne wycięcie ukazywało srebrzystoszary krzyżyk na szyi. Dance nie wyczuła zapachu perfum. Linda miała krótko obcięte, niepolakierowane paznokcie.

Podąły sobie ręce. Linda miała mocny uścisk.

Stemple uniósł brew, pytając niemo: coś jeszcze?

Dance podziękowała mu, więc potężny agent postawił walizkę Lindy i wolnym krokiem wyszedł. Dance zamknęła drzwi na klucz, a Linda weszła do salonu trzypokojowego domku. Oglądała eleganckie wnętrze z taką miną, jak gdyby najładniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek mieszkała, był jeden z hoteli Days Inn.

– Rety.

– Nastawiłam kawę. – Dance wskazała małą kuchenkę.

– Wolałabym herbatę, jeżeli można.

Dance zaparzyła kubek.

– Mam nadzieję, że nie będzie pani tu musiała długo zostać. Może nawet nie do jutra.

– Jakies wiadomości o Danielu?

– Nic nowego.

Linda oglądała sypialnie, jak gdyby wybór jednej z nich miał ją skazać na dłuższy pobyt, niż by sobie życzyła. Po krótkim wahaniu odzyskała pewność siebie. Wstawiła walizkę do pokoju, po czym wróciła do salonu, przyjęła od Dance herbatę, nalała mleka i usiadła.

– Od lat nie leciałam samolotem – powiedziała. – A ten odrzutowiec... był niesamowity. Taki mały, ale kiedy wystartował, dosłownie wcisnęło mnie w fotel.

Na pokładzie była agentka FBI. Bardzo miła.

Siedziały na wygodnych kanapach, po przeciwległych stronach dużego stolika.

Linda znów rozejrzała się po domku.

– Rety, ale tu ładnie.

Istotnie. Dance była ciekawa, co powiedzą księgowi FBI, kiedy zobaczą rachunek. Wynajęcie domku kosztowało prawie sześć setek za noc.

– Rebecca już jest w drodze. Ale możemy zacząć bez niej.

– A Samantha?

– Nie przyjedzie.

– Rozmawiała pani z nią?

– Pojechałam do niej.

– Gdzie ona jest?... Zaraz, przecież nie może mi pani powiedzieć.

Dance uśmiechnęła się.

– Słyszałam, że zrobiła sobie operację plastyczną, zmieniła nazwisko i tak dalej.

– To prawda.

– Na lotnisku kupiłam gazetę, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Dance zastanawiał brak telewizora w domu jej brata, gdzie mieszkała; czy to była decyzja



podyktowana względami etycznymi czy kulturalnymi? A może ekonomicznymi? Kabłówkę można dziś założyć za paręset dolarów. Ale widok prawie zupełnie ściętych obcasów Lindy dawał do myślenia.

– Napisali, że to na pewno on zabił strażników. – Odstawiła herbatę. –

Zdziwiłam się. Daniel nigdy nie używał siły. Mógłby kogoś skrzywdzić tylko w obronie własnej.

Z punktu widzenia Pella właśnie taki był powód mordu strażników.

– Przecież darował komuś życie – ciągnęła Linda. – Temu kurierowi.

Tylko dlatego, że miał w tym interes.

Dance zapytała o zabójstwo pracownika okręgowego w Redding.

– Charles Pickering? – Kobieta zamyśliła się, utkwivszy wzrok w urządzeniach kuchennych. –

Nigdy nie słyszałam, żeby Daniel o nim wspominał. Ale jeżeli policja go wypuściła, to chyba znaczy, że tego nie zrobił.

Ciekawa logika.

– Jak pani poznała Pella?

– To było mniej więcej dziesięć lat temu. W Golden Gate Park. W San Francisco. Uciekłam z domu i spałam w parku. Daniel, Samantha i Jimmy mieszkali w Seaside z kilkoma osobami. Jeździli po całym wybrzeżu jak cyganie.

Sprzedawali różne rzeczy, które kupowali albo sami robili. Sam i Jimmy byli naprawdę utalentowani; robili ramki do obrazów, stojaki na płyty CD, wieszaki na krawaty. Tego typu rzeczy.

W każdym razie w tamten weekend uciekłam – nic wielkiego, ciągle to robiłam

– i Daniel zobaczył mnie w pobliżu Ogrodu Japońskiego. Usiadł i zaczął ze mną rozmawiać.

Daniel miał dar. Umiał słuchać. Sprawiał, że człowiek zaczynał się czuć, jak gdyby był w centrum wszechświata. Naprawdę... no wie pani, uwodził.

– I nie wróciła już pani do domu?

– Wróciłam. Zawsze chciałam uciekać i ciągle uciekałam. Mój brat zrobił to raz. Kiedy miał osiemnaście lat, wyszedł z domu i już nigdy nie obejrzał się za siebie. Mnie brakowało odwagi. Moi rodzice – mieszkaliśmy w San Mateo byli naprawdę surowi. Jak instruktorzy musztry. Ojciec kierował Santa Clara Bank and Trust i...

– Zaraz, to ten Whitfield?

– Ten sam. Multimilioner Whitfield. Ten, który finansował sporą część Doliny Krzemowej i przetrwał krach. Ten, któremu marzyła się kariera polityczna, dopóki o jego córce nie zrobiło się głośno w prasie.

Gorzki uśmiech. – Poznała pani kiedyś kogoś, kogo wyparła się rodzina?

Właśnie ma pani okazję...

Kiedy dorastałam, byli bardzo apodyktyczni. Musiałam wszystko robić tak, jak sobie życzyli. Oni decydowali, jak mam urządzić swój pokój, jak się mam ubierać, jakie przedmioty wybrać w szkole, jakie mam mieć stopnie. Zanim skończyłam czternaście lat, ojciec regularnie spuszczał mi lanie, a przestał, bo matka chyba mu uświadomiła, że dziewczynki w tym wieku raczej nie powinien bić... Twierdzili, że to wszystko z miłości, bo chcieli, żebym była szczęśliwa i żeby mi się wiodło w życiu. Ale tak naprawdę chcieli mnie sobie podporządkować. Próbowali zrobić ze mnie laleczkę, którą mogliby ubierać i się nią bawić.

No więc wróciłam do domu, ale cały czas nie mogłam zapomnieć o Danielu.

Rozmawialiśmy, czyja wiem, może tylko parę godzin. Ale to było wspaniałe.

Traktował mnie jak człowieka. Powiedział, żebym kierowała się własnym rozumem. Że jestem

bystra i ładna. – Grymas. – Och, wcale nie byłam ani bystra, ani ładna. Ale kiedy mówił, wierzyłam mu.

Któregoś ranka matka weszła do mojego pokoju, kazała mi wstać i się ubrać.

Szliśmy do ciotki czy kogoś innego. I miałam włożyć spódnice. Chciałam włożyć džinsy. To nie była żadna oficjalna wizyta – szliśmy tylko na lunch. A matka zrobiła mi awanturę. Krzyczała: „Moja córka nie będzie mi tu...” Wie pani, o co chodzi. W każdym razie złapałam plecak i po prostu wyszłam. Bałam się, że nie znajdę Daniela, ale pamiętałam, jak mi mówił, że w tym tygodniu będzie w Santa Cruz, na pchlim targu przy promenadzie.

Na nadmorskiej promenadzie był znany park rozrywki. O każdej porze dnia kręciło się tam wielu młodych ludzi. Dance pomyślała, że mogło to być dobre miejsce na łowy, jeśli Daniel Pell szukał nowych ofiar.

– Często tam bywał. Właśnie tam poznał Jimmy’ego, a potem Rebeccę. No więc pojechałam stopem autostradą numer jeden i znalazłam go. Chyba ucieszył się na mój widok. Nie pamiętam, żeby moi rodzice kiedykolwiek tak mnie przywitali.

– Zaśmiała się. – Zapytałam, czy zna jakiejś miejsce, gdzie mogłabym się zatrzymać. Było mi trochę głupio, że się tak przymawiam. Ale on powiedział:

„Jasne. U nas”.

W Seaside?

Mhm. Mieliśmy tam mały bungalow.

Pani, Samantha, Jimmy i Pell?

– Zgadza się.

Język jej ciała powiedział Dance, że to dla Lindy miłe wspomnienia: swobodne ułożenie ramion, zmarszczki w kącikach oczu i ilustracyjne gesty rąk, podkreślające treść wypowiedzi i świadczące o intensywnej reakcji mówiącego na własne słowa.

Linda uniosła kubek i upiła łyk herbaty.

– W gazetach pisali o sekcie, narkotykach i orgiach, ale to nieprawda. Mieliśmy ciepły i przytulny dom. Żadnych narkotyków ani alkoholu. Czasem wino do kolacji. Och, naprawdę było cudownie. Czulałam się wspaniale wśród ludzi, którzy przyjmowali mnie taką, jaka byłam, nie próbowali mnie zmienić i mnie szanowali.

Prowadziłam dom. Można powiedzieć, że byłam kimś w rodzaju matki. Miła odmiana dla kogoś, na kogo wrzeszczano za to, że ma własne zdanie.

– A przestępstwa?

Linda zeszywniała.

– No tak, zdarzały się. Czasami. Nie aż tyle, jak ludzie mówią. Drobną kradzież w sklepie, takie rzeczy. I nigdy mi się to nie podobało. Nigdy.

Zapewnieniu towarzyszyło kilka gestów negacji, lecz Dance wyczuła, że Linda nie kłamie; stres wywołało bagatelizowanie skali przestępstw. Rodzina dopuszczała się gorszych rzeczy niż kradzieże w sklepie. Zarzuty mówiły o włamaniach i rabunkach, a także kradzieżach kieszonkowych i kradzieżach torebek –

przestępstwach przeciwko osobom, które w świetle kodeksu karnego miały większą wagę od przestępstw przeciwko mieniu.

– Ale nie mieliśmy innego wyjścia. Każdy w Rodzinie musiał w tym brać udział.

– Jak się mieszało z Danielem?

– Wcale nie tak źle, jak można sądzić. Trzeba było po prostu robić to, czego chciał.

– A jeżeli nie?

– Nigdy nie robił nam krzywdy. Fizycznej. Przeważnie... przestawał się nami interesować.

Dance przypomniała sobie nakreślony przez Kellogga profil przywódcy sekty.

*Grozi im, że się od nich odwróci – to chyba jego najpotężniejsza broń.*

– Odsuwał się od nas. I człowiek zaczynał się bać. Nigdy nie było wiadomo, czy to już koniec i czy cię nie wyrzuci. Jedna kobieta w kancelarii kościoła opowiadała mi o reality show. Zna je pani? „Wielki Brat”, „Rzykanci”?

Dance przytaknęła.

– Mówiła, jak bardzo popularne są te programy. Chyba właśnie dla tego ludzie mają na ich punkcie taką obsesję. To straszna myśl, że można zostać wyrzuconym z rodziny. – Wzruszyła ramionami, bawiąc się krzyżykiem na szyi.

– Dostała pani wyższy wyrok niż reszta. Za zniszczenie dowodów. Jak to wyglądało?

Linda zacisnęła usta.

– To było głupie. Daniel zadzwonił, powiedział, że Jimmy nie żyje i coś poszło nie tak w domu, gdzie byli umówieni na spotkanie. Kazał się nam spakować i przygotować do drogi, bo miała go szukać policja. Daniel trzymał w sypialni te swoje książki o Charlesie Mansonie, wycinki z gazet i tak dalej. Zanim przyjechała policja, część spaliłam. Wy dawało mi się, że może być źle, jak się dowiedzą, że interesował się Mansonem.

I było źle, pomyślała Dance, przypominając sobie, jak prokurator wykorzystał wątek Charlesa Mansona, by wygrać sprawę.

Na prośbę Dance, Linda opowiedziała o swoich późniejszych losach. W

więzieniu stała się bardzo religijna, a po zwolnieniu przeprowadziła się do Portland, gdzie znalazła pracę w miejscowym kościele protestanckim. Wybrała kościół, ponieważ jej brat był tam diakonem.

W Portland spotykała się z miłym, przyzwoitym człowiekiem i opiekowała się przybranymi dziećmi brata i bratowej. Sama także chciała adoptować dziecko –

miała kłopoty ze zdrowiem i nie mogła mieć własnych dzieci – lecz osobie z wyrokiem trudno było zdobyć zgodę. Na zakończenie dodała:

– Może nie powodzi mi się materialnie, ale lubię swoje życie. To bogate życie, w dobrym znaczeniu tego słowa.

Przerwało jej pukanie. Dłoń Dance spoczęła na ciężkim pistolecie.

– To ja, szefowo, TJ. Zapomniałem tajnego hasła.

Dance otworzyła drzwi i do domku wszedł agent w towarzystwie wysokiej i szczupłej, trzydziestokilkuletniej kobiety ze skórzanym plecakiem przewieszonym przez ramię.

Kathryn Dance podeszła powitać drugiego członka Rodziny.

## **Rozdział 28**

Rebecca Sheffield, kilka lat starsza od swojej współtowarzyszki z Rodziny, była wysportowana i prześliczna, choć Dance uznała, że krótko obcięte, przedwcześnie posiwiałe włosy, ekstrawagancka biżuteria i brak makijażu nadają jej ascetyczny wygląd. Miała na sobie dzinsy, jedwabny biały T-shirt i kurteczkę z brązowego zamszu.

Rebecca mocno uścisnęła dłoń Dance, lecz natychmiast zwróciła wzrok na Lindę, która wstała z kanapy, patrząc na nią z uśmiechem.

- Proszę, proszę, kogo ja widzę. – Rebecca podeszła i wzięła ją w objęcia.
- Tyle lat – wykrztusiła Linda zdławionym głosem. – Rety, chyba się rozplaczę.
- I rzeczywiście zalała się łzami.

Odsunęły się od siebie, ale Rebecca wciąż nie wypuszczała z rąk jej dłoni.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Linda.
- Och, Rebecca... Często się za ciebie modliłam.

– Taka się zrobiłaś pobożna? Kiedyś nie odróżniałaś krzyża od Gwiazdy Dawida. W każdym razie dzięki za modlitwy. Nie wiem tylko, czy zadziałały.

– Och, przecież robisz takie dobre rzeczy. Naprawdę! W kancelarii kościelnej jest komputer. Widziałam twoją stronę internetową. Kobiety zakładają własne firmy. To wspaniałe. Na pewno przynosi wiele pożytku.

Rebecca wyglądała na zdziwioną faktem, że Linda zna jej działalność. Gdy Dance wskazała jej wolną sypialnię, Rebecca zaniósła tam plecak, a potem skorzystała z toalety.

– Szefowo, jeżeli będziesz mnie potrzebować, po prostu wrzaśnij. – TJ wyszedł, a Dance zamknęła za nim drzwi.

Linda podniosła kubek z herbatą i obracała go w dłoniach, nie pijąc ani kropli.

Ludzie w stresowych sytuacjach uwielbiają mieć pod ręką jakiś rekwizyt. Dance przesłuchiwała osoby, które rozładowywały napięcie, bawiąc się długopisami, popielniczkami, opakowaniami po jedzeniu, a nawet własnymi butami.

Gdy Rebecca wróciła, Dance zaproponowała jej kawę.

– Jasne.

Dance naląła kubek, stawiając obok mleko i cukier.

– Nie mają tu restauracji, ale jest room service. Można zamawiać wszystko, czego sobie życzyście.

Popijając kawę, Rebecca powiedziała:

– Muszę powiedzieć, że dobrze wyglądasz, Linda.

Rumieniec.

– Och, nie wiem. Nie jestem w takiej formie, jak bym chciała. Za to ty wyglądasz precudownie. Taka jesteś szczupła. I masz fantastyczne włosy.

Rebecca parsknęła śmiechem.

– Nie ma to jak parę lat w pudle, żeby posiwieć, hm? Ej, nie widzę obrączki.

Nie wyszłaś za mąż?

– Nie.

– Ja też nie.

– Żartujesz. Miałaś wyjść za jakiegoś potężnie zbudowanego włoskiego rzeźbiarza. Myślałam, że już na pewno kogoś masz.

– Niełatwo znaleźć tego jedyne, kiedy się okazuje, że twoim byłym chłopakiem jest Daniel Pell. Czytałam o twoim ojcu w „Business Week”. Podobno bank mu się rozrasta.

– Naprawdę? Nie miałam pojęcia.

– Ciągłe z nim nie rozmawiasz?

Linda pokręciła głową.

– Mój brat też nie. Jesteśmy jak dwie myszy kościelne. Ale możesz mi wierzyć, tak jest lepiej. Ciągłe malujesz?

– Trochę. Ale nie zawodowo.

Nie? Naprawdę? – Linda błyszczącymi oczyma spojrzała na Dance. – Och, Rebecca była świetna! Powinna pani zobaczyć jej obrazy. Jest najlepsza.

– Szkicuję tylko dla przyjemności.

Przez następnych kilka minut dzieliły się najnowszymi informacjami o swoim życiu. Dance zdziwiła się, że choć obie mieszkały na Zachodnim Wybrzeżu, nie kontaktowały się ze sobą od procesu.

Rebecca zerknęła na Dance. Samantha też przyjedzie posiedzieć z nami przy kawce? Czy jak ona teraz ma na imię?

– Nie, będziecie tylko we dwie.

Sam zawsze była tą nieśmiałą.

– Myszka, pamiętasz? – dodała Linda.

– Zgadza się. Tak ją nazywał Pełł. Swoją Myszką.

Dolały sobie kawy i herbaty, po czym Dance przystąpiła do pracy, zadając Rebecce te same pytania co wcześniej Lindzie.

– Mnie pan Pell raczył omotać jako ostatnią – odparła. – To było... kiedy dokładnie? – Zerknęła na Lindę, która powiedziała:

– W styczniu. Cztery miesiące przed tą historią z Croytonami.

„Historią”. Nie „morderstwem”.

– Jak pani poznała Pella? – spytała Dance.

– Włóczyłam się wtedy po Zachodnim Wybrzeżu i zarabiałam rysowaniem portretów w wesołych miasteczkach i na plażach. Kiedy rozstawiłam sztalugi, zatrzymał się przy mnie Pell. Chciał, żebym mu zrobiła portret.

– Pamiętam, że niewiele wtedy narysowałam – wtrąciła Linda ze znaczącym uśmiechem. – Oboje zniknęliśmy w furgonetce. I bardzo długo was nie było.

Rebecca uśmiechnęła się z zażenowaniem.

– No tak, Pell miał w sobie to coś... W każdym razie na rozmowę też mieliśmy czas. Zapytał mnie, czy chcę pomieszkać z nimi w Seaside. Z początku nie byłam pewna – w końcu wszyscy znali reputację Pella, słyszeli o kradzieżach i tak dalej.

Ale powiedziałam sobie, do diabła, przecież jestem zbuntowaną artystką, życie w stylu bohemy mi pasuje. Pieprzyć wychowanie panienki z dobrego domu... raz się żyje. No i się zgodziłam. Układało się całkiem dobrze. Miałam wokół siebie fajnych ludzi takich jak Linda i Sam. Nie musiałam biegać do pracy na dziewiątą, mogłam malować, ile chciałam. Czegóż więcej można pragnąć od życia?

Oczywiście potem się okazało, że zostałam członkiem bandy złodziei spod znaku Bonnie i Clyde'a. A to już nie było takie dobre.

Dance zauważyła, że na te słowa łagodna twarz Lindy pociemniała. Rebecca opowiedziała, jak po zwolnieniu z więzienia zaangażowała się w ruch kobiecy.

– Doszłam do wniosku, że płaszcząc się przed Pellem i traktując go jak pana i władcę, cofnęłam ideę feminizmu o parę lat i chciałam je nadrobić.

Wreszcie, po licznych wizytach u terapeutów, otworzyła firmę konsultingową, aby pomagać kobietom zakładać i finansować własny biznes. Zajmowała się tym do dziś. Chyba nieźle jej się powodzi, pomyślała Dance, sądząc po biżuterii, stroju i włoskich butach, które według jej oceny (a

agentka mogła być rzeczoznawcą sądowym w dziedzinie obuwia) kosztowały tyle co jej dwie najlepsze pary.

Znów ktoś zapukał. Był to Winston Kellogg. Dance ucieszyła się na jego widok

– ze względów zawodowych i osobistych. Poprzedniego wieczoru na Tarasie miała przyjemność bliżej go poznać. Jak na ciężko pracującego w całym kraju agenta, okazał się zaskakująco towarzyski. Dance bywała na wielu uroczystościach, gdzie miała okazję spotykać współpracowników męża z FBI, którzy przeważnie byli zamknięci w sobie i rzadko się odzywali. Lecz Win Kellogg razem z jej rodzicami opuścił przyjęcie ostatni.

Agent przywitał się z dwiema kobietami i zgodnie z regulaminem pokazał im legitymację. Nalał sobie kawy. Dotąd Dance pytała tylko o ogólne informacje, ale skoro zjawił się Kellogg, mogła przystąpić do sedna.

– Sytuacja przedstawia się tak. Pell prawdopodobnie wciąż jest w okolicy. Nie możemy ustalić gdzie ani dlaczego. Takie zachowanie nie ma sensu; większość zbiegów z więzienia zwykle ucieka jak najdalej.

Opowiedziała im o przebiegu wypadków w sądzie oraz o wszystkich późniejszych wydarzeniach. Kobiety słuchały z zainteresowaniem, a niektóre szczegóły wzbudziły w nich odrazę i szok.

– Po pierwsze, chcę zapytać o tę współniczkę.

– Tę kobietę, o której czytałam? – spytała Linda. – Kto to jest?

– Nie wiemy. Podobno młoda i jasnowłosa. W wieku dwudziestu kilku lat.

– A więc znalazł sobie nową dziewczynę – powiedziała Rebecca. – Cały Daniel.

– Nie wiemy, co naprawdę ich łączy – rzekł Kellogg. – Dziewczyna prawdopodobnie była jego wielbicielką. Wiele kobiet jest gotowych rzucić się do stóp więźniom, nawet tym najgorszym.

Rebecca zaśmiała się, spoglądając na Lindę.

– Dostawałaś jakieś listy miłosne w pudle? Ja nie.

Linda skwitowała to zdawkowym uśmiechem.

– Istnieje prawdopodobieństwo – podjęła Dance – że to nie jest nie znana osoba. W czasach istnienia Rodziny była bardzo młoda, ale zastanawiam się, czy mogłyście ją znać.

Linda zmarszczyła brwi.

– Dwadzieścia parę lat... musiała być wtedy nastolatką. Nie przypominam sobie nikogo takiego.

– Kiedy żyłam w Rodzinie, było nas tylko pięcioro – dodała Rebecca.

Dance zapisała coś w notesie.

– Chciałabym teraz posłuchać, jak wyglądało wtedy wasze życie. Co Pell mówił i robił, co go interesowało, jakie miał plany. Mam nadzieję, że przypomnicie sobie coś, co nam da jakąś wskazówkę.

– Krok pierwszy, zdefiniować problem. Krok drugi, zebrać fakty. – Rebecca utkwiała wzrok w Dance.

Linda i Kellogg wyglądali na skonsternowanych. Dance oczywiście wiedziała, o czym mówi Rebecca. (I była wdzięczna, że nie usłyszała podobnego wykładu jak poprzedniego dnia).

– Możecie nam podrzucić, co tylko chcecie. Jeżeli przyjdzie wam do głowy jakiś szczegół, który wydaje się dziwny, mówcie. Chcemy wiedzieć wszystko, co się da.

– Jestem gotowa – oświadczyła Linda.

– Niech nas pani magluje – zachęciła ją Rebecca.

Dance spytała o organizację życia w Rodzinie.

– Było jak w komunie – odrzekła Rebecca. – Co mnie, wychowanej na przedmieściu prosto z sitcomu, wydawało się trochę dziwne.

Z ich opisu wynikało jednak, że stosunki panujące w domu odbiegały nieco od ideałów komunizmu. Wszystko opierało się na zasadzie: od każdego tyle, ile wymagał Daniel Pell; każdemu tyle, ile Daniel Pell uznał za stosowne.

Mimo to Rodzina funkcjonowała całkiem dobrze, przynajmniej pod względem praktycznym. Linda dbała, by gospodarstwo działało sprawnie, a pozostali dzielili się resztą obowiązków. Nieźle jedli i utrzymywali bungalow w czystości i dobrym stanie. Samantha i Jimmy Newberg, najlepiej radzący sobie z narzędziami, przeprowadzali wszystkie niezbędne naprawy. Z oczywistych przyczyn – w sypialni trzymali skradzione przedmioty – Pell nie chciał, żeby właściciel malował dom czy reperował zepsute urządzenia, dlatego musieli być samowystarczalni.

– Taka była jedna z zasad filozofii życiowej Daniela – powiedziała Linda. – „Poleganie na sobie” – esej Ralpha Waldo Emersona. Chyba kilkanaście razy czytałam go na głos. Daniel uwielbiał tego słuchać. – Rebecca uśmiechała się. –

Pamiętasz nasze wieczorne czytanie?

Linda wyjaśniła, że Pell wierzył w siłę książek.

– Uwielbiał je. Uroczyście wyrzuciliśmy telewizor. Prawie co wieczór czytałam na głos, a wszyscy siadali kołem na podłodze. To były miłe wieczory.

– Czy w Seaside mieliście jakichś sąsiadów czy przyjaciół, z którymi utrzymywaliście bliższe kontakty?

– Nie mieliśmy przyjaciół – odrzekła Rebecca. – To nie było w stylu Pella.

– Ale czasem wpadali do nas ludzie, których poznawał, trochę po mieszkali i znikali. Zawsze zbierał nowych ludzi.

– Takie życiowe ofiary jak my.

Linda lekko się obruszyła.

– Powiedziałabym raczej, ludzi, którym nie dopisało szczęście – po prawila. –

Daniel niczego im nie żałował. Karmił ich, czasem dawał im pieniądze.

Jeśli nakarmisz głodnego, zrobi wszystko, co zechcesz, pomyślała Dance, wspominając przedstawiony przez Kellogga profil przywódcy sekty i jego poddanych.

Kontynuowali podróż w przeszłość, która jednak nie pomogła Lindzie i Rebecce przypomnieć sobie, kim mogli być goście bungalowu. Dance przeszła do kolejnego tematu.

– Niedawno Pell przeszukiwał Internet. Nie wiem, czy te słowa z czymś się wam kojarzą. Pierwsze to „Nimue”. Moim zdaniem to czyjeś imię. Może pseudonim albo sieciowy nick.

– Nie. Nigdy nie słyszałam. Co to znaczy?

– To postać z legendy o królu Arturze.

Rebecca spojrzała na Lindę.

– Słuchaj, nie czytałaś nam którejś z tych historii?

Okazało się jednak, że nie. Nie słyszały też nic o żadnej Alison.

– Opowiedzcie, jak wyglądał typowy dzień w Rodzinie – poprosiła Dance.

Rebecca wyglądała, jak gdyby nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wstawaliśmy, jedliśmy śniadanie... nie wiem.

Linda wzruszyła ramionami, dodając:

– Byliśmy po prostu rodziną. Rozmawialiśmy o tym, o czym rozmawiają wszystkie rodziny. O

pogodzie, planach, gdzie pojedziemy. O kłopotach z pieniędzmi. Kto gdzie ma pracować. Czasami stałam w kuch ni, zmywałam po śniadaniu i po prostu płakałam – bo taka byłam szczęśliwa. Nareszcie miałam rodzinę.

Rebecca zgodziła się, że ich życie prawie w ogóle nie różniło się od życia innych, choć była wyraźnie mniej sentymentalna od swojej współtowarzyszki zbrodni.

Rozmowa stawała się chaotyczna, nie przynosząc żadnych istotnych informacji.

W przesłuchaniach obowiązuje znana zasada, według której pojęcia abstrakcyjne zacierają wspomnienia, natomiast poruszają je szczegóły. Dance powiedziała: Proszę coś dla mnie zrobić: wybierzcie jeden konkretny dzień. Opowiedzcie mi o nim. Taki, który obie pamiętacie.

Żadnej z nich jednak nie przychodził na myśl żaden szczególny dzień. Może jakieś święto – podsunęła Dance. – Dziękczynienia. Boże Narodzenie.

– Może tamta Wielkanoc? – zaproponowała Linda.

– Moje pierwsze święto w domu. I jedyne. Jasne. Fajnie było.

Linda opowiedziała o przygotowaniu bardzo wykwintnej kolacji, o której składniki „postarali się” Sam, Jimmy i Rebecca. Dance natychmiast wychwyciła ten eufemizm: oznaczał, że trójka po prostu ukradła jedzenie.

– Przyrządziłam indyka – ciągnęła Linda. – Cały dzień wędził się na podwórku.

Rety, ale mieliśmy frajdę.

– A więc w domu była pani, byłyście obie i Samantha – naciskała dalej Dance.

– Czyli ta spokojna.

– Myszka.

– I ten młody człowiek, który poszedł z Pellem do Croytonów – włączył się Kellogg. – Jimmy Newberg. Proszę nam coś o nim opowiedzieć.

– Zabawny szczeniak – powiedziała Rebecca. – Też uciekł z domu. Chyba był z Seattle.

– Całkiem przystojny. Ale tu miał nie po kolei. – Linda postukała się w czoło.

Jej towarzyszka parsknęła śmiechem.

– Przez prochy.

– Ale był prawdziwą złotą rączką. Znał się na wszystkim, na stolarce, elektronice. Był maniakiem komputerowym, nawet sam pisał programy. Kiedy nam o nich opowiadał, nikt nie rozumiał, o co mu chodzi. Chciał uruchomić jakąś stronę internetową – a to było w czasach, gdy nie każdy miał swoją jak dzisiaj.

Moim zdaniem był dosyć pomysłowy. Współczułam mu. Daniel nie bardzo go lubił. Tracił do niego cierpliwość. Chyba chciał go wyrzucić.

– Poza tym Daniel był kobieciarzem. Źle się czuł, kiedy miał obok siebie innych mężczyzn.

Dance skierowała rozmowę na przebieg Wielkanocy.

– Był ładny dzień – podjęła Linda. – Świeciło słońce. Było ciepło. Słuchaliśmy muzyki. Jimmy zmontował nam naprawdę porządny ze staw stereo.

– Zmówiliście modlitwę przed posiłkiem?

– Nie.

– Mimo że była Wielkanoc?

– Zaproponowałam modlitwę – powiedziała Rebecca. – Ale Pell się nie zgodził.

– Rzeczywiście – przytaknęła Linda. – Nawet się zdenerwował.

Zapewne z powodu ojca, uznała Dance.



– Graliśmy w różne gry na podwórku. We frisbee i w badmintona. Potem podałam kolację.

– Buchnęłam dobrego caberneta. Jimmy i my, dziewczyny, piliśmy wino. Pell nie pił. Och, nieźle się wtedy zaprawiłam. Sam też.

– I dużo jedliśmy. – Linda złapała się za żołądek.

Dance sondowała dalej. Zauważyła, że Winston Kellogg wycofał się z rozmowy. Był wprawdzie ekspertem od sekt, ale teraz zdał się na jej doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań. Była mu za to wdzięczna.

– Po kolacji siedzieliśmy i gadaliśmy – mówiła Linda. – Sam i ja trochę śpiewaliśmy. Jimmy majstrował przy komputerze. Daniel coś czytał.

Wspomnienie goniło wspomnienie, jak w reakcji łańcuchowej.

– Piliście, rozmawialiście, mieliście rodzinne święta.

– Tak.

– Pamiętacie, o czym rozmawialiście?

– Och, o zwykłych rzeczach, wiadomo... – Linda zamilkła. Po chwili powiedziała: – Zaraz. To mi przypomniało o czymś, co powinna pani wiedzieć. –

Lekko przechyliła głowę. Była to reakcja rozpoznania, choć sądząc po wyrazie jej oczu utkwionych w wazonie sztucznych amarylisów, myśl nie nabrała jeszcze ostatecznego kształtu. Dance milczała; bezpośrednim pytaniem często można zdmuchnąć ulotne wspomnienie.

– To nie była Wielkanoc, tylko inna kolacja – podjęła Linda. – Ale skojarzyłam to sobie z Wielkanocą. Daniel i ja byliśmy w kuchni. Przyglądał się, jak gotuję. I nagle w domu obok coś strasznie huknęło. Sąsiedzi się bili. Wtedy powiedział, że nie może się doczekać wyjazdu z Seaside. Żeby pojechać na swój szczyt góry.

– Szczyt góry?

– Tak.

– Swój? – odezwał się Kellogg.

– Tak powiedział.

– Miał jakąś ziemię?

– Nigdy nie wspominał nic konkretnego. Może mówił „swój” w ta kim sensie, że kiedyś chciałby mieć tę górę.

Rebecca nic na ten temat nie wiedziała.

– Pamiętam dokładnie – powiedziała Linda. – Chciał uciec od wszystkich. Mieć tylko nas, tylko Rodzinę. Żeby w pobliżu nie było ni kogo. Przedtem ani potem chyba już nic o tym nie mówił.

– Nie miał na myśli Utah? Obie twierdziłyście, że nigdy o nim nie wspominał.

– To prawda – przytaknęła Rebecca. – Ale chwileczkę. Skoro o tym mowa...

Nie wiem, czy to ważne, ale też coś sobie przypominam. Mniej więcej w tym samym stylu. Kiedy raz wieczorem leżeliśmy w łóżku, powiedział: „Muszę trafić coś grubszego. Wykombinować tyle forsy, żeby od wszystkich uciec”. Pamiętam.

Powiedział: „coś grubszego”.

– Co miał na myśli? Napad, żeby kupić jakąś ziemię?

– Możliwe.

– Linda?

Przyznała się do niewiedzy na ten temat, wyglądając na zmartwioną faktem, że Pell nie wyjawiał jej wszystkiego. Dance zadała oczywiste pytanie:

– Czy mogło mu chodzić o włamanie do domu Croytonów?

– Nie wiem – odparła Rebecca. – Nie mówił nam, dokąd się wybierają z Jimmym tamtego wieczoru.

Dance zastanawiała się: może jednak naprawdę skradł coś cennego z domu Croytonów. Kiedy policja zaczęła mu deptać po piętach, ukrył łup. Przyszedł jej na myśl samochód, którym pojechał na włamanie. Czy dokładnie go przeszukano?

Gdzie teraz jest? Może został zniszczony, może zmienił właściciela. Odnotowała w pamięci, by poszukać samochodu. Oraz by sprawdzić w rejestrach aktów własności, czy Pell posiadał jakąś nieruchomość.

Szczyt góry... Może właśnie tego szukał, oglądając witrynę Visual-Earth w Capitoli? Z półwyspu można było w godzinę dojechać do kilkunastu całkiem wysokich wzniesień.

Wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, ale Dance była zadowolona z rezultatów rozmowy. Wreszcie zaczynała rozumieć, o co mogło chodzić Danielowi Pellowi. Kiedy chciała jeszcze o coś zapytać, zadzwonił jej telefon.

– Przepraszam. – Odebrała.

– Kathryn, to ja.

Przycisnęła słuchawkę do ucha.

– TJ, co się dzieje? – Przygotowała się na złe wieści. Agent nie na zwał jej „szefową”, co świadczyło, że nie ma jej do zakomunikowania ni czego dobrego.

## **Rozdział 29**

Kathryn Dance i Winston Kellogg szli drogą pokrytą cienką warstwą wilgoci, zbliżając się do TJ-a i Michaela O’Neila, stojących obok otwartego bagażnika najnowszego modelu lexusa. Był z nimi jeszcze jeden mężczyzna – –

funkcjonariusz wydziału koronera, który w okręgu Monterey wchodził w skład biura szeryfa. Korpulentny, łysiejący zastępca szeryfa przywitał się z nią.

Dance przedstawiła go Kelloggowi, po czym zajrzała do bagażnika. Ofiara – kobieta – leżała na boku z podkulonymi nogami, a jej ręce i usta zaklejała taśma izolacyjna. Nos i twarz miały jasnoczerwony kolor. Popękały jej naczynia krwionośne.

– Susan Pemberton – powiedział O’Neil. – Mieszkała w Monterey.

Niezamężna, trzydzieści dziewięć lat.

– Przyczyną śmierci było zapewne uduszenie?

– Poza tym mamy rozszerzenie naczyń włosowatych, silne podrażnienie i obrzmienie błony śluzowej. Widzisz ten osad? Jestem pewien, że to kapsaicyna.

– Potraktował ją gazem pieprzowym, a potem zakneblował.

Funkcjonariusz skinął głową.

– Okropność – mruknął O’Neil.

Umierała w samotności, bólu i upokorzeniu, w bagażniku własnego samochodu, który stał się jej trumną. Dance poczuła, jak wzbiera w niej fala gniewu na Daniela Pella.

O’Neil wyjaśnił, że Susan była tą zaginioną osobą, o której odebrał zgłoszenie.

– To na pewno dzieło Pella?

– Na pewno odrzekł funkcjonariusz wydziału koronera. – Te same odciski palców.

– Poleciałem porównać odciski znalezione na miejscach wszystkich zabójstw w okolicy dodał O’Neil.

– Wiemy coś o motywie?

– Możemy się domyślać. Pracowała w firmie organizującej imprezy.

Prawdopodobnie wykorzystał ją, żeby dostać się do biura i zmusił, żeby im powiedziała, gdzie są dokumenty. Wszystko ukradł. Chłopcy z kryminalistyki przeczesał siedzibę firmy. Nie mają jeszcze nic konkretnego, z wyjątkiem jego odcisków.

– Wiadomo, po co to zrobił? – zapytał Kellogg.

– Nie.

– Jak ją znalazł?

– Jej szefowa powiedziała, że Susan wyszła z biura wczoraj około piątej.

Umówiła się na drinka z przyszłym klientem.

– Myślisz, że to Pell?

O'Neil wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Szefowa nie wiedziała, kto to był. Może Pell ich zobaczył i zaczął śledzić.

– Najbliższa rodzina?

– Tu chyba nie ma nikogo – powiedział funkcjonariusz wydziału koronera. – Jej rodzice mieszkają w Denver. Kiedy wrócę na komisariat, zadzwonię do nich.

– Czas śmierci?

– Wczoraj wieczorem, między siódmą a dziewiątą. Więcej będę wie dział po sekcji.

Pell pozostawił niewiele dowodów poza kilkoma niewyraźnymi odciskami stóp na piasku, prowadzącymi w kierunku plaży i urywającymi się w pożółkłej trawie na wydmach. Nie widać było żadnych innych śladów stóp ani opon.

Co było w tych skradzionych dokumentach? Co chciał przed nimi ukryć?

Kellogg obchodził cały teren dookoła, starając się rozeznac w miejscu zbrodni, może oglądając je pod kątem swojej specjalności – mentalności sekciarskiej.

Dance powiedziała O’Neilowi o przypuszczeniach Rebecki, że Pell zamierzał zdobyć „coś grubszego”, pragnąc zapewne kupić ziemię i stworzyć sobie enklawę.

– Linda wspomniała o „szczytce góry”. A „coś grubszego” mogło oznaczać włamanie do Croytonów. – Podzieliła się z nim swoim podejrzeniem, że Pell mógł ukryć łupy w samochodzie.

– Wydaje mi się, że po to wchodził na strony Visual-Earth. Żeby obejrzeć to miejsce.

– Ciekawa hipoteza przyznał O’Neil. Gdy razem z Dance pracowali nad sprawą, często urządzali sobie burzę mózgow. Zdarzało im się stawiać naprawdę dziwaczne hipotezy. Niektóre z nich jednak okazywały się słuszne.

Dance poleciła TJ-owi sprawdzić, co się stało z samochodem, z którego Pell korzystał w dniu morderstwa Croytonów, oraz czy sporządzono spis zawartości pojazdu.

– Dowiedz się też, czy Pell ma jakąś nieruchomość w stanie.

– Robi się, szefowo.

Dance rozejrzała się.

– Dlaczego porzucił samochód akurat tutaj? Mógł pojechać na wschód, ukryć go w lesie i przez parę dni nikt by go nie znalazł. Tu jest o wiele bardziej widoczny.

Michael O’Neil wskazał wąskie moło wychodzące na ocean.

– Thunderbird jest nie do użytku. Forda focusa też już się na pewno pozbył.

Może uciekł łodzią.

– Łodzią? – zdziwiła się Dance.

– Jego ślady prowadzą na brzeg. W kierunku drogi nie ma żadnych.

Kellogg kiwał głową, ale powoli, co świadczyło, że jest innego zdania.

– Nie sądzisz, że trudno byłoby przycumować na tak wzburzonym morzu?

– Nie komuś, kto wie, co robić.

– A ty byś potrafił?

– Ja? Jasne. Wszystko zależy od wiatru.

Na chwilę zapadło milczenie. Winston Kellogg przyglądał się okolicy.

Zaczynało mocno padać, ale nie zwracał na to uwagi.

– Moim zdaniem zaczął iść w tamtą stronę z jakiegoś powodu, może po to, żeby nas wprowadzić w błąd. Ale potem zawrócił i przez wydmy wydostał się na drogę, a tam spotkał się ze swoją współpracowniczką.

Sformułowania w rodzaju „moim zdaniem” i „wydaje mi się” Dance nazywała środkami werbalnego znieczulenia. Używa się ich, by złagodzić ostrość wygłoszonej krytyki albo wypowiedzi wyrażającej odmienne zdanie. Nowy nie miał ochoty otwarcie sprzeciwić się O’Neilowi, lecz najwyraźniej nie zgadzał się z jego hipotezą na temat ucieczki łodzią.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytała Dance.

– Z powodu starego wiatraka.

Przy skrócie z autostrady w drogę prowadzącą na plażę znajdowała się nieczynna stacja benzynowa pod ozdobnym piętrowym wiatrakiem. Ile może mieć lat? Chyba czterdzieści czy pięćdziesiąt. W dystrybutorach są tylko dwa okienka na cenę – jak gdyby nikt nie przypuszczał, że benzyna może kiedykolwiek kosztować więcej niż dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

– Pell zna teren – ciągnął Kellogg. – Jego współpracownik prawdopodobnie jest z innych stron. Wybrał to miejsce, bo jest opuszczone i charakterystyczne. „Skręć obok wiatraka”. Nie można go nie zauważyć.

Mina O’Neila zdradzała, że argumenty agenta nie trafiły mu do przekonania.

– Możliwe. Oczywiście gdyby to był jedyny powód, należałoby się zastanowić, dlaczego nie wybrał punktu położonego bliżej miasta. Współniczka mogłaby tam łatwiej trafić, poza tym wokół miasta nie brakuje opuszczonych miejsc. Pamiętaj, że lexus był kradziony, a w bagażniku leżał trup. Na pewno chciał się go jak najszybciej pozbyć.

– Fakt, to logiczne – przyznał Kellogg. Rozejrzał się, mrużąc oczy w gęstej mżawce. – Ale skłaniałbym się ku innej wersji. Wydaje mi się, że nie przyjechał tu z powodu mola, ale dlatego, że to plaża, w dodatku pusta. Nie jest typem zabójcy dokonującym rytualnych mordów, ale większość przywódców sekt ma różne mistyczne ciągoty. Często związane z wodą. Coś się tu musiało dokonać, może nawet jakiś obrzęd. Przy puszcza, że brała w nim udział ta kobieta. Może po morderstwie uprawiali seks, może zdarzyło się coś innego?

– Co?

– Trudno powiedzieć. Podejrzewam, że tu się spotkali. Bez względu na to, co zamierzał zrobić.

– Ale nie ma śladów drugiego samochodu – zauważył O’Neil. – I żadnego dowodu, że Pell zawrócił i poszedł w stronę drogi. Musiałby coś zostawić.

– Możliwe, że zatarł ślady – odparł Kellogg, wskazując na odcinek pokrytej piaskiem drogi. – Ten kawałek nie wygląda naturalnie. Mógł go zamieść szczotką albo liśćmi. Może nawet miotłą. Kazałbym prze kopać cały teren.

O’Neil:

– Wydaje mi się, że nie zaszkodzi sprawdzić skradzionych łodzi. I wolałbym, żeby kryminalistyka najpierw przeszukała molo.

Wymiana piłek trwała nadal. Agent FBI skontrolował:

– Przy tym wietrze i deszczu... Naprawdę uważam, że powinniśmy zacząć od drogi.

– Wiesz, Win, ja sądzę, że weźmiemy się za molo.

Kellogg przechylił głowę, co oznaczało: to twoi ludzie, ja się wycofuję.

– Zgoda. Sam przeszukam, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne. Nie krępuj się.

Nie patrząc na Dance – nie chciał wystawiać jej na próbę lojalności – poszedł w kierunku podejrzanych śladów na piasku.

Dance odwróciła się i idąc odgradzoną czystą strefą, wróciła do samochodu, z ulgą opuszczając

miejsce zbrodni. Badanie dowodów fizycznych nie należało do jej mocnych stron.

Nie przepadała również za pojedynkami upartych baranów.

Miała przed sobą maskę bólu.

Kathryn Dance dobrze ją znała. Z czasów, gdy pracowała jako dziennikarka, i przeprowadzała wywiady z osobami ocalałymi z wypadków i rąk zbrodniarzy. Z

czasów, gdy pracowała jako konsultantka przy selekcji ławy przysięgłych, i obserwowała twarze świadków i ofiar, opowiadających o doznanych niesprawiedliwościach i krzywdach.

Znała ją także z własnego życia. Życia wdowy: gdy spoglądając w lustro, widziała zupełnie inną Kathryn Dance, trzymającą w niepewnej dłoni szminek przy zastygłej twarzy.

Po co się tym w ogóle przejmować, po co?

Teraz ujrzała ten sam wyraz oczu, siedząc w biurze Susan Pemberton naprzeciwko jej szefowej, Eve Brock.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Nigdy nie można w to uwierzyć.

Przestała płakać, lecz Dance wyczuła, że tylko na chwilę. Mocno zbudowana kobieta w średnim wieku potrafiła nad sobą panować. Siedziała wychylona do przodu, z zeszywniałymi ramionami, podkulając nogi pod krzesłem i zaciskając zęby. Niewerbalne oznaki bólu współgrały z wyrazem jej twarzy.

– Nie rozumiem, dlaczego komputer i dokumenty. Po co?

– Przypuszczam, że było w nich coś, co chciał utrzymać w tajemnicy. Może przed laty był na jakiejś imprezie i nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. – Pierwsze pytanie, jakie Dance zadała kobiecie, brzmiało: czy firma działała, zanim Pell poszedł do więzienia? Okazało się, że działała.

Eve Brock znów zaczęła płakać.

– Chcę wiedzieć jedno. Czy on ją...

Rozpoznając znaczący ton, Dance zapewniła ją:

– Nie doszło do gwałtu. – Następnie spytała ją o klienta, z którym miała się spotkać Susan, ale Eve Brock nie potrafiła podać żadnych szczegółów.

– Mogę panią na chwilę przeprosić? – Eve Brock nie miała już sił walczyć ze łzami.

– Oczywiście.

Eve chwyciła klucz z biurka i wybiegła do toalety.

Dance zaczęła oglądać ściany w biurze Susan Pemberton, pełne fotografie z uroczystości organizowanych przez firmę: z wesel, przyjęć z okazji bar i bat micwy, rocznic, imprez plenerowych dla miejscowych przedsiębiorstw, banków i stowarzyszeń, zbiórek pieniędzy na cele polityczne, oraz imprez w szkołach średnich i college'ach. Firma współpracowała także z domami pogrzebowymi, obsługując stypy.

Z zaskoczeniem zauważyła nazwisko przedsiębiorcy, który zajmował się pogrzebem jej męża.

Po chwili wróciła Eve Brock z zaczerwienioną twarzą i podpuchniętymi oczyma.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. A więc po pracy miała spotkanie z klientem?

– Tak.

– Poszli gdzieś na drinka albo kawę?

– Możliwe.

– Niedaleko?

– Zwykle chodzimy na Alvarado. – Była to główna ulica w centrum Monterey.

– Albo do Centrum Del Monte na Fisherman's Wharf.

– Nie macie ulubionej knajpki?

– Nie. Umawiamy się tam, gdzie sobie życzy klient.

– Przepraszam. – Dance znalazła telefon i zadzwoniła do Reya Carranea.

– Gdzie jesteś?

– Niedaleko Marina. Na polecenie detektywa O'Neila sprawdzam kradzieże łodzi. Nic na razie

nie mam. W sprawie moteli też nie mam szczęścia.

– W porządku. Szukaj dalej. – Rozłączyła się i zadzwoniła do TJ-a.

– A ty gdzie jesteś?

– Z formy pytania odgaduję, że jestem drugi na liście.

– A jak brzmi odpowiedź?

– Niedaleko centrum. W Monterey.

– To dobrze. – Podała mu adres firmy Eve Brock, umawiając się z nim na ulicy za dziesięć minut.

Zamierzała dać mu zdjęcie Susan Pemberton, by wypytał o nią w pobliskich barach i restauracjach, a także w centrum handlowym na Fisherman's Wharf. Oraz na Cannery Row.

– Chyba jestem twoim ulubieńcem, szefowo. Bary i restauracje. Za danie moich marzeń.

Poprosiła go też, by skontaktował się z operatorem telefonicznym i dowiedział

się, kto dzwonił pod numer Susan. Nie sądziła, aby klientem był Pell; był

wprawdzie bezczelny, ale nie ryzykowałby wizyty w centrum Monterey w biały dzień. Przyszły klient mógł jednak udzielić cennych informacji, na przykład o tym, dokąd Susan poszła po ich spotkaniu.

Dance wzięła numer od Eve i przekazała TJ-owi.

Kiedy się rozłączyła, spytała Eve:

– Co mogło być w tych ukradzionych dokumentach?

– Och, wszystko o naszych interesach. Dane klientów, hoteli, dostawców, kościołów, piekarni, firm cateringowych, restauracji, sklepów monopolowych, kwiaciarni, fotografów, działów public relations przedsiębiorstw, które nas wynajmowały... po prostu wszystko. – Wyglądała, jak gdyby wyrecytowanie tej listy zupełnie ją wyczerpało.

– Czy kiedykolwiek współpracowaliście z Williamem Croytonem albo jego firmą?

– Z... ach, tym człowiekiem, którego zamordowano z całą rodziną. Nie, nigdy.

– Może jakąś filią jego firmy albo z którymś z jego kontrahentów?

– Możliwe. Urządzamy sporo uroczystości dla przedsiębiorstw.

– Ma pani kopie dokumentacji?

– Część jest w archiwum. Dokumenty podatkowe, anulowane czeki i tak dalej.

Prawdopodobnie kopie faktur. Ale wielu rzeczy po prostu nie chce mi się archiwizować. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby je ukraść. Kopie są u mojego księgowego. W San Jose.

– Mogłaby pani sprowadzić jak najwięcej tych dokumentów?

– Tyle tego jest... – Wyraźnie miała trudności z zebraniem myśli.

– Powiedzmy z ostatnich ośmiu lat. Od maja dziewięćdziesiątego dziewiątego.

W tym momencie umysł Dance wykonał jeden ze swoich przeskoków. Może Pella interesuje impreza, którą Susan dopiero planowała?

– I dokumenty dotyczące najbliższych zleceń.

– Oczywiście, zrobię co w mojej mocy.

Kobieta wyglądała na zdruzgotaną tragedią, sparaliżowaną z rozpacz.

Myśląc o książce Mortona Walkera „Śpiąca laleczka”, Dance uświadomiła sobie, że ma przed sobą jeszcze jedną ofiarę Daniela Pella.

*Według mnie okrutna zbrodnia przypomina kamień wrzucony do stawu. Jej skutki mogą trwać wiecznie, tak samo jak fale bez końca rozchodzą się po powierzchni.*

Dance wzięła zdjęcie Susan dla TJ-a i wyszła na ulicę, gdzie miała się z nim spotkać. Usłyszała dzwonek swojego telefonu.

Na wyświetlaczu ukazał się numer komórki O’Neila.

– Cześć – powiedziała, ciesząc się z jego telefonu.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Słucham.

Mówił cicho, a Dance przyjęła wiadomość spokojnie, bez żadnych wskaźników emocji.

– Zaraz tam będę.

– To naprawdę błogosławieństwo – powiedziała przez łzy matka Juana Millara, zwracając się do Dance.

Agentka stała obok posępnego Michaela O’Neila w korytarzu szpitala Monterey Bay, patrząc na kobietę, która robiła, co mogła, aby ich pocieszyć, sama nie przyjmując od nich słów współczucia.

Zjawił się Winston Kellogg, który podszedł do rodziny, złożył jej kondolencje, a następnie uściśnął rękę O’Neilowi, kładąc drugą dłoń na jego ramieniu gestem znamionującym szczerą wśród biznesmenów, polityków i żałobników.

– Bardzo mi przykro.

Stali przed częścią oparzeniową OIOM-u. Przez szybę widzieli łóżko otoczone skomplikowanym sprzętem jak ze statku kosmicznego: przewodami, zaworami, przyrządami pomiarowymi, całym instrumentarium medycznym. Pośrodku wznosił

się nieruchomy pagórek przykryty zieloną płachtą.

Prześcieradło tego samego koloru okrywało ciało jej męża. Dance przypomniała sobie, jak go zobaczyła, zastanawiając się gorączkowo: ale gdzie jest życie, gdzie się podziało? Odtąd nie cierpiała tego odcienia zieleni.

Dance patrzyła na ciało, słysząc w pamięci słowa, jakie szepnęła do niej Edie Dance.

*Powiedział: „Zabijcie mnie”. I powtórzył. Potem zamknął oczy...*

Ojciec Millara był w pomieszczeniu za szybą. Zadawał lekarzowi pytania, choć zapewne nie docierała do niego ani jedna odpowiedź. Mimo to rola rodzica, który przeżył własne dziecko, wymagała takiego zachowania – i będzie wymagała jeszcze więcej w nadchodzących dniach.

Kellogg złożył wyrazy współczucia matce, która bez przerwy powtarzała, że śmierć była wybawieniem dla syna, niewątpliwie stało się lepiej, że inaczej czekałyby go lata terapii, lata przeszczepów...

– Lepiej, absolutnie – rzekł agent, używając ulubionego przysłówka Charlesa Overby’ego.

W korytarzu pojawiła się Edie Dance, pełniąc dziś niezaplanowany dyżur. Jej twarz była pełna smutku, choć jednocześnie malowało się na niej zdecydowanie; córka dobrze znała tę minę – czasem udawaną, czasem autentyczną – która w przeszłości zawsze dobrze spełniała swoje zadanie. Dziś oczywiście odzwierciedlała jej prawdziwe uczucia.



Edie od razu skierowała kroki do matki Millara. Wzięła ją pod ramię i rozpoznając oznaki nadciągającego ataku hysterii, zasypała ją pytaniami – o jej stan ducha, ale przede wszystkim o samopoczucie męża i pozostałych dzieci – chcąc w ten sposób odwrócić uwagę kobiety od niewyobrażalnej tragedii. Edie Dance była geniuszem sztuki okazywania współczucia. Dlatego była tak lubianą pielęgniarką.

Rosa Millar zaczęła się uspokajać, a potem płakać. Dance widziała, jak śmiertelne przerażenie zmienia się w łatwiejszy do opanowania żal. Z sali wyszedł

ojciec Millara i Edie przekazała mu żonę ruchem artysty cyrkowego, podającego partnera w powietrzu drugiemu akrobacie na trapezie.

– Pani Millar – powiedziała Dance. – Chciałabym tylko...

I nagle runęła na bok, tłumiąc krzyk, a jej ręce zamiast sięgnąć po broń, osłoniły głowę, chroniąc ją przed uderzeniem w stojące na korytarzu wózki.

W pierwszej chwili przemknęła jej myśl: jak Daniel Pell dostał się do szpitala?

– Nie! – krzyknął O’Neil. A może Kellogg. Albo obaj. Dance zdołała utrzymać równowagę, podpierając się kolanem i strącając na podłogę zwoje żółtych rurek i plastikowe kubki.

Lekarz także skoczył w jej stronę, ale szybszy był Winston Kellogg, który założył rozwścieczonemu Julio Millarowi chwyt obezwładniający, łapiąc go za rękę i wykręcając mu nadgarstek. Wykonał ten manewr błyskawicznie i bez wysiłku.

Synu, nie! – zawołał ojciec, a matka rozszlochała się jeszcze gwałtowniej.

O’Neil pomógł Dance wstać. Wyszła z tego bez szwanku, choć, jak przypuszczała, nazajutrz rano będzie miała parę sińców.

Julio próbował się wyswobodzić, lecz Kellogg, wyraźnie silniejszy, niż mogłoby się wydawać, lekko szarpnął go za ramię.

– Spokojnie, bo sobie zrobisz krzywdę. Powiedziałem, spokojnie.

– Dziwko, cholerna dziwko! Zabiłaś go! Zabiłaś mi brata!

– Posłuchaj, Julio – rzekł O’Neil. – Twoi rodzice i tak są już bardzo zmartwieni. Chyba nie chcesz, żeby poczuli się jeszcze gorzej.

– Gorzej? A co może być gorszego? – Usiłował wymierzyć kopniaka Kelloggowi, który po prostu zrobił unik, unosząc wyżej jego unieruchomiony nadgarstek. Młody człowiek skrzywił się i jęknął z bólu.

– Rozluźnij się. Jeżeli się rozluźnisz, nie będzie bolało. – Agent spojrzał w zrozpaczone oczy jego rodziców. – Przepraszam państwa.

– Julio – rzekł jego ojciec. – Zaatakowałaś policjantkę. Wsadzą cię do więzienia.

– To ją powinni wsadzić do więzienia! Za morderstwo!

Starszy Millar krzyknął:

– Nie, przestań! Pomyśl o swojej matce. Natychmiast przestań!

O’Neil spokojnie wyciągnął kajdanki. Z wahaniem zerknął na Kellogga.

Zastanawiali się, co począć. Julio powoli zaczynał się uspokajać.

– Dobrze już, dobrze. Niech mnie pan puści.

– Jeżeli nad sobą nie zapanujesz, będziemy cię musieli skuć – oznajmił mu O’Neil. – Rozumiesz?

– Tak, tak, rozumiem.

Kellogg zwolnił uchwyt i pomógł mu się podnieść. Oczy wszystkich skierowały się na Dance. Ona jednak nie miała zamiaru iść do sądu.

– W porządku. Nic się nie stało.

Julio popatrzył jej w oczy.

– Och, stało się. Stało. – Wybiegł z korytarza.

– Tak mi przykro – wykrztusiła przez łzy Rosa Millar.

Dance uspokoila ją.

– Syn mieszka z państwem?

– Nie, w mieszkaniu niedaleko naszego domu.

– Proszę go dziś zatrzymać na noc. Proszę mu powiedzieć, że potrzebują państwo jego pomocy.

W przygotowaniu pogrzebu, w załatwieniu spraw Juana, wszystko jedno. Cierpi tak samo jak wszyscy. Po prostu nie wie, co z tym zrobić.

Matka podeszła do łóżka, na którym leżał jej syn. Powiedziała coś półgłosem.

Edie Dance pochyliła się nad nią, szepcząc jej do ucha i dotykając ramienia.

Poufały gest między kobietami, które jeszcze dwa dni temu były sobie zupełnie obce.

Po chwili Edie wróciła do córki.

– Chcesz, żeby dzieci przenocowały u nas?

Chwila wahania. Z jednej strony Dance bardzo pragnęła mieć przy sobie Wesa i Maggie. Z drugiej strony, patrząc na dowód okrucieństwa Pella, na nieruchomy kształt spoczywający pod zieloną płachtą – tak ohydnie zieloną – sama czuła się skażona złem. Nie chciała narażać dzieci, nawet pośrednio, na te okropności. Z jej twarzy na pewno od razu wyczytałyby, że coś ją dręczy. Pomyślała o swoich staraniach, by uchronić Wesa przed światem przemocy.

– Dzięki. Tak chyba będzie lepiej.

Dance pożegnała się z Millarami.

– Możemy coś dla państwa zrobić? Cokolwiek?

Ojciec odpowiedział nieco zakłopotanym tonem:

– Nie, nie. – Po chwili dodał: – Co tu jest jeszcze do zrobienia?

### **Rozdział 30**

Miasteczko Vallejo Springs w Napa w stanie Kalifornia ma kilka powodów do dumy.

Jednym z nich jest muzeum wystawiające liczne prace Eadwearda Muybridge'a, dziewiętnastowiecznego fotografa, któremu przypisuje się wynalezienie ruchomych obrazów (znacznie ciekawszy od jego sztuki jest jednak fakt, że artysta zamordował kochankę swojej żony, przyznał się do tego przed sądem i uszło mu płazem).

Drugi tytuł do sławy stanowią miejscowe winnice, gdzie uprawia się wyjątkowo delikatny szczep winogron merlot – jednej z trzech najbardziej znanych odmian, z których produkuje się czerwone wino. Wbrew złej opinii rozpowszechnionej przez pewien film sprzed kilku lat\*, merlot nie jest kopciuszką wśród winogron. Wystarczy wspomnieć Chateau Petrus, wino z Pomerol w regionie Bordeaux, wyprodukowane niemal w całości z gron merlot i wciąż chyba najdroższe na świecie.

Morton Walker przekraczał granice miasta z powodu trzeciej atrakcji Vallejo Springs, choć znanej bardzo niewielu osobom.

Mieszkała tu z wujostwem Theresa Croyton, Śpiąca Laleczka.

Walker odrobił zadanie domowe. Po miesiącu mozolnego odgrzebywania ukrytych tropów odnalazł reportera z Sonoma i uzyskał od niego nazwisko adwokata, z którego usług korzystała kiedyś ciotka dziewczyny. Prawnik nie miał

ochoty udzielać Walkerowi żadnych informacji, wyrażając jedynie opinię, że jego klientka

okazała się osobą władczą, antypatyczną i skąpą. Domagała się od niego zwrotu pieniędzy za jakiś rachunek. Gdy adwokat przekonał się, że Walker naprawdę jest pisarzem, zdradził mu, w jakim mieście mieszka rodzina i jak brzmi jej obecne nazwisko, żądając w zamian gwarancji anonimowości.

\* Mowa o filmie „Bezdroża” w *rei*. Alexandra Payne’a z 2004 r., którego bohater gardził merlotem, nade wszystko ceniąc pinot (przyp. tłum.).

„Poufne źródła” to nic innego jak synonim tchórzy.

Walker był już kilka razy w Vallejo Springs, gdzie spotkał się z ciotką Śpiącej Laleczki i próbował uzyskać od niej zgodę na rozmowę z dziewczyną (dowiedział się też, że wuj nie ma w tej sprawie nic do gadania). Kobieta była niechętna, lecz Walker wierzył, że w końcu wyrazi zgodę.

Wróciwszy do malowniczego miasta, zaparkował pod dużym domem, czekając na okazję, by porozmawiać z ciotką w cztery oczy. Oczywiście mógłby zadzwonić.

Ale Walker uważał rozmowy telefoniczne – tak jak e-maile – za nieskuteczną formę komunikacji. Przez telefon z każdym rozmawiasz jak równy z równym.

Masz nad rozmówcą znacznie mniej kontroli i siły przekonywania niż podczas osobistego kontaktu.

Poza tym zawsze może po prostu odłożyć słuchawkę.

Musiał być ostrożny. Zauważył policyjne radiowozy przejeżdżające przed domem w regularnych odstępach. Sam fakt niczego jeszcze nie oznaczał – Vallejo Springs było zamożnym miastem ze szczerze finansowanymi siłami porządkowymi – lecz Walker zauważył, że samochody zwalniały, mijając dom Toma i Mary Bollingów, jak teraz nazywała się rodzina.

Zauważył także, że po ulicach krąży o wiele więcej radiowozów niż w zeszłym tygodniu, co mogło potwierdzać jego podejrzenia: Theresa była oczkiem w głowie miasta. Gliniarzy postawiono w stan pogotowia, aby nic złego się jej nie stało.

Gdyby Walker przeciągnął strunę, odwieźliby go pod eskortą do granic miasta i cisnęli w kurz drogi jak niemile widzianego rewolwerowca z kiepskiego westernu.

Rozparł się w fotelu, wpatrując się w drzwi domu i myśląc o pierwszych liniijkach swojej książki.

*Carmel to miasteczko pełne sprzeczności, mekka turystów, perła w koronie Środkowego Wybrzeża, a jednak za nieskazitelną i uroczą fasadą kryje się tajemniczy świat bezwzględnych bogaczy z San Francisco, Doliny Krzemowej i Hollywood.*

Hm. Popracuj nad tym jeszcze.

Walker zachichotał.

I wtedy ujrzał luksusowe auto terenowe, białego cadillaka escalade ruszającego z podjazdu przed domem Bollingów. Za kierownicą siedziała ciotka dziewczyny, Mary, a poza nią w samochodzie nie było nikogo. To dobrze. Gdyby była z nią Theresa, nie mógłby się zbliżyć.

Walker uruchomił silnik buicka, wartego tyle, ile sama skrzynia biegów cadillaca, i pojechał za nią. Ciotka Theresy zatrzymała się na stacji Shell i napełniła bak benzyną super, gawędząc z kobietą stojącą przy dystrybutorze obok. Jej siwe włosy były nieuczesane, a zatroskana twarz wydawała się zmęczona. Nawet z drugiego końca parkingu Walker dojrzał cienie pod jej oczami.

Ruszając ze stacji, skierowała się w stronę urokliwego, niewątpliwie kalifornijskiego centrum miasta: jechała tonącą w zieleni i kwiatach ulicą, zdobioną oryginalnymi rzeźbami, mijając bary,

skromne restauracje, centrum ogrodnicze, niezależną księgarnię, klub fitness oferujący jogę i ćwiczenia Pilates oraz małe sklepiki sprzedające wino, kryształ, upominki i odzież turystyczną w stylu L.L.

Bean.

Kilkaset metrów dalej znajdował się pasaż handlowy, pośrodku którego królowały supermarket spożywczy Albertsons i apteka RiteAid. Mary Bolling zaparkowała i weszła do supermarketu. Walker zatrzymał samochód obok cadillaca. Przeciągnął się, mając wielką ochotę na papierosa, choć nie palił od dwudziestu lat.

Dalej toczył niekończący się spór ze sobą.

Dotąd postępował zgodnie z zasadami. Nie złamał żadnej reguły.

Wciąż mógł wrócić do domu, pozostając w zgodzie ze swoją etyką.

Ale czy powinien?

Nie był pewien.

Morton Walker wierzył, że celem jego życia jest ujawnianie zła. Była to ważna misja, której oddawał się z prawdziwą pasją. Szlachetna misja.

Ale tylko demaskował zło, pozostawiając jego ocenę innym. Sam go nie zwalczał. Bo gdyby przekroczył tę linię i zamiast informować, na własną rękę zaczął szukać sprawiedliwości, musiałby się liczyć z ryzykiem. W przeciwieństwie do policji, nie miał konstytucji, która mówiłaby mu, co może, a czego nie może robić, co dawało pole do nadużyć. Prosząc Theresę Croyton o pomoc w ujęciu mordercy, narażał ją i jej rodzinę – a także siebie i własną rodzinę – na realne niebezpieczeństwo. Daniel Pell z pewnością nie miałby żadnych oporów przed zgładzeniem dzieci.

O niebo lepiej było pisać o ludziach i konfliktach w ich życiu niż dokonywać oceny tych konfliktów. Pozwalać czytelnikowi zdecydować, gdzie jest dobro, gdzie zło, by sam podjął właściwe działania. Z drugiej jednak strony, czy powinien beczynnie pozwalać Pellowi kontynuować rzeź, skoro mógł zrobić więcej?

Nie miał czasu na dalsze roztrząsanie tego dylematu. Mary Bolling wychodziła z Albertsonsa, pchając wózek z zakupami.

Tak czy nie?

Morton Walker wahał się tylko kilka sekund, a potem otworzył drzwi, wysiadł z samochodu i podciągnął spodnie. Ruszył naprzód.

– Przepraszam. Dzień dobry, pani Bolling. To ja.

Przystanęła, mierząc go zaskoczonym spojrzeniem.

Co pan tu robi?

– Właśnie...

Nie zgodziłam się, żeby rozmawiał pan z Theresą.

– Wiem, wiem... Nie chodzi o...

– Jak pan śmie się tu pojawiać? Pan nas prześladowuje!

W jej dłoni pojawił się telefon komórkowy.

– Proszę – rzekł błagalnie Walker, za wszelką cenę pragnąc ją przekonać do zmiany zdania. – Chodzi o coś zupełnie innego. Chcę wyświadczyć komuś przysługę. O książce możemy porozmawiać później.

– Przysługę?

– Przyjechałem z Monterey, żeby o coś panią prosić. Chciałem po rozmawiać z panią osobiście.

– O czym pan mówi?

– Słyszała pani o Danielu Pellu.

Oczywiście, że słyszałam. – Powiedziała to takim tonem, jak gdyby miała do czynienia z głupkiem wioskowym.

– Pewna policjantka chciałaby porozmawiać z pani siostrzenicą. Sądzi, że Theresa może jej pomóc odnaleźć Pella.

– CO?!

– Proszę się nie niepokoić. Nic wam nie grozi. Ta policjantka...

– Nic nie grozi? Oszałał pan? Przecież mógł pana śledzić!

– Nie, jest gdzieś w Monterey.

– Powiedział im pan, gdzie mieszkamy?

Nie! Ta policjantka spotka się z nią, gdzie pani sobie zażyczy. Tu czy gdziekolwiek indziej. Chce po prostu zapytać Theresę...

Nikt z nią nie będzie rozmawiać. Nikt się z nią nie zobaczy. – Kobieta wychyliła się, zbliżając do niego twarz. – A jeżeli w tej chwili pan nie zostawi mnie w spokoju, niech się pan liczy z poważnymi konsekwencjami.

– Pani Bolling. Daniel Pell zabił już...

– Oglądam wiadomości, do cholery. Niech pan powie tej swojej policjantce, że Theresa nie powie jej ani słowa. I może pan zapomnieć o wywiadzie do tej przeklętej książki.

– Chwileczkę, proszę...

Mary Bolling odwróciła się i pobiegła do samochodu, a pozbawiony oparcia wózek zaczął się toczyć po łagodnej pochyłości w przeciwnym kierunku. Kiedy zdyszany Walker zdążył go zatrzymać, zanim uderzył w mini coopera. Cadillac Escalade z piskiem opon zniknął z parkingu.

Nie tak dawno temu pewien agent CBI, dziś już były agent, nazwał to „Babskim Skrzydłem”.

Określił tak część siedziby biura w Monterey, w której urzędowały dwie agentki śledcze – Dance i Connie Ramirez – oraz Maryellen Kresbach i bardzo rzeczowa administratorka, Grace Yuan.

Nieszczęsnym autorem tej nazwy był pięćdziesięciokilkuletni agent, jeden ze spotykanych w każdej instytucji pracowników, którzy już od wieku dwudziestu paru lat, budząc się, odliczają dni do emerytury. Kilka lat wcześniej służył w policji stanowej, gdzie udało mu się wykonać swoją normę aresztowań, ale przenosiny do CBI okazały się błędem. Wymagania pracy go przerosły.

Wyraźnie brakowało mu też instynktu samozachowawczego.

– A to jest Babskie Skrzydło – oznajmił donośnym głosem pewnego dnia w porze lunchu, oprowadzając po biurze młodą kobietę, o której względy się starał.

Dance i Connie Ramirez wymieniły spojrzenia.

A wieczorem udały się na zakupy pończosnicze i gdy biedny agent przyszedł nazajutrz do pracy, ujrzał swój gabinet ozdobiony gigantyczną pajęczyną ażurowych, siatkowych i syntetycznych rajstop i pończoch. W scenografii nie zabrakło też odpowiednich artykułów higieny osobistej. Agent pobiegł z krzykiem do ówczesnego szefa CBI, poczciwego Stana Fishburne’a, który przepytując go, z trudem zachowywał powagę.

– Co to znaczy, Barton, że powiedziałaś tylko „Babskie Skrzydło”? Naprawdę tak powiedziałaś? Czyś ty na głowę upadł?

Agent groził, że złoży skargę w Sacramento, lecz nie zagrażał już zbyt długo miejsca w CBI i nie

zdążył dopilnować tej sprawy. O ironio, natychmiast po odejściu winowajcy nazwa się przyjęła i odtąd wszyscy pracownicy CBI mówili o tej części budynku „BS”.

Pustym korytarzem właśnie w tym skrzydle szła Kathryn Dance.

– Witaj, Maryellen.

– Och, Kathryn, tak mi przykro z powodu Juana. Chcemy od wszystkich zebrać pieniądze. Gdzie moglibyśmy złożyć ofiarę? Pytałaś jego rodziców?

– Michael właśnie z nimi rozmawia.

– Dzwoniła twoja matka. Chce później wpaść z dziećmi, jeżeli się zgodzisz.

Dance starała się widywać z dziećmi, kiedy tylko mogła, nawet w godzinach pracy, jeżeli musiała poświęcić sprawie więcej czasu i dłużej zostać w biurze.

– Dobrze. Co z Daveyem?

– Już to załatwiłam oświadczyła stanowczym tonem. Dance pytała o syna Maryellen, chłopca w wieku Wesa, który miał kłopoty w szkole z powodu bandy dzieciaków bawiących się w gang. Asystentka przekazała jej informację o zakończeniu sprawy ze złośliwym uśmiechem, który mówił, że winowajcy zostali przeniesieni do innej szkoły lub zneutralizowani w inny sposób przy użyciu radykalnych środków.

Dance uważała, że Maryellen Kresbach byłaby świetną policjantką.

W gabinecie rzuciła żakiet na oparcie krzesła, powiesiła na nim nieporęcznego glocka i usiadła. Przejrzała pocztę elektroniczną. Tylko jedna wiadomość miała związek z Pellem. Dostała odpowiedź z Londynu od jego brata, Richarda Pella.

*Agentko Dance,*

*Z ambasady amerykańskiej dotarł do mnie Pani list. Tak, słyszałem o ucieczce, mówiono tu o niej w wiadomościach. Nie kontaktowałem się z bratem od dwunastu lat, kiedy odwiedził moją żonę i mnie w Bakersfield. Przyjechała wtedy do nas z Nowego Jorku dwudziestotrzyletnia siostra mojej żony. Którejś soboty dostaliśmy telefon z policji z informacją, że została zatrzymana za kradzież w sklepie jubilerskim w centrum.*

*Dziewczyna miała świetne wyniki w college’u i aktywnie działała w swoim kościele. Nigdy przedtem nie miała żadnych kłopotów.*

*Okazało się, że „zadawała się” z moim bratem, który namówił ją na kradzież*

*„paru drobiazgów”. Przeszukałem jego pokój i znalazłem rzeczy warte blisko 10*

*000 dolarów. Moja szwagierka dostała nadzór sądowy, a po tym zdarzeniu niewiele brakowało, żeby opuściła mnie żona.*

*Nigdy potem nie miałem już nic wspólnego z bratem. Tylko raz dostałem od niego wiadomość. Po morderstwie w Carmel w 1999 postanowiłem przenieść się z rodziną do Europy.*

*Gdyby się ze mną skontaktował, dam Pani znać, chociaż to mało prawdopodobne. O naszych stosunkach najlepiej świadczy to, że zawiadomiłem policję stołeczną, która postawiła funkcjonariusza przed moim domem.*

I tyle, jeśli chodzi o ten trop.

Zadzwoiła jej komórka. Telefonował Morton Walker, który z przejęciem w głosie spytał:

– Znowu kogoś zabił? Właśnie obejrzałem wiadomości.

– Niestety tak. – Podała mu szczegóły. – Zmarł Juan Millar, ten po parzony funkcjonariusz.

– Przykro mi. Zdarzyło się coś jeszcze?

Niezupełnie. Dance powiedziała mu o rozmowie z Rebeccą i Lindą. Przekazały jej informacje,

które mogą okazać się istotne, lecz nie usłyszała nic, co doprowadziłoby ich do drzwi Pella. Walker nie natrafił w swoich badaniach na żadną wzmiankę o szczycie góry ani o planach „trafienia czegoś grubszego”.

Opowiedział jej o nieudanej próbie przekonania ciotki Theresy Croyton.

Kobieta nie pozwoliła spotkać się z dziewczyną ani jemu, ani policji.

– Zaczęła mi grozić – dodał przygnębiony. Dance była pewna, że w jego oczach nie błyszczą w tym momencie radosne iskierki.

– Gdzie jesteś?

Milczał.

– Nie chcesz mi powiedzieć, prawda? – odpowiedziała za niego Dance.

– Obawiam się, że nie mogę.

Zerknęła na wyświetlacz, ale Walker dzwonił z komórki, nie z hotelu ani automatu na ulicy.

– Nie zmieni zdania?

– Wątpię. Powinnaś ją zobaczyć. Zostawiła wózek z zakupami za stówę i po prostu uciekła.

Dance czuła zawód. Daniel Pell stanowił zagadkę, której rozwiązanie stało się jej obsesją. W zeszłym roku, gdy w Nowym Jorku pomagała w śledztwie Lincolnowi Rhyme’owi, zwróciła uwagę na obsesyjną dociekliwość, z jaką traktował każdy detal dowodów fizycznych; Dance była taka sama – choć przedmiotem jej zainteresowania była ludzka strona zbrodni.

Istnieje rodzaj przymusu wewnętrznego, aby dwa razy sprawdzać każdy szczegół wersji wydarzeń przedstawianej przez przesłuchiwanego, ale istnieje i taki, by nie stawiać stóp na łączeniach płyt chodnikowych w drodze do domu.

Należy wiedzieć, który jest ważny, a który nie.

Dance uznała, że trzeba dać sobie spokój z wątkiem Śpiącej Laleczki.

– Dziękuję za pomoc.

– Próbowałem. Naprawdę.

Zakończywszy rozmowę z Walkerem, Dance jeszcze raz zatelefonowała do Reya Carranea. Agent nie odnalazł motelu, nie było też zgłoszenia o kradzieży łodzi z miejscowych przystani.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zadzwonił TJ. Miał informacje z wydziału komunikacji. Samochód, z którego korzystał Pell w dniu morderstwa Croytonów, od lat nie był rejestrowany, co oznaczało, że prawdopodobnie został sprzedany na złom. Jeżeli nawet ukradł coś cennego z domu Croytonów, łup najprawdopodobniej zaginął albo poszedł w niepamięć. TJ sprawdził także spis rzeczy znalezionych w skonfiskowanym samochodzie. Lista była krótka i nic nie wskazywało, aby którykolwiek z przedmiotów pochodził z domu biznesmena.

Dance przekazała mu wiadomość o Juanie Millarze, a młody agent przyjął ją głuchym milczeniem. Był to znak, że jest naprawdę wstrząśnięty.

Kilka minut później znów zadzwonił telefon. Był to Michael O’Neil ze swoim stałym „Serwus, to ja”. W jego głosie dało się słyszeć zmęczenie i smutek. Śmierć Millara była dla niego ciężkim ciosem.

– Jeżeli cokolwiek było na molo tam, gdzie znaleźliśmy Susan Pemberton, to zniknęło. Właśnie rozmawiałem z Reyem. Mówi, że na razie nie było żadnego zgłoszenia o kradzieży łódki. Może nie trafiłem. Twój kumpel znalazł coś bliżej drogi?

Zauważywszy znaczący ton przy słowie „kumpel”, odparła:

– Nie dzwonił do mnie. Przypuszczam, że nie natknął się na notes Pella z adresami ani klucz do

pokoju hotelowego.

– Nic nie wiadomo o pochodzeniu taśmy izolacyjnej, a gaz pieprzowy można kupić w dziesięciu tysiącach sklepów i w sprzedaży wysyłkowej.

Powiedziała mu, że nie powiodła się podjęta przez Walkera próba skontaktowania się z Theresą.

– Nie chce współpracować?

– Jej ciotka nie chce. A ją najpierw trzeba obłaskawić. Zresztą nie wiem, czy dowiedzielibyśmy się czegoś ważnego.

– Podobał mi się ten pomysł – rzekł O’Neil. – Dziewczyna jest jedynym ogniwem łączącym nas z tym, co Pell wtedy zrobił.

– Bez niej będziemy się musieli bardziej postarać – powiedziała Dance. – A co u ciebie?

– W porządku.

*Stoicki spokój...*

Kilka minut po ich rozmowie zjawił się Winston Kellogg.

– Udało się coś znaleźć przy tej drodze? – zapytała go Dance.

– Nie. Przeczesywaliśmy to miejsce przez godzinę. Żadnych śladów opon, żadnych zgubionych dowodów. Może Michael miał rację. Pell chyba faktycznie uciekł łodzią z mola.

Dance zaśmiała się w duchu. Każdy z walczących ze sobą samców właśnie stwierdził, że rację mógł mieć przeciwnik – choć zapewne żaden nie przyznałby się do tego przed drugim.

Przekazała mu najświeższe wiadomości o dokumentach z biura Susan Pemberton i niepowodzeniu Walkera w uzyskaniu zgody na rozmowę z Theresą Croyton. Dodała, że TJ szuka klienta, z którym spotkała się Susan, zanim Pell ją zabił – jeżeli tym klientem nie był morderca.

Dance zerknęła na zegarek. Mam ważne spotkanie. Chcesz iść ze mną?

– Chodzi o Pella?

– Nie. Chodzi o to, żeby coś przekąsić.

### **Rozdział 31**

Gdy szli korytarzami biura CBI, Dance spytała Kellogga, gdzie mieszka.

– W Dystrykcie – to znaczy w Waszyngtonie, jak wszyscy mówią. Al bo „wewnątrz obwodnicy”, jeżeli oglądasz tych mądrali z telewizji w nie dzielę rano.

Wychowałem się na północnym zachodzie – w Seattle – ale chętnie przeprowadziłem się na wschód. Nie przepadam za deszczem.

Rozmowa zesłała na tematy osobiste i Kellogg niepytany poinformował ją, że ze swoją byłą żoną nie ma dzieci, choć sam pochodzi z dużej rodziny. Jego rodzice żyli i mieszkali na Wschodnim Wybrzeżu.

– Mam czterech braci. Byłem najmłodszy. Chyba rodzicom skończyły się pomysły na imiona, więc przerzucili się na nazwy towarowe. Pewnie dlatego jestem Winston, jak papierosy. Co nie brzmi zbyt dobrze, kiedy człowiek nazywa się jak płatki kukurydziane. Gdyby moi rodzice mieli bardziej sadystyczne skłonności, na drugie imię dostałbym Oldsmobile.

Dance parsknęła śmiechem.

– Jestem pewna, że w szkole nie zapraszali mnie na bal na zakończenie roku, bo nikt nie chciał prosić Dance do tańca.

Skończywszy psychologię na Uniwersytecie Waszyngtońskim, Kellogg wstąpił do wojska.

– Trafiłeś do dochodzeniówki? – spytała, myśląc o służbie wojskowej swojego męża, który był



oficerem w wojskowym wydziale dochodzeń kryminalnych.

– Nie byłem, w planowaniu taktycznym. Nic tylko papiery, papiery, papiery.

Ściśle mówiąc, komputer, komputer, komputer. Ale nie mogłem usiedzieć na miejscu. Chciałem pracować w terenie, dlatego dałem sobie spokój z armią i poszedłem do departamentu policji w Seattle. Zostałem detektywem, zająłem się opracowywaniem profili sprawców i negocjowaniem. Zainteresowała mnie mentalność sekt, więc sobie pomyślałem, że będę się w tym specjalizował. Wiem, że to zabrzmia naiwnie, ale po prostu nie podobała mi się sytuacja, w której despotyczni dranie wykorzystują bezbronnych ludzi.

Uznała, że to wcale nie brzmi naiwnie.

Skręcili w kolejny korytarz.

– A ty jak trafiłaś do branży? – zapytał.

Dance przedstawiła mu w skrócie swoją historię. Przez kilka lat pracowała jako dziennikarka w dziale kryminalnym – swojego przyszłego męża poznała w trakcie relacjonowania przebiegu pewnego procesu (udzielił jej wywiadu w zamian za obietnicę, że zgodzi się umówić z nim na randkę). Kiedy znudziła się jej praca reportera, wróciła na uniwersytet, gdzie skończyła psychologię i komunikację społeczną, doskonaląc swoje naturalne zdolności obserwacyjne i intuicję pozwalającą jej odgadywać myśli i uczucia ludzi. Została konsultantką przy selekcji przysięgłych, ale rosnące niezadowolenie z tego zajęcia oraz poczucie, że jej talent bardziej przyda się organom ścigania, zaprowadziły ją do CBI.

– Twój mąż tak jak ja był federalnym?

– Odrobiłaś zadanie, co? – Jej zmarły mąż, William Swenson, rzeczywiście przez całe życie pełnił sumienną służbę jako agent specjalny FBI, ale był jednym z dziesiątków tysięcy innych. Taki specjalista jak Kellogg nie mógł o nim słyszeć, chyba że zadał sobie trud i sprawdził.

Zażenowany uśmiech.

– Lubię wiedzieć, dokąd jadę. I kogo spotkam na miejscu. Mam na dzieję, że cię nie uraziłem.

– Ależ skąd. Kiedy kogoś przesłuchuję, staram się dowiedzieć wszystkiego o jego „terrarium”. – Nie zdradziła Kelloggowi, że sama poleciła TJ-owi prześwietlić go w agencji regionalnej w Chico.

Po chwili milczenia Kellogg spytał:

– Mogę spytać, co się stało z twoim mężem? Zginął na służbie?

Skurcz w żołądku wywołany tym pytaniem z biegiem lat stawał się coraz mniej odczuwalny.

– W wypadku samochodowym.

– Przykro mi.

– Dziękuję... A więc witamy w „Che: CBI”. – Dance gestem zaprosiła go do bufetu.

Nalali sobie kawy i zasiedli przy stoliku. Odezwała się jej komórka. Dzwonił

TJ.

– Złe wieści. Koniec włączenia się po barach. Ledwie zacząłem, od razu się dowiedziałem, gdzie była Pemberton przed śmiercią.

– No i?

– Widziano ją z jakimś Latynosem w barze w „Doubletree”. Kelner przypuszcza, że to było spotkanie w interesach, podobno w sprawie jakiejś imprezy, którą miała mu zorganizować. Wyszli około wpół do siódmej.

– Masz paragon z numerem karty kredytowej?

– Tak, ale to ona płaciła. Wydatek służbowy. Słuchaj, szefowo, my ślę, że też powinniśmy zacząć

to praktykować.

– Wiadomo o nim coś jeszcze?

– Zero. W wiadomościach pokażą jej zdjęcie, więc kiedy je zobaczy, może sam się zgłosi.

– Billing telefonu Susan?

– Wczoraj około czterdziestu połączeń. Sprawdzę je, jak wrócę do biura. Aha, a według stanowej ewidencji podatków od nieruchomości Pell nie jest właścicielem żadnej góry ani niczego innego. Sprawdziłem jeszcze w Utah. Też nic.

– Dobrze. O tym zapomniałam.

– Tak samo jak o Oregonie, Nevadzie i Arizonie. Nie byłem wcale taki pilny.

Próbowałem tylko przedłużyć sobie przyjemność łożenia po barach.

Rozłączyli się i Dance przekazała informacje Kelloggowi, który się skrzywił.

– Świadek, hm? Który zobaczy jej zdjęcie w telewizji i uzna, że akurat nadeszła doskonała pora, żeby wyjechać na urlop na Alaskę.

– I nie można mieć mu tego za złe.

Nagle agent FBI uśmiechnął się, spoglądając ponad ramieniem Dance.

Odwróciła się. Do bufetu wchodziła jej matka z dziećmi.

– Cześć, kochanie – powiedziała Dance do Maggie, po czym uściskała syna.

Zapewne niedługo nadejdzie dzień, w którym zabroni się publicznego przytulania, dlatego wołała to robić na zapas, na czas posuchy. Dziś Wes zniósł ten wyraz czułości całkiem dobrze.

Edie Dance i jej córka spojrzały po sobie w niemym wyrazie smutku z powodu śmierci Millara, lecz nie wspomniały o tragedii. Edie i Kellogg przywitani się, wymieniając podobne spojrzenia.

– Mamo, Carly odsunęła kosz na śmieci panu Bledsoe! – poinformowała ją z przejęciem Maggie.

– I za każdym razem, jak chciał coś wyrzucić, wszystko spadało na podłogę.

– Udało ci się nie śmiać?

– Trochę. Ale potem Brendon zaczął i już nie mogliśmy przestać.

– Przywitaj się z agentem Kelloggiem.

Maggie spełniła prośbę matki. Wes tylko skinął głową, umykając wzrokiem w bok. Dance natychmiast zwróciła uwagę na jego niechęć.

– Chcecie gorącej czekolady? – spytała.

– Hura! – krzyknęła Maggie. Wes powiedział, że też chce.

Dance zaczęła szperać w kieszeniach. Kawa była gratis, ale za wszystkie pozostałe smakołyki płaciło się gotówką, a Dance zostawiła wszystkie pieniądze w torebce w gabinecie. Edie nie miała drobnych.

– Ja wam postawię – rzekł Kellogg, sięgając do kieszeni.

– Mamo, chyba wolę kawę – powiedział szybko Wes. Chłopiec próbował jej może dwa razy w życiu i nie znosił kawy.

– Ja też chcę kawę – dołączyła się Maggie.

– Nie ma mowy. Gorąca czekolada albo coś zimnego. – Dance przy puszczała, że Wes nie chce niczego, za co płaciłby Kellogg. Co jest grane? Zaraz sobie przypomniała jego badawcze spojrzenie, jakim obrzucił agenta poprzedniego dnia na Tarasie. Sądziła wtedy, że szuka broni; te raz zrozumiała, że chłopiec oceniał

faceta, którego mama przyprowadziła na urodziny dziadka. Czyżby w jego oczach Kellogg był nowym Brianem?

- Zgoda – oświadczyła jej córka. – Niech będzie czekolada.
- Ja nic nie chcę – mruknął Wes.
- Przecież mogę pożyczyć waszej mamie – powiedział Kellogg, odliczając monety. Dzieci wzięły pieniądze. Wes z ociąganiem i dopiero po siostrze.
- Dzięki – rzekł chłopiec.
- Bardzo dziękujemy – dorzuciła Maggie.

Edie naląła sobie kawy. Usiedli przy chybotliwym stoliku. Kellogg jeszcze raz podziękował matce Dance za kolację poprzedniego wieczoru i spytał o Stuarta.

Potem odwrócił się do dzieci, zastanawiając się głośno, czy lubią łowić ryby.

Maggie powiedziała, że tak sobie.

Wes uwielbiał, mimo to odparł:

– Nie bardzo. To nudne.

Dance wiedziała, że agent chce tylko przełamać pierwsze lody, a pytanie nasunęło mu się prawdopodobnie po rozmowie z jej ojcem na temat połowu ryb w zatoce Monterey. Dostrzegła u niego kilka reakcji stresowych – chyba za bardzo starał się zrobić dobre wrażenie.

Weil w milczeniu popijał czekoladę, a Maggie zasypywała dorosłych lawiną informacji o porannych wydarzeniach na obozie muzycznym, powtarzając w szczegółach opowieść o figlu z koszem na śmieci.

Agentkę zirytował powracający problem z Wesem, który dał o sobie znać... bez wyraźnego powodu. Ani razu nawet się nie umówiła z Kelloggiem.

Ale Dance знаła niejedną sztuczkę wychowawczą, więc po kilku minutach Wes z entuzjazmem opowiadał o swoim dzisiejszym meczu tenisowym. Kellogg raz czy dwa zmienił pozycję, a z mowy jego ciała wynikało, że też gra w tenisa i ma ochotę coś dodać. Zauważywszy jednak rezerwę, z jaką Wes się do niego odnosił, nie odzywał się, słuchając chłopca z uśmiechem.

Wreszcie Dance oznajmiła, że musi wracać do pracy i że ich odprowadzi.

Kellogg powiedział jej, że chce się skontaktować z biurem terenowym w San Francisco.

– Miło było was znowu zobaczyć. – Pomachał im.

Edie i Maggie pożegnały się z nim. Wes po chwili także – choć prawdopodobnie tylko dlatego, żeby nie być gorszym od siostry.

Agent odszedł w głąb korytarza, kierując się do swojego tymczasowego biura.

– Wrócisz na kolację? – spytała Maggie.

– Spróbuję, Mags. – Nigdy nie należy składać obietnic, jeśli istnieje ryzyko, że nie będzie można ich spełnić.

– Ale gdyby mama nie mogła – włączyła się Edie – na co mielibyście ochotę?

– Na pizzę – odparła bez namysłu Maggie. – Z pieczywem czosnkowym. A na deser lody miętowo-czekoladowe.

– A ja chcę parę ferragamo – powiedziała Dance.

– Co to jest?

– Buty. Ale wiesz, nie zawsze możemy dostać to, czego chcemy.

Jej matka przedstawiła inną propozycję.

– Co powiecie na michę sałatki? Ze smażonymi krewetkami?

– Pewnie.

– Fajnie – rzekł Wes. Wobec dziadków dzieci były ogromnie uprzejme.

– Wydaje mi się jednak, że czosnkowe pieczywo da się załatwić – do dała Dance, w końcu wywołując uśmiech na jego twarzy.

Z centrali CBI wyszedł jeden z pracowników administracyjnych biura, zamierzając dostarczyć dokumenty do biura szeryfa okręgu Monterey w Salinas.

Zauważył zatrzymujący się przed budynkiem ciemny samochód. Siedząca za kierownicą młoda kobieta, która mimo mgły miała na twarzy okulary przeciwsłoneczne, zlustrowała parking. Coś ją niepokoi, pomyślał urzędnik. Ale to częsty widok: typowa reakcja ludzi, którzy przyjeżdżali tu zgłosić się w charakterze podejrzanych lub świadków. Kobieta przejrzała się w lusterku, nałożyła czapkę i wysiadła. Zamiast ruszyć do wejścia, podeszła do urzędnika.

– Przepraszam pana.

– Tak?

– Czy to jest Biuro Śledcze Kalifornii?

Gdyby spojrzała na budynek, zobaczyłaby wielką tablicę z trzema słowami, jakie zawarła w pytaniu. Ale jako wzorowy pracownik instytucji stanowej odrzekł:

– Zgadza się. W czymś pani pomóc?

– Czy w tym budynku pracuje agentka Dance?

– Owszem, Kathryn Dance.

– Jest u siebie?

– Nie... – Urzędnik spojrział na przeciwległy koniec parkingu i za śmiał się krótko. – Wie pani, tak się akurat składa, że właśnie tu jest. To ta młodsza. –

Dostrzegł Dance w towarzystwie matki i dzieci, które widział już parę razy.

– Aha. Dziękuję panu, agencie.

Urzędnik nie poprawił jej. Lubił, gdy brano go za jednego ze śledczych. Wsiadł do samochodu i wyjechał z podjazdu. Zerkając we wsteczne lusterko, zobaczył kobietę stojącą w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. Wyglądała na zdenerwowaną.

Mógł jej powiedzieć, że nie ma się czego obawiać. Jego zdaniem Kathryn Dance była jedną z najsympatyczniejszych osób w całym CBI.

Dance zamknęła drzwi należącej do matki toyoty prius. Silnik zamruczał i auto ruszyło spod budynku. Agentka pomachała im na pożegnanie, przyglądając się, jak srebrny samochód pokonuje krętą drogę prowadzącą na autostradę numer 68.

Dręczył ją niepokój. W myślach wciąż słyszała głos Juana Millara.

*Zabijcie mnie...*

Biedak.

Choć atak jego brata nie miał z tym nic wspólnego, Kathryn Dance rzeczywiście czuła wyrzuty sumienia z powodu swojej decyzji wysłania młodego detektywa, by sprawdził, co się działo w areszcie. Jej wybór był naturalny, ale wciąż się zastanawiała, czy funkcjonariusz z większym doświadczeniem nie zachowałby większej ostrożności. Wydawało się niemożliwe, by Michael O'Neil, rosły Albert Stemple czy sama Dance pozwolili się rozbroić Pellowi.

Zawracając do budynku, rozmyślała o pierwszych chwilach po wybuchu pożaru w sądzie i ucieczce. Musieli działać szybko. Ale czy nie powinna poczekać, opracować lepszej strategii?

Roztrząsanie wszystkiego po fakcie. Nieodłączny element policyjnego życia.

Idąc w stronę głównego wejścia, nuciła piosenkę Juliety Venegas. Cudowne nuty dźwięczały jej w głowie, pozwalając na chwilę zapomnieć o okropnych ranach Juana Millara, o jego okropnych

słowach, o śmierci Susan Pemberton... i oczach jej syna, które natychmiast straciły radosny blask, gdy tylko chłopiec ujrzał

matkę z Winstonem Kelloggiem.

Co z tym począć?

Dance szła przez pusty parking, zmierzając do drzwi i ciesząc się, że nareszcie przestało padać.

Gdy zbliżała się do schodów, usłyszała za sobą szmer kroków na asfalcie.

Szybko się odwróciła i zobaczyła jakąś kobietę, której niemal bezszelestnie udało się do niej podejść. Kobieta była w odległości niecałych dwóch metrów i zmierzała prosto w jej kierunku.

Dance stanęła jak wryta.

Kobieta także. Przystąpiła z nogi na nogę.

– Agentko Dance...

Żadna z nich nie odzywała się przez chwilę.

– Zmieniłam zdanie – powiedziała Samantha McCoy. – Chcę pani pomóc.

### **Rozdział 32**

Po pani wizycie nie mogłam zasnąć. A kiedy się dowiedziałam, że znowu kogoś zabił, tę kobietę, wiedziałam już, że muszę przyjechać.

Samanthą, Dance i Kellogg byli w gabinecie agentki. Kobieta siedziała sztywno wyprostowana, ściskając poręcz krzesła, i spoglądała na nich, nie zatrzymując wzroku na żadnym z dwojga agentów dłużej niż sekundę.

– To na pewno Daniel ją zabił?

– Zgadza się – przytaknął Kellogg.

– Dlaczego?

– Nie wiemy. Staramy się właśnie to ustalić. Ofiara nazywała się Susan Pemberton. Pracowała w firmie Eve Brock. Mówią pani coś te nazwiska?

– Nic.

– To firma zajmująca się organizacją imprez. Pell zabrał stamtąd wszystkie dokumenty i prawdopodobnie zniszczył. Było w nich coś, co chciał ukryć. A może interesował się jakąś planowaną imprezą. Nie wie pani, co to mogło być?

– Przykro mi, ale nie.

– Chcę jak najszybciej zabrać panią do Lindy i Rebecki – powiedziała Dance.

– Obie tu są?

– Owszem.

Samanthą wolno pokiwała głową.

– Muszę tu dopilnować paru rzeczy – rzekł Kellogg. – Dołączę do was później.

Dance poinformowała Maryellen Kresbach, gdzie można ją znaleźć, po czym obie z Samanthą opuściły centralę CBI. Agentka poleciła jej zaparkować samochód w garażu pod budynkiem, aby nikt go nie zobaczył – Wsiadły do forda Dance.

Samantha zapięła pas i utkwiała wzrok w przestrzeni. Nagle wyrzuciła z siebie:

– Mój mąż, jego rodzina, moi znajomi... ciągle o niczym nie wiedzą.

– Co im pani powiedziała o swoim wyjeździe?

– Że jadę na konferencję wydawców... A Linda i Rebecca? Wolą być, żeby nie wiedziały, jak się teraz nazywam, że mam rodzinę.

– Zgoda. Nie powiedziałam im nic, o czym wcześniej nie wiedziały. No jak, gotowa?

Niepewny uśmiech.

– Nie, w ogóle nie jestem gotowa. Ale trudno, jedźmy.

Kiedy dotarły na miejsce, Dance podeszła do pilnującego hotelu zastępcy szeryfa, od którego usłyszała, że w domku ani wokół niego nie działo się nic podejrzanego. Dała znak Samancie. Kobieta po krótkim wahaniu wysiadła z samochodu, mrużąc oczy i bacznie obserwując okolicę. Jej czujność była zrozumiała, zważywszy na sytuację, ale Dance odniosła wrażenie, że kryje się za tym coś więcej.

Samantha uśmiechnęła się blado.

– Ten zapach, szum oceanu... Od procesu nie byłam na półwyspie. Mąż ciągle mnie prosi, żebyśmy tu przyjechali na weekend. Wymyślam coraz to nowe wymówki. Alergie, choroba lokomocyjna, pilna redakcja tekstu. – Uśmiech zgasł.

Samantha zerknęła na domek. – Śliczny.

– Są tylko dwa pokoje. Nie spodziewałam się pani.

– Wystarczy, jeżeli jest kanapa. Nie chcę nikomu sprawiać kłopotu.

Samantha, skromna i nieśmiała.

*Myszka.*

– Mam nadzieję, że to tylko jedna noc. – Kathryn Dance podeszła do domku i zastukała do drzwi przeszłości.

Wnętrze toyoty cuchnęło dymem papierosowym, którego Daniel Pell nie znosił.

Sam nigdy nie palił, choć gdy był w San Quentin i Capitoli, prowadził handel wymienny, przeliczając wszystko na papierosy z wprawą maklera giełdowego.

Pozwalałby palić dzieciakom w Rodzinie, czyjeś uzależnienie można było oczywiście wykorzystywać do woli – ale nie cierpiał zapachu dymu. Przypominał

mu dzieciństwo, ojca siedzącego w wielkim fotelu, czytającego Biblię i robiącego notatki do kazań, których nikt nigdy nie miał wysłuchać, odpalającego papierosa od papierosa. I matkę, ale ona nie dość, że paliła, to jeszcze piła, nie robiąc nic innego.

I brata, który nie palił, tylko wciąż wyciągał Daniela ze wszystkich kryjówek – z szafy w jego pokoju, z domku na drzewie, z łazienki w suterenie. „Nie będę sam odwalał całej pieprzonej roboty”.

A kończyło się tak, że brat nie odwalał żadnej roboty; wręczał Danielowi wiadro, szczotkę do szorowania toalety albo ścierkę do naczyń i wychodził

włączyć się z kumplami. Od czasu do czasu wpadał do domu i spuszczał Danielowi lanie, jeśli dom nie lśnił.

*Czystość, synu, jest prawie tak samo ważna jak pobożność. Jest w niej prawda.*

*Wyszoruj mi zaraz te popielniczki. Mają błyszczeć.*

Tak więc razem z Jennie jechali z otwartymi oknami, przez które wpadało do samochodu chłodne powietrze pachnące solą i sosnami.

Jennie pocierała nos, jak gdyby próbując wmasować garb, i milczała. Była zadowolona – nie mruzczała, ale odzyskała już równowagę. Wczoraj wieczorem, po tym, gdy na plaży stawiała opór, nie chcąc mu pomóc „zabić” Susan Pemberton, odnosił się do niej chłodno i manewr zadziałał. Wrócili do motelu Sea View, gdzie Jennie użyła jedyne sposobu, dzięki któremu w jej przekonaniu mogła odzyskać jego miłość – i przez dwie godziny niestrudzenie starała się to udowodnić. Z

początku się wzbraniał, udając obrażonego, ale nie ustawała w wysiłkach. Ból zaczął nawet sprawiać jej przyjemność. Widząc to, przypominał sobie, jak przed laty odwiedził z Rodziną Misję

Carmel. Dowiedział się tam o zakonnikach, którzy biczowali się do krwi, przeżywając odlot w imię Boże.

Ale to z kolei przywiodło mu na myśl krępa postać ojca, spoglądającego na niego obojętnie znad Biblii, otoczonego chmurą dymu cameli, więc czym prędzej odsunął od siebie to wspomnienie.

Poprzedniego wieczoru, kiedy skończyli uprawiać seks, Pell stał się wobec niej serdeczniejszy. Później jednak wyszedł z pokoju, udając, że do kogoś dzwoni.

Tylko po to, by bardziej się denerwowała.

Gdy wrócił, nie pytała o telefon, a on spokojnie przeglądał materiały zabrane z biura Susan Pemberton, po czym znów wszedł do Internetu.

Rano powiedział jej, że musi się z kimś zobaczyć. Nie dodając nic więcej, przyglądał się, jak narasta w niej lęk – zawzięcie tarła nos, kilka razy nazwała go

„kochanym” – aż wreszcie oświadczył:

– Chciałbym, żebyś ze mną pojechała.

– Naprawdę? – Jak spragniony piesek chłęczący wodę.

– Tak. Ale sam nie wiem.. to może być dla ciebie za trudne.

– Nie, chcę z tobą jechać. Proszę.

– Zobaczymy.

Zaciągnęła go z powrotem do łóżka, gdzie kontynuowali grę o władzę. Na chwilę znów pozwolił, by przechyliła szalę na swoją korzyść.

Teraz jednak, jadąc samochodem, zupełnie nie interesował się jej ciałem; odzyskał pełną kontrolę.

– Rozumiesz, dlaczego tak się wczoraj zachowałem na plaży? Byłem w dziwnym nastroju. Zawsze tak jest, kiedy się boję, że mogę stracić coś cennego. –

Była to forma przeprosin – kto mógłby się temu oprzeć? – i zarazem przypomnienie, że to się może powtórzyć.

– Za to cię właśnie uwielbiam, ukochany.

Już nie „kochany”. Świetnie.

Kiedy Pell miał Rodzinę zaszytą w spokojnym Seaside, używał wielu technik, by mieć władzę nad dziewczynami i Jimmym. Wytyczał im wspólne cele, równo rozdelał nagrody, wyznaczał im zadania, nie zdradzając powodów, dla których mieli je wykonać, trzymał ich w napięciu, dopóki omal nie oszaleli z niepewności.

Używał także najlepszego sposobu, by scementować lojalność i zapobiec niezgodzie – stwarzał wspólnego wroga.

– Mamy jeszcze jeden kłopot, najdroższa – powiedział.

– A, tam, gdzie właśnie jedziemy? – Szur, szur, po nosie. Wspaniały barometr.

– Zgadza się.

– Mówiłam ci, kochanie, że na pieniądzech mi nie zależy. Nie musisz mi nic oddawać.

– To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Chodzi o coś ważniejszego. Znacznie ważniejszego. Nie chcę cię prosić o to, co wczoraj zrobiłem. Nie chcę cię prosić, żebyś kogoś skrzywdziła. Ale potrzebuję pomocy.

I mam nadzieję, że pomożesz.

Ostatnie zdanie wypowiedział z wyraźnym naciskiem. Zastanawiała się zapewne nad wczorajszym udawanym telefonem. Z kim rozmawiał? Czyżby chciał

się zwrócić do kogoś innego?

– Zrobię, co tylko zechcesz.

Minęli ładną, może osiemnastoletnią brunetkę idącą chodnikiem. Pell natychmiast zwrócił uwagę na jej wygląd i sposób poruszania – zdecydowany krok, spuszczone głowa, zacięta mina, nieuczesane włosy – wszystko świadczyło, że właśnie się z kimś pokłóciła. Może z rodzicami, może z chłopakiem. Tak cudownie bezbronna. Wystarczyłby dzień i ochoczo ruszyłaby w drogę za Danielem Pellem.

*Szczurołap...*

Ale teraz pora nie była odpowiednia, więc zostawił dziewczynę za sobą z żalem myśliwego, który nie może zatrzymać się na poboczu i ustrzelić wspaniałego jelenia na polu. Mimo to wcale się nie martwił; w przyszłości znajdzie się jeszcze wielu innych młodych ludzi.

Poza tym, czując dotyk pistoletu i noża tkwiących za pasem, Pell wiedział, że już niedługo zaspokoi pragnienie łowów.

### **Rozdział 33**

Stojąc w otwartych drzwiach domku w Point Lobos Inn, Rebecca Sheffield powiedziała do Dance:

– Witamy. Plotkujemy i wydajemy pani pieniądze na room service. – Wskazała butelkę caberneta Jordan, którego piła tylko ona.

Rebecca zerknęła przelotnie na Samanthę i nie poznając jej, powiedziała:

– Dzień dobry. – Prawdopodobnie wzięła ją za policjantkę pomagającą w śledztwie.

Kobiety weszły do środka. Dance zamknęła drzwi na dwa zamki.

Samantha spoglądała to na jedną, to na drugą kobietę. Sprawiała wrażenie, jak gdyby nie potrafiła wydobyć z siebie głosu i Dance przez chwilę się obawiała, że obróci się na pięcie i ucieknie.

Rebecca przyjrzała się uważniej i zrobiła zdumioną minę.

– Chwileczkę. O mój Boże.

Linda zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Nie poznajesz jej? – spytała Rebecca.

– Jak to, nie po... Zaraz, to ty, Sam?

– Cześć. – Szczupła kobieta była kłębkim nerwów. Nie potrafiła patrzeć w oczy żadnej ze swoich towarzyszek dłużej niż kilka sekund.

– Twoja twarz – wykrztusiła Linda. – Wyglądasz zupełnie inaczej. Rety.

Samantha wzruszyła ramionami, rumieniąc się.

– Mhm, ładniejsza. I masz trochę ciała. Nareszcie. Byłaś taką chudziwą. –

Rebecca podeszła i mocno uściskała Samanthę. Odsunęła się, wciąż trzymając dłonie na jej ramionach. – Świetna robota... Co sobie zrobiłaś?

– Implanty w policzkach i szczęce. Przed wszystkim usta i oczy. No i oczywiście nos. A potem... – Spuściła wzrok na krągły biust, uśmiechając się lekko. – Ale to od dawna chciałam zrobić.

– Nie mogę w to uwierzyć – zaszlochała Linda, padając jej w objęcia.

– Jak się teraz nazywasz?

Nie patrząc na żadną z nich, odrzekła:

– Wolałabym nie mówić. Posłuchajcie. Bardzo was proszę, nie mówcie o mnie nikomu. Jeżeli złapią Daniela i będziecie chciały rozmawiać z dziennikarzami, w ogóle o mnie nie wspominajcie.



– Nie ma sprawy.

– Twój mąż nic nie wie? – zapytała Linda, patrząc na jej pierścionek zaręczynowy i obrączkę.

Przecząco pokręciła głową.

– Jak tyś to zrobiła? – zdumiała się Rebecca.

Samantha przełknęła ślinę.

– Skłamałam.

Dance wiedziała, że małżonkowie od czasu do czasu się okłamują, choć rzadziej niż partnerzy pozostający w wolnym związku. Większość kłamstw to jednak błażostki; niewiele dotyczy tak zasadniczych spraw jak w wypadku Samantha.

– To musi być cholernie trudne – zauważyła Rebecca. – Trzeba mieć dobrą pamięć.

– Nie mam wyboru – odrzekła Samantha. Dance dostrzegła kinezyczne sygnały postawy obronnej, zaplatanie rąk, krzyżowanie nóg, garbienie się, gesty niechęci.

Samantha była wulkanem stresu.

– Przecież musi wiedzieć, że siedziałaś – powiedziała Rebecca.

– Tak.

– No to jak...

– Opowiedziałam mu, że pomogłam zdefraudować szefowi parę akcji, bo potrzebował pieniędzy na operację żony.

– I uwierzył?

Samantha posłała Rebecce lękliwe spojrzenie.

– To dobry człowiek. Ale gdyby poznał prawdę, od razu by odszedł. Gdyby się dowiedział, że byłam w sekcie...

– To nie była sekta – wtrąciła szybko Linda.

– Wszystko jedno, w każdym razie stał za tym Daniel Pell. Wystarczyłoby, żeby mnie zostawić. I nie mogłabym mieć mu tego za złe.

– A twoi rodzice? – spytała Rebecca. – Wiedzą?

– Matka nie żyje, a ojciec interesuje się moim życiem tak jak zawsze. Czyli w ogóle. Ale przecież pamiętacie. Przepraszam. Wolałabym o tym nie rozmawiać.

– Jasne, Sam odrzekła Rebecca.

Agentka wróciła do sprawy. Najpierw poinformowała kobiety o szczegółach morderstwa Susan Pemberton i kradzieży firmowych dokumentów.

– Jest pani pewna, że to on? – spytała Linda.

– Tak. Znalaziono jego odciski palców.

Kobieta zamknęła oczy i półgłosem zmówiła modlitwę. Twarz Rebecki stężała w grymasie gniewu.

Żadna z nich nigdy nie słyszała nazwiska Pemberton ani nazwy Brock Company. Nie przypominały sobie żadnego przyjęcia obsługiwanego przez tę firmę, na której mógł być obecny Pell.

– W tamtych czasach raczej się nie chodziło na eleganckie imprezy –

powiedziała Rebecca.

Zapytana o współniczkę Pella Samantha, podobnie jak jej towarzyszki, nie miała pojęcia, kim może być ta kobieta. Nie przypominała też sobie żadnych wzmianek o Charlesie Pickeringu z Redding. Dance powiedziała im o e-mailu od Richarda Pella, pytając, czy kiedykolwiek się z nim kontaktowały.

– Z kim? – zdziwiła się Rebecca.

Dance wyjaśniła, o kogo jej chodzi.

– Starszy brat? – wtrąciła Linda. – Nie, Scotty był młodszy. Kiedy poznałam Daniela, już od roku nie żył.

– Miał brata? – zapytała Rebecca. – Mówił, że jest jedynakiem.

Dance opowiedziała o przestępstwach, jakie Pell popełnił ze szwagierką brata.

Linda pokręciła głową.

– Nie, nie, na pewno się pani myli. Jego brat miał na imię Scott i był niepełnosprawny umysłowo. Między innymi dlatego tak dobrze się rozumieliśmy.

Mój kuzyn ma porażenie mózgowe.

– A mnie powiedział, że jest jedynakiem, tak jak ja – oznajmiła Rebecca.

Parsknęła śmiechem. – Okłamywał nas, żeby zdobyć naszą życzliwość. A tobie co powiedział, Sam?

Ociągała się z odpowiedzią. Po chwili powiedziała:

– Richard był starszy. Nie byli zgodnymi braćmi. Richard znęcał się nad Danielem. Ich matka ciągle piła, w ogóle nie zajmowała się domem i ojciec kazał

sprzątać synom. Ale Richard całą pracę zwał na brata. A kiedy Daniel czegoś nie zrobił, spuszczał mu lanie.

– Powiedział ci prawdę? – spytała chłodno Linda.

– No, po prostu mi o tym wspominał.

– Myszka górą – zauważyła ze śmiechem Rebecca.

– Mnie mówił, że nie chce, żeby ktokolwiek inny z Rodziny wiedział o jego bracie – powiedziała Linda. – Że ufa tylko mnie.

– Ja miałam nikomu nie wspominać, że jest jedynakiem dodała Rebecca.

Linda miała zatroskaną minę.

– Wszyscy czasami opowiadamy jakieś bujdy. Zdarzenie z tą dziewczyną... to, o którym pisał do pani jego brat. Pewnie w ogóle do niego nie doszło albo wcale nie było takie poważne, a jego brat wykorzystał je jako pretekst, żeby się odciąć od Daniela.

Rebecca najwyraźniej nie była co do tego przekonana.

Dance przypuszczała, że Pell uznał Rebecę i Lindę za większe zagrożenie od Samantha. Linda pełniła w Rodzinie funkcję matki, miała więc pewien autorytet.

Rebecca była harda i bezczelna. Ale Samantha... nad nią mógł mieć o wiele większą kontrolę i wiedział, że może wyjawic jej prawdę – lub przynajmniej część prawdy.

Dance cieszyła się, że jednak postanowiła im pomóc. Zauważyła, że Samantha patrzy na dzbanek z kawą.

– Ma pani ochotę?

– Jestem trochę zmęczona. Ostatnio kiepsko sypiam.

– Witaj w klubie – powiedziała Rebecca.

Samantha zaczęła wstawać, lecz Dance powstrzymała ją gestem.

– Mleko, cukier?

– Och, naprawdę proszę sobie nie robić kłopotu.

Agentka dostrzegła, jak Linda i Rebecca lekkim uśmiechem skwitowały objaw nieśmiałości Samantha. *Myszka...*

– Dziękuję. Tylko mleko.

Dance podjęła:

– Linda wspominała, że Pell chciał się gdzieś przenieść, na jakiś „szczyt góry”.

Wie pani, co mógł mieć na myśli?

– Daniel nieraz mi mówił, że chce się wyprowadzić na wieś. Prze nieść się z całą Rodziną. Bardzo mu zależało, żeby od wszystkich uciec. Nie lubił sąsiadów, nie lubił rządu. Potrzebował miejsca dla nowych ludzi. Chciał powiększyć Rodzinę.

– Naprawdę? – zdziwiła się Rebecca.

Linda się nie odezwała.

– Wspominał kiedykolwiek o Utah?

– Nie.

– Jakie miejsce mogło wchodzić w grę?

– Nie mówił. Ale wydawało mi się, że poważnie się nad tym zastanawiał.

Przypomniawszy sobie, że po morderstwie Pemberton Pell prawdopodobnie uciekł z miejsca zbrodni łodzią, Dance wpadła na pewną myśl.

– Czy kiedykolwiek wspominał o wyspie? – spytała.

Samantha roześmiała się.

– O wyspie? Wykluczone.

– Dlaczego?

– Bał się wody. Za nic w świecie nie wsiadłby do niczego pływającego.

Linda spojrzała na nią zaskoczona.

– Nie wiedziałam.

Rebecca też nigdy o tym nie słyszała. Uśmiechnęła się drwiąco.

– Jasne. Swoimi lękami dzielił się tylko z Myszką.

– Daniel mówił, że ocean to świat kogoś innego i ludzie nie mają tam czego szukać. Człowiek nie powinien być w miejscu, nad którym nie może panować. To samo dotyczyło latania. Nie ufał pilotom ani samo lotom.

– Sądziliśmy, że uciekł łodzią z miejsca zbrodni.

– Niemożliwe.

– Jest pani pewna?

– Na sto procent.

Dance przerwała na chwilę rozmowę, zadzwoniła do Reya Carranea i poleciła mu odwołać poszukiwania skradzionych łodzi. Gdy się rozłączyła, pomyślała, że hipoteza O’Neila jednak była błędna i rację miał Kellogg.

– Chciałabym, żebyśmy się teraz zastanowiły nad motywem, jaki go skłonił do pozostania na półwyspie. Co z pieniędzmi? – Powtórzyła uwagę Rebecki o

„trafieniu czegoś grubszego” – prawdopodobnie o włamaniu albo dużym skoku. –

Przypuszczałam, że został tu, bo gdzieś w okolicy ukrył pieniądze albo coś cennego. Może nie załatwił do końca jakiegoś interesu. Czegoś, co ma związek z morderstwem Croytonów.

– Pieniądze? – Samantha pokręciła głową. – Nie, raczej nie sędzę, że by o to chodziło.

– Wiem, że tak właśnie powiedział – stanowczo oświadczyła Rebecca.

– Och, nie mówię, że nie – dodała pospiesznie Myszka. – Po prostu mógł użyć tego wyrażenia w trochę innym znaczeniu. Nie lubił popełniać przestępstw, które rzucały się w oczy. Włamywaliśmy

się do domów...

– Prawie wcale – wtrąciła Linda.

Rebecca westchnęła.

– No... jednak często, Linda. Zanim się zjawiłam, mieliście już swoje za uszami.

– Przesada.

Samantha nie opowiedziała się po stronie żadnej z nich i wydawała się zaniepokojona, że zażądają od niej, by rozstrzygnęła spór. Ciągnęła:

– Mówił, że gdybyśmy zrobili coś za bardzo nielegalnego, zaraz pisałaby o tym prasa i mielibyśmy na karku policję. Trzymaliśmy się z daleka od banków i punktów realizacji czeków. Za dużo ochrony, za duże ryzyko. – Wzruszyła ramionami. – W każdym razie we wszystkich tych kradzieżach nigdy nie chodziło o duże pieniądze.

– Nie? – zdziwiła się Dance.

– Nie. Tyle samo moglibyśmy zarobić w legalnej pracy. Ale Daniela nie to interesowało. Lubił zmuszać ludzi do robienia rzeczy, na które nie mieli ochoty. To go kręciło.

– Z tego, co mówisz, wynika, że nie robiliśmy niczego innego – obruszyła się Linda.

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało...

– Nie byliśmy bandytami.

Rebecca nie słuchała Lindy.

– Ja jestem pewna, że zależało mu na pieniądzach.

Samantha uśmiechnęła się niepewnie.

– Mnie wydawało się raczej, że bardziej chodziło mu o manipulowanie ludźmi.

Nie potrzebował dużych pieniędzy. Nie chciał ich.

– Przecież musiałyby zapłacić za swoją górę – zauważyła Rebecca.

– To prawda. Mogę się mylić.

Dance uznała, że to ważny klucz do zrozumienia Pella, spytała więc o ich kryminalną przeszłość w nadziei, że pomoże to wywołać konkretne wspomnienia.

Och, Daniel był niezły – odrzekła Samantha. – Chociaż wiedziałam, że robimy coś złego, nie mogłam go nie podziwiać. Znał najlepsze miejsca na kradzieże kieszonkowe i wiedział, do których domów można się włamać. Wiedział, jak działa ochrona w domach towarowych, które z markowych rzeczy mają elektroniczne zabezpieczenia, a które niejaki sprzedawca przyjmie zwrot bez paragonu.

– Wszyscy robią z niego strasznego przestępcę – powiedziała Linda. – Ale dla niego to była tylko gra. Wszyscy byliśmy przebrani. Pamięta cie? Peruki, ubrania, okulary. Niewinna zabawa, nic więcej.

Dance była skłonna zgodzić się z teorią Samanthy, że w wyznaczaniu członkom Rodziny przestępczych zadań bardziej chodziło o władzę niż pieniądze.

– A co z jego związkami z Charlesem Mansonem?

Och, nie miał żadnych związków z Mansonem – odparła Samantha. Ależ pisała o tym cała prasa zdumiała się Dance.

– Wie pani, jaka jest prasa.

Samantha jak zwykle niechętnie wygłaszała odmienne zdanie, lecz nie miała wątpliwości.

– Uważał Mansona za przykład, jak nie należy postępować.

Jednak Linda przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie, przecież miał o nim tyle książek i artykułów.

Dance przypomniała sobie, że Linda dostała wyższy wyrok, ponieważ po morderstwie Croytonów zniszczyła część obciążających materiałów na temat Mansona. Kobieta wyraźnie się zaniepokoiła, że jej heroiczny czyn mógł się okazać bezcelowy.

– Jedyne podobieństwo polegało na tym, że mieszkał z kilkoma kobietami i kazał nam popełniać przestępstwa. Daniel uważał, że Manson nie potrafił panować nad sobą. Twierdził, że jest Jezusem, wytatuował sobie swastykę na czole, myślał, że ma zdolności parapsychiczne, ciągle gadał o polityce i rasie.

To też był przykład ulegania emocjom. Tak jak tatuaże, kolczyki na ciele i dziwne fryzury. Przekazują ludziom informacje. A informacje to kontrola. Nie, Daniel sądził, że Manson wszystko robił źle. Miał innych bohaterów. Hitlera...

– Hitlera? – przerwała jej Dance.

– Tak. Zarzucał mu tylko błąd ze „sprawą żydowską”. To była jedyna słabość.

Daniel mówił, że gdyby Hitler potrafił to w sobie zdusić i żyć z Żydami, może nawet wziąć ich do rządu, zostałby najpotężniejszym człowiekiem w historii. Ale nie potrafił nad sobą panować, więc zasłużył na to, żeby przegrać wojnę. Podziwiał

też Rasputina.

– Tego rosyjskiego mnicha?

– Zgadza się. Rasputin wkradł się w łaski Mikołaja i Aleksandry. Danielowi podobało się, że wykorzystywał seks, żeby zdobywać kontrolę nad ludźmi. – Jej słowa wywołały śmiech Rebecki i rumieniec Lindy. – No i był jeszcze Svengali.

– Z powieści „Trilby”? – spytała Dance.

– Och, zna to pani? Uwielbiał tę książkę. Linda czytała ją kilkanaście razy.

– Kiepska była, szczerze mówiąc – powiedziała Rebecca. – Staro świecki język.

Wie pani, ckliwy melodramat.

Zerkając do notesu, agentka zapytała nowo przybyłą o słowa, których Pell szukał w Internecie.

– „Nimue”? – powtórzyła Samantha. – Nie. Ale kiedyś miał dziewczynę o imieniu Alison.

– Kogo? spytała Linda.

– Poznał ją w San Francisco. Przed nami. Należała do jakiejś grupy, podobnej do Rodziny.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Linda.

Samantha pokiwała głową, posyłając Lindzie niepewne spojrzenie.

– Ale to nie była jego grupa. Kiedy się włóczył, spotkał po drodze Alison i poznał ludzi z tej sekty, czy co to było. Daniel nie został jej członkiem – nigdy nie wykonywał niczyich rozkazów – ale zaciekała go, więc na jakiś czas z nimi został. Sporo się tam dowiedział o tym, jak mieć władzę nad ludźmi. Zaczęli go jednak traktować podejrzliwie, bo nie chciał do nich dołączyć. No więc razem z Alison opuścili grupę. Jeździli autostopem po stanie. Potem Daniel został za coś aresztowany czy zatrzymany przez policję, a Alison wróciła do San Francisco.

Jeszcze kiedy był z nami, próbował ją znaleźć. Dlatego czasem przyjeżdżał na półwysep. Nie wiem, po co chciałby jej teraz szukać.

– Jak się nazywała?

– Nie wiem.

Dance zastanawiała się głośno, czy Pell szukał Alison – lub kogoś o imieniu Nimue – aby się zemścić.

– W końcu musiał mieć ważny powód, skoro ryzykował wchodzenie do Internetu w Capitoli.

– Och, Daniel nie wierzył w zemstę – odrzekła Samantha.

– Nie wiem, Sam – wtrąciła Rebecca. – Pamiętasz tego gówniarza z naszej ulicy? Tego z gangu motocyklowego? Daniel omal go nie zabił.

Dance przypomniała sobie, jak Walker opowiadał jej o sąsiedzie z Seaside, którego napadł Pell.

– Po pierwsze – oznajmiła Linda – Daniel wcale tego nie zrobił. To był ktoś inny.

– No nie, spuścił mu takie manto, że facet mało się nie przekręcił.

– Ale policja go puściła.

Koronny dowód niewinności według Lindy, pomyślała Dance.

– Tylko dlatego, że gość nie miał odwagi złożyć skargi. – Rebecca spojrzała na Samanthę. – To był on, nie?

Samantha wzruszyła ramionami, unikając jej wzroku.

– Chyba. Tak, to Daniel go pobił.

Linda wyglądała na nieprzekonaną.

– Ale nie chodziło o zemstę... Widzi pani, ten gangster uważał się za jakiegoś ojca chrzestnego dzielnicy. Próbował szantażować Daniela, groził mu, że pójdzie na policję zgłosić coś, co się nigdy nie zdarzyło. Daniel zaczął próbować swoich sztuczek, ale tamten roześmiał mu się w twarz i powiedział mu, że ma tydzień na zorganizowanie pieniędzy.

Zaraz potem pod dom gangstera podjechała karetka. Miał złamane ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach. Ale to nie była zemsta. Daniel pobił go, bo facet był odporny na jego wpływ. Jeżeli ktoś jest odporny, to nie może być pod kontrolą Daniela i dlatego staje się zagrożeniem. A on zawsze powtarzał: „Zagrożenia trzeba eliminować”.

– Kontrola – powiedziała Dance. – To słowo chyba najlepiej podsumowuje Daniela Pella, prawda?

Był to chyba jedyny wniosek z przeszłości, z którym mogły się zgodzić wszystkie trzy kobiety z Rodziny.

### **Rozdział 34**

Siedzący w radiowozie zastępca szeryfa czujnie lustrował okolicę: teren, drzewa, ogrody, drogę.

Ochrona – bez dwóch zdań najnudniejsze zajęcie każdego policjanta. Drugie miejsce na liście zajmowała obserwacja podejrzanego, ale w takiej sytuacji człowiek miał przynajmniej świadomość, że śledzi bandytę, czyli mogła się nadarzyć okazja, by wyciągnąć broń i odstrzelić parę łbów.

Miałby coś do roboty.

Ale pilnowanie świadków i dobrych – zwłaszcza gdy źli nie mają nawet pojęcia, gdzie są dobrzy – jest okrooownie nudne.

Można było liczyć tylko na to, że rozbolą plecy i nogi; no i trzeba zachować proporcje między ilością kawy a liczbą wyjść do toalety i...

Do diabła, mruknął do siebie funkcjonariusz. Po co w ogóle o tym pomyślał?

Zdał sobie sprawę, że chce mu się sikać.

Zaryzykować i pójść w krzaki? Uznał, że to niedobry pomysł, zwłaszcza w takim ładnym miejscu. Będzie musiał skorzystać z toalety w domu. Postanowi!

najpierw zrobić szybką rundę wokół posiadłości i sprawdzić, czy wszystko w porządku, a dopiero potem zapukać do drzwi.

Wysiadł z samochodu i ruszył główną ulicą, zaglądając między drzewa i krzewy. Wciąż nic podejrzanego. Tylko typowe dla okolicy widoki: przejeżdżająca wolno limuzyna z szoferem w

czapce takiej jak w filmach; kobieta po drugiej stronie ulicy instruująca ogrodnika, jak ma zasadzić kwiaty pod skrzynką pocztową

– biedak był wyraźnie zirytowany jej niezdecydowaniem.

Kobieta spojrzała w stronę zastępcy szeryfa i skinęła mu głową.

Odwzajemnił gest, na moment puszczając wodze fantazji i wyobrażając sobie, jak właścicielka domu naprzeciwko podchodzi do niego i mówi, że zawsze bardzo podobali się jej mężczyźni w mundurach. Zastępca szeryfa słyszał opowieści o gliniarzach zatrzymujących na drodze kobiety, które „płacili mandat” za drzewami przy autostradzie albo na tylnym siedzeniu radiowozu (w niektórych wersjach miejscem akcji było siodełko harleya davidsona). Ale zawsze były to historie z trzeciej czy czwartej ręki. Nigdy nic takiego nie przydarzyło się żadnemu z jego znajomych. Podejrzewał też, że gdyby ktoś – choćby ta zdesperowana gospodyni domowa – zaproponowała mu igraszki, nie potrafiłby stanąć na wysokości zadania.

Ta myśl znów skierowała jego uwagę na okolice poniżej pasa, przypominając o pilnej potrzebie fizjologicznej.

Nagle zauważył, jak kobieta macha i zbliża się do niego. Przystanął.

– Wszystko u nas w porządku?

– Chyba tak, proszę pani. – Jak zawsze unikał jednoznacznej odpowiedzi.

– Przyjechał pan z powodu tego samochodu? – zapytała.

– Samochodu?

Pokazała na zarośla.

– Tam. Jakies dziesięć minut temu zobaczyłam, jak parkuje, ale kierowca wjechał między drzewa. Pomyślałam, że to trochę dziwne miejsce. Wie pan, ostatnio mieliśmy tu parę włamań.

Zaniepokojony zastępca szeryfa podszedł bliżej we wskazanym przez nią kierunku. Spomiędzy krzaków błysnął chrom albo szkło. Jedynym powodem, by zatrzymać samochód tak daleko z drogi, musiała być chęć jego ukrycia.

To Pełł, pomyślał.

Sięgając po broń, cofnął się w stronę ulicy.

Szszsz...

Słyszac zagadkowy dźwięk, odwrócił się i w tym samym momencie łopata trzymana przez ogrodnika z głuchym łomotem trafiła go w ramię i szyję.

Zastępca szeryfa z jękiem osunął się na kolana, a przed oczami zawirowały mu czarne kropki eksplodujące na tle żółtawego światła.

– Nie, błagam – wykrztusił.

Odpowiedzią był kolejny cios łopatą, tym razem wymierzony dokładniej.

Daniel Pell, ubrany w powalane ziemią ogrodniczki, zaciągnął gliniarza w krzaki, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć. Mężczyzna żył, był tylko oszołomiony i ranny.

Pell błyskawicznie zdjął zastępcy szeryfa mundur i włożył go, podwijając odrobinę za długie nogawki spodni. Następnie zakleił usta policjanta taśmą izolacyjną i skuł go jego kajdankami. Do kieszeni wsunął pistolet gliny i zapasowe magazynki, wkładając do kabury swojego glocka; znał tę broń i na tyle często strzelał z niej na sucho, by mieć wycucie spustu.

Zerkając za siebie, zobaczył Jennie, która wybierała kwiaty z kawałka ziemi pod skrzynką pocztową i wrzucała je do torby na zakupy. Dobrze poradziła sobie z rolą sąsiadki. Doskonale odwróciła uwagę gliniarza i prawie nie drgnęła, gdy Pell zdzielił drania łopatą.

Lekcja „morderstwa” Susan Pemberton odniosła skutek; Jennie zrobiła kolejny krok w stronę mrocznego wnętrza swojej duszy. Wciąż jednak musiał być ostrożny.

Gdyby zabił zastępcę szeryfa, posunąłby się za daleko. Mimo to wszystko szło wspaniale; Pell był zachwycony. Nic nie sprawiało mu większej radości niż tworzenie z kogoś istoty własnego projektu.

– Idź po samochód, najdroższa. – Podał jej ogrodniczki.

Rozpromieniła się w uśmiechu.

– Zaraz podjadę.

Pobiegła w głąb ulicy, niosąc ubranie, torbę na zakupy i łopatę. Obejrząwszy się, powiedziała bezgłośnie „Kocham cię”.

Pell z przyjemnością patrzył, z jaką pewnością siebie Jennie się porusza.

A potem wolno ruszył podjazdem prowadzącym do domu człowieka, który popełnił wobec niego niewybaczalny grzech, omal nie doprowadzając do jego śmierci – byłego prokuratora Jamesa Reynoldsa.

Daniel Pell zajrzał do środka przez szparę między firankami w oknie od frontu.

Zobaczył Reynoldsa rozmawiającego przez bezprzewodowy telefon i spacerującego po pokoju z butelką wina w dłoni. Do kuchni weszła jakaś kobieta –

zapewne żona. Śmiała się.

Pell sądził, że w dzisiejszych czasach można łatwo odszukać prawie każdego –

człowiek miał do dyspozycji komputery, Internet, Google. Znalazł pewne informacje na temat Kathryn Dance, które mogły mu się przydać. Ale James Reynolds pozostawał niewidzialny. Jego nazwiska nie było w bazach danych abonentów, w ewidencji podatników, w pocztowych stanowych i okręgowych książkach telefonicznych ani w spisach członków stowarzyszeń prawników.

Przypuszczał, że w końcu znajdzie prokuratora w jakimś urzędowym rejestrze, ale nie mógł przecież szperać w budynku okręgowym, z którego właśnie uciekł.

Poza tym miał mało czasu. Musiał załatwić swoją sprawę w Monterey i wyjechać.

Potem jednak przyszło olśnienie i zaczął przeszukiwać internetowe archiwa miejscowych gazet. W „Peninsula Times” natrafił na notkę o ślubie córki prokuratora. Zadzwoił do hotelu Del Monte Spa and Resort, gdzie odbyło się wesele, i dowiedział się, że uroczystość zorganizowała Brock Company.

Wystarczyło poczęstować Susan Pemberton kawą – i odrobiną gazu pieprzowego –

by zdobyć dokumenty z nazwiskiem i adresem człowieka finansującego tę fetę, Jamesa Reynoldsa.

A teraz stał przed jego drzwiami.

W środku znów ktoś się poruszył.

W domu był też dwudziestokilkuletni mężczyzna. Może syn – brat panny młodej – albo jego brat. Pell oczywiście będzie musiał zabić każdego, kogo znajdzie za progiem. Nie przejmował się, że skrzywdzi rodzinę, lecz nie mógł

zostawić nikogo przy życiu. Ich śmierć miała dla niego wyłącznie praktyczne znaczenie – dawała Pellowi i Jennie więcej czasu na ucieczkę. Grożąc im bronią, zamierzał zapędzić wszystkim do małego pomieszczenia – łazienki czy ciasnego pokoiku – a potem użyć noża, aby nikt nie słyszał strzałów. Miał nadzieję, że jeśli dopisze mu szczęście, ciała zostaną znalezione dopiero po wykonaniu drugiego zadania, jakie czekało go na półwyspie, i już po jego ucieczce.



Pell zobaczył, jak prokurator odkłada słuchawkę i zaczyna się odwracać.

Odskoczył od okna, sprawdził pistolet i nacisnął guzik dzwonka. Usłyszał szelest za drzwiami. Zdawało mu się, że judasza przesłonił czyjś cień. Pell stał w takim miejscu, by mieszkańcy domu mogli zobaczyć jego mundur, miał jednak spuszczone głowę.

– Tak? Kto tam?

– Posterunkowy Ramos, panie Reynolds.

– Kto?

– Zastępca szeryfa, zmiennik. Chciałbym z panem porozmawiać.

– Chwileczkę. Muszę coś zdjąć z ognia.

Pell zacisnął dłoń na pistolecie, spodziewając się, że niebawem opuści go ogromne zniecierpliwienie. Nagle poczuł podniecenie. Nie mógł się doczekać powrotu z Jennie do Sea View. Może nawet nie zdążą dojechać do motelu. Weźmie ją na tylnym siedzeniu. Pell cofnął się w cień wysokiego i gęstego drzewa rosnącego niedaleko drzwi, z lubością dotykając ciężkiego pistoletu. Upłynęła minuta. Potem następna. Zapukał.

– Panie Reynolds?

– Nie ruszaj się, Pell! – krzyknął czyjś głos. Dobiegał z zewnątrz, zza je go pleców. – Rzuć broń!  
– Głos należał do Reynoldsa. – Jestem uzbrojony.

Nie! Co się stało? Pell wzdrygnął się ze złością. Z powodu zaskoczenia i szoku omal nie zwymiotował.

– Posłuchaj, Pell. Jeżeli ruszysz się o milimetr, zastrzelę cię. Weź pistolet do lewej ręki, za lufę, i połóż na ziemi. Już!

– Co takiego? Co pan wygaduje?

Nie, nie! Przecież wszystko tak perfekcyjnie zaplanował! Z wściekłości zaparło mu dech. Szybko obejrzał się za siebie. Ujrzał Reynoldsa trzymającego oburącz wielki rewolwer. Mężczyzna najwyraźniej wiedział, jak się obchodzić z bronią, i nie zdradzał żadnych oznak zdenerwowania.

– Zaraz, panie prokuratorze. Nazywam się Hector Ramos. Jestem zmiennikiem...

Usłyszał trzask odwodzonego kurka.

– W porządku! Nie wiem, o co chodzi, ale niech panu będzie. Jezu.

Pell wziął pistolet za lufę i kucnął, opuszczając broń na tarasie.

W tej chwili z piskiem opon na podjazd wpadła czarna toyota i zahamowała przy wtórce klaksonu.

Pell rozciągnął się na brzuchu, chwycił broń i zaczął strzelać w kierunku Reynoldsa. Prokurator przypadł do ziemi, oddając kilka strzałów, ale w panice chybił. Pell usłyszał dobiegające z oddali wycie syren. Przez sekundę się wahał, rozdarty między chęcią ratowania własnej skóry a palącym pragnieniem zamordowania Reynoldsa. Zwyciężył jednak instynkt samozachowawczy. Pell sprintem pobiegł podjazdem w stronę Jennie, która otworzyła drzwi od strony pasażera.

Wskoczył do środka i gdy ruszali, z ponurą satysfakcją opróżnił magazynek, celując w stronę domu i mając nadzieję, że przynajmniej jedna z kul okazała się śmiertelna.

## **Rozdział 35**

Dance, Kellogg i James Reynolds stali na pokrytym rosą trawniku przed domem, wśród zadbanej zieleni, oświetlanej pulsującymi kolorowymi światłami.

Prokurator przede wszystkim obawiał się, czy nikt nie został trafiony pociskami pochodzącymi z jego i Pella broni. Wpadł w panikę i zaczął strzelać w odruchu obronnym – wciąż był roztrzęsiony –

a zanim jeszcze czarny samochód odjechał, zaniepokoił się, czy nie został ranny żaden z sąsiadów. Wybiegł na ulicę, żeby spojrzeć na tablice rejestracyjne, lecz wóz już zniknął, więc szybko ruszył do pobliskich domów. Okazało się na szczęście, że żadna przypadkowa kula w nikogo nie trafiła. Zastępca szeryfa znaleziony w krzakach był mocno potłuczony, miał

wstrząs mózgu i bardzo obolałe mięśnie, ale ratownicy poinformowali, że poza tym nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Kiedy rozległ się dzwonek i u drzwi zameldował się „posterunkowy Ramos”, Reynolds właśnie rozmawiał przez telefon z Kathryn Dance, która miała dla niego pilną wiadomość – Pell wiedział już, gdzie mieszka, i prawdopodobnie przebrany za Latynosa będzie próbował go zabić. Prokurator wyciągnął broń i wysłał żonę z synem do sutereny, aby stamtąd zadzwonili pod 911. Sam wysliznął się z domu przez boczne wyjście i zaszedł intruza od tyłu.

Od oddania śmiertelnego strzału dzieliły go zaledwie sekundy; Pella ocalała interwencja jego dziewczyny.

Prokurator odszedł zobaczyć, jak się czuje żona, lecz po chwili wrócił.

– Pell tyle ryzykował tylko dla zemsty? Musiałem się co do niego mylić.

– Nie, James, to nie była zemsta. – Nie wymieniając nazwiska – zaczęli się już zjawiać pierwsi dziennikarze – Dance podzieliła się z nim spostrzeżeniami Samantha McCoy na temat psychiki Pella i opowiedziała o incydencie w Seaside, gdzie został wyśmiany przez członka gangu motocyklowego. – Ty zrobiłeś to samo w sądzie. Kiedy próbował zdobyć nad tobą kontrolę, pamiętasz? To był znak, że jesteś na niego odporny. A co gorsza sam przejąłeś nad nim kontrolę – zrobiłeś z niego Mansona, kogoś innego, stał się twoją marionetką. Pell nie mógł na to pozwolić. Byłeś dla niego zbyt niebezpieczny.

– To nie zemsta?

– Nie, chodziło o jego plany na przyszłość – odrzekła Dance. – Wie dział, że nie dasz się zastraszyć i że masz pewne informacje i spostrzeżenia na jego temat –

może nawet w notatkach ze sprawy. Wiedział też, że nie spocznie, dopóki nie zostanie złapany. Nawet gdybyś był na emeryturze.

Przypomniała sobie zdecydowanie malujące się na twarzy prokuratora, gdy odwiedziła go w domu. *Zrobię wszystko...*

– Nie bałbyś się pomóc nam go wytropić. Dlatego stałeś się zagrożeniem. A jak mawia Pell, zagrożenia należy eliminować.

– Co to znaczy, „plany na przyszłość”? Co on zamierza zrobić?

– Oto jest pytanie. Nie wiemy.

– Ale jak, u diabła, udało ci się zadzwonić do mnie dwie minuty wcześniej?

Dance wzruszyła ramionami.

– Dzięki Susan Pemberton.

– Tej kobiecie zamordowanej wczoraj?

– Pracowała u Eve Brock.

W jego oczach błysnęło zrozumienie.

– W firmie, która organizowała wesele Julii. Przez nią mnie znalazł? Genialne.

– Z początku sądziłam, że Pell wykorzystał Susan, żeby dostać się do biura i zniszczyć dowody. Albo znaleźć informacje o jakiejś planowanej imprezie. Ciągle się zastanawiałam, dlaczego ją zabił. Pamiętałam jej biuro, wszystkie zdjęcia na ścianach. Na niektórych byli miejscowi politycy, na

innych wesela. I nagle przypomniałam sobie fotografie z wesela twojej córki, które widziałam w salonie.

Szybko skojarzyłam sobie jedno z drugim. Zadzwoiłam do Eve Brock i dowiedziałam się, że rzeczywiście byłeś jej klientem.

– Skąd wiedziałaś o przebraniu za Latynosa?

Wyjaśniła mu, że krótko przed morderstwem widziano Susan w towarzystwie szczupłego Latynosa. Linda powiedziała im o charakterystycznych Pella.

– Przemiana w Latynosa wydawała się trochę wydumana. Ale jak widać nie była. – Wskazała na podziurawioną kulami frontową ścianę domu prokuratora.

TJ i Carraneo zakończyli zbieranie informacji wśród sąsiadów i wrócili, by zameldować, że nikt nie widział nowego pojazdu mordercy.

Dołączył do nich także Michael O’Neil. Towarzyszył funkcjonariuszom z wydziału kryminalistycznego podczas zabezpieczania śladów na ulicy i w ogródku przed domem.

O’Neil uprzejmie skinął głową Kelloggowi, jak gdyby ich niedawny spór utonął już w niepamięci. Oznajmił im, że nie odkryto prawie nic. Znalezione łuski z dziewięciomilimetrowego pistoletu, bezużyteczne ślady opon (bieżnik był tak zdarty, że technicy nie potrafili zidentyfikować marki) oraz „jakiś milion mikrośladów, które donikąd nas nie doprowadzą”. Ostatnią informację wygłosił

cierpkim tonem, który zazwyczaj świadczył o irytacji detektywa.

Półprzytomny zastępca szeryfa pełniący straż przed domem nie potrafił skłecić sensownego zdania i podał mało konkretny rysopis napastnika i dziewczyny, nie dodając niczego więcej do tego, co już wiedzieli.

Reynolds zadzwonił do córki, ponieważ Pell znał już nazwisko jej i jej męża, i kazał im opuścić miasto, dopóki morderca nie zostanie schwytany. Żona i syn Reynoldsa mieli do nich dołączyć, lecz prokurator nie chciał wyjeżdżać. Zamierzał

tu zostać – w hotelu i pod ochroną policji – by przejrzeć akta sprawy morderstwa Croytonów, które niebawem miał otrzymać z archiwum sądu okręgowego. Był

zdecydowany na wszystko, by pomóc w złapaniu Pella.

Większość funkcjonariuszy odjechała – dwaj mieli pilnować Reynoldsa i jego rodziny, a dwaj inni powstrzymać dziennikarzy – i wkrótce na wonnej trawie pozostali w trójkę Kellogg, O’Neil i Dance.

– Wracam do Point Lobos – oświadczyła Dance. – Podrzucić cię do centrali do samochodu? – spytała Kellogga.

– Pojadę z tobą do hotelu – odparł agent. – Jeżeli można.

– Jasne. A ty, Michael? Chcesz jechać z nami? – Widziała, że O’Neil wciąż bardzo przeżywa śmierć Millara.

Detektyw spojrzął na stojących obok siebie Kellogga i Dance. Wyglądali jak małżeństwo odprowadzające gości po przyjęciu.

– Chyba nie. Złożę oświadczenie prasie, a potem wstąpię do rodziny Juana. –

Odetchnął głęboko chłodnym wieczornym powietrzem. – To był długi dzień.

Był zupełnie wyczerpany.

A w okazałym brzuchu miał prawie całą zawartość butelki łagodnego merlota z Vallejo Springs. Nie było mowy, aby Morton Walker jeszcze dziś wybrał się w drogę powrotną do domu,

przedzierając się przez gąszcz zatłoczonych dróg okręgu Contra Costa, a potem przez nie mniej okropne korki wokół San Jose. Zatrzymał

się w motelu niedaleko winnic, po których snuł się z nieszczęśliwą miną cały dzień.

Umył twarz i ręce, zamówił do pokoju kanapkę klubową i odkorkował wino.

Czekając na jedzenie, zadzwonił do domu, porozmawiał z żoną i dziećmi, po czym połączył się z Kathryn Dance.

Usłyszał od niej, że Pell próbował zabić prokuratora, który oskarżał go w procesie o morderstwo Croytonów.

– Reynoldsa? Nie!

– Nikomu nic się nie stało – uspokoiła go Dance. – Ale uciekł.

– Sądzisz, że to był jego cel? Po to został na półwyspie?

Agentka miała wątpliwości. Przypuszczała, że morderstwo Reynoldsa mogło stanowić preludium do właściwego planu, ponieważ Pell bał się prokuratora.

Prawdziwy plan wciąż jednak pozostawał dla nich zagadką. W głosie Dance dało się słyszeć zmęczenie i zniechęcenie.

W jego głosie najwyraźniej też.

– Morton, dobrze się czujesz? – spytała Dance.

– Zastanawiam się tylko, jak bardzo będzie mnie jutro rano bolała głowa.

Do drzwi zapukał kelner. Walker pożegnał się i odłożył słuchawkę.

Bez apetytu zjadł kanapkę, a później zaczął przerzucać kanały, nie zwracając uwagi na obrazy migające na ekranie.

Zrzucił buty i rozciągnął się na łóżku. Pociągając wino z plastikowego kubka, przypomniał sobie kolorową fotografię Daniela Pella w numerze „Time” sprzed lat. Morderca miał lekko odwróconą głowę, lecz nieziemsko błękitne oczy wpatrywały się prosto w obiektyw. Wydawało się, że potrafią wysledzić cię wszędzie i nie sposób było się pozbyć wrażenia, że nawet po zamknięciu czasopisma jego oczy wciąż wwierały się człowiekowi w duszę.

Walker był zły, że nie udało mu się uzyskać zgody od ciotki i cała wyprawa okazała się stratą czasu.

Zaraz jednak powiedział sobie, że przynajmniej pozostał w zgodzie z dziennikarską etyką, chroniąc swoje źródła i chroniąc dziewczynę. Użył całej siły perswazji, by przekonać ciotkę, lecz nie przekroczył żadnej moralnej granicy i nie podał Kathryn Dance nowego nazwiska i adresu dziewczyny.

Tak, pomyślał Walker, postąpiłem właściwie w trudnej sytuacji.

Przez ogarniającą go senność uświadomił sobie, że wraca mu dobre samopoczucie. Jutro wróci do domu, do żony i dzieci. Postara się jak najlepiej napisać książkę. Dostał już wiadomość od Rebecki Sheffield, która była gotowa pomóc – miała sporo notatek z życia Rodziny – i po jego powrocie chciała z nim popracować. Nie miał wątpliwości, że uda się jej przekonać do udzielenia mu wywiadu także Lindę Whitfield. A ofiar Daniela Pella, o których chciał pisać, z pewnością nie zabraknie.

W końcu, pokrzepiony na duchu i oszołomiony winem, Morton Walker powoli zapadł w sen.

## **Rozdział 36**

Siedziały przed telewizorem wychylone do przodu, pilnie oglądając wiadomości, jak trzy siostry, które spotkały się po latach.

W pewnym sensie były rodziną, pomyślała Samantha McCoy.

– Nie do wiary, co? – powiedziała Rebecca cichym głosem, drżącym z gniewu.

Linda, która razem z Samantha sprzątała po kolacji, ze zgrozą potrząsnęła głową.

Celem ataku Daniela Pella był prokurator James Reynolds.

Sam była bardzo poruszona informacją o zdarzeniu. Dobrze pamiętała Reynoldsa. Surowego, lecz rozsądnego człowieka, z którym udało się wynegocjować uczciwą zdaniem jej adwokata ugodę. Sam uważała nawet, że prokurator potraktował je zbyt pobłażliwie. Nie znaleziono dowodu wskazującego na ich udział w morderstwie Croytonów – Sam, podobnie jak jej towarzyszki, przeraziła wiadomość o ich śmierci. Mimo to lista drobniejszych przestępstw popełnionych przez Rodzinę była długa i gdyby James Reynolds chciał, mógłby zdecydować się na proces. a sąd wymierzyłby prawdopodobnie znacznie wyższe wyroki.

Okazał jednak zrozumienie dla ich sytuacji; zdawał sobie sprawę, że zostały opętane przez Daniela Pella. Nazwał to syndromem sztokholmskim. Sam sprawdziła później, że jest to określenie związku emocjonalnego ofiar porwania lub zakładników z przetrzymującymi je osobami. Sam przyjęła pobłażliwość Reynoldsa z wdzięcznością, lecz nie zamierzała zrzucić z siebie winy, usprawiedliwiając swoje postępowanie manipulacją psychologiczną. Co dzień czuła się podle z powodu kradzieży i świadomości, że pozwala Pellowi kierować swoim życiem. Nie została porwana; mieszkała z Rodziną z własnej woli.

Na ekranie telewizora pojawił się portret Pella w okularach, z ciemniejszą skórą i ciemnymi włosami, które nadawały mu latynoski wygląd. Nowa charakterystyka.

– Cholernie cudaczny – zauważyła Rebecca.

Wzdrygnęły się na dźwięk pukania. Zza drzwi odezwał się głos Kathryn Dance.

Linda wstała, by wpuścić ją do domku.

Samantha lubiła agentkę – sympatycznie uśmiechniętą, z nieodłącznym jak broń iPodem, w butach, których paski zdobiły wytłoczone w skórze ekstrawaganckie stokrotki. Chciałaby mieć parę takich butów. Samantha rzadko kupowała sobie coś fantazyjnego czy zabawnego. Czasami oglądała witryny sklepów, myśląc, wystrzałowa rzecz, chciałabym ją mieć. Zaraz jednak odzywał się w niej głuchy głos sumienia i reflektowała się – nie, nie zasługuję na nią.

Winston Kellogg także się uśmiechał, ale inaczej niż Dance. Pokazywał

ludziom uśmiech podobnie jak odznakę, co miało oznaczać: nie jestem taki, jak sądzicie. Owszem, jestem agentem federalnym, ale też człowiekiem. Kellogg był atrakcyjnym mężczyzną, choć z pewnością trudno byłoby go uznać za klasycznie przystojnego. Miał lekko zarysowany podwójny podbródek i nieco zaokrąglony brzuch. Ale niedostatki fizyczne rekompensował seksowny głos i sposób bycia.

Zerkając na włączony telewizor, Dance spytała:

– Już wiecie?

– Cieszę się, że nic mu się nie stało – powiedziała Linda. – Rodzina też była w domu?

– Wszyscy są cali i zdrowi.

– W wiadomościach wspominali, że został ranny zastępca szeryfa – odezwała się Rebecca.

– Wyjdzie z tego – odparł Kellogg. Wyjaśnił, jak Pell ze współniczką zaplanowali morderstwo prokuratora, zabijając wczoraj Susan Pemberton, by dowiedzieć się, gdzie mieszka Reynolds.

Samantha przypomniała sobie, jakie wrażenie wywarł na niej przed laty zacięty, nieokiełznany umysł Daniela Pella.

– W każdym razie chciałam wam podziękować – powiedziała Dance. –

Informacje od was ocaliły mu życie.

– Od nas? – zdziwiła się Linda.

– Tak. – Wyjaśniła, jak przekazane przez nie spostrzeżenia – zwłaszcza o reakcji Pella na szyderstwa i o jego upodobaniu do charakteryzacji – pozwoliły jej odgadnąć zamiary mordercy.

Rebecca pokręciła głową, zaciskając swoje wyraziste usta.

– Ale nie da się ukryć, że jednak wam uciekł.

Sam poczuła się zażenowana uszczypliwą uwagą Rebecki. Zawsze ją dziwiło, z jaką łatwością ludzie krytykują i obrażają innych, nawet jeśli nie mają w tym żadnego celu.

– Uciekł – przytaknęła Dance, patrząc wyżej kobiecie prosto w oczy. – Nie zdążyliśmy.

– Facet w wiadomościach mówił, że Reynolds sam próbował go złapać – ciągnęła Rebecca.

– Zgadza się – potwierdził Kellogg.

– Może więc przez niego Pell uciekł.

Dance bez trudu wytrzymała jej spojrzenie. Sam zazdrościła jej tej umiejętności. Jej mąż często powtarzał: „Hej, o co chodzi? Popatrz na mnie”.

Chyba jedyną osobą na świecie, której umiała spojrzeć w oczy, był jej półtoraroczny syn.

– Możliwe – powiedziała do Rebecki Dance. – Ale Pell stał na progu jego domu z bronią. Reynolds naprawdę nie miał wyboru.

Rebecca wzruszyła ramionami.

– Mimo wszystko. On jeden, a was tyłu.

– Daj spokój – rzuciła ostrym tonem Linda. – Robią co mogą. Znasz Daniela.

Wszystko dokładnie planuje, nikt nie umie przewidzieć, co zrobi.

– Nie, Rebecca ma rację – rzekł agent FBI. – Musimy lepiej pracować.

Jesteśmy w defensywie, ale dopadniemy go. Obiecuję.

Samantha zauważyła, jak Kellogg spogląda na Dance i pomyślała: cholera, on się w niej durzy. Wyrażenie pochodziło z jednej z setek staroświeckich książek, które latem czytała jako dziewczynka. A policjantka? Hm, możliwe. Sam nie była pewna. Ale po co rozmyślać o romansie dwojga ludzi, których znała jeden dzień.

Należeli do świata, o którym chciała jak najszybciej zapomnieć.

Rebecca złagodniała.

– Jeżeli tym razem tak niewiele brakowało, może następnym uda się nam doprowadzić do niego pięć minut wcześniej.

Dance skinęła głową.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko. Naprawdę jesteśmy wam wdzięczni za pomoc. Jeszcze parę rzeczy. Dla pewności postawiłam przed domkiem jeszcze jednego funkcjonariusza. Nie ma powodu przypuszczać, żeby Pell wiedział, że tu jesteście, ale pomyślałam sobie, że ostrożności nigdy za wiele.

– Zgoda – odparła Rebecca.

Agentka spojrzała na zegar. Pokazywał piętnaście po dziesiątej.

– Na dziś chyba już wystarczy. Gdyby przyszło wam do głowy coś jeszcze na temat Pella albo sprawy i chciałybyście o tym porozmawiać, mogę się tu zjawić w ciągu dwudziestu minut. Jeżeli nie, zobaczymy się jutro rano. Pewnie jesteście bardzo zmęczone.

Tak zwykle bywa na zjazdach rodzinnych – powiedziała Samantha.

Jennie zaparkowała toyotę na tyłach motelu Sea View i wyłączyła silnik. Daniel Pell nie wysiadał. Czuł się odrętwiały i wszystko wydawało mu się surrealistyczne: widmowe aureole światła we mgle, odległy szum fal dobiegający z plaży Asilomar.

Inny świat, jak z dziwnego filmu oglądanego przez więźniów w Capitoli, którzy jeszcze przez wiele miesięcy z przejęciem o nim rozmawiali.

Wszystko przez ten zagadkowy incydent w domu prokuratora.

– Dobrze się czujesz, ukochany?

Milczał.

– Nie lubię, jak jesteś taki niezadowolony. – Położyła mu dłoń na udzie. –

Przykro mi, że nie wyszło tak, jak chciałeś.

Myślał o zdarzeniu sprzed ośmiu lat, gdy na procesie w sprawie Croytonów zwrócił oczy, błękitne jak lód, na prokuratora Jamesa Reynoldsa, aby wzbudzić w nim lęk, aby go zdekoncentrować. Lecz Reynolds spojrział na niego i zaczął

chichotać. Potem odwrócił się do przysięgłych, mrugając do nich porozumiewawczo.

Oni też wybuchnęli śmiechem.

Cały wysiłek na nic. Czar prysł. Pell był przekonany, że uda mu się siłą woli doprowadzić do uniewinnienia, wmówić przysięgłym, że mordercą był Jimmy Newberg, a Pell tylko ofiarą działającą w obronie własnej.

Reynolds śmiał się, jak gdyby Pell był dzieckiem strojącym miny ku uciesze dorosłych.

Nazwał go Synem Mansona...

*Przejął kontrolę. Nade mną!*

To właśnie był niewybaczalny grzech. Nie chodziło o oskarżenie – wiele osób już wcześniej oskarżało Pella. Reynolds zgrzeszył, bo przejął nad nim kontrolę.

Zrobił z niego marionetkę i pociągał za sznurki, wzbudzając śmiech widzów.

Niedługo potem przewodniczący ławy przysięgłych odczytał wyrok. W jednej chwili zniknęła jego cudowna góra, jego wolność, jego niezależność, jego Rodzina.

Bez śladu. Całe życie przekreślił szyderczy śmiech.

A teraz Reynolds – równie groźny dla Pella jak Kathryn Dance – zapadnie się pod ziemię i o wiele trudniej będzie go znaleźć.

Zadygotał z wściekłości.

– Nic ci nie jest, kochanie? Wyglądasz na zdenerwowanego. Możesz mi powiedzieć?

Nadal czując, jak gdyby był w innym wymiarze, Pell opowiedział Jennie o zachowaniu Reynoldsa w sądzie i zagrożeniu, jakie w nim widział nikt nie znał tej historii.

Zabawne, ale wcale nie uznała jej za dziwną.

– To okropne. Moja matka była taka sama, też śmiała się ze mnie przy innych. I biła. Chyba jednak gorszy był śmiech. Dużo gorszy.

Naprawdę wzruszyło go jej współczucie.

– Wiesz co, najdroższa?... trzymałaś się dzisiaj mocno.

Uśmiechnęła się, unosząc zaciśnięte dłonie – jak gdyby pokazując wytatuowane na palcach marynarskie zakłęcie.

– Jestem z ciebie dumny. Chodź, wejdźmy do środka.

Ale Jennie nie ruszała się z miejsca. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Zastanawiałam się nad czymś.
- Nad czym?
- Jak on się domyślił?
- Kto?
- Ten człowiek. Reynolds. – Spojrzała na niego z poważną miną.
- Chyba mnie zobaczył. I poznał.
- Nie wydaje mi się. Syreny było słychać, jeszcze zanim zapukałeś.
- Naprawdę?
- Chyba tak.

*Kathryn...* Zielone oczy, jasne jak moje, krótkie różowe paznokcie, warkocz spięty czerwoną gumką, pierścionek z perłą na palcu i błyszcząca muszla na szyi.

Przekłute uszy, ale bez kolczyków. Widział ją w wyobraźni w najdrobniejszych szczegółach. Czuł nawet obecność policjantki obok siebie. Balon w środku zaczął pęcznieć.

- Ta policjantka. Z nią możemy mieć kłopot.
- Opowiedz mi o niej.

Pell pocałował ją, wędrując dłonią po jej wystającym kręgosłupie, przez pasek stanika, wsuwając palce za spodnie, gdzie poczuł dotyk delikatnej koronki.

- Nie tutaj. Wejźmy do środka. Opowiem ci o niej w pokoju.

### **Rozdział 37**

Mam już tego dosyć – oznajmiła Linda Whitfield, wskazując telewizor, w którym wciąż powtarzano wiadomości o Pellu.

Samantha przyznała jej rację.

Linda poszła do kuchenki, zaparzyła herbatę i bezkofeinową kawę, po czym przyniosła do salonu kubki, mleko, cukier i ciastka. Rebecca wzięła kawę, ale odstawiła ją na bok, dalej sącząc wino.

- Ładnie mówiłaś przy kolacji – powiedziała Sam.

Linda głośno zmówiła modlitwę, najwyraźniej improwizowaną. Samantha nie była religijną osobą, lecz wzruszyły ją słowa Lindy, która modliła się o spokój dusz ludzi zamordowanych przez Daniela Pella i ich rodzin, wyrażała wdzięczność za możliwość spotkania z siostrami i prosiła o szczęśliwe rozwiązanie tej przykrej sytuacji. Nawet Rebecca – stalowa magnolia – wyglądała na wzruszoną.

Gdy Sam była mała, żałowała często, że rodzice nie zabierają jej do kościoła.

Nie interesowało jej żadne konkretne miejsce, ale wiele jej koleżanek chodziło z rodzinami do kościoła, więc widocznie była to rzecz, którą córka może robić wspólnie z rodzicami. Zresztą ona ucieszyłaby się, nawet gdyby zabrali ją tylko do supermarketu albo na lotnisko, gdzie mogliby przyglądać się startującym i lądującym samolotom, jedząc hot dogi kupione w samochodzie zaparkowanym przy ogrodzeniu jak Ellie i Tim Schwimmerowie z sąsiedniego domu ze swoimi staruszkami.

*Samantho, bardzo chciałabym jechać z tobą, ale dobrze wiesz, jakie to ważne zebranie. Nie chodzi tylko o Walnut Creek. Ta sprawa może mieć wpływ na cały okręg Contra Costa. Ty też mogłabyś z czegoś zrezygnować. Świat nie kręci się wokół ciebie.*

Ale dość już tego, nakazała sobie Samantha.

Podczas kolacji rozmawiały na mało istotne tematy: o polityce, pogodzie, swojej ocenie Kathryn



Dance. Teraz Rebecca, która wypijała sporo wina, próbowała skłonić Lindę do zwierzeń i dowiedzieć się, co takiego przytrafiło się jej w więzieniu, że stała się tak religijna, ale ona, podobnie jak Samantha, wyczuła w jej głosie prowokacyjny ton i zbywała pytania ogólnikami. Z trzech kobiet Rebecca zawsze była najbardziej niezależna i wciąż tak samo brutalnie szczerza jak kiedyś.

Linda opowiedziała jednak o swoim codziennym życiu. Prowadziła w dzielnicy ośrodek kościelny – Samantha wywnioskowała, że była to darmowa jadłodajnia – i pomagała bratu i bratowej wychowywać ich przybrane dzieci. Z rozmowy i widoku jej sfatygowanego ubrania jednoznacznie wynikało, że Linda z trudem wiąże koniec z końcem. Mimo to twierdziła, że pod względem duchowym ma „bogate życie”, powtarzając to kilka razy.

– W ogóle nie rozmawiasz z rodzicami? – spytała Sam.

– Nie – odrzekła cicho Linda. – Mój brat raz na jakiś czas się z nimi kontaktuje, aleja nie. – Samantha nie była pewna, czy w jej głosie dominuje nuta złości czy smutku. (Przypomniała sobie, że ojciec Lindy startował w jakichś wyborach zaraz po jej aresztowaniu i przegrał – kiedy w reklamach jego konkurenta pojawiła się sugestia, że jeśli Lyman Whitfield nie potrafi dopilnować przestrzegania prawa i porządku we własnej rodzinie, to nie może dobrze służyć społeczeństwu).

Linda wyznała, że spotyka się z mężczyzną ze swojego kościoła. Określiła go jako „miłego”, dodając, że pracuje w Macy’s. Nie wdawała się w szczegóły, a Samantha zaczęła się zastanawiać, czy Linda naprawdę z nim chodzi, czy po prostu są przyjaciółmi.

Rebecca o wiele chętniej opowiadała o swoim życiu. Inicjatywa Kobiet działała świetnie, zatrudniając czworo pracowników na pełnym etacie, a Rebecca mieszkała w apartamentowcu wychodzącym na morze. Mówiąc o życiu uczuciowym, opowiedziała im o swoim ostatnim chłopaku, architekcie krajobrazu, prawie piętnaście lat starszym od niej, ale przystojnym i dosyć zamożnym. Rebecca zawsze chciała wyjść za mąż, gdy jednak poruszyła temat ich wspólnej przyszłości, Samantha domyśliła się, że coś stoi im na przeszkodzie i jej partner zapewne nie zakończył jeszcze poprzedniego związku (jeżeli w ogóle wystąpił o rozwód).

Rebecca wspomniała też o innych chłopakach.

Samantha poczuła się odrobinę zazdrosna. Po wyjściu z więzienia zmieniła tożsamość i przeprowadziła się do San Francisco, mając nadzieję wtopić się w anonimowy tłum mieszkańców wielkiego miasta. Unikała towarzystwa, obawiając się, że jakiś szczegół zdradzi jej prawdziwą tożsamość albo że mimo operacji plastycznych ktoś ją rozpozna.

W końcu zaczęła jej doskwierać samotność i Sam wyszła do ludzi. Trzeci chłopak, z którym się spotykała, Ron Starkey, był inżynierem elektrykiem, absolwentem Stanforda. Sympatyczny, nieśmiały, nieco zagubiony – klasyczny kujon. Niezbyt ciekawiła go jej przeszłość; właściwie nie interesowało go nic poza lotniczymi urządzeniami nawigacyjnymi, filmami, restauracjami i ostatnio ich synem.

Większość kobiet nie przepada za tym typem osobowości, lecz Samantha uznała, że dla niej będzie w sam raz.

Pobrali się po pół roku, a rok później urodził się Peter. Sam była zadowolona.

Ron okazał się dobrym ojcem, człowiekiem, na którym mogła polegać. Żałowała tylko, że nie poznała go kilka lat później, gdy zdążyłaby trochę więcej przeżyć i doświadczyć po czasie spędzonym w Rodzinie i w więzieniu. Uważała, że skutkiem spotkania z Danielem Pełłem była wielka dziura w jej życiu, której nigdy nie będzie potrafiła wypełnić.

Linda i Rebecca usiłowały namówić Samanthę, by opowiedziała im o sobie.

Odmówiła. Nie chciała zdradzać komukolwiek, a zwłaszcza tym kobietom, żadnych szczegółów

życia Sarah Starkey. Gdyby tajemnica wyszła na jaw, Sam nie miała wątpliwości, że Ron by ją zostawił. Kiedy z płaczem „przyznała się” do defraudacji, zerwał z nią na kilka miesięcy; gdyby się dowiedział, że przez tyle lat go okłamywała, nie mówiąc nic o swoim związku z Danielem Pellem, natychmiast wyszedłby z domu – zabierając ze sobą syna – i już nigdy by nie wrócił.

Linda znów podsunęła jej talerz z ciastkami.

– Nie, dziękuję – rzekła Samantha. – Już nie mogę. Od dawna nie zjadłam tyle na kolację.

Linda usiadła obok, chrupiąc herbatnika.

– Och, Sam. Zanim przyjechałaś, opowiadałyśmy Kathryn o naszej wielkanocnej kolacji.

Ostatniej Wielkanocy razem. Pamiętasz?

– Czy pamiętam? Było fantastycznie.

To rzeczywiście był wspaniały dzień. Siedzieli przed domem przy stole, który zrobiła z Jimmym Newbergiem ze znalezionej na plaży drewna. Mnóstwo jedzenia, świetna muzyka sącząca się z oplatanego siecią kabli, skomplikowanego zestawu stereo dzieła Jimmy’ego. Malowali pisanki, wypełniając dom wonią gorącego octu. Samantha pomalowała wszystkie na niebiesko. Jak oczy Daniela.

Dni Rodziny były już policzone; sześć tygodni później rodzina Croytonów i Jimmy Newberg nie żyli, reszta trafiła za kratki.

Ale tamten dzień był cudowny. Indyk – wspominała z uśmiechem Sam.

Uwędziłaś go, prawda?

Linda przytaknęła.

– Chyba osiem godzin. W tej wędzarni, którą zrobił dla mnie Daniel.

– W czym? – zdziwiła się Rebecca.

– W wędzarni za domem. Tej, którą dla mnie zrobił.

– Pamiętam. Ale wcale jej nie zrobił.

Linda roześmiała się.

– Ależ tak. Mówiłam mu, że zawsze chciałam mieć małą wędzarnię. Taką jak u moich rodziców. Ojciec wędził tam szynki, kurczaki i kaczki. Chciałam mu pomagać, ale nie pozwalał. Więc Daniel zrobił ją dla mnie.

Rebecca miała zdezorientowaną minę.

– Nie, nie. Wziął ją od tej kobiety z naszej ulicy. Jak jej było?

– Z naszej ulicy? – Linda zmarszczyła brwi. – Mylisz się. Pożyczył narzędzia i zrobił mi wędzarnię ze starej beczki po ropie. Sprawił mi prawdziwą niespodziankę.

– Zaraz... Rachel. Zgadza się, tak miała na imię. Pamiętasz ją? Ład na nie była

– jasnorude włosy z siwymi odrostami. – Rebecca spojrzała na nią zdumiona. –

Musisz ją pamiętać.

– Pamiętam Rachel – odparła chłodno Linda. – Co ona ma z tym wspólnego?

Rachel była ćpunką i powodem poważnej niezgody w Rodzinie, ponieważ Pell spędzał w jej domu sporo czasu... robiąc to, co lubił najbardziej. Samantha w ogóle się tym nie przejmowała – godziła się na wszystko, co pozawalało jej uniknąć przykrości ze strony Pella w sypialni. Ale Linda była zazdrosna. Podczas ich ostatniego wspólnego Bożego Narodzenia Rachel pod jakimś pretekstem wstąpiła do domu Rodziny, kiedy Daniela nie było. Linda wyrzuciła ją na ulicę. Gdy Pell się o tym dowiedział, przyrzekł, że więcej nie będzie się z nią spotykał.

– To od niej dostał tę wędzarnię – powiedziała Rebecca, która zjawiała się w domu po świątecznej awanturze i nie miała pojęcia o zazdrości Lindy.

– Nieprawda. Zrobił mi ją na urodziny.

Sam przeczuwała nadciągającą katastrofę.

– Wszystko jedno – włączyła się pospiesznie. – Ważne, że uwędziłaś świetnego indyka. Robiliśmy kanapki chyba jeszcze przez dwa tygodnie.

Żadna z nich nie zwróciła na nią uwagi. Rebecca pociągnęła łyk wina.

– Linda, dostałaś na urodziny wędzarnię, bo Daniel był tego dnia rano u Rachel i ona mu ją dała. Zrobił ją dla niej jakiś surfer, ale nie umiała gotować.

– Był u niej? – szepnęła Linda. – W moje urodziny?

Pell przekonywał Lindę, że nie widział się z Rachel od pamiętnego incydentu w święta. Linda miała urodziny w kwietniu.

– Tak. Bywał ze trzy razy w tygodniu. Jak to, nic nie wiedziałaś?

– Nieważne – powiedziała Samantha. – To było tak dawno...

– Zamknij się – warknęła Linda. Spojrzała na Rebeccę. – Mylisz się.

– Co, dziwisz się, że Daniel cię okłamał? – Rebecca wybuchnęła śmiechem. –

Tobie powiedział, że ma upośledzonego brata, mnie, że w ogóle nie ma brata.

Zapytajmy autorytetu. Sam, czy Daniel chodził wiosną do Rachel?

– Nie wiem.

– Odpowiedź błędna... Owszem, wiesz – oznajmiła Rebecca.

– Dajcie spokój – prosiła Sam. – Co to za różnica?

– Zróbmy sobie konkurs, kto najlepiej zna Daniela. Powiedział ci coś o tym?

Przecież swojej Myszce mówił wszystko.

- Nie musimy...
- Odpowiedz!
- Nie mam pojęcia. Rebecca, daj spokój. Odpuść sobie.
- Powiedział?

Rzeczywiście powiedział. Samantha odparła jednak:

- Nie pamiętam.
- Gówno prawda.
- Dlaczego miałby mnie okłamywać? – burknęła Linda.

– Bo mu powiedziałaś, że mamusia z tatusiem nie pozwalali ci się bać grillem. Zapamiętał to sobie i wykorzystał. Ale nie poszedł tak po prostu kupić ci zabawki. Twierdził, że sam ją zrobił! Pieprzony święty!

- To ty kłamiesz.
- Dlaczego?
- Bo Daniel nigdy nic dla ciebie nie zrobił.

– Daruj sobie. Będziemy się licytować jak gówniary ze szkoły? – Rebecca przyjrzała się Lindzie.  
– Ach, już rozumiem. Byłaś o mnie zazdrosna! Dlatego wtedy chodziłaś taka wkurzona. I dlatego tak się teraz wkurzasz.

Miała rację, pomyślała Samantha. Gdy Rebecca dołączyła do Rodziny, Daniel znacznie rzadziej spędzał czas z innymi kobietami. Sam umiała sobie z tym poradzić – zносиła wszystko, o ile Daniel był zadowolony i nie chciał jej wyrzucić z Rodziny. Ale Linda, w roli matki, poczuła się głęboko dotknięta faktem, że Rebecca zaczęła zajmować jej dotychczasowe miejsce.

Jednak Linda zaprzeczyła.

– Nieprawda. Jak można być zazdrosnym w takiej sytuacji? Jeden facet i trzy kobiety pod jednym dachem?

- Jak? Bo jesteśmy ludźmi. Do diabła, przecież nawet o Rachel byłaś zazdrosna.
- To co innego. Rachel była zwykłą puszczalską. Nie była jedną z nas, nie należała do Rodziny.
- Słuchajcie, nie jesteśmy tu z naszego powodu – odezwała się Samantha. –

Przyjechałyśmy pomóc policji.

– Nie z naszego powodu? – powtórzyła drwiąco Rebecca. – Kiedy widzimy się pierwszy raz po ośmiu latach? Myślałaś, że siądziemy, ułożymy dziesięciopunktową listę „Co pamiętam o Danielu Pellu i wrócimy do domu?”

Jasne, że ta sprawa dotyczy tak samo nas jak i Daniela.

Linda posłała Samancie gniewne spojrzenie.

– A ty nie musisz mnie bronić. – Pogardliwym ruchem głowy wskazała na Rebeckę. – Ona nie jest tego warta. Nie była w Rodzinie od początku tak jak my.

Przyszła i zaczęła się rządzić. – Odwróciła się do Rebecki. – Ja byłam z nim ponad rok. A ty? Parę miesięcy.

- Daniel sam mnie prosił. Nie wpychałam się do was na siłę.
- Zanim się zjawiałaś, żyliśmy w zgodzie.
- W zgodzie? – Rebecca odstawiła kieliszek z winem, prostując się. – Słyszysz, co mówisz?

– Rebecco, proszę – powiedziała Sam. Serce waliło jej mocno. Bliska łez patrzyła na dwie kobiety o poczerwieniałych twarzach, siedzące po przeciwnych stronach stolika z lakierowanego, poźółkłego drewna. – Przestań.

Szczupła kobieta nie zwracała na nią uwagi.

– Linda, słucham cię, odkąd weszłam do tego domku. Bronisz go. mówisz, że wcale nie był taki zły, że wcale tak dużo nie kradliśmy. Może Daniel nie zabił tego czy tamtego... Bzdury wygadujesz. Przejrzyj na oczy. Ta Rodzina była chora, totalnie chora.

– Nie mów tak! To nieprawda.

– Prawda, do cholery. A Daniel to potwór. Zastanów się. Pomyśl, co nam zrobił... – Oczy Rebecki błyszczały, drżały usta. – Patrzył na ciebie i widział kogoś, komu rodzice nie pozostawiali nawet odrobiny swobody. Co więc robi? Mówi ci, jaką jesteś wspaniałą, samodzielną osobą, jak cię łąmsili. I powierza ci cały dom.

Robi z ciebie mamusię. Daje ci władzę, jakiej nigdy nie miałaś. I na to cię łapie.

W oczach Lindy zalśniły łzy.

– Wcale tak nie było.

– Masz rację. Było jeszcze gorzej. Pomyśl o tym, co się stało później. Rodzina się rozpada, idziemy do pudła i gdzie potem trafiasz? Tam, gdzie byłeś na początku. Pod skrzydła dominującego mężczyzny – ale tym razem tatusiem jest sam Pan Bóg. Jeżeli myślałaś, że nie potrafisz przeciwstawić się prawdziwemu ojcu, to co powiesz o nowym?

– Nie mów tak – zaczęła Sam. – Przecież Linda...

Rebecca obróciła twarz w jej stronę.

– A ty? Taka sama jak w dawnych czasach. Linda i ja bierzemy się za łby, a ty odgrywasz pannę O'NZ, nie chcesz, żeby ktoś się denerwował, żeby ktoś rozrabiał.

Dlaczego? Bo tak ci na nas zależy, złotko? A może strasznie się boisz, że się zatłuczemy i zostaniesz jeszcze bardziej samotna niż jesteś?

– Nie musisz się tak zachowywać – mruknęła Sam.

– Och, chyba muszę. Przyjrzyjmy się twojej historii, Myszko. Twoi rodzice nie mieli pojęcia o twoim istnieniu. „Rób co chcesz, Sammy. Mamusia i tatuś są za bardzo zajęci Greenpeace'em, Krajową Organizacją Kobiet albo marszem solidarności z chorymi na raka, żeby cię utulić do snu. Co robi Daniel? Nagle zmienia się w troskliwego rodzica, które go nigdy nie miałaś. Dbą o ciebie, mówi ci, co masz robić, kiedy masz umyć zęby, kiedy pomalować kuchnię, kiedy stanąć na czworakach w łóżku... a ty myślisz, że cię kocha. I zgadnij, co się dzieje? Też dajesz się na to złapać.

Teraz wróciłaś do punktu wyjścia, tak samo jak Linda. Nie istniałaś dla rodziców, a teraz nie istniejesz dla nikogo. Bo nie jesteś już Samanthą McCoy.

Stałaś się kimś innym.

– Przestań! – Samantha wybuchnęła płaczem. Ostre słowa zrodzone ze smutnej prawdy boleśnie ją raniły. Też mogła powiedzieć coś Rebecce – ojej egoizmie, brutalnej szczerości graniczącej z okrucieństwem – jednak się powstrzymała. Nie potrafiłaby nikomu ostro odpowiedzieć, na wet w odruchu samoobrony.

*Myszka...*

Ale Linda nie była tak powściągliwa i umiała walczyć.

– Kto ci dał prawo tak do nas mówić? Byłaś tylko włóczęgą i zgrywałaś się na zbuntowaną artystkę. – Głos Lindy drżał z gniewu, po jej twarzy płynęły łzy. –

Jasne, że Sam i ja miałyśmy swoje problemy, ale przynajmniej zależało nam na sobie. Ty byłaś tylko dziwką. A teraz chcesz nas oceniać? Nie byłaś ani trochę lepsza!

Rebecca odchyliła się, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem. Sam niemal widziała, jak gniew

odpływa z jej twarzy. Rebecca spojrzała w białą stolik i powiedziała cicho:

– Masz rację, Lindo. Masz absolutną rację. Wcale nie jestem lepsza. Ja też dałam się nabrać. Ze mną zrobił to samo.

– Z tobą? – warknęła Linda. – Nic cię z Danielem nie łączyło! Tylko się z nim pieprzyłaś.

– Właśnie – odparła z uśmiechem, chyba najsmutniejszym, jaki Samantha McCoy kiedykolwiek widziała.

– Jak to? – spytała Sam.

Kolejny łyk wina.

– Jak myślicie, na co mnie złapał? – Znów przechyliła kieliszek. – Ni gdy wam nie mówiłam, że zanim go poznałam, nie spałam z nikim przez trzy lata.

– Ty?

– Śmieszne, nie? Taka seksowna laska. Femme fatale artystów środkowego wybrzeża. Prawda wyglądała zupełnie inaczej. Co Daniel Pell zrobił dla mnie?

Sprawił, że polubiłam swoje ciało. Nauczył mnie, że seks to coś dobrego. Że nie jest brudny. – Odstawiła kieliszek. – I wygląda inaczej niż to, co się działo po powrocie ojca z pracy.

– Och – szepnęła Samantha.

Linda milczała.

Wychyliła resztkę wina.

– Dwa albo trzy razy w tygodniu. Byłam w średniej szkole... Chcecie posłuchać, jaki dostałam prezent na zakończenie nauki?

– Rebecca... tak mi przykro – powiedziała Sam. – Nigdy nam nic nie mówiłaś.

– Wspominałaś ten dzień, kiedy się poznaliśmy, i furgonetkę. – Zwróciła się do Lindy, której twarz pozostała niewzruszona. – Zgadza się, spędziliśmy tam trzy godziny. Myślałaś, że poszliśmy się pieprzyć. Ale tylko rozmawialiśmy. Uspokajał

mnie, bo byłam totalnie spanikowana. Tak jak wiele razy przedtem, kiedy byłam z mężczyzną, który mnie pragnął, a ja jego, tylko że nie mogłam się przełamać. Nie potrafiłam mu pozwolić się dotknąć. Seksowne opakowanie – puste w środku. A Daniel? Dokładnie wiedział, co ma powiedzieć, żebym się uspokoiła.

A teraz kim jestem? Mam trzydzieści trzy lata i w tym roku spotykałam się z czterema facetami. Wiecie, że nie pamiętam, jak miał na imię drugi? No i każdy był co najmniej piętnaście lat starszy ode mnie... Nie, wcale nie jestem lepsza od was. I wszystko, co wam powiedziałam, sobie mogę powtórzyć dwa razy.

Ale Linda, pomyśl, jaki to naprawdę człowiek i co z nami zrobił. Nie można sobie wyobrazić nic gorszego niż Daniel Pell. Mówię wam, to jednak było okropne... Przepraszam, jestem pijana i nie byłam gotowa na wywlekanie tyłu brudów.

Linda nadal milczała. Z wyrazu jej twarzy Samantha wyczytała rozterkę. Po chwili Linda powiedziała:

– Przykro mi z powodu twojego nieszczęścia. Pomodłę się za ciebie. A teraz was przepraszę. Pójdę się położyć.

Ściskając w ręku Biblię, zniknęła w sypialni.

– Nie najlepiej to wszystko poszło – powiedział Rebecca. – Przepraszam, Myszkko. – Odchyliła się, zamykając oczy i wzdychając. – Dziwna rzecz. Kiedy próbujesz uciec od przeszłości, jesteś jak pies na łańcuchu. Choćbyś nie wiem jak bardzo chciała nawiać, cały czas coś cię zatrzymuje.

## Rozdział 38

Dance i Kellogg byli w jej gabinecie w centrali CBI, gdzie zdali relację z przebiegu wypadków w domu Reynoldsa Overby'emu, dla odmiany pracującemu dziś do późna. Od TJ-a i Carranea dowiedzieli się natomiast, że nic nowego się nie zdarzyło. Minęła już jedenasta. Dance wyłączyła komputer.

– Dobra, kończymy – oznajmiła. – Na dziś wystarczy.

– Popieram.

Gdy wyszli na ciemny korytarz, Kellogg rzekł:

– Tak sobie myślę, że naprawdę są rodziną.

– Mówisz o dziewczynach w hotelu?

– Tak. Nie są spokrewnione. Nawet niespecjalnie się lubią. A jednak są rodziną.

Wypowiedział to słowo tonem kogoś, kto nigdy jej nie miał. Interakcja trzech kobiet, którą Dance obserwowała okiem naukowca, wysnuwając z niej sporo wniosków (również zabawnych), z jakiegoś powodu poruszyła Kellogga. Nie знаła agenta na tyle dobrze, by odgadnąć przyczynę lub spytać go wprost. Zauważyła, jak lekko unosi ramiona i pstryka paznokciami lewej dłoni, co mogło świadczyć o stresie.

– Zamierzasz odebrać dzieci? – zapytał.

– Nie, zostaną na noc u dziadków.

– Są naprawdę wspaniałe.

– A ty nigdy nie myślałeś o dzieciach?

– Właściwie nie – odparł zgaszonym głosem. – Ja często wyjeżdżałem. Wiesz, jak to jest w pracujących małżeństwach.

W trakcie przesłuchań i analizy kinezycznej treść wypowiedzi ma zwykle drugorzędne znaczenie w stosunku do tonu – czyli „barwy głosu”. Dance słyszała już od wielu osób, że nie mają dzieci, z brzmienia ich słów odgadując, czy nie przywiązują do tego faktu żadnego znaczenia, czy jest to ich świadomy wybór, czy powód długotrwałego smutku.

Wyczuła, że w odpowiedzi Kellogga kryje się coś ważnego. Dostrzegła więcej oznak stresu – subtelnych sygnałów wysyłanych przez jego ciało. Może w grę wchodził jakiś problem fizyczny jego lub żony. Może kwestia dzieci poróżniła ich, doprowadzając do rozstania.

– Wes traktuje mnie trochę nieufnie.

– Ach, jest po prostu przewrażliwiony na punkcie mężczyzn, z którymi spotyka się mama.

– Kiedyś będzie się musiał do tego przyzwyczaić, prawda?

– Och, pewnie tak. Ale na razie...

– Rozumiem – odrzekł Kellogg. – Chociaż kiedy jesteś z Michaelem, wydaje się spokojniejszy.

– To co innego. Michael jest moim przyjacielem. I jest żonaty. Nie stanowi zagrożenia. – Uświadomiwszy sobie, co powiedziała, dodała szybko: – A ty jesteś nowy. Jeszcze cię nie zna.

Po sekundzie milczenia Kellogg odparł:

– Jasne. To widać.

Dance spojrzała na niego, chcąc się przekonać, jaki był powód wahania. Z wyrazu jego twarzy nie mogła niczego wyczytać.

– Nie bierz do siebie reakcji Wesa.

Znów krótka pauza.

– Może powinienem ją uznać za komplement.

Po tej krótkiej akcji rozpoznawczej jego twarz pozostawała nieprzenikniona.

Wyszli z budynku. Powietrze było tak rześkie, że w innym regionie mogłoby zwiastować nadciągającą jesień. Dance czuła, jak z zimna grabieją jej palce, lecz lubiła to uczucie. Chłód działał jak kawałek lodu przyłożony do bolesnego miejsca.

Mgła stopniowo przeobrażała się w deszcz.

– Podrzucę cię do samochodu – zaproponowała Dance. Wóz Kellogga stał po drugiej stronie budynku.

Oboje wsiedli do jej taurusa i podjechali do wypożyczonego przez niego samochodu. Dance ustawiła dźwignię w położeniu „parking”. Zamknęła oczy i przeciągnęła się, przyciskając głowę do zagłówka. Poczowała się odprężona.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, jak Kellogg odwraca się do niej i opierając się jedną ręką o deskę rozdzielczą, dotyka jej ramienia, zdecydowanym i zarazem niepewnym gestem. Czekał na jakiś znak. Nie zareagowała, patrząc mu w oczy i milcząc. Co samo w sobie stanowiło czytelny sygnał.

Nie wahając się dłużej, pochylił się i pocałował ją, zmierzając prosto do jej warg. Poczowała smak mięty; musiał ukradkiem wsunąć do ust tic-taca albo altoida.

Sprytne, pomyślała, śmiejąc się w duchu. To samo zrobiła przy Brianie tamtego dnia na plaży, przed publicznością złożoną z fok i wydr morskich. Po chwili Kellogg się wycofał, przegrupowując siły i czekając na raport wywiadu po pierwszej potyczce.

Zyskała chwilę na zastanowienie, jak ma to rozegrać.

Podjęła decyzję i kiedy znów się do niej przysunął, spotkali się w pół drogi.

Namiętnie oddała pocałunek, rozchylając usta. Położyła ręce na jego ramionach, tak muskularnych jak się spodziewała. Jego zarost połaskotał ją w policzek.

Objął ją za szyję, przyciągając jeszcze bliżej. Poczowała, jak wszystko w niej mięknie i topnieje, a serce zaczyna bić coraz żywszym rytmem. Uważając na zabandażowaną ranę, przycisnęła usta i nos do kości poniżej jego ucha, w miejscu, gdzie zawsze wtulała twarz, Kochając się z mężem. Lubiała tę gładkość skóry, zapach kremu do golenia i mydła, pulsowanie krwi.

Dłoń Kellogga oderwała się od jej szyi i odnalazła podbródek. Znów przyciągnął do siebie jej twarz. Połączyli się w głębokim pocałunku, słuchając swoich przyspieszonych oddechów. Jego palce niepewnie wędrowały po jej ramieniu, odnalazły pod tkaniną bluzki satynowe ramiączko i posługując się nim jak mapą, ruszyły w dół. Powoli, gotowe zawrócić na najlżejszy znak oporu.

W odpowiedzi pocałowała go jeszcze mocniej. Gdy opuściła rękę nieco niżej, jej łokieć musnęła twardą wypukłość spodni. Odsunął się odrobinę, być może nie chcąc sprawiać wrażenia zbyt niecierpliwego, podnieconego jak nastolatek.

Ale Kathryn Dance przyciągnęła go do siebie, odchylając się do tyłu –

przyjmując pozycję, która według zasad kinezyki oznaczała akceptację i uległość.

Raz czy dwa ujrzała w myślach męża, ale zdawało się jej, że widzi jego obraz z oddali. W tym momencie była tylko z Winstonem Kelloggiem.

Jego dłoń dotarła do metalowego kółeczka, gdzie ramiączko łączyło się z miseczką stanika Victoria's Secret.

I tam się zatrzymała.

Cofnął rękę, mimo że dowód rzeczowy obok jej łokcia nie malał. Częstotliwość pocałunków słabła, jak karuzela zwalnająca obroty po odłączeniu prądu.

Uznała jednak, że zrobił właśnie to, co powinien. Dotarli do granicy, jaką wyznaczały im



okoliczności – prowadzili pościg za mordercą, tak krótko się znali i mieli świeżo w pamięci okropną śmierć kilku osób.

– Chyba... – szepnął.

– Nie, wszystko w porządku.

– Ale...

Uśmiechnęła się, zamykając mu usta delikatnym pocałunkiem.

Wyprostował się i ścisnął jej dłoń. Przytuliła się do niego, czując coraz wolniejsze bicie serca i odnajdując w sobie zagadkową równowagę – oporu i ulgi w idealnie równych proporcjach. W przednią szybę forda bębnił deszcz. Dance pomyślała, że zawsze lubiła się kochać w deszczowe dni.

– Wiesz co? – powiedział.

Spojrzała na niego.

– Ta sprawa nie będzie trwała wiecznie.

Oby Bóg cię wysłuchał...

– Gdybyś potem miała ochotę gdzieś się ze mną wybrać... Co ty na to?

– „Potem” brzmi ładnie. Naprawdę ładnie.

Pół godziny później Dance zaparkowała przed swoim domem.

Przystąpiła do rutynowych czynności: zrobiła krótki obchód, posiliła się dwoma plasterkami steku, który został z urodzinowego przyjęcia, garścią orzeszków i kieliszkiem pinot grigio, słuchając wiadomości nagranych na sekretarce. Następnie nakarmiła psy, wypuściła je do ogrodu, po czym schowała glocka – ponieważ dzieci nie było w domu, nie zamknęła skrytki na zamek cyfrowy, ale umieściła broń tam gdzie zawsze, wiedząc, że nawet gdyby zbudziła się z najgłębszego snu, ręka wiedziona pamięcią odruchowo sięgnie do sejfu. Włączyła alarmy.

Uchyliła okno, na ile pozwalały ograniczniki – piętnaście centymetrów –

wpuszczając do środka chłodne, pachnące powietrze. Wzięła prysznic, włożyła czystą koszulkę i szorty i wskoczyła do łóżka, odgradzając się od oszalałego świata grubą puchową kołdrą.

Do licha, dziewczyno, pomyślała. Żeby całować się w samochodzie, na przednim siedzeniu – kanapie zrobionej z myślą o obściskiwaniu się z przygodnie poznanym facetem. Przypomniała sobie smak mięty, jego ręce, ciemną czuprynę, brak zapachu płynu po goleniu.

Usłyszała też głos syna i zobaczyła wyraz jego oczu, gdy dziś na nich spojrzał.

Nieufnie, zazdrośnie. Wspomniała dzisiejsze słowa Lindy.

*To straszna myśl, że można zostać wyrzuconym z rodziny...*

Tego właśnie lękał się Wes. Obawa była rzecz jasna niedorzeczna, ale to nie miało znaczenia. Naprawdę się tego bał. Tym razem musiała postępować ostrożniej. Odseparować Wesa od Kellogga, unikać słowa „randka”, próbować przekonać syna, że tak jak on ma przyjaciół obojga płci. Dzieci są jak podejrzani podczas przesłuchania: niezbyt rozsądnie jest je okłamywać, ale nie trzeba im mówić wszystkiego.

Trzeba dużo pracy, mnóstwa zabiegów.

*Czasu i starań...*

A może, rozmyślała gorączkowo, lepiej zapomnieć o Kelloggu i poczekać rok czy dwa, a dopiero potem zacząć spotykać się z mężczyznami. Trzynasto – czy czternastolatek jest zupełnie inny niż dwunastoletni chłopiec. Wtedy łatwiej będzie dogadać się z Wesem.

Dance nie chciała jednak czekać. Wciąż miała w pamięci smak i dotyk Kellogga.

Przypomniała sobie jego wahanie, gdy rozmawiali o dzieciach, oznaki stresu. Może jego niepokój

wynikał z faktu, że brakowało mu pewności siebie w kontaktach z dziećmi, a teraz spodobała mu się kobieta, która miała ich dwójkę. Jak sobie z tym poradzi? A może...

Ale spokojnie, nie wyprzedzajmy faktów.

Całowałaś się z nim. Podobało ci się. Nie pora jeszcze wysyłać zaproszeń ślubnych.

Długo leżała w łóżku, słuchając odgłosów natury. Na półwyspie zawsze była blisko – gardłowe głosy morskich zwierząt, krzyki ptaków i kojący szum fal przyboju. W życiu Kathryn Dance często dawała o sobie znać samotność, atakując znieca jak przyczajony wąż, i właśnie w takich chwilach – w łóżku, w nocy, przy wtórze muzyki nocy – była wobec niej najbardziej bezbronna. Jak miło byłoby czuć obok siebie udo kochanej osoby, słyszeć adagio płytkiego oddechu, budzić się o świcie na dźwięk stuków i szelestów czyjegoś wstawania: odgłosów na pozór nic nieznaczących, które odmierzały wspólne życie.

Kathryn Dance przypuszczała, że tęsknota za takimi drobiazgami świadczy o słabości i zależności. Ale co w tym złego? Mój Boże, jesteśmy takimi kruchymi istotami. Musimy od kogoś zależeć. Dlaczego więc nie od kogoś, z kim lubimy spędzać czas, do kogo z przyjemnością przytulimy się w nocy, kto potrafi nas rozbawić?... Dlaczego nie uchwycić się nadziei, że wszystko będzie dobrze?

Ach, Bill... powiedziała w duchu do zmarłego męża. Bill...

Odezwały się dawne wspomnienia.

Ale i te najświeższe, z niemal równą siłą.

*Potem. Co ty na to?*

**Czwartek**

**Rozdział 39**

Znów była w ogrodzie za domem. W swoim Shire, w swojej Narni, w swoim Hogwarcie, w swoim tajemniczym ogrodzie.

Siedemnastoletnia Theresa Croyton Bolling siedziała na huśtawce Smith and Hawken z drewna tekowego i czytała cienki tomik, powoli przewracając kartki. Był

cudowny dzień. Powietrze pachniało słodko jak dział perfumeryjny w Macy's, a nieopodal zieleniły się spokojne jak zawsze wzgórza Napa, pokryte bujnym kobiercem trawy i koniczyny, porośnięte soczystymi winoroślami, sękatymi cyprysami i sosnami.

Theresa była w lirycznym nastroju z powodu lektury – pięknej, szczerzej, głębokiej, mądrej...

...i totalnie nudnej poezji.

Westchnęła głośno, żałując, że ciotka jej nie słyszy. Książeczka opadła jej w rękę i Theresa jeszcze raz rozejrzała się po ogrodzie. Prawie pół życia spędziła w tym zielonym więzieniu, jak czasem nazywała to miejsce.

Kiedyś je uwielbiała. Było piękne, świetnie się tu czytało albo ćwiczyło na gitarze (Theresa chciała zostać pediatrą albo reporterem, a najlepiej Sharon Isbin, słynną gitarzystką klasyczną).

Siedziała teraz w ogrodzie zamiast w szkole z powodu nieplanowanego wyjazdu z ciotką i wujem.

*Och, Tarę, zobaczysz, będzie fajnie. Roger ma coś do załatwienia na Manhattanie, odczyt czy jakieś badania, naprawdę nie wiem. Nie słuchałam go.*

*Gadał i gadał. Znasz wujka. Ale czy nie wspaniale będzie ot tak sobie wyjechać?*

*To przygoda, co?*

Właśnie dlatego ciotka zabrała ją ze szkoły w poniedziałek o dziesiątej. Tylko trochę dziwne, że

dotąd jeszcze nie wyjechali. Ciotka tłumaczyła jej, że „pojawiły się problemy logiczyczne. Wiesz, co to znaczy?”.

Theresa zajmowała ósme miejsce wśród dwustu pięćdziesięciu siedmiu uczniów swojego rocznika w szkole średniej Vallejo Springs. Odparła:

– Wiem. Chciałaś powiedzieć „logiczne”.

Dziewczyna nie rozumiała jednak, że skoro nie są na pokładzie samolotu do Nowego Jorku, to dlaczego do cholery nie może poczekać w szkole, dopóki

„problemy” nie zostaną rozwiązane?

– Poza tym to jest tydzień nauki – zauważyła ciotka. – Więc się ucz.

W rzeczywistości nie chodziło o tydzień nauki; czekał ją tydzień bez telewizji.

I bez spotkań z Sunny, Travis i Kaitlin.

I bez przyjęcia charytatywnego na rzecz edukacji w Tiburon, sponsorowanego przez firmę wuja (Theresa kupiła już nawet sukienkę).

Oczywiście wciskali jej kit. Nie było żadnego wyjazdu do Nowego Jorku, żadnych problemów, logicznych, logicznych ani żadnych innych.

Wszystko stanowiło jedynie pretekst, żeby zatrzymać ją w zielonym więzieniu.

Po co te kłamstwa?

Bo człowiek, który zabił jej rodziców, brata i siostrę, uciekł z więzienia. A ciotka wierzyła, że uda się jej to utrzymać w tajemnicy przed Theresa.

Litości... Otwierając główną stronę Yahoo, od razu widziało się wiadomości. I w całej Kalifornii wszyscy gadali o tym w MySpace i Facebook. (Ciotka jakimś cudem wyłączyła domowy router bezprzewodowy, ale Theresa po prostu podłączyła się do niezabezpieczonej sieci sąsiada).

Dziewczyna rzuciła książkę na drewniane siedzenie huśtawki i zaczęła się kołysać, zdejmując frotkę z brązowych włosów z rudymi pasemkami i ponownie ściągając je w koński ogon.

Theresa była wdzięczna ciotce za wszystko, co zrobiła dla niej przez te lata, i naprawdę miała dla niej wiele uznania. Po tych strasznych dniach w Carmel przed ośmiu laty ciotka zaopiekowała się dziewczynką, którą wszyscy nazywali Śpiącą Laleczką. Therese adoptowano, zmieniono jej adres i nazwisko (Theresa Bolling; mogło być gorzej) i zaprowadzono do dziesiątków terapeutów, z których każdy był

przenikliwy, pełen współczucia i starał się wytyczyć „drogi powrotu do równowagi psychicznej poprzez rozpoznanie procesu żałoby, ze szczególnym uwzględnieniem w terapii przeniesienia wobec postaci rodziców”. (W końcu była ósma wśród uczniów swojego rocznika).

Niektórzy terapeuci pomogli, inni nie. Ale najskuteczniejsze okazało się cierpliwe działanie najważniejszego, magicznego czynnika – czasu – i Theresa przestała być Śpiącą Laleczką, ocaloną z tragedii dzieciństwa. Była uczennicą, przyjaciółką, od czasu do czasu czyjąś dziewczyną, asystentką weterynarza, niezłą sprinterką na pięćdziesiąt i sto jardów, gitarzystką, która potrafiła zagrać

„Entertainera” Scotta Joplina, wydobywając zmniejszony akord w górze gryfu bez najlżejszego poświstu palców po strunach.

Teraz jednak sytuacja się skomplikowała. Morderca był na wolności, to prawda.

Ale prawdziwy kłopot polegał na czym innym. Chodziło o zachowanie ciotki. Jak gdyby cofała zegar o sześć, siedem... Boże, osiem lat. Theresa miała wrażenie, jakby na powrót zmieniła się w Śpiącą Laleczkę, a wszystko, co osiągnęła, w jednej chwili zniknęło.

*Skarbie, obudź się. Nie bój się. Jestem policjantką. Widzisz? To moja odznaka.*

*Weź swoje rzeczy i idź się ubrać do łazienki.*

Ciotka wpadła w panikę, dostała paranoi. Jak w tym serialu na HBO, który oglądała kiedyś u Bradleya. O więzieniu. Kiedy działo się coś złego, strażnicy zamykali cały zakład na cztery spusty.

Theresa, Śpiąca Laleczka, została zamknięta. Przykuta do swojego Hogwartu, Śródziemia... Krainy Oz...

Zielonego więzienia.

To dopiero miło, pomyślała z goryczą. Daniel Pell uciekł z pudła, a ja do niego trafiłam.

Theresa znów wzięła tomik poezji, myśląc o sprawdzianie z angielskiego.

Przeczytała jeszcze dwie linijki.

*Co za nuuuda...*

Przez ogrodzenie z siatki na przeciwległym końcu ogrodu zauważyła przejeżdżający samochód, który raptownie zahamował, kiedy kierowca – tak się jej zdawało – spojrzął przez krzaki w jej stronę. Po chwili wahania ruszył dalej.

Theresa oparła się stopami o ziemię, przestając się huścić.

Samochód mógł należeć do kogokolwiek. Do sąsiada, jakiegoś dzieciaka, który urwał się ze szkoły... Nie bała się – w każdym razie nie za bardzo. Ponieważ ciotka odcięła ją od mediów, oczywiście nie wiedziała, czy Daniel Pell został

aresztowany, czy też widziano go w drodze do Napa. Ale to szaleństwo. Dzięki ciotce czuła się jak świadek pod specjalną ochroną. Jak mógłby ją tu odnaleźć?

Mimo to postanowiła ukradkiem zerknąć do komputera i sprawdzić, co się dzieje.

Lekki skurcz w żołądku.

Theresa wstała i ruszyła w kierunku domu.

Dobra, trochę mamy pietra.

Obejrzała się za siebie, patrząc w prześwit między krzewami po drugiej stronie posesji. Żadnego samochodu. Nic.

Odwracając się w stronę domu, Theresa stanęła jak wryta.

Mężczyzna pokonał wysokie ogrodzenie pięć metrów dalej, między nią a domem. Spojrzął na nią z miejsca, gdzie wylądował na kolanach, przy dwóch gęstych azaliach, ciężko dysząc od wysiłku. Krwawiła mu ręka, rozcięta o ostre druty dwumetrowego ogrodzenia.

To on. To Daniel Pell!

Theresa stłumiła okrzyk.

A więc jednak przyszedł. Żeby dokończyć mordu rodziny Croytonów.

Uśmiechając się, podniósł się ciężko i ruszył w jej stronę.

Theresa Croyton zaczęła płakać.

– Nie, spokojnie – szepnął mężczyzna, podchodząc do niej. – Nie zrobię ci krzywdy. Cii.

Theresa zeszywniała. Chciała uciec. No już!

Ale nogi odmówiły posłuszeństwa; sparaliżował ją strach. Poza tym nie miała dokąd uciec. Mężczyzna odcinał jej drogę do domu i wiedziała, że nie da rady przeskoczyć dwumetrowego ogrodzenia z siatki. Przemknęło jej przez myśl, że lepiej pobiec w głąb ogrodu, ale wtedy mógłby ją złapać i zaciągnąć w krzaki, gdzie...

Nie, to zbyt straszne.

Z trudem łapiąc powietrze, niemal czując smak strachu, Theresa wolno pokręciła głową. Czuła, jak opuszczają ją siły. Rozejrzała się, szukając broni. Nic: tylko nadkruszona cegła, karmnik dla

ptaków i „Poezje zebrane Emily Dickinson”.

Spojrzała na Pella.

– Zabiłeś moich rodziców. Nie... nie rób mi krzywdy!

Zmarszczył brwi.

– Boże, nie – bąknął zaskoczony. – Och, nie, chcę tylko z tobą po rozmawiać.

Nie jestem Daniel Pell. Przysięgam. Popatrz.

Rzucił w jej stronę jakiś przedmiot, który upadł trzy metry od niej.

– Spójrz z tyłu. Odwróć.

Theresa zerknęła na dom. Akurat kiedy ciotka była potrzebna, nie raczyła się pokazać.

– Zobacz – powtórzył mężczyzna.

Dziewczyna postąpiła krok do przodu – a on się cofnął, dając jej miejsce.

Podeszła jeszcze bliżej i popatrzyła. To była książka. „Nocny nieznajomy” autorstwa Mortona Walkera.

– To ja. Przyjrzyj się.

Theresa nie chciała podnosić książki. Odwróciła ją stopą. Na ostatniej stronie widniało zdjęcie znacznie młodszego mężczyzny, który przed nią stał.

Prawda czy nie?

Nagle Theresa uświadomiła sobie, że widziała tylko zdjęcia Daniela Pella zrobione przed ośmiu laty. Kilka artykułów w Internecie musiała przeczytać potajemnie – ciotka ostrzegła, że gdyby zaczęła szukać informacji o morderstwie, psychicznie cofnęłaby się o parę lat. Ale patrząc na fotografię młodszego autora, nie miała wątpliwości, że nie przedstawia ponurego i groźnego człowieka, którego pamiętała.

Theresa otarła twarz. Nieoczekiwanie wybuchnęła gniewem, eksplodującym jak przekłuty balon.

– Co pan tu robi? Przestraszył mnie pan jak jasna cholera!

Mężczyzna podciągnął opadające spodnie i wykonał ruch, jak gdyby chciał podejść bliżej. Lecz najwyraźniej zmienił zamiar.

– Nie było innego sposobu, żeby z tobą porozmawiać. Wczoraj widziałem się z twoją ciotką, kiedy robiła zakupy. Chciałem, żeby cię o coś poprosiła.

Theresa spojrzała na ogrodzenie.

– Wiem, że policja jest już w drodze – rzekł Walker. – Widziałem alarm na płocie. Będą tu za trzy, cztery minuty i mnie aresztują. Trudno. Ale muszę ci coś powiedzieć. Człowiek, który zabił twoich rodziców, uciekł z więzienia.

– Wiem.

– Wiesz? Twoja ciotka...

– Niech pan da mi spokój!

– Próbuje go złapać pewna policjantka z Monterey, ale potrzebuje pomocy.

Ciotka nie zgodziła się ci tego powiedzieć, a gdybyś miała jedenaście czy dwanaście lat, nigdy bym tego nie zrobił. Ale teraz sama po trafisz podjąć decyzję.

Ta policjantka chce z tobą porozmawiać.

Utkwiła w nim zdziwione spojrzenie.

– Policjantka?

– Proszę, zadzwoń do niej. Jest w Monterey. Mogłabyś... O Boże.

Strzał, który padł zza pleców Theresy, był zaskakująco głośny, o wiele głośniejszy niż w filmach.

Wstrząsnął szybami w oknach i spłoszył ptaki, które wzbiły się w błękitne niebo.

Theresa skuliła się na odgłos huku i osunęła na kolana, patrząc, jak Morton Walker pada plecami na trawę, młócąc ramionami powietrze. Dziewczyna skierowała przerażone oczy na taras za domem.

Dziwne. Nawet nie wiedziała, że ciotka ma broń. A tym bardziej, że wie, jak się z nią obchodzić.

Przeprowadziwszy szczegółowy wywiad w dzielnicy Jamesa Reynoldsa, TJ

Scanlon nie znalazł żadnych świadków i nie uzyskał żadnych istotnych informacji.

– Nie widziano podejrzanego wyglądającego samochodu! Nic!

Dzwonił z ulicy niedaleko domu prokuratora.

Dance wyciągnęła przed siebie bose stopy, trącając jedną z trzech par butów pod swoim biurkiem. Nie знаła numerów rejestracyjnych nowego wozu Pella, ale bardzo chciała przynajmniej zidentyfikować markę. Reynolds powiedział tylko, że to był ciemny sedan, a funkcjonariusz zaatakowany łopata w ogóle nie pamiętał

samochodu. Ludzie z wydziału kryminalistycznego z biura szeryfa nie znaleźli żadnych mikrośladów ani innych dowodów rzeczowych, które mogłyby dać im jakąkolwiek wskazówkę, czym porusza się teraz Pell.

Podziękowała TJ-owi i odłożyła słuchawkę, po czym poszła do sali konferencyjnej CBI, gdzie byli już O'Neil i Kellogg, czekający na Overby'ego, który miał przyjść po materiał do następnej konferencji prasowej – i do codziennych meldunków, jakie składał Amy Grabe z FBI i szefowi CBI w Sacramento. Oboje bardzo się niepokoiли, że Daniel Pell wciąż jest na wolności.

Niestety, poranny briefing Overby'ego miał dotyczyć głównie planów pogrzebu Juana Millara.

Kiedy Dance pochwyciła spojrzenie Kellogga, oboje odwrócili wzrok. Nie miała jeszcze okazji porozmawiać z agentem o wczorajszym zdarzeniu w samochodzie.

Po chwili jednak pomyślała: o czym tu rozmawiać?

*Potem. Co ty na to?*

W tym momencie do sali konferencyjnej wetknął okrągłą głowę Rey Carraneo i wykrztusił:

– .Agentko Dance, przepraszam, że przeszkadzam. O co chodzi, Rey?

– Chyba... – Zabrakło mu tchu. Musiał tu przybiec sprintem. Na je go ciemnej twarzy perlił się pot.

– Co? Co się stało?

– Chodzi o to – wykrztusił chudy agent – że chyba go znalazłem.

– Kogo?

– Pella.

## **Rozdział 40**

Młody agent wyjaśnił, że zadzwonił do luksusowego motelu Sea View w Pacific Grove – zaledwie kilka kilometrów od domu Dance – gdzie się dowiedział, że w sobotę zameldowała się u nich pewna kobieta. Dwudziestokilkuletnia, atrakcyjna, jasnowłosa, drobnej budowy ciała. We wtorek wieczorem recepcjonista widział, jak wchodziła do swojego pokoju z jakimś Latynosem.

– Przesądził samochód – dodał Carraneo. – W formularzu wpisała mazdę. Na fałszywych numerach – właśnie sprawdziłem. Ale kierownik był pewien, że przez dzień czy dwa na parkingu stał turkusowy thunderbird. Już go tam nie ma.

– Są teraz w motelu?

– Przypuszcza, że tak. Okna są zasłonięte, ale zauważył światła i ruch w pokoju.

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Carrie Madison. Nie ma danych karty kredytowej. Zapłaciła gotówką i pokazała wojskową legitymację, ale zadrapaną, schowaną w plastikowym okienku w portfelu. Możliwe, że podrobioną.

Dance oparła się o blat stołu, patrząc na mapę.

– Ilu gości jest w motelu?

– Komplet.

Skrzywiła się. Mnóstwo niewinnych osób.

– Trzeba zaplanować akcję – rzekł Kellogg. – Masz brygadę specjalną w pogotowiu? – spytał Michaela.

O’Neil przyglądał się zmartwionej minie Dance i agent musiał powtórzyć pytanie.

– Oddział może być na miejscu w ciągu dwudziestu minut – odparł detektyw.

Plan szturmu na motel wyraźnie nie wzbudzał w nim entuzjazmu.

Podobnie jak w Dance.

– Nie jestem pewna.

– Czego? – spytał agent FBI.

– Wiemy, że jest uzbrojony i będzie strzelał do cywilów. Poza tym znam ten motel. Pokoje wychodzą na parking i dziedziniec. Nie ma prawie żadnej osłony.

Zobaczy nas. Jeżeli spróbujemy opróżnić pokoje obok i po drugiej stronie, na pewno to zauważą. Jeżeli nie zabierzemy stamtąd ludzi, będą ranni. Te ściany nie zatrzymają nawet dwudziestki dwójki.

– Co proponujesz? – zapytał Kellogg.

– Obserwację. Postawimy jeden zespół za rogiem budynku, niech pilnuje go non stop. Kiedy wyjdzie, zdejmujemy go na ulicy.

O’Neil przytaknął.

– Jestem za.

– Za czym? – zainteresował się Charles Overby, wchodząc do sali.

Dance wyjaśniła sytuację.

– Znaleźliśmy go? Świetnie! – Spojrzał na Kellogga. – Brygada specjalna FBI?

– Nie zdążą dojechać. Trzeba wziąć oddział SWAT z okręgowej.

– Michael, dałeś im znać?

– Jeszcze nie. Kathryn i ja mamy pewne wątpliwości.

– Co? – rzucił ostrym tonem Overby.

Wyjaśniła, na czym polega ryzyko akcji. Szef CBI rozumiał, mimo to przecząco pokręcił głową.

– Mamy go w garści.

Kellogg także nie zamierzał ustępować.

– Naprawdę nie sędzę, żebyśmy mogli sobie pozwolić na czekanie. Już dwa razy nam się wymknął.

– Jeżeli się zorientuje, że wchodzimy – a wystarczy, że wyjrzy przez okno – zabarykaduje się. A jeżeli są drzwi do sąsiedniego pokoju...

– Są – wtrącił Carraneo. – Pytałem.

Dance aprobującym skinieniem głowy pochwaliła go za inicjatywę.

– Wtedy może wziąć zakładników – ciągnęła. – Moim zdaniem trze ba postawić jeden zespół na dachu budynku naprzeciwko i na przykład kogoś w stroju obsługi. Siedzieć i czekać. Kiedy wyjedzie, siądziemy mu na ogonie. Stanie na pustym skrzyżowaniu, zablokujemy mu drogę i weźmiemy w krzyżowy ogień.

Podda się.

Albo zginie w strzelaninie. Tak czy tak...

– Jest zbyt nieobliczalny – odparował Kellogg. – Zdejmujemy go w motelu, z zaskoczenia. Nie będzie miał szans.

Nasza pierwsza sprzeczka, pomyślała sarkastycznie Dance.

– I wróci do Capitoli? Nie sądzę. Będzie walczył. Na śmierć i życie. Po tym, co usłyszałam od tych kobiet, nie mam wątpliwości. Nie znosi, kiedy ktoś próbuje mu coś narzucić siłą.

– Ja też znam ten motel – powiedział Michael O’Neil. – Bez trudu można go zmienić w twierdzę. I nie sądzę, żeby Pell był typem, z którym można prowadzić negocjacje.

Dance znalazła się w dziwnej sytuacji. Przeczucie mówiło jej, że przeprowadzenie szybkiej akcji będzie błędem. Ale mając do czynienia z Danielem Pellem, raczej nie mogła ufać swojej intuicji.

– Mam myśl – odezwał się Overby. – Gdyby faktycznie zabarykadował się w motelu, co z kobietami z Rodziny? Będą skłonne pomóc nam namówić go do wyjścia?

Dance obstawała przy swoim zdaniu.

– Dlaczego Pell miałyby ich słuchać? Osiem lat temu nie miały na niego żadnego wpływu. Teraz też na pewno im się nie uda.

– Jednak są dla niego kimś, kogo można uznać za najbliższą rodzinę. – Overby podszedł do telefonu. – Zadzwoń do nich.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było spłoszenie ich przez Overby’ego.

– Nie, ja to zrobię. – Dance zadzwoniła do hotelu i wyjaśniła sytuację Samancie, która odebrała telefon. Kobieta błagała Dance, aby wyłączyła ją z tego zadania; istniało zbyt duże niebezpieczeństwo, że jej nazwisko ukaże się w prasie.

Natomiast Rebecca i Linda zapewniły, że gdyby doszło do oblężenia, są gotowe zrobić wszystko.

Odłożywszy słuchawkę, Dance przekazała informację obecnym w sali.

– No, to mamy plan awaryjny – rzekł Overby. – Świetnie.

Dance nie była przekonana, czy Pell będzie skłonny skapitulować pod wpływem namowy, nawet – a może zwłaszcza – gdyby miały go o to prosić osoby należące kiedyś do założonej przez niego namiastki rodziny.

– Nadal stawiam na obserwację. W końcu musi stamtąd wyjść.

– Zgadza się – oznajmił zdecydowanie O’Neil.

Kellogg przez chwilę nieobecny wzrokiem wpatrywał się w mapę, po czym zwrócił się do Dance.

– Skoro jesteś przeciw, w porządku. Twój wybór. Ale pamiętaj, co mówiłem o przywódcach sekt. Kiedy wyjdzie na ulicę, będzie czujny, będzie się liczył z ryzykiem, że w każdej chwili coś się może stać. Zaplanuj każdą ewentualność. W

motelu będzie mniej ostrożny. W swoim zamku każdy przywódca sekty czuje się bezpiecznie.

– W Waco to się nie bardzo sprawdziło – zauważył O’Neil.

– W Waco doszło do pata. Koresh i jego ludzie wiedzieli, że agenci otoczyli ranczo. Pell nie będzie miał o niczym pojęcia.

To prawda, pomyślała Dance.

– Winston naprawdę się na tym zna, Kathryn – powiedział Overby. – Po to tu jest. Uważam, że powinniśmy działać.

Może jej szef rzeczywiście tak sądził, choć zapewne nie mógł się sprzeciwić zdaniu specjalisty,



którego sam sprowadził. Więcej okazji, by zrzucić winę...

Patrzyła na mapę Monterey.

– Kathryn? – ponaglił ją niecierpliwym tonem Overby.

Dance wciąż się zastanawiała.

– Zgoda. Wchodzimy.

O’Neil zeszywniał.

– Mamy jeszcze czas.

Znów się zawahała, patrząc na pewnego siebie Kellogga, który także oglądał mapę.

– Nie, myślę, że powinniśmy brać się do roboty.

– Dobrze – rzekł Overby. – Aktywne podejście jest najlepsze. Absolutnie.

Aktywne podejście, pomyślała z goryczą Dance. Chwytiliwe hasło na konferencję prasową. Miała nadzieję, że w komunikacie do mediów znajdzie się informacja o aresztowaniu Daniela Pella i braku dalszych ofiar wśród cywilów.

– Michael? – zwrócił się do detektywa Overby. – Skontaktujesz się ze swoimi ludźmi?

O’Neil po krótkim wahaniu zadzwonił do swojego biura i poprosił o połączenie z dowódcą jednostki SWAT.

Leżąc w łóżku w bladym świetle poranka, Daniel Pell pomyślał, że teraz będą musieli zachować szczególną ostrożność. Policja prawdopodobnie już wiedziała, że ucharakteryzował się na Latynosa. Wprawdzie mógł rozjaśnić skórę i zmienić kolor włosów, ale tego też się pewnie spodziewali.

Mimo to na razie nie mógł wyjechać. Miał do wykonania jeszcze jedno zadanie, które było głównym powodem pozostania na półwyspie.

Pell zaparzył kawę i wracając z dwoma kubkami do łóżka, zauważył, że Jennie mu się przygląda. Tak jak poprzedniego wieczoru, miała zmieniony wyraz twarzy.

Wydawała się dojrzała, niż kiedy spotkali się po raz pierwszy.

– Co, najdroższa?

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Nie pojedziesz ze mną do Anaheim, prawda?

Jej słowa mocno go zaskoczyły. Zawahał się, nie wiedząc, co powiedzieć.

Wreszcie spytał:

– Dlaczego tak myślisz?

– Tak przeczuwam.

Pell postawił kawę na stole. Mógł skłamać – przychodziło mu to bez trudu.

Zwłaszcza że nie poniósłby żadnych konsekwencji. Mimo to rzekł:

– Mam dla nas inne plany, najdroższa. Jeszcze ci o nich nie mówiłem.

– Wiem.

– Wiesz? – zdziwił się.

– Od początku wiedziałam. To znaczy, niezupełnie wiedziałam. Ale miałam przecucie.

– Załatwimy tu jeszcze parę spraw i wyjedziemy gdzie indziej.

– Gdzie?

– Na moją ziemię. Zobacysz, nic nie może się z nią równać. Wokoło żywej duszy. To wspaniałe, piękne miejsce. Nikt nie będzie nam tam przeszkadzał. Jest na szczycie góry. Lubisz góry?

– Chyba tak.

To dobrze. Bo Daniel Pell miał jedną na własność.

Ciotka Barbara z Bakersfield była w opinii Pella jedyną porządną osobą w rodzinie. Swojego brata – ojca Pella – uważała za szaleńca; niewydarzony pastor obsesyjnie przestrzegał biblijnych nakazów, śmiertelnie bał się Boga i podejmowania decyzji, jak gdyby każdą z nich mógł ściągnąć na siebie Jego gniew.

Dlatego ciotka robiła, co mogła, by zapewnić chłopcom Pella rozrywkę. Richard w ogóle nie miał ochoty się z nią widywać, ale Daniel spędzał z ciotką dużo czasu.

Nie zapędzała go do pracy, nie musztrowała. Pozwalała mu przychodzić i wychodzić, kiedy chciał, wydawała na niego pieniądze, pytała, co robił w ciągu dnia. Zabierała go w różne miejsca. Pell pamiętał, jak jeździli na wzgórze na pikniki, chodzili do zoo i do kina – gdzie siedział, wdychając zapach popcornu i ciężką woń perfum ciotki, i z zapartym tchem oglądał dzielne poczynania nieustraszonych pozytywnych i negatywnych bohaterów hollywoodzkich.

Związek z ciotką Barbarą zainspirował go do stworzenia Rodziny.

Ciotka mówiła mu o swoich poglądach. Uważała na przykład, że cały kraj w niedalekiej przyszłości ogarnie krwawa wojna rasowa (obstawiała początek nowego milenium – nie trafiła), kupiła więc około osiemdziesięciu hektarów lasu w północnej Kalifornii, na szczycie góry niedaleko Shasta. Daniel Pell nigdy nie był

rasistą, ale nie był też głupi, dlatego gdy ciotka wygłaszała tyrady na temat nadciągającej Wielkiej Wojny Czarnych z Białymi, gorąco jej potakiwał.

Przekazała tytuł własności ziemi bratankowi, aby wraz z innymi „dobrymi, porządnymi ludźmi o słusznym poglądach” (i białej skórze) miał dokąd uciec, kiedy padną pierwsze strzały.

Pell był wówczas młody i nie zawracał sobie głowy górą ciotki. Kiedyś jednak wybrał się tam autostopem i natychmiast zrozumiał, że to miejsce wymarzone dla niego. Spodobał mu się wspaniały widok i czyste powietrze, lecz przede wszystkim spodobała mu się ustronność posiadłości; mógłby się tu schronić przed rządem i wścibskimi sąsiadami. (Znalazł nawet kilka głębokich jaskiń – i czując pęcznięjący w środku balon, często wyobrażał sobie, co tam się będzie mogło dzieć). Sam wyciął parę drzew i postawił prostą chatę.

Wiedział, że pewnego dnia założy tu swoje królestwo, ostateczne miejsce przeznaczenia, dokąd Szczurołap przyprowadzi swoje dzieci i założy nową Rodzinę.

Pell musiał jednak zadbać o to, by ziemia pozostała niewidzialna – nie dla szalejących mniejszości rasowych, lecz dla policji, ze względu na jego przeszłość i znaną skłonność do przestępstw. Zaopatrzył się w książki napisane przez specjalistów sztuki przetrwania oraz skrajnych antyrządowych prawicowców, chcąc się dowiedzieć, jak ukryć prawo własności do ziemi – okazało się to banalnie proste, pod warunkiem, że regularnie płaciło się podatek od nieruchomości (wystarczyło powiernictwo majątkowe i rachunek oszczędnościowy). Taki układ działał samoczynnie, co było idealnym rozwiązaniem dla Daniela Pella – żadnej zależności od nikogo.

Jego wymarzony szczyt góry.

W realizacji planu przeszkodziło mu tylko pewne zdarzenie. Kiedy pojechał

tam z Alison, dziewczyną poznaną w San Francisco, napotkał człowieka pracującego w okręgowym urzędzie katastralnym, Charlesa Pickeringa. Urzędnik słyszał plotki, że na górę zwożono jakieś materiały budowlane. Chciał sprawdzić, czy właściciel planuje jakiś remont albo ulepszenia, co z kolei wiązałoby się z podwyżką podatku. Z tym Pell nie miałby żadnego problemu; mógł

przekazać funduszowi powierniczemu więcej pieniędzy. Ale nieszczęśliwym zrządzeniem losu Pickering miał rodzinę w okręgu Marin i poznał Pella, którego zdjęcie pojawiło się w miejscowej gazecie, w artykule o jego aresztowaniu za włamanie.

– Hej, ja pana chyba znam – powiedział taksator.

I były to jego ostatnie słowa. W dłoni Pella błysnął nóż i Pickering runął na ziemię, umierając w kałuży krwi trzydzieści sekund później.

Nic nie mogło zagrozić enklawie Pella.

Udało mu się uniknąć kary, choć policja przetrzymywała go przez jakiś czas –

na tyle długo, by Alison uznała, że wszystko między nimi skończone i wróciła na południe.

(Odtąd ciągle jej szukał; musiała oczywiście umrzeć, ponieważ wiedziała, gdzie jest ziemia Pella).

Myśl o gorze dodawała mu siłę, gdy trafił do San Quentin, a potem do Capitoli.

Bezustannie o niej marzył. Z jej powodu zaczął studiować prawo i przygotował

solidny wniosek o apelację w sprawie morderstwa Croytonów, wierząc, że wygra i sąd zmniejszy wyrok – może nawet do czasu spędzonego już za kratkami.

Jednak w zeszłym roku wniosek został odrzucony.

A Pell zaczął myśleć o ucieczce.

Teraz był wolny i po załatwieniu swoich spraw w Monterey pragnął jak najszybciej pojechać na wymarzoną górę. Kiedy ten idiota strażnik wpuścił go w niedzielę do biura, Pellowi udało się obejrzeć swoją ziemię na stronie Visual-Earth.

Nie znał dokładnych współrzędnych, ale mniej więcej trafił we właściwe miejsce. I z zachwytem zobaczył, że okolica wciąż jest pusta, w promieniu wielu kilometrów nie było żadnych zabudowań, a jaskinie pozostawały niewidoczne dla ciekawskiego oka satelity.

Leżąc w łóżku w motelu Sea View, opowiedział Jennie o swojej ziemi – rzecz jasna, ogólnikowo. Ujawnianie zbyt wielu szczegółów nie leżało w jego naturze.

Nie powiedział jej na przykład, że nie będzie jedyną osobą, która tam zamieszka. I nie mógł jej zdradzić, jakie plany obmyślał dla mieszkańców góry. Pell wyciągnął

wnioski z błędów popełnionych przed dziesięciu laty w Seaside. Był zbyt pobłażliwy, zbyt rzadko uciekał się do przemocy.

Tym razem należało wyeliminować wszystkie możliwe zagrożenia.

Ale Jennie była usatysfakcjonowana – nawet przejęta – perspektywą, jaką przed nią nakreślił.

– Naprawdę. Pojadę z tobą, gdzie zechcesz, ukochany... – Wyjęła mu z dłoni kubek z kawą, odstawiła na bok. Położyła się na wznak. – Kochaj się ze mną.

Danielu. Proszę...

„Kochaj się”, zauważył. Nie „pieprz mnie”.

Znak, że jego uczennica przeszła do wyższej klasy. Świadomość tego faktu podziałała mocniej niż widok jej ciała, rozdymając w nim bańkę.

Odgarnął jej z czoła kosmyk ufarbowanych włosów i pocałował ją. Jego ręce rozpoczęły znajomą, lecz nieodmiennie odkrywczą wędrówkę.

Którą przerwał przeraźliwy dzwonek telefonu. Pell z grymasem odebrał, słuchał przez chwilę, po czym zasłonił dłonią mikrofon słuchawki.

– Dzwonią z obsługi. Widzieli wywieszkę „Nie przeszkadzać” i chcą wiedzieć, kiedy mogą posprzątać pokój.

Jennie uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Powiedz im, żeby nam dali co najmniej godzinę.

– Powiem, że dwie. Na wszelki wypadek.

## **Rozdział 41**

Punkt zborny przed akcją szturmową zorganizowano na skrzyżowaniu, za rogiem motelu Sea View.

Dance wciąż nie była pewna, czy operacja taktyczna to rozsądne rozwiązanie, ale kiedy już podjęto decyzję, nieuchronnie zaczęły działać pewne zasady. Jedną z nich polegała na tym, że Dance musiała usunąć się na drugi plan. Nie była specjalistką w tej dziedzinie, pozostawała jej więc jedynie rola widza.

Reprezentantami CBI w zespołach szturmowych, złożonych z funkcjonariuszy jednostki SWAT okręgowego biura szeryfa i kilku osób z policji stanowej, zostali Albert Stemple i TJ. Ośmiu mężczyzn i dwie kobiety zgromadzili się przy nieoznakowanej furgonetce, w której mieściło się dosyć broni i amunicji, by poskromić niewielkie zamieszki uliczne.

Pell wciąż przebywał w pokoju wynajętym przez tajemniczą kobietę; światła były zgaszone, ale jeden z funkcjonariuszy przyłożył mikrofon do ściany z tyłu budynku i zameldował, że z pokoju dochodzą jakieś dźwięki. Nie był pewien, ale przypuszczał, że to odgłosy uprawiania seksu.

Dobra wiadomość, pomyślała Dance. Nagi podejrzany to bezbronny podejrzany.

Rozmawiając przez telefon z kierownikiem motelu, zapytała o sąsiednie pokoje.

Ten z lewej był pusty; goście wyszli z ekwipunkiem wędkarskim, co oznaczało, że wrócą dopiero za jakiś czas. Rodzina zajmująca pokój po drugiej stronie wciąż niestety tam była.

Dance w pierwszej chwili chciała do nich zadzwonić i polecić im położyć się na podłodze w głębi pokoju. Wiedziała jednak, że nie posłuchaliby. Wybiegliby w popłochu, chroniąc dzieci. A Pell natychmiast by się domyślił, co się dzieje. Miał

koci instynkt.

Myśląc o rodzinie, o gościach w innych pokojach i motelowym personelu, Kathryn Dance powiedziała sobie: odwołaj akcję. Rób, co ci każe intuicja. Masz tu władzę. Overby pewnie nie będzie zachwycony – czekałoby ją poważne starcie –

ale poradziłaby sobie. Mogła liczyć na wsparcie O’Neila i zastępców szeryfa.

Mimo to nie mogła w tym momencie ufać przecuciu. Nie знаła ludzi pokroju Pella; Winston Kellogg znał.

Właśnie się zjawił, podszedł do funkcjonariuszy brygady antyterrorystycznej i przedstawił się, podając każdemu rękę. Znow się przebrał. Nie przypominał już członka klubu golfowego. Miał na sobie czarne dżinsy, czarną koszulę i grubą kamizelkę kuloodporną, odsłaniającą bandaż na szyi.

W pamięci rozbrzmiały jej słowa TJ-a.

*Trochę sztywny, ale nie boi się pobrudzić rąk...*

W tym stroju, ze skupieniem malującym się w oczach, jeszcze bardziej niż dotąd przypominał jej zmarłego męża. Bill na ogół prowadził rutynowe dochodzenia, lecz od czasu do czasu brał udział w operacjach taktycznych. Raz czy dwa widziała go w podobnym rynsztunku, pewnie trzymającego skomplikowaną broń automatyczną.

Dance przyglądała się, jak Kellogg ładuje srebrzysty pistolet maszynowy.

– To dopiero broń masowego rażenia – rzekł TJ. – Schweizerische Industrie Gesellschaft.

– Co? – spytał zniecierpliwionym tonem.

– S-I-G, sig-sauer. Nówka P220. Czterdziestkapiątka.

– Kaliber czterdzieści pięć?

– Aha – przytaknął TJ. – Widocznie biuro przyjęło filozofię „zrobmy tak, żeby żywy nie wyszedł nikt”. Mnie ona specjalnie nie przeszkadza.

Dance i pozostali agenci CBI byli uzbrojeni tylko w dziewięciomilimetrowe glocki, obawiając się, że broń większego kalibru mogłaby wyrządzić więcej szkód.

Kellogg narzucił wiatrówkę powiadamiającą wszystkich, że reprezentuje FBI, po czym dołączył do Dance i O’Neila, który miał na sobie mundur khaki – oraz kamizelkę.

Dance przekazała im informacje o sąsiednich pokojach. Kellogg zaproponował, że kiedy główny zespół sforsuje drzwi, do pokoju obok równocześnie wkroczy drugi, aby ochronić rodzinę.

Niewiele, ale zawsze coś.

Przez radio zgłosił się Rey Carraneo; był na stanowisku obserwacyjnym na przeciwległym końcu parkingu, ukryty za pojemnikiem na śmieci. Parking był

prawie pusty – stało na nim parę samochodów – a pracownicy obsługi zgodnie z instrukcjami Kellogga zajmowali się swoimi zwykłymi obowiązkami. W ostatniej chwili, gdy grupa szturmowa wejdzie do akcji, pozostali funkcjonariusze mieli ich zabrać w bezpieczne miejsce.

W ciągu pięciu minut wszyscy włożyli kamizelki i sprawdzili broń. Zbili się w gromadkę na podwórku obok głównej recepcji. Spojrzeli na O’Neila i Dance, ale pierwszy odezwał się Kellogg.

– Robimy podstawowe wejście, jeden zespół przez drzwi, drugi osłania z tyłu. –

Pokazał plan pokoju naszkicowany przez kierownika. – Pierwszy zespół, podchodźcie do łóżka. Drugi, czyścicie schowki i łazienkę. Dajcie mi trochę petard.

Miał na myśli głośne granaty błyskowe służące do dezorientowania napastnika, niepowodujące poważniejszych obrażeń. Jeden z zastępców szeryfa podał mu kilka. Agent wsunął je do kieszeni.

– Wchodzę z pierwszym zespołem – oświadczył Kellogg. – Jako jedynka.

Dance wołała, żeby nie szedł pierwszy; w oddziale antyterrorystów byli młodszy funkcjonariusze z biura szeryfa, większość świeżo po służbie w wojsku, z doświadczeniem bojowym.

– Będzie z nim kobieta – ciągnął agent – która może wyglądać na zakładniczkę, ale jest równie groźna jak on. Pamiętajcie, to ona podpaliła sąd i zabiła Juana Millara.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Dobra, okrążamy budynek z boku i szybko przechodzimy przed frontem. Ci, którzy będą mijać okna, mają sunąć brzuchem po ziemi, nie przykucac. I jak najbliżej budynku. Zakładamy, że patrzy przez okno. Ludzie w kamizelkach odciągają obsługę za samochody. Wtedy wchodzimy. I zakładamy, że może być ich więcej niż dwoje.

Jego słowa przypomniały Dance rozmowę z Rebeccą Sheffield. *Opracować rozwiązanie...*

– Co powiesz na mój plan? – zwrócił się do Dance.

W istocie jednak chciał wiedzieć co innego.

Prawdziwe pytanie brzmiało: czyja tu rządzą?

Kellogg był na tyle łaskawy, że dał jej ostatnią szansę na przerwanie operacji.

Po chwili zastanowienia odrzekła:

– W porządku. Zaczynajcie.

Dance chciała powiedzieć coś do O’Neila, ale nie potrafiła znaleźć słów wyrażających to, co myślała – zresztą i tak nie była pewna, co właściwie pomyślała. Detektyw, nie patrząc na nią, wyciągnął glocka i wraz z TJ-em i Stemple’em poszedł dołączyć do zespołu osłaniającego.

– Na pozycje – zakomenderował Kellogg.

Dance ruszyła do Carranea przyczajonego za kółkiem na śmieci, podłączając do radia mikrofon i słuchawkę.

Kilka minut później usłyszała trzeszczący głos Kellogga:

– Wchodzimy na pięć.

Dowódcy poszczególnych zespołów potwierdzili przyjęcie komunikatu.

– Uwaga. Jeden... dwa...

Dance otarła dłoń o spodnie i zacisnęła na rękojeści pistoletu.

– ...trzy... cztery... pięć, już!

Ludzie wypadli zza rogu, a oczy Dance śledziły na przemian Kellogga i O'Neila.

Błagam, pomyślała. Żeby tylko nikt więcej nie zginął.

Czy dobrze opracowali rozwiązanie?

Właściwie rozpoznali problem?

Kellogg pierwszy znalazł się przy drzwiach, dając znak funkcjonariuszowi uzbrojonemu w taran. Potężny mężczyzna wykonał zamach i ozdobne drzwi z trzaskiem ustąpiły. Kellogg wrzucił granat. Dwaj funkcjonariusze wbiegli do pokoju obok, a inni odciągali pokojówki za stojące na parkingu samochody. Gdy granat błyskawicznie z potężnym hukiem eksplodował, zespoły Kellogga i O'Neila wpadły do środka.

Nagle: cisza.

Żadnych strzałów, żadnych krzyków.

Wreszcie usłyszała przebijający się przez szum zakłóceń głos Kellogga: ...go.

– Powtórz – rzuciła do mikrofonu Dance. – Powtórz, Win. Macie go?

Trzask.

– Nie. Uciekł.

Jej Daniel był niezwykły, jej Daniel wiedział wszystko.

Gdy odjeżdżali z motelu, szybko, choć nie przekraczając dozwolonej prędkości, Jennie Marston obejrzała się za siebie.

Nie było jeszcze radiowozów, świateł ani syren.

Anielskie pieśni, powiedziała do siebie. Anielskie pieśni, chrońcie nas.

Jej Daniel był geniuszem.

Dwadzieścia minut temu, kiedy zaczęli się kochać, znieruchomiał i usiadł na łóżku.

Co, kochanie? – spytała zaniepokojona.

Obsługa. Czy wcześniej dzwoniли w sprawie sprzątnięcia?

– Chyba nie.

– Dlaczego akurat dzisiaj o to pytają? Jeszcze jest wcześnie. Zadzwoniliby później. Ktoś chciał wiedzieć, czy jesteśmy w pokoju. Policja! Ubieraj się. Szybko.

– Chcesz...

– Ubieraj się!

Wyskoczyła z łóżka.

– Łap, co się da. Bierz komputer i nie zostawiaj nic osobistego. – Wrzucił do torby ubrania i parę innych rzeczy. Wyjrzał przez okno, potem podszedł do drzwi prowadzących do pokoju obok, wyciągnął broń i otworzył je kopniakiem, przestraszając dwóch młodych mężczyzn.

Z początku myślała, że ich zabije, ale kazał im się tylko odwrócić, związał im ręce żyłką, do ust

wepchnął im ścierki i przykleił taśmą. Potem wyciągnął ich portfele i obejrzał.

– Znam wasze nazwiska i adresy. Siedźcie tu i bądźcie cicho. Jeżeli komuś coś powiecie, wasze rodziny już nie żyją. Jasne?

Skinęli głowami, a Daniel zamknął drzwi do pokoju i zablokował je krzesłem.

Wyrzucił zawartość pojemników i skrzynek wędkarskich, wkładając tam ich rzeczy. Przebrali się w ich żółte sztormiaki, nałożyli bejsbolówki, po czym z bagażem i wędkami wyszli z pokoju.

– Nie oglądaj się. Idź prosto do samochodu. Ale powoli. – Przecięli parking.

Daniel przez kilka minut pakował samochód, starając się zachowywać całkiem swobodnie. Potem wsiedli i odjechali. Jennie ze wszystkich sił starała się zachować spokój. Była tak zdenerwowana, że chciało się jej płakać.

Musiała jednak przyznać, że była też podniecona. To był zupełny odjazd. Nigdy dotąd tak mocno nie czuła, że żyje. Pomyślała o swoim mężu, o chłopakach, o matce... nic, co z nimi przeżyła, nie mogło się równać z uczuciem towarzyszącym wyjazdowi z Sea View.

Minęli cztery radiowozy pędzące w kierunku motelu. Bez syren.

Anielskie pieśni...

Modlitwa podziękowała. Byli już wiele kilometrów za motelem i nikt ich nie ścigał.

Wreszcie się roześmiała i z ulgą wypuściła powietrze.

– I co, najdroższa?

– Udało się, ukochany! – Wydała zwycięski okrzyk i potrząsnęła głową, jak gdyby była na koncercie rockowym. Przycisnęła usta do jego szyi i ugryzła go figlarnie.

Niedługo potem zatrzymali się na parkingu przed Butterfly Inn, skromnego moteliku przy Lighthouse, handlowej ulicy Monterey. Daniel powiedział:

– Idź zamówić pokój. Niedługo skończymy tu nasze sprawy, ale to może potrwać do jutra. Ale zamów na cały tydzień; tak będzie mniej podejrzanie. Gdzieś z tyłu. Może w tamtym domku. Podaj inne nazwisko. Powiedz w recepcji, że zostawiłaś dokumenty w walizce i przyniesiesz je później.

Jennie zameldowała się i wróciła do samochodu. Zanieśli do pokoju pojemnik i skrzynki.

Pell rozciągnął się na łóżku, zakładając ręce za głowę. Zwinęła się obok niego.

– Będziemy się tu musieli ukrywać. Na ulicy widziałem sklep spożywczy. Pójdiesz kupić coś do jedzenia, najdroższa?

– I farbę do włosów?

Uśmiechnął się.

– Niezły pomysł.

– Mogę się zrobić na rudo?

– Możesz nawet na zielono, jeśli chcesz. I tak będę cię kochał.

Boże, był ideałem...

Nałożyła czapkę i wychodząc, usłyszała trzask włączanego telewizora. Kilka dni temu w ogóle by nie przypuszczała, że pozwoli, by Daniel robił ludziom krzywdę, że zgodzi się porzucić dom w Anaheim i nigdy już nie zobaczy kolibrów, kardynałów i wróbli na swoim podwórku.

Nie, ta decyzja wydawała się zupełnie naturalna. Właściwie wspaniała.

Dla ciebie wszystko. Danielu. Wszystko.

## **Rozdział 42**

Ale skąd wiedział, że tam jesteście? – gorączkował się Overby, stojąc w gabinecie Dance. Nie tylko sam doprowadził do przejęcia nadzoru nad pościgiem przez CBI, ale właśnie się dowiedział,

że oficjalnie wsparł błędną decyzję o szturmie na motel. Nerwowość zdradzał język jego ciała i dobór słów: powiedział

„jesteście”, podczas gdy Dance lub O’Neil użyłby pierwszej osoby. Zrzucić winę...

– Prawdopodobnie wyczuł, że coś jest nie tak, może obsługa dziwnie się zachowywała – odrzekł

Kellogg. – Tak jak w restauracji w Moss Landing. Ma koci instynkt.

Powtórzył dosłownie poprzednią myśl Dance.

– Michael, podobno twoi ludzie słyszeli, że jest w środku.

– Porno – oparła Dance.

– W telewizji leciał płatny kanał porno – wyjaśnił detektyw. – Usłyszeli odgłosy z filmu.

Analizowali przebieg wypadków zniechęceni i zakłopotani własną porażką.

Okazało się, że kierownik, nie wiedząc o tym, widział Pella i kobietę opuszczających motel – udawali wędkarzy z sąsiedniego pokoju wyruszających na zatokę Monterey na kalmary i łososie. Mężczyźni, których znaleziono związanych i zakneblowanych w pokoju obok, nie mieli ochoty mówić; Dance udało się z nich wydusić, że Pell wziął ich adresy, grożąc, że zabije ich rodziny, jeżeli wezwą pomoc.

Schematy... przeklęte schematy.

Winston Kellogg był zmartwiony ucieczką, lecz nie wyglądał na skruszonego.

Sam podjął trudną decyzję, podobnie jak Dance w Moss Landing. Jego plan mógł

się powieść, gdyby nie przeszkodził los, a Dance czuła do niego szacunek za to, że nie narzekał i nie roztrząsał klęski, tylko skupił się na kolejnych krokach.

Do gabinetu weszła asystentka Overby’ego, zawiadamiając szefa, że ma telefon z Sacramento, a na drugiej linii czeka agentka specjalna z San Francisco Amy Grabe. Nie była zadowolona.

Szef CBI wydał gniewny pomruk i ruszył za nią do gabinetu.

Zadzwoił Carraneo z meldunkiem, że ani jemu, ani pozostałym funkcjonariuszom nie udało się zebrać na miejscu żadnych informacji. Jedna ze sprzątaczek zeznała, że tuż przed szturmem widziała jakiś ciemny samochód wyjeżdżający z parkingu. Nie znała numerów rejestracyjnych. Nikt inny niczego więcej nie widział.

Ciemny sedan. Tak samo bezużyteczny opis jak podany przez Reynoldsa.

Zjawił się zastępca szeryfa z biura Monterey z dużą paczką, którą podał O’Neilowi.

– Materiał z miejsca zdarzenia.

Detektyw rozłożył na stole zdjęcia i listę dowodów. W pokoju zabezpieczono odciski palców świadczące, że istotnie zajmował go Pell ze współniczką. Na spisie wymieniono ubrania, opakowania po jedzeniu, gazety, środki higieniczne, parę kosmetyków. A także spinacze do bielizny, zrobiony z wieszaka przedmiot przypominający pejcz ze śladami krwi, rajstopy przywiązane do ramy łóżka, dziesiątki prezerwatyw – nowych i używanych – oraz dużą tubkę żelu K-Y.

– Typowe dla przywódców sekt – rzekł Kellogg. – Pamiętacie Jima Jonesa z Gujany? Uprawiał seks trzy albo cztery razy dziennie.

– Dlaczego to robią? – spytała Dance.

– Bo potrafią. Potrafią robić prawie wszystko, co chcą.

Zadzwoił telefon O’Neila. Detektyw odebrał i słuchał przez chwilę.

– Dobrze. Prześlij na komputer agentki Dance. Masz adres?... Dzięki.

Spojrzał na Dance.

– W kieszeni dzinsów tej kobiety ekipa znalazła wydruk e-maila.



Kilka minut później Dance otworzyła na ekranie wiadomość. Wy drukowała przesłany w załączniku plik PDF.

*Od: Central Admin2235@Capitolacorrectional.com Do: JMSUNGIRL@Euroserve.co.uk*

*Temat:*

*Jennie, najdroższa,*

*Wytargowałem sobie wejście do biura, żeby to napisać. Musiałem. Chcę Ci coś powiedzieć. Obudziłem się, myśląc o Tobie o tym, jak będziemy chodzić na plażę, na pustynię, co wieczór oglądać sztuczne ognie z twojego ogrodu. Myślałem, jaka jesteś inteligentna, piękna i romantyczna – czegoś więcej można pragnąć od dziewczyny? Krążyliśmy wokół tematu i nigdy nie wyznałem Ci tego wprost, ale teraz chcę to powiedzieć. Kocham Cię. Wiem na pewno, że nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak Ty. A więc już wiesz. Muszę kończyć. Mam nadzieję, że czytając moje słowa, nie zdenerwowałaś się ani nie „spanikowałaś”.*

*Do zobaczenia, Daniel*

Czyli Pell jednak pisał e-maile z Capitoli – ale, jak zauważyła Dance, jeszcze w zeszłym tygodniu, dlatego informatyk w więzieniu nie mógł ich znaleźć.

Zwróciła uwagę, że dziewczyna miała na imię Jennie. Czyli M było pierwszą literą nazwiska albo drugiego imienia.

*JMSUNGIRL.*

– Nasz wydział techniczny kontaktuje się z dostawcą Internetu – do dał O’Neil.

– Administratorzy zagranicznych serwerów nie są zbyt skłonni do współpracy, ale trzymajmy kciuki.

Dance wpatrywała się w wydruk.

– Popatrz, o czym pisze: plaża, pustynia, codziennie sztuczne ognie. Wszystko blisko jej domu. To powinno nam dać jakąś wskazówkę.

– Samochód skradziono w Los Angeles... – rzekł Kellogg. – Dziewczyna musi być z południowej Kalifornii – plaża i pustynia. Ale sztuczne ognie?

– Anaheim – powiedziała Dance.

Drugi z obecnych w gabinecie rodziców skinął głową.

– Disneyland – uzupełni! O’Neil.

Dance pochwyciła spojrzenie detektywa.

– Miałeś pomysł, żeby sprawdzić w bankach wypłaty dziewięciu tysięcy dwustu. W całym okręgu Los Angeles – zgoda, to było za trudne. Ale Anaheim? O

wiele mniejszy obszar. Poza tym wiemy już, jak ma na imię. I chyba znamy pierwszą literę nazwiska. Win, czy twoi ludzie mogą się tym zająć?

– Jasne, z taką liczbą banków powinni sobie poradzić – przytaknął. Podniósł słuchawkę i przekazał prośbę biuru terenowemu w Los Angeles.

Dance zadzwoniła do kobiet w Point Lobos Inn. Opowiedziała im, co się stało w motelu.

Znowu uciekł? zmartwiła się Samantha.

– Niestety. – Powiedziała jej o e-mailu, pytając o nicka w adresie, ale żadna z nich nie pamiętała nikogo o takim imieniu ani inicjałach.

– Znaleźliśmy też dowody praktyk sadomasochistycznych. – Opisała akcesoria erotyczne. – Pell ma takie upodobania czy to pomysł tej kobiety? Gdyby chodziło o nią, moglibyśmy zawęzić poszukiwania. Może jest profesjonalistką, domina.

Samantha przez chwilę milczała. Potem odrzekła: – Ach... to Daniel. Miał kiedyś takie skłonności. – W jej głosie brzmiała nutka skrępowania. Dance podziękowała jej.

– Wiem, że bardzo chce pani wyjechać. Obiecuję, że nie to już nie potrwa długo.

Już po pięciu minutach Winston Kellogg odebrał telefon. W jego oczach błysnęło zdumienie. Spojrzał na nich znad aparatu.

– Mają ją. W zeszłym tygodniu w Pacific Trust w Anaheim niejaka Jennie Marston podjęła z konta dziewięć tysięcy dwieście dolarów – prawie całe swoje oszczędności. Gotówką. Kiedy będziemy mieli nakaz, na si agenci i zastępcy szeryfa z Orange zrobią jej nalot na dom. Dadzą nam znać, co znaleźli.

Czasami jednak zdarza się przełom w sprawie.

O’Neil chwycił telefon i pięć minut później w komputerze Dance pojawiła się fotografia młodej kobiety z prawa jazdy. Agentka wezwała do siebie TJ-a.

– Co jest?

Ruchem głowy wskazała na ekran.

– Zrób portret w EFIT. Z ciemnymi, rudymi, długimi i krótkimi włosami.

Pojedź z nim do Sea View. Chcę mieć pewność, że to ona. A jeżeli tak, wyślij zdjęcie do wszystkich telewizji i gazet na pół wyspie.

– Jasne, szefowo. – Stojąc, agent wcisnął kilka klawiszy i wypadł z gabinetu, jak gdyby próbował się ścigać z cyfrową fotografią, którą właśnie przesłał do swojego biura.

W drzwiach stanął Charles Overby.

– Dzwonili z Sacramento w sprawie...

– Chwileczkę, Charles. – Kiedy Dance poinformowała go, co się stało, natychmiast poprawił mu się nastrój.

– No, mamy trop. Świetnie. Nareszcie... w każdym razie jest inny kłopot. Do Sacramento dzwonił z biura szeryfa z okręgu Napa.

– Napa?

Mają w areszcie niejakiego Mortona Walkera.

Dance wolno pokiwała głową. Nie mówiła Overby’emu o zwerbowaniu pisarza do pomocy w odnalezieniu Śpiącej Laleczki.

– Rozmawiałem z szeryfem. Trudno go nazwać radosnym skowronkiem.

– Co Walker zrobił? – zdziwił się Kellogg, kierując pytające spojrzenie na Dance.

– Chodzi o małą Croytonów. Mieszka gdzieś w okolicy z ciotką i wujem.

Najprawdopodobniej chciał ją namówić, żeby się zgodziła na przesłuchanie.

– Zgadza się.

– Och, nic o tym nie słyszałem. – Zrobił wymowną pauzę. – Ciotka odmówiła.

Ale dzisiaj rano zakradł się do ich domu i próbował przekonać dziewczynę osobiście.

Oto jak wygląda bezstronne, niezależne dziennikarstwo.

– Ciotka do niego strzeliła.

– CO?!

– Chybiła, ale gdyby nie zjawiała się policja, szeryf przypuszcza, że spróbowałyby drugi raz. I nikt by się tym specjalnie nie przejął. Uważa ją, że mamy z tym coś wspólnego. Trzeba coś z tym śmierdzącym fantem zrobić.

– Załatwię to – obiecała Dance.

– Nie byliśmy w to zamieszani, prawda? Powiedziałem mu, że nie.

– Załatwię to.

Overby po chwili zastanowienia podał jej numer szeryfa, po czym wycofał się do swojego gabinetu. Dance zadzwoniła do szeryfa, przedstawiła się i wyjaśniła sytuację.

– Agentko Dance – burknął – rozumiem wasze kłopoty, Pell i tak da lej.

Powiem pani, że głośno u nas o tej ucieczce. Ale nie możemy go tak po prostu zwolnić. Ciotka i wuj Teresy wnieśli skargę. Prawdę mówiąc, mamy tę małą szczególnie na oku, bo wiemy, co przeszła. Sędzia wyznaczył kaucję w wysokości stu tysięcy i żaden z naszych poręczycieli nie jest nią zainteresowany.

– Mogę porozmawiać z prokuratorem?

– Jest na rozprawie i dzisiaj już nie wróci.

Morton Walker będzie zatem musiał spędzić trochę czasu w areszcie.

Współczuła mu i była mu wdzięczna, że zmienił zdanie. Nie mogła jednak nic dla niego zrobić.

– Chciałabym porozmawiać z ciotką albo wujem dziewczyny.

– Nie wiem, czy to coś da.

– Zależy mi na tym.

Chwila ciszy.

– Agentko Dance, naprawdę nie sędzę, żeby mieli na to ochotę. Właściwie jestem tego pewien.

– Da mi pan ich numer? Proszę? – Bezpośrednie pytania często bywają najskuteczniejsze.

Bezpośrednie odpowiedzi także.

– Nie. Do widzenia, agentko Dance.

### **Rozdział 43**

Dance i O’Neil zostali sami w jej gabinecie. Z departamentu szeryfa okręgu Orange dowiedziała się, że ojciec Jennie Marston nie żyje, a matka ma bogatą kartotekę drobnych przestępstw, problemy z narkotykami i zaburzenia emocjonalne. Miejsce pobytu matki było nieznane; kilku krewnych dziewczyny mieszkało na Wschodnim Wybrzeżu, ale żaden od lat nie miał żadnych wiadomości od Jennie.

Jennie chodziła do dwuletniego college’u, ucząc się gastronomii, ale po roku rzuciła szkołę, aby wyjść za mąż. Przez rok pracowała w salonie fryzjerskim Hair Cuttery, a potem zajęła się cateringiem – w kilku firmach i piekarniach w okręgu Orange, gdzie się zatrudniła, zapamiętano ją jako spokojną osobę, która przychodziła do pracy punktualnie, dobrze wykonywała swoje obowiązki i wychodziła. Prowadziła samotne życie i funkcjonariuszom nie udało się dotrzeć do żadnych znajomych ani przyjaciół. Jej były mąż nie rozmawiał z nią od lat, ale oświadczył, że zasłużyła sobie na to, co ją spotkało.

Jak się można było spodziewać, z policyjnych raportów wyłaniał się obraz trudnych związków. Zastępcy szeryfa co najmniej sześć razy byli wzywani przez pracowników szpitala z powodu podejrzeń, że doszło do aktów przemocy domowej z udziałem byłego męża i co najmniej czterech innych partnerów. Sprawą zainteresowała się opieka społeczna, ale Jennie nigdy nie złożyła żadnej skargi, a tym bardziej nie wystąpiła o nakaz sądowy.

Idealna kandydatka na ofiarę kogoś takiego jak Daniel Pell.

Dance podzieliła się tym spostrzeżeniem z O’Neilem. Detektyw skinął głową.

Patrzył przez okno na dwie sosny, które w ciągu lat zrosły się ze sobą, tworząc na wysokości wzroku splot gałęzi przypominający zgięty kłykieć. Dance często patrzyła na przedziwny kształt,

kiedy fakty śledztwa nie chciały się połączyć w logiczną całość.

– Powiesz mi, co cię gnębi? – spytała.

– Chcesz wiedzieć?

– Przecież pytam, nie? – zauważyła pogodnym tonem.

Nie udzielił mu się jednak jej dobry nastrój.

– Miałaś rację – powiedział cierpko. – To on się mylił.

– Kellogg? W motelu?

– Powinniśmy przeprowadzić twój pierwszy plan. Trzeba było obstawić ludźmi cały motel, kiedy się tylko dowiedzieliśmy. Nie marnować pół godziny na montowanie akcji. Właśnie dlatego się zorientował. Ktoś musiał nas sypnąć.

Koci instynkt...

Nie cierpiała się bronić, zwłaszcza przed kimś, kto był jej bliski.

– Wtedy decyzja o szturmie wydawała się rozsądna. Wszystko działo się bardzo szybko.

– Nie, nie była rozsądna. I dobrze o tym wiedziałaś. Dlatego się wahałaś. Nie byłaś pewna do samego końca.

– A kto mógłby być czegokolwiek pewien w takiej sytuacji?

– Dobra, więc miałaś przeczucie, że to niedobre rozwiązanie, a prze czucie zwykle cię nie zawodzi.

– Mieliśmy po prostu pecha. Gdybyśmy weszli wcześniej, pewnie już byśmy go mieli.

Pozałowała tych słów, obawiając się, że odczyta je jako krytykę funkcjonariuszy biura szeryfa.

– I zginęliby ludzie. Mieliśmy cholerne szczęście, że nikomu nic się nie stało.

Plan Kellogga to była gotowa recepta na strzelaninę. Naprawdę mieliśmy szczęście, że Pella nie było w pokoju. Mogło dojść do masa kry. – Założył ręce – w geście obronnym, który wydawał się absurdalny, ponieważ detektyw wciąż miał na sobie kamizelkę kuloodporną. – Sama oddajesz nadzór nad operacją. Nad swoją operacją.

– Winstonowi?

– Owszem, Winstonowi. To tylko konsultant. A zachowuje się, jak gdyby to on prowadził sprawę.

– Jest specjalistą, Michael. Ja nie. Ty też nie.

– Naprawdę? Przepraszam cię, facet gada o mentalności w sektach, o profilach.

Ale jakoś nie widzę, żeby dzięki temu udało mu się dopaść Pella. Dotąd to ty odwalasz całą robotę.

– Weź pod uwagę jego kwalifikacje, jego doświadczenie. To ekspert.

– Zgoda, ma trochę wiadomości. Mogą się nam przydać. Ale godzinę temu okazał się za słabym ekspertem, żeby złapać Pella. – Ściszył głos. – Słuchaj, w sprawie motelu Overby poparł Winstona. Nic dziwnego – w końcu to on chciał go mieć w zespole. Jesteś pod naciskiem FBI i własnego szefa. Ale już nieraz dawaliśmy sobie radę z naciskami. Mogliśmy się im postawić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że ulegam mu z jakiegoś innego powodu?

Odwrócił wzrok. Gest niechęci. Nie tylko kłamstwo wywołuje stres; czasami ludzie odczuwają go, mówiąc prawdę.

– Chcę powiedzieć, że Kellogg ma za duży wpływ na sprawę. I szczerze mówiąc, na ciebie też.

– Bo przypomina mi męża? – natarła ostro. – To chcesz powiedzieć?

– Nie wiem. Skąd niby mam wiedzieć? A przypomina ci Billa?

– To śmieszne.

– Sama zaczęłaś.

– Nic, co nie dotyczy spraw zawodowych, nie powinno cię interesować.

– Jasne – odrzekł krótko O’Neil. – W takim razie będę się trzymał oceny zawodowej. Winston się pomylił. A ty się z nim zgodziłaś, wiedząc, że nie ma racji.

– Wiedząc? – odparowała. – Szturm w motelu miał może pięćdziesiąt pięć procent szans powodzenia. Na początku miałam inne zdanie. Potem je zmieniłam.

Każdego dobrego glinę można przekonać.

– Rozsądnym argumentem. Logiczną analizą.

– A twoja ocena? Uważasz, że możesz być obiektywny?

– Ja? Dlaczego miałbym być nieobiektywny?

– Z powodu Juana.

Dostrzegła w oczach O’Neila błysk reakcji rozpoznania. Dotknęła czułego punktu, zastanawiając się, czy detektyw czuje się w pewnym sensie odpowiedzialny za śmierć młodego funkcjonariusza, uważając być może, że jest winien braków w wyszkoleniu Millara.

Jego protegowani...

Dance i O’Neil nieraz się kłócili; nie ma przyjaźni i dobrej relacji z drugim człowiekiem bez drobnych tarć. Nigdy jednak nie doszło do tak żartowego sporu. I dlaczego O’Neil wchodził z butami w jej życie osobiste? Jak gdyby był zazdrosny.

Zamilkli. Detektyw uniósł ręce i wzruszył ramionami. Był to emblemat – gest oznaczający „powiedziałem, co miałem do powiedzenia”. Atmosfera w gabinecie stała się napięta jak włókna sosnowych gałęzi splecionych za oknem.

Zaczęli rozmawiać o dalszych krokach: konieczności skontaktowania się z okręgiem Orange, by zdobyć więcej szczegółów na temat Jennie Marston, szukaniu świadków i analizie przedmiotów znalezionych w motelu Sea View. Wystali Carranea, uzbrojonego w zdjęcie kobiety, na lotnisko, dworzec autobusowy i do wypożyczalni samochodowych. Omówili też parę innych pomysłów, ale odnosząc się do siebie z takim chłodem, jak gdyby panujące między nim lato zmieniło się w jesień, a gdy do gabinetu wszedł Winston Kellogg, O’Neil wycofał się z wyjaśnieniem, że musi złożyć relację szeryfowi. Pożegnał się zdawkowo, nie zwracając się do żadnego z obojga agentów.

Czując pulsujący ból w dłoni rozciętej o siatkowe ogrodzenie domu Bollingów, Morton Walker zerknął na strażnika stojącego przed celą Aresztu dla Mężczyzn Okręgu Napa.

Zwalisty Latynos odpowiedział oziębłym spojrzeniem.

Walker był najwyraźniej sprawcą przestępstwa uważanego w Vallejo Springs za najcięższe – nie chodziło o formalnie postawione zarzuty wtargnięcia na teren prywatny ani napaści (skąd oni to u diabła wytrzasnęli?), ale o znacznie poważniejsze przewinienie – zakłócenia spokoju wspólnej córki mieszkańców miasteczka.

– Mam prawo do skorzystania z telefonu.

Żadnej reakcji.

Chciał uspokoić żonę, że nic mu się nie stało. Ale przede wszystkim chciał przekazać Kathryn Dance wiadomość, gdzie jest Theresa. Zmienił zdanie, postawił krzyżyk na książce i etyce dziennikarskiej. Niech je szlag, zamierzał zrobić wszystko co w jego mocy, żeby złapano Daniela Pella i wsadzono z powrotem do Capitoli.

Nie miał już ochoty demaskować zła, ale sam je zaatakować. Jak rekin.

Widocznie postanowiono trzymać go jak najdłużej w izolacji od świata.

– Naprawdę chciałbym zadzwonić.

Strażnik zmierzył go takim wzrokiem, jak gdyby przyłapano go na sprzedaży cracku dzieciom wychodzącym ze szkółki niedzielnej. Nadal się nie odzywał.

Wstał i zaczął spacerować po celi. Spojrzenie strażnika mówiło: siadaj. Walker usiadł.

Dziesięć długich minut później usłyszał hałas otwieranych drzwi. I odgłos zbliżających się kroków.

– Walker.

Zobaczył innego strażnika. Jeszcze roślejszego niż tamten.

– Wstań. – Strażnik wcisnął guzik otwierający drzwi. – Wyciągnij ręce.

Zabrzmiało to absurdalnie, jakby obiecywano dziecku, że zaraz dostanie cukierki. Uniósł ręce i patrzył, jak zatraskują się na nich kajdanki.

– Idziemy. – Mężczyzna ujął go za ramię, mocno zaciskając palce na jego bicepsie. Walker poczuł zapach czosnku i papierosów. Omal się nie wyrwał, lecz nie sądził, aby był to mądry pomysł. Szli tak ciemnym korytarzem, przy akompaniamencie brzęku łańcuchów. Po piętnastu metrach skręcili do pokoju przesłuchań A.

Strażnik otworzył drzwi i gestem kazał Walkerowi wejść.

Pisarz przystanął na progu.

Przy stole siedziała Theresa Croyton, Śpiąca Laleczka, spoglądając na niego ciemnymi oczami. Strażnik popchnął go i Walker usiadł naprzeciw dziewczyny.

– Witam ponownie – powiedział.

Theresa przebiegła wzrokiem jego ręce, twarz i dłonie, jak gdyby szukała dowodów znęcania się nad więźniem. Lub może miała nadzieję je znaleźć.

Wiedział, że ma dopiero siedemnaście lat, lecz żaden szczegół jej wyglądu, z wyjątkiem delikatnej białej skóry, nie wskazywał na tak młody wiek. Nie zginęła z ręki Daniela Pella, pomyślał Walker. Ale umarło jej dzieciństwo.

Strażnik cofnął się, pozostając jednak w pobliżu; jego potężne ciało tłumilo echo w pomieszczeniu.

– Może nas pan zostawić – powiedziała Theresa.

– Muszę tu być, panienko. – Miał zestaw min: uprzejmą i życzliwą dla niej, wrogą dla Walkera.

Theresa po krótkim wahaniu skupiła wzrok na pisarzu.

– Słucham, co mi chciał pan powiedzieć w ogrodzie? O Danielu Pellu?

– Z jakiegoś powodu został w okolicach Monterey. Policja nie może zrozumieć po co.

– I próbował zabić prokuratora, który go wysłał do więzienia?

– Zgadza się, Jamesa Reynoldsa.

– Nic mu się nie stało?

– Nic. Uratowała go ta policjantka, o której ci mówiłem.

Kim pan właściwie jest? spytała. Obojętnym tonem stawiała rzeczowe pytania.

– Ciotka nic ci nie powiedziała?

– Nie.

– Rozmawiam z nią od miesiąca o książce, którą chciałem napisać. O tobie.

– O mnie? Po co miałby pan pisać o mnie? Nie jestem nikim interesującym.

– Och, sądzę, że jesteś. Chcę opowiedzieć historię o kimś, kto został bardzo skrzywdzony przez

zło. Jak bardzo cierpi. Jaki był wcześniej i ja ki jest potem. Jak zmieniło się jego życie – a jak mogłoby się potoczyć, gdyby nie doszło do zbrodni.

– Nie, ciotka nigdy mi nic o tym nie mówiła.

– Wie, że tu jesteś?

– Tak, powiedziałam jej. Sama mnie przywiozła. Nie pozwala, że bym zrobiła sobie prawo jazdy.

Zerknęła na strażnika, potem znów spojrzała na Walkera.

– Nasza policja nie chce, żebym z panem rozmawiała. Ale nie może mi tego zabronić.

– Po co przysłaś się ze mną spotkać, Thereso? – zapytał.

– W sprawie tej policjantki, o której pan wspominał.

Zdumiał się.

– To znaczy, że może tu przyjechać?

– Nie – odparła stanowczym tonem dziewczyna, potrząsając głową.

Walker nie mógł jej mieć tego za złe.

– Rozumiem, ale...

– To ja chcę do niej pojechać.

Pisarz nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– Co takiego?

– Chcę pojechać do Monterey. Spotkać się z nią osobiście.

– Och, nie musisz tego robić.

Energicznie pokiwała głową.

– Tak, muszę.

Dlaczego?

– Bo tak.

Była to odpowiedź równie dobra jak każda inna.

– Ciotka zaraz mnie tam zawiezie.

Zgodzi się?

– No to pojedę autobusem albo stopem. Może pan się zabrać z nami.

– Jest tylko jeden problem – rzeki Walker.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

Zachichotał.

– Jestem aresztowany.

Ze zdziwieniem spojrzała na strażnika.

– Nic mu pan nie powiedział?

Strażnik pokręcił głową.

– Wpłaciłam za pana kaucję – powiedziała Theresa.

– Ty?

– Mój ojciec miał kupę pieniędzy. – Zaśmiała się, cicho, ale szczerze.

– Jestem bogatą dziewczyną.

#### **Rozdział 44**

Odgłos zbliżających się kroków. W dłoni Daniela Pella natychmiast znalazł się pistolet. Wyjrzał przez okno taniego pokoju, pachnącego odświeżaczem powietrza i środkiem owadobójczym, i wsunął broń za pasek, widząc, że to Jennie. Wyłączył

telewizor i otworzył drzwi. Weszła, niosąc ciężką torbę z zakupami. Wziął ją od niej i postawił na nocnym stoliku obok budzika, na którym pulsowały cyfry pokazujące 12.00.

– Jak poszło, najdroższa? Widziałaś policję?

– Nie, żadnej. – Zdjęła czapkę, drapiąc się w głowę.

Pell pocałował ją we włosy, czując pot i kwaśną woń farby. Znów zerknął przez okno. Po dłuższej chwili podjął decyzję.

– Wyjdźmy stąd na trochę, najdroższa.

– Na dwór? Myślałam, że to nie jest dobry pomysł.

– Och, znam jedno miejsce. Bezpieczne.

Pocałowała go.

– Jakbyśmy szli na randkę.

– Jak na randkę.

Nałożyli czapki i podeszli do drzwi. Jennie przystanęła i z poważną miną przyjrzała się jego twarzy.

– Nic ci nie jest, kochany?

*Kochany.*

Oczywiście, że nie, najdroższa. Tylko trochę mnie strach obleciał tam w motelu. Ale już wszystko w porządku.

Jadąc skomplikowaną siecią ulic, dotarli na plażę przy drodze do Big Sur, na południe od Carmel. Między skałami i wydmami, ogrodzonymi cienkim drutem chroniącym wrażliwą roślinność, biegły drewniane kładki. Wśród spienionych fal baraszkowały foki i wydry morskie, a w pryzmatach słonej wody, pozostałych po odpływie w skalnych zagłębieniach, odbijały się całe wszechświaty.

Była to jedna z najpiękniejszych plaż środkowego wybrzeża.

I jedna z najniebezpieczniejszych. Co roku ginęło tu trzech lub czterech ludzi, którzy wychodzili na urwiste skały, by robić zdjęcia, i sześciometrowa fala nieoczekiwanie zmywała ich do wody o temperaturze siedmiu stopni. Umierali na skutek hipotermii, choć większość ofiar ginęła wcześniej, roztrzaskując się o skały albo topiąc się, zaplątana w labirynt wodorostów, zanim zdążyło je zabić zimno.

Zwykle przychodziły tu tłumy, lecz dziś, z powodu chłodnego wiatru i mgły, plaża była pusta. Daniel Pell i jego najdroższa wysiedli z samochodu i zeszli nad brzeg. Piętnaście metrów od nich w skały uderzyła szara fala.

– Och, jak tu pięknie. Zimno mi. Przytul mnie.

Pell objął ją. Poczł, jak dygocze.

– Niesamowite. Przy moim domu wszystkie plaże są płaskie. Nic tylko piasek i woda. Chyba żeby pojechać do La Jolla. Ale nawet tam nie ma takich widoków. Tu jest bardzo mistycznie, popatrz! – krzyknęła jak mała dziewczynka. Wpatrywała się w wydry. Jedna z nich położyła sobie na brzuchu kamień i czymś w niego tłukła.

– Co ona robi?

– Otwiera muszlę. Uchowca albo małża.

– Skąd wiedzą, jak to robić?

– Pewnie z głodu.

– A tam, gdzie pojedziemy, na tej twojej górze, też jest tak ładnie?

– Chyba jeszcze ładniej. I o wiele bardziej pusto. Nie potrzebujemy żadnych turystów, prawda?



– Nie. – Jej dłoń powędrowała do nosa. Czyżby wyczuła, że coś jest nie tak?

Coś mamrotała, ale słowa zagłuszył wiatr.

– Co mówiłaś?

– Ach, powiedziałam tylko „anielskie pieśni”.

– Najdroższa, ciągle to powtarzasz. Co to znaczy?

Jennie uśmiechnęła się lekko.

– To jak modlitwa, jak mantra. Kiedy to powtarzam, lepiej się czuję.

– I „anielskie pieśni” to twoja mantra?

Jennie zaśmiała się pod nosem.

– Kiedy byłam mała i matkę aresztowano...

– Za co?

– Och, nie starczyłoby czasu, żeby wszystko wymienić.

Pell znów się rozejrzył. Nikogo.

– Tak było źle?

Trudno powiedzieć, czego nie robiła. Kradzieże w sklepach, wymuszenia, prześladowanie. No i napaść. Atakowała mojego ojca. I swoich chłopaków, kiedy chcieli z nią zerwać – sporo ich było. Kiedy wybuchała awantura, do naszego domu czy tam, gdzie akurat byliśmy, przyjeżdżała policja. Często się spieszyła i jechała na sygnale. Ile razy słyszałam syrenę, myślałam sobie, dzięki Bogu, zaraz ją zabiorą. Jak gdyby anioły przychodziły mi na ratunek. Zaczęłam tak myśleć o syrenach. Że to anielskie pieśni.

– Anielskie pieśni. Podoba mi się – rzeki Pell.

Nagle odwrócił ją do siebie i pocałował w usta. Potem odsunął się, patrząc w jej twarz.

Tę samą, którą pół godziny wcześniej zobaczył w telewizji w pokoju motelowym, kiedy Jennie poszła na zakupy.

*Mamy nowe informacje w sprawie ucieczki Daniela Pella. Zidentyfikowano jego współniczkę. To Jennie Ann Marston z Anaheim w Kalifornii. Wiek dwadzieścia pięć lat, wzrost około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów, waga około pięćdziesięciu kilogramów. W lewym górnym rogu ekranu widzą państwo jej zdjęcie, a z prawej strony i poniżej pokazujemy, jak może teraz wyglądać podejrzana, po zmianie fryzury i koloru włosów. Jeżeli ktokolwiek ją zobaczy, proszę nie próbować jej zatrzymać na własną rękę, ale natychmiast zadzwonić pod 911 lub numer wyświetlony u dołu ekranu.*

Fotografia przedstawiała pochmurną twarz, jak gdyby Jennie była niezadowolona, że aparat wydziału komunikacji uwiecznia jej niedoskonały nos, który będzie się bardziej rzucał w oczy niż oczy, usta i uszy.

Najprawdopodobniej Jennie coś jednak zostawiła w pokoju motelu Sea View.

Odwrócił ją w stronę wzburzonego oceanu, stając za jej plecami.

– Anielskie pieśni – wyszeptała.

Pell objął ją mocno i pocałował w policzek.

– Spójrz – powiedział, pokazując na plażę.

– Gdzie?

– Na ten kamień w piasku.

Pochylił się i wygrzebał gładki, może czterokilogramowy kamień. Był szary i błyszczący.

– Co twoim zdaniem przypomina, najdroższa?

– Och, kiedy go tak trzymasz, wygląda jak kot, nie sądzisz? Śpiący kot, zwinięty w kłębek. Jak moja Jasmine.

Miałaś kota? – Pell ważył kamień w dłoni.

– Kiedy byłam mała. Moja matka ją uwielbiała. Nigdy nie zrobiła Jasmine krzywdy. Znęcała się nade mną, nad innymi ludźmi. Ale Jasmine nigdy nic nie zrobiła. Czy to nie zabawne?

– Właśnie tak pomyślałem, najdroższa. Wygląda jak śpiący kot.

Dance najpierw zadzwoniła z nowiną do O’Neila.

Nie odbierał, więc zostawiła mu wiadomość. Nie miał zwyczaju nie podnosić słuchawki, ale wiedziała, że się przed nią nie chowa. Nawet jego wybuch – zgoda, może nie wybuch – nawet jego dzisiejsza krytyka wynikała z policyjnej sumienności, nakazującej mu jak najskuteczniej poprowadzić sprawę.

Przyszła jej do głowy myśl, która nawiedzała ją od czasu do czasu: jak wyglądałoby życie u boku gliny – kolekcjonera książek – żeglarza. Zwykle dochodziła do wniosku, że czekałoby ją dużo dobrego i równie dużo złego.

Odłożyła na bok tę refleksję, odkładając jednocześnie słuchawkę.

Dance znalazła Kellogga w sali konferencyjnej.

– Mamy Therese Croyton – oznajmiła. – Z Napa właśnie dzwonił Walker.

Wyobraź sobie, że wpłaciła za niego kaucję.

– Co ty powiesz? Napa, hm? A więc tam się przeprowadzili. Zamierzasz tam pojechać?

– Nie, dziewczyna przyjedzie tutaj. Z ciotką.

– Tutaj? Kiedy Pell jest ciągle na wolności?

– Sama chce przyjechać. Prawdę mówiąc, nalegała. To był jej warunek.

– Ma dziewczyna odwagę.

– Też tak sądzę.

Dance wezwała zwalistego Alberta Stemple’a i wyznaczyła mu zadanie ochrony Theresy.

Gdy uniosła wzrok, zauważyła, że Kellogg przygląda się zdjęciom na jej biurku

– tym, na których były dzieci. Jego twarz niczego nie zdradzała. Znów zaczęła się zastanawiać, czy fakt, że była matką, wywołuje w nim niepokój lub porusza jakieś wspomnienie. Była to otwarta kwestia między nimi i Dance zadawała sobie pytanie, czy pojawią się inne – lub, co bardziej prawdopodobne, czego będą dotyczyć.

Długie, skomplikowane wędrówki serc.

– Theresa przyjedzie dopiero za jakiś czas – powiedziała. – Chciała bym wrócić do hotelu i jeszcze raz spotkać się z naszymi gośćmi.

Lepiej, żebyś sama z nimi porozmawiała. Wydaje mi się, że mężczyzna będzie wam przeszkadzać.

Zgodziła się z nim. Płeć każdego z uczestników przesłuchania ma wpływ na sposób prowadzenia sesji i Dance często korygowała własne zachowanie, reagując bardziej kobieco lub męsko, w zależności od tego, kogo badała. Ponieważ postać Daniela Pella odgrywała w życiu kobiet tak ogromną rolę, obecność mężczyzny mogła zaburzyć dynamikę przesłuchania. Przedtem Kellogg wycofał się, pozwalając jej przepytować kobiety samodzielnie, ale z pewnością byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie pojawił się w hotelu. Powiedziała mu o tym, wyrażając wdzięczność za zrozumienie.

Zaczęła wstawać, lecz zaskoczył ją prośbą:

– Zaczekaj.

Dance usiadła. Kellogg zaśmiał się krótko i popatrzył jej w oczy.

– Nie byłem z tobą całkiem szczery, Kathryn. I nie miałyby to żadnego znaczenia... gdyby nie wczorajszy wieczór.

Co jest grane? Czyżby była żona nie była jeszcze byłą żoną? A może istniała bardzo obecna dziewczyna?

W tym momencie żadna z tych możliwości nie zmieniała niczego. Prawie się nie znali, a emocjonalna więź, jaka w przyszłości mogła ich połączyć, na razie nie miała znaczenia. Cokolwiek to było, lepiej ujawnić to teraz, od razu.

– Chodzi o dzieci.

Dance porzuciła rozważania na własny temat i wyprostowała się na krześle, poświęcając mu całą uwagę.

– Prawda jest taka, że mieliśmy z żoną dziecko.

Słyszając czas przeszły, Kathryn Dance poczuła skurcz w żołądku.

– Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy miała szesnaście lat.

– Och, Win...

Wskazał zdjęcie Dance i jej męża.

– Trochę podobnie. Też wypadek... W każdym razie zachowałem się jak ostatni gnojek. W ogóle nie umiałem sobie z tym poradzić. Starłem się być przy Jill, ale właściwie mnie nie było. Wiesz, jak to jest z gliniarzami. Praca może ci wypełnić tyle życia, ile chcesz. A mnie wypełniła za dużo. Rozwiedliśmy się i przez kilka lat było naprawdę ciężko. Nam obojgu. Potem jakoś się pogodziliśmy i można powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi. Jill wyszła za mąż.

Ale muszę ci wyjaśnić ten problem z dziećmi. Trudno mi się przy nich zachowywać naturalnie. Wymazałem to ze swojego życia. Nigdy dotąd nie zbliżyłem się do żadnej kobiety, która ma dzieci. Jesteś pierwsza. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jeżeli wydaję się trochę sztywny, to nie przez ciebie ani Wesa i Maggie. Są wspaniali. Próbuję z tym walczyć i przechodzę terapię. I tyle. – Uniósł rękę w geście-emblemacie, oznaczającym zwykle: „Powiedziałem, co chciałem.

Możesz mnie za to kochać lub nienawidzić, ale znasz prawdę...”

– Tak mi przykro, Win. – Ujęła jego dłoń i ścisnęła. Odwzajemnił uścisk. –

Cieszę się, że mi powiedziałaś. Wiem, że nie było ci łatwo. Zauważyłam, że coś jest nie tak, ale nie byłam pewna, co to jest.

– Sokole oko.

Roześmiała się.

– Kiedyś podsłuchałam Wesa. Mówił koledze, że człowiek ma przechlapane, kiedy jego mama jest gliną.

– Zwłaszcza gdy jest chodzącym wykrywaczem kłamstw. – Też się uśmiechnął.

– Mam swoje problemy z powodu Billa.

I z powodu Wesa, pomyślała, lecz postanowiła jeszcze o tym nie mówić.

– Nie będziemy się spieszyć.

– Pośpiech nie jest wskazany – odrzekła.

Uścisnął jej przedramię, prostym, poufałym i właściwym gestem.

– Powinnam już jechać na zjazd Rodziny.

Odprowadziła go do tymczasowego biura, po czym pojechała do Point Lobos Inn.

Gdy tylko weszła do domku, zorientowała się jednak, że atmosfera się zmieniała.

Kinezyka była zupełnie inna niż poprzedniego dnia. Kobiety zdradzały oznaki zniecierpliwienia i podenerwowania. Zwróciła uwagę na miny i pozycje ciała świadczące o napięciu, niechęci, a nawet otwartej wrogości. Przesłuchania to długotrwały proces i nieraz się zdarzało, że po udanym dniu następował taki, który okazywał się całkowitą stratą czasu. Dance ogarnęło zniechęcenie. Oceniała, że przywrócenie kobietom stanu psychicznego, jaki pozwalałby na uzyskanie istotnych informacji, może potrwać długie godziny, jeśli nie dni.

Mimo to próbowała. Powtórzyła to, co czego się dowiedzieli o Jennie Marston, pytając, czy kiedykolwiek o niej słyszały. Nie słyszały. Dance usiłowała podjąć rozmowę przerwana poprzedniego dnia, ale dziś słyszała tylko same ogólniki i powierzchowne spostrzeżenia.

Linda, jak gdyby występując w imieniu wszystkich, oświadczyła:

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać. Chcę już wracać do domu.

Dance uważała, że i tak ich pomoc okazała się bezcenna: uratowały życie Reynoldsowi i jego rodzinie, wyjaśniły modus operandi Pella, a także, co ważniejsze, ujawniły jego zamiar ucieczki na „szczyt góry”; dalsze śledztwo być może pozwoli zlokalizować to tajemnicze miejsce.

Dance chciała jednak, aby kobiety zostały do przesłuchania Theresy Croyton w nadziei, że coś, co dziewczyna powie, stanie się odskocznią dla ich wspomnień.

Nie chciała nic mówić o przyjeździe Theresy – ryzyko przecieku wiadomości było zbyt duże – ale na jej prośbę kobiety zgodziły się zaczekać jeszcze kilka godzin.

Gdy Dance wyszła, odprowadziła ją Rebecca. Stały pod markizą; mżyło.

Agentka spojrzała na nią pytająco. Czekala w napięciu, zastanawiając się, czy kobieta zamierza wygłosić kolejny wykład na temat jej niekompetencji.

Ale Rebecca miała jej co innego do powiedzenia.

– – Może to oczywiste, ale pomyślałam, że powinnam o czymś wspomnieć.

Sam nie uświadamia sobie, jak bardzo niebezpieczny jest Pell, a Linda uważa go za biedną, nierozumianą przez nikogo ofiarę złego dzieciństwa.

– Proszę mówić dalej.

– To, co wczoraj opowiadałyśmy o jego psychice i tak dalej, to wszystko prawda. Ale przeszłam mnóstwo terapii i wiem, jak łatwo jest skupić się na teorii i fachowym żargonie, a zapomnieć o człowieku, który się za tym kryje. Udało się pani dwa razy powstrzymać Pella przez zrobieniem tego, co chciał, i prawie go złapać. Czy on wie, jak się pani nazywa?

Przytaknęła.

– Sądzi pani, że chciałby tracić czas, żeby mnie wytropić?

– A jest pani na niego odporna? – spytała Rebecca, unosząc brew.

Uzyskała więc odpowiedź na swoje pytanie. Owszem, była odporna na jego wpływy. I dlatego była dla niego groźna. Zagrożenia należy eliminować...

– Mam przeczucie, że się boi. Jest pani dla niego naprawdę niebezpieczna i będzie chciał panią powstrzymać. A zwykle dobiera się do ludzi, grożąc ich rodzinie.

– Schemat – zauważyła Dance.

Rebecca skinęła głową.

– Przypuszczam, że ma pani rodzinę na półwyspie?

– Rodziców i dzieci.

– Dzieci są teraz z pani mężem?

– Jestem wdową.

- Och, przykro mi.
- Ale nie ma ich teraz w domu. Poza tym pilnuje ich policjant.
- To dobrze, ale na siebie też proszę uważać.
- Dziękuję... – Dance zajrzała do domku. Coś się wczoraj stało? Między wami?

Rebecca zaśmiała się.

– Chyba nie dałyśmy sobie rady z taką dawką przeszłości. Wyprałyśmy trochę brudów, które już dawno trzeba było wyprać. Ale nie jestem pewna, czy wszystkie byłyśmy tego samego zdania.

Rebecca wróciła do domku, zamykając za sobą drzwi na klucz. Dance zerknęła do wnętrza przez szparę w zasłonach. Linda czytała Biblię, Samantha patrzyła na swój telefon komórkowy, zapewne wymyślając dla męża jakieś kłamstwo o konferencji. Rebecca usiadła i zaczęła rysować w szkicowniku szerokimi, gniewnymi pociągnięciami ołówka.

Dziedzictwo Daniela Pella i jego Rodziny.

## **Rozdział 45**

Pół godziny po wyjeździe Kathryn Dance do domku zadzwonił jeden z zastępców szeryfa, aby sprawdzić sytuację.

– Wszystko w porządku – odparła Sam. Oprócz nabrzmiałej napięciem atmosfery, pomyślała.

Policjant polecił jej się upewnić, czy okna i drzwi są pozamykane. Sprawdziła i potwierdziła, że wszystko jest zabezpieczone.

Szczelnie zamknięte, zaplombowane. Ogarnęła ją złość na Daniela Pella, że znów je uwięził, wpakował do tej chatki.

– Dostaję już świra od siedzenia kołkiem – oznajmiła Rebecca. – Muszę się przejść.

– Och, chyba nie powinnaś. – Linda uniosła głowę. Sam zauważyła, że strona, na której była otwarta podniszczona Biblia, jest pokryta wieloma odciskami palców. Ciekawe, jaki fragment przynosi jej tyle pociechy. Żałowała, że sama nie może znaleźć spokoju ducha w czymś tak prostym.

Rebecca wzruszyła ramionami.

– Przejdę się tylko kawałek. – Pokazała w stronę parku Point Lobos.

– Naprawdę nie powinnaś – powtórzyła oschłym tonem Linda.

– Będę ostrożna. Włożę kalosze i dobrze się rozejrzę na ulicy. – Żart zabrzmiał martwo.

– To głupie, ale rób, jak chcesz.

– Słuchaj, przepraszam za wczoraj – powiedziała Rebecca. – Za dużo wypiałam.

– W porządku – odrzekła w roztargnieniu Linda, nie przerywając lektury.

– Zmokniesz – odezwała się Sam.

– Pójdę pod altankę. Chcę porysować. – Rebecca wzięła szkicownik i ołówki, włożyła skórzaną kurtkę i wyszła, narzucając kaptur. Sam zobaczyła, jak się ogląda, a w jej twarzy wyczytała żal za okrutne słowa wypowiedziane poprzedniego dnia. – Zamknij za mną.

Sam podeszła do drzwi, nałożyła łańcuch i przekreśliła dwa zamki. Przyglądała się idącej ścieżką kobiecie. Wolałaby, żeby Rebecca została.

Ale z zupełnie innych przyczyn niż obawa o jej bezpieczeństwo.

Została sama z Lindą.

Nie mogła już dłużej szukać wymówek.

Tak czy nie? Sam nadal toczyła wewnętrzny spór dręczący ją od dnia, w którym Kathryn Dance poprosiła ją, by przyjechała do Monterey pomóc w śledztwie.

Wracaj, Rebecca, pomyślała.

Nie, zostań tam, gdzie jesteś.

– Chyba nie powinna wychodzić – mruknęła Linda.

– Może powiemy strażnikom?

– A co to da? Jest dużą dziewczynką. – Grymas. – Tak by pewnie po wiedziała.

– To okropne, co mówiła o swoim ojcu – rzekła Samantha. – Nie miałam o niczym pojęcia.

Linda czytała dalej. Po chwili uniosła wzrok znad Biblii.

– Wiesz, że chcą go zabić.

– Co?

– Daniela. Nie dadzą mu szans.

Sam nie odpowiedziała. Wciąż miała nadzieję, że Rebecca wróci, i jednocześnie miała nadzieję, że nie.

Ze zdenerwowaniem w głosie Linda powiedziała:

– Przecież można go uratować. Jest dla niego jeszcze nadzieja. Ale chcą go zastrzelić bez ostrzeżenia. Pozbyć się go.

Oczywiście, że tak, pomyślała Sam. Co do jego zbawienia, nie знаła odpowiedzi.

– Ta Rebecca... Dokładnie taką ją pamiętam – burknęła Linda.

– Co czytasz? – spytała Sam.

– Będziesz wiedziała, jak podam ci rozdział i werset?

– Nie.

– Sama widzisz. – Linda wróciła do lektury świętej księgi, lecz znowu uniosła głowę. – Rebecca nie miała racji. To wcale nie było tak... że wszystkie oszukiwałyśmy same siebie.

Sam milczała. Dobra, powiedziała sobie. Mów. Już czas.

– Wiem, że co do jednej rzeczy nie miała racji – zaczęła.

– To znaczy?

Sam głęboko odetchnęła.

– Nie zawsze byłam myszką.

– Ach, to. Nie bierz tego tak serio. Nigdy nie powiedziałam, że byłaś.

– Raz mu się postawiłam. Powiedziałam mu nie. – Zaśmiała się krótko. –

Powinnam to sobie wydrukować na koszulce. „Powiedziałam nie Danielowi Pellowi”.

Linda zacisnęła usta. Próba rozładowania napięcia humorem spełzła na niczym.

Sam podeszła do telewizora i wyłączyła go. Usiadła w fotelu, pochylając się w jej stronę.

Linda nieufnym tonem powiedziała:

– Do czegoś zmierzasz. Widzę. Ale nie mam ochoty znowu dać się sponiewierać.

– To raczej ja chcę się sponiewierać.

– Co?

Kilka głębokich oddechów.

– Chodzi o ten raz, kiedy powiedziałam Danielowi nie.

– Sam...

– Wiesz, dlaczego tu przyjechałam?

Grymas.

– Żeby pomóc złapać złego zbiega. Żeby uratować komuś życie. Czułaś się winna. Chciałaś się wybrać na wycieczkę. Nie mam pojęcia. Sam. No więc dlaczego?

– Przyjechałam, bo Kathryn powiedziała, że tu będziesz, a ja chciałam się z tobą zobaczyć.

– Miałaś na to osiem lat. Dlaczego teraz?

– Myślałam już wcześniej, żeby cię odnaleźć. Raz prawie mi się udało. Ale nie potrafiłam. Potrzebowałam pretekstu, jakiegoś powodu.

– I musiałaś czekać, aż Daniel ucieknie z więzienia? O co ci chodzi? – Linda odłożyła otwartą Biblię. Samantha wpatrywała się w zrobione ołówkiem notatki na marginesach. Były gęste jak pszczoły zebrane w ulu.

– Pamiętasz, jak byłaś w szpitalu?

– Oczywiście – powiedziała cichym, ale spokojnym głosem. Uważnie przyglądała się Sam. Z nieufnością.

Wiosną przed morderstwem Croytonów Pell powiedział Sam, że poważnie myśli o schronieniu się na odludziu. Chciał jednak najpierw powiększyć rodzinę.

„Chcę mieć syna” – oznajmił z bezceremonialnością średniowiecznego króla, który postanowił spłodzić następcę tronu. Po miesiącu Linda zaszła w ciążę.

A miesiąc później poroniła. Brak ubezpieczenia skazał ich na kolejki w nędznym szpitalu w latynoskiej dzielnicy, z którego korzystali pracownicy rolni i nielegalni imigranci. Wdała się infekcja, która doprowadziła do hysteroktomii.

Linda była zdruzgotana; zawsze chciała mieć dzieci. Często mówiła Sam, że macierzyństwo jest jej przeznaczeniem, a pamiętając, jak źle wychowali ją rodzice, wiedziała, jak być matką doskonałą.

– Czemu teraz o tym przypominasz?

Sam wzięła kubek z letnią herbatą.

– Bo to nie ty miałaś być w ciąży. To miałam być ja.

– Ty?

Sam skinęła głową.

– Najpierw przyszedł do mnie.

– Naprawdę?

Sam poczuła piekące łzy napływające do oczu.

– Nie potrafiłam się na to zdobyć. Nie mogłam urodzić mu dziecka. Wtedy miałby nade mną kontrolę do końca życia. – Nie ma sensu dłużej tego ukrywać, pomyślała Sam. Patrząc w stolik, powiedziała: – Dlatego go okłamałam.

Powiedziałam, że nie jesteś pewna, czy chcesz zostać w Rodzinie. I że odkąd zjawiała się Rebecca, zastanawiasz się nad odejściem.

– Co?

– Wiem. – Otarła twarz. – Przepraszam. Przekonałam go, że jeżeli będzie miał z tobą dziecko, to

będzie dowód, jak bardzo chce, żebyś została.

Linda patrzyła na nią w zdumieniu. Potem rozejrzała się po pokoju, wzięła Biblię, machinalnie pocierając okładkę.

– A teraz w ogóle nie możesz mieć dzieci – ciągnęła Sam. – Przeze mnie.

Musiałam wybrać między tobą a mną i wybrałam siebie.

Linda utkwiała wzrok w brzydkim obrazie w ładnej ramie.

– Dlaczego teraz mi o tym mówisz?

– Może wyrzuty sumienia. Wstyd.

– Czyli wyznajesz mi to z własnego powodu?

– Nie, z powodu nas wszystkich...

– Nas?

– Zgoda, Rebecca to suka. – Słowo zabrzmiało obco w jej ustach. Nie pamiętała, kiedy użyła go ostatni raz. – Mówi, zanim zdąży pomyśleć. Ale miała rację, Lindo. Żadna z nas nie ma normalnego życia... Rebecca powinna mieć galerię, wyjść za mąż za jakiegoś seksownego malarza i latać po całym świecie.

Tymczasem zmienia starszych facetów jak rękawiczki – teraz już wiemy dlaczego.

Ty też powinnaś mieć prawdziwe życie, wyjść za mąż, adoptować dzieci, całą gromadkę, i rozpieszczać je, ile wlezie. A nie siedzieć w garkuchni i opiekować się dziećmi, których pod dwóch miesiącach już nigdy nie zobaczysz. Może powinnaś zadzwonić do rodziców... Nie, Lindo, trudno to nazwać bogatym życiem. Jesteś nieszczęśliwa. Dobrze wiesz, że tak jest. Chowasz się za tym. – Wskazała na Biblię. – A ja? – Zaśmiała się. – Ja schowałam się jeszcze lepiej.

Sam wstała i usiadła obok Lindy, która nieco się odsunęła.

– Teraz ta ucieczka, powrót Daniela... to szansa, żebyśmy wszystko naprawiły.

Znów jesteśmy razem! Wszystkie trzy w jednym domu. Możemy sobie nawzajem pomóc.

– A teraz?

Sam otarła oczy.

– Teraz?

– Masz dzieci? Nic nam nie powiedziałaś o swoim tajemniczym życiu.

Przytaknęła.

– Mam syna.

– Jak ma na imię?

– Na...

– Jak ma na imię?

Sam zawahała się przez chwilę.

– Peter.

– Ładny chłopiec?

– Lindo...

– Pytam, czy to ładny chłopiec.

– Lindo, wydaje ci się, że w Rodzinie nie było tak źle. I masz rację. Ale nie dzięki Danielowi. Dzięki nam. Udało się nam wypełnić luki w naszym życiu, o których mówiła Rebecca. Pomagałyśmy sobie nawzajem! Potem wszystko się rozpadło i wróciliśmy do punktu wyjścia. Ale znów możemy sobie pomóc! Jak prawdziwe siostry. – Sam pochyliła się i wzięła Biblię. – Wierzysz w to, prawda?

Uważasz, że nic nie zdarza się przypadkiem. A ja uważam, że było nam pisane się spotkać.



Dostałyśmy szansę, żeby naprawić swoje życie.

– Och, moje układa się doskonale – odparła spokojnie Linda, wyjmując Biblię z drżących palców Sam. – Swoje możesz zmieniać, jak tylko chcesz.

Daniel Pell zaparkował toyotę camry na pustym parkingu przy autostradzie numer 1, niedaleko Carmel River State Beach, przy tablicy ostrzegającej przed niebezpieczną wodą. Był sam w samochodzie.

Poczuł zapach perfum Jennie.

Wsuwając pistolet do kieszeni wiatrówki, wysiadł z samochodu.

Znowu te perfumy.

Zauważywszy na paznokciach krew Jennie Marston, splunął na palce i wytarł, lecz nie zdołał usunąć do końca jej śladów.

Pell ogarnął spojrzeniem łąki, lasy cyprysów, sosen i dębów oraz odsłonięte surowe granity i formacje skalne Carmel. W szarych wodach oceanu dokazywały foki, uchatki i wydry morskie. Nad wzburzoną powierzchnią wody przefrunęło sześć pelikanów w równiutkim szyku. Dwie mewy zażarcie walczyły o kawałek jedzenia wyrzucony na brzeg.

Z opuszczoną głową Pell wszedł między gęsto rosnące drzewa, kierując się na południe. Obok biegła ścieżka, ale nie odważył się z niej skorzystać, mimo że park wydawał się pusty; nie mógł ryzykować, że ktoś zobaczy go w drodze do celu: Point Lobos Inn.

Deszcz ustał, ale zasnuwające niebo chmury zapowiadały więcej mżawki.

Chłodne powietrze przesyciła woń sosen i eukaliptusów. Po dziesięciu minutach Pell dotarł do skupiska kilkunastu domków. Skulony obszedł hotel od tyłu i ruszył

inną trasą, przystając co jakiś czas, by zorientować się, gdzie jest, i sprawdzić, czy w pobliżu nie ma policji. W pewnym momencie zastygł, zaciskając dłoń na broni, ponieważ zobaczył zastępcę szeryfa, który zlustrował teren, po czym wrócił przed domek.

Spokojnie, powiedział do siebie. Teraz trzeba uważać. Nie spiesz się.

Przez pięć minut spacerował po pachnącym lesie, krążąc na tyłach hotelu.

Niecałe sto metrów dalej, niewidoczna dla gości w domkach i policjantów przed frontem, znajdowała się nieduża polana z altanką pośrodku. Na ławce pod daszkiem ktoś siedział.

Serce Pella zabiło z rzadką u niego gwałtownością.

Kobieta spoglądała w stronę oceanu. Szkicowała coś w bloku. Cokolwiek rysowała, na pewno było to dobre. Rebecca Sheffield miała talent. Przypomniał

sobie chłodny, bezchmurny dzień, kiedy poznali się przy plaży. Zerknęła na niego znad sztalug ustawionych niedaleko budki Rodziny na pchlim targu.

– Hej, chcesz, żebym ci zrobiła portret?

– Może. Ile?

– Nie zrujnuję cię. Siadaj.

Jeszcze raz się rozejrzał i nie zauważywszy nikogo, ruszył w stronę kobiety.

Zupełnie nie zdając sobie sprawy z jego obecności, całą uwagę skupiła na krajobrazie i ruchu ołówka na papierze.

Pell szybko pokonał dzielącą ich odległość. Przystanął za jej plecami.

– Cześć – szepnął.

Wydała stłumiony okrzyk, upuściła szkicownik i zerwała się z ławki, odwracając się do niego.

– Jezu.

Chwila ciszy.

Nagle na twarz Rebecki wypełził uśmiech. Zrobiła krok w jego stronę. Uderzył w nich silny podmuch wiatru, prawie zagłuszając jej słowa:

– Cholera, ale za tobą tęskniłam.

– Chodź, najdroższa – odrzekł, przyciągając ją do siebie.

#### **Rozdział 46**

Ukryli się między drzewami, więc nikt z motelu nie mógł ich dojrzeć.

– Wiedzą o Jennie – powiedziała Rebecca.

– Wiem. Widziałem w telewizji. – Skrzywił się. – Zostawiła coś w pokoju.

Namierzyli ją.

– Co teraz?

Wzruszył ramionami.

– Nie będzie już z nią kłopotu. – Spojrzał na ślady krwi na paznokciach. Znów pocałował Rebecę, przypominając sobie, że zawsze najbardziej na niego działała spośród dziewczyn w Rodzinie. Poczł rosący balon. Szepnął: – Najdroższa, gdybyś nie zadzwoniła, nie wiem, co by się stało.

Pell zostawił Rebecę wiadomość w poczcie głosowej w domu, podając jej nazwę motelu, w którym zatrzymali się z Jennie. Telefon do pokoju w Sea View, rzekomo od obsługi, w rzeczywistości był od Rebecki, która rozgorączkowanym szeptem poinformowała go, że jedzie do nich policja – Dance dzwoniła do kobiet z Rodziny z pytaniem, czy będą gotowe pomóc, gdyby Pell wziął zakładników. Na razie nie chciał, by Jennie dowiedziała się o Rebecę, więc wymyślił bajeczkę o sprzątaniu pokoju.

– Mieliśmy szczęście – powiedziała Rebecca, ścierając z twarzy warstwę wilgoci. Pell uznał, że wygląda świetnie. Jennie była niezła w łóżku, ale nie wymagała od niego zbyt wiele. Rebecca potrafiła nie dawać mu spokoju przez całą noc. Jennie potrzebowała seksu jako potwierdzenia samej siebie. Rebecca po prostu go potrzebowała. Czuł, jak bańka boleśnie powiększa się i nabrzmiwa.

– Jak moje dziewczynki radzą sobie ze stresem?

– Kłóć się i doprowadzają mnie do szału. Wydaje się, jakby nie upłynął ani jeden dzień. Jest dokładnie tak samo jak osiem lat temu. Tyle że Linda jest teraz nawiedzoną chrześcijanką, a Sam to już nie Sam. Zmieniła imię i nazwisko. No i ma biust.

– Naprawdę pomagają glinom?

– Och, pewnie. Próbowалаm trochę namieszać, ale nie mogłam prze sadzać.

– I o nic cię nie podejrzewają?

– Nie.

Pell znów ją pocałował.

– Nie masz sobie równych, maleńka. Dzięki tobie jestem wolny.

W jego ucieczce Jennie Marston była tylko pionkiem; to Rebecca wszystko zaplanowała. Po ostatecznym odrzuceniu wniosku apelacyjnego Pell zaczął myśleć o ucieczce. W Capitoli udało mu się kilka razy skorzystać z telefonu bez nadzoru strażników i porozmawiać z Rebecca. Przez pewien czas rozmyślała, jak wyrwać Pella z krat. Ale długo nie nadarzała się żadna okazja i dopiero niedawno Rebecca oznajmiła mu, że ma pewien pomysł.

Przeczytała o niewyjaśnionym morderstwie Roberta Herrona i uznała, że zrobi z Pella głównego podejrzanego, aby na czas procesu przeniesiono go do mniej strzeżonego zakładu. Rebecca znalazła

stary młotek, który został jej jeszcze z czasów Rodziny, i podrzuciła go do garażu jego ciotki w Bakersfield.

Pell przejrzał listy od fanów, szukając kandydatki na współniczkę. Wybrał

Jennie Marston, dziewczynę z południowej Kalifornii, cierpiącą na syndrom uwielbienia złych chłopców. Wydawała się cudownie zdesperowana i bezbronna.

Pell miał ograniczony dostęp do komputera, więc Rebecca założyła niewykrywalny adres e-mailowy i zaczęła pisać do Jennie, podszywając się pod Pella, aby zdobyć jej serce i opracować plan. Jedną z przyczyn, dla których wybór padł na Jennie, był

fakt, że mieszkała zaledwie godzinę drogi od Rebecki, która dzięki temu bez trudu mogła poznać szczegóły jej życia i stworzyć wrażenie, że Jennie i Pella łączy jakaś duchowa więź.

*Och, kochanie, mamy ze sobą tyle wspólnego, jakbyśmy byli dwiema stronami tej samej monety...*

Uwielbiała kardynały i kolibry, zieleń, meksykańskie jedzenie... W tym podłym świecie wystarczyło niewiele, by uczynić z kogoś takiego jak Jennie Marston swoją bratnią duszę.

Wreszcie Rebecca, udając Pella, przekonała Jennie, że nie jest winny morderstwa Croytonów i nakłoniła ją do pomocy w ucieczce. Po obejrzeniu aresztu w Salinas i sprawdzeniu rozkładu przyjazdów furgonetki kurierskiej do punktu You Mail It, Rebecca wpadła na pomysł użycia bomb benzynowych. Wysłała instrukcje: Jennie miała ukraść młotek i razem z fałszywym portfelem podrzucić w Salinas. Poinformowała ją także, jak zrobić bombę benzynową i gdzie kupić ognioodporne ubranie i torbę. Gdy Jennie wypełniła polecenia, Rebecca zamieściła wiadomość na forum „Zabójstwo”, że wszystko gotowe. Pell spytał:

– Kiedy dzwoniłem, odebrała Sam, prawda?

Pell zatelefonował do domku w Point Lobos Inn pół godziny wcześniej, podając się za zastępcę szeryfa pilnującego domku. Umówił się z Rebeccą, że gdyby odebrał ktoś inny, poprosi o sprawdzenie, czy wszystkie okna są zamknięte. Miał to być sygnał dla Rebecki, aby wyszła do altanki i czekała na niego.

– W ogóle się nie połąpała. Biedactwo, ciągle jest małą myszką. Nic nie rozumie.

– Chcę stąd jak najszybciej wyjechać, najdroższa. Jak tam z czasem?

– Już niedługo.

– Mam jej adres – rzekł Pell. – Dance.

– Ach, musisz o czymś wiedzieć. Jej dzieci nie ma w domu. Nie mówiła, gdzie są, ale w książce telefonicznej znalazłam Stuarta Dance’a – pewnie ojca albo brata.

Przypuszczam, że tam je ukryła. Pilnuje ich gliniarz. Dance nie ma męża.

– Wdowa, zgadza się?

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Ile dzieci mają lat?

– Nie wiem. To ważne?

– Nie. Jestem tylko ciekawy.

Rebecca odsunęła się i uważnie mu się przyjrzała.

– Jak na włóczęgę bez dokumentów, wyglądasz całkiem nieźle. Na prawdę. –

Otoczyła go ramionami. Bliskość jej ciała, skąpanego w zapachu sosen i intensywnej woni nadmorskiej roślinności, jeszcze bardziej podziałała na jego pobudzone zmysły. Objął ją w talii, przyciskając do siebie coraz mocniej.

Pocałował ją zachłannie, wsuwając język do jej ust.

– Daniel... nie teraz. Muszę wracać.

Ale Pell zdawał się jej nie słuchać. Pociągnął ją w głąb lasu, położył jej dłonie na ramionach i zaczął ją popychać w dół. Powstrzymała go gestem. Położyła na mokrej ziemi szkicownik, kartonową podkładkę do dołu, i na nim uklękła.

– Będą się zastanawiać, dlaczego mam mokre kolana.

Zaczęła rozpinać jego dzinsy.

Cała Rebecca. Zawsze myśli o wszystkim.

Wreszcie zadzwonił Michael O'Neil.

Ucieszyła się, słysząc jego głos, choć odezwał się chłodnym, oficjalnym tonem, z którego się domyśliła, że nie chce rozmawiać o ich sprzeczce. Wyczuła, że wciąż jest na nią zły. Co było zupełnie nie w jego stylu. Zmartwiła się, ale nie było czasu na roztrząsanie wzajemnych pretensji ze względu na wagę wiadomości, jaką miał

jej do przekazania.

– Dzwonili do mnie ze stanowej – rzekł O'Neil. – Jacyś turyści znaleźli torebkę i rzeczy osobiste na plaży w połowie drogi do Big Sur. Rzeczy Jennie Marston.

Ciała jeszcze nie ma, ale na piasku była krew. Kryminalistka znalazła też kamień ze śladami krwi, włosami i skórą głowy. Są na nim odciski palców Pella. Straż przybrzeżna wysłała na poszukiwania dwie łodzie. W torebce nie było nic istotnego. Dokumenty i karty kredytowe. Jeżeli trzymała tam te dziewięć tysięcy dwieście, to pieniądze ma już Pell.

Zabił ją...

Dance zamknęła oczy. Pell zobaczył zdjęcie dziewczyny w telewizji i dowiedział się, że została zidentyfikowana. Stała się niewygodna.

*Drugi podejrzany logarytmicznie zwiększa prawdopodobieństwo wykrycia i zatrzymania...*

– Przykro mi – powiedział O'Neil. Odgadł, co myśli – Dance nigdy by nie przypuszczała, że ujawnienie zdjęcia dziewczyny doprowadzi do jej śmierci.

Wydawało mi się, że to po prostu będzie kolejny ruch, który pomoże nam złapać tego strasznego człowieka, pomyślała Dance.

– To była słuszna decyzja – rzekł detektyw. – Musieliśmy to zrobić.

„Musieliśmy”, zauważyła. Nie użył drugiej osoby jak Overby.

– Kiedy to się stało?

– Ekipa ocenia, że mniej więcej godzinę temu. Przeszukujemy całą jedynekę i poprzeczne drogi, ale nie ma żadnych świadków.

– Dzięki, Michael.

Zamilkła, czekając, by powiedział coś jeszcze, coś o ich wcześniejszej rozmowie, coś o Kelloggu. Nieważne co, chciała po prostu, by dał jej okazję do poruszenia tego tematu. Lecz O'Neil dodał tylko:

– Zacząłem przygotowywać pogrzeb Juana. Dam ci znać o szczegółach.

– Dzięki.

– Cześć.

Trzask.

Zadzwoniła do Kellogga i Overby'ego, przekazując im najnowszą wiadomość.

Jej szef zastanawiał się, czy to dobra, czy zła nowina. W nadzorowanej przez niego sprawie

doszło do kolejnej śmierci, ale przynajmniej zginęło jedno z dwojga sprawców. Ton jego głosu sugerował, że w ogólnym rozrachunku prasa i opinia publiczna uznają to zdarzenie za sukces policji.

– Nie sądzisz, Kathryn?

Dance nie miała jednak okazji sformułować odpowiedzi, ponieważ właśnie w tym momencie zadzwonił do niej dyżurny z głównej recepcji, zawiadamiając ją o przyjeździe Theresy Croyton, Śpiącej Laleczki.

Dziewczyna wyglądała inaczej, niż Dance się spodziewała.

Theresa Croyton Bolling, ubrana w rozciągnięty dres, była wysoka i szczupła i miała włosy ciemnoblonde z rudawym połyskiem, które sięgały połowy pleców. W

jej lewym uchu tkwiły cztery metalowe ćwieczki, w prawym pięć. Na prawie każdym palcu miała srebrny pierścionek. Ładna twarz, bez makijażu, była wąska i blada.

Morton Walker wprowadził do gabinetu Dance dziewczynę i jej ciotkę, kręłą kobietę o krótko obciętych, siwych włosach. Mary Bolling była ponura i nieufna, a jej mina nie pozostawiała wątpliwości, że to ostatnie miejsce na ziemi, w jakim miała ochotę się znaleźć. Nastąpiła wymiana uścisków dłoni i powitań.

Dziewczyna zachowywała się swobodnie i życzliwie, choć nieco nerwowo; ciotka pozostawała sztywna.

Walker oczywiście miałby ochotę zostać – pragnął porozmawiać ze Śpiącą Laleczką na długo przed ucieczką Pella. Ale widocznie zawarto jakąś umowę, według której pisarz na razie miał się usunąć na drugi plan. Oznajmił, że gdyby ktoś go potrzebował, będzie w domu.

Dance wyraziła mu szczere podziękowanie.

– Do widzenia, panie Walker – powiedziała Theresa.

Pisarz przyjaznym skinieniem głowy pożegnał je – nastolatkę oraz kobietę, która próbowała go zastrzelić (spojrzała na niego takim wzrokiem, jak gdyby żałowała, że nie miała drugiej okazji). Walker po swoim zachichotał, podciągnął

opadające spodnie i wyszedł.

– Dziękuję, że przyjechałaś. Mogę ci mówić „Theresa”?

– Prawie wszyscy mówią mi „Tarę”.

– Zgodzi się pani, żebym porozmawiała z siostrzenicą w cztery oczy? – zwróciła się do ciotki Dance.

– W porządku. – Odpowiedzi udzieliła dziewczyna. Ciotka wyraźnie się wahała. – W porządku – powtórzyła bardziej stanowczo Theresa. Z cieniem irytacji. Podobnie jak wirtuozi ze swoich instrumentów, młodzi ludzie po trafiają wydobyć ze swoich głosów nieskończoną różnorodność tonów.

Dance zarezerwowała dla nich pokój w motelu niedaleko centrali CBI na jedno z fikcyjnych nazwisk wykorzystywanych dla chronionych przez biuro świadków.

TJ odprowadził ciotkę do biura Alberta Stemple’a, który miał ją zabrać do motelu i zaczekać tam z nią na Therese.

Kiedy zostały same, Dance wyszła z biurka i zamknęła drzwi. Nie wiedziała, czy dziewczyna ma jakieś ukryte wspomnienia i zna fakty, które mogą im pomóc odnaleźć Pella. Miała jednak zamiar spróbować do nich dotrzeć. Zadanie nie było łatwe. Mimo silnej osobowości, której dowodziła odważna wyprawa do Monterey, dziewczyna z pewnością będzie robić to, co każda siedemnastolatka w podobnej sytuacji: podświadomie wznosić bariery, by bronić się przed bolesnymi wspomnieniami.

Dance zdawała sobie sprawę, że niczego nie wskóra, dopóki nie zdoła skruszyć tych barier.

Podczas przesłuchań nie stosowała klasycznej hipnozy. Wiedziała jednak, że jeśli ktoś jest zrelaksowany i nie skupia się na zewnętrznych bodźcach, łatwiej przypomina sobie wydarzenia, o których nie pamiętałby w innych okolicznościach. Agentka zaprosiła Theresę na kanapę i zgasiła mocne górne światło, pozostawiając włączoną tylko żółtą lampę na stole.

– Wygodnie ci?

– Chyba tak. – Mimo to zaplotła dłonie, unosząc ramiona i uśmiechając się do Dance napiętymi ustami. Stres, zauważyła agentka.

– Pan Walker mówił, że chce mnie pani zapytać, co się stało tamtego wieczoru, kiedy zamordowano moich rodziców, brata i siostrę.

– Zgadza się. Wiem, że wtedy spałaś, ale...

– Co?

– Wiem, że spałaś w chwili morderstwa.

– Kto pani to powiedział?

– Tak podawała prasa... i policja.

– Nie, nie spałam.

Dance w zdumieniu zamrugła oczami.

– Nie?

Dziewczyna wyglądała na jeszcze bardziej zaskoczoną.

– No nie. Myślałam, że właśnie dlatego chce się pani ze mną spotkać.

#### **Rozdział 47**

Mów, Tarę. Dance czuła przyspieszone bicie swojego serca. Czyżby odnalazła ukryte drzwi prowadzące do rozwiązania zagadki planu Daniela Pella? Dziewczyna skubała ucho ozdobione pięcioma świeczkami, a czubek jej buta lekko się unosił, co świadczyło, że zgina palce u stóp. Stres...

– Wcześniej trochę spałam. Tak. Źle się czułam. Ale potem się zbudziłam. Coś mi się śniło. Nie pamiętam, ale chyba coś strasznego. Obudził mnie własny głos, jakbym jęknęła. Wie pani, jak to jest?

– Oczywiście.

– A może krzyknęłam. Tylko... – Umilkła, znów ściskając ucho.

– Nie jesteś pewna, czy to był twój głos, tak? Sądysz, że mógł należeć do kogoś innego?

Dziewczyna przełknęła ślinę. Myślała zapewne, że być może słyszała krzyk któregoś z umierających członków swojej rodziny. – Tak.

– Pamiętasz, która była godzina? – Dance przypominała sobie, że według oceny policji morderstwa dokonano między osiemnastą trzydzieści a dwudziestą.

Theresa nie była pewna. Przypuszczała, że około siódmej.

– Zostałaś w łóżku?

– Mhm.

– Słyszałaś potem coś jeszcze?

– Tak, głosy. Ale nie bardzo wyraźnie. Wie pani, byłam jeszcze zaspana, ale na pewno je słyszałam.

– Kto to był?

– Nie wiem, męskie głosy. Ale na pewno nie mojego ojca ani brata. Pamiętam.

– Tarę, mówiłaś wtedy komuś o tym?

– Tak. – Pokiwała głową. – Ale nikogo to nie interesowało.

Jak u licha Reynolds mógł nie zwrócić na to uwagi?

– Opowiedz mi o tym. Co słyszałaś?

– Parę rzeczy. Najpierw ktoś wspomniał o pieniądzach. Czterystu dolarach.

Dokładnie pamiętam.

W chwili aresztowania u Pella znaleziono więcej. Może razem z Newbergiem zajrzeli do portfela Croytona, głośno komentując jego zawartość. Albo w rzeczywistości któryś z nich powiedział „czterysta tysięcy”?

– Co jeszcze?

– Potem ktoś – mężczyzna, ale inny – powiedział coś o Kanadzie. A tamten zapytał o Quebec.

– Jak brzmiało to pytanie?

– Chciał tylko wiedzieć, co to jest Quebec.

Ktoś tego nie wiedział? Dance zastanawiała się, czy to Newberg – kobiety mówiły, że choć był geniuszem stolarstwa, elektroniki i komputerów, pod innymi względami miał ograniczone możliwości umysłowe – z powodu narkotyków.

Pojawił się więc wątek kanadyjski. Czyżby tam chciał się schronić Pell? O

wiele łatwiej przedostać się przez granicę na północy, niż uciekać na południe. No i było tam sporo gór.

Dance uśmiechnęła się i pochyliła w stronę dziewczyny.

– Mów dalej, Tarę. Świetnie ci idzie.

– Potem – ciągnęła Theresa – ktoś mówił o używanych samochodach. Jakiś inny mężczyzna. Miał niski głos. I mówił szybko.

Salony używanych samochodów były popularnym miejscem prania brudnych pieniędzy. Może rozmawiali o zdobyciu auta, którym chcieli uciec. W każdym razie poza Pellem i Newbergiem w domu był ktoś jeszcze. Trzecia osoba.

– Czy twój ojciec prowadził interesy w Kanadzie?

– Nie wiem. Dużo podróżował. Ale chyba nigdy nie wspominał o Kanadzie...

Nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu policja mnie wtedy o nic więcej nie pytała.

Ale Pell był już w więzieniu, więc to i tak nie miało znaczenia. Tylko że teraz uciekł... Odkąd pan Walker powie dział, że trzeba pani pomóc w znalezieniu mordercy, cały czas próbuję rozgryźć, o co w tym wszystkim chodziło. Może pani uda się coś zrozumieć.

– Mam nadzieję. Słyszałaś coś jeszcze?

– Nie, wtedy chyba znowu zasnęłam. A potem... – z trudem przełknęła ślinę –

...potem zobaczyłam kobietę w mundurze. Policjantkę. Kazała mi się ubrać... to wszystko.

Czterysta dolarów, myślała Dance, salon samochodowy, francuska prowincja Kanady.

I trzeci mężczyzna.

Czy Pell rzeczywiście postanowił przedostać się na północ? Powinna przynajmniej zadzwonić do departamentu bezpieczeństwa wewnętrznego i imigracji, aby mieli na oku przejścia graniczne z Kanadą.

Dance drążyła dalej, wypytyując dziewczynę o przebieg wypadków tragicznego wieczoru.

Ale jej wysiłki okazały się bezowocne. Theresa nie wiedziała nic więcej.

Czterysta dolarów... Kanada... Co to jest Quebec?... używane samochody... Czy wśród tych zagadek kryje się klucz do spisku Daniela Pella?

Nieoczekiwanie Dance pomyślała o własnej rodzinie: o sobie, Wesie i Maggie.

Coś zaczęło jej świtać. Jeszcze raz odtworzyła w pamięci fakty związane z morderstwem. Niemożliwe... jednak teoria stawała się coraz bardziej prawdopodobna, choć Dance nie spodobały się płynące z niej wnioski.

Niechętnie spytała:

– Tarę, mówiłaś, że była mniej więcej siódma, tak?

– Zdaje się.

– Gdzie twoja rodzina jadła posiłki?

– Gdzie? Zwykle w pokoju dziennym. Nie pozwalali nam korzystać z jadalni.

Była tylko na... wie pani, uroczyste okazje.

– Podczas kolacji oglądaliście telewizję?

– Tak. Często. W każdym razie ja, mój brat i siostra.

– Czy ten pokój był blisko twojej sypialni?

– Aha, zaraz na dole przy schodach. Skąd pani wie?

– Oglądaliście czasem „Va Banque”?

Zmarszczyła brwi.

– Tak.

– Tarę, zastanawiam się, czy przypadkiem nie słyszałaś głosów z teleturnieju.

Może ktoś wybrał kategorię „geografia” za czterysta dolarów. I wylosował

odpowiedź „francuskojęzyczna prowincja Kanady”. Czyli pytanie brzmiałoby „co to jest Quebec?”.

Dziewczyna milczała, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem.

– Nie – odparła stanowczo, kręcąc głową. – Nie, to na pewno nie było to.

– A ten głos, który mówił o używanych autach – to nie mogła być reklama?

Niski głos mówiący w szybkim tempie. Jak w reklamówkach samochodów.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się konsternacja. Chwilę potem zarumieniła się z gniewu. – Nie!

– Ale może? – spytała łagodnie Dance.

Theresa zamknęła oczy.

– Nie – powtórzyła szeptem. – Zresztą może i tak – dodała. – Sama nie wiem.

Zapewne dlatego Reynolds nie poszedł tropem zeznania dziewczynki. Też się domyślił, że mówiła o teleturnieju. Tajemniczym trzecim mężczyzną był

prowadzący program Alex Tribec albo aktor czytający tekst reklamy.

Ramiona Theresy opadły, przesuając się lekko do przodu. Ruch był bardzo subtelny, lecz Dance wyraźnie zauważyła niewerbalny sygnał smutku i poczucia porażki. Dziewczyna była pewna, że zapamiętała istotny szczegół, który pomoże złapać zabójcę jej rodziny. Teraz zdała sobie sprawę, że jej odważna decyzja o przyjeździe, wbrew woli ciotki... cały wysiłek okazał się daremny.

– Przykro mi... – Jej oczy zaszklily się łzami.

Kathryn Dance uśmiechnęła się.

– Nie martw się, Tarę. Nic się nie stało. – Podała jej chusteczkę.

– Nic? To okropne. Tak bardzo chciałam pomóc...

Znów się uśmiechnęła.

– Och, Tarę, wierz mi, dopiero się rozkręcamy.

Na seminariach Dance opowiadała historię mieszcucha, który zatrzymał się w pewnej wiosce,



aby zapytać rolnika o drogę. Przyjezdny spojrzął na psa siedzącego u stóp mężczyzny i spytał: „Czy pański pies gryzie?”. Rolnik odparł, że nie, a gdy przybysz pochylił się, by pogłaskać psa, ten ugryzł go w rękę. Mężczyzna odskoczył jak oparzony, krzycząc ze złością: „Mówił pan, że pies nie gryzie!”.

Rolnik odrzekł: „Mój nie. A ten nie jest mój”.

Sztuka prowadzenia przesłuchań nie polega tylko na analizie odpowiedzi, języka ciała i zachowania przesłuchiwanego; polega także na zadawaniu właściwych pytań.

Fakty związane z morderstwem Croytonów i każda chwila po tragedii zostały udokumentowane przez policję i dziennikarzy. Kathryn Dance postanowiła zatem zbadać czas, o który nikt dotąd nie pytał: przed morderstwem.

– Tarę, chciałabym wiedzieć, co się działo wcześniej.

– Wcześniej?

– Tak. Zacznijmy od początku tamtego dnia.

Theresa zmarszczyła brwi.

– Och, niewiele pamiętam. Bo to, co się stało wieczorem, jakby wy pchnęło resztę.

– Spróbuj. Cofnij się myślami do tego dnia. To był maj. Byłaś wtedy w szkole, prawda?

– Tak.

– Jaki był dzień tygodnia?

– Hm, piątek.

– Szybko sobie przypomniłaś.

– Och, bo w piątki tato zwykle zabierał nas w różne miejsca. W tam ten piątek chcieliśmy pojechać na karuzele do Santa Cruz. Tylko że wszystko się posypało, bo zachorowałam. – Theresa zamyśliła się, ocierając oczy. – Mieliśmy jechać ja, Brenda i Steve – moja siostra i brat – a mama zostałyby w domu, bo w sobotę szła na jakąś imprezę charytatywną czy coś i musiała się przygotować.

– Jednak plany się zmieniły?

– Tak. Byliśmy już w drodze, ale... – spuściła oczy. – Zrobiło mi się niedobrze.

W samochodzie. No i wróciliśmy do domu.

– Co to było? Przeziębienie?

– Grypa żołądkowa. – Theresa skrzywiła się, dotykając brzucha.

– Och, nie cierpię tego.

– Fakt, paskudna rzecz.

– I o której wróciliście do domu?

– Chyba wpół do szóstej.

– Poszłaś prosto do łóżka.

– Tak, zgadza się. – Spojrzała przez okno na skręcone sosny.

– A potem się obudziłaś, słysząc głosy z teleturnieju.

Dziewczyna owinęła na palcu kosmyk rudawych włosów.

– Quebec. – Skrzywiła się w niewesołym uśmiechu.

W tym momencie Kathryn Dance przestała zadawać pytania. Musiała podjąć decyzję. Ważną.

Ponieważ nie miała wątpliwości, że Theresa kłamie.

Podczas swobodnej rozmowy na początku i potem, gdy dziewczyna mówiła o dobiegających z telewizji głosach, jej zachowanie niewerbalne wskazywało, że Theresa jest rozluźniona i otwarta, choć wyraźnie przeżywała stres – takiego stanu doświadcza każdy, kto rozmawia z prowadzącym

śledztwo funkcjonariuszem policji, nawet niewinna ofiara.

Kiedy jednak zaczęła opowiadać o wycieczce na promenadę w Santa Cruz, robiła pauzy, zasłaniała część twarzy i ucho gesty negacji – i spoglądała przez okno, co było oznaką niechęci. Starła się zachowywać spokojnie i swobodnie, ale odczuwany przez nią stres sygnalizowało potrząsanie stopą. Dance dostrzegła typowe oznaki stresu wynikającego z mówienia nieprawdy i uznała, że dziewczyna jest w stanie zaprzeczenia.

Wszystko, co mówiła Theresa, było prawdopodobnie zgodne z faktami, które Dance mogła zweryfikować. Lecz fałsz to nie tylko bezpośrednie kłamstwo, ale także unikanie i przemilczanie prawdy. Theresa coś ukrywała.

– Tarę, w drodze do Santa Cruz zdenerwowałaś się z jakiegoś powodu, prawda?

– Zdenerwowałam? Nie. Naprawdę. Przysięgam.

Trzy w jednym: dwa wyrażenia świadczące o zaprzeczeniu i odpowiadanie pytaniem na pytanie. Dziewczyna była zarumieniona i znów potrząsała stopą – zestaw wyraźnych sygnałów reakcji stresowej.

– Śmiało, powiedz mi. Nie masz się czego obawiać. Powiedz.

– No wie pani, moi rodzice, mój brat i siostra... Wszyscy zginęli. Kto byłby spokojny w takiej sytuacji? – W jej głosie zabrzmiała nutka gniewu.

Dance ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Pytam, co się działo wcześniej. Wyjeżdżacie z Carmel do Santa Cruz. Źle się czujesz. Wracacie do domu. Co zaszło podczas jazdy, że tak się tym przejęłaś?

– Nie wiem. Nie pamiętam. To było tak dawno.

Takie słowa wypowiedziane przez osobę w stanie zaprzeczenia oznaczają: pamiętam doskonale, ale nie chcę o tym myśleć. To zbyt bolesne wspomnienie.

– Jedziecie i...

– Chciałam... – zaczęła Theresa, lecz zamilkła. I nagle pochyliła się, zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem. Potokowi łez towarzyszyło spazmatyczne łkanie.

– Tarę. – Dance wstała i podała jej garść chusteczek. Dziewczyna płakała cicho, a jej szloch przypominał czkawkę.

– Już dobrze – mówiła współczującym tonem agentka, delikatnie ściskając jej ramię. – To się stało dawno. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

– Chciałam... – Dziewczyna była jak sparaliżowana. Dance widziała, że próbuje podjąć decyzję. Jaką? Albo wszystko z siebie wyrzuci, al bo zupełnie się zablokuje

– a wówczas przesłuchanie nieodwołalnie się skończy.

W końcu Theresa wykrztusiła:

– Chciałam to komuś powiedzieć. Ale nie mogłam. Ani terapeutom, ani przyjaciółkom, ani ciotce... – Znów zanosła się płaczem. Siedziała ze spuszczoną głową, zgarbiona, trzymając dłonie na kolanach, gdy nie ocierała twarzy z łez.

Podręcznikowe oznaki świadczące o tym, że stan emocjonalny Theresy Croyton przeszedł w fazę akceptacji. Postanowiła zrzucić okropny ciężar, z którym dotąd żyła. Zbliżała się chwila wyznania.

– To moja wina. To moja wina, że nie żyją!

Przycisnęła głowę do oparcia kanapy. Miała mocno zaczerwienioną twarz, napięte ścięgna szyi, ślady łez na bluzie dresu.

– Brenda, Steve, mama i tato... wszystko przeze mnie!

- Bo zachorowałam?
- Nie! Bo udawałam, że się źle czuję!
- Opowiedz, co się stało.

– Nie chciałam jechać na promenadę. Nie znosiłam jej. Nie cierpiałam!

Mogłam tylko udawać, że jestem chora. Przypomniałam sobie o tych modelkach, które wkładają sobie palec do gardła i wymiotują, żeby nie tyć. Kiedy jechaliśmy autostradą, zrobiłam to, gdy nikt nie widział. Zwymiotowałam na tylnym siedzeniu i powiedziałam, że mam grypę żołądkową. To było obrzydliwe, wszyscy się wściekali, a tato za wrócił i pojechał do domu.

A więc o to chodziło. Biedna dziewczyna była przekonana, że jej rodzinę zamordowano z powodu jej kłamstwa. Żyła z tym strasznym brzemieniem osiem lat.

Prawda wyszła na jaw. Ale jeszcze co najmniej jedna pozostała w ukryciu. Tę Kathryn Dance także chciała wydobyć na światło dzienne.

- Powiedz, Tarę, dlaczego nie chciałaś jechać na molo?
- Bo nie chciałam. Nie bawiło mnie to.

Przyznanie się do jednego kłamstwa nie prowadzi automatycznie do wyznania wszystkich. Dziewczyna znów schowała się za murem zaprzeczenia.

- Dlaczego? Możesz mi powiedzieć. Słucham.
- Nie wiem. Po prostu mnie to nie bawiło.
- Dlaczego?

– Tato zawsze był zajęty. Zostawiał nam tylko pieniądze i mówił, że przyjedzie po nas później. Potem zniknął, do kogoś dzwonił i tak dalej. Było nudno.

Znów zaczęła poruszać stopą, machinalnie ściskając kolczyki w prawym uchu według schematu: górny, dolny i trzy środkowe. Stres ją obezwładniał.

Ale nie tylko sygnały kinezyczne informowały Kathryn Dance o tym, że dziewczyna nie mówi prawdy. Dzieci – nawet siedemnastoletnia uczennica szkoły średniej – stanowią często trudny obiekt analizy. Większość przesłuchujących, gdy ma do czynienia z nieletnim, skupia się na treści wypowiedzi, oceniając jej prawdę lub fałsz na podstawie tego, co mówią, zamiast jak mówią.

To, co mówiła Theresa, zdaniem Dance nie miało sensu – z punktu widzenia logiki oraz wiedzy agentki na temat dzieci i miejsca, o którym rozmawiały. Wes i Maggie uwielbiali Santa Cruz i skakaliby z radości, gdyby mieli okazję spędzić tam kilka godzin sami, mając pełną kieszeń pieniędzy. Na dzieci czekało tam mnóstwo atrakcji: karuzele, jedzenie, muzyka, gry.

Dance zwróciła uwagę na jeszcze jedną sprzeczność: dlaczego Theresa przed wyjazdem w piątek nie powiedziała po prostu, że chce zostać w domu z matką, pozwalając ojcu i rodzeństwu wybrać się bez niej? Jak gdyby chciała, aby oni także nie jechali do Santa Cruz.

Dance zastanawiała się nad tym przez chwilę.

Od punktu A do B...

– Tarę, mówiłaś, że twój ojciec pracował i telefonował, kiedy razem z bratem i siostrą szliście na karuzele?

Spuściła wzrok.

– Chyba tak.

– Skąd mógł dzwonić?

– Nie wiem. Miał telefon komórkowy. Wtedy niewielu ludzi je miało. Ale on tak.

– Czy kiedykolwiek się tam z kimś spotykał?

– Nie wiem. Może.

– Tarę, kim byli ludzie, których tam widywał?

Wzruszyła ramionami.

– Były wśród nich kobiety?

– Nie.

– Na pewno?

Theresa milczała, rozglądając się po pokoju i unikając wzroku Dance. Wreszcie powiedziała:

– Może. Tak... parę.

– I myślałaś, że mogą być jego dziewczynami?

Skinęła głową. W oczach znów zalśniły łzy. Zaciskając zęby, zaczęła: I... Co, Tarę?

– Mówił, że kiedy wrócimy do domu i mama będzie nas pytać, mieliśmy jej mówić, że cały czas był z nami. Bo denerwowałaby się, że pracuje, zamiast się bawić. – Znów się zarumieniła.

Dance przypomniała sobie sugestię Reynoldsa, że Croyton był kobieciarzem.

Z drżących ust dziewczyny wyrwał się pełen gorzkości śmiech.

– Widziałam go. Miałyśmy być z Brendą na promenadzie, ale poszłyśmy na lody po drugiej stronie Beach Street. I tam go zobaczyłam. Jakaś kobieta wsiadała do jego samochodu. Całował ją. Zresztą nie była tylko ta jedna. Później zobaczyłam go z inną, jak szedł do jej mieszkania czy domu obok plaży. Dlatego nie chciałam, żeby tam jechał. Chciałam, że by wrócił do domu i był z mamą i z nami. Nie chciałam, żeby był z kimś innym. – Otarła twarz. – Dlatego skłamałam –

dodała z prostotą. – Udawałam, że jestem chora.

A więc spotykał się w Santa Cruz z kochankami – w dodatku zabierał tam własne dzieci, żeby rozwiać podejrzenia żony. Przychodził po nie dopiero wtedy, gdy skończył się zabawiać z panienką.

– I cała moja rodzina zginęła. Przeze mnie.

Dance przysunęła się do niej i z przekonaniem w głosie powiedziała cicho:

– Nie, Tarę. To w ogóle nie twoja wina. Jesteśmy prawie pewni, że Daniel Pell zamierzał zabić twojego ojca. To nie był przypadek. Gdyby przyszedł wtedy wieczorem i nie zastałby was w domu, wróciłby jeszcze raz.

Dziewczyna milczała przez chwilę.

– Tak?

Dance nie wiedziała, czy rzeczywiście tak było, ale za nic nie mogła dopuścić, by dziewczyna dalej dźwigała to straszne brzemię winy. – Tak. Słowa pociechy uspokoiły Theresę.

– To głupie – powiedziała z zakłopotaniem. – Okropnie głupie. Przyjechałam, żeby pomóc pani go złapać. I nie zrobiłam nic, a w dodatku zachowałam się jak dziecko.

– Och, idzie nam świetnie – zapewniła ją Dance, a w jej głosie pojawiła się żywsza nutka, jak gdyby właśnie uświadomiła sobie coś ważnego.

– Naprawdę?

Tak... właśnie przyszło mi do głowy kilka pytań. Mam nadzieję, że jesteś gotowa. W tym momencie żołądek Dance wydał znaczący i stosowny do chwili odgłos. Obie się roześmiały, a agentka dodała: – Pod warunkiem, że w najbliższej przyszłości czeka nas frappuccino i co najmniej dwa ciastka.

Theresa otarła oczy.

– Może być.

Dance zadzwoniła do Reya Carranea, zlecając mu zadanie sprowadzenia posiłków ze Starbucksa.

Następnie połączyła się z TJ-em i powiedziała mu, żeby nie ruszał się z biura; przypuszczała, że nastąpi zmiana planów.

Od punktu A i B do X...

## **Rozdział 48**

Z samochodu zaparkowanego przy drodze niedaleko Point Lobos Inn, poza zasięgiem wzroku strażników, Daniel Pell wpatrywał się w przestrzeń między cyprysami.

– Szybciej – mruknął.

Zaledwie kilka sekund później ukazała się Rebecca, biegnąca przez zarośla z plecakiem. Wskoczyła do samochodu i mocno pocałowała Pella. Po chwili się wyprostowała.

– Parszywa pogoda – powiedziała, rozpromieniła się w uśmiechu i znów go pocałowała.

– Nikt cię nie widział?

Śmiech.

– Wyszłam przez okno. Myślałam, że się wcześniej położyłam.

Wrzucił bieg i wyjechali na autostradę.

Był to ostatni wieczór Daniela Pella na półwyspie Monterey – i w pewnym sensie ostatni na ziemi. Potem zamierzali ukraść następny samochód – terenowy albo pikapa – i wyruszyć na północ krętymi, coraz węższymi i coraz bardziej nierównymi drogami północnej Kalifornii, aż do należącego do Pella szczytu góry.

Miał zostać królem góry, królem Rodziny, nieodpowiadającym przed nikim, z dala od wszystkich intruzów. Nikt nie będzie mógł podważyć jego władzy nad tuzinem, dwoma tuzinami młodych ludzi zwabionych tam przez Szczurołapa.

Raj...

Ale najpierw należało wykonać jeszcze jedno zadanie. Musiał mieć pewność, że nic nie zagraża jego przyszłości.

Pell podał Rebecce mapę okręgu Monterey. Otworzyła złożoną kartkę i przeczytała nazwę ulicy i numer domu, sprawdzając je na mapie. To niedaleko. Za piętnaście minut powinniśmy być na miejscu.

Wyjrawszy przez frontowe okno domu, Edie Dance zobaczyła policyjny radiowóz.

Była wdzięczna córce, że tak się o nich troszczy. Mając świadomość, że w okolicy krąży zbiegły z więzienia morderca, na widok funkcjonariuszy poczuła się bezpieczniej.

Mimo to jej myśli nie zaprzętał Daniel Pell, lecz Juan Millar.

Edie była zmęczona (stare kości zaczynały odmawiać posłuszeństwa) i cieszyła się, że nie wzięła dziś nadgodzin – każda pielęgniarka zawsze mogła skorzystać z dodatkowego dyżuru. Nie tylko śmierć i podatki stanowiły nieodłączne elementy życia; trzecim była potrzeba opieki zdrowotnej i Edie Dance mogła pracować jak długo chciała i gdziekolwiek chciała. Nie rozumiała męża, który nad życie ludzkie przedkładał życie morskie. Nic nie sprawiało jej większej satysfakcji niż niesienie ludziom pomocy, pocieszanie ich, uśmierzanie ich bólu.

*Zabijcie mnie...*

Niedługo Stuart miał przywieźć dzieci. Edie kochała swoje wnuki i naprawdę bardzo lubiła ich towarzystwo. Zdawała sobie sprawę, jakie to szczęście, że ma Katie tak blisko; dzieci wielu jej znajomych mieszkały setki, a nawet tysiące kilometrów od rodziców.

Tak, cieszyła się, że Wes i Maggie zostaną na jakiś czas u niej; ucieszyłaby się jednak jeszcze bardziej, gdyby ten straszny człowiek został aresztowany i trafił z powrotem za kratki. Zmartwiła się,

gdy Katie postanowiła zostać agentką CBI –

Stu wydawał się natomiast zadowolony z decyzji córki, co jeszcze bardziej irytowało jego żonę. Edie Dance nigdy nie namawiała by żadnej kobiety do rezygnacji z pracy zawodowej – sama całe życie pracowała – ale na Boga, żeby nosić broń i łapać morderców i handlarzy narkotyków?

Edie nigdy nie mówiła tego głośno, ale marzyła skrycie, by córka poznała innego mężczyznę, wyszła drugi raz za mąż i rzuciła pracę w policji. Katie była kiedyś świetną konsultantką przy selekcji przysięgłych. Dlaczego nie miałyby do tego wrócić? Poza tym razem z Martine Christensen prowadziły tę fantastyczną stronę internetową, która nawet przynosiła skromne zyski. Gdyby zajęły się tym poważniej, kto wie, jaki mogłyby odnieść sukces.

Edie szczerze kochała swojego zięcia. Bill Swenson był uroczym i zabawnym człowiekiem, wspaniałym ojcem. Gdy zginął w wypadku, bardzo to przeżyła. Ale tragedia zdarzyła się przed kilku laty. Przyszedł czas, by córka ułożyła sobie życie na nowo.

Szkoda, że Michael O’Neil nie był do wzięcia; tworzyliby z Katie świetnie dobraną parę (Edie nie mogła zrozumieć, dlaczego u licha związał się z tą primadonną Annę, która traktowała dzieci jak zabawki i bardziej niż o dom troszczyła się o swoją galerię). Ten agent FBI, który przyszedł na urodziny Stu, Winston Kellogg, też wydawał się sympatyczny. Przypominał jej Billa. Był jeszcze Brian Gunderson, z którym Katie ostatnio się umawiała.

Nigdy się nie obawiała, że córka okaże brak rozsądku przy wyborze partnera.

Miała tylko podobny kłopot jak Edie przy grze w golfa – nie potrafiła dobrze wykończyć zagrania. Edie знаła także przyczynę tej sytuacji. Katie powiedziała jej o niezadowoleniu Wesa z powodu faktu, że mama umawia się na randki. W ciągu długich lat pracy Edie była pielęgniarką na oddziałach pediatrycznych i dla dorosłych. Widziała, jak sprytnie dzieci potrafią rządzić rodzicami i jak nimi manipulują, nawet podświadomie. Jej córka musiała jakoś rozwiązać ten problem.

Ale po prostu nie miała ochoty. Wolą taktykę uników...

Rola Edie nie pozwalała jej jednak porozmawiać o tym z chłopcem otwarcie.

Dziadkowie mogą do woli cieszyć się towarzystwem wnuków, ale ceną za ten przywilej jest zrzeczenie się prawa do interwencji rodzicielskich. Edie powiedziała Katie, co o tym myśli, a córka przyznając jej rację, najwyraźniej zlekceważyła jej rady, zrywając z Brianem i...

Kobieta przechyliła głowę.

Z ogrodu dobiegł jakiś hałas.

Sprawdziła, czy przyjechał Stu. Nie, pod wiatą nie było jego samochodu, tylko jej toyota prius. Wyglądając przez okno od frontu, przekonała się, że policjant wciąż jest na posterunku.

Znów usłyszała ten sam odgłos. Jak stukot kamieni.

Edie i Stu mieszkali przy Ocean Avenue, na długim wzgórzu, którego zbocze łączyło centrum miasta z Carmel Beach. Ogrody za domem przypominały stopnie szerokich schodów osłoniętych skalnymi ścianami. Gdy ktoś szedł wąską ścieżką prowadzącą do ogrodu sąsiadów, czasem strącał odrobinę żwiru, który osypywał

się po kamiennym stoku. Tak właśnie zabrzmiał tajemniczy dźwięk.

Edie otworzyła drzwi z tyłu i wyszła na taras. Nikogo nie widziała i nic nie słyszała. Pewnie kot albo pies. Nie powinny swobodnie biegać po mieście: w Carmel obowiązywały surowe przepisy dotyczące zwierząt domowych. Ale z drugiej strony miasto było przyjazne dla zwierząt (do hotelu, którego właścicielką była aktorka Doris Day, każdy gość mógł przyjechać ze swoim pupilem), i po okolicy wałęsało się kilka kotów i psów.

Zamknęła drzwi i słysząc zatrzymujący się na podjeździe samochód Stu, zapomniała o hałasie. Podeszła do lodówki poszukać czegoś do jedzenia dla dzieci.

Zakończenie przesłuchania Śpiącej Laleczki okazało się intrygujące.

Dance zadzwoniła ze swojego gabinetu do motelu, gdzie ulokowano dziewczynę z ciotką pod opieką ponadstukilogramowego agenta CBI, uzbrojonego w dwa wielkie pistolety. Albert Stemple zameldował, że wszystko w porządku, dodając:

– Dziewczyna jest sympatyczna. Polubiłem ją. Ciotkę mogłabyś raczej zabrać.

Dance przeczytała notatki z przesłuchania. Raz i drugi. Wreszcie zadzwoniła do TJ-a.

– Twój dzin czeka na rozkazy, szefowo.

– Przynies mi wszystko co mamy o Pellu.

– Cały majdan? Cokolwiek to znaczy?

– Cały.

Dance wstała i zaczęła przeglądać przypięte do ściany notatki Jamesa Reynoldsa, gdy trzy minuty później do gabinetu wpadł zziębnięty TJ. Widocznie ton jej głosu sugerował, że sprawa jest bardzo pilna.

Wzięła przyniesione przez niego dokumenty i rozłożyła na biurku. Błat przysłoniła gruba warstwa papierów – w krótkim czasie zgromadzili zdumiewającą ilość materiałów. Zaczęła je przeglądać.

– Dziewczyna powiedziała coś ważnego?

– Aha – odparła w roztargnieniu, wpatrując się w jedną kartkę.

TJ dodał coś jeszcze, ale nie zwracała na niego uwagi. Przerzucała kolejne raporty, kolejne strony odręcznych notatek, spoglądając na sporządzony przez Reynoldsa chronologiczny opis wydarzeń i zapisy przesłuchań.

Wreszcie powiedziała:

– Mam pytanie związane z komputerami. Znasz się na nich. Sprawdź mi to. –

Zakreśliła kilka słów na kartce.

Spojrzał na nie.

– A po co?

– Coś mi tu śmierdzi.

– To chyba nowy termin informatyczny, bo nigdy go nie słyszałem. Ale już się biorę do roboty, szefowo. Działamy całą dobę.

– Mamy problem.

Dance mówiła do Charlesa Overby'ego, Winstona Kellogga i TJ-a. Byli w gabinecie szefa CBI, który bawił się piłką golfową z brązu umieszczoną na drewnianym stojaku, przypominającą dźwignię zmiany biegów w samochodzie sportowym. Dance żałowała, że nie ma z nimi Michaela O'Neila.

Ujawniła sensacyjną wiadomość.

– Rebecca Sheffield współpracuje z Pellem.

– Co? – wyrzucił z siebie Overby.

– Jest jeszcze lepiej. Wydaje mi się, że to ona stoi za planem ucieczki.

Szef z niedowierzaniem kręcił głową, wstrząśnięty jej hipotezą, zastanawiając się zapewne, czy nie wyraził zgody na coś, na co nie powinien pozwolić.

Ale Winston Kellogg zachęcił ją:

– Ciekawe. Mów.

– Theresa Croyton powiedziała mi parę rzeczy, które wydały mi się podejrzane.

Zacząłam więc przeglądać dowody. Pamiętacie e-mail znaleziony w pokoju w Sea View? Rzekomo Pell wysłał go do Jennie z więzienia. Ale popatrzcie na to. –

Pokazała wydruk. – Adres wskazuje na więzienie Capitola. Ale w domenie jest „com”. Gdyby adres faktycznie należał do departamentu więziennictwa, byłoby „gov”.

Kellogg skrzywił się.

– Do diabła, masz rację. Zupełnie nie zwróciliśmy na to uwagi.

– TJ właśnie sprawdził ten adres.

Młody agent wyjaśnił:

– To dostawca Internetu z Seattle. Pozwala utworzyć własną domenę, o ile nazwa nie jest używana przez nikogo innego. Konto jest anonimowe. Ale pracujemy nad nakazem, żebyśmy mogli przejrzeć archiwa.

– Anonimowe? To dlaczego sądzisz, że to Rebecca? – zapytał Overby.

– Spójrzcie na treść. Ten fragment. „Czegóż więcej można pragnąć od dziewczyny?”. Charakterystyczne. Utkwiło mi w pamięci, bo przypomina fragment ze starej piosenki Gershwina.

– Dlaczego to takie istotne?

– Bo Rebecca użyła dokładnie takiego samego zwrotu, kiedy się po znałyśmy.

– Mimo to... – mruknął Overby.

Ciągnęła, nie mając ochoty wdawać się w utarczki z szefem.

– Przyjrzyjmy się teraz faktom. Jennie ukradła thunderbirda z restauracji w Los Angeles w piątek, a pokój w Sea View zamówiła w sobotę. Z billingu telefonu i danych kart kredytowych wynika, że cały ostatni tydzień spędziła w okręgu Orange. Ale kobieta, która sprawdzała rozkład firmy kurierskiej w punkcie You Mail It obok sądu, była tam w środę. Wysłaliśmy faksem nakaz wystawcom kart kredytowych Rebecki. Okazuje się, że we wtorek poleciała z San Diego do Monterey i wróciła w czwartek. Wypożyczyła tu samochód.

No dobrze – ustąpił Overby.

Przypuszczam, że telefonując z Capitoli, Pell nie rozmawiał z Jennie, ale z Rebeccą. Musiał jej podać nazwisko Jennie i jej adres, zwykły i e-mailowy. Resztą zajęła się Rebecca. Wybrali Jennie, bo mieszkała niedaleko Rebecki, w każdym razie na tyle blisko, żeby móc ją dokładnie sprawdzić.

– Czyli wie, gdzie jest Pell i co chce zrobić – dodał Kellogg.

– Na pewno.

– Trzeba ją zgarnąć – rzekł Overby. – Będziesz mogła użyć swoich czarów, Kathryn.

– Chcę ją aresztować, ale zanim ją przesłucham, potrzebuję pewnych informacji. Muszę porozmawiać z Walkerem.

– Tym pisarzem?

Przytaknęła. Zwracając się do Kellogga, spytała:

– Możesz przywieźć Rebeccę?

– Jasne, jeżeli załatwisz mi wsparcie.

Overby powiedział, że zadzwoni do biura szeryfa z prośbą, by do pomocy Kelloggowi wysłali jeszcze jednego funkcjonariusza do Point Lobos Inn.

Zaskoczył Dance uwagą, o której wcześniej nie pomyślała: nie mieli powodu przypuszczać, aby Rebecca była uzbrojona, ale skoro przyleciała z San Diego i nie przechodziła przez bramkę kontrolną, mogła mieć przy sobie broń.



– Dobrze, Charles – powiedziała Dance i dała znak TJ-owi. – Chodźmy pogadać z Walkerem. Dance i młody agent byli w drodze do domu pisarza, gdy zadzwonił jej telefon.

Halo?

Rozgorączkowanym głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała, Winston Kellogg powiedział:

– Kathryn, ona zniknęła.

– Rebecca?

– Tak!

– A tamte dwie?

– Nic im nie jest. Linda twierdzi, że Rebecca źle się czuła i poszła się położyć.

Nie chciała, żeby jej przeszkadzać. Okno w jej sypialni jest otwarte, ale samochód został na parkingu CBI.

– Czyli Pell po nią przyjechał?

– Na to wygląda.

Kiedy to się stało?

– Położyła się godzinę temu. Dziewczyny nie wiedzą, kiedy się wyknęła.

Gdyby chcieli skrzywdzić pozostałe kobiety, Rebecca zrobiłaby to sama albo wpuściła Pella przez okno. Dance uznała, że nie grozi im bezpośrednio niebezpieczeństwo, zwłaszcza że hotelu pilnowali zastępcy szeryfa.

– Gdzie teraz jesteś? – spytała Kellogga.

– Wracam do CBI. Przypuszczam, że Pell i Rebecca będą próbowali dać nogę.

Pogadam z Michaelem o postawieniu blokad na drogach.

Gdy zakończyli rozmowę, Dance zadzwoniła do Mortona Walkera.

– Halo? – odezwał się pisarz.

– Tu Kathryn. Posłuchaj, Rebecca jest z Pellem.

– Co? Porwał ją?

– Nie, działają razem. To ona zaplanowała ucieczkę.

– Nie!

– Prawdopodobnie chcą wyjechać z miasta, ale może ci grozić niebezpieczeństwo.

– Mnie?

– Pozamykaj drzwi. Nikogo nie wpuszczaj. Jedziemy do ciebie. Będziemy za pięć minut.

Droga trwała jednak prawie dziesięć minut, mimo że TJ prowadził samochód agresywnie (twierdził, że „asertywnie”); ulice były zatłoczone autami turystów ściągających do miasta przed weekendem. Agenci z piskiem opon zatrzymali się przed domem i podeszli do drzwi. Dance zapukała. Walker po chwili otworzył.

Spoglądając ponad nimi, uważnie rozejrzał się po ulicy. Agenci weszli do środka.

Walker zamknął drzwi. Bezradnie opuścił ramiona.

– Przepraszam. – Głos mu się załamał. – Powiedział mi, że jeżeli zdradzę coś przez telefon, zabije całą moją rodzinę. Naprawdę bardzo was przepraszam.

Stojący za drzwiami Daniel Pell dotknął jej głowy lufą pistoletu.

## **Rozdział 49**

O to moja przyjaciółka. Bawiła się ze mną w kotka i myszkę. Ale myszka nie dała jej szans, choć kotek nazywa się Kathryn Dance.

– Kiedy zadzwoniłaś, wyświetlił się twój numer – ciągnął Walker.

Musiąłem mu powiedzieć kto to. Kazał mi skłamać, że wszystko w porządku.

Naprawdę nie chciałem. Ale moje dzieci...

– Nie przejmuj... – zaczęła.

– Cii, panie pisarzu i pani przesłuchiawczko. Cicho sza.

W sypialni po lewej Dance zobaczyła całą rodzinę Walkera leżącą twarzami do podłogi, z rękami na głowach. Jego żonę Joan i dwoje dzieci – nastoletniego Erica i młodszą, pulchną Sonję. Na łóżku siedziała Rebecca z nożem w dłoni. Spojrzała na Dance obojętnie, bez cienia emocji.

Dance wiedziała, iż rodzina jeszcze żyje tylko dlatego, że grożąc im, Pell miał Walkera pod pełną kontrolą.

Schematy...

– Chodź tu, kochanie, pomóż mi.

Rebecca zsunęła się z łóżka i podeszła do nich.

– Zabierz im broń i telefony. – Pell przycisnął pistolet do ucha Dance. a Rebecca ją rozbroiła.

Następnie Pell kazał agentce skuć się kajdanami.

Spełniła polecenie.

– Za luźno. – Zacisnął bransoletki mocniej, wywołując na twarzy Dance grymas bólu.

To samo zrobili z TJ-em, po czym pchnęli oboje na kanapę.

– Uważaj – mruknął TJ.

Posłuchaj mnie – zwrócił się do Dance Pell. Słuchasz? – Tak. Ktoś jeszcze ma się tu zjawić?

– Do nikogo nie dzwoniłam.

– Nie o to pytałem. Taka mistrzyni przesłuchań jak ty powinna to wiedzieć. –

Był wcieleniem niezmaconego spokoju.

– O ile wiem, nie. Przyjechałam zadać Mortonowi kilka pytań.

Pell położył telefony na stoliku.

– Jeżeli ktoś do ciebie zadzwoni, masz powiedzieć, że wszystko jest w porządku. I że wrócisz do biura za jakąś godzinę. Ale teraz siedź cicho. Czy to jasne? Bo jeżeli nie, wybiorę sobie dzieciaczka i...

– Jasne – powiedziała.

– Teraz niech nikt nie odzywa się ani słowem. Mamy...

– To niezbyt rozsądne – wtrącił TJ.

Nie, błagała go bezgłośnie Dance. Bądź mu posłuszny! Nie wolno się sprzeciwiać Danielowi Pellowi.

Pell podszedł do niego i jak gdyby od niechcienia dźgnął go lufą w szyję.

– Co powiedziałem?

Nonszalancki ton młodego człowieka natychmiast zniknął.

– Żeby się nie odzywać ani słowem.

– Ale ty się odezwałeś. Po co? Postąpiłeś bardzo, bardzo głupio.

Zabije go, pomyślała Dance. Nie, proszę...

– Pell, posłuchaj...

– Ty też gadasz. – Morderca skierował broń w jej stronę.

– Przepraszam – szepnął TJ.

– Jeszcze jedno słowo. – Pell zwrócił się do Dance. – Mam kilka pytań do ciebie i twojego małego przyjaciela. Ale za chwilę. Siedźcie grzecznie i przyglądajcie się rodzinnemu szczęściu.

Wracaj do roboty – powiedział do Walkera.

Pisarz podjął czynność najwidoczniej przerwana przez wejście Dance i TJ-a; wrzucał do kominka papiery – prawdopodobnie wszystkie notatki i materiały zebrane do książki.

Patrząc w płomienie, Pell rzucił mimochodem:

– Jeżeli coś zostawisz i to znajdę, odetnę palce twojej żonie. Potem zabiorę się do dzieci. I przestań płakać. Miej trochę godności. Powinieneś się choć trochę kontrolować.

Minęło kilka minut pełnej napięcia ciszy, podczas których Walker szukał papierów i ciskał je w ogień.

Dance wiedziała, że kiedy skończy, a Pell usłyszy od niej i TJ-a to, co chciał wiedzieć, wszyscy zginą.

Żona Walkera zawołała przez łyż:

– Proszę nas zostawić w spokoju, błagam... wszystko... zrobię wszystko...

Dance zerknęła do sypialni, gdzie Joan leżała obok Sonji i Erica. Dziewczynka żałośnie łkała.

– Cicho tam, pani pisarzowo.

Dance spojrzała na zegarek, częściowo przysłonięty kajdankami. Wyobraziła sobie, co teraz robią jej dzieci. Myśl o nich była jednak zbyt bolesna, więc Dance siłą odsunęła ją od siebie, skupiając uwagę na tym, co się działo w pokoju.

Co mogła zrobić?

Targować się z nim? Ale żeby się z kimś targować, trzeba mieć coś cennego, co druga osoba pragnie mieć.

Stawić opór? Do tego trzeba mieć broń.

– Dlaczego pan to robi? – jęknął Walker, gdy ostatnia kartka trafiła w płomienie.

– Sza!

Pell wstał i pogrzebaczem rozgarnął notatki, by wszystkie równo się paliły.

Otrzeptał ręce i pokazał im pokryte sadzą palce.

– Czuję się jak w domu. Zdejmowali mi odciski palców chyba z pięćdziesiąt razy. Zawsze umiem rozpoznać nowych techników. Kiedy przykładają ci palce do karty, drżą im ręce. No dobrze. – Odwrócił się do Dance. – Z twojego telefonu do pana pisarza rozumiem, że już rozgryźliście Rebecę. O tym właśnie muszę z wami porozmawiać. Co o nas wiecie? I kto jeszcze wie? Musimy dobrze zaplanować nasz kolejny ruch. Powinnaś wiedzieć, agentko Dance, że nie tylko ty umiesz rozpoznać kłamcę z pięćdziesięciu kroków. Ja też to potrafię. Oboje mamy ten wrodzony dar.

Nieważne, czy powie prawdę, czy skłamię. I tak już nie żyli.

– Och, zapomniałem powiedzieć, że Rebecca znalazła dla mnie jeszcze jeden adres. Domu Stuarta Dance'a.

Dance poczuła się, jakby wymierzono jej policzek. Z trudem opanowała mdłości. Jej twarz i pierś oblała fala piekącego gorąca.

– Ty sukinsynu – krzyknął z wściekłością TJ.

Jeżeli powiesz mi prawdę, mamusi, tatusiowi i dzieciaczkom nic się nie stanie.

Miałem rację co do twoich milusińskich, prawda? Przy naszej pierwszej pogawędce. I co do męża. Rebecca mówiła, że jesteś biedną wdową. Tak mi przykro. W każdym razie założę się, że dzieciaczki są teraz u dziadków.

W tym momencie Kathryn Dance podjęła decyzję.

Stawiała wszystko na jedną kartę i w innych okolicznościach uznałaby to za karkołomne, jeśli nie

nierozwiązywalne zadanie. Teraz, choć musiała liczyć się z tym, że skutki tak czy inaczej będą tragiczne, nie widziała innego wyjścia.

Nie miała broni – z wyjątkiem słów i własnej intuicji. Od punktu A i B do X...

Musiały jej wystarczyć.

Dance poruszyła się na kanapie, by zwrócić się twarzą do Pella.

– Nie jest pan ciekawy, po co tu przyjechaliśmy?

– To jest pytanie. Nie chciałem pytać. Chciałem usłyszeć odpowiedź.

Trzeba mu dawać odczuć, że cały czas panuje nad sytuacją – dewizą Daniela Pella była absolutna kontrola.

– Proszę mi pozwolić dokończyć. Naprawdę chcę odpowiedzieć na pytanie.

Proszę.

Pell przyjrzał się jej spod zmarszczonych brwi.

– Niech się pan zastanowi. Dlaczego tak bardzo się spieszyliśmy?

W innych warunkach, gdyby było to zwykłe przesłuchanie, zwróciłaby się do niego po imieniu. Mógłby to jednak zinterpretować jako próbę dominacji, a Daniel Pell musiał być przekonany, że on tu rządzi.

Skrzywił się zniecierpliwiony.

– Do rzeczy.

Rebecca posłała jej gniewne spojrzenie.

– Gra na zwłokę. Jedźmy już, kochanie.

– Bo musiałam ostrzec Mortona... – zaczęła Dance.

– Kończmy z tym i zabierajmy się stąd – szepnęła Rebecca. – Jezu, tracimy tylko...

– Zaczekaj, najdroższa. – Błękitne oczy Pella zwróciły się w stronę Dance, lustrując ją badawczo jak podczas przesłuchania w Salinas. Miała wrażenie, jak gdyby od poniedziałku upłynęły całe lata.

– Chciałaś go ostrzec przede mną. Co z tego?

– Nie. Chciałam go ostrzec przed Rebecca.

– O czym ty mówisz?

Patrząc mu prosto w oczy, Dance odrzekła:

– Chciałam go ostrzec, że zamierza pana wykorzystać, żeby go za bić. Tak samo jak wykorzystała pana w domu Williama Croytona osiem lat temu.

## **Rozdział 50**

Dance dostrzegła błysk w nieziemsko jasnych oczach Daniela Pella.

Dotknęła czułego punktu króla kontroli. Wykorzystała pana...

– To jakaś bzdura – warknęła Rebecca.

– Prawdopodobnie – wycedził Pell. Dance zwróciła uwagę na brak kategoryczności tego potwierdzenia.

Agentka ostrożnie przesunęła się w jego stronę. Zwykle sądzimy, że osoby będące bliżej nas mówią prawdę, a odchylające się w przeciwnym kierunku próbują nas wprowadzić w błąd.

– Wrobiła cię, Danielu. Chcesz wiedzieć dlaczego? Żebyś zabił żonę Williama Croytona.

Przecząco kręcił głową, lecz chłonał każde słowo.

– Rebecca była kochanką Croytona. A kiedy jego żona nie zgodziła się na rozwód, postanowiła wykorzystać ciebie i Jimmy'ego Newberga, żebyście ją zabili.

Rebecca zaśmiała się chrapliwie.

– Pamiętasz Śpiącą Laleczkę, Danielu? – spytała Dance. – Theresę Croyton?

Dance zastosowała sztukę wykorzystywaną przez przesłuchujących i zaczęła zwracać się do niego po imieniu, dając mu do zrozumienia, że sprzymierza się z nim przeciw wspólnemu wrogowi.

Pell milczał. Przelotnie spojrział na Rebecę, po czym przeniósł wzrok z powrotem na agentkę, która ciągnęła:

– Właśnie z nią rozmawiałam.

Na twarzy Rebecki odmalował się szok. – Co?

– Odbyliśmy długą rozmowę. Dowiedziałam się wielu rzeczy.

Rebecca próbowała ochłonać.

– Daniel, przecież ona w ogóle z nią nie rozmawiała. Błefuje, żeby uratować tyłek.

Ale Dance spytała:

– Czy tego wieczoru, kiedy włamaliście się z Newbergiem do domu Croytonów, był włączony telewizor i nadawali „Va Banque”? Theresa mówiła, że tak. Kto inny mógłby o tym wiedzieć?

*Co to jest Quebec?...*

Morderca patrzył na nią w zdumieniu. Dance widziała, że udało się jej skupić na sobie całą jego uwagę.

– Theresa opowiedziała mi o romansach swojego ojca. Zostawiał dzieci na promenadzie w Santa Cruz i spotykał się z kochankami. Kiedyś Croyton zauważył

Rebecę, która rysowała tam portrety, i ją pode rwał. Nawiązali romans. Chciała, żeby się rozwiódł, ale twierdził, że nie może z powodu żony. A więc Rebecca postanowiła ją zabić.

– Och, to idiotyczne! – krzyknęła wściekle Rebecca. – Ona w ogóle nie wie, co mówi.

Dance zauważyła jednak, że udaje gniew. Dłonie i stopy kobiety zdradzały subtelne, lecz wyraźne oznaki stresu. Dance nie miała wątpliwości, że jest na właściwym tropie.

Utkwiła w Pellu spokojne spojrzenie.

– Na promenadzie... Rebecca musiała coś o tobie słyszeć, nie sądzisz, Danielu?

Rodzina chodziła tam na pchli targ sprzedawać różne rzeczy i kraść. Sekta przestępców... narobiliście sporo zamieszania. Nazywali was cyganami. Zrobiło się o was głośno. A Rebecca potrzebowała kozła ofiarnego, mordercę. Linda powiedziała mi, że poznaliście się na promenadzie. Sądzisz, że ją uwiodłeś? Nie, było wręcz odwrotnie.

Rebecca, panując nad głosem, powiedziała:

– Zamknij się! Ona kłamie, Da...

– Cicho! – wrzasnął Pell.

– Kiedy przyjąłeś ją do swojego klanu? Niedługo przed morderstwem Croytonów. Parę miesięcy? – ciągnęła nieubłaganie Dance. – Rebecca sama wprosiła się do Rodziny. Nie wydawało ci się to trochę nie spodziewane? Nie zastanawiałeś się dlaczego? Była inna niż pozostali. Linda, Samantha i Jimmy byli dziećmi. Robili, co im kazałeś. A Rebecca? Nie, była niezależna, agresywna.

Dance przypomniała sobie uwagi Winstona Kellogga na temat przywódców sekt.

*Kobiety potrafią być równie skuteczne i bezwzględne jak mężczyźni. Często bywają bardziej przebiegłe...*

Kiedy znalazła się w Rodzinie, od razu się zorientowała, że może wykorzystać też Jimmy'ego Newberga. Wmówiła mu, że Croyton trzyma w domu coś cennego i zasugerowała, żebyście się tam włamali i to ukradli. Mam rację? Widziała, że ma.

– Ale Rebecca ułożyła z Jimmym drugi plan. Po wejściu do domu Croytonów Jimmy miał zabić

żonę Croytona, a potem ciebie. Po twojej śmierci razem z Rebeccą mogli przejąć władzę w Rodzinie. Oczywiście ona zamierzała wydać Jimmy'ego policji – może nawet go zabić. William Croyton miał się z nią ożenić, po stosownym okresie żałoby.

– Kochanie, nie. To wszystko...

Pell rzucił się naprzód, chwycił Rebeccę za krótkie włosy i przyciągnął do siebie.

– Nie waż się odzywać ani słowem. Niech mówi dalej!

Jęcząc z bólu, skuliła się i osunęła na podłogę.

Korzystając z chwili nieuwagi Pella, Dance pochwyciła wzrok TJ-a, który niedostrzegalnie skinął głową.

– Rebecca sądziła, że w domu będzie tylko żona Croytona – ciągnęła agentka. –

Ale była cała rodzina, bo Theresa symulowała, że jest chora. Cokolwiek się tam wydarzyło – tylko ty wiesz co. Danielu – cokolwiek się wydarzyło, wszyscy zginęli.

Kiedy zadzwoniłeś do Rodziny, żeby powiedzieć, co się stało, Rebecca zrobiła jedyną rzecz, która mogła ją ocalić: wydała cię policji. Aresztowano cię po jej telefonie.

– Bzdura – odparowała Rebecca. – Przecież to ja wyciągnęłam go z więzienia!

Dance parsknęła szyderczym śmiechem. Zwracając się do Pella, powiedziała:

– Bo znów musiała cię wykorzystać, Danielu. Żebyś zabił Mortona. Kilka miesięcy temu zadzwonił do niej i powiedział o swojej książce, „Śpiącej laleczce”.

Chciał opisać życie Croytonów przed morderstwem i życie Teresy po nich.

Dowiedział się o romansach Croytona. Pozo stawało tylko kwestią czasu, kiedy ktoś połączy jedno z drugim i domyśli się, że to ona uknuła morderstwo żony Croytona.

Dlatego Rebecca ułożyła plan wyciągnięcia cię z Capitoli. – Dance popatrzyła na Pella spod zmarszczonych brwi. – Nie wiem tylko, jak cię przekonała, żebyś zamordował Mortona. – Obrzuciła gniewnym spojrzeniem Rebeccę, jak gdyby to, co zrobiła jej przyjacielowi Danielowi Pellowi, do głębi ją wzburzyło. – No, jakie kłamstwo tym razem wymyśliłaś?

– Powiedziałaś mi prawdę czy nie? krzyknął do Rebecki Pell. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Pell chwycił Walkera, który skulił się z przerażenia. – Twoja książka! Co chciałeś o mnie napisać?

– Nie miała być o panu, tylko o Theresie, Croytonach i dziewczynach z Rodziny. To wszystko. Chciałem pisać o ofiarach, nie o panu.

Pell popchnął go na podłogę.

– Nie, nie! Chciałeś napisać o mojej ziemi!

– Ziemi?

– Tak!

– O czym pan mówi?

– O mojej ziemi, mojej górze. Dowiedziałeś się, gdzie jest, zamierzałeś o tym napisać w książce!

Ach, Dance wreszcie zrozumiała. Ukochana góra Pella. Rebecca przekonała go, że jedyny sposób, aby utrzymać ją w tajemnicy, to zabić Mortona Walkera i zniszczyć jego notatki.

– Nic o niej nie wiem, przysięgam. – Pell uważnie przyjrzał się pisarzowi.

Dance widziała, że mu uwierzył.

– Gdybyś zabił Mortona i jego rodzinę, wiesz, co miałyby się potem stać, Danielu? Rebecca zamordowałaby ciebie. I twierdziłaby, że porwał cię z hotelu.

Dance zaśmiała się ze smutkiem.

– Och, Danielu, ależ cię wykorzystała... To ona od początku była Szczurołapem, to ona pociągała

za sznurki, a ty byłeś jej marionetką.

Słyszając te słowa, Pell osłupiał ze zdumienia. A potem unosząc broń, rzucił się w kierunku Rebecki, przewracając stolik.

Kobieta w pierwszej chwili się skuliła, ale nagle też skoczyła do ataku, wymachując nożem, którego ostrze ugodziło ramię Pella. Usiłowała dosięgnąć jego pistoletu. Rozległ się huk i pocisk odłupał kawałek jasnoczerwonej cegły w kominku.

Dance i TJ błyskawicznie zerwali się na nogi.

Agent kopnął Rebeccę w zębra i złapał Pella za rękę, w której morderca trzymał pistolet. Mocując się i próbując uzyskać kontrolę nad bronią, upadli na podłogę.

– Dzwon pod dziewięćset jedenaście! – krzyknęła Dance do Walkera, który zaczął rozpaczliwie szukać telefonu. Agentka ruszyła w stronę leżących na stoliku pistoletów, powtarzając w myślach: Sprawdź tło, wy celuj, naciśnij spust trzy razy, licz strzały, przy dwunastym wyrzucić magazynek, przeładuj. Sprawdź tło...

Krzyk żony Walkera, łkanie jego córki.

– Kathryn! krzyknął bez tchu TJ. Zobaczyła, jak Pell kieruje broń w jej stronę.

Pistolet wypalił.

Dance padła na ziemię. Kula śmignęła obok.

TJ był młody i silny, ale jego ręce wciąż krępowały kajdanki, a Pell czerpał energię z desperacji i przyływu adrenaliny. Wolną ręką uderzył TJ-a w szyję i głowę. Wreszcie morderca wyrwał broń i zdołał się wyswobodzić, a agent rzucił

się pod stół, szukając osłony.

Dance dalej parła naprzód, wiedziała jednak, że nie zdąży złapać pistoletu. TJ już nie żył...

Nagle powietrze rozdarł potężny huk.

I drugi.

Dance upadła na kolana, oglądając się za siebie.

Morton Walker chwycił jeden z pistoletów i zaczął strzelać do Pella. Wyraźnie nie umiając obchodzić się z bronią, za mocno szarpał spust i pociski chybiły. Mimo to nie ustępował, strzelając dalej.

– Ty sukinsynu!

Daremnie usiłując się zasłonić rękami, Pell przykucnął, zawahał się przez chwilę, strzelił Rebecce w brzuch, po czym szarpnął drzwi i wybiegł z domu.

Dance odebrała broń Walkerowi, złapała drugi pistolet i wsunęła w skute rękę TJ-a.

Agenci doskoczyli do uchylonych drzwi w chwili, gdy pocisk trafił w futrynę, osypując ich odłamkami tynku. Odskoczyli, przypadając do podłogi. Dance wygrzebała z kieszeni kluczyk i zdjęła kajdanki. TJ zrobił to samo.

Ostrożnie wyjrzeli na pustą ulicę. Po chwili usłyszeli pisk opon gwałtownie ruszającego samochodu.

Dance zawołała przez ramię do Walkera:

– Rebecca nie może umrzeć! Jest nam potrzebna!

Pobiegła do samochodu i zerwała mikrofon z deski rozdzielczej. Wyśliznął się z jej rozdygotanych dłoni. Wzięła głęboki oddech, opanowała drżenie i połączyła się z biurem szeryfa Monterey.

## Rozdział 51

Gniew pozbawia człowieka kontroli. Ale wyjeżdżając z Monterey, Daniel Pell nie potrafił powstrzymać złości, gdy odtwarzał w pamięci to, co się właśnie stało.

Słyszał słowa Kathryn Dance, widział twarz Rebecki.

Odtwarzał w pamięci także zdarzenia sprzed ośmiu lat.

Jimmy Newberg, cholerny maniak komputerowy, ćpun, powiedział mu, że ma poufne informacje o Williamie Croytonie – dzięki programiście, którego biznesmen zwolnił pół roku wcześniej. Udało mu się poznać kod alarmu w domu Croytona i zdobyć klucz do tylnych drzwi (choć Pell już wiedział, skąd je miał –

oczywiście od Rebecki). Jimmy twierdził, że ekscentryczny Croyton trzyma w domu ogromną gotówkę.

Pell nigdy nie zdecydowałby się na robotę dużego kalibru, nie obrabowałby banku ani punktu realizacji czeków. Mimo to potrzebował pieniędzy, aby powiększyć Rodzinę i wyprowadzić się na swoją górę. Trafiła się niepowtarzalna szansa na włamanie życia. Według słów Jimmy'ego dom miał być pusty, nie trzeba by więc nikogo zabijać. Mieli wynieść sto tysięcy dolarów, a Croyton złożyłby rutynowe zgłoszenie na policji i zadzwonił do firmy ubezpieczeniowej, po czym zapomniałby o całej sprawie.

Tak jak się domyśliła Kathryn Dance.

Zakradli się do ogrodu i przez bujną zieleń dotarli do domu. Pell zobaczył

zapalone światła, ale Jimmy uspokoił go, że ze względów bezpieczeństwa co jakiś czas włączają się automatycznie. Wśliznęli się przez tylne wejście.

Ale coś było nie tak. Alarm był wyłączony. Pell odwrócił się do Jimmy'ego, chcąc go ostrzec, że jednak ktoś jest w domu, ale młody człowiek bez słowa pobiegł do kuchni.

I podszedł do kobiety w średnim wieku, która gotowała kolację, odwrócona do nich plecami. Nie!, pomyślał zszokowany Pell. Co on wyprawia?

Okazało się, że Jimmy zamierzają zamordować.

Przez papierowy ręcznik Jimmy wyciągnął z kieszeni nóż do mięsa – Pell zorientował się, że to nóż z domu Rodziny, z odciskami jego palców – i zasłaniając kobiecie usta, wbił go głęboko w jej ciało. Bezwładnie upadła na podłogę.

Rozwścieczony Pell szepnął:

– Co ty wyprawiasz, do cholery?

Newberg odwrócił się i zawahał, lecz jego twarz wyraźnie sygnalizowała, co się święci. Gdy Jimmy zaatakował, Pell zdążył zrobić unik. Udało mu się uskoczyć przed ostrzem. Złapał patelnię i trzasnął nią Newberga w głowę. Jimmy zwałił się na podłogę, a Pell zabił go nożem rzeźnickim porwanym z blatu.

Chwilę później, zaalarmowany hałasem, do kuchni wpadł William Croyton, a za nim dwójka jego starszych dzieci, które widząc leżące na podłodze ciało matki, zaczęły przeraźliwie krzyczeć. Pell wyciągnął broń i zmusił rozhisteryzowaną rodzinę, by weszła do spiżarni. Kiedy wreszcie zdołał uspokoić Croytona, zapytał

go o pieniądze i biznesmen odrzekł, że są w biurku w gabinecie na parterze.

Daniel Pell przyglądał się szlochającej z przerażenia rodzinie jak gdyby patrzył

na chwasty w ogrodzie, stado wron albo robactwo. Nie zamierzał nikogo dzisiaj zabijać, lecz jeśli chciał utrzymać kontrolę nad własnym życiem, nie miał innego wyboru. Dwie minuty później już



nie żyli.

Pell wytarł wszystkie odciski palców, zabrał Jimmy'emu nóż i dokumenty, potem pobiegł do gabinetu, gdzie z zaskoczeniem przekonał się, że istotnie w biurku były pieniądze, ale tylko tysiąc dolarów. Szybko przeszukał sypialnię na parterze, ale znalazł tylko garść drobnych i sztuczną biżuterię. Nie wchodził na górę, gdzie spała najmłodsza córeczka. (I dobrze, że tam nie zajrzał; paradoks polegał na tym, że gdyby zabił małą, nigdy by się nie dowiedział o zdradzie Rebecki).

I – rzeczywiście – słysząc dźwięki „Va Banque” z telewizora w pokoju obok, biegiem wrócił do kuchni po portfel biznesmena i duży pierścionek z brylantem należący do jego żony.

Potem wskoczył do samochodu. A kilometr dalej zatrzymała go policja.

Rebecca...

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie przy promenadzie w Santa Cruz – „przypadkowe”, choć najprawdopodobniej zaaranżowane przez nią.

Pell uwielbiał promenadę. Fascynowały go wesołe miasteczka, łatwość, z jaką ludzie oddawali kontrolę nad sobą w ręce innych, albo ryzykując własne zdrowie, gdy wsiadali do kolejki górskiej czy skakali ze spadochronem, albo zmieniając się w bezmyślne szczury laboratoryjne i jeżdżąc w kółko na diabelskich młynach i karuzelach...

Przypomniawszy sobie Rebecę, która siedząc przed dziewięć laty temu obok słynnej stuletniej karuzeli Looffa, przywołała go gestem.

– Hej, chcesz, żebym ci zrobiła portret?

– Może. Ile?

– Nie zrujnuję cię. Siadaj.

A pięć minut później, nakreśliwszy zaledwie zarysy jego twarzy, odłożyła kawałek węgla, przyjrzała mu się i spytała prowokacyjnym tonem, czy zna jakieś bardziej ustronne miejsce. Weszli do furgonetki pod badawczym spojrzeniem Lindy Whitfield, która obserwowała ich z poważną miną. Pell ledwie ją zauważył.

Po pięciu minutach namiętych pocałunków i pieszczot, odsunęła się od niego.

– Zaczekaj...

O co chodzi?, zdziwił się. Tryper? AIDS?

– Muszę... – wykrztusiła, łapiąc oddech – ...muszę ci coś powiedzieć. –

Zamilkła, spuszczając wzrok.

– Słucham.

– Jeżeli ci się to nie spodoba, w porządku, damy sobie spokój i do staniiesz portret gratis. Ale czuję, że coś nas łączy, dlatego muszę ci po wiedzieć...

– Słucham.

– Seks sprawia mi przyjemność tylko wtedy... gdy ktoś mi sprawia ból. Mam na myśli prawdziwy ból. Wielu mężczyzn tego nie lubi. I możesz...

W odpowiedzi przewrócił ją na płaski brzuch.

I zdjął pasek.

Zaśmiał się ponuro na tamto wspomnienie. To była wierutna bzdura. W ciągu dziesięciu minut na plaży i pięciu w furgonetce, w jakiś tajemniczy sposób odgadła jego fantazję i odegrała ją z ogromnym zapałem.

Svengali i „Trilby”...

Po kilku minutach jazdy poczuł pulsujący ból w ramieniu, które Rebecca rozciąła w domu

Walkera. Zatrzymał się, rozpiął koszulę i obejrzał ranę. Nie wyglądała poważnie – krwawienie powoli ustawało. Ale cholernie bolała.

Choć nie tak jak jej zdrada.

Był na skraju spokojnej dzielnicy i za chwilę musiał wjechać do bardziej zatłoczonej części miasta, gdzie na pewno będzie go szukała policja.

Zawrócił i przez pewien czas krążył po ulicach, dopóki nie zauważył nissana infiniti stojącego na czerwonym świetle. W środku siedziała tylko jedna osoba.

Obok nie było żadnego innego samochodu. Pell zwolnił, ale zaczął hamować dopiero wtedy, gdy znalazł się tuż za zderzakiem luksusowego auta. Rozległ się głuchy łoskot. Infiniti potoczył się metr do przodu. Kierowca spojrzął z wściekłością we wsteczne lustro i wysiadł.

Pell także wysiadł i kręcąc głową, oglądał skutki kolizji.

– Gdzie pan ma oczy? – Kierowcą nissana był Latynos w średnim wieku. –

Kupiłem go miesiąc temu. – Uniósł głowę i zauważywszy krew na ramieniu Pella, zmarszczył brwi. – Jest pan ranny? – Jego wzrok podążył wzdłuż plamy, zatrzymując się na dłoni Pella, w której tkwił pistolet.

Ale było już za późno.

## **Rozdział 52**

Pierwszą rzeczą, jaką Kathryn Dance zrobiła w domu Walkera – podczas gdy TJ zgłaszał ucieczkę Pella – było telefoniczne wydanie polecenia zastępcy szeryfa pilnującemu jej rodziców i dzieci, by natychmiast przewiózł ich pod ochroną do centrali CBI. Wątpiła, czy Pell będzie chciał tracić czas na spełnienie swoich gróźb, wolała jednak nie ryzykować.

Następnie spytała pisarza i jego żonę, czy Pell mówił, dokąd zamierza uciec, a zwłaszcza czy wspominał coś o swojej górze. Walker nie okłamał Pella; nigdy nie słyszał o jego górskiej enklawie. Ani on, ani jego żona i dzieci, nie potrafili dodać niczego więcej. Rebecca była ciężko ranna i nieprzytomna. Kiedy zabierała ją karetka, O’Neil wysłał z nią funkcjonariusza. W chwili, gdy Rebecca będzie mogła mówić, policjant miał zadzwonić do detektywa.

Dance podeszła do Kellogga i O’Neila, którzy z opuszczonymi głowami omawiali sytuację. Mimo wzajemnych zastrzeżeń, jakie mieli do siebie, w ich gestach i postawie ciała nie można było dostrzec żadnych śladów niechęci. Szybko i sprawnie koordynowali akcję blokowania dróg i ustalali plan poszukiwań.

O’Neil odebrał telefon. Zmarszczył brwi.

– Dobra. Zadzwoni do Watsonville... Zajmę się tym. – Rozłączył się i oznajmił:

– Jest trop. Kradzież samochodu w Marina. Facet odpowiadający rysopisowi Pella

– i ranny – rąbnął czarnego nissana infiniti. Miał broń. Świadek mówi, że słyszał

strzał – dodał ponuro. – A kiedy popatrzył na samochód, Pell zamykał bagażnik.

Dance zamknęła oczy, wzdychając z przygnębieniem. Jeszcze jedna ofiara.

– Nie ma mowy, żeby dłużej chciał zostać na półwyspie – ciągnął O’Neil. –

Porwał wóz w Marina, więc jedźcie na północ. Prawdopodobnie chce dotrzeć do sto pierwszej. – Wsiadł do samochodu. Zorganizuję posterunek w Gilroy. I w Watsonville na wypadek, gdyby wybrał jedynekę.

Patrzyła w ślad za oddalającym się autem.

– Też tam jedźmy – rzekł Kellogg, kierując się do samochodu.

Idąc za nim, Dance usłyszała dzwonek swojego telefonu. W słuchawce odezwał

się James Reynolds. Zrelacjonowała mu ostatnie wydarzenia, a były prokurator poinformował ją, że przejrzał dokumenty ze sprawy Croytonów. Nie znalazł nic szczególnie istotnego, co mogłoby wskazywać na cel ucieczki Pella, ale natrafił na coś ciekawego. Czy Dance może mu poświęcić chwilę?

– Jasne – odparła, dając Kelloggowi znak, by zaczekał.

Sam i Linda siedziały blisko siebie, oglądając w wiadomościach relację z kolejnej próby morderstwa, jakie chciał popełnić Daniel Pell; ofiarą miał być pisarz, Walker. Rebecca, nazwana współniczką Pella, została ciężko ranna. A Pellowi znów udało się uciec. Skradł samochód, zabijając jego właściciela, i najprawdopodobniej jechał na północ.

– Rety – szepnęła Linda.

– Rebecca od początku była po jego stronie. – Samantha wpatrywała się w ekran z twarzą zastygłą w wyrazie przerażenia. – Ale kto do niej strzelał? Policja?

Daniel?

Linda na moment zamknęła oczy. Sam nie wiedziała, czy odmawia modlitwę, czy po prostu jest skrajnie wyczerpana po męczarniach kilku ostatnich dni.

Każdy dźwiga swój krzyż, pomyślała Sam. Ale nie powiedziała tego swojej religijnej towarzyszkce.

Kolejna dziennikarka poświęciła kilka minut sylwetce rannej kobiety, Rebecki Sheffield, założycielki Inicjatywy Kobiet w San Diego, należącej przed ośmiu laty do Rodziny. Wspomniała, że Sheffield urodziła się w południowej Kalifornii. Jej ojciec zmarł, gdy miała sześć lat, i wychowywała ją matka, która nie wyszła powtórnie za mąż.

– Sześć lat – powtórzyła szeptem Linda.

Sam była wstrząśnięta.

– Okłamała nas. To, co nam opowiadała o ojcu, nigdy się nie zdarzyło. Aleśmy się dały nabrać.

Starsza z kobiet pokręciła głową.

– To już naprawdę ponad moje siły. Idę się pakować.

– Linda, zaczekaj.

– Nie chcę już o niczym rozmawiać, Sam. Mam dość.

Pozwól mi tylko coś powiedzieć.

– Już i tak dużo powiedziałaś.

– Ale chyba w ogóle mnie nie słuchałaś.

– I nie miałabym ochoty słuchać, gdybyś to chciała powtórzyć. – Linda poszła do swojego pokoju.

Sam podskoczyła na dźwięk telefonu. Dzwoniła Kathryn Dance.

– Och, właśnie się dowiedziałymy...

Lecz agentka przerwała jej w pół słowa.

– Posłuchaj, Sam. Nie sądzę, żeby uciekał na północ. Myślę, że jedzie do was.

– Co?

– Właśnie rozmawiałam z Jamesem Reynoldsem. Przeglądał akta sprawy sprzed ośmiu lat i znalazł wzmiankę o Alison. Podczas przesłuchania po morderstwie Croytonów Pell go zaatakował. Reynolds pytał go o zdarzenie w Redding, o zabójstwo Charlesa Pickeringa, mówiąc o Alison, jego dziewczynie, o której wspominałyście. Pell dostał szału i rzucił się, czy raczej próbował się rzucić na Reynoldsa – to samo jak na mnie w Salinas – dlatego, że prokurator dotknął

czegoś ważnego.

James uważa, że Pickering wiedział coś o jego górze i dlatego Pell go zabił. Z tego powodu próbował znaleźć Alison. Ona też wiedziała, gdzie to jest.

– Czemu miałby robić krzywdę nam?

– Bo powiedział wam o Alison. Może nawet nie kojarzycie jej z ziemią Pełła, może nawet o niej zapomnieliście. Ale jego królestwo jest dla niego tak ważne, że jest gotów zamordować każdego, kto może mu za grozić. Czyli was. Obie.

– Linda, chodź tutaj!

Stała w drzwiach, gniewnie marszcząc czoło.

– Dałam już znać policjantom przed domkiem – ciągnęła Dance. – Zabiorą was do centrali CBI. Agent Kellogg i ja właśnie jedziemy do hotelu. Zostaniemy w domku, żeby się przekonać, czy Pell się tam zjawi.

– Kathryn myśli, że on tu może przyjechać – powiedziała Sam przez ściśnięte gardło.

– Nie! – Zasłony były zasunięte, ale obie kobiety instynktownie spojrzały na okna. Sam popatrzyła w stronę sypialni Rebecki. Czy na pewno zamknęła okno, kiedy odkryła jej ucieczkę? Tak, pamiętała, że zamknęła.

Rozległo się pukanie.

– Zastępca szeryfa Larkin.

Sam spojrzała na Lindę. Zamarły. Po chwili Linda wolno podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Skinęła głową i otworzyła. Funkcjonariusz wszedł do domku.

– Poproszono mnie, żebym odwiózł panie do CBI. Proszę wszystko zostawić i iść ze mną. – Drugi zastępca szeryfa czekał na zewnątrz, rozglądając się po parkingu.

Sam powiedziała do telefonu:

– To zastępca szeryfa. Wyjeżdżamy.

Odłożyła słuchawkę.

Samantha chwyciła torebkę.

– Chodźmy. – Jej głos drżał.

Funkcjonariusz, trzymając dłoń blisko pistoletu, dał im znak do wyjścia.

W tym momencie pocisk trafił go z boku w głowę. Policjant natychmiast runął na ziemię.

Padł jeszcze jeden strzał i drugi z funkcjonariuszy złapał się za serce i upadł, krzycząc z bólu. Po chwili trafiła go druga kula. Pierwszy policjant usiłował doczołgać się do samochodu, lecz znieruchomiał na chodniku.

– Nie, nie! – wykrztusiła Linda.

Usłyszały tupot kroków na betonie. Daniel Pell biegł w stronę domku.

Sam stała jak sparaliżowana.

Nagle doskoczyła do drzwi i zatrasnęła je, zakładając łańcuch. Zdążyła się odsunąć, gdy kolejny pocisk przeszył drewno. Rzuciła się do telefonu.

Daniel Pell wymierzył dwa solidne kopniaki. Przy drugim zamek ustąpił, ale łańcuch wytrzymał. Drzwi uchyliły się na parę centymetrów.

– Do pokoju Rebecki! – krzyknęła Sam. Podbiegła do Lindy i złapała ją za ramię, lecz kobieta stała na progu jak wryta.

Sam przypuszczała, że zeszywniała z przerażenia. Jej twarz nie zdradzała jednak żadnych oznak

strachu. Wyrwała się z uścisku.

– Daniel! – zawołała.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnęła Sam. – Chodź!

Pell jeszcze raz kopnął w drzwi, lecz łańcuch nadal nie ustępował. Sam pociągnęła opierającą się Lindę w kierunku pokoju Rebecki.

– Daniel – powtórzyła Linda. – Posłuchaj mnie. Jeszcze nie jest za późno.

Możesz się poddać. Znajdziemy ci adwokata. Dopilnuję, żeby...

Pell strzelił.

Po prostu uniósł broń, wycelował przez szparę w drzwiach i strzelił Lindzie w bok z taką łatwością, jak gdyby trzepnął natrętną muchę. Próbował strzelić jeszcze raz, ale Sam zaciągnęła ją do pokoju Rebecki. Pell znów kopnął w drzwi. Tym razem otworzyły się, uderzając z trzaskiem o ścianę i strącając na podłogę obraz z widokiem morza. Sam zamknęła drzwi sypialni i przekręciła zamek.

– Wychodzimy! – nakazała ostrym szeptem. – Nie możemy tu zostać.

Pell szarpnął klamkę. Kopnął w drzwi. Ale te otwierały się na zewnątrz i stały mu zdecydowany opór.

Czując przerażające mrowienie na plecach, spodziewając się, że w każdej chwili może strzelić przez drzwi i przypadkiem ją trafić, Sam pomogła Lindzie wdrapać się na parapet, popchnęła ją, a potem sama zeskoczyła na wilgotną, pachnącą ziemię. Linda zawodziła z bólu, trzymając się za bok.

Sam pomogła jej wstać i trzymając jej ramię w żelaznym uścisku, pociągnęła ją w stronę parku Point Lobos.

– Strzelił do mnie – jęknęła Linda, nadal nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia.

– Boli. Słuchaj... dokąd biegniemy?

Sam nie zwracała na nią uwagi. Myślała tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od domku. Nie знаła celu ucieczki. Widziała przed sobą las, nagie skały, a daleko na końcu świata huczący szary ocean.

### **Rozdział 53**

Nie – wykrztusiła Kathryn Dance. – Nie... Win Kellogg gwałtownie zatrzymał samochód obok ciał dwóch zastępców szeryfa rozciągniętych na chodniku przed domkiem.

– Sprawdź, co z nimi – rzucił Kellogg, wyciągając telefon, by wezwać wsparcie.

Trzymając broń w spoczonej dłoni, Dance uklękła przy pierwszym funkcjonariuszu i zobaczyła, że mężczyzna nie żyje. Leżał w kałuży krwi, odrobinę ciemniejszej od asfaltu, który stał się jego łóżem śmierci. Drugi policjant też nie dawał znaku życia. Dance uniosła wzrok i bezgłośnie powiedziała: – Nie żyją.

Kellogg zamknął telefon i podszedł do niej.

Mimo że nigdy nie byli razem na żadnym szkoleniu taktycznym, zbliżyli się do domku jak dwoje zaprawionych w niejednej akcji partnerów, uważając, by nie wystawiać się na strzał i lustrując okna i półotwarte drzwi.

– Wchodzę – powiedział Kellogg.

Dance skinęła głową.

– Idę z tobą.

– Tylko mnie ubezpieczaj. Nie spuszczaaj oka z wewnętrznych drzwi. Obserwuj je. Cały czas obserwuj. Najpierw wysunie broń. Uważaj na metal. Jeżeli w środku są ciała, nie zwracaj na nie uwagi, dopóki nie będziemy pewni, że jest pusto. –

Dotknął jej ręki. – To ważne. Zgoda? Nie zwracaj na nie uwagi, nawet gdyby wzywały pomocy. Nikomu nie będziemy mogli pomóc, jeżeli zostaniemy ranni.

Albo zginiemy.

Rozumiem.

– Gotowa?

Ani trochę. Ale skinęła głową. Lekko ścisnął jej ramię. Potem zrobił kilka głębokich wdechów i szybko pchnął drzwi, unosząc broń i kierując ją w każdy kąt pomieszczenia.

Dance trzymała się tuż za nim, pamiętając, by celować w drzwi – i unosić lufę, ilekroć Kellogg przechodził przed nią.

I obserwować, obserwować...

Od czasu do czasu oglądała się na drzwi, sprawdzając, czy Pell nie okrążył domku i nie czai się na progu.

Po chwili Kellogg zawołał:

– Czysto!

W środku, Bogu dzięki, nie było ciał. Kellogg wskazał jednak świeże plamy krwi na parapecie pod otwartym oknem w pokoju, z którego korzystała Rebecca.

Dance zauważyła także krew na dywanie.

Wyjrzała na zewnątrz i na ziemi pod oknem zobaczyła krew i ślady stóp.

Powiedziała o tym Kelloggowi, dodając:

– Trzeba założyć, że uciekły, a on je goni.

– Idę za nim – rzekł agent. – Może zaczekasz tu na wsparcie?

– Nie – odparła odruchowo, bez chwili namysłu. – Ten zjazd rodzinny to był mój pomysł. Nie pozwolę, żeby zginęły. Jestem im to winna.

Zawahał się.

– Zgoda.

Ruszyli do tylnego wyjścia. Dance głęboko nabrała powietrza, gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i mając za sobą Kellogga, wybiegła z domku, w każdej chwili spodziewając się usłyszeć huk strzału i poczuć paralizujące uderzenie pocisku.

Skrzywdził mnie.

Mój Daniel zrobił mi krzywdę.

Dlaczego?

Serce bolało Lindę nie mniej niż zraniony bok. Wybaczyła Danielowi to, co zrobił w przeszłości. Była gotowa wybaczyć mu to, co zrobił teraz.

A jednak strzelił do mnie.

Chciała się położyć. Niech Jezus je ukryje, niech je ocali. Powiedziała to szeptem do Sam, chociaż nie była pewna. Może tylko to sobie wyobraziła.

Samantha milczała. Cały czas biegła, ciągnąc za sobą cierpiącą z bólu Lindę przez kręte ścieżki pięknego, choć budzącego grozę parku.

Paul, Harry, Lisa... w głowie krążyły jej imiona przybranych dzieci.

Nie, to było w zeszłym roku. Już ich nie ma. Są nowe.

Jak mają na imię?

Dlaczego nie mam rodziny?

Bo Bóg, Ojciec nasz, ma dla mnie inny plan.

Bo Samantha mnie zdradziła.

Szalone myśli kotłowały się w jej głowie jak fale kipiące wokół ostrych skał.

– Boli.

– Wytrzymaj – dobiegł ją szept Sam. – Za chwilę będzie tu Kathryn i ten agent FBI.

– Strzelił. Daniel do mnie strzelił.

Świat stracił ostrość. Linda poczuła, że zaraz zemdleje. Co wtedy zrobi Myszka? Zarzuci sobie na plecy moje siedemdziesiąt trzy kilo?

Nie, zdradzi mnie tak samo jak przedtem.

Samantha, mój Judasz.

Przez huk wzburzonego morza i szum wiatru w mokrych sosnach i cyprysach, Linda usłyszała ścigającego je Daniela Pella. Trzask gałęzi, szelest liści. Uciekały dalej, dopóki jej stopa nie natrafiła na wystający korzeń niskiego dębu. Runęła na ziemię, czując, jak gdyby bok palił ją żywym ogniem. Krzyknęła.

– Cii... Boli.

Głos Sam drżał ze strachu.

– Wstawaj, Linda! Błagam!

– Nie mogę.

Znowu kroki. Był coraz bliżej.

Nagle Linda pomyślała, że to może wcale nie on, tylko policja. Kathryn i ten przystojny agent FBI. Odwróciła się, by spojrzeć w tamtą stronę, krzywiąc się z bólu.

Ale nie, to nie była policja. Ujrzała Daniela Pella, piętnaście metrów od nich.

Dostrzegł je. Zwolnił, złapał oddech i ruszył naprzód.

Linda odwróciła się do Samantha.

Ale już jej nie było.

Sam znów ją zostawiła, tak samo jak przed laty.

Porzuciła ją, skazując na te straszne noce w sypialni Daniela Pella.

Porzuciła ją wtedy, porzuciła ją teraz.

## **Rozdział 54**

Moja najdroższa, moja Linda. Podchodził wolno. Skrzywiła się z bólu.

– Danielu, posłuchaj. Jeszcze nie jest za późno. Bóg ci wybaczy. Pod daj się.

Zaśmiał się, jak gdyby usłyszał dowcip.

– Bóg – powtórzył. – Bóg mi wybaczy... Rebecca mówiła mi o twojej pobożności.

– Chcesz mnie zabić.

– Gdzie jest Sam?

– Proszę! Nie musisz tego robić. Możesz się zmienić.

– Zmienić? Och, Lindo, ludzie się nie zmieniają. Nigdy, przenigdy. Przecież jesteś tą samą osobą, którą znalazłem pod drzewem w Golden Gate Park, kiedy uciekłaś z domu, zapłakaną, niezgrabną.

Oczy Lindy zaczęły się zasnuwać mrokiem przetykanym żółtymi punkcikami.

Osuwała się w otchłań, czując, jak ból z wolna słabnie. Kiedy się ocknęła, nachylał się nad nią z nożem.

– Przykro mi, kochanie. Muszę to zrobić w ten sposób. – Przeprosiny brzmiały absurdalnie, choć były szczere. – Ale znam się na tym. Zrobię to tak szybko, że prawie nie poczujesz.

– Ojczy nasz...

Odwrócił jej głowę, odsłaniając szyję. Próbowwała się opierać, lecz nie potrafiła.

Mgła zniknęła już bez śladu i gdy Pell przysunął ostrze do jej gardła, w stali odbiła się czerwien zachodzącego słońca.

– ...który jesteś w niebie. Święć się imię...

Wtedy runęło drzewo.

A może lawina kamieni zasypała ścieżkę.

Albo stado mew z wściekłym wrzaskiem wylądowało mu na plecach.

Daniel Pell jęknął i padł na kamienistą ziemię.

Samantha McCoy zeskoczyła z mordercy, zerwała się na nogi i zaczęła rozpaczliwie okładać jego głowę i ramiona grubą gałęzią. Pell w zdumieniu zobaczył, że atakuje go jego Myszka, kobieta, która bez szemrania spełniała wszystkie jego polecenia, która nigdy nie powiedziała mu nie.

Z wyjątkiem jednego razu...

Daniel próbował jej zadać cios nożem, ale była szybsza. Sięgnął po broń, którą wcześniej upuścił na ścieżkę. Ale twarda gałąź znów wylądowała na jego głowie i zaczęła ją bombardować, raniąc go w ucho. Zawył z bólu.

– Niech cię szlag!

Z trudem podniósł się z ziemi. Zamachnął się pięścią, trafiając ją z całej siły w kolano. Upadła ciężko.

Daniel rzucił się naprzód i chwycił broń. Cofnął się, znów zerwał się z ziemi i skierował lufę pistoletu w stronę Samantha. Ale Samantha zdołała się podnieść, i odzyskując równowagę, zadała mu kolejny cios trzymaną oburącz gałęzią. Trafiła go w ramię. Odskoczył jak oparzony.

Patrząc na walczącą Sam, Linda przypomniała sobie, co Daniel kiedyś mawiał, gdy był dumny z kogoś z Rodziny. „Trzymałaś się mocno, najdroższa”.

Trzymaj się mocno...

Samantha znowu natarła, biorąc szeroki zamach.

Tym razem jednak Daniel przyjął lepszą pozycję. Udało mu się złapać gałąź lewą ręką. Przez chwilę patrzyli na siebie z odległości jednego metra, połączeni kawałem drewna jak przewodem pod napięciem. Daniel uśmiechnął się ze smutkiem i uniósł broń.

– Nie! – wychrypiła Linda.

Samantha też się uśmiechnęła. Mocno pchnęła go trzymaną w rękę gałęzią i puściła ją. Daniel zrobił krok do tyłu – prosto w przepaść. Stał na skraju urwiska, sześć metrów nad szlakiem krajobrazowym.

Wrzasnął i stoczył się po ostrej ścianie skalnej.

Linda nie była pewna, czy przeżył upadek. Po chwili pomyślała, że chyba tak.

Samantha z grymasem spojrzała w dół, a potem pomogła Lindzie wstać.

Szybko, musimy iść. – I poprowadziła ją w głąb gęstego lasu.

Wyczerpana i obolała Samantha McCoy z trudem podtrzymywała ślaniającą się Lindę.

Kobieta była blada, choć rana nie krwawiła mocno. Ból musiał być nieznośny, ale przynajmniej mogła iść.

Szept. – Co?

– Myślałam, że mnie zostawiłaś.

– Co ty. Ale miał broń – musiałam go podejść.

– Zabije nas. – Wciąż wydawała się zdziwiona.



– Nie, nie zabije. Nic nie mów. Musimy się ukryć.

– Już nie mogę.

– Zaraz nad brzegiem, na plaży, są jaskinie. Tam się możemy schować. Dopóki nie przyjedzie policja. Kathryn zaraz tu będzie. Uratują nas.

– Nie mogę. To strasznie daleko.

– Wcale nie. Dojdziemy.

Po następnych dwudziestu metrach Sam poczuła, że Linda słabnie.

– Nie, nie... nie mogę. Przepraszam.

Wyęzając resztki sił, Sam zdołała przejść z nią jeszcze dziesięć metrów. Ale potem Linda bezwładnie osunęła się na ziemię – w najgorszym miejscu, na polanie widocznej ze wszystkich stron z odległości stu metrów. Sam bała się, że lada chwila pojawi się Pell. I zastrzeli je jak kaczki.

Niedaleko zobaczyła niewielki wąwóz między skałami; byłaby to dobra kryjówka.

Usta Lindy poruszały się, szeptała coś.

– Co?

Nachyliła się. Linda nie mówiła do niej, lecz do Jezusa.

– Wstań, musimy iść dalej.

– Nie, idź sama. Proszę. Naprawdę... Nie jesteś mi nic winna za to, co się stało.

Przed chwilą uratowałaś mi życie. Jesteśmy kwita. Wybaczam ci to, co zrobiłaś w Seaside...

– Linda, nie teraz! – krzyknęła Sam.

Ranna usiłowała się podnieść, lecz zaraz opadła na ziemię.

– Nie mogę.

– Musisz.

– Jezus się mną zajmie. Idź sama.

– Wstań!

Linda zamknęła oczy i zaczęła szeptać modlitwę.

– Nie możesz tu umrzeć! Wstawaj!

Wzięła głęboki oddech, kiwnęła głową i z pomocą Sam z trudem dźwignęła się na nogi. Zataczając się, zeszły ze ścieżki i przedzierając się przez zarośla, ruszyły w stronę płytkiego parowu.

Były na wysokim cyplu, około piętnaście metrów nad oceanem. Huk przyboju był niemal nieprzerwany, ogłuszający jak ryk silników odrzutowych.

Oślepił je blask słońca zawieszzonego nisko nad horyzontem, oblewając je falą czerwieni. Mrużąc oczy, Sam dojrzała wąwóz, już bardzo niedaleko. Położą się w nim i przykryją gałęzmi i liśćmi.

– Świetnie ci idzie. Jeszcze tylko metr.

Właściwie ponad pięć.

Pokonały kolejne trzy.

Wreszcie dotarły do bezpiecznego azylu. Parów okazał się głębszy, niż Sam przypuszczała, i był doskonałą kryjówką.

Zaczęła ostrożnie prowadzić do niego Lindę.

Nagle rozległ się trzask łamanych zarośli i z lasu wynurzyła się postać, kierując się prosto w ich stronę.

– Nie! – krzyknęła Sam. Puszczając Lindę, która bezwładnie opadła na ziemię, chwyciła niewielki kamień, choć była to żałosna namiastka broni.

Po chwili wybuchnęła histerycznym śmiechem. Kathryn Dance, podchodząc do nich ostrożnie,

szeptnęła:

– Gdzie on jest?

Czując łomot własnego serca, Sam powiedziała bezgłośnie:

– Nie wiem. – Po czym powtórzyła to na głos. – Zostawiłyśmy go pięćdziesiąt metrów stąd. Jest ranny. Ale widziałam, jak szedł.

– Uzbrojony?

Skinęła głową.

– Ma pistolet. I nóż.

Dance rozejrzała się wokół, mrużąc oczy w promieniach słońca. Następnie obejrzała Linde.

– Trzeba ją tu położyć. – Wskazała dno parowu. – Na wznak. I przy cisnąć coś do rany.

Razem ułożyły ranną na dnie zagłębienia.

– Zostań z nami, proszę – szepnęła Sam.

– Nie bój się – uspokoiła ją Dance. – Nigdzie się nie wybieram.

## **Rozdział 55**

Winston Kellogg znajdował się w jakimś punkcie na południe od nich. Kiedy opuścili Point Lobos Inn, dotarli do rozwidlenia szlaków krajobrazowych, gdzie urywał się trop śladów stóp i krwi. Ustalili, że Dance pójdzie w prawo, a Kellogg w lewo.

Agentka cicho przedzierała się przez zarośla – trzymając się z dala od szlaku –

dopóki nie zauważyła ruchu na skraju klifu. Kiedy rozpoznała kobiety, szybko do nich podeszła.

Połączyła się z Kelloggiem przez radio.

– Win, mam Sam i Linde.

– Gdzie jesteście?

– Około stu metrów od miejsca, gdzie się rozdzieliliśmy. Poszłam prosto na zachód. Jesteśmy prawie na końcu klifu. Mamy obok siebie okrągłą skałę, wysokości mniej więcej pięciu metrów.

– Wiedzą, gdzie jest Pell?

– Był niedaleko. Około pięćdziesięciu metrów stąd, niżej i po naszej lewej.

Ciągle jest uzbrojony. W pistolet i nóż.

Nagle zastygła, dostrzegłszy w dole na piasku sylwetkę człowieka.

– Win, gdzie jesteś? Na plaży?

– Nie, na ścieżce. Plaża jest niżej, jakieś sześćdziesiąt, osiemdziesiąt metrów ode mnie.

– Dobra, mam go! Widzisz tę małą wyspę? Tę, na której są foki. I mewy.

– Aha.

– Jest na plaży na wprost wyspy.

– Stąd nie widzę. Ale idę tam.

– Nie, Win. Nie będziesz miał żadnej osłony. Trzeba poczekać na brygadę.

– Nie mamy czasu. Za dużo razy uciekał. Nie pozwolę, żeby znowu mu się udało.

Postawa rewolwerowca...

Bardzo się tym zaniepokoiła. Uświadomiła sobie, że nie chce, aby Winstonowi Kelloggowi przytrafiło się coś złego. *Potem. Co ty na to?*

– W każdym razie... uważaj. Straciłam go z oczu. Był na plaży, ale teraz chyba wszedł między skały. Będzie miał tam świetne stanowisko strzeleckie. Może ubezpieczyć wszystkie dojścia.

Dance wstała i przysłaniając oczy, zlustrowała plażę.. Gdzie on jest?

Odpowiedź otrzymała sekundę później.

Pocisk trafił w skały obok niej, a po chwili dobiegł huk pistoletu Pella.

Samantha wrzasnęła, a Dance błyskawicznie schroniła się w parowie, kalecząc się o ostre kamienie, wściekła na siebie, że wystawiła się na strzał.

– Kathryn! – krzyknął przez radio Kellogg. – To ty strzeliłaś?

– Nie, to Pell.

– Nicei nie jest?

– Wszystko w porządku.

– Skąd padł strzał?

– Nie widziałam. Chyba od strony skał przy plaży.

– Nie ruszajcie się stamtąd. Już wie, gdzie jesteście.

– Pell zna park? – spytała Dance Samanthę.

– Rodzina często tu przyjeżdżała. Chyba nieźle go zna.

– Win, Pell zna Point Lobos. Możesz wejść prosto w pułapkę. Dla czego nie chcesz poczekać?

– Chwileczkę – zachrypiał cicho Kellogg. – Chyba coś widzę. Odezwę się.

– Czekaj, Win. Jesteś tam?

Zmieniła pozycję, oddalając się nieco od skraju klifu, by Pell nie mógł jej zobaczyć. Szybko wyjrzała spomiędzy dwóch skał. Niczego nie zauważyła. Po chwili dostrzegła Winstona Kellogga zmierzającego w stronę plaży. Na tle masywnych skał, sękatych drzew i bezmiaru oceanu wydawał się bardzo kruchy.

Nie... Dance wysłała mu telepatycznie prośbę, aby się zatrzymał, poczekał.

Ale oczywiście szedł dalej. Nieme błaganie pozostało bez odpowiedzi i pomyślała, że byłoby równie nieskuteczne, gdyby on prosił ją o to samo.

Daniel Pell wiedział, że w parku niedługo zjawi się więcej policji. Ale nie tracił pewności siebie. Doskonale znał tę okolicę. Okradł w Point Lobos sporo turystów – wielu z nich przez własną głupotę stało się współsprawcami. Zostawiali cenne rzeczy w samochodach i w miejscach na piknik, nie podejrzewając nawet, że ktoś mógłby wpaść na pomysł, by okraść drugiego człowieka w tak sprzyjającym uduchowieniu otoczeniu.

Spędzał tu z Rodziną dużo czasu, odpoczywając i biwakując w drodze powrotnej z Big Sur, kiedy nie mieli ochoty jechać do Seaside. Znal sekretne szlaki prowadzące do autostrady i do okolicznych rezydencji prywatnych. Zamierzał

ukraść następny samochód, ruszyć na wschód bocznymi drogami Doliny Kalifornijskiej, przez Hollister, a potem pojechać na północ.

Na szczyt swojej góry.

Wcześniej musiał się rozprawić ze swoimi prześladowcami. Przypuszczał, że było ich tylko dwóch albo trzech. Nie widział ich wyraźnie. Zapewne wstąpili do domku, zobaczyli martwych gliniarzy, a potem zaczęli pościg na własną rękę. W

pobliżu był chyba tylko jeden.

Na chwilę zamknął oczy, próbując opanować ból. Przycisnął dłoń do rany na ramieniu, która otworzyła się podczas upadku z urwiska. Bardziej bolało go ucho od ciosu Samanthę.

Myszka...

Niech to szlag!

Oparł głowę i ramiona o chłodną, wilgotną skałę. Jej dotyk przynosił ulgę w cierpieniu.

Ciekawe, czy wśród prowadzących pościg jest też Kathryn Dance. Podejrzewał, że jeżeli tak, to

nie pojawiła się w domku przez przypadek. Musiała się domyślić, że nie zamierzał uciekać na północ, ale chciał przyjechać tutaj.

Tak czy inaczej już niedługo nie będzie dla niego zagrożeniem.

Tylko jak poradzić sobie w tej sytuacji?

Tropiący go gliniarz był coraz bliżej. Do miejsca, w którym Pell się ukrył, prowadziły tylko dwie drogi. Człowiek, który go ścigał, musiałby albo zejść po sześciometrowej ścianie skalnej, odsłaniając się zupełnie przed Pellem stojącym w dole, albo – gdyby wybrał ścieżkę – musiałby skręcić prosto z plaży i też stanowiłby doskonały cel.

Pell wiedział, że ze ścianą skalną poradziłby sobie tylko funkcjonariusz brygady specjalnej, a jego obecni prześladowcy zapewne nie mieli ekwipunku do wspinaczki. Musieli nadejść plażą. Przykucnął za skałami, niewidoczny z góry i od strony plaży, i czekał, aż policjant się zbliży, opierając pistolet o duży kamień.

Nie zamierzał go zabijać. Tylko zranić. Może w kolano. A potem, kiedy gliniarz będzie leżał, Pell chciał go oślepić nożem. Zostawi mu pod ręką radio, żeby mógł wezwać pomoc, krzycząc z bólu i odrywając od pościgu innych policjantów. Wtedy Pell ucieknie do pustej części parku.

Usłyszał, że ktoś się zbliża, starając się stapać bezszelestnie. Ale Pell miał słuch dzikiego zwierzęcia. Zacisnął dłoń na rękojeści broni.

Słumił emocje. Zapomniał o Rebecce, Jennie, a nawet o znenawidzonej Kathryn Dance.

Daniel Pell miał pełną kontrolę.

Dance, kryjąc się między gęstymi sosnami, wyjrzała z kolejnego punktu obserwacyjnego na klifie.

Winston Kellogg był już na plaży, blisko miejsca, z którego musiał strzelać do niej Pell. Agent poruszał się wolno, rozglądając się, trzymając broń w obu dłoniach. Spojrzał na skalną ścianę, zastanawiając się prawdopodobnie, czy się na nią wspiąć. Była jednak stroma, a Kellogg miał zwykłe półbuty, zupełnie nienadające się do wspinaczki po śliskim kamieniu. Poza tym schodząc z drugiej strony, z pewnością stanowiłby łatwy cel.

Oglądając się na ścieżkę, chyba dostrzegł ślady na piasku w miejscu, gdzie Dance widziała Pella. Pochylił się i podszedł bliżej. Przystanął przy odsłoniętej skale.

– Co się dzieje? – zapytała Samantha.

Dance pokręciła głową. Spojrzała na Lindę. Kobieta była półprzytomna i jeszcze bledsza. Straciła dużo krwi. Potrzebowała fachowej pomocy.

Dance połączyła się z centralą biura szeryfa, pytając, kiedy zjawi się wsparcie.

– Pierwszy zespół taktyczny za pięć minut, łodzie za piętnaście.

Dance westchnęła. Dlaczego kawaleria tak się grzebie? Podała im przybliżone położenie i wyjaśniła, którzy powinni iść ratownicy, aby pozostać za linią ognia.

Dance znów spojrzała w stronę plaży i zobaczyła, jak Winston Kellogg ostrożnie obchodzi skałę, mieniącą się w blasku słońca barwą czerwonego wina. Agent kierował się prosto do miejsca, w którym Pell zniknął przed kilkoma minutami.

Minęła długa minuta. Potem druga.

Gdzie on jest? Co się tam... Grzmot eksplozji. Co to, u diabła?

Potem seria strzałów zza zasłony skalnej, krótka pauza, i znów huk broni.

– Co się stało? – zawołała Samantha.

– Nie wiem. – Dance wyciągnęła radio. – Win, Win! Jesteś tam? Odbiór.

Ale usłyszała tylko łoskot wzburzonych fal i przerażony wrzask spłoszonych mew.

## Rozdział 56

Kathryn Dance biegła plażą, rujnując swoje ulubione buty Aldo w słonej wodzie.

W ogóle jej to nie obchodziło.

Za jej plecami, na szczycie klifu, ratownicy zabierali Lindę do karetki zaparkowanej w Point Lobos Inn, a Samantha im towarzyszyła. Dance skinęła głową dwóm zastępcom szeryfa, którzy zjawili się tu pierwsi i rozciągali między skałami żółtą taśmę, choć jedynym intruzem, który mógłby wejść na miejsce zdarzenia, była fala przypływu. Agentka przeszła pod taśmą, skręciła i ruszyła do miejsca śmierci.

Zatrzymała się. Potem podeszła do Winstona Kellogga i mocno go objęła. Z

wyrazem szoku na twarzy wpatrywał się w spoczywające przed nim ciało Daniela Pella.

Pell leżał na wznak, z uniesionymi, oblepionymi piaskiem kolanami i rozrzuconymi na boki ramionami. Pistolet, który wypadł mu z ręki, leżał obok.

Oczy Pella były półotwarte, ale intensywny błękit zasnęła mgła śmierci.

Dance zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma dłoń na plecach Kellogga. Opuściła rękę i odsunęła się.

– Co się stało? – spytała.

– Prawie się z nim zderzyłem. Tu się schował. – Wskazał skalną niszę. – Ale zdążyłem go zauważyć. Ukryłem się. Miałem przy sobie granat błyskowy po akcji w motelu. Rzuciłem go w jego stronę i granat go ogłuszył. Pell zaczął strzelać. Na szczęście miałem słońce za plecami. Chyba go oślepiło. No i... – Wzruszył

ramionami.

– Jesteś cały?

– Jasne. Trochę się podrapałem o skały. Nie jestem przyzwyczajony do wspinaczki górskiej.

Zadzwoń! jej telefon. Odebrała, zerkając na wyświetlacz. To był TJ.

– Linda powinna z tego wyjść. Straciła trochę krwi, ale kula minęła ważne organy. A Samantha nie jest poważnie ranna.

– Samantha? – Dance nie zauważyła u niej żadnych obrażeń. – Co jej się stało?

– Parę siniaków i zadrapań. Stoczyła walkę bokserską z denatem, za nim został denatem, rzecz jasna. Trocheja boli, ale do wesela się zagoi.

Walczyła z Pellem? Myszka...

Pojawiła się ekipa kryminalistyczna z biura szeryfa i zaczęła zabezpieczać ślady. Dance zauważyła, że nie ma z nimi Michaela O'Neila. Jeden z funkcjonariuszy powiedział do Kellogga:

– Gratulacje. – Wskazał głową ciało.

Agent uśmiechnął się powściągliwie.

Znawcy mowy ciała wiedzą, że uśmiech jest najtrudniejszym do zinterpretowania wyrazem ludzkiej twarzy. Zmarszczenie brwi, szeroko otwarte ze zdumienia oczy czy uwodzicielskie spojrzenie znaczą tylko jedno. Natomiast uśmiech może sygnalizować nienawiść, obojętność, rozradowanie albo miłość.

Dance nie była pewna, co oznaczał ten uśmiech. Zauważyła jednak, że ułamek sekundy później, gdy Kellogg popatrzył na człowieka, którego właśnie zabił, uśmiech zniknął, jak gdyby nigdy nie pojawił się na jego twarzy.

Kathryn Dance i Samantha McCoy wstąpiły do szpitala Monterey Bay odwiedzić Lindę Whitfield, która była przytomna i miała się całkiem nieźle.

Musiała spędzić w szpitalu noc, ale lekarze twierdzili, że nazajutrz będzie mogła wrócić do domu.

Rey Carraneo odwiózł Samanthę do Point Lobos Inn, gdzie postanowiła przenoć przed powrotem do domu. Dance zaprosiła ją na kolację, ale Samantha odrzekła, że chce się „wyciszyć”.

Któż mógł się temu dziwić?

Po wyjściu ze szpitala Dance wróciła do CBI, gdzie zobaczyła Theresę Croyton Bolling z ciotką, które stały przy swoim samochodzie, najwidoczniej czekając na jej powrót, by się pożegnać. Dziewczyna rozpromieniła się na widok Dance.

Przywitały się serdecznie.

– Już wiemy – powiedziała bez uśmiechu ciotka. – Nie żyje? – Jak gdyby potrzebowała dodatkowego potwierdzenia.

– Zgadza się.

Opowiedziała im o zdarzeniu w Point Lobos. Ciotka wyglądała na zniecierpliwioną, lecz Theresa chciała poznać każdy szczegół. Dance nie pominęła żadnego.

Theresa kiwała głową, przyjmując wiadomość o śmierci Pella dość obojętnie.

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała agentka. – Uratowałaś ludziom życie.

W rozmowie nie pojawił się temat symulowanej przez Theresę choroby w dniu, w którym zamordowano jej rodzinę. Dance przypuszczała, że to na zawsze pozostanie ich wspólną tajemnicą. Czemu nie? Czasem wyznanie prawdy jednej osobie działa równie oczyszczająco jak wyznanie jej całemu światu.

– Wracacie dzisiaj do domu?

– Tak – odparła dziewczyna, spoglądając na ciotkę. – Ale po drodze jeszcze się gdzieś zatrzymamy.

Na kolację w restauracji rybnej, na zakupy w uroczych sklepikach w Los Gatos? – pomyślała Dance.

– Chcę zobaczyć swój dom. Dawny dom.

Gdzie zginęli jej rodzice i rodzeństwo.

– Mamy się spotkać z panem Walkerem. Rozmawiał z rodziną, która tam teraz mieszka, i zgodzili się, żebym zobaczyła dom.

– On to zaproponował? – Dance była gotowa ująć się za dziewczyną i stanąć na przeszkodzie pomysłowi Walkera, który natychmiast musiał by się z niego wycofać.

– Nie, to ja – powiedziała Theresa. – Chcę go zobaczyć. Pan Walker przyjedzie do Napa i przeprowadzi ze mną wywiad. Do swojej książki. „Śpiącej laleczki”.

Taki ma być tytuł. To nie dziwne, że napisze o mnie książkę?

Mary Bolling milczała, choć język jej ciała – lekko uniesione ramiona i nieznacznie zaciśnięte szczęki – powiedziały Dance, że kobieta nie pochwała planu siostrzenicy i że zdążyły się już o to pokłócić.

Jak często po ważnych wydarzeniach w życiu – takich jak zjazd Rodziny czy wyprawa Theresy, która chciała pomóc w schwytaniu mordercy swojej rodziny –

doszukujemy się istotnych zmian w ich uczestnikach. Ale rzadko do nich dochodzi i Dance nie sądziła, by zaszły w tym przypadku. Miała przed sobą te same osoby co przedtem: opiekuńczą kobietę w średnim wieku, może niezbyt bystrą, ale umiejącą sprostać obowiązkowi przybranej matki, oraz typową, zbuntowaną nastolatkę, która pod wpływem impulsu dokonała odważnego czynu.

Posprzeczały się, jak mają spędzić resztę wieczoru i tym razem dziewczyna wygrała, choć niewątpliwie za cenę pewnych ustępstw.

Być może sam fakt, że doszło między nimi do sporu, który udało im się rozstrzygnąć, był krokiem naprzód. Dance przypuszczała, że właśnie tak zmieniają się ludzie: stopniowo.

Uściskała Theresę, podała rękę jej ciotce i życzyła im bezpiecznej podróży.

Pięć minut później Dance znalazła się w Babskim Skrzydle centrali CBI i przyjmowała z rąk Maryellen Kresbach kubek kawy oraz – wyjątkowo – owsiane ciasteczko.

Gdy weszła do gabinetu, zrzuciła zniszczone aldo i znalazła w szafie nową parę: sandały Joan and David. Przeciągnęła się i usiadła, popijając mocną kawę i przetrząsając biurko w poszukiwaniu resztki opakowania czekoladek M&M, które ukryła tu przed dwoma dniami. Zjadła je szybko, znów się przeciągnęła i z przyjemnością spojrzała na zdjęcia swoich dzieci.

I zdjęcie męża.

Jak wspaniale byłoby się położyć przy nim dziś wieczorem i porozmawiać o sprawie Pella.

Ach, Bill...

Zadzwoił telefon.

Zerknąwszy na ekran, odetchnęła z ulgą, a serce lekko jej podskoczyło.

– Cześć – powiedziała do Michaela O’Neila.

– Serwus. Właśnie się dowiedziałem. Nic ci się nie stało? Podobno doszło do wymiany ognia.

– Pell posłał kulkę obok mnie. To wszystko.

Co z Lindą?

Dance przekazała mu szczegóły.

– A Rebecca?

– Na OIOM-ie. Będzie żyć. Ale nieprędko wyjdzie na wolność.

Detektyw z kolei opowiedział jej o fałszywym alarmie z powodu kradzieży samochodu – ulubionym sposobie Pella na mylenie tropów policji. Pell zmusił

kierowcę nissana infiniti, aby zgłosił własne morderstwo i kradzież auta. Potem mężczyzna pojechał do domu, wstawił wóz do garażu i siedział w ciemnym pokoju, dopóki nie usłyszał wiadomości o śmierci Pella.

O’Neil dodał, że przesłał jej raporty z analizy śladów z Butterfly Inn, gdzie Pell i Jennie zatrzymali się po ucieczce z Sea View, oraz z Point Lobos.

Ucieszyła się, słysząc jego głos. Ale coś było nie tak. Nadal mówił rzeczowym, oficjalnym tonem. Nie był zły, lecz nie sprawiał wrażenia zadowolonego, że z nią rozmawia. Uważała, że jego poprzednie uwagi na temat Kellogga były niestosowne, ale mimo że nie domagała się od niego przeprosin, pragnęła, by wzburzone morze między nimi już się uspokoiło.

– A co u ciebie? – zapytała. Niektórym trzeba dać ostrogę.

– W porządku – odparł.

Znów te przekłete dwa słowa, które mogą oznaczać wszystko, od „wspaniale” po „nienawidzę cię”.

Zaproponowała, żeby wpadł wieczorem na Taras.

– Przepraszam, nie mogę. Mamy z Anną inne plany.

Ach, plany.

To też jedno z tych słów.

– Będę kończyć. Chciałem ci tylko powiedzieć o tym kierowcy.

– Jasne, trzymaj się.

Trzask...

Dance skrzywiła się i wróciła do dokumentów.

Dziesięć minut później w drzwiach ukazała się głowa Winstona Kellogga.

Gestem zaprosiła go do środka i agent ciężko opadł na krzesło. Nie przebrał się jeszcze; na ubraniu wciąż miał błoto i piasek. Zobaczył jej poplamione solą buty stojące przy drzwiach i pokazał swoje. Roześmiał się, wskazując kilkanaście par w szafie.

– Pewnie nic tu dla siebie nie znajdę.

– Przykro mi – odparła z kamienną twarzą. – Mam tylko numer sześć.

– Szkoda, te żółtozielone nawet mi się podobają.

Zaczęli rozmawiać o protokołach, które należało uzupełnić, i o komisji kontrolnej, która będzie musiała zbadać przebieg strzelaniny i napisać raport.

Zastanawiając się, jak długo agent zostanie na półwyspie, Dance doszła do wniosku, że bez względu na to, czy ją gdzieś zaprosi, czy nie, będzie musiał

spędzić tu co najmniej cztery lub pięć dni; tyle czasu potrzebowała komisja, aby się zebrać, wysłuchać zeznań i napisać raport.

*Potem. Co ty na to?...*

Podobnie jak wcześniej Dance, Kellogg także się przeciągnął. Przez jego twarz przemknął ledwie dostrzegalny wyraz niepokoju. Na pewno przyczyną była strzelanina. Dance jeszcze nigdy nie strzeliła do podejrzanego, a tym bardziej nikogo nie zabiła. Odgrywała kluczową rolę w tropieniu niebezpiecznych przestępców, z których część ginęła podczas zatrzymania, część trafiała do cel śmierci. Ale to było co innego niż wycelowanie do kogoś z broni i zakończenie jego życia.

A Kellogg zrobił to dwa razy, w stosunkowo krótkim czasie.

– Co masz teraz w planach? – zapytała.

– Mam prowadzić seminarium w Waszyngtonie na temat fundamentalizmu religijnego – ma sporo wspólnego z mentalnością sekt. A potem biorę wolne.

Oczywiście jeżeli świat będzie skłonny do współpracy. – Zgarbił się i przymknął oczy.

W poplamionych spodniach, z tą opadającą na czoło grzywką i delikatnym zarostem wygląda naprawdę pociągająco, pomyślała Dance.

– Przepraszam – powiedział, otwierając oczy i śmiejąc się. – Chyba nie wypada zasypiać w gabinetach kolegów. – Uśmiech wydawał się szczery, a po wcześniejszym niepokoju nie było już śladu.

– Ach, jeszcze jedno. Dzisiaj muszę odwalić papierkową robotę, ale jutro mogę chyba liczyć na przyjęcie tamtej propozycji kolacji? Już jest „potem”, pamiętasz?

Zawahała się. Znasz strategię przesłuchania, pomyślała: przewiduj każde pytanie przesłuchującego i miej w zanadrzu odpowiedź. Ale mimo że właśnie o tym myślała, dała się zaskoczyć. No więc jak brzmi odpowiedź?, spytała samą siebie.

– Jutro? – powtórzył nieśmiało. Dziwne jak na człowieka, który właśnie wykończył jednego z najgorszych bandytów w historii okręgu Monterey.

Grasz na zwłokę, powiedziała sobie. Jej wzrok przesunął się po zdjęciach dzieci, psów, nieżyjącego męża. Pomyślała o Wesie.

– Jutro byłoby wspaniale.



## Rozdział 57

Już po wszystkim – powiedziała cicho do matki. – Słyszałam. Michael mówił nam w CBI.

Były w domu jej rodziców w Carmel. Rodzina wróciła już z forticy biura śledczego.

– Banda też wie?

Miała na myśli dzieci.

– Owinęłam to trochę w bawełnę. Powiedziałam coś w rodzaju, mama będzie dzisiaj w domu o przyzwoitej godzinie, bo wiecie, ta głupia sprawa nareszcie się skończyła, już mają tego bandytę, szczegółów nie znam. Mags w ogóle nie słuchała

– przygotowuje nową piosenkę na obóz muzyczny. Wes od razu klapnął przed telewizorem, ale kazałam Stu wyciągnąć go na ping-ponga. Chyba zapomniał o całej historii. Ale słowem kluczowym pozostaje „chyba”.

Dance zdradziła kiedyś rodzicom, że chce ograniczyć do minimum kontakt Wesa z wiadomościami o śmierci i przemocy, zwłaszcza związanymi z jej pracą, dopóki nie upłynie więcej czasu od straty ojca.

– Będę miała go na oku. I dziękuję. – Otworzyła piwo Anchor Steam i rozlała do dwóch szklanek. Jedną podała matce.

Edie pociągnęła łyk i, marszcząc brwi, zapytała:

– Kiedy znaleźliście Pella?

Dance podała jej przybliżoną godzinę.

– Dlaczego pytasz?

Zerkając na zegar, jej matka odrzekła:

– Byłam pewna, że koło czwartej czy wpół do piątej słyszałam kogoś w ogrodzie. Z początku to zlekceważyłam, ale potem zaczęłam się bać, że może Pell dowiedział się, gdzie mieszkamy. I chce wyrównać rachunki czy coś takiego.

Trochę mnie strach obleciał. Mimo że przed domem stał radiowóz.

Pell oczywiście nie zawahałby się ani przez chwilę, gdyby miał ich skrzywdzić

– prawdopodobnie nawet to planował – ale nie zgadzał się czas. O tej godzinie Pell był już w domu Mortona Walkera albo w drodze do niego.

– To prawdopodobnie nie był on.

– Pewnie kot. Albo pies Perkinsów. Muszą się wreszcie nauczyć go zamykać.

Porozmawiam z nimi.

Wiedziała, że matka na pewno to zrobi.

Dance zapędziła dzieci do nissana pathfindera, gdzie czekały psy. Uściskała ojca i umówili się, że w niedzielę wieczorem zawiezie rodziców na przyjęcie urodzinowe w Klubie Morskim. Dance została wyznaczona na kierowcę, aby Edie i Stu mogli się dobrze bawić i wypić tyle szampana i pinot noir, ile zechcą.

Zastanawiała się, czy nie zaprosić Winstona Kellogga, uznała jednak, że z tym poczeka. Przekona się, jak przebiegnie jutrzejsza randka „potem”.

Myśląc o kolacji, nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny zapachu do gotowania.

– Co byście powiedzieli na naleśniki w Bayside?

– Hurra! – wykrzyknęła Maggie. I zaczęła się głośno zastanawiać, ja ki syrop zamówi. Wes też był zadowolony, choć wyrażał to w bardziej umiarkowany sposób.

Kiedy znaleźli się w restauracji i usiedli przy stoliku, przypomniała synowi, że w tym tygodniu do niego należy wybór zajęcia na niedzielne popołudnie przed urodzinami dziadka.

– Jakie mamy plany? Kino? Wycieczka?

– Jeszcze nie wiem. – Wes długo studiował menu. Maggie chciała za mówić naleśniki na wynos dla psów. Dance wyjaśniła, że nie przyszedli tu świętować spotkania ze swoimi pupilami, ale po prostu dlatego, że nie miała ochoty gotować.

Gdy na stole pojawiły się duże, parujące talerze, Wes zapytał:

– Słyszałaś o tej imprezie festiwalowej? O łodziach?

– Łodziach?

– Dziadek mówił, że na zatoce ma być parada łodzi i koncert. Na Cannery Row.

Dance przypomniała sobie coś o festiwalu Johna Steinbecka.

– W niedzielę? Tam chcesz iść?

– Nie, jutro odrzekł Wes. – Byłoby fajnie. Możemy?

Dance roześmiała się w duchu. Chłopiec nie mógł wiedzieć o jutrzejszej kolacji z Kelloggiem. A może wiedział? W sprawach dzieci Dance kierowała się intuicją; dlaczego to nie mogło działać w drugą stronę?

Oblała naleśniki syropem, pozwalając sobie na kawałek masła. Zwlekała z odpowiedzią.

– Jutro? Niech się zastanowię.

Widząc pochmurną minę Wesa, miała ochotę zadzwonić do Kellogga i odłożyć lub nawet odwołać kolację.

Czasem tak jest po prostu łatwiej...

Powstrzymała Maggie przed zatopieniem naleśników w przerażającej ilości syropu borówkowego i truskawkowego, po czym spojrzała na Wesa i pod wpływem impulsu powiedziała:

– Och, przypomniałam sobie, kochanie. Nie mogę. Mam już inne plany.

– Ale jestem pewna, że dziadek chętnie z wami pójdzie.

– Co chcesz robić? Spotkać się z Connie? Albo Martine? Może też będą chciały pójść. Moglibyśmy iść wszyscy. I zabrać bliźniaki.

– Tak, mam, bliźniaki! – podchwyciła Maggie.

Dance wciąż się zastanawiała. Przypomniała sobie słowa terapeutki.

*Kathryn, nie możesz przykładać wagi do tego, co mówi. Rodzice często uważają, że dzieci wysuwają uzasadnione zastrzeżenia wobec potencjalnych kandydatów na ojczyma czy macochę, a nawet osób, którymi matka czy ojciec interesują się tylko przelotnie. Nie możesz myśleć w ten sposób. Niepokoi go sam fakt, który w jego oczach jest zdradą pamięci ojca. Ale to nie ma nic wspólnego z osobą twojego partnera.*

Podjęła decyzję.

– Nie. Idę na kolację z człowiekiem, z którym pracuję.

– Z agentem Kelloggiem – wypalił chłopiec.

– Zgadza się. Niedługo musi wracać do Waszyngtonu i chciałam mu podziękować za wszystko, co dla nas zrobił.

Poczuła się głupio, uznając, że niepotrzebnie daje do zrozumienia, iż Kellogg na dłuższą metę nie stanowi zagrożenia, ponieważ daleko mieszka. (Czuły jak radar umysł Wesa mógł też wyciągnąć pochopny wniosek, że Dance już snuje plany oderwania ich od rodziny i przyjaciół na półwyspie i przeprowadzki do stolicy).

Aha – rzekł chłopiec, krojąc naleśniki i żując je w zamyśleniu. Dance traktowała jego apetyt jak barometr nastroju.

Hej, synu, o co chodzi?

O nic.

– Dziadek bardzo chętnie pójdzie obejrzyć z tobą lodzie.

Jasne.

Znów pod wpływem impulsu zapytała:

– Nie lubisz Winstona?

– Jest w porządku.

– Możesz mi powiedzieć. – Dance także traciła zainteresowanie jedzeniem.

– Nie wiem... nie jest taki jak Michael.

– Rzeczywiście, nie jest. Ale niewielu ludzi przypomina Michaela. – Drogiego przyjaciela, który akurat nie odpowiada na moje telefony. – Co nie znaczy, że nie mogę iść z nim na kolację, prawda?

– Chyba tak.

Jedli przez kilka minut. Wreszcie Wes wyrzucił z siebie:

– Maggie też go nie lubi.

– Wcale tak nie mówiłam! Nie mów rzeczy, których nie mówiłam.

– Mówiłaś. Powiedziałaś, że ma duży brzuch.

– Nieprawda. – Ale jej rumieniec świadczył, że to prawda.

Dance uśmiechnęła się i odłożyła widelec.

– Słuchajcie. To, że z kimś pójdę na kolację, a nawet do kina, niczego nie zmieni. Nie zmieni naszego życia, naszego domu, psów. Niczego. Obiecuję. Jasne?

– Jasne – odrzekł Wes. Odpowiedź była odruchowa, choć nie wyglądał na zupełnie nieprzekonanego.

Teraz z kolei zmartwiła się Maggie.

– To już nigdy nie wyjdiesz za mąż?

– Mags, skąd to pytanie?

– Tylko się zastanawiam.

– Nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabym jeszcze raz wyjść za mąż.

– Ale nie powiedziałaś nie – mruknął Wes.

Dance roześmiała się, słysząc ripostę godną mistrza przesłuchań.

– Tak brzmi moja odpowiedź. Nawet sobie nie wyobrażam.

– Chcę być drużbą – oznajmiła Maggie.

Druhną – poprawiła Dance. – Ale nie zwracajmy sobie głowy głupstwami.

Trzeba spałaszować naleśniki, wypić mrożoną herbatę i ułożyć plany na niedzielę.

Musisz się nad nimi zastanowić.

– Zastanowię się. – Wes chyba się uspokoił.

Dance dokończyła kolację, czując rozpierającą ją radość z powodu zwycięstwa: była szczerą wobec syna i otrzymała zgodę na randkę. Dziwne, ale ten mały krok znacznie złagodził okropności wydarzeń minionego dnia.

Nieoczekiwanie uległa prośbom Maggie i zamówiła po naleśniku z kiełbaską dla psów, bez syropu. Dziewczynka podała jedzenie z tyłu samochodu. Dylan, owczarek niemiecki, kilkoma kłapanieciami pożarł swoją porcję, a dystygowana Patsy skubała kiełbaskę z namaszczeniem, po

czym schowała naleśnik w niedostępnym miejscu między siedzeniami samochodu, zostawiając go na czarnej godzinie.

W domu Dance poświęciła kilka godzin na obowiązki oraz odbieranie telefonów: rozmawiała między innymi z Mortonem Walkerem, który jeszcze raz dziękował jej za to, co zrobiła dla jego rodziny.

Winston Kellogg nie dzwonił i była to dobra wiadomość (oznaczało to, że wciąż są umówieni).

Michael O'Neil też nie dzwonił i była to gorsza wiadomość.

Stan Rebecki Sheffield, która przeszła poważną operację, był stabilny. Miała zostać w szpitalu pod strażą na sześć czy siedem dni. Konieczne były kolejne operacje.

Dance porozmawiała z Martine Christensen o stronie internetowej American Tunes i załatwiwszy sprawy służbowe, mogła pomyśleć o deserze: po słodkiej kolacji rozsądnym wyborem wydawał się popcorn. Dance znalazła film z Wallace'em i Gromitem, przewinęła taśmę i w ostatniej chwili uratowała ziarna kukurydzy przed katastrofą w kuchence mikrofalowej, zanim torebka stanęła w ogniu jak w zeszłym tygodniu.

Właśnie wsypywała popcorn do miski, gdy znów zadzwonił telefon.

– Mamo, umieram z głodu – oznajmił zniecierpliwiony Wes.

Uwielbiała ten ton. Oznaczał, że chłopiec otrząsnął się już ze złego nastroju.

To TJ powiedziała, patrząc na wyświetlacz komórki.

– Pozdrów – odrzekł chłopiec, wsypując do ust garść prażonej kukurydzy.

– Wes pozdrawia.

– Nawzajem. Aha, powiedz mu, że dostałem się na ósmy poziom w „Zargu”.

– To dobrze?

– Jeszcze jak!

Dance przekazała wiadomość Wesowi, którego oczy rozblęły.

– Ósmy? Niemożliwe!

– Jest pod wrażeniem. Mów, o co chodzi.

– Kto przejmuje interes?

– Interes?

– Dowody, raporty, e-maile i tak dalej. Cały majdan, pamiętasz?

Pytał, kto napisze raport zamknięcia sprawy. W tym wypadku zapowiadał się opasły dokument, zważywszy na liczbę przestępstw i masę papierów związanych ze współpracą między instytucjami. Sprawę prowadziła Dance i sporządzenie protokołu leżało w gestii CBI.

– Ja. Właściwie powinnam powiedzieć „my”.

– Woląłem pierwszą odpowiedź, szefowo. A, przy okazji, pamiętasz „Nimue”?

Tajemnicze słowo...

– Pamiętam, i co?

– Właśnie znalazłem jeszcze jedno znaczenie. Chcesz, żebym to sprawdził?

– Chyba tak będzie lepiej. Chcę postawić kropki nad każdym i, że się tak wyrażę.

– Możemy się umówić na jutro? Mam dzisiaj małe spotkanko, nic wielkiego, ale Lucretia może się okazać kobietą moich marzeń.

– Chodzisz z dziewczyną o imieniu Lucretia? Może powinieneś się przygotować... Wiesz co? Przywieź mi cały majdan. I to, co masz o „Nimue”.

Sama się do tego zabiorę.

– Szefowo, jesteś aniołem. Czuj się zaproszona na wesele.

**Piątek**

## **Rozdział 58**

Kathryn Dance, w czarnym kostiumie i bawełnianym sweterku w kolorze czerwonego wina, siedziała na tarasie restauracji „Bay View” przy Fisherman’s Wharf w Monterey.

Lokal w pełni zasługiwał na swoją nazwę\*, ponieważ roztaczał się z niego pocztówkowy widok na rozległe wybrzeże aż do Santa Cruz, które w tej chwili pozostawało jednak niewidoczne. Pogoda tego ranka była typowa dla przełomu wiosny i lata na półwyspie. Całe nabrzeże spowijała mgła gęsta jak dym z zalanego wodą ogniska. Temperatura nie przekraczała trzynastu stopni.

Poprzedniego wieczoru Dance była w radosnym nastroju. Daniel Pell przestał stanowić zagrożenie, Linda dochodziła do siebie, Walker i jego rodzina ocaleli.

Umówiła się z Winstonem Kelloggiem na „potem”.

Dziś jednak było inaczej. Osaczyło ją przygnębienie, z którego nie potrafiła się otrząsnąć, a jej nastrój nie miał nic wspólnego z pogodą. Jedną z wielu przyczyn tego stanu była myśl o pogrzebach i uroczystościach żałobnych na cześć strażników zamordowanych w sądzie, zastępców szeryfa, którzy zginęli wczoraj w Point Lobos Inn, oraz Juana Millara.

Pociągnęła łyk kawy. Nagle zaskoczona ujrzała kolibra, który nadleciał znikąd i zanurzył dziób w karmniku zawieszonym na końcu tarasu, przy klombie gardenii.

Po chwili zjawił się inny i odpędził pierwszego. Ptaki były piękne jak klejnoty, lecz zajadłością potrafiły dorównać psom łańcuchowym.

– Cześć – usłyszała.

Winston Kellogg nadszedł z tyłu, objął ją ramieniem i pocałował w policzek.

Nie za blisko ust, nie za daleko. Uśmiechnęła się i uściśnęła go.

Usiadł.

\* Bayview widok na zatokę (przyp. tłum.).

Dance przywołała gestem kelnerkę, która ponownie napełniła jej filiżankę i nalaa kawy Kelloggowi.

– Zrobiłem rekonesans okolicy – powiedział agent. – Pomyślałem, że wieczorem możemy pojechać do Big Sur. Znalazłem taki lokal Ventana.

– Piękny. Od lat tam nie byłam. Restauracja jest wspaniała. Ale to kawał drogi.

– Jestem gotowy. Autostradą numer jeden, zgadza się?

Która mijala Point Lobos. Dance wróciła myślą do huków strzałów, krwi, widoku Daniela Pella leżącego na plecach, jego zgaszonych błękitnych oczu nieruchomo wpatrzonych w ciemne niebo.

– Dzięki, że zgodziłeś się tak wcześnie wstać – powiedziała.

– Śniadanie i kolacja z tobą. Cała przyjemność po mojej stronie.

Posłała mu kolejny uśmiech.

– Sytuacja wygląda tak. TJ chyba wreszcie rozwiązał zagadkę „Nimue”.

Kellogg skinął głową.

– Tego Pell szukał w Capitoli.

– Z początku sądziłam, że to nick sieciowy, potem, że nazwa może mieć coś wspólnego z grą komputerową „NiXmue”, dość popularną.

Agent pokręcił głową.

– Podobno jest na topie. Powinnam się skonsultować z ekspertami – to znaczy z dziećmi. W

każdym razie chodziła mi po głowie myśl, że Pell i Jimmy poszli do Croytonów ukraść jakieś cenne oprogramowanie. Przypomniałam sobie, jak Reynolds mówił, że Croyton przekazał wszystkie swoje materiały i oprogramowanie uniwersytetowi CSUMB. Podejrzewałam, że może Pell zamierza skraść coś z archiwum uniwersyteckiego. Ale nie, okazało się, że Nimue to co innego.

– Co?

– Nie jesteśmy pewni. Dlatego właśnie chciałam cię prosić o pomoc. TJ znalazł plik w komputerze Jennie Marston. Nazywał się... – Dance wygrzebała kartkę i przeczytała: – „Nimue – samobójstwo w sekcje w LA”.

– Co było w pliku?

– Na tym polega problem. TJ próbował go otworzyć. Ale jest chroniony hasłem. Będziemy musieli wysłać go do centrali CBI w Sacramento, ale szczerze mówiąc to może potrwać parę tygodni. Być może to nic istotnego, chciałabym się jednak dowiedzieć, o co w tym chodzi. Miałam nadzieję, że znajdziesz w biurze kogoś, kto szybciej to rozszyfruje.

Kellogg powiedział jej, że słyszał o specu komputerowym z biura terenowego FBI w San Jose – w sercu Doliny Krzemowej.

– Kto jak kto, ale on na pewno sobie z tym poradzi. Jeszcze dzisiaj mu to podrzucę.

Podziękowała i podała mu laptopa opakowanego w plastikową torbę z dołączoną kartą ewidencyjną dowodu rzeczowego. Podpisał kartę i położył torbę obok siebie.

Dance dała znak kelnerce. Miała ochotę najwyżej na jedną grzanekę, natomiast Kellogg zamówił pełne śniadanie.

– Opowiedz mi teraz o Big Sur – zaproponował. – Musi tam być ładnie.

– Przepięknie – odparła. – To jedno z najbardziej romantycznych miejsc, jakie można zobaczyć na świecie.

Winston Kellogg przyjechał po Kathryn Dance do biura o wpół do szóstej.

Agent był ubrany półoficjalnie. Pod względem stroju stanowili z Dance prawie idealnie dobraną parę: brązowe marynarki, jasne koszule i dżinsy – on niebieskie, ona czarne. Wprawdzie wybierali się do Ventany, luksusowego hotelu, restauracji i winiarni, ale przecież byli w Kalifornii. Garnitur i krawat obowiązywał tylko w San Francisco, Los Angeles i Sacramento.

I oczywiście na pogrzebach, nie mogła nie pomyśleć Dance.

– Najpierw załatwmy sprawy zawodowe. – Otworzył aktówkę i podał jej plastikową torbę z komputerem Dell znalezionym w Butterfly Inn.

– Och, już masz? – zdziwiła się. – A więc zaraz się wyjaśni zagadka Nimue.

Skrzywił się.

– Niestety nie. Przykro mi.

– Nic?

– Zdaniem technika z biura albo ktoś celowo napisał bezsensowny tekst, albo w pliku była ukryta bomba kasująca dane.

– Bomba?

– Coś w rodzaju cyfrowej miny. Kiedy TJ próbował otworzyć plik, rozsypał się w drobny mak. To też nawiasem mówiąc było ich określenie.

– W drobny mak.

– W ciąg przypadkowych znaków.

– Nie da się tego odtworzyć?

– Nie. A możesz mi wierzyć, to najlepsi fachowcy w tej branży.

– Zresztą to chyba i tak nie ma większego znaczenia – powiedziała Dance, wzruszając ramionami.

Mało ważny niewyjaśniony szczegół.

Uśmiechnął się.

– Jestem taki sam. Nie cierpię, kiedy w sprawie zostają jakieś nierozwikłańce.

Tak je nazywam.

– Nierozwikłańce. Ładne.

– To co, możemy iść?

– Jeszcze chwileczkę. – Wstała i podeszła do drzwi. W korytarzu stali Albert Tempie i TJ.

Spojrzała na nich i z westchnieniem skinęła głową.

Zwalisty agent z ogoloną głową wkroczył do gabinetu, a tuż za nim podążał TJ.

Obaj wyciągnęli broń – Dance nie miała serca tego zrobić – a kilka sekund później Winston Kellogg został rozbrojony i skuty kajdankami.

– O co chodzi, do cholery? – wrzasnął.

Odpowiedzi udzieliła mu Dance, zaskoczona własnym spokojem.

– Winstonie Kellogg, jesteś aresztowany za morderstwo Daniela Pella.

## **Rozdział 59**

Siedzieli w pokoju przesłuchań numer 3 biura CBI w Monterey, ulubionym pokoju Dance. Pomieszczenie było trochę większe niż drugie (pokój numer 1, ponieważ dwójki nie było), a lustro weneckie bardziej lśniące. Przez małe okno, kiedy pozostawało odsłonięte, widać było drzewo. Czasem w trakcie przesłuchań Dance wykorzystywała je, by odwrócić uwagę przesłuchiwanym lub skłonić ich do zeznań. Dziś jednak zasłona była zasunięta.

Dance i Kellogg byli sami. Za błyszczącym lustrem pracowała kamera wideo.

Byli tam TJ i Charles Overby, niewidoczni, choć oczywiście dowodem na obecność obserwatorów było lustro.

Winston Kellogg zrezygnował z pomocy adwokata i był gotów mówić.

Oświadczył to przedziwnie spokojnym głosem (bardzo podobnym tonem, jaki słyszała u Daniela Pella, zauważyła z niepokojem).

– Kathryn spójrzmy na to z dystansu, dobrze? Zgoda? Nie wiem, o co twoim zdaniem tu chodzi, ale to nie jest najlepszy sposób. Uwierz mi.

W podtekście tych słów kryła się arogancja – i zdrada. Dance, usiłując stłumić ból, odrzekła krótko:

– Zaczynajmy. – Nałożyła szkła w czarnych oprawkach, swoje oku lary drapieznika.

– Może ktoś przekazał ci nieprawdziwe informacje. Może powiesz mi najpierw, na czym twoim zdaniem polega problem i przekonamy się, o co właściwie chodzi?

Jak gdyby przemawiał do dziecka.

Przyjrzała się badawczo Winstonowi Kelloggowi. To takie samo przesłuchanie jak dziesiątki innych, powiedziała sobie. Choć oczywiście było inaczej. Miała przed sobą człowieka, który ją okłamał i z którym coś zaczynało ją łączyć. Kogoś, kto ją wykorzystał tak jak Daniel Pell wykorzystywał... wszystkich.

Siłą odsunęła emocje na bok, mimo że nie było to łatwe, skupiając się na czekającym ją zadaniu. Zamierzała go złamać. Nic nie mogło jej powstrzymać.

Ponieważ zdążyła go już dobrze poznać, plan analizy szybko ułożył się jej w głowie.

Musiała po pierwsze ustalić, jak go zaklasyfikować w kontekście zbrodni. Jako podejrzanego o zabójstwo.

Po drugie, czy miał motyw, by kłamać? Miał.

Po trzecie, jaki typ osobowości reprezentuje? Ekstrawertyczny, myślący, uporządkowany. Mogła go traktować z całą konieczną bezwzględnością.

Po czwarte, jaki rodzaj osobowości kłamcy przedstawia? Makiawelista. Jest inteligentny, ma dobrą pamięć, zręcznie posługuje się technikami fałszu i wykorzysta wszystkie te umiejętności, by stworzyć kłamstwa działające na własną korzyść. Jeśli zostanie przyłapany, przestanie kłamać i sięgnie po inną broń, zrzucając winę na innych, grożąc lub atakując. Będzie ją poniżał i traktował protekcjonalnie, starając się wytrącić ją z równowagi i wykorzystać jej reakcje emocjonalne. Jego zabiegi będą lustrzanym, mrocznym odbiciem działań prowadzącego przesłuchanie. Nie mogę zapominać, że postara się uzyskać informacje, których potem będzie próbował użyć przeciwko mnie, pomyślała.

Z makiawelistami należało postępować bardzo ostrożnie.

W następnym kroku analizy kinezycznej musiała określić rodzaj reakcji stresowej podczas mówienia nieprawdy – gniew, zaprzeczenie, depresja lub targowanie się – i gruntownie zbadać jego wersję przebiegu zdarzeń, gdy rozpozna symptomy jednej z tych reakcji.

Tu jednak pojawiał się problem. Dance była jednym z najlepszych analityków mowy ciała w kraju, lecz dotąd nie zauważyła u Kellogga oznak kłamstwa, mimo że częstował ją nimi szczerze. Na ogół nie uciekał się jednak do bezpośredniego kłamstwa, lecz stosował uniki – zatajanie informacji jest najtrudniej wykrywalnym rodzajem fałszu, choć Dance miała wprawę w rozpoznawaniu oznak przemilczania prawdy. Co ważniejsze, doszła do wniosku, że Kellogg należy do nielicznej grupy ludzi prawie całkowicie odpornych na analizę kinezyczną i działanie wariografu: zamkniętych w sobie osób w rodzaju ludzi umysłowo chorych lub seryjnych morderców.

Do tej kategorii należą także fanatycy.

Uznała, że taką właśnie osobą jest Winston Kellogg. Nie przywódcą sekty, lecz kimś równie nawiedzonym i niebezpiecznym, człowiekiem przekonanym o słuszności swoich racji.

Mimo to musiała go złamać i dotrzeć do prawdy, a żeby tego dokonać, musiała szukać oznak stresu, by wiedzieć, gdzie ma drążyć.

Tak więc zaatakowała. Gwałtownie, z całą siłą.

Z torebki wyciągnęła cyfrowy dyktafon, położyła na stole między nimi i wcisnęła klawisz odtwarzania.

Rozległ się sygnał telefonu, a potem:

– *Wydział techniczny, Rick Adams.*

– *Nazywam się Kellogg, jestem z Dziewiątej Ulicy. PZWP.*

– *Witam, agencie Kellogg. Czym mogę służyć?*

– *Jestem w okolicy i mam kłopot z komputerem. Dostałem chroniony plik, a człowiek, który mi go przysłał, zapomniał hasła. Mam system Windows XP.*

– *Jasne, nie ma sprawy. Poradzę sobie z tym.*

– *Wolałbym was nie wykorzystywać do prywatnej roboty. W centrali bardzo się burzą z tego powodu.*

– *Mamy niezłą ekipę w Cupertino, której dajemy zarobić. Tani nie są.*

– *A szybcy?*



– Z czymś takim? Pewnie.

– Świetnie. Proszę mi dać ich numer.

Wyłączyła dyktafon.

– Okłamałeś mnie. Powiedziałeś, że szyfr złamał technik z biura.

– Powiedziałem...

– Winston, Pell niczego nie pisał o Nimue ani o samobójstwach. Sama wczoraj stworzyłam ten plik.

Patrzył na nią bez słowa.

– Nimue to był fałszywy trop. Ja umieściłam to w komputerze Jennie. TJ

rzeczywiście znalazł coś na temat Nimue, ale chodziło tylko o artykuł. Wywiad z Alison Sharpe w lokalnej gazecie w Montanie – „Miesiąc z Danielem Pellem”, czy coś takiego. Poznali się w San Francisco dwanaście lat temu, kiedy mieszkała z grupą ludzi podobną do Rodziny, która nazywała się Nimue. Przywódca nadawał

każdemu imię postaci z legend arturiańskich. Alison i Pell jeździli autostopem po stanie, ale kiedy zgarnęli go w Redding pod zarzutem morderstwa, dziewczyna go zostawiła. Pell prawdopodobnie nie znał jej nazwiska, dlatego szukał tylko dwóch słów, które mogły go naprowadzić na jej ślad – Alison i Nimue. Chciał ją odnaleźć i zabić, bo wiedziała, gdzie jest jego góra.

– A więc spreparowałaś plik i poprosiłaś mnie o pomoc w złamaniu hasła. Po co ta maskarada, Kathryn?

– Powiem ci, po co. Język ciała dotyczy nie tylko żywych. Można też sporo wyczytać z pozycji zwłok. Wczoraj wieczorem TJ przywiózł mi wszystkie akta do raportu zamknięcia sprawy. Oglądałam zdjęcia z Point Lobos. Coś mi w nich nie pasowało. Pell nie ukrywał się za skałami. Leżał na wznak na otwartej przestrzeni.

Miał zgięte nogi i plamy wody i piasku na kolanach. Obu kolanach. To mnie zastanowiło. Pod czas walki ludzie zazwyczaj przykucają albo przynajmniej opierają się jedną nogą o ziemię. Widziałam ciało w dokładnie takiej samej pozycji w sprawie człowieka, którego zamordowano na zlecenie gangu. Przed strzałem zmuszono go, żeby ukląkł i błagał o litość. Po co Pell miałby wychodzić z kryjówki, klękać na obu kolanach i dopiero wtedy do ciebie strzelać?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Bez cienia emocji.

– Z raportu koronera wynika, że sądząc z kąta, pod jakim pociski przeszły przez jego ciało, stałeś wyprostowany, nie kucałeś. Gdyby to była prawdziwa wymiana ognia, przyjąłbyś pozycję obronną, trzymając się nisko przy ziemi...

Przypomniałam sobie też kolejność dźwięków. Najpierw wybuchł granat błyskowy, potem, po krótkiej przerwie usłyszałam strzały. Sądzę, że zobaczyłeś, gdzie jest, wrzuciłeś granat, podbiegłeś i go rozbroiłeś. Potem kazałeś mu uklęknąć i rzuciłeś na ziemię kajdanki, że by się skuł. Kiedy po nie sięgał, zastrzeliłeś go.

– To niedorzeczne.

Niezrażona ciągnęła:

– A granat błyskowy? Po akcji w Sea View powinieneś zdać uzbrojenie i amunicję. Zgodnie z procedurą. Po co miałbyś zostawiać sobie granat? Bo czekałeś na okazję, żeby zabić Pella. – Uniosła dłoń. – Wszystko jedno, czy moja teoria jest niedorzeczna, czy nie, śmierć Pella wzbudziła moje wątpliwości. Pomyślałam, że powinnam sięgnąć głębiej. Chciałam więcej o tobie wiedzieć.

Dostałam twoje akta od przyjaciela mojego męża z Dziewiętej Ulicy. Poznałam parę ciekawych faktów.

Brałeś udział w próbie zatrzymania przywódców sekt, podczas których podejrzani zostali zastrzeleni. Dwaj inni przywódcy sekt popełnili samobójstwo w niejasnych okolicznościach, kiedy byłeś konsultantem miejscowej policji, pomagając jej w śledztwie.

Najbardziej zastanawiające było samobójstwo w Los Angeles. Kobieta stojąca na czele sekty wyskoczyła przez okno z szóstego piętra, dwa dni po twoim przyjeździe do miasta. Zagadkowa rzecz – nikt nigdy nie słyszał, żeby wcześniej wspominała o samobójstwie. Nie zostawiła listu. Zgadza się, toczyło się przeciw niej śledztwo, ale z powodu oszustw podatkowych. Dziwny powód, żeby odbierać sobie życie.

Dlatego musiałam cię sprawdzić, Winston. Napisałam w tym pliku dokument.

To był fałszywy e-mail z wiadomością, jakoby dziewczyna o imieniu Nimue należała do sekty tej kobiety, która popełniła samobójstwo, i miała informacje o podejrzanych okolicznościach jej śmierci.

Dostałam nakaz na podsłuch twojego telefonu, zabezpieczyłam plik zwykłym hasłem Windows i dałam ci komputer, żeby się przekonać, co zrobisz. Gdybyś mi powiedział, że przeczytałeś e-mail i czego się z niego dowiedziałeś, sprawy w ogóle by nie było. Jechalibyśmy teraz do Big Sur.

Ale nie, zadzwoniłeś do technika, zleciłeś prywatnej firmie złamanie hasła i przeczytałeś dokument. Nie było w nim żadnej bomby. Nic się nie rozsypało w drobny mak. Sam zniszczyłeś plik. Oczywiście musiałeś. Bałeś się, że odkryjemy, iż od sześciu lat jeździsz po kraju i mordujesz ludzi takich jak Daniel Pell.

Kellogg parsknął śmiechem. Zauważyła lekkie odchylenie od wzorca: inny ton głosu. Owszem, być może był zamkniętym w sobie fanatykiem, ale odczuwał stres.

Trafiła blisko czułego punktu.

– Proszę cię, Kathryn. Po co miałbym to robić?

– Z powodu córki – odrzekła, nie bez współczucia.

Fakt, że nie zareagował, tylko patrzył jej w oczy, jak gdyby zastygł w ogromnym bólu, stanowił wskazówkę – choć ledwie zauważalną – że Dance zbliża się do prawdy.

– Niełatwo mnie oszukać, Winston. A ty jesteś w tym bardzo, bar dzo dobry.

Tylko raz dostrzegłam u ciebie odstępstwo od typowego za chowania – kiedy była mowa o dzieciach i rodzinie. Ale nie zwróciłam na to szczególnej uwagi. Najpierw przypuszczałam, że to z powodu nas, że nie czujesz się swobodnie z dziećmi i walczysz z myślą, że mogłyby pojawić się w twoim życiu.

Potem chyba zauważyłeś moją ciekawość czy podejrzliwość i wyznałeś, że kłamałeś, że jednak miałeś córkę. Powiedziałeś mi o jej śmierci. To powszechnie stosowana sztuczka – przyznać się do jednego kłamstwa, żeby przykryć związane z nim inne. Na czym polegało kłamstwo? Rzeczywiście twoja córka zginęła w wypadku samochodowym, ale niezupełnie tak, jak to opisałeś. Prawdopodobnie zniszczyłeś raport policyjny w Seattle – nikt nie umiał go znaleźć – ale TJ i ja odtworzyliśmy całą historię.

Kiedy twoja córka miała szesnaście lat, uciekła z domu, bo rozwodziłeś się z żoną. Trafiła do pewnej grupy w Seattle – bardzo podobnej do Rodziny. Spędziła tam pół roku. Potem razem z trzema członkami sekty popełnili zbiorowe samobójstwo, ponieważ przywódca kazał im odejść, dlatego że okazali się nie dość lojalni. Wjechali samochodem do Cieśniny Puget.

*To straszna myśl, że można zostać wyrzuconym z rodziny...*

– Później wstąpiłeś do PZWP i odtąd powstrzymywanie takich ludzi stało się treścią twojego życia. Tylko że czasami przeszkadzało ci w tym prawo. I musiałeś wziąć sprawy w swoje ręce. Zanim przyjechałeś na półwysep, byłeś w Chicago.

Dzwoniłam do znajomego z policji w Chicago. Pomagałeś im na miejscu jako ekspert od sekt. Według raportu twierdziłeś, że podejrzany strzelił do ciebie, musiałeś więc „zneutralizować zagrożenie”. Ale nie sądzę, żeby strzelał. Myślę, że go zabiłeś, a potem sam się zraniłeś. – Pokazała na swoją szyję, mając na myśli jego bandaż. – Czyli to też jest morderstwo, tak jak w wypadku Pella.

Poczuła gniew. Pojawił się nagle, jak słońce wyłaniające się zza ciemnej chmury. Musisz się bardziej kontrolować, powiedziała sobie. Ucz się od Daniela Pella.

Ucz się od Winstona Kellogga.

– Rodzina ofiary złożyła skargę. Twierdzili, że został wrobiony. Owszem, miał grubą kartotekę. Tak samo jak Pell. Ale nigdy w życiu nie dotknął pistoletu. Bał się zarzutu o napaść z bronią w ręku.

– Miał ją w ręku na tyle długo, żeby do mnie strzelić.

Lekki ruch stopy Kellogga. Prawie niewidoczny, ale wyraźnie sygnalizujący stres. A więc nie był całkiem odporny. Odpowiedź była kłamstwem.

– Dowiemy się więcej po lekturze dokumentów. Jesteśmy też w kontakcie z innymi stanami. Wygląda na to, że zgłaszasz się do pomocy miejscowej policji w całym kraju, ilekroć zdarza się przestępstwo z sektą w tle.

Charles Overby dawał im do zrozumienia, że sprowadzenie federalnego specjalisty od sekt było jego pomysłem. Poprzedniego wieczoru Dance zaczęła podejrzewać, że prawdopodobnie stało się inaczej i spytała szefa bez ogródek, w jaki sposób agent FBI został włączony w śledztwo w sprawie Pella. Overby kluczył

i kręcił, lecz w końcu przyznał, że to Kellogg poinformował Amy Grabe z biura terenowego FBI w San Francisco, że jedzie na półwysep jako konsultant w pościgu za Pellem; decyzja nie podlegała dyskusji. Zjawił się tu zaraz po uporządkowaniu papierów sprawy w Chicago.

– Przeanalizowałam całą sprawę Pella. Michael O’Neil był niezadowolony, że zamiast obserwacji wolałeś szturm na pokój w Sea View. A ja nie rozumiałam, dlaczego chcesz wejść pierwszy. Znam już odpowiedź – żeby mieć okazję zastrzelić Pella. Wczoraj, na plaży w Point Lobos, kazałeś mu uklęknąć. A potem go zabiłeś.

– To ma być twój dowód, że go zamordowałem? Ułożenie ciała? Kathryn, doprawdy.

– Ekipa kryminalistyczna znalazła łuskę pocisku, który wystrzeliłeś w moją stronę, gdy byłam na klifie.

Słyszac to, zamilkł.

– Och, rozumiem, że nie zamierzałeś mnie zabić. Chciałeś tylko, że bym nie ruszała się z miejsca, została tam z Samanthą i Lindą i nie prze szkodziła ci w zabiciu Pella.

– To był przypadkowy strzał – odparł rzeczowym tonem. – Nie ostrożność.

Powiniennem się od razu przyznać, ale się wstydzilem. W końcu jestem profesjonalistą, a tu coś takiego...

Kłamstwo...

Pod spojrzeniem Dance jego ramiona nieznacznie opadły. Zacisnął usta. Dance wiedziała, że nie ma sensu oczekiwać przyznania się do winy – nawet na nie nie liczyła – ale Kellogg wyraźnie

przeszedł do innego stanu reakcji stresowej.

Widocznie nie był zupełnie obojętną maszyną. Trafiła celnie i cios okazał się bolesny. Dla Kathryn Dance było to równoznaczne z przyznaniem się do winy.

– Nie opowiadam o swojej przeszłości ani o tym, co się stało z moją córką.

Może powinienem powiedzieć ci więcej, ale ty też raczej mało mówisz o swoim mężu. – Zamilkł na chwilę. – Rozejrzyj się wokół nas, Kathryn. Przyjrzyj się światu. Jesteśmy tacy podzieleni, tacy potłuczeni. Rodzina to ginąca instytucja, a jednak wszyscy pragniemy jej ciepła. Umieramy z pragnienia... I co się dzieje?

Zjawiają się tacy jak Daniel Pell. I mamią bezbronnych i słabych. Pomyśl o kobietach z Rodziny – Samancie i Lindzie. Były grzecznymi dziećmi, nigdy nie zrobiły niczego naprawdę złego. I nagle zostają uwiedzione przez mordercę.

Dlaczego? Bo kusił je tym, czego nigdy nie miały: rodziną.

Byłoby tylko kwestią czasu, kiedy one albo Jennie Marston czy ktoś inny omotany przez niego zaczęłyby zabijać. Albo porywać dzieci. Znęcać się nad nimi.

Nawet w więzieniu Pell znalazł sobie wyznawców. Hu z nich po zwolnieniu zaczęło robić to samo co on?... Tych ludzi trzeba powstrzymywać. Jestem wobec nich agresywny i mam niezłe wyniki. Ale nie przekraczam granic.

Swoich granic, Winston. Ale nie możemy stosować twoich norm. Nie tak działa ten system. Daniel Pell też uważał, że nie robi nic złego.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami – emblemat, który miał oznaczać: ty widzisz to tak, ja inaczej. I nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

To oczywiście był komunikat niewerbalny. Ale dla Dance brzmiał równie czytelnie jak deklaracja „przyznaję się do winy”.

Nagle uśmiech zniknął, tak jak poprzedniego dnia na plaży.

– Ale musisz wiedzieć jedno. To, co było między nami, było prawdziwe. Bez względu na to, co o mnie myślisz, to było prawdziwe.

Kathryn Dance przypomniała sobie, jak szli korytarzem w CBI i Kellogg ze smutkiem powiedział coś o Rodzinie, dając jej do zrozumienia, że w jego życiu panuje pustka: samotność, praca zastępująca nieudane małżeństwo, tragiczna śmierć córki. Dance nie wątpiła, że choć ją okłamał, nie zdradzając celu swojej misji, to jednak ten samotny mężczyzna naprawdę próbował się do niej zbliżyć.

Okiem analityka mowy ciała dostrzegła też, że słowa „to było prawdziwe” są szczerze.

Ale zupełnie nieistotne dla przesłuchania i niewarte jakiegokolwiek odpowiedzi.

Między jego brwiami pojawiła się zmarszczka, a na twarz powrócił fałszywy uśmiech.

– Kathryn, to naprawdę nie jest dobry pomysł. Takie śledztwo będzie koszmarem. Dla CBI... i dla ciebie.

– Dla mnie?

Kellogg w zamyśleniu zacisnął usta.

– Przypominam sobie, że pojawiło się parę pytań związanych ze sposobem prowadzenia przesłuchania w sądzie w Salinas. Być może w jego trakcie Pell dowiedział się czegoś, co pomogło mu w ucieczce. Nie znam szczegółów. Może to nic ważnego. Ale słyszałem, że Amy Grabe ma jakąś notatkę na ten temat. –

Wzruszeniu ramion towarzyszył metaliczny szcęk kajdanek.

Wracała sprawa uwagi, którą Overby przekazał federalnym, chcąc chronić własny tyłek. Dance zakipiła oburzeniem, słysząc te pogrożki, lecz nie zdradziła się żadnym wskaźnikiem emocji. Wzruszyła ramionami jeszcze bardziej lekceważąco niż on.

Jeżeli ten temat się pojawi, będziemy po prostu musieli przyjrzeć się faktom.

– Tak sądzę. Mam tylko nadzieję, że to na dłuższą metę nie wpłynie na twoją karierę.

Zdejmując okulary, przysunęła się bliżej, przekraczając granicę osobistej strefy proksemicznej.

– Jednego jestem ciekawa, Winston. Co powiedział Daniel, zanim go zabiłeś?

Rzucił broń i klęczał, sięgając po kajdanki. Potem na ciebie spojrzał. I już wiedział, prawda? Nie był głupi. Wiedział, że już po nim. Powiedział coś?

Kellogg bezwiednie zareagował – sygnałem rozpoznania – lecz nie odpowiedział.

Jej wybuch był oczywiście niewłaściwy i wiedziała, że oznaczał koniec przesłuchania. Ale to nie miało znaczenia. Uzyskała odpowiedzi, poznała prawdę –

lub przynajmniej coś bliskiego prawdzie. Co, zważywszy na niepewność naukową analizy kinezycznej, zwykle wystarczało.

## **Rozdział 60**

Dance i TJ byli w gabinecie Charlesa Overby’ego. Szef CBI siedział za biurkiem, kiwając głową i patrząc na zdjęcie, na którym wraz z synem trzymali złowionego łososa. A może spoglądał na zegar. Było wpół do dziewiątej. Agent dwa razy z rzędu został w pracy do wieczora. Rekord.

– Widziałem całe przesłuchanie. Całkiem nieźle ci poszło. Absolutnie nie. Ale spryciarz z niego. Właściwie do niczego się nie przyznał. Trudno to uznać za wyznanie winy.

– To makiawelista o antyspołecznej osobowości, Charles. Tacy jak on nie przyznają się do winy. Badałam go, żeby sprawdzić, w jaki sposób będzie się bronił i zaprzeczał. Zniszczył plik, kiedy uznał, że materiał wplątuje go w podejrzone samobójstwo w Los Angeles? Użył bezprawnie granatu? Jego pistolet

„przypadkowo” strzelił w moją stronę? Przysięgli nie będą mieli cienia wątpliwości aż do wyroku skazującego. Dla niego to przesłuchanie to była katastrofa.

– Naprawdę? Wydawał się całkiem pewny siebie.

– Faktycznie, i nieźle wypadłby w sądzie – jeżeli stanie przed sądem. Ale z punktu widzenia taktyki jego sprawa jest beznadziejna.

– Zatrzymywał uzbrojonego mordercę. Twierdzisz, że motywem była śmierć córki z powodu jakiejś sekty? To mało przekonujące.

– Nigdy za bardzo nie przejmuję się motywem... jeżeli facet zabija żonę, to naprawdę nieważne dla przysięgłych, czy zrobił to dlatego, że przypaliła mu stek, czy chciał zdobyć pieniądze z jej ubezpieczenia. Morderstwo to morderstwo.

Sprawa będzie wyglądać mniej łązawo, kiedy udowodnimy związek Kellogga z innymi zabójstwami.

Dance opowiedziała mu o pozostałych ofiarach, o podejrzanym zatrzymaniu w Chicago w zeszłym tygodniu i innych w Fort Worth i Nowym Jorku. O

samobójstwie w Los Angeles i samobójstwie w Oregonie. Do szczególnie niepokojącego zdarzenia doszło jeszcze w tym roku na Florydzie, gdzie Kellogg pojechał pomóc policji w okręgu Dade w śledztwie dotyczącym porwań. Pewien Latynos z Miami miał dom na peryferiach miasta, gdzie mieszkała komuna. Było jasne, że to grupa jego wyznawców, kilku nawet fanatycznie oddanych. Kellogg zastrzelił go podczas akcji policji, kiedy rzekomo sięgał po broń – nigdy jej nie znaleziono.

Potem jednak okazało się, że komuna prowadziła darmową jadłodajnię, miała szanowaną grupę badaczy Biblii i zbierała datki na dzienny ośrodek opieki dla dzieci samotnych pracujących rodziców. Oskarżenia o porwanie okazały się fikcyjne, a doniesienie o przestępstwie złożyła była żona Latynosa.

Miejscowe gazety wciąż kwestionowały okoliczności jego śmierci.

– Ciekawe, ale nie jestem pewien, czy to by był dopuszczalny materiał dowodowy – odparł szef. – Co ze śladami zabezpieczonymi na plaży?

Dance poczuła ukłucie żalu z powodu nieobecności Michaela O’Neila, który mógłby omówić techniczną stronę śledztwa. (Dlaczego nie dzwoni?)

– Znaleźli pocisk, który Kellogg wystrzelił w kierunku Kathryn – powiedział TJ. – Nie ma wątpliwości, że pochodzi z jego sig-sauera.

– Przypadkowy strzał... – mruknął Overby. – Uspokój się, Kathryn, ktoś musi grać rolę adwokata diabła.

– Łuski z broni Pella na plaży znaleziono bliżej miejsca, gdzie stał Kellogg.

Kellogg prawdopodobnie sam strzelił z pistoletu Pella, żeby wyglądało to na obronę własną. Aha, w laboratorium znaleźli piasek w kajdankach Kellogga. To dowodzi, że Kellogg...

– Sugeruje – poprawił Overby.

– Sugeruje, że Kellogg rozbroił Pella, wyprowadził go zza skał, rzucił kajdanki na ziemię, a kiedy Pell chciał je podnieść, zabił go.

– Słuchaj, Charles – odezwała się Dance. – Nie twierdzę, że to będzie pestka, ale Sandoval może wygrać sprawę. Jestem gotowa zeznać, że w chwili strzału Pell nie stanowił bezpośredniego zagrożenia. Wyraż nie wskazuje na to ułożenie ciała.

Wzrok Overby’ego przebiegł blat biurka, zatrzymując się na fotografii innej ryby.

– A motyw?

Nie uważał wcześniej? Prawdopodobnie nie.

– Jego córka. Zabija każdego, kto ma związek...

Szef CB1 uniósł głowę, wbijając w nią przenikliwe spojrzenie.

– Nie, nie pytam o motyw Kellogga. Chodzi o nasz motyw. Wytoczenia sprawy.

Ach, no tak. Oczywiście miał na myśli jej motyw. Czyżby odwet za to, że Kellogg ją zdradził?

– Wiesz, że to wyjdzie. Musimy mieć odpowiedź.

Szef był dziś na fali. Ale ona także.

– Bo Winston Kellogg popełnił morderstwo na naszym terenie.

Odezwał się telefon. Overby wpatrywał się w aparat, odbierając dopiero po trzecim dzwonku.

– To dobry motyw – szepnął TJ. – Na pewno lepszy, niż gdyby ci po dał spalony stek.

Szef CBI odłożył słuchawkę, patrząc na zdjęcie łososa.

– Mamy gości. – Poprawił krawat. – Z FBI.

– Charles, Kathryn...

Amy Grabe wzięła od asystentki Overby’ego kawę i usiadła. Skinęła głową TJ-owi.

Dance wybrała krzesło obok atrakcyjnej, lecz konkretnej agentki specjalnej z biura terenowego w San Francisco. Nie chciała zajmować miejsca na wygodniejszej, lecz niższej kanapie naprzeciwko kobiety – siedzenie choć o centymetr niżej od rozmówcy działa niekorzystnie na psychikę. Dance przekazała agentce najnowsze informacje dotyczące Kellogga i Nimue.

Grabe nie znała wszystkich szczegółów historii. Słuchała ze zmarszczonymi brwiami, nieporuszona, w przeciwieństwie do nerwowego Overby'ego. Jej prawa dłoń spoczywała na lewym rękawie eleganckiej marynarki koloru czerwonego wina.

– Jest agentem w czynnej służbie mordującym ludzi, Amy – zakończyła Dance.

– Okłamał nas. Przeprowadził szturm, chociaż nie było takiej potrzeby. O mały włos kilkanaście osób nie zostało rannych. Mogło być kilka ofiar śmiertelnych.

Długopis w ręku Overby'ego drgał jak pałeczka perkusisty, a pozycja ciała TJ-a mówiła: sytuacja jest faktycznie krępująca.

Badawczo patrząc spod idealnie równych brwi na wszystkich obecnych w gabinecie, Grabe powiedziała:

– To bardzo trudne i skomplikowane. Rozumiem, co się stało. Ale bez względu na to, miałam telefon. Chcą, żeby go zwolnić.

– Chcą... z Dziewiątej Ulicy?

Skinęła głową.

– I jeszcze wyżej. Kellogg to prawdziwa gwiazda. Ma świetną liczbę zatrzymań. Ocalił setki dzieciaków przed tymi sektami. Miał się teraz zająć sprawami fundamentalistów. To znaczy terrorystów. Jeżeli to wam może poprawić nastrój, rozmawiałam z naszymi ludźmi i obiecali prze prowadzić dochodzenie.

Zbadać przebieg akcji, sprawdzić, czy nie nad użyto siły.

– Najpotężniejszy rewolwer świata – wyrecytował TJ głosem Brudnego Harry'ego, lecz zamilkł pod piorunującym spojrzeniem szefa.

– Zbadać? – powtórzyła z niedowierzaniem Dance. – Mówimy o podejrzanych przypadkach śmierci – sfigowanych samobójstwach, Amy. Daj spokój, przecież to zwykła wendeta. Jezu, nawet Pell nie zniżał się do zemsty. Kto wie, co jeszcze Kellogg ma na sumieniu.

– Kathryn – ostrzegł ją szef.

– Należy pamiętać – powiedziała Grabe – że jest agentem federalnym badającym przestępstwa, których sprawcy są szczególnie sprytni i niebezpieczni.

W kilku wypadkach stawili opór i zginęli. Często się to zdarza.

– Pell wcale nie stawiał oporu. Mogę to zeznać w sądzie – jako biegła. Został zamordowany.

Overby stukał ołówkiem w nieskazitelną podkładkę na blacie biurka. Był kłębkim nerwów.

– Kellogg aresztował – bo naprawdę aresztował – wielu groźnych osobników.

Kilku zginęło.

– Świetnie, Amy, możemy to wałkować godzinami. Chodzi mi tylko o to, żeby przedstawić Sandy'emu Sandovalowi sprawę jednego jedyne go zabójstwa, czy się to Waszyngtonowi podoba, czy nie.

– Federalizm działa – mruknął TJ.

Stuk, stuk... podskakiwał ołówek. Overby odchrząknął.

– To nawet nie jest zbyt solidna sprawa – zauważyła agentka. Widocznie czytała o szczegółach w drodze na półwysep, w samochodzie albo na pokładzie helikoptera.

– Nie musi być prosta jak drut. Sandy i tak może ją wygrać.

Grabe odstawiła kubek po kawie. Obróciła spokojną twarz w stronę Overby'ego, wbijając w

niego surowe spojrzenie.

– Charles, proszą, żebyście tego dalej nie prowadzili.

Dance nie zamierzała pozwolić im odpuścić tej sprawy. No dobrze, jednym z jej motywów był fakt, że zdradził ją człowiek, który zaprosił ją na kolację i zdobył sobie jej przychylność.

*Potem... Co ty na to?*

Oczy Overby'ego wciąż błędziły wśród fotografii i pamiątek na biurku.

– Ciężka sytuacja... Wiecie, co powiedział Oliver Wendell Holmes? Powiedział, że przez ciężkie sprawy powstaje złe prawo. A może przez trudne sprawy... Nie pamiętam.

Co to miało znaczyć?, pomyślała Dance. Kathryn – odezwała się łagodnie Grabe. – Daniel Pell był niebezpieczny. Zabijał policjantów, zabijał ludzi, których znałaś, zabijał niewinnych. Wykonałaś świetną robotę w beznadziejnej sytuacji.

Powstrzymałaś naprawdę złego bandytę. A Kellogg się do tego przyczynił.

Wszystkim należy się nagroda.

– Absolutnie – rzekł Overby. Odłożył ołówek. – Wiesz, co mi to przypomina, Amy? Jacka Ruby'ego i zabójcę Kennedyego. Pamiętasz? Chyba nikt nie miał za złe Ruby'emu, że zastrzelił Oswald.

Dance zamknęła usta, zaciskając mocno zęby. Potarła kciukiem o palec wskazujący. Tak jak wcześniej szef „zapewniał” Grabe, że nie jest winna ucieczki Pella z aresztu, teraz znów zamierzał ją sprzedać. Odmawiając przekazania sprawy Sandy'emu Sandovalowi, Overby nie tylko osłaniał własny tyłek; stawał się tak samo winny morderstwa jak Kellogg. Dance odchyliła się na krześle, lekko opuszczając ramiona. Kątem oka dostrzegła grymas na twarzy TJ-a.

– Otóż to – przytaknęła Grabe. – Tak więc...

Overby przerwał jej gestem.

– Ale pamiętam też dziwną rzecz związaną z tamtą sprawą.

– Jaką sprawą? – spytała agentka FBI.

– Sprawą Ruby'ego. Teksas mimo wszystko aresztował go za morderstwo. I nie uwierzysz, ale Jack Ruby został skazany i trafił za kratki. – Wzruszył ramionami. –

Muszę powiedzieć nie, Amy. Przekazuję sprawę Kellogga do prokuratury okręgowej w Monterey. Z wnioskiem o oskarżenie go o morderstwo. Zarzutem mniejszego kalibru będzie zabójstwo. Ach, no i czynna napaść na agenta CBI.

Przecież Kellogg strzelał do Kathryn.

Kathryn Dance poczuła łomot serca. Czy na pewno się nie przesłyszała? TJ spojrzał na nią, unosząc brew. Ale Overby patrzył na Dance.

– Wydaje mi się, że powinniśmy dorzucić nadużycie procedur prawnych i okłamywanie agenta śledczego. Jak sądzisz, Kathryn?

To nie przyszło jej do głowy.

– Wspaniale.

Grabe potarła policzek krótkim paznokciem, polakierowanym na ciemnoczerwone.

– Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł, Charles?

– Och, tak. Absolutnie.

**Sobota**

**Rozdział 61**



Na łóżku w tanim motelu przy Del Monte, niedaleko autostrady numer jeden, leżała zapłakana kobieta. Słuchając szumu aut dobiegającego od drogi, wpatrywała się w sufit.

Chciała przestać płakać.

Lecz nie potrafiła.

Bo odszedł.

Jej Daniel nie żył.

Jennie Marston dotknęła rany na głowie pod opatrunkiem, która okropnie piekła. Wciąż odtwarzała w pamięci ostatnich kilka godzin, jakie spędzili razem w czwartek. Stali na plaży na południe od Carmel, a on trzymał w ręku kamień w kształcie Jasmine, kota jej matki, jedyne stworzenia, któremu matka nigdy nie zrobiłaby krzywdy.

Jej Daniel powoli obracał kamień w dłoni.

– Właśnie tak pomyślałem, najdroższa. Wygląda jak śpiący kot. – Potem objął ją mocno i szepnął: – Oglądałem wiadomości.

– Ach, w motelu?

– Zgadza się. Najdroższa, policja już o tobie wie.

– Wie...

– Znają twoje nazwisko. Wiedzą, kim jesteś.

– Wiedzą?

– Tak.

– Och, nie... Danielu, kochany, tak mi przykro... – Zaczęła drżeć.

– Zostawiłaś coś w pokoju, prawda?

Wtedy sobie przypomniała. E-mail. Kartka tkwiła w kieszeni dzinsów.

Łamiącym się głosem Jennie powiedziała:

– Wtedy pierwszy raz napisałeś, że mnie kochasz. Nie mogłam tego wyrzucić.

Kazałeś mi, ale po prostu nie mogłam. Tak mi przykro. Nie...

– Już dobrze, najdroższa. Ale musimy porozmawiać.

– Oczywiście, kochany – przytaknęła, przygotowując się na najgorsze. Gładziła garbatego nos i wiedziała, że nie pomoże jej nawet ciche powtarzanie „anielskie pieśni, anielskie pieśni”.

Chciał ją zostawić. Kazać jej odejść.

Ale sytuacja była bardziej skomplikowana. Okazało się, że współpracuje z nim jedna z kobiet z Rodziny. Rebecca. Zamierzali razem założyć nową Rodzinę, uciec na szczyt jego góry i tam się osiedlić.

– Nie miałaś z nami jechać, najdroższa, ale kiedy cię poznałem, zmieniłem zdanie. Wiedziałem, że nie mogę bez ciebie żyć. Porozmawiam z Rebeccą. To może trochę potrwać. Rebecca jest... trudna. Ale w końcu zrobi to, co powiem.

Polubicie się.

– Nie wiem.

– Najdroższa, tylko ty i ja będziemy naprawdę razem. Z nią nigdy nie byłem tak związany jak z tobą. Chodziło o coś innego.

Jeżeli miał na myśli tylko seks, to w porządku. Jennie nie była o to zazdrosna.

Zazdrość budziła w niej tylko myśl, że mógłby kochać kogoś innego, komuś innemu opowiadać zabawne i ciekawe historie, kogoś innego nazywać swoją najdroższą.

– Ale teraz musimy być ostrożni – ciągnął. – Policja już cię zna i bez trudu może cię odnaleźć.

Dlatego musisz zniknąć.

– Zniknąć?

– Na jakiś czas. Miesiąc czy dwa. Och, mnie też to się nie podoba. Będę za tobą tęsknił.

Widziała, że mówi szczerze.

– Nie martw się. Wszystko się ułoży. Nie zostawię cię.

– Naprawdę?

– Będziemy udawać, że cię zabiłem. Policja przestanie cię szukać. Będę cię musiał troszkę skaleczyć. Poplamimy krwią ten kamień i twoją torebkę. Pomyślą, że uderzyłem cię kamieniem i wrzuciłem do oceanu. Będzie bolało.

– Jeżeli dzięki temu będziemy razem. – (Pomyślała jednak: tylko nie włosy, żeby tylko znowu nie włosy! Jak ja teraz będę wyglądać?).

– Wolałbym sam się skaleczyć. Ale nie mamy innego wyjścia.

– W porządku.

– Chodź, usiądź tu. Złap mnie za nogę. Ściśnij mocno. W ten sposób będzie mniej bolało.

Ból był jednak straszny. Ale Jennie zagryzła swój rękaw, z całej siły zacisnęła dłoń na jego nodze i udało jej się nie krzyknąć, gdy nóż rozciął jej skórę i popłynęła krew.

Zakrwawiona torebka, zakrwawiony posążek Jasmine...

Podał jej adres motelu na Sutter w San Francisco, gdzie miała się zatrzymać.

Obiecał zadzwonić do niej, gdy już będzie bezpiecznie.

Pojechali do miejsca, gdzie Daniel ukrył granatowego forda focusa skradzionego w Moss Landing. Dał jej kluczyki i tam się pożegnali. Jennie znalazła kolejny tani motel, a gdy tylko weszła do pokoju i włączyła telewizor, kładąc się na łóżku i ostrożnie dotykając pulsującej bólem rany na głowie, dowiedziała się z wiadomości, że jej Daniel został zastrzelony w Point Lobos.

Zaczęła krzyczeć w poduszkę. Tłukła kościstymi rękami w materac. Wreszcie, ukołysana własnym szlochem, zapadła w ciężki sen. Gdy się zbudziła, leżała w łóżku, wpatrując się w sufit, przebiegając wzrokiem od jednego rogu pokoju do drugiego. Bez końca. Obsesyjnie.

Przypomniła sobie nieskończenie długie godziny w swojej małżeńskiej sypialni, kiedy leżała z odchyłoną głową, czekając, aż przestanie jej krwawić nos i ból ustąpi.

I w sypialni Tima.

I kilkunastu innych.

Jennie wiedziała, że musi wstać, ruszyć się. Szukała jej policja – ujrzała w telewizji swoje zdjęcie – ponura kobieta, z wielkim nosem. Oglądała ją z płonąca z obrzydzenia twarzą.

No więc rusz tyłek...

Mimo to od kilku godzin spędzonych w zapadniętym łóżku o wystających sprężynach, które przebijały się przez cienką narzutę, czuła w sobie coś dziwnego.

Nagłą zmianę, jak pierwszy podmuch jesieni. Zachodziła w głowę, co to może być. Wreszcie zrozumiała.

Gniew.

Jennie Marston rzadko doświadczała tego uczucia. Och, świetnie znała wyrzuty sumienia, lęk i popłoch, umiała cierpliwie czekać, aż minie ból.

Albo czekać, aż ból nadejdzie.

Lecz teraz ogarnął ją gniew. Drżały jej ręce, oddech stał się szybki. I nagle, choć wściekłość nie ustąpiła, Jennie uświadomiła sobie, że jest zupełnie spokojna.

Podobnie jak przy robieniu karmelu – po długim gotowaniu cukier zaczynał niebezpiecznie bulgotać (trzeba było uważać, bo potrafił przywrzeć do skóry jak płonący klej). A gdy wylało się go na marmurową płytkę, stygł, zmieniając się w kruchą tafłę.

Taki właśnie gniew czuła w sobie Jennie. Zimny.

Twardy...

Z zaciśniętymi zębami i mocno bijącym sercem poszła do łazienki wziąć prysznic. Usiadła przy tandetnym stoliku przed lustrem i nałożyła makijaż.

Malowała się prawie pół godziny. Potem obejrzała się w lustrze. Spodobało się jej to, co zobaczyła.

*Anielskie pieśni...*

Jeszcze raz wróciła myślą do czwartku, gdy oboje stali przy fordzie focusie.

Jennie z płaczem tuliła się do Daniela.

– Będę bardzo tęskniła, ukochany – mówiła.

Daniel ściszył głos.

– Posłuchaj, najdroższa. Muszę jeszcze coś załatwić, żebyśmy byli bezpieczni na naszej górze. Ale musisz zrobić dla mnie jedną rzecz.

– Co, Danielu?

– Pamiętasz tamten wieczór na plaży? Kiedy chciałem, żebyś mi po mogła? Z tamtą kobietą w bagażniku?

Skinęła głową.

– Chcesz... chcesz, żebym znowu pomogła ci zrobić coś takiego?

Utkwił w niej błękitne oczy.

– Nie chcę, żebyś pomagała. Chcę, żebyś zrobiła to sama.

– Ja?

Przysunął się bliżej, zaglądając jej w oczy.

– Tak. Jeżeli tego nie zrobisz, nigdy nie będziemy mieć spokoju, ni gdy nie będziemy razem.

Wolno pokiwała głową. Daniel dał jej pistolet zabrany zastępcy szeryfa pilnującemu domu Jamesa Reynoldsa. Pokazał jej, jak się obchodzić z bronią.

Jennie zdziwiła się, że to takie proste.

Czując w sobie gniew, łamliwy i kruchy jak twardy kawał karmelu, Jennie podeszła do łóżka i wysypała na nie zawartość torby na zakupy, której używała jako torebki: pistolet, połowę pieniędzy, jakie jej zostały, kilka rzeczy osobistych i jeszcze jedną rzecz, którą dostała od Daniela; kartkę. Rozłożyła ją i spojrzała na to, co zapisał: nazwiska Kathryn Dance, Stuart i Edie Dance oraz kilka adresów.

Usłyszała głos ukochanego, który wsunął broń do torby i podał jej, mówiąc:

– Bądź cierpliwa, najdroższa. Nie spiesz się. Jak brzmi najważniejsza rzecz, jakiej cię nauczyłem?

– Nie tracić kontroli – wyrecytowała.

– Masz u mnie celujący, najdroższa.

I pocałował ją po raz ostatni.

## **Rozdział 62**

Dance wyszła z biura i pojechała do Point Lobos Inn, aby załatwić przeniesienie rachunku z karty kredytowej Kellogga na konto CBI.

Charles Overby oczywiście nie był zachwycony tym wydatkiem, lecz zachodził zasadniczy konflikt interesów w sytuacji, w której oskarżony o przestępstwo pokrywał koszty pomocy udzielonej instytucji, która właśnie go aresztowała. Tak więc Overby musiał się zgodzić zapłacić za domek. Godna podziwu postawa w sprawie oskarżenia Kellogga nie miała jednak wpływu na inne aspekty jego osobowości. Głośno utyskiwał na wysokość rachunku. (Cabernet Jordan? Kto to pił? I to dwie butelki?).

Dance nie mówiła mu, że zaproponowała Samancie, by została w hotelu jeszcze kilka dni.

W drodze słuchała celtyckiej grupy Altan. Właśnie śpiewali „Green Grow the Rushes O”. Melodia była przejmująca, stosownie do okoliczności, bowiem Dance zmierzała do miejsca, gdzie zginęli ludzie.

Zastanawiała się nad wyjazdem do południowej Kalifornii w przyszły weekend, z dziećmi i psami. Zamierzała nagrać meksykański zespół niedaleko Ojai. Muzycy byli fanami jej strony internetowej i wysłali Martine kilka plików MP3 ze swoimi utworami. Dance chciała zdobyć nagrania na żywo. Te rytmy ją fascynowały. Nie mogła się doczekać planowanej wyprawy.

Na drogach nie było tłoku; wróciła brzydka pogoda. Dance widziała za sobą tylko jeden samochód, niebieski sedan, który jechał za nią przez kilometr.

Skreśliła z drogi, kierując się do Point Lobos Inn. Zerknęła na telefon. Ze smutkiem przekonała się, że wciąż nie ma wiadomości od O’Neila. Dance mogła do niego zadzwonić pod pretekstem jakiegoś szczegółu sprawy i natychmiast by oddzwonił. Nie chciała jednak tego robić. Poza tym chyba lepiej utrzymać pewien dystans. Kiedy człowiek przyjaźni się z żonatym mężczyzną, może łatwo przekroczyć subtelną granicę.

Wjechała na podjazd i zatrzymała samochód, słuchając końcówki elegijnej pieśni. Przypomniała sobie pogrzeb męża.

Było logiczne, że Bill, pozostawiając w Pacific Grove żonę, dwoje dzieci i dom, powinien być pochowany w okolicy. Jednak jego uparta matka chciała, by pochowano go w San Francisco, mieście, z którego uciekł w wieku osiemnastu lat i dokąd przyjeżdżał tylko w święta, i to nie wszystkie. W rozmowach o miejscu ostatniego spoczynku syna pani Swenson była bardzo nieustępliwa.

Dance postawiła na swoim, choć przykro jej było patrzeć na łązy teściowej i przez kilka następnych lat płaciła za swoje zwycięstwo. Bill leżał na zboczu wzgórza, skąd roztaczał się widok na piękne drzewa, Ocean Spokojny i kawałeczek pola golfowego w Pebble Beach – za takie miejsce tysiące golfistów byłoby gotowych słono zapłacić. Przypomniała sobie, że choć żadne z nich nie grało, zamierzali kiedyś wziąć parę lekcji.

– Może na emeryturze – powiedział wtedy Bill.

– Emeryturze. Przypomnij mi, co to jest?

Weszła do recepcji Point Lobos Inn i zajęła się papierkami.

– Mieliśmy już parę telefonów – poinformowała ją recepcjonistka. –

Dziennikarze chcą zrobić zdjęcia domku. I ktoś zamierza organizować wycieczki do miejsca, gdzie zastrzelono Pella. To jakieś chore.

Owszem. Morton Walker na pewno by tego nie pochwalił; być może pozbawionemu taktu przedsiębiorcy zostanie poświęcony przypis w „Śpiącej laleczce”.

Wracając do samochodu, Dance kątem oka zauważyła kobietę wpatrzoną w mgłę unoszącą się nad oceanem; jej kurtka łopotała na wietrze. Po chwili kobieta odwróciła się i podążyła w tę samą

stronę co agentka, idąc w pewnej odległości od niej i w tym samym tempie.

Dance zwróciła także uwagę na zaparkowany obok samochód. Wyglądał znajomo. Czy należał do kobiety za jej plecami? Zauważyła, że to ford focus, przypominając sobie, że nie odnaleziono samochodu skradzionego w Moss Landing. Też był granatowy. Czy są jeszcze inne niewyjaśnione szczegóły, które...

W tym momencie kobieta szybko do niej podeszła i przekrzykując wiatr, spytała głośno:

– Pani Kathryn Dance?

Agentka przystanęła zaskoczona i odwróciła się do niej.

– Zgadza się. Czy ja panią znam?

Kobieta znalazła się o metr przed nią.

Zdjęła ciemne okulary, ukazując znajomą twarz, choć Dance nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie ją widziała.

– Nie spotkałyśmy się. Ale można powiedzieć, że się znamy. Jestem dziewczyną Daniela Pella.

– Pani... – wykrztusiła Dance.

– Jennie Marston.

Dłoń Dance powędrowała do pistoletu.

Zanim jednak dotknęła rękojeści, Jennie powiedziała:

– Chcę, żeby mnie pani aresztowała.

Wyciągnęła ręce złożone jak do kajdanek – rozważnym gestem, którego Dance nigdy nie widziała, odkąd została agentką biura śledczego.

– Miałam panią zabić.

Wiadomość nie zaniepokoiła jej tak, jak mogłaby w innej sytuacji, zwłaszcza że Pell nie żył, Jennie miała ręce skute kajdankami i Dance nie znalazła u niej ani w jej samochodzie żadnej broni.

– Dał mi pistolet, ale zostawiłam go w motelu. Naprawdę, nigdy nie zrobiłabym pani krzywdy.

Rzeczywiście, nie wyglądała na osobę zdolną do tego.

– Powiedział mi, że nigdy żaden policjant nie przejrzał jego myśli tak jak pani.

Bał się pani.

*Zagrożenia należy eliminować...*

– A więc zainscenizował twoją śmierć?

– Skaleczył mnie. – Jennie pokazała opatrunek z tyłu głowy. – Trochę skóry, włosów i krwi. Głowa naprawdę mocno krwawi. Potem dał mi pani adres i adres pani rodziców. Miałam was zabić.

Wiedział, że nie pozwoli mu pani uciec.

– Zgodziłaś się?

– Właściwie nic nie powiedziałam. – Pokręciła głową. – Trudno było mu odmówić... Po prostu założył, że to zrobię. Bo zawsze robiłam to, czego chciał.

Chciał, żebym panią zabiła, a potem zamieszkała z nim i Rebeccą gdzieś w lesie.

Mieliśmy założyć nową Rodzinę.

– Wiesz o Rebecce?

– Powiedział mi. – Słabym głosem spytała: – To ona pisała do mnie e-maile?

Udawała, że to od niego?

– Tak.

Mocno zacisnęła usta.

– Brzmiały inaczej niż to, co mówił. Myślałam, że pisał je ktoś inny. Ale nie chciałam pytać.

Czasem lepiej nie znać prawdy.

Amen, pomyślała Kathryn Dance.

– Jak się tu znalazłaś? Śledziłaś mnie?

– Tak. Chciałam porozmawiać z panią osobiście. Pomyślałam, że jak się pójde zgłosić, zabiorą mnie zaraz do aresztu. Ale musiałam zapytać. Była tam pani, kiedy go zastrzelono? Powiedział coś?

– Nie. Przykro mi.

– Och, tylko tak się zastanawiałam. – Jej wargi się zacisnęły – kinezyczny sygnał wyrzutów sumienia. Spojrzała na Dance. – Nie chciałam pani przestraszyć.

– Ostatnio miałam gorsze powody do strachu – odrzekła Dance. – Ale dlaczego nie uciekłaś? Zaczęlibyśmy coś podejrzewać dopiero wtedy, gdyby po kilku tygodniach morze nie wyrzuciło twojego ciała na brzeg. Przecież mogłaś wyjechać do Meksyku albo Kanady.

– Chyba po prostu uwolniłam się z jego mocy... myślałam, że z Danielem będzie inaczej. Najpierw dobrze go poznałam – rozumie pani, nie mówię tylko o seksie – i coś nas naprawdę połączyło. Tak mi się w każdym razie wydawało. Ale potem domyśliłam się, że to wszystko kłamstwo. Pewnie Rebecca wszystko mu o mnie opowiedziała, żeby lepiej mógł mnie zbajerować. Tak samo jak mój mąż i moi chłopcy. Podrywali mnie w barach albo na imprezach, które obsługiwałam.

Daniel zrobił to samo, tylko że był sprytniejszy.

Całe życie myślałam, że potrzebuję mężczyzny. Wyobrażałam sobie, że jestem jak latarka, a mężczyźni to baterie. Bez faceta nie będę świecić. Ale kiedy Daniel zginął, byłam w motelu i nagle poczułam coś innego. Wściekłam się. Niesamowicie.

Prawie czułam smak tej wściekłości. Nic takiego jeszcze mi się nie zdarzyło.

Wiedziałam, że coś muszę z tym zrobić. Ale nie jęczeć z żalu za Danielem ani wyjść poszukać nowego faceta. Nie, chciałam zrobić coś dla siebie. A co najlepszego mogłam zrobić dla siebie? Dać się aresztować. – Zaśmiała się. –

Głupio to brzmi, ale to moja własna decyzja. Nikt inny jej nie podjął.

– I chyba dobra.

– Zobaczymy. To już chyba wszystko.

Mniej więcej, uznała Dance.

Zaprowadziła Jennie do taurusa. W drodze do Salinas Dance sporządziła w myślach listę zarzutów. Popalenie, współudział w przygotowaniu zabójstwa i współsprawstwo, ukrywanie zbiega, kilka innych.

Mimo to kobieta zgłosiła się dobrowolnie i sprawiała wrażenie autentycznie skruszonej. Dance postanowiła przesłuchać ją później i jeśli Jennie okaże się tak szczerą, na jaką wygląda, agentka była gotowa wziąć ją w obronę przed Sandovałem.

W gmachu sądu Dance przekazała ją w ręce systemu.

– Chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła? – spytała.

Jennie zamierzała coś powiedzieć, lecz zmieniła zdanie i cicho się zaśmiała.

– Nie, nie trzeba. Chyba lepiej będzie zacząć wszystko od nowa.

– Dostaniesz adwokata, a potem może będziemy miały okazję jeszcze porozmawiać.

– Jasne.

I poprowadzono ją w głąb korytarza, z którego prawie tydzień wcześniej uciekł jej kochanek.

## Rozdział 63

Prawdopodobnie sto metrów wyżej było jasne sobotnie popołudnie, lecz teren szpitala Monterey Bay okrywała gęsta mgła, wypłukując krajobraz z wszystkich barw.

W powietrzu unosił się zapach sosen, eukaliptusów i kwiatów – Kathryn Dance przypuszczała, że to gardenie. Lubiła kwiaty, ale podobnie jak w wypadku jedzenia, zamiast próbować zajmować się nimi na własną rękę, ryzykując katastrofę, wolała je kupować w formie w pełni użytkowej od osób znajdujących się na rzeczy.

Stojąc przy klombie, Dance ujrzała Lindę Whitfield wyjeżdżającą ze szpitala na wózku pchanym przez jej brata. Roger był szczupłym i milczącym mężczyzną, który równie dobrze mógł mieć trzydzieści pięć jak i pięćdziesiąt pięć lat.

Wyglądał dokładnie tak, jak Dance go sobie wyobrażała – poważny, ubrany konwencjonalnie w wyprasowane dżinsy, sztywno wykrochmaloną koszulę i krawat w paski ze spinką ozdobioną krzyżykiem. Roger przywitał się z Dance bardzo mocnym uściskiem dłoni, któremu nie towarzyszył nawet cień uśmiechu.

– Pójdę po samochód. Przepraszam panią.

– Czujesz się na siłach jechać? – spytała Lindę Dance, gdy jej brat odszedł.

– Zobaczymy. Mamy znajomych w Mendocino, którzy kiedyś byli w naszym kościele. Roger do nich dzwonił. Może u nich przenocujemy.

Linda spoglądała przed siebie szklanym wzrokiem, od czasu do czasu śmiejąc się bez konkretnej przyczyny; Dance doszła do wniosku, że podano jej bardzo dobry środek przeciwbólowy.

– Będzie lepiej, jeżeli się zatrzymacie. Oszczędzaj się. Powinnaś sobie dogadzać.

– Dogadzać. – Rozbawiło ją to słowo. – Jak się czuje Rebecca? W ogóle o nią nie pytałam.

– Ciągle jest na OlOM-ie. – Ruchem głowy wskazała budynek. – Pewnie leżała gdzieś blisko ciebie.

– Wyjdzie z tego?

– Tak im się wydaje.

– Będę się za nią modlić. – Znow parsknęła nieprzytomnym śmiechem, który przypominał Dance charakterystyczny chichot Mortona Walkera.

Agentka kucnęła obok wózka.

– Nie wiem, jak ci dziękować za to, co zrobiłaś. Wiem, że to nie było łatwe. I bardzo mi przykro, że zostałaś ranna. Ale bez ciebie nie mogli byśmy go powstrzymać.

– Bóg czyni Swoją wolę, życie toczy się dalej. Wszystko wychodzi na dobre.

Dance nie zrozumiała; uwaga była podobna do sentencji wygłaszanych bez związku przez Charlesa Overby'ego. Linda zamrugnęła oczami.

– Gdzie Daniel zostanie pochowany?

– Dzwoniliśmy do jego ciotki w Bakersfield, ale ona nie wie nawet, jak się nazywa. Jego brata, Richarda, w ogóle to nie interesuje. Po sekcji Daniel zostanie pochowany tutaj. W okręgu Monterey biednych pod daje się kremacji. Mamy cmentarz publiczny.

– Poświęcony?

– Nie wiem. Przypuszczam, że tak.

– Jeżeli nie, mogłabyś znaleźć dla niego godne miejsce? Zapłacę.

Dla człowieka, który próbował ją zabić?

– Zajmę się tym.

– Dziękuję.

Na podjazd wjechała granatowa acura, brawurowo pokonując wiraż, i z piskiem opon zatrzymała się obok nich. Samochód pojawił się tak nieoczekiwanie, że Dance instynktownie skuliła się, kładąc dłoń na pistolecie.

Ale natychmiast się uspokoiła, widząc wysiadającą z samochodu Samanthę McCoy. Kobieta podeszła do nich i spytała Lindę:

– Jak się czujesz?

– Na razie jestem na prochach. Jutro pewnie będzie mnie bolało. Al bo raczej przez cały miesiąc.

– Wyjeżdżasz bez pożegnania.

– Rety, dlaczego tak myślisz? Chciałam zadzwonić.

Dance bez trudu zauważyła fałsz. Samantha prawdopodobnie także.

– Dobrze wyglądasz.

Odpowiedział jej bełkotliwy śmiech.

Cisza. Głęboka cisza; mgła tłumiała każdy dźwięk otoczenia. Samantha spojrzała na Lindę, trzymając ręce na biodrach.

– Przeżyliśmy parę dziwnych dni, hm?

Śmiech: półprzytomny i nieufny.

– Linda, chcę do ciebie zadzwonić. Mogłybyśmy się spotkać.

– Po co? Żebyś mi fundowała psychoanalizę? Żebyś wyrwała mnie ze szponów Kościoła? – Jej słowa ociekały goryczą.

– Chcę się po prostu z tobą zobaczyć. O nic innego mi nie chodzi.

Z trudem zbierając myśli, Linda odrzekła:

– Sam, osiem, dziewięć lat temu byliśmy zupełnie różne. Teraz jesz cze bardziej się różnimy. Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– Nic wspólnego? To nieprawda. Razem przeżyliśmy piekło.

– No tak. I Bóg pomógł nam z niego wyjść, a potem wysłał nas w różne strony.

Samantha kucnęła i ostrożnie wzięła ją za rękę, uważając na ranę. Znalazła się w bliskiej strefie osobistej Lindy.

– Posłuchaj mnie. Słuchasz?

– O co chodzi? – spytała zniecierpliwiona.

– Był sobie kiedyś pewien człowiek.

– Jaki człowiek?

– Posłuchaj. Ten człowiek był w swoim domu, kiedy nadeszła wielka powódź, naprawdę ogromna. Kiedy rzeka zalała parter domu, przyplłynęła łódź, żeby go uratować, ale powiedział: „Nie, zostawcie mnie. Bóg mnie ocali”. Wbiegł na piętro, ale woda wkrótce tam dotarła. Zjawiała się druga łódź, ale człowiek powiedział: „Nie, zostawcie mnie. Bóg mnie ocali”. Rzeka podnosiła się coraz bardziej i człowiek wspiął się na dach. Przyleciał helikopter, ale on powiedział:

„Nie, zostawcie mnie. Bóg mnie ocali”. I helikopter odleciał.

Głosem bełkotliwym od leków Linda spytała:

– Co ty wygadujesz?

Niezrażona Sam ciągnęła:

– W końcu woda zmyła go z dachu i utonął. A kiedy poszedł do nie ba i zobaczył Boga, spytał: „Boże, dlaczego mnie nie ocaliłeś?”. Bóg po kręcił głową i odrzekł: „Dziwne, nie rozumiem, jak to



się stało. Przecież wysłałem po ciebie dwie łodzie i helikopter”.

Dance zachichotała. Słyszając puentę, Linda zrobiła zdziwioną minę i chyba chciała się uśmiechnąć, ale się powstrzymała.

– Daj spokój, Linda. Jesteśmy swoimi helikopterami.

Nie odpowiedziała.

Sam wcisnęła jej do ręki wizytówkę.

– Tu masz mój numer.

Linda przez dłuższą chwilę milczała, oglądając wizytówkę.

– Sarah Starkey? Tak się nazywasz?

Samantha uśmiechnęła się.

– Tego nie mogę już zmienić. Ale zamierzam powiedzieć mężowi O

wszystkim. Właśnie tu jedzie z naszym synem. Chcemy spędzić na półwyspie kilka dni. Taką przynajmniej mam nadzieję. Ale kiedy mu powiem, być może wsiądzie do samochodu i wróci do domu.

Linda nie odzywała się, obracając w palcach wizytówkę. Spojrzała na podjazd, którym zbliżał się poobijany srebrny pikap. Samochód zatrzymał się i wysiadł z niego Roger Whitfield.

Samantha przedstawiła się bratu Lindy swoim dawnym imieniem.

Mężczyzna powitał ją pytającym uniesieniem brwi i kolejnym oficjalnym uściskiem ręki. Następnie razem z Dance pomogli Lindzie wsiąść do samochodu.

Agentka zamknęła drzwi.

Samantha stanęła na stopniu.

– Linda, pamiętaj: helikoptery.

– Do widzenia, Sam – odrzekła. – Będę się za ciebie modlić.

Bez dalszych słów i gestów brat z siostrą ruszyli. Samantha i Dance patrzyły na niknące we mgle świetliki tylnych lamp pikapa na końcu podjazdu.

Gdy odjechali, Dance zapytała:

– Kiedy przyjedzie twój mąż?

– Godzinę temu wyjechał z San Jose. Chyba niedługo. – Sam wskazała ruchem głowy na podjazd.

– Sądysz, że do mnie zadzwoni?

Mimo wszystkich swoich umiejętności śledczych i zdolności rozpoznawania mowy ciała, Kathryn Dance nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Mogła jedynie zauważyć:

– Przecież nie wyrzuciła twojej wizytówki.

– Jeszcze nie – odrzekła Samantha, uśmiechnęła się smutno i ruszyła do samochodu.

Mgła przeniosła się gdzie indziej i wieczorne niebo było bezchmurne.

Kathryn Dance siedziała na Tarasie sama, choć Patsy i Dylan kręciły się po ogrodzie, snując swoje psie intrygi. Skończyła przygotowania do jutrzejszego przyjęcia urodzinowego ojca i popijała niemieckie piwo, słuchając „A Prairie Home Companion”, programu radiowego Garrisona Keillora, który uwielbiała od lat. Kiedy po zakończeniu audycji wyłączyła wieżę stereo, z oddali dobiegł ją odgłos gam granych przez Maggie i przytłumiony basowy puls z pokoju Wesa.

Słuchając muzyki syna – przypuszczała, że to Coldplay – Kathryn Dance przez chwilę się zastanawiała, po czym pod wpływem impulsu wyciągnęła telefon, znalazła numer w książce adresowej i wcisnęła przycisk „ZADZWÓŃ”.

– No, witam – powiedział w słuchawce głos Briana Gundersona.

Identyfikacja numeru w komórkach stworzyła zupełnie nowe mechanizmy reakcji, pomyślała. Brian miał całe trzy sekundy na ułożenie strategii rozmowy, opracowanej specjalnie dla Kathryn Dance.

– Cześć – odrzekła. – Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam. Wiem, że parę razy dzwoniłeś.

Śmiech Briana przypomniał jej o spędzonych z nim chwilach – o kolacji, spacerze po plaży. Ładnie się śmiał. I nieźle całował.

– Kto jak kto, ale ty na pewno jesteś usprawiedliwiona. Oglądałem wiadomości.

Kto to jest Overby?

– Mój szef.

– Ach, ten stuknięty, o którym mi opowiadałaś?

– Aha. – Dance zastanawiała się, do jakiego stopnia była niedyskretna.

– Widziałem jego konferencję prasową i wspominał o tobie. Powie dział, że asystowałaś mu w ujęciu Pella.

Roześmiała się. Gdyby słyszał to TJ, zapewne niedługo potem dostałaby wiadomość dla „asystentki Dance”.

– A więc go dopadliście.

– Dopadliśmy.

I nie tylko jego.

– Co u ciebie? – spytała.

– W porządku. Kilka dni byłem w San Francisco i wyłudzałem pieniądze od ludzi, którzy wyłudzili pieniądze od innych ludzi. A ja wyłudziłem sobie honorarium. Wszyscy na tym dobrze wyszli. – Dodał, że w drodze do domu na autostradzie 101 złapał gumę. Zatrzymał się przy nim wracający z występu amatorski kwartet rewelersów, który zajął się kierowaniem ruchem i zmienił mu koło.

– Śpiewali przy pracy?

– Niestety nie. Ale wybieram się na ich koncert w Burlingame.

Czyżby to było zaproszenie?

– Jak dzieci? – spytał.

– Dobrze. Jak to dzieci. – Umilkła, zastanawiając się, czy powinna najpierw zaprosić go na drinka, czy od razu na kolację. Uznała, że może zaryzykować kolację, zwłaszcza że nie byłby to pierwszy raz.

W każdym razie dziękuję za telefon – powiedział Brian. Proszę bardzo.

– Ale nieważne.

Nieważne?

– Wiesz, dlaczego dzwoniłem? W tym tygodniu wybieram się z przyjaciółką do La Jolla. „Przyjaciółka”. Cóż za cudownie wieloznaczne słowo.

– Wspaniale. Będziecie nurkować? Pamiętam, jak mówiłeś o nurkowaniu. – Był tam wielki rezerwat podwodnej fauny i flory. Rozmawiali kiedyś z Brianem o wyprawie do La Jolla.

– Och, tak. Mamy to w planach. Dzwoniłem, żeby spytać, czy mogę wziąć książkę, którą ci pożyczyłem, ten przewodnik po pieszych szlakach turystycznych w okolicach San Diego.

– Och, przepraszam.

– Nie ma sprawy. Kupiłem drugi. Zatrzymaj sobie tę książkę. Jestem pewien, że kiedyś się tam wybierzesz.

Zaśmiała się – chichotem Mortona Walkera.

– Jasne.

– Poza tym wszystko dobrze?

– Tak, bardzo dobrze.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy będę w mieście.

Kathryn Dance, analityk kinezyki i wytrawna śledcza, wiedziała, że ludzie często kłamią, oczekując – a nawet mając nadzieję – że słuchacz rozpozna fałsz.

Zwykle w sytuacjach takich jak ta.

– Byłoby świetnie, Brian.

Podejrzewała, że już nigdy w życiu nie zamienią słowa.

Dance zamknęła telefon i poszła do sypialni. Rozgarnęła morze butów, wygrzebując spod niego starą gitarę Martin 00-18, czterdziestoletni model z mahoniowymi bokami i tylną płytą oraz świerkową płytą wierzchnią, która z wiekiem przybrała barwę toffi.

Zabrała ją na Taras, usiadła i palcami zeszywniałymi z chłodu – i braku ćwiczeń – nastroiła gitarę i zaczęła grać. Najpierw parę gam i arpeggiów, a potem piosenkę Boba Dylana „Tomorrow Is a Long Time”.

Błądziła myślami od Briana Gundersona do sceny na przednim siedzeniu służbowego taurusa i Winstona Kellogga.

Smak mięty, zapach skóry...

Grając, dostrzegła jakiś ruch w domu. Ujrzała swojego syna zmierzającego prosto do lodówki i po chwili wycofującego się do swojego pokoju z łupem w postaci ciastka i szklanki mleka. Cała akcja trwała trzydzieści sekund.

Uświadomiła sobie, że od początku traktowała zachowanie Wesa jak odstępstwo od normy, usterkę, którą należało usunąć.

*Rodzice często uważają, że dzieci wysuwają uzasadnione zastrzeżenia wobec potencjalnych kandydatów na ojczyrna czy macochę, a nawet osób, którymi matka czy ojciec interesują się tylko przelotnie. Nie możesz myśleć w ten sposób.*

Dance nie była już jednak taka pewna. Może rzeczywiście zastrzeżenia czasem są uzasadnione. Może powinniśmy słuchać dzieci z taką samą uwagą i otwartością jak świadków przesłuchiwanym w śledztwie. Może od początku go nie doceniała.

Oczywiście Wes był dzieckiem, nie partnerem, mimo to powinien mieć prawo głosu. Taki ze mnie ekspert kinezyki, który ustala wzorce zachowań i szuka odchyłeń sygnalizujących, że coś jest nie tak.

Czy z Winstonem Kelloggiem zachowałam się niezgodnie ze swoim wzorcem?

Może reakcja chłopca była wskazówką, że tak.

Warto nad tym pomyśleć.

Dance była w połowie piosenki Paula Simona i nuciła melodię, nie pamiętając za dobrze słów, gdy usłyszała skrzyp furtki na dole.

Instrument zamilkł, a Dance uniosła wzrok, widząc wchodzącego po schodach Michaela O’Neila. Miał na sobie szaro-rudy sweter, który kupiła mu przed kilku laty, gdy była na nartach w Kolorado.

– Serwus – rzekł. – Przeszkadzam?

– Nigdy.

– Annę za godzinę ma wernisaż. Pomyślałem sobie, że wcześniej wpadnę.

– Cieszę się.

Wyciągnął z lodówki piwo i gdy skinęła głową, wziął drugą butelkę. Usiadł obok niej. Strzeliły kapsle. Oboje pociągnęli długi łyk becka.

Zacząła grać instrumentalny utwór w opracowaniu na gitarę, starą celtycką melodię Turlougha O'Carolana, niewidomego wędrownego harfiarza irlandzkiego.

O'Neil milczał, pijąc piwo i kiwając do rytmu głową. Zauważyła, że patrzy w stronę oceanu – choć nie mógł go widzieć; zasłaniały go gęste sosny. Przypomniała sobie, jak po obejrzeniu starego filmu ze Spencerem Trącym o opętanej obsesją hemingwayowskim rybaku, Wes nazwał O'Neila „Starym człowiekiem z morza”.

Detektyw i Dance śmiali się z tego serdecznie.

Kiedy skończyła grać, O'Neil powiedział:

– Jest problem z Juanem. Słyszałaś już?

– Z Juanem Millarem? Nie, o co chodzi?

– Przyszedł raport z autopsji. Wydział koronera znalazł wtórne przy czyny.

Uznał je za podejrzanę. Otworzyliśmy sprawę w biurze szeryfa.

– Co się stało?

– Nie umarł z powodu infekcji czy wstrząsu, do których zwykle dochodzi w ciężkich poparzeniach. Powodem była interakcja morfiny z difenhydraminą – to antyhistamina. Kroplówka z morfiną była otwarta szerzej niż powinna, a żaden z lekarzy nie przepisał antyhistaminy. Z morfiną to niebezpieczna mieszanka.

– To było umyślne?

– Na to wygląda. Nie mógł tego zrobić sam. Prawdopodobnie mamy do czynienia z morderstwem.

Dance przypomniała sobie szept matki, przekazującej jej ostatnie słowa Millara.

*Zabijcie mnie...*

Zastanawiała się, kto mógł być sprawcą tej śmierci. Sprawy eutanazji należały do najtrudniejszych i budzących największe emocje śledztw.

Dance pokręciła głową.

– Jeszcze po tym, co przeszła jego rodzina. Daj mi znać, jeżeli będziemy mogli coś zrobić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Dance czuła zapach płynu po goleniu Michaela O'Neila i dymu z palącego się drewna. Bardzo spodobała się jej ta kombinacja. Znów zaczęła grać. „Freight Train” Elizabeth Cotten w wersji fingerpicking, najbardziej zaraźliwą melodię, jaką kiedykolwiek skomponowano.

Wiedziała, że będzie jej dźwięczeć w głowie przez najbliższych parę dni.

– Dowiedziałem się o Winstonie Kelloggu – rzekł O'Neil. – Nigdy bym nie przypuszczał.

Wieści szybko się roznoszą. – Aha.

– TJ podał mi wszystkie makabryczne szczegóły. – Pokręcił głową i przywołał gestem Dylana i Patsy. Psy w kilku susach znalazły się przy nim. Dał im po ciastku Milk Bones z pojemnika stojącego obok butelki podejrzanego tequili. Psy chwyciły poczęstunek i popędziły w głąb ogrodu. – Zapowiada się ciężka sprawa – ciągnął. –

Założę się, że Waszyngton naciska, żebyście ją sobie odpuścili.

- Och, tak. Będzie pod górkę.
- Jeżeli jesteś zainteresowana, możemy podzwonić w parę miejsc.
- Do Chicago, Miami czy Los Angeles?

O’Neil spojrział na nią zdumiony, po czym parsknął śmiechem.

- Też ci to przyszło do głowy? Który trop wydaje się najlepszy?

– Zaczęłabym od podejrzanego samobójstwa w Los Angeles – oświadczyła Dance. – Jest w naszym stanie, więc podlega CBI, a Kellogg nie może twierdzić, że przywódca sekty zginął podczas próby zatrzymania. Poza tym zniszczył plik. Po co miałyby to robić, gdyby nie był winien?

Postanowiła, że gdyby Kelloggowi udało się wywinąć od morderstwa Pella, co było możliwe, nie pozwoli zostawić tej sprawy w spokoju. Będzie go ścigać w innych miejscach.

I wszystko wskazywało na to, że nie będzie tego robić w pojedynkę.

- Dobrze – odrzekł O’Neil. – Spotkajmy się jutro i przyjrzyjmy się dowodom.

Skinęła głową.

Detektyw skończył piwo i wyciągnął następne.

- Nie wydaje mi się, żeby Overby był gotów zafundować nam wy cieżkę do Los Angeles.

- Trudno w to uwierzyć, ale chyba tak.

- Naprawdę?

- Jeżeli polecimy klasą turystyczną.

- I bez rezerwacji – dodał O’Neil.

Wybuchnęli śmiechem.

- Jakieś życzenia? – Stuknęła w pudło martina, które wydało dźwięk jak bongos.

- Żadnych. – Odchylił się do tyłu, wyciągając przed siebie zdarte bu ty. – Na co masz ochotę.

Kathryn Dance zastanowiła się przez chwilę i zaczęła grać.

### **Od autora**

Biuro Śledcze Kalifornii, działające w ramach stanowej Prokuratury Generalnej, naprawdę istnieje, mam jednak nadzieję, że ofiarni funkcjonariusze tej znakomitej instytucji wybaczą mi, że pozwoliłem sobie nieco ją zreorganizować, tworząc fikcyjne biuro na malowniczym półwyspie Monterey. Dokonałem też kilku zmian w strukturze wspaniałego Biura Szeryfa Okręgu Monterey.

Mam także nadzieję, że mieszkańcy Capitoli niedaleko Santa Cruz darują mi, że ulokowałem w ich uroczym mieście fikcyjne superwięzienie.

Osoby zainteresowane kinezyką i techniką przesłuchań i pragnące dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, zachęcam do lektury następujących książek, które okazały się niezwykle przydatne i zajmują poczesne miejsce na półce Kathryn Dance i mojej: „Principles of Kinesic Interview and Interrogation” oraz „Kłamstwo

- cała prawda o” Staną B. Waltersa; „Detecting Lies and Deceit” Alderta Vrija;

- „The Language of Confession, Interrogation, and Deception” Rogera W. Shuya;

- „Practical Aspects of Interview and Interrogation” Davida E. Żuławskiego i Douglasa E.

Wicklandera; „What the Face Reveals” pod redakcją Paula Ekmana i Eriki Rosenberg; „Sztuka

obserwacji, czyli jak poznać prawdę o drugim człowieku” Jo-Ellan Dimitrius i Marka Mazzarelli;

















































































„Introduction to Kinesics: An Annotation System for Analysis of Body Motion and Gestures” R. L.

























































Birdwhistella (kiedyś tancerza, obecnie etnologa, któremu przypisuje się ukucie terminu

„kinezyką”).

Jak zawsze dziękuję też Madelyn, Julie, Jane, Willowi i Tinie.

# Document Outline

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-   Z
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
- 